708-M
MAZANOWSCY
WYPISY POL.

ANTONI I MIKOŁAJ MAZANOWSCY

WYPISY POLSKIE

NA VIII KLASĘ GIMNAZJALNĄ

WYDANIE DRUGIE

WARSZAWA — KRAKÓW
NAKŁAD KSIĘGARNI J. CZERNECKIEGO
1927

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE

708 M

KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI

I. 1831—1863.

WARUNKI ROZWOJU LITERATURY W KRAJU W LATACH 1831—1863.

Wielka poezja romantyczna, której główne dzieła już poznaliśmy, doszła do pełni swego rozwoju w latach 1831—1855 nie w kraju, lecz na emigracji, gdzie żyli i pisali swoje utwory nie tylko Mickiewicz, Słowacki i Krasiński, lecz także wielu innych poetów, jak J. B. Zaleski, Seweryn Goszczyński (do r. 1871), Cyprjan Norwid. Jakie znaczenie dla naszego narodu ma ta poezja, wiemy.

Tymczasem stan polityczny, w jakim po r. 1831 znajdowały się wszystkie trzy zabory ziem polskich, był taki, że głosy narodowych wieszczów emigracyjnych dochodziły tu zrazu słabo; dopiero stopniowo i zwolna, a w miarę powracania emigrantów i potajemnego rozszerzania się po kraju emigracyjnych wydawnictw — coraz potężniej oddziaływały one na szerszy ogół.

Stan polityczny w trzech zaborach. [1])

W zaborze rosyjskim po ogłoszeniu stanu wojennego, «najwyższy sąd kryminalny» w Królestwie przeprowadził po r. 1831 tak liczne konfiskaty dóbr polskich, że blisko $10^0/_0$ całej prywatnej własności ziemskiej i ćwierć miljona chłopów przeszło tu do rąk czynowników rosyjskich. Na Litwie i Rusi skonfiskowano 2890 majątków ziemskich. Gdy rzesze emigrantów, znęcone amnestją r. 1831, wróciły do kraju, rząd rosyjski, pogwałcając własną amnestję, oficerów polskich zesłał w głąb Rosji, a tysiące szeregowców wcielił do swoich wojsk kaukaskich.

Car Mikołaj I zniósł konstytucję z r. 1815 i zaprowadził w r. 1832 t. zw. «statut organiczny» znoszący sejm, koronację na króla i odrębne wojsko polskie. Stopniowo zaczęto do urzędów wprowadzać język rosyjski, jako urzędowy; celną granicę, która dotychczas oddzielała Królestwo od Rosji, zniesiono; kraj podzielono na gubernje. Srogi ucisk zapanował zwłaszcza na Litwie i Rusi. Przesiedlono stąd do Rosji

[1]) Patrz Dra A. Lewickiego: *Zarys historji polskiej*, wyd. 12-te.

45.000 rodzin szlacheckich, w r. 1840 zniesiono «statut litewski», zaprowadzono zaś kodeks rosyjski; sądownictwo i całą administrację zrusyfikowano.

Ze szczególną zaciętością gnębiony był wszędzie Kościół katolicki. W Królestwie, na Litwie i Rusi skonfiskowano wszystkie dobra kościelne, wyznaczając duchowieństwu pensje rządowe. Unitów Rusi i Litwy pomimo bohaterskiego nieraz oporu (Bazyljanki, Matka Makryna Mieczysławska) zmuszono do przyjęcia prawosławia. Tylko w Królestwie w diecezji chełmskiej utrzymała się jeszcze (do r. 1875) unja.

W zaborze pruskim, zwłaszcza w t. zw. W. Ks. Poznańskiem, dopóki był namiestnikiem ks. Antoni Radziwiłł, mieli zrazu Polacy dostęp do szkół i urzędów z prawem używania swego języka. Włościanie, których rząd pruski jeszcze w r. 1823 uwłaszczył, dochodzili do coraz większego dobrobytu. Jednak po r. 1831 miejsce Radziwiłła zajął zaciekły wróg polskości, Flottwell, a z nim coraz silniej wykonywany był system odpolszczania szkół, urzędów i sądów. Pomimo to Wielkopolska w owej dobie mogła jeszcze nietylko sama pielęgnować kulturę polską, ale oddziaływać w tem pielęgnowaniu na inne zabory, zwłaszcza przez propagandę poezji i pism emigracyjnych.

Galicję wreszcie uciskał w owej dobie germanizacyjny system ministra austrjackiego, Metternicha, całym aparatem szkół niemieckich, policji, cenzury, starostw, mandatarjuszów i przewrotną zasadą podburzania chłopów przeciw szlachcie, Rusinów przeciw Polakom.

Próby orężnej walki o wolność po r. 1831.

Po powstaniu r. 1831 przeszło do Francji kilka tysięcy wojska polskiego, w tem wielu oficerów, wielu uczonych, poetów. Cała ta emigracja ożywiona była silną wiarą, że bardzo rychło w szczęśliwie zmienionych stosunkach ogólno-politycznych wróci do ojczyzny i stoczy zwycięski bój z tyranami wolności [1]). W dążeniu jednak do tego celu

[1]) Patrz *Wezwanie Komitetu Narodowego do pozostania na tułactwie* wydane w Paryżu 25 grudnia 1831: «Niema ojczyzny — czytamy tam — gdzie niema wolności... Narodów wytępić nie można. I my nie zginęliśmy. Nie zginął nasz język, obyczaje, religja... Jeszcze i dla nas zaświeci gwiazda wolności. Powrót mściwego losu nie jest daleki. Nie wracajcie więc jako służalcy tam, gdzie jako zwycięzcy wkroczyć możecie... Niech dłoń wolnego Polaka nie uściśnie dłoni służalca despoty. Bo przyjdzie ta chwila, w której głos trąby powoła nas na ojczyste niwy. Tam otworzą się groby poległych braci naszych, a z ich kości wynijdą mściciele. Pójdziemy wywołać ich cienie, lecz z orężem w dłoni; bo inaczej wzrok ich nie zniósłby sromu naszego, a jęki ich oskarżyłyby przed niebem braci, co nikczemnością swoją spokojność ich grobową wzruszyli. — Polska, Polska Jagiellonów, niepodległa, wolna, lub wieczna śmierć! Oto hasło nasze!»

nie była emigracja zgodna. Konserwatyści pod wodzą ks. Adama Czartoryskiego («Hotel Lambert») usiłowali oddziaływać na obce dwory i narody przez propagandę sprawy polskiej, a na emigrację przez oświatę, (szkoła przy ul. Batignolles w Paryżu, «Towarzystwo historyczno-literackie»); demokraci zaś (z Wiktorem Heltmanem, Teofilem Wiśniowskim, Ludwikiem Mierosławskim i Zygmuntem Miłkowskim) związani w «Towarzystwo Demokratyczne» wierzyli, że rychlej i radykalniej zdążą do celu przez uświadomienie, uwłaszczenie i porwanie do ruchu zbrojnego mas wiejskiego ludu we wszystkich zaborach; w tym też kierunku rozwinęli agitację.

Po chybionej wyprawie partyzanckiej przeciw Rosji Józefa Zaliwskiego i jego garstki emigrantów w r. 1833, skierowało Towarzystwo swoją agitację głównie ku zniesieniu pańszczyzny; tajna w tej sprawie organizacja pod nazwą «Stowarzyszenie Ludu Polskiego» miała główny zarząd najpierw w Krakowie, potem we Lwowie. Ofiarnie i dzielnie szerzył ją na Litwie i Rusi major Szymon Konarski. Ujęty, skazany na śmierć i rozstrzelany w Wilnie 1839 r. Wielu innych członków stowarzyszenia rząd rosyjski zesłał na Sybir. Ślady organizacji wykryto i w Galicji, skąd proces polityczny we Lwowie, w którym na śmierć (z późniejszem ułaskawieniem na dożywotne więzienie) skazano Franciszka Smolkę i Albina Dunajewskiego. Obaj, ułaskawieni w erze konstytucyjnej, odegrali w dziejach monarchji wybitną rolę, pierwszy, jako powszechnie uwielbiany i wieloletni prezydent Rady Państwa, drugi, jako minister finansów.

Wyznaczony z «Komitetu centralnego poznańskiego» przez Ludwika Mierosławskiego termin ogólnego powstania przeciw trzem mocarstwom zaborczym na 21 lutego 1846, skończył się zupełną katastrofą: aresztowaniem przez Prusaków Mierosławskiego i Karola Libelta w Poznaniu, zajęciem przez Austrję wolnego miasta Krakowa, szybko stłumionemi krwawemi utarczkami w Królestwie, a w Galicji tragiczną rzezią szlachty, księży i inteligencji wiejskiej, dokonaną przez bandy podjudzonego przez rząd chłopstwa, pod wodzą wypuszczonego z kryminału, Jakóba Szeli [1]). Rzeź ta objęła powiaty tarnowski, rzeszowski i bocheński; zginęło w niej do 2000 osób, znacznie więcej odstawiło chłopstwo — po skatowaniu — do starostw i sądów, jak np. W. Pola. Lud jednak Chochołowa pod Zakopanem powstał przeciw Austrji [2]); tę ruchawkę rząd zdusił; we Lwowie po dłuższym procesie emisarjusz

---

[1]) Patrz dramat Żeromskiego p. t. *Turoń*, także odnośne ustępy z *Wesela* Wyspiańskiego; wpływ na twórczość Ujejskiego, Krasińskiego, W. Pola.

[2]) Patrz wzmianki w utworach Orkana.

Teofil Wiśniowski w r. 1849 powieszony razem z Józefem Kapuścińskim; ostatniego powieszono za to, że zabił burmistrza miasteczka Pilzna (koło Tarnowa) za namawianie chłopów do rzezi. W wielkim politycznym procesie w Poznaniu na śmierć skazano Mierosławskiego z 10 towarzyszami, a kilkudziesięciu na dożywotnie lub dłuższe więzienie. Uwolnił ich wybuch rewolucji w Berlinie.

Rok 1848, zwany «wiosną ludów», zaznaczył się rewolucjami w zachodniej i środkowej Europie przeciw tyranjom absolutyzmów o formę rządu demokratyczno-konstytucyjną.

W Poznańskiem uwolniony z towarzyszami po berlińskich rozruchach Mierosławski zorganizował nowe polskie wojsko; otoczony pod Wrześnią musiał broń złożyć. Nadanie konstytucji dało Polakom prawo wybierania posłów do sejmów prowincjonalnych i do sejmu w Berlinie.

W Galicji po stłumieniu rozruchów w Krakowie, zbombardowaniu Lwowa i rozwiązaniu w r. 1849 sejmu konstytucyjnego w Kromieryżu, dawny absolutyzm pozostał bez zmiany do r. 1859 (t. zw. epoka Bacha). Jedyną zdobyczą było zniesienie pańszczyzny, czego dla Galicji domagała się «Rada Narodowa» we Lwowie, przeważnie ze szlachty złożona. Dopiero t. zw. «dyplom październikowy» prezydenta austrjackich ministrów, Agenora Gołuchowskiego, wydany w r. 1860, zaprowadzał konstytucję z szeroką autonomją. Wypaczył jednak tę konstytucję następca Gołuchowskiego, Antoni Schmerling, za którego germanizatorskich rządów na mocy t. zw. «patentu lutowego» weszli do parlamentu austrjackiego przeważnie Niemcy.

Stan szkolnictwa i oświaty w trzech zaborach.

Pod zaborem rosyjskim zaraz po powstaniu zniósł rząd uniwersytety w Warszawie i Wilnie, skasował także sławne liceum Krzemienieckie i wiele szkół średnich i ludowych. Konfiskacie i wywiezieniu do Rosji uległy liczne bibljoteki, muzea, narodowe zbiory, jak np. «Towarzystwa Przyjaciół Nauk», muzem Czartoryskich w Puławach lub zbiory uniwersytetu warszawskiego. Wszystkie szkoły poddano pod bezpośredni zarząd kuratora, mianowanego z Petersburga, który był równocześnie wszechwładnym cenzorem wszelkich polskich publikacyj. W szkołach średnich język rosyjski i historja Rosji musiały być wykładane w języku rosyjskim przez specjalnych, z Rosji sprowadzonych nauczycieli. Cenzurę wszelkich publikacyj tak obostrzono, że nawet nazwisk Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego, Lelewela, lub takich wyrazów, jak ojczyzna, wymieniać nie było wolno.

W tak trudnych warunkach, gdy po klęsce powstania minęło pierwsze otrętwienie, cała polskość z językiem ojczystym, literaturą i czcią ojczystej tradycji poczęła «w domowe tulić się zacisze». Przykładem takiego skupiania się przy domowem ognisku — obok związku «Świętokrzyzców» i «Cyganerji» był związek t. zw. «Entuzjastów» z Narcyzą Żmichowską [1]) lub salony literackie, np. Skimborowiczów. Dopiero w r. 1841 powstało poważniejsze, belletrystyczno-naukowe pismo p. t. *Bibljoteku Warszawska*, a w rok potem organ «Entuzjastów» p. t. *Przegląd naukowy* [2]). Około tego czasu zaczyna nieco ożywiać się także ruch literacki, zwłaszcza w zakresie krytyki literackiej [3]), popularyzowania dziejów literatury [4]), badania pieśni i podań ludu [5]), historjografji [6]).

Wnet i dziennikarstwo zaczęło się rozwijać, odkąd znany powieściopisarz, Henryk Rzewuski [7]), założył swój *Dziennik Warszawski*, skupiając w nim najlepsze siły, a potem powstała *Gazeta Warszawska* z belletrystyką i teatralnemi sprawozdaniami. Przy końcu tego okresu J. I. Kraszewski znakomicie redagował *Gazetę Codzienną*. W tym też czasie zbiory Konstantego Świdzińskiego stają się zawiązkiem bibljoteki ordynacji Krasińskich w Warszawie.

Nadmienić trzeba, że zwolna znajomość poezji emigracyjnej przenika tu coraz głębiej nawet w warstwy mieszczan, co wskutek ponęty owocu zakazanego oddziaływa na te warstwy coraz potężniej.

W ziemiach wschodnich Polski było jeszcze gorzej. Tak przed r. 1830 rozwinięty wileński ruch piśmienniczy *(Dziennik Wileński, Kurjer Wileński)* zamarł prawie zupełnie. Zostały tylko *Wizerunki i roztrząsania naukowe*, a potem inne, mało poczytne pisma, jak *Athenaeum* Kraszewskiego lub od r. 1849 *Pamiętnik naukowo-literacki*. Dopiero 20 lat po powstaniu dzięki redagowanemu przez A. E. Odyńca *Kurjerowi Wileńskiemu* i *Tece Wileńskiej* [8]) ożywia się nieco publicystyka.

---

[1]) Patrz w *Wypisach* wyjątki z pism Żmichowskiej. — [2]) Zamknięty w r. 1848. — [3]) Najwybitniejszymi tego działu publicystami byli w owym czasie: Aleksander Tyszyński, Henryk Lewestam i Kazimierz Wójcicki. — [4]) Dwie historje literatury: K. Wójcickiego i Juljana Bartoszewicza. — [5]) K. Wójcicki. — [6]) Aleksander Przeździecki (1814—1871) zasłużył się jako zbieracz zabytków przeszłości polskiej. — Wacław Aleksander Maciejowski (1793—1883), autor *Piśmiennictwa polskiego aż do r. 1830*, 3 t. Warszawa 1851—1853 i wielu innych prac drukowanych najczęściej w Biblj. Warsz. z l. 1841—60. — Juljan Bartoszewicz (1821—1870) pracowitem piórem zasilał liczne pisma, zwłaszcza *Bibljotekę Warsz.* i *Encyklopedję* Orgelbranda (tysiąc kilkaset artykułów!). Zbiorowe wydanie dzieł w 11 tomach wyszło w Krakowie 1877—1882. — [7]) Patrz *Wypisy*. — [8]) Oba pisma rychło zawieszone

Zato dłuższy czas jeszcze korzystnie o posiewie zwiniętego uniwersytetu świadczą wydawnictwa naukowe, zwłaszcza w zakresie dziejów i krajoznawstwa [1]) w kierunku zbierania pieśni i podań ludu [2]).

W Petersburgu wychodziło pismo polskie, założone przez Malewskiego, przyjaciela Mickiewicza, p. t. *Tygodnik Petersburski*, znane z tendencji zachowawczej i poczytne, jak długo zasilane było pracami Henryka Rzewuskiego, Ks. Ign. Hołowińskiego, Michała Grabowskiego i J. I. Kraszewskiego.

Pomyślniejszy był ruch umysłowy i literacki w Poznańskiem, zwłaszcza do roku 1848. Z pism perjodycznych pożytecznie i pomyślnie rozwijało się pisemko popularne, ale bogate w treść z dziejów ojczystych, p. t. *Przyjaciel Ludu*. Pismo postępowe *Tygodnik Literacki* zasilane było pracami Karola Libelta i Jędrzeja Moraczewskiego, autora *Dziejów Rzeczypospolitej Polskiej* w 9 tomach. Do tych przybyły inne, jak *Rok* i *Orędownik*, a od r. 1844 *Przegląd Poznański* pod redakcją Jana i Stanisława Koźmianów, pismo zachowawczo-katolickie. Wszystkie te pisma korzystały ze znacznej swobody cenzuralnej i mogły uwzględniać nawet poezję emigracyjną. W tym też czasie Edward Raczyński oddał na użytek publiczny wielką i należycie wyposażoną bibljotekę w Poznaniu. Druga w tej dzielnicy wielka bibljoteka kórnicka Tytusa Działyńskiego dostępna była dla uczonych. Raczyński i Działyński nie szczędzili kosztów na liczne wydawnictwa naukowe (jak np. *Kodeksu dyplomatycznego W. Ks. Litewskiego*, *Pamiętników* Otfinowskiego, Paska i Kitowicza, przekładu *Klimakterów* Kochowskiego, dzieł T. Czackiego; wydania zaś Działyńskiego: *Acta Tomiciana* — obejmujące sprawy kancelarji królewskiej Zygmunta I; *Lites ac res gestae*, obejmujące spór polsko-krzyżacki; diarjusze sejmowe i t. d.) Powstaje w r. 1857 «Towarzystwo Przyjaciół Nauk poznańskie» i od r. 1860 zaczyna wydawać swoje *Roczniki*, a Karol Marcinkowski zakłada do dziś dnia istniejące i pożyteczne «Towarzystwo Pomocy Naukowej».

Teraz to zaczęto także ratować w germanizacji pogrążone i dotychczas niemal zupełnie zapomniane kresy. Nauczyciele pochodzenia włościańskiego, Paweł Stalmach i Andrzej Cienciała, zakładają dla ludu górnośląskiego *Tygodnik Cieszyński*, późniejszą *Gwiazdkę Cieszyńską*. W dalszych latach wielkie położył zasługi nad rozbudzeniem polskości na Śląsku Franciszek Michejda. Na pruskiem Mazowszu powstał *Przy-*

---

[1]) Prace Kraszewskiego, Michała Balińskiego (1794—1864), Teodora Narbutta (1784—64), Konstantego i Eustachego Tyszkiewiczów.

[2]) Zbiory Jana Czeczota, Leona Zienkowicza.

jaciel ludu łeckiego, a na pruskich Kaszubach nad podtrzymaniem polskości skutecznie pracuje katolickie duchowieństwo.

W okresie powstania listopadowego w t. zw. Galicji (pod zaborem austrjackim) widzimy szeroko rozlany, wszystkie dziedziny publicznego życia obejmujący zalew germanizmu. Wszystkie urzędy, szkoły, sądy, wojsko — niemieckie; nawet teatr we Lwowie niemiecki. Zalewowi temu nie przeciwstawia się przez dłuższy czas żadna warstwa narodu, ani osłabione reformami Józefińskiemi duchowieństwo, ani szlachta, w dawnych tradycjach bezczynnie pogrążona [1]), ani włościaństwo, ciemne, pańszczyzną przytłoczone, systematycznie podjudzane przeciwko panom przez przewrotne rządy, ani mieszczaństwo, zależne od żydów, stojących po stronie rządu. Pierwsze próby ruchu literackiego wiążą się z zainteresowaniem do pieśni i podań ludu, rozbudzonem po r. 1822. Próby te wydają po r. 1831 zbiorki: Wacława z Oleska [2]) i Żegoty Paulego [3]). Wybitniejszą działalność rozwija grono literatów młodych, jak August Bielowski [4]), Lucjan Siemieński [5]), Wincenty Pol, Leszek Borkowski [6]) wraz z przybyłymi z Warszawy K. Wójcickim, Dominikiem Magnuszewskim [7]) i S. Goszczyńskim. Ogłaszają oni różne swoje prace literackie w *Haliczaninie*, w *Ziewoni* i *Rozmaitościach* (dodatku do urzędowej *Gazety Lwowskiej*), a później w *Dzienniku mód paryskich*.

Polityczne wypadki lat 1846 i 1848, ruchawki, bombardowanie miast, zgromadzenia i narady, procesy i organizowanie narodowych gwardyj potężnie wpłynęły na rozbudzenie mieszczaństwa i szlachty, jednocząc obie warstwy w dążeniach do wspólnych celów. Silnie w tymże kierunku oddziałało przyłączenie do Galicji Krakowa (1846) z historyczną kulturą tego miasta, z uniwersytetem, «Towarzystwem Naukowem» (*Roczniki*), z pierwszemi w języku polskim miesięcznikami (*Kwartalnik Naukowy*, *Powszechny Pamiętnik Nauk*, *Pamiętnik Naukowy*)

---

[1]) Czytaj powieści Z. Kaczkowskiego. — [2]) *Pieśni polskie i ruskie ludu galicyjskiego*, 1848. — [3]) *Pieśni ludu polskiego*, 1838; *Pieśni ludu ruskiego*, 1839. — [4]) August Bielowski (1806—1876) walczył w r. 1831, potem osiadł we Lwowie, pisał poezje i rozprawy historyczne i literackie. Wydał pomnikowe *Monumenta Poloniae historica* (Pomniki dziejowe Polski) w 3 tomach. — [5]) Lucjan Siemieński (1809—1877), walczył w powstaniu, we Lwowie od 1835—38, (z tego 1½ r. w więzieniu), od r. 1848 w Krakowie w redakcji *Czasu*. Wydał mnóstwo poczytnych prac literackich różnego rodzaju, najgłośniejsze *Portrety literackie* w 4 t., *Wieczory pod lipą*. Zbiorowe wydanie w 10 tomach w Warszawie 1881–82. — [6]) Leszek Borkowski (1811—1896), walczył w powstaniu, we Lwowie od r. 1832, ogłaszał poezje, rozprawy literackie i mowy polityczne. — [7]) Dominik Magnuszewski (1810—1845), walczył w powstaniu, po r. 1831 w Galicji ogłaszał poezje dramatyczne i powieści.

oraz tak pierwszej miary uczonymi jakim był Antoni Zygmunt Helcel [1]). Odtąd ożywia się w Galicji publicystyka, pojawiają się coraz to nowe czasopisma, broszury, powieści. We Lwowie staraniem Jana Dobrzańskiego, wybitnego później polemisty politycznego, powstaje pismo literackie *Nowiny*, potem *Dziennik Literacki*; w Krakowie *Czas* pod redakcją Stanisława Koźmiana (polityka) i literackiem współpracownictwem Lucjana Siemieńskiego staje się najpoważniejszem polskiem pismem politycznem o kierunku zachowawczym. Lwowianin, Karol Szajnocha (1818—1868), historjografię polską pierwszy bez uszczerbku naukowej ścisłości opromienia artyzmem formy w dziełach *Bolesław Chrobry* (1849), *Pierwsze odrodzenie się Polski 1279—1333* (1849), *Jadwiga i Jagiełło* (1855—6, w 3 t.), *Lechicki początek Polski* (1858), *Mściciel* (1860), *Szkice historyczne* (1854—69), *Dwa lata dziejów naszych 1646 i 1848* (1865—9).

W takich to, jak wyżej w treściwym zarysie przedstawione, warunkach rozwijała się w latach 1831—1863 twórcza działalność szeregu pisarzów nie dzielnicowych, lecz wyrazicieli ducha narodowego ogólnopolskiego, który pomimo gwałtem narzuconych kordonów politycznych nie zatracił w niczem swej jednolitości ani żywotności. We wszystkich zaborach czytani byli i znani Wincenty Pol, Aleksander Fredro, Władysław Syrokomla, Teofil Lenartowicz, Henryk Rzewuski, J. I. Kraszewski, Józef Korzeniowski, Ignacy Chodźko, Kornel Ujejski, Mieczysław Romanowski. Wszyscy oni owiani byli wielką poezją romantyków emigracyjnych. Jakie mają ci pisarze znaczenie w kulturze całego narodu, jakie są główne znamiona i dążenia ich utworów, na czem polega różnica ich w porównaniu z emigracyjnemi i jaka jest skala ich talentów: — wszystko to poznać winniśmy z czytania i rozbioru samych dzieł, z których znamienniejsze wyjątki przytacza się.

Kończy się ten okres romantyczny niezmiernie podniośle, acz wstrząsająco i tragicznie. Widno entuzjastyczne hasła wieszczów — hasła niepodległości ojczyzny i wolności ludów, dotarły do duszy młodzieży i porwały tłum. Niedarmo za wieszczami wołał skazaniec sybirski [2]):

«Niesiemy z sobą prawa człowiecze,
Niesiemy wolności dżumę!»

---

[1]) Antoni Zygmunt Helcel (1808—1870), walczył w powstaniu, od 1849—51 był profesorem prawa politycznego na uniw. Jagiellońskim, wydał pomnikowe *Starodawne prawa polskiego pomniki* w 2 tomach.

[2]) Karol Baliński (1817—1864), zesłany w r. 1839 na Sybir; wróciwszy r. 1842 łączy się z gronem «Entuzjastów» i pisze do *Przeglądu naukowego*. W r. 1846 ponownie uwięziony, siedzi w cytadeli do 1847; ucieka, tułając się to w Galicji, to w Poznańskiem i Paryżu. Zbiory pism, głównie poezji, wydawał za życia w Poznaniu, Lwowie i Paryżu.

Niedarmo śpiewak *Grobu Agamemnona* aż do trzewiów wstrząsał sumieniem narodu pogardliwem «niewolnica cudza» i dla przykładu wskazywał «nagi trup Leonidasa». Niedarmo wieszcz *Dziadów* wraz z twórcą *Przedświtu* idealizowali męczeństwo ofiarne i autor *Maratonu* płomiennem słowem wywoływał z grobu Alcybiadesa. Za nimi poszli inni, rzucając hasło: «Przez śmierć do zmartwychwstania, dla zbawienia świata!»

«Niech się stopy w grób pośliznął!
Ci, co wierzą w zmartwychwstanie,
Pozdrawiają cię, Ojczyzno!»

Przelała się miara upokorzeń. Tłumy warszawskie śmierć przyjmują z modlitewnym na ustach śpiewem. Bohaterska młodzież, nie lękając się grozy szubienic, wywiesza na swych sztandarach: «Za naszą i waszą wolność!» Wybucha powstanie, osobliwe, w dziejach świata jedyne tego rodzaju, i w dniu 5-go sierpnia 1864 kończy się na stokach cytadeli ofiarnem na szubienicy zawiśnięciem dyktatora, Romualda Trauguta i pięciu jego towarzyszy.

Ofiara dokonała się. Odtąd literatura wejdzie w nowy okres twórczego rozwoju.

ALEKSANDER FREDRO (1793—1873). [1])
JÓZEF KORZENIOWSKI (1797—1863). [2])

Z powieści p. t. „Krewni“ (1857).

(Dwaj synowie ubogiego szlachcica różnemi szli drogami: Eugenjusz wychowywał się w domu bogatego kasztelana, Ignacy po ukończeniu szkół publicznych aplikował w urzędzie i lekcjami u majstra stolarskiego zdobywał sobie środki do życia).

Bohater nasz, którego karjera tym sposobem zdecydowała się i inny zupełnie wzięła kierunek, pożegnał przyszłego swojego majstra i zwierzchnika, poszedł do ogrodu Krasińskich i tam

[1]) Nauki w domu w Bieńkowej Wiszni, w środkowej Małopolsce. Mając lat 12, ułożył komedyjkę p. t. *Strach nastraszony*. Jako dzielny kapitan odbył kampanję napoleońską 1812 r. W Paryżu zapoznał się z teatrem, po powrocie do Lwowa przestudjował Moliera i zaczął tworzyć komedje. W pierwszym okresie do 1828 roku powstały: *Geldhab, Zrzędność i przekora, Mąż i żona, Cudzoziemszczyzna, Damy i Huzary, Odludki i poeta, Nikt mnie nie zna, Przyjaciele, Nowy Don Kiszot, List* i *Pierwsza lepsza*. W drugim okresie do 1835 r.: *Śluby panieńskie* (1832), *Zemsta* (1833), *Pan Jowialski, Ciotunia, Dożywocie, Gwałtu co się dzieje* i *Dyliżans*. Z wydanych po śmierci najlepsze są: *Pan Benet, Dwie blizny* i *Świeczka zgasła*. (Komedje Fredry należy czytać w osobnych wydaniach).

[2]) Liceum w Krzemieńcu. Początkowe ody w duchu klasycznym. Do-

w ustronnej alei chodził póty, póki go grzechotka stróża, mającego zamknąć ogród, nie wywołała. I różne wtedy przychodziły mu myśli. Zrobił on krok, który nosił na sobie piętno odwagi, a może i zuchwalstwa. Wypowiedział wojnę potężnym siłom, które kierują życiem zwyczajnych ludzi i na ubitych przez nałóg, modę i przesąd trzymają ich drogach. On, rodowity szlachcic, mający w imieniu swem ludzi możnych i wysoko w społeczności stojących, wyrzekał się honorów, tytułów, znaczenia i władzy, tych głównych elementów szlacheckich myśli i nadziei, do których mógłby dobić się z czasem i stanąć na równi z tymi, których nazwisko nosił. Z namysłu i przekonania rzucając tę zwykłą drogę, zniżał się do rzemiosła, nie dającego nic, prócz dobrego bytu i niezależności i mogącego mu zamknąć drzwi krewnych, którzy takim wyborem niewłaściwego rodowi ich stanu mogli się obrazić i uczuć się pokrzywdzonymi.

Nazajutrz, o godzinie piątej rano, wszedł Ignaś wesoły i spokojny do warsztatu pana Hebla. Najstarszy czeladnik, tak nazwany po naszych warszawskich warsztatach, gdzie cała nomenklatura jest niemiecka, Werkführer [1]), przyjął go dość chmurnie i oficjalnie, inni zaś czeladnicy lub wcale na niego nie zważali, lub spoglądali zukosa, lub poświstując przy rozpoczynającej się robocie i ruchu warsztatowym, mówili wpół głośno: «Obaczymy, czy tu panicz wytrzyma. Na djabła nam panicze, nam trzeba chłopców, nie paniczów uczonych i mądrych. Łacina tu nie pomoże».

Takie i tym podobne szepty i rozmowy, przytem przebieganie mu poprzed nosem chłopców i chichotanie w oczy, zasępiły cokolwiek bohatera naszego i pokazały mu, że nie po różach przejdzie mu ten czas próby i nauki. Najwięcej go zastanowiło obejście się z nim kierującego warsztatem czeladnika, pana Antoniego Adwentowicza, którego znał, który z nim dawniej wcale inaczej się

---

piero w Warszawie, gdzie przez pewien czas był domowym nauczycielem Zygm. Krasińskiego, przechylił się ku romantyzmowi. W *Klarze* i *Anieli*, a zwłaszcza w *Mnichu*, *Dymitrze* i *Marji* i *Pięknej kobiecie* dał wyraz nowym swym zapatrywaniom na dramat. Był profesorem w Krzemieńcu, potem docentem w Kijowie. Osiadłszy w Charkowie (1838—1846) pisał utwory dramatyczne, z tych najgłośniejsze: *Karpaccy Górale* (1840), *Żydzi* (1843), *Panna Mężatka*, a także pierwsze powieści p. t. *Spekulant* (1845), *Kollokacja* (1847). Ostatni okres życia w Warszawie, jako dyrektor wydziału komisji wyznań i oświecenia. Szereg powieści jak: *Wędrówki oryginała* i *Nowe wędrówki oryginała*, *Emeryt*, *Tadeusz Bezimienny*, *Garbaty* (1853), *Pan Stolnikowicz wołyński*, *Wdowiec*, *Krewni* (1857), *Ofiara i sumienie*, *Szczęście za górami*.

[1]) Kierownik warsztatu.

obchodził, który go nawet nieraz chwalił i zręczność jego podziwiał, kiedy przez ciekawość zachodził do warsztatu, brał się do hebla [1]) i dłótem lub piłką manewrował, nie zważając więc na przywitanie tak nieprzychylne reszty swych kolegów, przystąpił do Adwentowicza i rzekł mu grzecznie:

— Panie Adwentowicz, zapewne pan Hebel uprzedził pana, jako zawiadującego warsztatem, o moim zamiarze zostania tu uczniem stolarskim.

— Chłopcem, chłopcem, małym — zawołało kilka głosów między czeladnikami, a malcy powtórzyli, śmiejąc się: — Małym, małym!

— Moje chłopczyki! — rzekł Ignaś do malców. — Kto mały o mały, a kto już wyrósł, to małym być nie może. Ale równie, mały, jak i duży, kiedy nic nie umie i przychodzi uczyć się, nazywa się uczniem.

— Chłopcem, chłopcem! — powtórzyli czeladnicy.

— Dziękuję panom, że mnie oświecacie — rzekł Ignaś z postanowieniem nie stracenia zimnej krwi i przytomności umysłu — będę więc odtąd nazywał się chłopcem, jeżeli się panom tak spodoba i taki jest w warsztacie zwyczaj. Uczniem nazwałem się jedynie dlatego, że postanowienie księcia namiestnika z roku 1816 dla zgromadzeń rzemieślniczych nazywa uczniami tych, co się chcą uczyć rzemiosła.

Piękna jego postawa, zimna krew i grzeczność, wzięły górę nad nieokrzesaniem i chęcią widoczną odstręczenia ukształconego młodzieńca od zawodu, gdzie trzeba było tylko zręczności i czasu. Prawie wszyscy więc umilkli, a jeden z czeladzi szepnął do drugiego:

— Mądra bestja!

— Dajcie pokój, to jakiś tęgi chłopak. Nie będzie nam z nim źle — odpowiedział drugi głośniej i wszyscy łaskawiej na niego spoglądać zaczęli. Ale najstarszy milczał i swoje robił. Był to człowiek niemłody, słuszny, barczysty, z dużemi wąsami, które mu dodawały powagi i twarz jego przystojną zdobiły. Miał na sobie czystą i dość cienką koszulę, popielaty fartuch z napierśnikiem okrywał całą przednią część ciała i spadał niżej kolan, a rękawy koszuli, zgarnięte ku łokciom okazywały ręce silne, żylaste i od pracy tak w muskularnej swej części wydatne, że mogłyby służyć za model dla snycerza, gdyby chciał rękę gladjatora urobić. Ignaś zwrócił się znowu do niego i rzekł:

---

[1]) Strug stolarski.

— Jakże, panie Adwentowicz, czy pan Hebel nic panu o mnie nie mówił?

— Najsamprzód — odpowiedział gburowato starszy czeladnik, robiąc swoje i nie patrząc na młodego człowieka — trzeba, żebyś aspan wiedział, że skoro tu przyszedłeś, jako uczeń stolarski, to już tu dla pana niema ani pana Adwentowicza, ani pana Hebla, ale jest pan Werkführer i jest pan majster. Zrozumiałeś mnie aspan?

Wszyscy zaśmieli się tak głośno, a szczególnie małe chłopaki zachichotali, klaszcząc w ręce, a jeden z tygielkiem, pełnym kleju, przebiegając mu przed nosem, nastąpił na nogę. Ignaś usunął się spokojnie i odpowiedział:

— Zrozumiałem, panie Werkführer; i teraz zapytuję pana, czy pan majster dał panu jakie względem mnie polecenie?

— A jeżeli dał, to co? — zapytał, zawsze zajęty robotą swoją Adwentowicz.

— To proszę mi rozkazać, co mam robić — odpowiedział Ignaś, którego słusznie moglibyśmy nazwać teraz bohaterem.

— Niech panu Dylewiczowi buty wyczyści — zawołał jeden z chłopaków.

— Niech biegnie po frisztyk [1]) dla pana Fryca — mówił drugi.

— Niech wody przyniesie do warsztatu — odezwał się trzeci.

— Milczeć, smarkacze! — krzyknął zawiadowca, i obracając się do nowicjusza, któremu trochę krew szlachecka zaczynała bić do głowy, dodał: — Rozkazuję aspanu najpierw, żebyś zdjął ten surducik paniczowski, bo on się tu nie zda, a przywdział oto ten fartuch, który ci pani majstrowa przysłała, za co pójdziesz potem i podziękujesz jej. Zrozumiałeś aspan?

— Zrozumiałem i wykonam — odpowiedział Ignaś, zrzucił surdut i przywdział fartuch popielaty nowy i ładny, na co inni kiwali głowami i szeptali sobie pocichu.

— Po drugie — mówił dalej Adwentowicz — ten kapelusz i laseczkę sprzedaj sobie, albo daruj komu, albo sobie schowaj, jak się za parę lat wyzwolisz, jeżeli nie wyjdzie z mody. A teraz kup sobie aspan czapeczkę i w niej chodź. Bo jak cię kto zobaczy w kapeluszu, a szczególniej z laską, to jak przyjdzie do Ferglajchu [2]) na gospodzie, to wtenczas nie laska będzie w robocie, ale co innego. Zrozumiałeś mnie aspan?

— Zrozumiałem, panie Werkführer! — odpowiedział Ignaś — jutro będę miał czapkę, a z laską mnie nikt nie zobaczy.

---

[1]) śniadanie. — [2]) *Vergleich* (niem.) — wyrównanie, porachunek.

— Po trzecie — mówił dalej Werkführer, kontynuując swoje zajęcie — niedość jest mieć czapkę, ale trzeba jeszcze, żeby pod tą czapką nie było wróblów. Zrozumiałeś aspan?

— Niegrzecznym nigdy nie byłem dla nikogo — odpowiedział Ignaś.

— Pokornym być trzeba i uległym, nie tylko grzecznym — mówił Adwentowicz.— W warsztacie słuchać, co każą, na ulicy każdemu starszemu się ukłonić. A starszym teraz dla aspana jest pan majster, pani majstrowa i każdy z towarzyszów, to jest z czeladzi ferglajchowanych, nie tylko tutejszych, ale i z innych warsztatów, jak ich poznasz. Bo jak przyjdzie do Ferglajchu, a zajdzie skarga za hardość, za nieposłuszeństwo, za jaką kłótnię, to znowu będzie robota.

Chłopców cieszyło to niezmiernie i pokazywali gestami, jaka to będzie robota, a Ignasia te morały, i powaga, z jaką mu były dawane, zaczynały już zajmować i bawić. Nie pokazał jednak tego po sobie, ale zachowawszy minę skromną i pokorną, uchylił głowę na znak, że pojął i zapamięta.

— Po czwarte — mówił dalej Adwentowicz — fajki palić nie wolno tu w warsztacie, ani mnie nawet, ani panu majstrowi. Gdzieindziej wolno jest palić, ale dopiero po Ferglajchu. Uczeń czyli chłopiec, jeśli spostrzeżonym będzie z fajką i oskarżą go, że palił, to palą go zato w gospodzie. Zrozumiałeś aspan?

— Przepis ten tem łatwiej mi będzie wykonać — rzek Ignaś z uśmiechem — że nigdy tej skłonności nie miałem i nałogu tego nie zaciągnąłem.

— Tem lepiej dla aspana — rzekł serjo Adwentowicz.

— Po piąte, cokolwiek się tu robi w warsztacie, to wolno aspanu widzieć i kiedyś mądrzejszy od innych, myśleć sobie, co ci się podoba; ale uwag starszym robić nie wolno, bo to hardość; wynosić sekretów z warsztatu także nie wolno, tak jak i ze szkoły, gdzie aspan tyle lat byłeś i musiałeś się nauczyć, co i my wiemy, że, żeby cię pieczono i smażono w smole...

— Nie powiadaj, co się dzieje w szkole — krzyknął cienkim głosem jeden malec, a inni chichotać zaczęli.

Adwentowicz zawołał chłopca do siebie, pokręcił go za ucho, tak, że się aż rozpłakał, i patrząc groźnie na innych, dodał:

— A starszemu, błaźnie nie przerywaj, kiedy mówi. To także nauka.

Malec poszedł w kąt, szlochając, inni umilkli i wzięli się do roboty, a surowy zawiadowca, obróciwszy się do młodego czło-

wieka, który pokonywał, jak mógł, przykre wrażenie, którego doznał, mówił dalej:

— Otóż, jak ze szkoły, tak z warsztatu nic wynieść nie wolno i plotek nie robić ani przed majstrem, ani przed majstrową, ani przed ich dziećmi, ani przed nikim. Zrozumiałeś aspan?

— Zrozumiałem i to, i zajmę się tylko tem, co się mnie tyczyć będzie — odpowiedział Ignaś.

— To i dobrze — odpowiedział Adwentowicz — zajmiesz się aspan tem, co ci każą. A teraz rozpatrz się w warsztacie i staraj się go poznać cokolwiek, żebym jutro nie musiał gadać trzy razy i żebyś mnie zrozumiał, jeżeli o co zawołam.

I to powiedziawszy, odwrócił się i zaczął obchodzić stoły warsztatowe, przypatrując się pilnie robocie innej czeladzi i wydając jej dyspozycje. Ignaś tymczasem przypatrywał się pilnie temu nowemu miejscu swojej działalności, które znał powierzchownie, a które teraz w najdrobniejszych szczegółach poznać był obowiązany.

Pomimo tych przykrości, doznał tego dnia pewnego wynagrodzenia, posunąwszy się cokolwiek w znajomościach w powołaniu jego najistotniejszych. Skoro bowiem młody człowiek przywdział fartuch, pan Adwentowicz, nachmurzywszy czoło gorzej, niż zwykle, rzekł:

— A pójdźno aspan tu.

— Co pan Werkführer każe? — zapytał Ignaś, przystępując do milczącego przez chwilę starszego czeladnika.

— Co każę, to aspan zaraz usłyszysz, tylko nie dopytuj się, bo tego nie lubię, odpowiedział mu ostro, a wszyscy spoglądali uśmiechając się i oczekując, co z tego będzie. Zawiadujący warsztatem otworzył szufladkę swego stolika, który jemu tylko jednemu służył, wyjął z niej listę narzędzi, znajdujących się w jego szafie i dodał: — Powyjmuj wszystkie naczynia z mojej szafy i poustawiaj tak, jak idą po sobie na tym oto próżnym stole. Wyczyść mi aspan szafę dobrze z kurzawy i poustawiaj mi narzędzia na miejsce w takim porządku jak tu napisano, opatrzywszy wprzód każde dobrze. Jeżeli które zardzewiałe albo gdzie nadpsute, to masz ołówek i w regestrze położysz tam krzyżyk albo inny jaki znak. Zrozumiałeś mnie aspan?

— Zrozumiałem, tylko...

— Tylko co? — przerwał mu surowo Adwentowicz, a inni parsknęli głośnym śmiechem.

— Nie wiem, czy trafię, jak się które narzędzie nazywa — rzekł Ignaś czerwieniąc się.

— A oczy od czego? — rzekł wąsaty Werkführer. — W szkole aspan byłeś, czytać zapewne umiesz i na numerach się znasz.

To powiedziawszy, odwrócił się, ale Ignaś nie dostrzegł, że się uśmiechnął pod wąsem.

Wziął się Ignaś z obawą do tej roboty, pewny, iż umyślnie dana mu była na to, aby pokazać całą trudność zawodu, do którego, zaufany w swem postanowieniu i wrodzonej skłonności, wziął się zapóźno, i żeby go narazić na śmiech tych, co, choć od niego młodsi i mniej uczeni, więcej umieją i lepiejby się z danego polecenia wywiązali. Ale gdy jedno i drugie narzędzie wyjął i dobrze mu się przypatrzył, spostrzegł, że na każdem z nich był numer, odpowiadający numerowi spisu. To spostrzeżenie ośmieliło młodego człowieka i zrobiło go panem zajęcia, które mu polecono. Do godziny piątej, pracując bez przerwy, przypatrując się pilnie każdemu naczyniu, porównując numer jego z numerem regestru, nie tylko, że się nie splątał, ale, oczyściwszy szafę, każdą rzecz napowrót na swojem miejscu postawił, obeznał się znacznie z tym arsenałem stolarskim i niemal połowę tej śmiesznej i utrudzającej niepotrzebnie polskiemu robotnikowi zawód jego nomenklatury, zapamiętał.

— Skończyłem już, panie Werkführer — rzekł Ignaś, gdy uderzyła godzina piąta. — Teraz pójdę na korepetycję do dzieci pana majstra.

— A to idź aspan — odpowiedział z powagą starszy czeladnik, a fartuch złóż na stole moim. A podziękowałeś pani majstrowej?

— Nie zapomniałem o tem — odpowiedział młody człowiek i odziawszy się i wziąwszy kapelusz i laseczkę, ukłonił się grzecznie starszemu i tym z panów czeladzi, którzy byli bliżsi i na niego patrzyli i wyszedł. Gdy drzwi zamknął, Adwentowicz rzucił okiem na swoją szafę, w doskonałym znajdującą się porządku i, znowu się nieznacznie uśmiechnąwszy, poszedł do stołów terminatorów, rozmaite im dając rozkazy; a czeladnicy inni i chłopcy zeszli się koło szafy Werkführera, przypatrywali się robocie nowego ucznia i kiwając głowami, mówili:

— Oho! Prędko bestja da sobie radę, nie bójcie się.

Jakoż na drugi dzień przyjęli go obojętnie i z niechęcią, ale bez tych przekąsów i śmieszków, które wczoraj tak heroicznie wytrzymał. Adwentowicz, równie nachmurzony, jak dnia poprzedniego, przywołał go do siebie i rzekł:

— Pomieszałeś mi tam aspan naczynia i nie wszystko tak ustawiłeś, jak trzeba. Nie wszystkie także oznaczyłeś tępe, zardzewiałe i nadpsute. Wyłóż jeszcze raz i przypatrz się lepiej — i rzucił mu regestr i klucz od szafy i odszedł.

Ignaś niebardzo był niekontent z tego rozkazu, dającego mu sposobność lepszego jeszcze obeznania się z tem, co było najistotniejszem. A choć mu się wydawało, że szafa jest w porządku, i że polecenie to dane mu było jedynie w chęci pokazania wyższości i znudzenia go jednostajnem zajęciem, wziął się jednak do roboty z ochotą i taką uwagą, aby mógł jak najwięcej skorzystać. Gdy więc wyłożył znów na stół wszystko w porządku i starał się wbić sobie w pamięć owe stameizy [1]), uhrfedry [2]), knyple [4]), cyklingi, cyklingstale [4]), rozmaitej formy i wielkości fejle [5]), görmassy [6]), schneidmassy [7]), richtholce [8]) i t. d., na których poznaniu i nauczeniu się jako tako ich nazwisk zwyczajni chłopcy rok i dwa niepotrzebnie trawią, spostrzegł, że o kwadrans na siódmą pan Adwentowicz stanął na środku warsztatu i zdjąwszy czapeczkę i trzymając ją w górze w prawej ręce, krzyknął na cały głos: Frühstik! Wtedy wszyscy chłopcy i młodsi terminatorowie, rzuciwszy każdy swoją robotę, wypadli do drzwi i w kilka minut ten temu, ten owemu czeladnikowi przyniósł śniadanie. Gdy Ignaś na to hasło nie ruszał się z miejsca i swoje robił, jeden z czeladników, pracujących przy warsztacie najbliższym, przystąpił do niego z hardą miną, położył mu rękę na ramieniu i rzekł:

— He, paniczu! Nie słyszałeś! Idź mi po śniadanie!

Bohater nasz porwał się z miejsca zaczerwieniony i byłby zapewne wyszedł z cierpliwości; ale w tej chwili Adwentowicz odezwał się surowo:

— Panie Bartogowski! Widzisz pan, że chłopak zatrudniony z mojego rozkazu i zaraz pójdzie do dzieci pana majstra.

Te słowa i mina Werkführera zwróciły czeladnika na swoje miejsce, a młodemu człowiekowi, który uczuł, jak trudnem jest jego położenie, dały czas do pomiarkowania się i ochłodzenia szlacheckiej i upokorzonej piersi.

---

[1]) *Stammeisen* — półokrąglak, narzędzie introligatorskie.
[2]) *Uhrfeder* — sprężyna zegarowa.
[3]) *Knippeisen* — rodzaj świdra lub gwincidła.
[4]) Cykloidy — inaczej toczne.
[5]) *Feile* — pilniki, zdzieraki, gładziki.
[6]) *Görmesser* — fermentomierz.
[7]) *Schneidmaschine* — przecinarka.
[8]) *Richtholz* — sprawdzian, drewienko do prostowania.

Gdy się czas śniadania rzemieślników kończył, wtedy znowu Werkführer stanął na środku sali, zdjął czapkę i krzyknął: Aus! I chłopcy rzucili się do sprzątania resztek jadła, czeladnicy stanęli każdy przy swoim warsztacie i wszystko do dawnego wróciło porządku.

Po obiedzie, gdy szafa już była uporządkowana, rzekł Adwentowicz do Ignasia, który z jego rozkazu heblował schrubhublem daną sobie deskę:

— Chodź-no aspan tu. Oto masz klucz do tej wielkiej szafy. Przynieś mi stamtąd dwie cyklingi, feilę półokrągłą, sznycer, dwa gradhuble i jeden lochbeutel. Czekaj aspan. Powtórz, czego żądam.

Ignaś wziął klucz i powtórzył.

— No, dobrze, ruszaj-że aspan teraz i nie guzdraj się, bo mi pilno — dodał Adwentowicz i znowu się uśmiechnął nieznacznie, gdy się Ignaś odwrócił i gdy inni, którzy rozkaz słyszeli, patrzyli ciekawie, jak się też sprawi.

W kilka minut żądane narzędzia złożone były na stoliku Werkführera, który je obejrzał i dodał: No, dobrze. Wyjm-że teraz aspan z mojej szafy takie same, zanieś je tam i schowaj, a te połóż tu na ich miejsce.

I znowu zaczęły się gadania, ale już cichsze między czeladnikami, a ten i ów mówił do sąsiada:

Sprytna kanalja, — paniczyk! Jak on to prędko zmiarkował. Takie było postępowanie Werkführera względem bohatera naszego surowe, groźne prawie i nieubłagane. Ale przynosiło mu tę korzyść, że inni, widząc, jak się z nim obchodzi starszy czeladnik, jak obojętnie traktuje go majster, który wiele razy wszedł do warsztatu, żadnej na niego nie zwracał uwagi, sami złagodnieli względem młodzieńca, którego każdy z nich w duszy uznawał od siebie wyższym moralnie i umysłowo, prawie go żałowali, a ten i ów chętnie pomagać mu i w naznaczonej robocie radzić i oświecać zaczął. Trwało to długo; Adwentowicz zaś, nie spuszczając ani na włos z groźnego i imponującego tonu, dawał mu coraz inne, coraz trudniejsze zajęcia, ale zawsze takie, które go wtajemniczały w sekreta kunsztu, wykazywały jego wyższą pojętność i usposobienie, i jednały mu względność i szacunek współpracujących.

Półtora roku upłynęło. Ignaś pracował ciągle, termin jego kończył się i zbliżało się wyzwolenie. W warsztacie miał szacunek kolegów i przywiązanie Adwentowicza i Hebla, który widział, jak użytecznym jest jego zakładowi młody człowiek z głową, z gustem, z pojętnością, przez które wszystkie sekreta rzemiosła prze-

niknął, w niektórych rzeczach na nowe nawet wpadł kombinacje, a akuratnością i obyczajami stał się wzorem i przykładem dla swoich współpracowników.

Zbliżył się czas wyzwolenia Ignasia. Na mocy 49 § Ustawy rzemieślniczej odbył się jego egzamin przed Urzędem Starszych, w którym jeszcze stary Dryljus prezydował. Hebel, który ucznia swego tak wysoko cenił, że mu już przed wyzwoleniem pensję naznaczył i najtrudniejsze roboty powierzał, przedstawił go na sesji i postępowaniu jego, pilności i nabytej biegłości w kunszcie swym najchlubniejsze dał świadectwo. Ponieważ zaś w warunkach skróconego terminu było, aby wobec delegowanych zrobił rysunek sztuki czeladniczej, jaką miał wykonać, zadano mu więc do wyrobienia kanapkę na dwie osoby, z ładnemi wyrzynaniami, ale taką, żeby elegancję łączyła z wygodą. Hebel uśmiechnął się, że rzecz tak drobną tak biegłemu naznaczają robotnikowi, a gdy się inne części sesji odbywały, Ignaś usiadł przy osobnym stoliku i rysunek swój najprzód ołówkiem, a potem piórem delikatnie i czysto wykończył. Połączył on ze sobą dwa wygodne krzesła, związaniem swem tak nieznacznie ku środkowi nagięte, że osoby siedzące mimowolnie ku sobie zwrócone być musiały i tym sposobem opierając się wygodnie i nie wykręcając się, rozmawiać ze sobą mogły. Plecy obu krzeseł miały formę linji krzywej zgrabnie ku dołowi nagiętej, z wyrzynaniem u góry i z brzegami w dziewięć małych łuków wygiętemi. W wiązaniu, łączącem dwa krzesła, znacznie niższem od pleców, był przymocowany zgrabny i w rysunku brzegów całości odpowiadający stoliczek, na którym rozmawiający mogli stawiać filiżanki, kłaść książki i gazety, a w tym ostatnim razie, gdyby się zajmowali czytaniem wieczorem, mieli do tejże ściany przymocowane dwa zgrabne lichtarze tak, że każdy mógł się osobną dla siebie świecą posługiwać. Kozetka ta nie była przeznaczona na przysuwanie jej do ściany, owszem tylna jej część tak była wyrobiona, że mogła stać na środku pokoju i każde tak zwane etablissement [1]) ozdobić. Wysłanie jej i wypikowanie w pasy, odpowiadające zębom plecków, dawało jej pozór dwóch rozwartych muszli, w których żadnej linji nie było prostej, żadnego ostrego kąta, ale wszystkie zagięcia odpowiadały większym lub mniejszym łukom eliptycznym. Pod spodem Ignaś dał każdej części wymiary, oznaczył wielkość każdego łuku i w krótkości opisał, z jakiego ma być drzewa i jaką ma-

[1]) Umeblowanie, gabinet (franc.)

terją, odpowiednio do koloru i blasku politury, powinna być pokrytą, aby się lepiej wydała.

Po przedstawieniu rysunku, członkowie zgromadzenia przypatrywali mu się kolejno, a ten i ów kiwał głową, to dziwiąc się zgrabności mebla, dokładności rysunku, to wątpiąc, czy to wykonać zdoła tak, jak narysował. Wtedy Dryljus, który widocznie bohaterowi naszemu sprzyjał, uprzejmie na niego spojrzawszy, rzekł:

— Bardzo ładne, ale bardzo trudne. Panie Hebel, chodźno, obacz.

Hebel, obejrzawszy, uśmiechnął się i kładąc rysunek na stole, rzekł: Pan Zabużski pokazał tu, że moja nauka nie poszedł w las. Trudne sobie on zadawał pensum, ale ja zaręczyłem, prześwietne zgromadzenie starszych, że będzie je wykonywał sam i nikogo do tej roboty nie dotknie się. A choć to będzie dużo kosztował taki śliczny mebel, którego ja nieprędko będę sprzedawałem, ale już będę dostarczyć pan Zabużski wszelkiego materjału, żeby to był ein meisterwerk, jaki obaczywszy, każdy będzie oddawał sprawiedliwość i nauczyciela i ucznia.

Po tej przemowie, przy której Hebel aż się zarumienił, tak rad był temu podziwieniu, które niektórzy z majstrów okazali, zaczęto Ignasia egzaminować, jak każdą rzecz wykona i jakim sposobem wyjdzie z wielu trudności, które sobie sam zadał. Młodzieniec ze skromnością, ale z precyzją odpowiedział na wszystkie zarzuty, okazawszy przez to postępy swe w rzemiośle i gdy się ten ustny egzamin skończył, Dryljus dodał:

— Z religji, czytania i pisania, jak chce 48§ Ustawy naszej, niema co takiego ucznia egzaminować. Aprobujemy więc rysunek i niech ci Pan Bóg poszczęści, abyś go tak wykonał, jak pomyślałeś.

Więcej niż dwa miesiące, przy innych zajęciach obowiązkowych, pracował Ignaś nad tem dziełem, które go między celniejszemi czeladnikami miasta postawić miało. W ciągu tej roboty zapraszał nieraz Hebel delegowanych, aby widzieli, że nikt mu nie pomaga. Sam Dryljus nawet parę razy zastawał go przy robocie i uprzejmie zachęcał.

Gdy kanapka była już całkiem skończona i stała w pokoju Hebla obok tego majstersztyku, za który «ręka swoja kochana Rózia otrzymał» i na który zawsze wdzięcznem okiem spoglądał, przywiązany i pyszniący się takim uczniem Niemiec zaprosił cały urząd Starszych, wraz z delegowanymi i komisarzem municypalnym, i tu im dokonaną robotę zaprezentował. Obejrzawszy ją we wszystkich szczegółach, nietylko przyznali, że jest dostateczną, ale

jednogłośnie oświadczyli, że zasługuje na pochwałę i gdyby przyszło do wystawy przemysłowej, a do tej pory sprzedaną nie była, że publicznie z nazwiskiem robotnika okazaną być może.

Wtedy Hebel, ucieszony zdaniem kolegów, zawołać kazał Ignasia; a gdy mu wszyscy winszowali, wziął się do butelek, których kilka przy szeregu kielichów stało na stole. Spełniono więc zdrowie Urzędu Starszych, potem zdrowie wszystkich majstrów i zdrowie wszystkiej dobrej i uczciwej czeladzi, a nareszcie zdrowie Ignasia. Wszyscy wychylili duszkiem ten toast i podawali rękę nowemu adeptowi kunsztu stolarskiego, który im uprzejmie dziękował. Rozochocony Hebel dodawał wina, a komisarz municypalny polskim obyczajem zaproponował oddzielnie zdrowie Dryljusa, Dryljus potem zdrowie komisarza, podstarszego, delegowanych. Gdy Hebel sobie podpił, co mu się rzadko zdarzało, nalawszy jeszcze jedną kolej, rzekł:

— Moi mili panowie! Jeszcze ja będę coś powiedziałem. Oto będziemy jeszcze wypić zu Ehren[1]) ta śliczna kanapka, który nic na tem nie stracił, choć to stoi koło tego majstersztyk, który ja sam wykonywałem, który mnie dawał patentu i ręka moja najmilsza Rózia, i przez który Pan Bóg dawał mi moje miłe dziatki, mój żwawy Wilhelmek i mój kochany Frycunio, który ty, panie Ignacy, pokochałeś i uczyłeś, i za co ja z wdzięczności serca mego — tu Hebel rozpłakał się i nie mogąc skończyć przemowy, postawił kielich, objął szyję Ignasia i całować go zaczął. Gdy się uspokoił, śmiejąc się i ocierając spłakane policzki, dodał: Ten głupi łez nie dawał dokończyć mi moja przemowa. Aber schad' nichts[2]). Ten łzy lepszy, niż słowo i pan Ignacy zrozumiałeś to lepiej, jak ja ciebie kochałem i jak ucieszyłem się, że już swojego terminu skończyłeś.

Po wychyleniu tego ostatniego wiwatu i wzajemnych uściskach wszyscy rozchodzić się zaczęli, a na sesji, która w kilka dni potem nastąpiła, Ignaś mianowany został czeladnikiem. Złożywszy więc 30 złotych polskich do skrzynki rzemieślniczej, zapisany był do księgi Zgromadzenia i otrzymał książeczkę i list wyzwolenia, opatrzony pieczęcią i podpisem urzędu. Samo przez się rozumie się, że nowy czeladnik, który z obowiązku powinien był 14 dni, t. j. fercentag, u swojego majstra przesłużyć darmo lub za dowolną z jego strony opłatą, zrobił z nim zaraz korzystną umowę i na dalszy czas w warsztacie jego zostać zobowiązał się.

---

[1]) Na cześć. [2]) Ale to nic nie szkodzi,

HENRYK RZEWUSKI (1791—1866).[1]) JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI (1812—1887).[2])

Z powieści „Ostap Bondarczuk".

(Jednego ze swych poddanych, Ostapa Bondarczuka, wykształcił hrabia własnym kosztem na lekarza. Wraz z synowcem hrabiego, Alfredem, wraca on z Berlina do wsi rodzinnej, gdzie ich oczekuje hrabia z córką).

II.

Był wieczór; w salonie, którego drzwi otworem stały na ganek, siedział, nie umiejąc pokryć niespokojności swojej, hrabia. Co chwila zrywał się gospodarz domu, przysłuchiwał i znowu siadał, przekonawszy się, że nikt nie przybywa; a im dłużej tak czekał, tem srożej się niecierpliwił.

---

[1]) Wykształcił się w domu rodzinnym, potem w Petersburgu i Krakowie. Pisać zaczął dzięki zachęcie Mickiewicza obrazki szlacheckie na tle dziejów Konfederacji Barskiej, wydane w 1839 pod tytułem *Pamiątki JPana Soplicy*. Powodzenie pamiątek skłoniło do utworzenia *Listopada* (1845), za którym poszły: *Zamek krakowski*, *Adam Śmigielski*, *Rycerz Lizdejko*, *Zaporożec*. Był też autorem *Mieszanin obyczajowych Jarosza Bejły i Pamiętników Bartłomieja Michałowskiego*. — (Powieść Rzewuskiego p. t. *Listopad* ma być w całości czytana w kl. VI. w osobnem wydaniu).

[2]) Kształcił się w uniwersytecie wileńskim. Zaczął pisać jeszcze w Wilnie, potem pisał na wsi w Gródku, Omelnie, następnie w Żytomierzu — a mianowicie w trzech kierunkach. Z przeszłości — epos: *Anafielas;* powieści: *Zygmuntowskie czasy*, *Kościół Sto Michalski*, *Sfinks* (1846). O ludzie: *Historja Sawki*, *Ulana* (1843), *Ostap Bondarczuk* (1847), *Budnik* (1848), *Jaryna*, *Ładowa Pieczara*, *Chata za wsią* (1854). O sferach średniej i wyższej: *Latarnia czarnoksięska*, *Pamiętniki nieznajomego*, *Poeta i świat* (1839), *Komedjanci*, *Interesa familijne*, *Dwa światy* (1855), *Choroby wieku*, *Metamorfozy*, *Jasełka*, *Boża czeladka*, *Powieść bez tytułu* (1854). Pod pseudonimem Bolesławity ogłosił: *Dziecię starego miasta*, *Żyd* (1869), *Para czerwona*, *My i oni*, *Rachunki*, *Szpieg*. Po r. 1863 osiadł w Dreźnie i stąd zasypywał wszystkie dzielnice polski setkami powieści. Powieść historyczna obejmowała: 1) Czasy saskie: *Hrabina Cosel*, *Brühl* (1874), *Z siedmioletniej wojny* (1875), *Starosta warszawski*, *Grzechy hetmańskie*, *Skrypt Fleminga*, *Na bialskim zamku* i t. d. 2) Czasy Stanisławowskie: *Macocha*, *Warszawa w 1794*, *Król i Bondarywna*, *Barani kożuszek*, *Ostatnie chwile Ks. Panie Kochanku*, *Boża opieka* i t. d. 3) Cykl od początku dziejów: *Stara Baśń* (1876), *Lubonie*, *Bracia Zmartwychwstańcy*, *Masław*, *Boleszczyce*, *Synowie królewscy*, *Petrko Wlast*, *Stach z Konar* i t. d. W 1879 w październiku obchodził jubileusz w Krakowie.

Misia czytała niby, a przynajmniej trzymała książkę w ręku. Nie myślano nawet o rozmowie, bo żywiołu do niej brakło. Niekiedy tylko wykrzyknik, wyrywający się hrabiemu, przerywał ciszę długą.

Zmierzchało coraz, a hrabia wstawał i przechadzał się.

Zadzwonił wreszcie, wszedł kamerdyner.

— Herbata! — zawołał.

— Nie będziemy czekać? — odezwała się Misia.

— Albożeśmy niedość jeszcze czekali? — odparł hrabia nieukontentowany. Pan Alfred widać żartował sobie ze mnie, oznajmując swoje przybycie.

To mówiąc, usiadł i spuścił głowę na fejleton gazety. Turkot dał się słyszeć w dziedzińcu. Hrabia porwał się.

— Jadą! — rzekł mimowolnie; a Misia z podziwieniem dosłyszała to wyrażenie, dowodzące, że ojciec i Eustachego rachował, bo nie powiedział, jedzie, ale jadą.

Wkrótce jednak, jakby się opamiętał, hrabia dodał powtarzając: przecież jedzie.

— Jadą — zawołała Misia, rzucając książkę — masz papa słuszność, jadą.

— Jedzie — rzekł ojciec z przyciskiem. — Spodziewam się, sam Alfred.

— Z towarzyszem!

— Zawsze swoje, sługa nie jest towarzyszem! Cóż znowu!

Misia ruszała ramionami.

Kiedy się to dzieje w salonie, a wrący niepokojem hrabia hamuje się, by nie wyjść naprzeciw, druga scena odbywa się w ganku. Z powozu wysiedli Alfred i Eustachy; ale w chwili, kiedy do sieni wchodzić mieli, Eustachy zadrżał, pobladł i wstrzymując towarzysza, rzekł do niego po niemiecku, aby ich ludzie zrozumieć nie mogli:

— Hrabio, znam nadto twojego stryja, a szanuję go, jako dobroczyńcę mego, żebym się ośmielił bez jego pozwolenia wnijść z tobą. Zostanę tutaj.

To mówiąc, odwrócił się, otarł pot, z czoła bladego kroplami występujący i siadł na ławie ganku.

— Zwarjowałeś! — zawołał Alfred. — Co ci się dzieje?

— Nie mogę wnijść.

— Byłeś ze mną w salonach niejednego poselstwa w Berlinie, a obawiasz się?

— Bo tam, hrabio, każdy, coby mi mógł uchybić, był dla mnie obcym — rozumiesz? Tu — mam obowiązki a jestem dumny —

dorzucił ciszej. Wystaw sobie obelgę, gdybym ją, wymierzoną ku mnie, zimno znieść musiał! Nie pójdę — na Boga — idź sam, zostaw mnie i spytaj tylko, czy mi wolno.

Wzruszenie głos mu zatamowało.

— Pozostaniemy więc zapewne oba w ganku, bo ja bez ciebie nie pójdę. Co za szaleństwo! Co za myśl! Każdyż nie ma prawa wnijść? A ty wchodzisz z podzięką.

— Tak, ale wchodzę z tobą, za tobą — wchodzę, jako — jako... Ja nie wiem, ja nie mogę. Nie pójdę.

— Opamiętaj się — szepnął Alfred, — wystawiasz mnie i siebie na śmiech sług, co tu stoją, zmiłuj się.

— Idź, rzekł Eustachy, idź naprzód. Wnijdę potem. To mówiąc, zerwał się z ławki i uskoczył w dziedziniec.

Alfred postał chwilkę, ale prędko przyszedłszy do siebie, naciągając rękawiczki i poprawując włosów dorzucił:

— Przyłóż chustkę do nosa, powiem, żeś zachorował.

— Mów, co chcesz.

Gdy się to dzieje, a Alfred jeszcze się waha, co począć, hrabia niecierpliwie chodzi po salonie; radby wyjrzeć, a nie chce się kompromitować pośpiechem nawet przeciw synowcowi, tupa, zżyma się i siada znów do gazety.

Wtem drzwi się otwarły, Alfred wszedł; z otwartemi rękami poskoczył ku niemu stryj, udając więcej jeszcze czułości, niżeli jej było w istocie w sercu.

— Kochany Alfred!

— Stryj kochany!

Rzucił okiem na drzwi — nikogo więcej.

— Co to jest? — pomyślał. — Nikogo? — Gdzież tamten?

Tamten leżał mu kamieniem na sercu, a spytać o niego, przynajmniej w pierwszej chwili, nie wypadało.

— Cóż się stało z tym chłopcem, z tym, jakże mu imię — nie przypominam sobie, poddanym moim, który się podobno sposobił na felczera?

— Na felczera? — zdziwiony spytał Alfred. — Nie, na doktora.

— To prawie wszystko jedno, ale cóżeś z nim zrobił?

— Jest tutaj.

Wszyscy się mimowolnie obejrzeli ciekawie.

— Czemuż nie wszedł z tobą? — spytała Misia.

Alfred miał odpowiedzieć, ale hrabia mu przerwał:

— Czemu nie wszedł? Cóżby tu robił? Jest to dowód wielkiego sensu z jego strony, to mi się podoba. Poszedł na folwark.

— Za pozwoleniem, kochany stryju, — z kolei zapłomieniony odezwał się synowiec — my się chyba zupełnie nie rozumiemy. Przywiozłem z sobą — rzekł dobitnie — mojego przyjaciela, doktora Eustachego; nie wszedł ze mną, bo gwałtowne może wzruszenie, czy inny jaki powód, nie dozwoliło mu.

— Chory? — spytała troskliwie Misia, idąc ku drzwiom.

Tu scena się rozdwoiła, hrabia czuł potrzebę odpowiedzieć razem Alfredowi i zgromić wychodzącą córkę; wściekał się prawie; pochwyciwszy więc Misię za rękę, zawołał żywo:

— Śni ci się, Alfredzie, przyjaciela!

— Tak jest, przyjaciela, kochany stryju.

— Człowieka.

— Bardzo uczciwego i przyzwoitego człowieka, który był ze mną w najpierwszych salonach.

— Ten człowiek — szepnął do Misi — ma tyle delikatności, że sam wejść nie śmiał, chociażem go o to prosił, ale przeze mnie pyta stryja, czy mu się prezentować i dziękować pozwoli?

— Słyszysz, papo! — zawołała Misia, powtarzając słowa Alfreda z oburzeniem prawie. — Prawdziwie — ja nie poznaję papy — z twojem sercem.

— Proś więc go sama, kiedy chcesz — rzekł hrabia — niech wnijdzie, ukłoni się i idzie sobie do licha.

— Jeśli tak, niech lepiej nie wchodzi, zawołał Alfred, — nie przywykł do podobnego obejścia.

— Przywyknie! — przerwał hrabia. — Chcesz-że mi go narzucić za towarzysza?

— Skarżyćby się na to nie można — jest to człowiek tak dalece wyższy, tak ukształcony.

— Dajże mi pokój z pochwałami.

Misia i Alfred radzili się wejrzeniem, co począć.

— Idę go prosić — odezwała się Michalina.

— Jak chcesz — z gniewem mruknął ojciec i postąpił ku gankowi, jakby uciekał.

Drzwi się otwarły, chwilka upłynęła. Misia, wiodąc za sobą bladego, jak ściana, Eustachego, weszła do salonu. W sieni już poczęła wesołą i ośmielającą go rozmowę. Na widok hrabiego, który brwi namarszczył i nasrożył się umyślnie, przybyły nie wiedział co począć. Alfred mu dopomógł i sam za niego w kilku słowach podziękował hrabiemu, który stał także niemy, chciwie pożerając oczyma człowieka, którego przybycie stawało mu się ciężarem. Wszystkich oczy były zwrócone na Bondarczuka, wszyscy się dzi-

wili szlachetnej postawie, pięknej twarzy i temu wyrazowi siły i męstwa, które go odznaczały; niezmierna tylko bladość pokrywała rysy jego w tej chwili.

Hrabia wyszedł na ganek; z ganku mógł słyszeć rozmowę a świadkiem jej być nie chciał. Uwolnieni od ciężącej przytomności jego, Misia i Alfred, poczęli żywo pytania i odpowiedzi rzucać i chwytać, usiłując wmieszać do nich Bondarczuka, aby mu dodać tak pozbytej na progu odwagi. Rozmowa toczyła się po francusku, Eustachy tymże językiem, czysto i pięknie mówić zaczął.

Za drzwiami ganku wielkie było zdumienie hrabiego i gdyby po chińsku, po grecku, językiem najdziwniejszym przemówił, nie byłby go tak zadziwił.

Chłop, mówiący po francusku! Było to coś niesłychanego, anormalnego!

— Mówi po francusku! — zawołał w sobie hrabia — mówi i dobrze! To nadto!

[Graf daje Ostapowi wolność. Ostap usuwa się ze wsi rodzinnej i wraca dopiero na wieść o cholerze].

III.

Chłodny wiatr jesienny z deszczem kroplistym szaleje po obnażonych, żółtych i czarniejących polach; chwyta dymy, z wiejskich polatujące kominów i rozbija w powietrzu. Ostatki liścia sypią się z drzew, ponachylanych do ziemi; chmury szare, poszarpane, postrzępione, suną się od północy na południe. Na dworze ciemnieje. Pustką stoi droga, przechodząca wieś hrabiego, żywej na niej niema duszy, kilka psów wyje na progach domostw, z których komina nie podnosi się dym, okna wybite i wrota obalone.

W końcu wsi dwaj ludzie zajęci robotą, mimo spóźnionej pory.

Na rozmokłej od deszczu ziemi leży z cienkiego dębczaka wyrobiony krzyż niski, zaledwie z gruba wyciosany. Obok wykopana jama i odrzucona ziemia.

— Chmurzy się i ciemni — szepnął Fedko wzdychając — nie damy dzisiaj rady, odłóżmy do jutra.

— Oj nie, bracie, kiedy robić, to dziś; kiedy to Panu Bogu miło, stawmyż co prędzej — niechaj nas poratuje!

Fedko spojrzał w niebo i westchnął.

— Czasbo, żeby nas Bóg poratował!

— A dobrodziej mówi, że we wszystkich wsiach, gdzie krzyże postawili, pomogło!

— No, znieśmy!

I pochwycili przygotowane drzewo, zapuszczając je powoli w jamę.

— Niechże będzie Bogu na chwałę, a nam na ratunek! — To mówiąc, poczęli obsypywać krzyż i ubijać ziemię.

— Wiele dusz dziś umarło? — spytał Janko.

— Nie wiem, wczoraj dziesięciu wynieśli na mogiłki — dziś powiadają więcej!

— Codzień więcej!

— I we dworze już poczęli mrzeć.

— Nasz pan miał wyjeżdżać do miasta. Jakby w mieście skryć się było można przed mocą bożą.

— Wyjechał-że?

— Podobno nie jeszcze. Ale ludziom zakazano chodzić na wieś, a nawet do oficyn, gdzie żona komisarza umarła.

Skończywszy obsypywać krzyż i pomodliwszy się, poszli powoli wsią ku chacie. Fedko zadumany, Janko we łzach.

Kilka głosów dało się słyszeć w ulicy — spojrzeli wąskiem okienkiem. Para wołów ciągnęła wóz — na nim kołysały się trzy razem postawione, z lichych desek zbite trumny; stary dziad poganiał, dziecię nagie do połowy, bose, płaczące, czepiało się kół i boleśnie łkało.

— To już reszta z tamtej chaty! — zawołał Fedko.

— Troje!

— Troje! Tylko Roman jeszcze żyw i woły pogania, a wnuczę bieży za nim.

Gdy to mówił Fedko, zastanowił się wóz nagle i krzyk dał się słyszeć przerażający. Zaraz po nim płacz bolesny dziecka.

— A to co? — spytał Janko, który od ognia nie odstępował.

— Co? stary Roman w ulicy padł i leży — dziecko nad nim, a woły z trumnami stanęły. Porzucim-że tak starego Romana?

— A cóż zrobim z nim?

— Jest u nas miejsca aż nadto — rzekł Fedko — znieśmy go tu, ja odwiozę umarłych i pochowam.

Wyszli na ulicę. Przed samemi wrotami chaty stary siwobrody Roman leżał rozciągnięty na ziemi, siny i ledwie żyw; na jego piersi ostygłej wnucze ostatnie, objąwszy szyję rękami, wołając dziadzia i płacząc, leżało. Dwa czarne woły z puszczonemi głowy rozparte stały nad nim. Kudłaty pies schudzony wył pod wozem.

Sami osłabieni chorobą, pracą i niedostatkiem, Fedko z Iwanem ledwie udźwignąć potrafili starca i spoczywając, wnieśli go przecie do świetlicy, położyli na pustem łóżku, okryli.

Wicher wył na podwórzu i deszcz, przebijający zgniły dach, ściekał po ścianach chaty. Obraz to był straszliwy.

Ledwie sam trzymając się na nogach, Janko napoił naprzód siostrę, potem starego, pookrywał, dał dziecku ostatek chleba, bo więcej go upiec komu nie było, rozniecił większy ogień i skuliwszy się w kącie, chorobliwie drzemać począł. Siły go powoli opuszczały, uchodziły, sen napadał i dreszcz.

Dzwon cerkiewny dawał się powoli słyszeć wśród wiatru, chwilami dźwięczał, to znów ustawał, głosy przerywane przestrachu, boleści, dochodziły uszów; wicher się wzmagał. Janko kilka razy otworzył oczy i zamknął je znowu, czuł, że nowe jakieś grozi niebezpieczeństwo; ale powstać, ratować się nie było siły. Opadał na przyzbę, tulił się, drżał, kurczył.

Na dworze ciemniało coraz, chmury naciągały czarne, wiatr się rwał do strzech, które obnażał, do drzew, łamiących się, powyginanych, rozdartych. W drugim końcu wsi świeciła łuna pożaru — i rozszerzała coraz bardziej. Z dachu na dach przelatywało płomię wzmagające się, wiatr poddymał — nikogo przy ogniu.

Ze dworu nikt wybiec nie śmiał na wieś, na wsi nie było komu ratować; puste już chaty po cholerze żarł rozniecony pożar. Kilka tylko cieniów czarnych ruszało się koło ognia: byli to chorzy, co się grzać biegli, przejęci dreszczami, poprzedzającemi zwykłe rozwinienie słabości. Dzwon, poruszony bezsilną ręką, słabo się odzywał.

Wtem zadzwoniło na trakcie; bryczka, zaprzężona trzema końmi, wstrzymała się naprzeciw pożaru. Silny głos podróżnego zabrzmiał nad uszami nieprzytomnych ludzi, co się przy płonących węglach rozgrzewali. Słusznego wzrostu, silnej budowy mężczyzna począł drapać się na dach najbliższy, jeszcze nie spalony i snopki, pokrywające go, odrzucać. Za jego przykładem poszedł woźnica i kilku ludzi nadbiegłych. Dym czarny i gęsty ustawał, deszcz ulewny pomógł do ugaszenia ognia, który się ograniczył tem, co już zniszczone było.

Rzucając na dachu ludzi, przybyły Ostap pędem pobiegł ku chacie, gdzie Janko i Roman stękali nieprzytomni i pomocy bożej, nie rachując już na ludzką, wzywali.

Wbiegł, spojrzał, załamał ręce — a dostrzegłszy przy ogniu dogasającym uśpionego Janka, wstrząsnął nim.

— Babka? — spytał Ostap.

— Umarła.

— Żona twoja?

— Umarła.

— Dziecię twoje?

— Umarło.

— Co się dzieje we dworze?

— Wracając ze cmentarza, spotkałem ludzi dworskich, jadących po doktora. Pan zachorował.

— W sam czas przybyłem — zawołał Ostap — niema chwili do stracenia.

I ruszył ku drzwiom śpiesznie.

— Dokąd bracie?

— Do dworu.

— A ty tam poco?

— Ratować go.

— Kogo? — spytał gorzko Fedko — pana?? Pana, co nas ciemiężył, co nam dał wymrzeć wpół z głodu, wpół z choroby? Jego?

— Jego — rzekł Ostap. — Bóg każe dobrem za złe płacić — czyńmy, jak każe. Nie do nas należy go sądzić.

Wielkiemi zdumionemi oczyma spojrzał Fedko na brata, wzruszył ramionami i siadł na ławie.

Ostap wyszedł i szybkim krokiem pobiegł do pałacu. Dziedziniec był dziwnie pusty, nikogo w przedpokoju. Stary kamerdyner siedział w sali na krześle i płakał.

— Hrabia słaby? — spytał wpadając Ostap.

— Od kilku godzin.

— Nikogo przy nim?

— Dotąd nikogo prócz nas. Posłaliśmy uwiadomić pana Alfreda.

— Prowadź mnie do niego, — wiesz, żem doktór, niema chwili do stracenia.

Posłuszny stary zwlókł się z krzesła i otwierając drzwi przybyłemu, przeprowadził go przez szereg pustych pokoi — do sypialni pańskiej. Na łożu mahoniowem stękał, chorobą złamany, stary, zsiniały już, zziębły, bezprzytomny. Na widok Eustachego zmieniła się twarz, zadrżała ręka, którą usunął, usta poruszyły, jakby coś chciał mówić. Szybko przygotowano gorącą wannę — a mimo wstrętu i oporu, Eustachy potrafił mu dać lekarstwo.

— O gdyby wiedział — rzekł w sobie Eustachy — że te same krople dawałem bratu i siostrze, wolałby może śmierć nad nie!

I bolesny uśmiech przeleciał mu po ustach. Godzina nie upłynęła, a już z pociechą i dumą widoczny był skutek starań lekarza. Hrabia spał głęboko i potniał.

Ostap w oddaleniu czuwał; naprożno stary sługa ze łzami w oczach, wzruszony, wdzięcznością przejęty, chciał go namówić do spoczynku, pozostał zdaleka, śledząc postęp lekarstwa i przemagającą się siłę.

TENŻE.

LISTY LITERACKIE (r. 1846).

O celu powieści. [1])

Od niejakiego czasu każda wychodząca na świat powieść witana bywa od krytyków pytaniem o cel. To pytanie powtórzone kilkakrotnie, dało nam do myślenia; nie żebyśmy uznawali jego słuszność, lecz że zdaje się nam, iż sama krytyka z celu powieści, jaki być może i powinien, niedokładnie sprawę sobie zdaje.

Minęły te czasy, kiedy powieści były prostą zabawką dla pisarzy i zabawką tylko czytelników. Dzisiejszy wzrost w potęgę romansu i powieści, wycieczki jego za granice, dawniej ściśle obwarowane, uczyniły wymagania celu poważnego słusznemi i usprawiedliwiają poniekąd natarczywe domagania się krytyków.

Lecz są tacy, a do ich liczby najznakomitszych włączyć potrzeba, co chcieliby powieść, utwór przedewszystkiem artystyczny z natury swej i artystyczny cel mający przed wszystkiemi, uczynić sługą myśli socjalnych, politycznych przekonań, wyrobnicą filozofji popularnej i t. p. Tu już zgodzić się na ich żądania nie możemy, i odtrącić musimy rodzaj niewoli, w który nas zaprząc usiłują. Zastanówmy się więc obszerniej nieco nad powieścią, abyśmy okazali, jaki cel przystał jej i o ile artysta obcy sztuce cel przyjąć może, nie narażając się na urodzenie potwora.

Nie pamiętam, który pisarz francuski powiedział, że czytając niejedną powieść, usiłującą mu coś dowieść, pytać musiał, dokończywszy zawsze: albo «Co to dowodzi?» albo «Kto tego dowodzi».

W istocie powieść, ściśle biorąc, nic dowieść nie może nad to, że autor tak lub inaczej myślał. Jest ona i będzie zawsze wy-

[1]) List I. pomieszczony naprzód w *Ateneum* z r. 1847, a następnie w zbiorze p. t. *Studja literackie*.

razem indywidualnego przekonania, które odziane w szaty opowiadania, o sankcję zawartej w sobie prawdy uciekać się musi do ogółu. Nie mówię, żeby pewien rodzaj logiki w osnuciu wypadków powieści nie miał egzystować i nie mógł czynić wrażenia na czytelniku, lecz ostatecznie, któż sobie nie powie: Dlaczego tak koniecznie być miało? Los tak wielką grą rolę w powieści, która zaprząta się w osnowie swej nietylko myślą celową, ale artystycznemi względy, że wypadki, które mają być poparciem zdania, często wyglądają, jak proste skutki trafu.

Cel więc powieści nie może leżeć w tej treści, która dowolnie ułożona, nic nie dowodzi, przy najlepszych chęciach stawi tylko słabą powagę imaginacji, na której, wiadomo, jak mało opierać się można. Gdzież cel będzie? Oto w wyrobieniu, w szczegółach, w obrazach. Zdania dogmatyczne, rzucane choćby z pewnym ciągiem w powieści, nie robią także wielkiego skutku na czytelnikach. Jakkolwiek powtarzać się mogą w coraz nowej formie i rozwijać mniej więcej logicznie, pisarz nie może argumentacji i djalektyce poświęcić kart, których cel naturalny pierwszy leży w przemawianiu do serca i wyobraźni.

Więcej niż zdania powinny tu działać obrazy.

Rozumowane prawdy wcielić się muszą, oblec szaty cielesne i z całą artystyczną ozdobą odblaskiem wystąpić przed czytelnikiem.

Celem więc powieści nie argumentacja, ale przemawianie do uczucia, które ma zrodzić myśl w czytelniku i rozbudzić wzruszenie w nim, które każe myśleć i zastanawiać się.

To najpierwsza prawda i pewnik, któremu nikt, zdaje się, zaprzeczyć nie może.

Jakkolwiek obszerne są dziś ramy romansu i powieści, jakkolwiek daleko sięgają dziś pisarze tych utworów, nie mogą się przecie wyrzec tego, co stanowi treść i naturę tego rodzaju płodów: nie mogą najprzód nie starać się o formę artystyczną, o zadość uczynienie warunkom sztuki.

Zadanie więc celu w powieści sprowadza się do zagadnienia prostego: czy cel artystyczny powieści zgodzi się i iść może w parze z celem utylitarnym? Tu fakty starczą za odpowiedź, i w literaturze romansu mnóstwo jest utworów dawnych i nowych, które warunkom obu odpowiadają. Owszem, powieść bez celu wydaje się jako igraszka, jako coś nieożywionego, martwego, po którego przeczytaniu czczość w sobie czujemy. Prostego wypadku opowiadanie, obraz najlepszy, najdobitniejszy, tak dalece nam nie wystarcza, że zamykając książkę, pytamy niechybnie z Francuzem

owym: «Co to dowodzi?» Ale równie często przychodzi nam też spytać: «Czy to dowiedzione?»

Przemawiając do uczucia, jakeśmy wyżej powiedzieli, powieść najprzód z uczuciem napisaną być powinna.

Cel więc najsurowszy przejść powinien w pisarzu do stanu uczucia i w czyn (powieść) dopiero się wcielić.

Powieść, której na chłodno cel obmyślany, która chłodno wyrozumowaną została i dla pewnych powodów rachunkowo, że tak powiem, opatrzoną, prawie zawsze na nic się nie zdała.

Cel nie w myśli narzuconej z góry, nie o nadanem przez kogoś zdaniu, ale w sercu pisarza być powinien. Kto sądzi, że cel nadać sobie można, przyjąć od kogoś i z nim zlepić jakieś tam wypadki, podwatować powieść — grubo się myli. Cel winien jako krew płynąć w całej powieści i ożywiać ją niewidoczny; powinien najdrobniejsze naczynia jej wypełniać, drgać w każdym jej ruchu, a nigdzie, chyba w rumieńcu uczucia, nie wychodzić na jaw. Gdzie ta krew rozlewa się i płynie, jak z rany rozciętego ciała, pisarz wstręt wzbudza i odpycha...

Usiąść do pisania powieści, zapowiadając sobie: naznaczę cel taki lub taki, niedosyć. Tym celem wprzód żyć potrzeba, przejąć się, uczuć go, zanim on w czyn przejdzie. Z rozumowania i rozumu wprost wynikający utwór będzie chłodny i kaleka. Wyobraźnia bujna będzie niepohamowana, wbrew celowi częstokroć wymykać się z pod kontroli rozmysłu i psuć, co obmyślano najstaranniej.

Kawałki poklejone powieści wyglądać będą, jak klejonka rozbita i zlepiona.

Krytyka więc nie powinna się odzywać do pisarzy: miejcie cel w powieściach swoich, nadajcie go sobie, — ale raczej: myślcie, doskonalcie się, wyróbcie w sobie uczucie, wiekowi i czasom właściwe, bądźcie sami wprzód tem, czem chcecie, żeby była powieść wasza, żyjcie tem, czem drugich karmić myślicie.

Narzucać rozumowaniem cel jest to, gdzieby wartość artystyczna przynajmniej być mogła, kompromitować ją nawet. Jak dalece utylitarny cel, który nie przeszedł w uczucie w pisarzu, szkodliwym być może części artystycznej powieści, dowodzić obszerniej nie myślimy. Co chwila wstrzymywany, to naglony celem tym, obok niego, nie w nim stojącym, artysta już nie na sztuki warunki, ale na obce im wcale warunki użyteczności zważać będzie. Stąd, co obrazem posilnym być miało, stanie się szkicem tylko; co szkicem być miało, rozleje się na blady obraz; stąd czynność

(akcja) rozprzęże się częstemi argumentacjami i dogmatycznemi ustępy, będącemi najdobitniejszym dowodem bezsilności pisarza. Bo rozumowanie w powieści celowej jest — jak owe papieru wstęgi, z ust starych malowanych postaci wychodzące, z napisami: św. Piotr, św. Katarzyna; rozumowanie, nie dowierzające obrazowi, podpisuje pod nim jego znaczenie.

Nikt nie powie, żeby długie rozdziały rozumowań i gadaniny artystycznej wartości powieści dodawać miały. Tam, gdzie celem niejako... okazać zdaje się, dokąd myśl zalecieć może, jak lot jej niepohamowany i niewyrozumowany, tam, gdzie fantazja w pełni swobody szerokiemi wznosi się do góry skrzydły, któż zarzuci cały rozdział poetycznych dywagacyj? Ale gdzie ...cel całkiem inny, czemuż nie wszystek się wcielił, czemuż suche i połamane reszty myśli, co szat cielesnych nie widziały, walają się obok poetycznych obrazów? Jak w poezji liczby, tak w powieści uderzają długie rozumowane ustępy. A one są właśnie skutkiem tego, że autor celem swym nie przejęty, nie żyjąc nim, usnuł go tylko w głowie i przylepił do książki...

Powiedzą mi zapewne, że przeszły czasy, gdy powieść była dziewczynką, piękną tylko i zalotną, a wesołą, że czas uczynić ją matką, karmiącą przyszłe pokolenie.

Zgoda, lecz nie czyńcie z niej, proszę, ani kucharki, coby wasze pomyje wylewała na ulicę, ani starej baby, wodzącej dzieci na pasku; możecie ją uczynić tem, lecz kucharka i baba przestanie być wyrazem tego, czego objawem jest kobieta na ziemi. Będzie to machina do czegoś, nic więcej — odbierzecie jej życie...

WINCENTY POL (1807—1872).[1])

Z poematu p. t. „Pieśń o ziemi naszej".

...Tam, na północ, hen daleko,
Szumią puszcze ponad rzeką;
Tam świat inny, lud odmienny,
Kraj zapadły, równy, senny,
Często mszysty i piaszczysty.
Puszcze czarne, zboża marne,

[1]) Nauki w szkołach tarnopolskich i lwowskich. Po chwilowej pracy nauczycielskiej w uniwersytecie wileńskim brał udział w powstaniu listopadowem i wtedy, a także już na emigracji w Dreznie pisał patrjotyczne gawędy i pieśni, które wyszły w 1835 p. t. *Pieśni Janusza.* Wróciwszy do Galicji, napisał w 1835 *Pieśń o ziemi naszej*, *Obrazy z życia i podróży*, a w 1839 *Przygody J. P. Benedykta Winnickiego*, wydane później, oraz *Historję szewca Jana*

Nieba bledsze, trawy rzedsze,
Rojsty [1])grząskie, groble wąskie,
Ryby, grzyby i wędliny,
Lny dorodne, huk zwierzyny
I kęs chleba w czoła pocie —
A na pański stół łakocie:
Lipce stare, łosie chrapy
I niedźwiedzie łapy.
Puszcz i żubrów to kraina,
A dziedzictwo Gedymina [2]).
Ćmią się puszcze, mgła się zbiera,
Po pasiekach kraj przeziera,
Wół za rogi orze zgliszcze,
Wostrym żwirze sochaświszcze
A za drogą gdzieś, w postronne
Ciągną wózki jednokonne.
Koń obłączny w wózkach mały,
Lud w chodakach, z łyka szytych,
Dranicami płasko krytych.
Gdy na lud ten człek spoziera,
To aż serce żal opłynie
I zapytać chęć go zbiera:
Co ci to, Litwinie?
Ale Litwin nie wygada,
Bo w tej duszy hart niełada!
Lud to cichy, rzewny, skryty,
Jak to mówią: kuty, bity.
Kiedy szczery, jak wosk, topnie;
Ale gdy go kto zahaczy,
To i w grobie nie przebaczy —
I na końcu swego dopnie!
Choć kraj jego niebogaty,
Radzi sobie, bo oszczędny,
Nie marnuje grosz na szaty,
Bo rozsądny i oględny.
Nie zwykł on się kochać w krasie,
Ale myśli o zapasie,
I dobytek w dom prowadzi
I o jutrze wiecznie radzi.
Tu też znajdziesz w każdej porze
Wbród wszystkiego, jak w komorze:
Czy w krajance, czy w gomółce,
Jest w serniku ser na półce,
Wiszą kumpie [3]) i wędliny
I półgęski i świniny;
Obok w długich żerdziach ryby,
Z siatki pachną leśne grzyby,
A kwas czysty miasto wody;
W lochu stoją białe miody,
Wódki, starki i nalewki,
I rok cały lód przeleży...
A już w świrnie [4]) wiszą wianki,
I rozliczne przyodziewki:
Płótna cienkie, jasne tkanki
I przybory do odzieży;

Kilińskiego. W roku 1846 w sanockiem stał się ofiarą napadu bandy chłopskiej. Pisał potem poezje: *Słowo a Sława, Senatorska zgoda, Sejmik w Sądowej Wiszni, Czarna krówka, Wil Stwosz, Mohort* (1852), *Pachole Hetmańskie, Z podróży po burzy, Pieśń o domu naszym, Rok myśliwca, Pan starosta Kisłacki, Stryjanka.* Ogłaszał nadto rezultat swoich geograficznych badań, które czynił, jako profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego: *Północny Wschód Europy, Rzut oka na północne stoki Karpat.*

[1]) Rojsty — (rojsły) — miejsca bagniste, porosłe trawą. — [2]) Giedymin, w. ks. litewski (1315—1341), rozszerzył granice państwa litewskiego i założył w r. 1320 stolicę w Wilnie. — [3]) Kumpie — uda wieprzowe, szynka. — [4]) Świren — szpichlerz.

W kubli[1]) stoi ów miód święty,
A dokoła włok[2]) rozpięty.
Nucąc pieśni o Birucie[3]),
O Perkunie[4]) i Kiejstucie[5]).
Przy łuczywie u komina
Przędzie miękki len drużyna;
A wpobliżu dziatwy zdrowej
Toczy kołem wąż domowy;
Krosna stoją w małem oknie
I czółenko pływa w włóknie;
Pieśni płyną, jak uroda,
A wiek schodzi, niby woda...
Jak lud żyje po bożemu,
Tak i szlachta z sobą wzajem
Dawnym żyje obyczajem
Na zaściankach, po staremu;
Czas jej duszy nie wykrzywił,
Nikt cię państwem nie oparzy,
A gdy w Litwie pan się zdarzy,
To pan sobie, jak Radziwiłł.
. . . . . .
Gdy wołyńskie łany rzucisz
I na wschód swe konie zwrócisz,
Bez oporu oko zginie
W pogranicznej Ukrainie.
Tam to konie, tam to charty,
Step rozległy, świat otwarty!
Wóz twój wbiegnie na roz-
[droża,
Wiatr zakręci się od morza,
I krew raźniej ruszy w żyłach,
I koń czujniej strzygnie uchem;
Drogę swoją po mogiłach
Liczyć będziesz stepem głu-
[chym.
Tam świat bystry, trzeźwy,
[czujny,
Jak na czatach błysk oszczepu;
Jak młodości umysł bujny,
Tak szeroki oddech stepu.
W jarach kraj ku rzekom
[spada,
Ziemia głuchym jękiem gada,
Dumka mówi o przeszłości,
A wiatr bieli stare kości...
Hej, ku morzu, ku Czar-
[nemu,
Ku limanu[6]) szerokiemu,
Na południe Dniepr tam pły-
[nie!
A cześć Ławrze[7]), sława Bogu!
Hulaj koniu, po rozłogu,
Nam żyć tylko w Ukrainie.
Szumi woda porohami,
Od porohów sokół leci,
Wicher wieje mogiłami,
Wilk oczyma nocą świeci,
Burzanami koza dzika,
Oczeretem[8]) lis pomyka;
Pędzi tabun, gdy wilk wpadnie,
We mgłach dyszą ciche jary,
I mkną czary przez czahary[9])

---

[1]) Kubel — wiadro, naczynie na wodę, na miód lub wino. — [2]) Włok — sieć do łowienia ryb. — [3]) Biruta, córka Widymunda, pana na Żmudzi, jako wajdelotka poświęciła się strzeżeniu świętego ognia. Porwał ją i pojął za żonę Kiejstut. Słynęła cudami. Lud czcił ją i śpiewał o niej pieśni. — [4]) Perkun — bóg światła, czczony w pogańskiej Litwie. — [5]) Kiejstut — książę trocki, syn Gedymina, a brat Olgierda. — [6]) Liman — szerokie ujście rzeki, tworzące jakby odnogę morską. — [7]) Ławra Peczerska — klasztor w Kijowie, gdzie w pieczarach przechowują kości zmarłych świętych. — [8]) Oczeretami nazywają na Rusi miejsca, porosłe gęstą trzciną. — [9]) Czahar — obszar mokrych łąk, zarosłych olszyną.

I krynica bije na dnie...
A tu czesze stepem, borem
Z listem kozak, gdzie pan każe,
I czumackie[1]) ciągną maże[2])
Od limanów w świat tabo-
[rem;
Po rozdrożach czort je wodzi
I tumany nocne płodzi...
Ponad Dnieprem, między
[jary
Zasiadł dumnie Kijów stary;
Tam złocone monastery[3])
A w nich czerńce[4]) staro-
[wiery;
A gościńcem od Kijowa
Płyną maże z miodem, zbo-
[żem,
A po Dnieprze, niby morzem,
Z puszcz poleskich spławy
[drzewa.

Rzeki ciągną się jarami,
A nad niemi długie sioła;
Na lewadach[5]) za sadami
Bujny lud, jak w ulu pszczoła.
Niby sosna, niby wiosna,
Ukraińska krasawica,
A mołojec każdy wojec,
Raźny, harny, a od lica!
W sercu śmiałem, w żyłach
[zdrowych
Bije dotąd krew koszowych[6]);
A, jak krew ich w żyłach bije,
Tak ich pamięć w pieśni żyje;
Tam stepami Dniepru szumy,
Płyną siołem stare dumy...
A po dworach pusta służba
I koń czerkies, kozak drużba,
I poszyto i obuto,
Niewymyślnie, ale suto!
. . . . . .

Obrazy z życia i natury, serja I.

(Dzieła prozą t. II. Lwów 1876).

Z obrazu p. t. „Na lodach“.

...Płytkie i piaszczyste są wybrzeża morza Bałtyckiego. Mierzeja, która Fryzką i Kurońską zatokę oddziela do morza, jest pasmem nagich, piaszczystych pagórków i nieustalonych zasp, które płytkiemi ławami i odmiatami spadają od morza. Wyjątkowo tylko przybiera to pasmo więcej malownicze linje, wyjątkowo tylko porasta sosnowemi lasami lub dębiną, jak naprzykład w okolicy kąpieli morskich Warnicken. Te zaspy ruchomego piasku są często przetkane wielkiemi bryłami skandynawskiego granitu; są to luźne, błędne odłamy, które tu i ówdzie z wód sterczą, kiedy wiatr wieje z północy. Pomiędzy temi zaspami ruchomemi piasku,

---

[1]) Czumak (tat. Czukmak) — nazwa mieszkańców ukraińskich, trudniących się handlem i z tego powodu wiodących życie na poły koczownicze. — [2]) Maża — ruska nazwa rodzaju wozu. — [3]) Monastery — klasztory. — [4]) Czerńce — zakonnicy. — [5]) Lewady — puste miejsca, okolone wierzbami lub topolami. — [6]) Koszowych — kozaków zaporoskich.

będącemi odpłuczyskiem morskiem wielkich historycznych burz, leżą małe jeziorka lub podłużne bagna, które w drobne strugi przechodzą, tworząc na swem ujściu znowu płytkie przymorskie jeziora.

Brak roślinności uderza tu widocznie: bagna porastają tylko kępami chudego skrzypu, jeziora tylko po brzegach lepiechem (tatarakiem) morskim.

Wody są czyste i przejrzyste, ale rybki tylko niewielkie migną czasami gromadnie, kiedy powierzchnię jeziora morska muśnie rybitwa. Skrzeku żab nie słychać, i na całem piaszczystem pasmie wyżyn niema już żab; tak też daleko osiadają wyżynę rybacy morscy oddzielnego rodu i pochodzenia, skandynawskiego obyczaju, jak daleko żaby nie słychać. Chaty ich, budowane z kamienia i potrzaskanych statków morskich, wrastają w zaspy piaszczyste, a kilka łodzi rybackich przypiętych u brzegu, kilka sieci rozpiętych przed chatą, kilka tyk wielkich i wioseł w piasek wbitych, oto cały statek nadmorskiego rybaka i jego rodziny.

Nieraz całemi godzinami przejeżdżaliśmy się konno po tem odchodzisku morskiem, nieraz po pół mili wjeżdżaliśmy w morze, lub przerzynaliśmy pomniejsze zatoki, a woda nie sięgała koniom wyżej pęcin, zwłaszcza kiedy morze było spokojne.

Gdy wiatr wiał od lądu, miało morze niemiły żółtawy pozór, gdy wiatr wiał z północy, rosły fale z każdą chwilą wyżej i były szare, a pod wieczór straszno czarne, łamiąc się z gwałtownym hukiem na bryłach granitu. Wrzask mew przerywał tylko czasem ten jednostajny łoskot, który z nocą wzrastać się zdawał, w miarę jak się wrzawa uciszała dokoła na lądzie, przy chatach rybackich i nadbrzeżnym zamku.

Morzu Bałtyckiemu brak oświetlenia, i koloryt jego jest odbiciem ołowianego północnego nieba, które już od początku października opuszcza się na nie mgłą skandynawską i uderza burzami północnego bieguna.

W morzu Bałtyckiem dlatego, że ku północy na nie patrzymy, nie odbija się ani słońce, ani księżyc i dopiero z łodzi je widzieć trzeba, albo z rybackiego przylądka, który daleko w morze wybiega, aby się ożywiła jego powierzchnia i zagrała w świetle, chociaż już tu powiedzieć muszę, iż oświetlenie nocne harmonizuje więcej z chłodnemi widokami mglistej północy, niż oświetlenie słoneczne, przy którem nagość jałowych wybrzeży zawsze uderza niemiło...

Z obrazu V. p. t. „Na Beskidzie“.

..Było to 1843 roku.

Czerwcowy prześliczny wieczór palił się na smereków szczycie, i uroczysta cisza była w powietrzu... Długie cienie drzew i gór łamały się w przepaściach, a w szmaragdowej zieloności połyskiwały leśne polany i zarąbki ku słońcu tam, gdzie się przerzedzały starodrzewne lasy...

Było to na samym grzbiecie Śląskiego Beskidu, który Górny Śląsk od obszaru Soły i Żywieckiej doliny odgranicza — a my wracaliśmy od źródeł Wisły.

Na przewale samego działu stanęły konie i wytchnęły, a chwila ta miała coś tak uroczego w sobie, że nas zatrzymała w miejscu.

Po jednej stronie opadała Barania Góra czarnym werchem, kędy biją źródła Wisły — po drugiej stronie odkrywała się oczom prześliczna Żywiecka dolina, jak ogród uprawna, budowna, zasiana wiankami wiosek, miasteczek, kościołów i dworów...

Bity gościniec przewijał się malowniczo wzdłuż doliny ku Żywcowi, na całe mile widny dla oka; jakiś głuchy i stłumiony szum dolatywał nas czasami od jezior i wodospadów Soły.

Towarzysz podróży mojej uściskał mnie — bo w tej jednej chwili skupiło się tyle wspomnień, tyle uczuć, że im się oprzeć nie można było.

Wracaliśmy od źródeł Wisły — i zdało nam się, że te wszystkie dumy, które u jej kolebki prześpiewały wieki, powtarzają się we wszystkich nutach w naszej duszy.

Łzy stanęły nam w oczach — uściskaliśmy się powtórnie i Kanty Łobarzewski rzekł do mnie:

— Powinszujmy sobie, bo od źródeł Złotej Bystrzycy, aż do źródeł Wisły, widzieliśmy na własne oczy krynice wszystkich rzek naszych i przeszliśmy przez grzbiet całego Beskidu. Z dumą możemy to opowiedzieć Żywieckiej dolinie, że na niej kończymy oględziny nasze i że niema prócz nas żywego człowieka, mówiącego tym językiem, coby odpytał i odszukał był wszystkie źródła, od Odry i Wisły aż do Bystrzycy Złotej — i przeszedł po granicznym dziale, od źródła do źródła, i opatrzył każdą dolinę tych dwudziestu kilku rzek. Powinszujmy sobie, a teraz tylko o to prosić Boga, aby pozwolił streścić to, cośmy *nie z książek wzięli, lecz na własne oglądali oczy.*

Raźno parskały konie po prześlicznym żwirowym gościńcu, który się do Żywca spuszczał — a my przypominaliśmy sobie po-

jedyncze widoki licznych gór i dolin, zwiedzanych w przeciągu lat kilku, bo teraz układał się już obraz całych północnych Karpat przed nami, gdyśmy nareszcie dotarli do wielkiego ołtarza tej ziemi — do źródeł Wisły.

W tym przeglądzie widoków i wrażeń zatrzymywały nas na chwilę te wielkie rysy natury śmiałą zakreślonej rzeźbą, to koloryt tych widoków, to wkońcu żywa rzesza tych rodów, które się przed nami przesnuły po dolinach i górskich ścieżkach, po wsiach i gościńcach, po odpustach i targach.

Rodowość ludu nie występuje nigdzie w tak wybitnych rysach, jak w góralszczyznie karpackiej. Przechodziliśmy tedy zkolei wrażenia z odbytej podróży, i tak, jak te obrazy przesuwały się koło nas, tak podaję je tutaj dzisiaj dla pamiątki owej uroczystej chwili, gdyśmy od źródeł Wisły wracali.

Z obrazu VIII. p. t. „Ze stepu“.

...Piękną jest roślinność stepów na wiosnę: dziki szparag, sen i tulipan polny wykłuwa się z ziemi. W majowych trąbkach zwita pnie się trzcina do góry... Szumnie idzie burzan i łoboda, ostro idzie oset, a gdy później trawa huknie, to trawy w pas, burzan wyżej głowy, a w bodiakach uchowa się chłop na koniu i z dzidą i jest do czego konia uwiązać. W tej puszczy bodjaków — w tem morzu traw niezbrodzonych — przeżywa się mnóstwo niespłoszonego zwierza i dzikiego ptactwa wszelkiego rodzaju!... Jak nad morzem przeciągają nad stepem łańcuchy żórawi... Tabun dzikich koni przegania pustopasz... W trawach leżą woły stadami... Dropie gnieżdżą się w zbożach, a nocują na otwartych przyczółkach... Po jeziorach i haławach tłucze się dzikie ptactwo... Lis przemyka komesze... Wilk obywa w oczeretach... Czujnie strychuje wyżeł i chwyta wiatr z wysoka!... Tam burknęła kić kuropatew — tu zerwał się z pod nogi zaspany puhacz stepowy!... Nawznak przewrócone, zamrużywszy oczki, grzeją się pardwy do słońca, a na nie bije sokół z góry!... Susły i chomiaki ryją grunt odłogi. Czasami przemknie dzika koza lub polna łasiczka i zginie w bodjakach... Z wierzchu stoga kleszcze na żer mały orlik... Po zacisznych uroczyskach staczają ptasze boje sporne bataljony... W stadach zbierają się stepowe kuliki i ciągną w żórawim szyku pustkowiem... Pod tarninką siedzi w miejscu gracz zając, a w wielkich kołach okrąża stepy orzeł Zaporoski...

LUDWIK KONDRATOWICZ (1823—1882).[1])

(WŁADYSŁAW SYROKOMLA).

Lalka.[2])

(Gawęda dziecinna).

Niech lalka będzie grzeczna, nie płacze, nie beczy,
Ładnie mi się ukłoni i uszko nachyli,
A ja lalce opowiem wiele pięknych rzeczy,
Jak mi rodzice mówili.
W święto — mama mię w nową sukienkę ubierze
I różową przepaskę zawiąże u czoła;
Ja wtedy umieć będę francuskie pacierze
I pojedziem do kościoła.
Toż się dziwić będzie prostaków gromada!
Bo nie przy nich pisane zagraniczne słowa;
Mnie się głośno po polsku modlić nie wypada:
Czy to ja chłopka wioskowa?
Lecz cichutko po polsku... poproszę w kościele:
Niech mi Bozia da rosnąć i wyładnieć prędzej,
A dla mamy i papy... niech da wiele — wiele —
Żółtych i białych pieniędzy!
Oni tak lubią grosze, tak modlą się szczerze,
Dają na msze dwa złote, całują obrazy,
A Pan Bóg taki dobry, że, co dasz w ofierze,
To, słyszę, odda sto razy.
Więc oni coraz hojniej Panu Bogu służą,
A Pan Bóg więcej płaci za ich chęć pobożną,
To zbierze się pieniędzy tak dużo... tak dużo...
Że i przeliczyć nie można.

---

[1]) Uczył się w Nieświeżu i Nowogródku na Litwie. Po dwuletniej pracy w zarządzie dóbr radziwiłłowskich ożenił się i pracował na dzierżawie zrazu w Załuczu, później w Borejkowszczyźnie pod Wilnem. — Pisał gawędy: *Pocztyljon* (1844), *Trzy gwiazdki*, *Chodyka*, *Dyfferencja*, *Lalka*, *Kradzione*, *Błogosławiony Sadoch*, *Urodzony Jan Dęboróg* (1853), *Zaścianek Podkowa*, *Garść pszenna*, *Kęs chleba*, *Margier* (1855), *Janko Cmentarnik*, *Zgon Acerna*, *Królewscy Lutniści*, *Stare wrota* (1857), *Ułas*, *Szkolne czasy Dęboroga* (1859), *Stella Fornarina*. Tłumaczył poetów łacińsko-polskich: Dantyszka, Krzyckiego, elegje Janickiego, ody i elegje Kochanowskiego, *Roxolanję* Klonowicza, łacińskie poezje Szymonowicza, ody Sarbiewskiego, a także przekładał z Berangera,* Goethego,* Puszkina,* Szewczenki*. Wydał też *Historję literatury polskiej*.

[2]) Ogłoszona w r. 1851 w *Athenaeum*.

Lalko! Jakaś ty śmieszna!... Nic rozumiesz zgoła:
Pytasz, czy to Bóg przyjdzie we własnej postaci,
Albo przyszle z pieniądzmi swojego anioła,
Co za pobożność zapłaci?
Gdzie tam! — Jak mówi mama — z Opatrzności boskiej,
Przyjedzie żyd brodaty, da groszów i dosyć...
Za pieniądze kupimy chłopów cztery wioski,
Co będą nam żąć i kosić.
Ty tylko tego nie wiesz, że my — to panowie,
A jeszcze jest lud inszy, chłopami nazwany,
Którym Pan Bóg z niebiosów przykazał surowie,
By pracowali na pany.
Brudne, brzydkie, pijane — czysto jak nędzarze,
W poszarpanych siermięgach ledwie włóczą ducha,
Lecz sami sobie winni: to Bozia ich każe,
Że chłopstwo papy nie słucha.
Papa, kocha swe konie, mama swego szpica,
A chłopów każdy łaje, każdy kijem kropi,
Doprawdy, że aż szkoda... Skąd taka różnica?
Niegrzeczni muszą być chłopi!
Ot i wczora: — gdy papa zasnął po obiedzie,
Pytam się, czy to pięknie i jaka potrzeba?
Weszli — zbrudzili pokój, krzyczą jak niedźwiedzie:
Chleba, panoczek, daj chleba!
Więc kazano ich obić... I słusznie obici;
Już ja, kiedy wyrosnę i mieć będę zboże,
Póki się cała wioska chlebem nie nasyci,
Nigdy się spać nie położę.
Bo proszę, jak tu zasnąć, kiedy naród blady
I do drzwi i do okien ciśnie się z pokorą?
Nie nakarmić ich chlebem, to przyśnią się dziady,
Jeszcze do torby zabiorą.
Lub co gorsza, w obrazku pan Jezus się dowie,
Co dla zgłodniałej rzeszy chleb i rybę łamie...
Lalko, zmówmy pacierze o chleb i o zdrowie,
Chłopom, i papie, i mamie.

Wyzwolenie włościan.[1])

Czytałem wolę dobroczynną cara,
Co prawa ludzi ludziom przypomina,
I byłem pewien, że żadna ofiara
Nie będzie ciężką dla serca Litwina.
Wróżąc urodzaj tego roku rzadki,
Piękne dożynki społecznego żniwa,
Chodziłem codzień patrzeć na rogatki,
Czy wielu szlachty do miasta przybywa?
Gdy mnie obrzucił pył pańskiej kolaski,
Gdym ujrzał postać znajomą w przeźroczu,
Łzy biegły z oka; czy to gryzły piaski,
Czy coś z pod serca płynęło do oczu?
Ja nie wiem, nie wiem skąd ta łza się kręci,
Skąd moje czoło hardzieje wawrzynem:
Że mój prapradziad był szczerym Litwinem,
Że jestem szlachcic, że mam herb w pieczęci.
Myślałem sobie: — Naprożno krzykacze
Rzucali błotem na szlacheckie miano!
Jutro, pojutrze na oczy zobaczą,
Że nas nie darmo szlachetnymi zwano;
Jutro, pojutrze z uniesieniem powie
Moskwa i Polska, cała Europa,
Żeśmy Litwini w dobrowolnej zmowie
Jarzmo i łańcuch rozwiązali z chłopa;
I że najpierwsze odbiorą oklaski,
I kartę w dziejach, jako przykład światu,
Ci, którzy dzierżą marszałkowskie laski,
Którzy są głową i sercem powiatu;
Jak Zygmunt August, oni z własnej chęci
Zrzekną się bicza, nie słowem lecz czynem...
I byłem chlubny, że jestem Litwinem,
Że jestem szlachcic, że mam herb w pieczęci.

[1]) Wiersz w wydaniu Warszawskiem z r. 1872 oznaczony datą 1859, oraz uwagą: «Mowa tu o postanowieniu zwołanej do Wilna Komisji włościańskiej, w której nieliczna większość zachowawcza, nie pomnąc, że jeszcze w r. 1818 sejmik szlachecki w Wilnie był uchwalił wyzwolenie włościan, przemogła nad mniejszością światłą i postępową, i chciała sprawę włościańską ograniczyć do pewnych reform w stosunku rolnika ze dworem. Następstwem tego smutnego i bolesnego wypadku... stało się to, że włościanie całkiem stracili ufność w postępowanie nawet najniewinniejszych obywateli...

Ze szlachtą w Kownie piłem przed miesiącem
Radosny toast wyzwolenia włości!
Czytałem z Grodna, jak inkaustem wrzącym
Brat swemu bratu dawał wiadomości:
«Choć tutaj piaski, choć tu grunt nieżyzny,
«Choć do Druskienik [1]) pieniądze mieć muszę:
«Winszuj mi, bracie, zrzekłem się pańszczyzny!
«Bom ja nie szatan, by posiadać duszę».
Myślałem sobie: — O wy fanfarony!
Co mi tam w Kownie i co mi tam w Grodnie?
W Wilnie jest serce mej Litwy rodzonej,
Wilno tę sprawę rozwiąże nam godnie.
Tam wszyscy dobrem ogólnem przejęci,
Wodę chrztu Litwy przemieszają z winem...
I byłem chlubny, że jestem Litwinem,
Że jestem szlachcic, że mam herb w pieczęci.
Ze starej Lidy [2]), ze starej Oszmiany [3]),
Z Trok [4]) Kiejstutowych, z Wilejki [5]) i Dzisny [6])
Kwiat naszej szlachty, dokoła wezwany,
Wyrok dla ludu podpisze korzystny.
Z takim oklaskiem, w tak niedawnej chwili,
Wybrani świetni powiatów ojcowie,
Czyżby się Wilnu wstydzić dozwolili
Odjąć koronę palemońskiej [7]) głowie?...
Przecież się stało... Kraju mój rodzony!
Wieniec twej cześci odarty w tej chwili:
Ojcowie twoi własnemi imiony
Kajdany ludu pismem utwierdzili!
Podali dziejów ohydnej pamięci
Swoją praktyczną opiekę nad gminem!
O, wstyd mi Wilna! Nie chcę być Litwinem!
I hańba mojej herbowej pieczęci!

---

[1]) Druskieniki — miasteczko nad Niemnem w pow. grodzieńskim, kąpiele bromo-jodowo-solankowe.

[2]) Lida — miasto powiatowe na Litwie, dawna stolica księstwa lidzkiego.

[3]) Oszmiana — miasto powiatowe na Litwie wileńskiej.

[4]) Troki — miasto powiatowe na Litwie wileńskiej nad jeziorem, dawna siedziba książąt litewskich.

[5]) [6]) Wilejka — Dzisna — miasteczka powiatowe na Litwie wileńskiej.

[7]) Palaimon — według mitologji greckiej — bóstwo morskie; tu, podobnie jak w Konradzie Wallenrodzie, w znaczeniu lokalnem, jako mityczny władca ziem litewskich.

TEOFIL LENARTOWICZ (1822—1893).[1])

Kalina.

Rosła kalina z liściem szerokiem,
Nad modrym w gaju rosła potokiem,
Drobny deszcz piła, rosę zbierała,
W majowem słońcu liście kąpała.
W lipcu korale miała czerwone,
W cienkie z gałązek włosy wplecione.
Tak się stroiła, jak dziewczę młode,
I, jak w lusterko, patrzyła w wodę.
Wiatr co dnia czesał jej długie włosy,
A oczy myła kroplami rosy.
U tej krynicy, u tej kaliny
Jasio fujarki kręcił z wierzbiny
I grywał sobie długo, żałośnie,
Gdzie nad krynicą kalina rośnie.
I śpiewał sobie: dana, oj, dana!
A głos po rosie leciał co rana.
Kalina liście zielone miała
I, jak dziewczyna, w gaju czekała,
A gdy jesienią w skrzynkę zieloną
Pod czarny krzyżyk Jasia złożono,
Biedna kalina snać go kochała,
Bo wszystkie swoje liście rozwiała,
Żywe korale rzuciła w wodę,
Z żalu straciła całą urodę.

Dwa dęby.

Nad modrym stawem dwa dęby stały,
A bardzo dawne, po sto lat miały.

---

[1]) Po ukończeniu szkoły powiatowej w Warszawie uzupełnił wykształcenie własną pracą. Dał się poznać utworem *Do poezji* w 1848 r. w Bibljotece Warszawskiej. Opuścił Mazowsze w 1848 r. i żył w Krakowie, Poznaniu, później w Belgji, Paryżu, a od r. 1861 osiadł na stałe we Florencji. Udoskonalił się w rzeźbiarstwie: rzeźbił i pisał. Wydał: *Cztery obrazy*, *Polska ziemia w obrazach*, *Szopka*, *Lirenka* (1859), *Bitwa Racławicka* (1859), *Ze starych zbroic*, *Gladjatorowie*, *Album włoskie*. — W latach 1882—1886 wykładał w uniwersytecie bolońskim historję literatury polskiej i słowiańskiej.

Raz przy miesiącu, nad cichą wodą,
Dąbek staruszek potrząsnął brodą
I z drugim dębem rozmowę wiedzie:
— Co z ciebie będzie, miły sąsiedzie?
Ze mnie kołyskę dla dziecka zrobią,
Sianem wyścielą, liściem ozdobią,
Będę kołysał małe dzieciątko
Albo chłopaka, albo dziewczątko.
— A ze mnie, drugi dąbek odpowie,
Żłóbek dla koni zrobią majstrowie,
Nade mną dużo zawieszą siana,
Przy mnie stać będzie konik ułana.
A pierwszy na to: — Bądź sobie żłobem;
Ja będę dzidą z żelaznym dziobem.
— Mój miły bracie, nie mów tak szumno,
Ty będziesz dzidą, ja będę trumną.
Pięć desek zbiją na wieczne spanie,
Któż tedy z człekiem dłużej zostanie?
A pierwszy na to: — Bądź trumną sobie,
Ja będę czarnym krzyżem na grobie,
A na nim napis będzie wyryty:
Tu leży wojak w bitwie zabity.

Złoty kubek.

W szczerem polu na ustroni
Złote jabłka na jabłoni,
Złote liście pod jabłkami,
Złota kora pod liściami;
Aniołowie przylecieli
W porankową cichą porę:
Złote jabłka otrząsnęli,
Złote liście, złotą korę.

Nikt nie widział w całym świecie,
Ludzkie oczy nie widziały,
Tylko jedno małe dziecię,
Małe dziecię z chatki małej.
Pan Bóg łaskaw na sierotę,
Przyleciała z nad strumyka,
Pozbierała jabłka złote,
Zawołała na złotnika.

— Złotniczeńku! Zrób mi kubek,
Tylko proszę, zrób mi ładnie;
Zamiast uszka, ptasi dzióbek,
Moją matkę zrób mi na dnie,
A po brzegach naokoło
Liść przeróżny niech się świeci,
A po bokach małe sioło,
A na spodku małe dzieci.

— Ja ci zrobię śliczny kubek,
I uleję wszystko ładnie:
Zamiast uszka — ptasi dzióbek,
Twoją matkę zrobię na dnie.

A po brzegach naokoło
Liść przeróżny się zaświeci,
A po bokach małe sioło,
A na spodku małe dzieci.

Ale czyjeż ręce, czyje
Będą godne tej roboty?
Ale któż się nim napije?
Komu damy kubek złoty?

Kto się w dłonie wziąć ośmieli,
W złotem denku przejrzeć lice?
Sam Pan Jezus i Anieli
I Marja i Dziewice.

—Złotniczeńku patrz weselej...
Czemu twoje w łzach źrenice?
Sam Pan Jezus i Anieli,
I Marja i Dziewice!

Duch sieroty.

Idzie sobie pachołę
Przez zagony przez pole:
Wielki wicher, ulewa,
A to idzie i śpiewa.

Wyszedł z gaju gajowy
I ozwie się w te słowy:
— Taka bieda na dworze,
A ty śpiewasz nieboże?

— Oj długo ja płakała,
Gdy mnie nędza wygnała,
Gdy ja, biedna sierota,
Drżąca stała u płota;

A raz w nocy niedzielnej
Przy dzwonnicy kościelnej
Mróz wszelakie czucie ściął
A pan Jezus duszę wziął:

Jedna zimna mogiła
Moją biedę skończyła.
Siwy dziad mnie pochował,
On mnie płakał, żałował,

On mnie ubrał w sukienki
Do tej zimnej trumienki,
Teraz mi nic nie trzeba,
Idę sobie do nieba.

— Oj sieroto, o dziecię!
Nic ci nie żal na świecie?

— Żal mi jeno tej łąki,
Gdzie fijołki i dzwonki,
Żal mi słońca w zachodzie,
Kiedy świeci na wodzie,
I fujarki dębowej
Z nad zielonej dąbrowy.

Jakto na Mazowszu?

Po szerokiem polu modra Wisła płynie,
Pochylone chaty drzemią na dolinie,
Nad wodą zgarbiony stary dąb żylasty,
Kędy bielą płótna wesołe niewiasty;
Po łące stąpają bociany powolne,
W owsach jednostajnie brzęczą świerszcze polne,

A z borów cienistych leśnej okolicy
Rozwiewa się wonność sosnowej żywicy.
Po niebie obłoki, jak bieluchne runo,
Słoneczkiem przeciekłe, pod błękitem suną;
Na wodzie, na Wiśle, śród ciszy poranka
Płynie łódź flisowska, jak szara cyranka,
A za nią ładowne pszenicą galary,
Szum wioseł na falach i śmiechy i gwary.
Po boru jagody dziewczę rwie we wrzosie
I śpiewa miłemu: pędź, głosie, po rosie!
Po długiej dolinie tęskne tony cieką
I słychać piosenkę daleko, daleko...
I gdzie się obrócisz nad Wisłą, nad Bugiem,
Brzmi nuta serdeczna, za bydłem, za pługiem,
Po wodzie srebrzystej, po zielonym gaju,
Jakby jedna dusza była w całym kraju.
Oj, śliczna to ziemia to nasze Mazowsze!
I czystsza tam woda i powietrze zdrowsze
I sosny roślejsze, i dziewki kraśniejsze,
I ludzie mocniejsi, i niebo jaśniejsze.
Gdzie mi tak na świecie kto zagra od ucha?
Gdzie mi się rozśmieje tak raźno dziewucha?
Gdzie mi pokażecie taką chatę lichą,
Taki bór szumiący, taką łąkę cichą?
Kędy ja usłyszę tyle ptastwa wrzasku?
Skąd wam modrej Wisły i białego piasku?
Serce moje, serce do tych lasów goni,
Do Wisły, do Wisły... Oj, tęskno mi do niej!
Szczęśliwe kuliki, szczęśliwe rybitwy,
Co nad nią powietrzne zawodzą gonitwy!
Oj, Mazur, ja Mazur, pomiędzy obcemi
Zmarnuję ja młodość na nieswojej ziemi.
Kiedym szedł do ludzi, cały dzień padało,
Pod wieczór się za mną słońce obejrzało —
Oj, czerwieni ono, jak oczy matczyne,
Co, mnie błogosławiąc, patrzyła w dolinę;
Wiatr szumiał po polu a pszeniczne kłosy
Strząsały na ścieżkę krople jasnej rosy!
Po boru, po lesie, przez gęstwinę ciemną
Na gałęziach wrony krakały nademną;

Sierocemu sercu tak się wydawało,
Jakby coś w powietrzu po lesie płakało.
Spojrzałem przed siebie — nikogo nie było,
Kilka ciemnych sosen w ziemię się chyliło;
Daremno po drodze patrzałem za siebie,
Jedna tylko gwiazdka mrugała na niebie,
I ta utonęła w ciemnej, mrocznej fali;
Nie było nikogo — i poszedłem dalej...
I dalej, i dalej, w świat szeroki, długi —
Bywajcie mi zdrowe mazowieckie smugi!
Skrzypki, moje skrzypki, do serca zagrajcie,
A wy też, Mazury, chętnie posłuchajcie.
Niech ci Pan Bóg szczęści, ziemio mazowiecka,
Płakałem nad tobą od małego dziecka,
I myślałem nieraz, siedzący na progach,
Czemu tyle krzyży stoi na twych drogach?
Dziś tułam się oto i tęskliwie żyję —
Westchnieniem się żywię i łez się napiję.
I tak schodzi zima i za zimą lato —
Boże dopuszczenie — chwała mu i za to!
Zagrajcie skrzypeczki, niechaj wdzięczne granie
Cichy wiatr zaniesie, gdzie moje kochanie.
Witajże mi, witaj, kraino kochana,
W boleści, w tęskności — oj, dana! oj, dana!

NARCYZA ZMICHOWSKA (GABRYELA). [1]

(Listy N. Żm., Kraków 1885, t. I str. 163—4). R. 1850 (wrzesień).

Moje drogie i ukochane, czyście wy nie rozumiały tego, co wam posłałam, czyście to wzięły za wyskok egzaltacji? Ja z przekonania najświętszego obiecałam, że nie mówić nie będę. Zaiste, łatwoby mi przyszło się tłumaczyć, szczególniej gdybym chciała

[1]) Żyła od 1819—1876 przeważnie w Warszawie, gdzie poświęcała się nauczycielstwu w żywym kontakcie z ruchem literackim, naukowym i społecznym. Gdy powstał w r. 1842 *Przegląd naukowy* i zawiązała się grupa «entuzjastów» z programem rozbudzania ruchu umysłowego i narodowego na zasadzie ludowo-demokratycznej: staje się duszą tego grona, które zbierało się w salonie literackim Skimborowiczów, utrzymywała stosunki z emigracją, krzewiła hasła społeczno-narodowe romantyzmu w sferach rzemieśl-

odpowiadać, czy mnie kto przyjmował, czy ja kogo przyjmowałam — lecz od słowa do słowa, skończyłoby się na tem, żebym musiała kłamać — a to jednak nie żarty. Mówcie sobie, co chcecie — ja jestem zero, ale sprawa moja dzisiejsza jest Polską...

Jaką chcę, żeby Polska była, taką ja jestem, cierpliwa, miłująca, cicha, a jednak odważna w prawdziwości swojej. — Zresztą tak mi z mego osobistego gospodarstwa wypadło. — Tyle razy ja chciałam umrzeć, tyle razy prosiłam Boga, żeby was od kłopotów ze mną uwolnił, żeby mi wolno było to życie niecenione i nieużyteczne, te kilka lat coraz smutniejszej przyszłości, oddać za zrzeczywistnienie idealiku mojego.

Napisałam jednak, co myślę o rządzie i o Polsce: że rząd nas psuje, a że moja Polska święta i poczciwa. Teraz ofiarujcie mnie Panu Bogu i powiedzcie sobie: Adiu, Narcyzko. — Jednak z mej ekonomji politycznej to wypada, że kiedy na moją zgubę już ostatecznie się podpisałam[1]), to trzeba aby się ona komu innemu na ocalenie przydała. Najlepiej będzie ocalić Andzię[2]), tę moją kosztowną i drogą gumę arabską; niech ona da sobie wydrzeć jakie niby potępiające mnie słowo, — niech powie coś o moich podróżach do Erazma[3]), który chorował śmiertelnie i w więzieniu siedział — i mnie byłoby łatwo mówić o tem. — Teodozy[4]) ułatwiał drogę — już umarł. — Słowo przysięgi świętem jest, — niech mnie jak chcą biją, ja pomimo tego będę miała osobistą wdzięcz-

---

niczych i ludowych. W r. 1848 aresztowano Skimborowiczów i zamknięto *Przegląd*; w r. 1849 aresztowano Żmichowską, osadzając ją w Lublinie, w klasztorze Karmelitanek, gdzie przebyła blisko 2½ lat. Najważniejszemi utworami jej do tego czasu były: *Poganka* z r. 1845, oraz *Księga Pamiątek*, obie powieści oparte na temacie znaczenia artyzmu w stosunku do jednostki i społeczeństwa. Po r. 1853 zaznacza się w twórczości Żmichowskiej zwrot w kierunku ideologji Krasińskiego *Psalmu Wiary*. Z tego okresu pochodzą: *Stary dwór w Świerszczowej*, *Wstęp do książki z modlitwami*, *Głos Pański*, *Do moich dziewczynek*, *Modlitwa do św. Cecylji*. — W wypadkach 1861—64 nie była bierna, lecz nieufnie odnosiła się zarówno do Wielopolskiego, jak i do Zamoyskiego. Po powstaniu skłaniała się do przekonań pozytywistów. Nigdy ani w życiu, ani w pismach nie sprzeniewierzyła się umiłowanym entuzjastycznie ideałom dobra, prawdy i sprawiedliwości.

Przytacza się tu wyjątki z jej przepięknych listów, które wyszły w Krakowie w latach 1885 i 1906.

[1]) Narcyza na śledztwie przysięgła, że na zadane jej pytania odpowiadać nie będzie, piśmiennie tylko gotowa jest złożyć wyznanie swojej wiary — i rzeczywiście takie wyznanie złożyła na ręce jenerała Jołszyna.

[2]) Skimborowicza, w cytadeli warszawskiej od r. 1848—1851.

[3]) Rodzony brat Żmichowskiej. [4]) Krzywicki, poeta.

ność dla Jołszyna, że pierwszy zrozumiał, że mojej przysięgi nie cofnę. — Zresztą może tak źle nie będzie, wy przecież modlicie się za mną.

(Listy N. Ż. do Tekli Dębskiej, str. 41—2). Listopad 1851 roku.

I cóż ja poradzę z Orcią [1]), kiedy to cudo uroiło sobie, że mi jej obiady nie smakują, mówiąc o jadle miałam na myśli to, że czasem przy rewizji zupełnie wystudzą, a tu buch, moja siostrzyczka pięć potraw naraz przysyła. Proszę was, skąd ja żołądka na upakowanie ich pożyczę; wprawdzie mój się już znacznie rozszerzył, ale takiej ilości nie wystarcza. Jak mi będziecie z tego, co wam napiszę, żałobne wnioski i lamenta wyprowadzały, nigdy ani słówka nie wspomnę o niczem.

Ewcia mi raz przymówiła, że was ogólnikami zbywam, zaczęłam więc szczegółów dostarczać i ślicznie wyszłam na tem. Otóż proszę was, zachowajcie w swojej pamięci ten aforyzm: Narcyzie jest sto razy lepiej, niż tym, co w cytadeli siedzą, a chociażby i sto razy gorzej było pod względem wygód, toby się jeszcze nie obejrzała na to, bo ona do różnych kolei przywykła; na mrozie marzła, na deszczu mokła, na wietrze zębami dzwoniła, raz na dzień jadała i było jej dobrze, bo jeśli nie żelazny, to przynajmniej gutaperkowy Bóg dał jej temperament, jeśli nie w mocy, to w zdolności przetrwania celuje wszystkie znajome sobie białogłowy. — Otóż gdy z takim darem Opatrzności lub raczej pomimo daru takiego krzywię się czasem i przed wami skargi rozwodzę, to nie dlatego, żebyście się o mnie martwiły...

Wy się tam oburzajcie, słuszna rzecz, ale nie kłopoczcie się w głębi serca, bo to na mnie spada, jak woda na jaskółkę, przy pierwszej odebranej kartce ino trzepnę skrzydełkami, wnet wszystkie piórka suchuteńkie. — Mój Boże, mnie się żalić, a tam na Stasiu [2]) odzienie butwieje, a Stach ma febrę! — Niechże mi teraz trochę się mrozem okna umalują, zaraz na oczach ten obrazek stanie...

(Listy N. Ż., t. I, str. 194—7). Lublin (listopad 1853 r.).

Gdybym znów rozpuściła cugle wyobraźni, kaprysom, dziwactwom — nacóżby się to zdało? — Gdybym nawet odezwała się głośno tajoną w głębi serca boleścią, gdybym skarżyć, jęczeć, pi-

[1]) Hortensja Densinowa, siostra.
[2]) Stanisław Jarmund, więziony w cytadeli warszawskiej.

szczeć, wzdychać, w przestrzeń ręce wyciągać zaczęła — co za korzyść dla czytelników? — Bezwątpienia, mogłabym całą butelkę atramentu na to wypotrzebować — możeby ktoś powiedział, że ładnie piszę, a piąty, dziesiąty rozmarzyłby się bezczelnie — lecz ja nigdy, Bóg widzi, nawet *Poganki* mojej na efekt nie pisałam chociaż w złudzeniu potrzeba wypowiedzenia jakiejś prawdy musiała mi autorską moją pracę złocić.

Dzisiaj tem bardziej jeszcze własną naturą, własnym niedostatkiem najdokładniejsze mam poczucie tego, na czem drugim zbywa, czego drudzy są spragnieni, co jest w obecnej chwili dla ich ducha najpotrzebniejsze. — Otóż najpotrzebniejszą jest stanowcza pewność. — Pewność jędrna, zdrowa, twarda, jak puklerz spartański, jak ukazy carskie. W godzinkach o św. Barbarze ślicznego wyrażenia z Pisma ś-go użyto: «Silną jako śmierć jest miłość». — Silną jako zniszczenie jest siła tworzenia — silną jako zbrodnia cnota. — Gdyby tej siły w miłości nie było, gdyby kochanie, gdyby życie cofnęło kroku przed śmiercią — o, to już światby zamarł — i Bogaby nie stało i Szatan-Nicość zwyciężyłby istnienie.

Tak więc na mocy tego prawa, w każdym głosie, co między ludzi idzie, szukamy przedewszystkiem takiego słowa, któreby równo brzmiało z przeciwników słowem.

Od lat wielu, może od niepamiętnych czasów duch przeczenia i zagłady tak śmiało, bezczelnie, ohydnie, a tak pewnie się nie odzywał; jeśli w odpowiedź jemu słudzy prawdy, pielgrzymi obiecanej Jerozolimy, wyznawcy Chrystusowi, rzucą tylko płonne wykrzykniki rozrzewnienia, albo znakami zapytania książki swoje poznaczą, to niech ich pierwiej licho na Sybir porwie, ~~bo~~ć lepszy jeden za dobrą sprawę wygnaniec, niż sto głupich lub niedołężnych, za myśl jałową kartek — właściwiej nawet mówiąc, lepiej, aby dziś poczciwego człowieka zaknutowali — niż żeby ten poczciwy człowiek miał choć pół kartki niedorzeczności napisać.

Poczciwych jedynie mam na uwadze w tej mierze — poczciwych, którzy na sakramentalnem bierzmowaniu teraźniejszych wypadków sami przed sobą i przed drugimi wzięli sobie imię Polki lub Polaka, którzy w opinji współbraci, w nienawiści wrogów, w prześladowaniu rządu z większą czy mniejszą zasługą — o to nie pytać — byle z ogólnem przywiązaniem w łączności jakiejś z myślą o Polsce stanęli. — Tacy ludzie odpowiedzialni są za ton i ważność każdego jawnie wyrzeczonego słowa — kiedy mówią

dla drugich — (wolno im wszakże mówić dla siebie; ja z wami, najdroższe moje, zawsze dla siebie mówię) — kiedy więc dla drugich mówią albo piszą, powinni tak mówić i pisać, żeby aż iskry z mózgów lub z serc bratnich wyprysły.

Powinni tak się odzywać stanowczo, jak Mikołaj w swoim z 48-go r. manifeście według miary śmierci, a tak niezachwianie, jak ś-ty Paweł według miary życia.

Wszakże znacie listy Apostoła narodów? Gdzież tam choć jedno drgnienie niepewności, choć półcień wątpliwego dociekania? Apostoł wszystko wie, widzi, głosi — zna i więcej nawet jak ludziom powiada. — Był w trzeciem niebie — słyszał słowa, których śmiertelnym jeszcze powtarzać nie wolno — ma zapas objawienia, prawdy, przekonania, ma fundusz, którego nie wyczerpie nigdy. — Ach! ten ś-ty Paweł, to moja pociecha i rozpacz moja — to doskonałość, która mnie ciągle ku zrzeczywistnieniu moich wzorów popycha, i niepodobieństwo, które mię ciągle ich niedoścignioną wyższością w bezczynności zatrzymuje.

Kiedy myślę o tem, co czynić trzeba, jak działać powinnam, kiedy nad potrzebami obecności się zastanowię, kiedy zamiary prac ogólnych rozważam: zawsze i z każdej ścieżki do niego wracać muszę. — On jest systematem najdokładniejszym — jeśli dobrego nie wyczerpnął, bo dobre jak Bóg na wieki wieków nieprzeczerpnięte zostanie, przynajmniej wszystkie sposoby dojścia ku dobremu, uzyskiwania dobrego wynalazł, ogarnął i użył. — Za każdym więc pomysłem i życzeniem, bezprzestannie o świętego Pawła zaczepiam — a za każdym zwrotem na samą siebie, bezprzestannie własnej niemocy urągam.

Sądźcie mnie, jak chcecie, ale póki Duch święty nie zleje na mnie łaską swoją odpowiedniego łaskom więziennym natchnienia — póki ten Bóg, co mnie obdarzył chwilą prześladowania za święte imię swoje w świętem Polski imieniu, równocennego daru słowa, godnego tej chwili, nie zbudzi mi w duszy: póty bodajby i do śmierci milczeć upornie będę.

JULJAN KLACZKO. [1])

Pisma polskie, Warszawa 1902.

(Z rozprawy p. t. *Krewni* Korzeniowskiego).

...Można temu złorzeczyć lub przyklaskiwać, można w imię ideału nad tem ubolewać, albo w imię postępu z tego się cieszyć, ale nie można temu zaprzeczyć, że wszystko w naszych czasach dąży do upowszechnienia a zarazem i do spowszednienia. Myśl już nie jest numizmatem, starannie zbieranym przez miłośników, przechowywanym i cenionym przez rzadkich znawców; jest ona monetą przechodzącą z rąk do rąk, przez rąk jak najwięcej, i w miarę właśnie większego obiegu tem bardziej cenioną; ale ta moneta bywa nieraz bardzo mieszanego kruszcu, a w obiegu swoim traci zazwyczaj wzniosłe piętno nadane sobie pierwotnie w tajemniczej ducha mennicy. Koło cywilizacyjne się coraz rozszerza, promień oświaty nie spoczywa już wyłącznie na wyżynach społeczeństwa i daleko głębiej przenika, nietylko same wielkie mianowniki, ale masy wchodzą w rachubę świata politycznego i moralnego, i któż nie zechce w tem uznać opatrznej woli, któż będzie śmiał zaprzeczyć historycznej konieczności tej przemiany? A wszakże, jak we wszystkich przemianach, tak i tutaj, niepowetowane straty idą w parze z niezaprzeczonemi zyskami, i dojrzewającym owocem niejeden piękny liść opada, liść niejednemu od samego owocu milszy i droższy. Horyzontalna dynamja ludzkości się wzmaga, ale wertykalna opada; działania się stają obszerniejsze, ale dzieła drobniejsze; ogół potężnieje, a indywidualności maleją.

Ten sam objaw postrzegać się daje i w literaturze współczesnej. I tu coraz mniej widzimy mistrzów słowa, a coraz więcej pisarzy, coraz mniej arcydzieł, a coraz większy ruch literacki. Artyści, poeci nie tworzą teraz w zaciszy natchnienia dla umysłów wybranych, sympatycznych, dla tych, z którymi ich łączy spółka ducha i uczucia. I oni też przedewszystkiem masy mają na widoku; masy narzucają im swe warunki, swoje zachcenia, swoje

---

[1]) Juljan Klaczko (1825—1906), znakomity krytyk. Najsławniejsze dzieła: *Causeries florentines*, Paris 1881, (przekład polski: *Wieczory florenckie*, Kraków 1888); *Rome et la Renaissance*, Paris 1898, (przekład polski: *Rzym i odrodzenie, Juljusz II*, Warszawa 1900). Pisał przeważnie w języku francuskim. Artykuł o *Krewnych* Korzeniowskiego wyszedł w *Wiadomościach polskich*, w r. 1857; tamże o *Gladjatorach* Lenartowicza, w r. 1857.

potrzeby, z których największą a bodaj najfatalniejszą jest potrzeba ciągłego spożywania pokarmu choćby najmniej zdrowego. Jeszcze tak niedawno powiedział Schiller,* iż «kto najlepszym swego czasu zadość uczynił, ten uczynił dosyć po wszystkie czasy», ale jakżeż prędko przebrzmiały te piękne, te dumne słowa! Nie najlepszych, ale najliczniejszych swego czasu usiłują zadowolić obecni pisarze, i dość uczynili, gdy wyrobem swym zapełnili próżnię jednego wieczoru i jednego feljetonu. Nic charakterystyczniejszego pod tym względem nad owe wyrażenie ruchu literackiego, o którym dopiero co wspomnieliśmy, które w tak powszechne weszło używanie i które naiwnie przypomina pokrewne wyrażenie o ruchu kapitału, kolei żelaznych i t. d. Ale ze zjawiska tego tylko te statystyczne dusze chyba cieszyć się potrafią, które i duchowe bogactwo według ekonomicznych praw popytu i odbytu szacować zamyślają, które nie o jakość, ale o ilość dzieł się pytają, i przemysłowe gospodarstwo radeby rozciągnęły aż do miary poetycznej. Dla każdego myślącego i czującego przeciwnie fakt to będzie bolesny, przestraszający, i stanie się dlań źródłem niejednego skrupułu, niejednej gorzkiej uwagi. Umysł najskłonniejszy do sympatyzowania z ogólną, niwelującą dążnością wieku, najskorszy do uznania jej konieczności, do hołdowania jej sile, do głoszenia jej dobrodziejstw, zachwiać się jednak musi i zaniepewnić, skoro owa dążność się objawia i w dziedzinie sztuki, skoro twory zapału, uczucia i wyobraźni przybierają powszechne średnie rozmiary szczęśliwej mierności, skoro i potok natchnień zaczyna płynąć potocznie coraz szerszem, ale i coraz płytszem korytem. Mniej pałaców a więcej porządnych chat; mniej świetnych czynów a więcej dobrych uczynków; mniej bohaterów a więcej obywateli; mniej półbogów a więcej ludzi... Zgoda! Ale czy też i mniej genjuszów a więcej talentów, mniej Rafaelów* a więcej Dowów, mniej Irydjonów a więcej Gawęd?... Żądać lub tylko dozwolić tego, aby sztuka przestała być idealną, natchnioną; żądać lub tylko dyzwolić tego, aby lot swój niebieski zwinęła i poziomego nam dotrzymywała kroku; aby zamiast nas prowadzić do słońca, z nami przy naszej ekonomicznej zasiadała lampie: nie jestże to nietylko ubliżyć jej godności, ale odebrać jej wszelką rację bytu? Bo jakież inne jej powołanie, jakież inne może być zadanie, jak to, aby nas z cieśni codziennych stosunków prowadziła w świat rozleglejszy i piękniejszy, w świat, w którym ustają wszelkie przypadłości i mierności naszego zwykłego życia, w którym zapał tworzy cuda, a natchnienie łamie, czego rozum łamać nie jest w stanie? I czyż właśnie w czasach

jak dzisiejszych nie większa tego niż kiedykolwiek potrzeba? Czyż właśnie w epoce, w której wszystko maleje i powszednieje, nie potrzeba, aby przynajmniej poezja nam przedstawiała figury wielkie, idealne, aby wśród otaczającego nas zewsząd dymu, nie dział, ale kotłów, odsłaniała nam raz po raz czyste i jak najczystsze niebo Olimpu, aby nam dała poznać, poczuć, przeczuć choćby tylko, że jest jeszcze wyższa moralność nad dobrze zrozumianą Franklina [1]), i cudowniejsza jeszcze droga nad railway [2]), ta, która od serca prowadzi do Boga?... Jeśli z tego stanowiska zechcemy zapatrywać się na znaczenie i powstanie literatury, nie łatwo nam przyjdzie wtórować tym naszym pismom krajowym, warszawskim szczególniej, które z taką chlubą i z takiem zadowoleniem wspominają o wzrastającem coraz bardziej piśmiennictwie naszem, o wzmagającej się liczbie autorów i rozszerzającem się kole czytelników; i będziemy nieraz musieli żałować tych ledwie co ubiegłych, a jednak już tak dalekich czasów, w których rzadkie a wielkie genjusze trzymały pochodnię myśli. Mniej wówczas było piszących, ale iluż natchnionych! Mniej wtenczas było czytelników, ale iluż zato serdecznych wielbicieli! Mniej biegłości i rutyny, ale ileż zapału i prawdziwego namaszczenia! Dzieła nie objawiały się jak dziś tłumnie stosami, ale każde z nich było prawie czynem; wypowiadało, czasami nawet przepowiadało jakąś wielką kryzys w życiu politycznem lub moralnem, obejmowało w sobie cały świat myśli i uczuć i ociężałą bryłę człowieka nowemi pchało tory. Literatura nie toczyła się, jak teraz, ciągłem jednostajnem i powolnem korytem; wyrywała się tylko raz po raz falami, ale falami potężnemi, które uderzając i rozbijając się o męską pierś narodu, zostawiały po sobie perły i korale i te pieśni nieśmiertelne, z których późne wieki uplotą wieniec Polski ówczesnej: *Wiesław* i *Marja, Grażyna* i *Konrad, Zamek Kaniowski* i *Król Zamczyska, Księgi Pielgrzymstwa* i *Pan Tadeusz, Nieboska* i *Irydjon, Przedświt* i *Psalmy, Anhelli* i *Beniowski, Rzecz o Słowiańszczyźnie* i *Ojcze Nasz*, każden z tych utworów był objawieniem, był hasłem do wielkiego boju, był wyzwaniem do ścierania się sił moralnych, do spotkania się duchów w najwyższej sferze myśli i wiary. Prawdy były żywotne, a błędy tytaniczne; wieszczenia były sybillińskie, a złudzenia prometeuszowe. Każden z tych utworów przedstawiał czyny i cha-

[1]) Benjamin Franklin (1706—1790) sławny i zasłużony obywatel Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej, publicysta, polityk, jeden z pierwszych badaczów elektryczności.

[2]) Railwail (ang.) = szyny kolejowe.

raktery, do których gdy się człowiek choć myślą tylko dociągał, już się stawał wyższym i szlachetniejszym, już szukał bratniej dłoni obok siebie; każden z nich dotykał najgłębszych tajemnic ducha i najstraszniejszych zagadek bytu, i pleśniejącą korę zdzierał z drzewa życia i wiedzy. Na każdem z tych dzieł dumał naród długo i uroczyście; z każdego z nich odbierał wrażenia silne i trwałe; w słuchaczach była ta wzniosłość, co i we wieszczach, a spory nawet tych wieszczów nosiły cechę niewypowiedzianej wielkości! Bo któż np. obecnie mizerne kłótnie naszych literatów będzie śmiał porównać z ową prawdziwą tytanomachją Juljusza Psalmisty, z owym sporem uroczystym, gromowładnym, który błyskawicą genjuszu raz jeszcze rozświecił niezmierzone głębie ludzkości, i o którym zaprawdę słowami jednego z jego uczestników powiedzieć się godzi, że z nim walczyli «nie wrogi, lecz dwa na słońcach swych przeciwne Bogi!» Takich wielkich zadań nie stawia już sobie literatura nasza. Brak jej do tego widocznie potrzebnego namaszczenia, może i sumienia; brak jej przedewszystkiem tego piętna cierpienia, o którem mówi Mickiewicz, że jest wcale różnem od boleści pojedyńczego człowieka... — cierpienia za miljony. Widać owszem wszędzie pewne zadowolenie, jakąś sceptyczną rezygnację ze *status quo*, jakieś rodzenie bez bólu i miłości. Wszędzie uderza ubóstwo myśli, poziomość życzeń, i to próżniactwo ducha, które bynajmniej nie wyklucza zadziwiającej nieraz pracowitości pióra. Stąd i owo zdumiewające niekiedy zaniedbanie stylu, luźne i znużone przeprowadzenie żywo zrazu poczętego planu, wogóle robota pośpieszna, a dowodząca tylko nieuszanowania publiczności i własnej pracy. Że w takiem usposobieniu zmysłów romans musiał się stać naczelną formą twórczości, jest pojawem równie naturalnym, jak bolesnym. Żadna bowiem inna forma do tego stopnia nie odpowiada tej łatwości poczęcia i przyjęcia; żadna inna nie wymaga mniej skupienia myśli w autorze, uwagi w czytelniku. Romans jest epopeją *status quo*, jest poetycznem uświęceniem codzienności; a pod tym względem rozpowszechnienie jego i wziętość, którą zyskuje, bodajby tylko były estetycznym a nie etycznym symptomem... Od surowego sądu o tym rodzaju piśmiennictwa nie może też nas odwodzić i ta jego sławiona użyteczność, którą najwięcej ludzą umysły. Ileż, wołają, wiedzy powieść rozszerza między masy; ileż uczuć i wyobrażeń budzi w tej publiczności, której stan kultury zabrania przystępu do wyższych sfer nauki i sztuki; ileż poetyczności rozlewa przez to między niższe warstwy! Te i tym podobne dają się słyszeć głosy na cześć tej poetycznej encyklopedji.

lież złudzeń w tem wszystkiem, odpowiemy my znowu na to, ile dobrowolnego zaślepienia, ile nieznajomości mas i serca ludzkiego! Jeśli gdzie niedouctwo gorszem jest od nieuctwa, to niezawodnie tam, gdzie nauka jest tylko przyprawą fantazji, gdzie gruntowny wykład nie może być udzielanym ani nawet żądanym, gdzie nauczyciel, żadnej nie ulegając kontroli, przed własnem nawet sumieniem ma wymówkę, że sam sobie swój świat stwarza! A jakżeż niebezpiecznemi znowu są przykłady, które najlepsze nawet stawiają romanse! Jakżeż szkodliwemi są ich ideały, tem właśnie, że nam są przystępnemi! Epopea, tragedja, tworzą nietylko ludzi idealnych, ale i sferę idealną, którą ich od nas zbawiennie oddzielają; budzą w nas szlachetne uczucia podziwu, uwielbienia, nie wywołują chęci złego naśladownictwa. Romans przeciwnie, na gruncie domowego życia, w powszedniem otoczeniu, wyprowadza figury wpół poetyczne, wpół realne, tak zwodnicze właśnie dla wpół ukształconych. Któż kiedy spotkał się z Makbetem lub Learem; a jakżeż często ujrzymy dobrowolne a nieszczęśliwe kopje Sanda* i Balzaca*! Cóż dopiero, jeśli romans, jak u nas, staje się wyłącznym i powszednim chlebem czytającej powszechności, absorbuje wszystkie talenty i jedyny prawie głos publiczny zabiera?... «Drażniące opowiadanie namiętności, dramat życia obecnego, jak go pojmujemy, nie dotyka przyczyn, przedstawia tylko skutki, które są raczej zaraźliwe, niż korzystne, dla umysłów pozbawionych wszelkiej innej uprawy». «Było zawsze mojem zdaniem, że dobre romanse są bardzo użyteczne, lecz dla odpoczynku, nigdy zaś jako wyłączny i ciągły pokarm umysłów...» Któż wyrzekł te głębokie, pamiętne słowa? Zaprawdę nie pedant żaden lub moralista, których sąd Cieszkowski odrzuca, ale najznakomitszy, najgenialniejszy z nowoczesnych romansopisarzy: Georges Sand!

Korzeniowski w sztuce nie wznosi się nigdy do myśli ideału, w moralności nigdy do myśli ofiary; estetycznie i etycznie brak mu wszelkiego wyższego popędu, wszelkiej podnioślejszej aspiracji. Z modlitwy Pańskiej jedną tylko zna i umie cenić prośbę: o chleb powszedni; tęsknego westchnienia za Bożem królestwem nie rozumie zgoła. Ujemne przepisy dekalogu są mu dość przytomne; ale zdaje się, jakoby nigdy nie przeniknął mistycznej a dodatniej moralności ewangelicznych przypowieści, z których jedną tylko bodaj zapamiętał i tę z niej nieco rozszerzoną wyciągnął naukę: że trzeba cesarzowi oddać, co cesarskiego, a gdy konieczność każe, nawet i trochę z tego, co boskie. Tak dobrze z instynktu, jak z zasady, jako artysta i jako filozof, lubi on martwą naturę, a jeśli kiedy, nad

minjaturowe i minjardowe malowanie wzniesie się do jakiegoś ważniejszego problemu życia, jakżeż go wtedy postawi, w duchu jakiejże to ciasnej, elementarnej, rzeklibyśmy nieledwie wegetalnej moralności rozwiąże! Wtedy nam każe, jak np. w *Tadeuszu Bezimiennym*, święcić kobietę, która nie ma odwagi, wnętrzności, bronić swego dziecka przed najsroższem prześladowaniem, przed policzkami własnego brata...

Wtedy, jak w *Spekulancie*, będzie się zachwycał nad siwiejącym Marszałkiem, który poślubiwszy sobie dziecię wbrew jej woli, wbrew nieszczęśliwej, ale wielkiej, ale silnej miłości, którą chowa w swem dziewiczem sercu: hoduje potem i wychowuje w duszącej atmosferze chuchliwej pieczołowitości, w cieplarni wygód, attencji, edredonów i starań ten biedny kwiat złamany... Wtedy, że do naszych *Krewnych* powrócim, jako wzór obywatela, jako *ecce homo* społeczeństwa, wystawi takiego hrabiego Adama, który, poznawszy i pokochawszy Ignacego, zaprasza go co niedziela do siebie, by w osobnym pokoju rysował z modelów; który na pogrzeb matki swego ulubieńca wyłoży potrzebne pieniądze, ale ani pomyśli o tem, by iść za trumną tej biednej kobiety; który jeden tylko i dość rzadki zna ruch szlachetny ręki — do kieszeni: ale zdaje się ani przeczuwać tego, że ruch serca do serca jest czemś nierównie szlachetniejszem! Albo mamyż nazwać szerokiem rozwiązaniem jakiegoś ważnego problemu życia to poetyczne ukształcenie losów Ignacego, które Korzeniowski wziął za główny temat swej powieści, to przedstawienie szlacheckiego syna, który zostaje stolarzem?... Nie zupełnie! Bo Ignacy to wszystko robi nie dla jakiejś wyższej myśli, dla jakiejś uniwersalnej idei, nie w chęci poświęcenia i ofiary dla interesu ogółu: ale dla samego siebie, dla większej korzyści, w dobrze zrozumianym, indywidualnym interesie. Ignacy Zabuski, szlachcic i stolarz... to sobie bardzo porządny i rozsądny młodzieniec, któryby nie opuścił swego szlacheckiego majątku, gdyby ten wystarczał na jego potrzeby... Winszujemy mu tak zdrowego rozsądku i wolności od przesądów; przyklaskujemy jego energji, otrzymanemu zwycięstwu nad wrodzoną nam niedołężnością i męskiemu postanowieniu oparcia się na samym sobie, ale nie czujemy potrzeby się nad nim zachwycać, ale serca i sympatji naszej dać nie jesteśmy w stanie! Bo gdy wchodzi w ten zawód i wiąże się z obcym mu przedtem światem, rozumieć on, że względem tego świata ma obowiązki, że z tej warstwy społeczeństwa, które go w swoje łono przyjmuje, nietylko same jemu wolno wyciągać korzyści, że się jej zadłuża i z tego, co ma, jej

się wypłacać powinien? Żyjeż on, staraż się on tylko żyć ze swymi nowymi kolegami, z czeladnikami i robotnikami w jakiemś braterstwie wyobrażeń i uczuć; udzielaż on im coś z tego światła, które mu wychowanie i położenie osiągnąć dozwoliły; usiłujeż on podźwignąć ich do swojej wysokości, dać im okruszyny z tego duchowego chleba, którego podobno ma poddostatkiem; błyskaż choć w nim raz myśl podniesienia tych współpracowników do pojęć szlachetniejszych, piękniejszych?... Nie, bynajmniej! Dla takiej delikatnej moralności, czy dla takiej śmiesznej ideologji nie ma zmysłu ten bohater...

KORNEL UJEJSKI (1823—1897).[1])

Trzy struny.

O, mam ja harfę — od Boga kochany!
On ją w olbrzymiej zbudował strukturze.
Wielkich gór szczyty i dwa oceany
Służą jej wspólnie za poboczne ściany,
A jasne niebo wisi nad nią w górze,
A moje serce, o, to jej podnóże!
I z tego serca biegną struny różne,
A wszystkie były z mych bolów poczęte;
Ja je wysyłam, jak ptaki podróżne,
Niechaj brzmią pieśnią, którą ziemi dłużne,
Niech, jak łabędzie z milczenia odklęte,
Zawodzą hymny prorocze i święte.

[1]) Uniwersytet we Lwowie. Młodo wszedł w koła literackie, zawarłszy znajomość we Lwowie z Polem, Dierzkowskim, Szajnochą, Bielowskim, w Warszawie zaś w 1844 roku z Lenartowiczem, Wójcickim, Wilkońskim i Deotymą. Pierwszy większy poemat, *Maraton*, w 1845 roku, poczem w roku rzezi tworzył *Skargi Jeremiego* i wiersze liryczne, jak *Ziemia* lub *Anioł Pański*. Odbywszy podróż do Belgji i Paryża, gdzie zaznajomił się z Lelewelem, Zaleskim, Mickiewiczem, a zaprzyjaźnił ze Słowackim, po powrocie osiadł pod Lwowem na dzierżawie w Zubrzy, później w Pawłowie. Wydał *Kwiaty bez woni*, *Zwiędłe liście*, *Melodje biblijne*, obrazki dramatyczne i poematy, jak *Pług a szabla*, *Błonia medyckie*. Po latach ośmnastu: *Podróż przerwana*, *Konfederaci*, *Ostatni Buczaccy*. Posłował do austrjackiej Rady Państwa i przemawiał nieraz na narodowych uroczystościach, stąd: *Żywe słowa Jeremiego* i mowy polityczne.

Jedna z strun takich, jak włókno pogody,
Ciągle lecąca i w ciszy powiewa,
Wciąż się zaczepia o góry, o wody,
O prochy mogił, rozwalone grody,
Wciąż na posłuchu, co tam szumią drzewa,
Co woda szemrze, co jaskółka śpiewa.
A kiedy całą tę harfę oblata,
Na tysiąc ramion, jak polip, rozwiana,
Kiedy się wszędzie ze wszystkiem pobrata
I wkońcu pozna, że z całego świata
Ach, najpiękniejsza ta matka kochana —
To pod mą dłonią drży rozradowana.
A druga struna wiąże się do strzechy
Tych biednych sierot, co w zniewadze giną.
I tam opieśnia ich żal bez pociechy
I te łzy krwawe, co przez nasze grzechy
Przez tyle wieków nieotarte płyną:
Że zbrodnią jest już to, co było winą.
Ta druga struna chciałaby się dostać
Do ich serc głębi, by jej tajnię głosić,
Aby rozjemcą między nami zostać,
Aby wiedziała, gdzie grozić, gdzie chłostać,
I komu kazać, i kogo poprosić,
I jakie modły do Boga zanosić.
A trzecia struna, moja struna złota,
Pnie się do nieba jak sznurek pajęczy,
A tam niebieskie, zasunięte wrota
Tak gęstą siecią ciekawie obmota,
Że każde słowo wyroków oddźwięczy,
Każda wieść zbiegnie po takiej poręczy.
I po tej strunie płynie wielka skarga,
Skarga miljonów — ale w swoim biegu
Za każdym ruchem mojem sercem targa:
Tak przy gorącej modlitwie drży warga,
Tak, kiedy łabędź swą piersią ze śniegu
Rozbija fale, drży lilja u brzegu.
Biada, o, biada temu, kto znieważy
Świętą tę harfę, spowitą w całuny!
Piętno mu hańby wycisnę na twarzy,
Każda go struna przeklnie i zaskarży

Przed sądem Boga; nad nim te trzy struny
Dzień i noc świecić będą, jak pioruny!
Lecz oto wiedzie nas gwiazda zaranna
W czas obiecany światłością obroczą:
Wtedy z tej harfy melodja skalana
Uderzy w niebo: Hosanna, hosanna! —
Wtedy te struny w jedną się połączą
I pieśń rozpoczną, co wieki nie skończą.

Zawiana chata.

Chato polskiego chłopa, zasypana śniegiem!
Kiedy nad tobą, cichą, nocne wiatry wyją,
Podobnaś do mogiły; kto zgadnie, że żyją
W tobie ludzie, dla bezsnu wstający do pracy?
Ledwie północ poddaszni obwołają ptacy,
Już się budzisz, czerwonem już świecisz łuczywem;
Kobiety pieśni tęskne nucą nad przędziwem,
Razem z nicią zwijają swój żal na wrzeciona;
Gospodarz nudzi sobą, wyciąga ramiona,
To majaczy przy ścianach, to siada na ławie,
Często za próg wychodzi, wyglądając słońca:
W niebie i w myśli jego noc a noc bez końca!
Nad łożem nie migoce mu szlachecka szabla,
Dzienną złocąca troskę wspomnieniem o sławie...
A spłonie świt — weselszy chwyta za łopatę,
W świat, w jasność, w przyszłość lepszą wygrzebuje chatę...
Z niej ku słońcu ofiarne ciągną dymy Abla.

Za służbą.

Przyszło bose w brudnej koszulince
I stanęło spokojnie u progu —
Chłopskie dziecię, dziewczę pięcioletnie,
Złotowłose, w twarzy żółte szpetnie;
Oczka żywe, choć pół płaczu w mince.
Wnet je ujrzał anioł mego domu.
— Co chcesz dziecię moje?
— Sława Bogu!

— Na wiek wieków — co chcesz dziecię moje?
— Ta, za służbą... o, pies, ja się boję!
— Pies ten złego nie robi nikomu.
Chodź tu bliżej, bliżej — A czyja ty?
— Ta niczyja —
— A gdzież matka?
— Zmerła maty.
— A twój ojciec?
— Ojciec w karczmie siedzi.
— Cóż ty robisz?
— Żywią mnie sąsiedzi.
Czasem dadzą, a czasem nie dadzą;
W zimie często do pierza posadzą,
Teraz nie... Pan Bóg mnie hoduje
Jagodami... ot, człowiek bieduje...
— Jaki człowiek?
— Ta ja, pani miła.
Źle na wierzchu ziemi być sierotą —
Ciężkie życie — lepiej gdzie mogiła,
Tam, gdzie matka...
— O, moje ty złoto!
Takie małe, tak mówi rozumnie!
To ty, dziecię, ty chcesz służby u mnie?
Cóż ty umiesz?
— Ta chatę zamiatać,
Wodę przynieść...
— Figle umiesz płatać?
(Ono myśli długo) — Także umiem,
A i gęsi ludzkie paść rozumiem...
Czy ty głodna?
— O, o, bardzo głodna!

O, ty, ziemio polska, ty zawodna!
O, ty, ziemio polska, tak bogata,
Że wyżywić mogłabyś pół świata,
A dla własnych dzieci nie masz chleba! — —
Bujne twoje łąki, żyzne niwy,
Zawsze pełne rosy twoje nieba,
A podobnaś do popiołów urny,
I twój naród chodzi smutny, chmurny,
Często grzeszny, ach, bo nieszczęśliwy!

O, ty, ziemio polska, ty zawodna!
Taka strojna liceм i swobodna:
Grzybne twoje lasy, wody hojne,
Kwietne twoje sady, pszczoły rojne,
A dla większej części swego rodu,
O, nie owoców już ani miodu,
Ale nie masz nawet chleba, chleba!

Oto dziecko ledwie nie z kołyski,
Smutne patrzy na twoje połyski,
Już dojrzało, już nieszczęściem stare,
Rozwinęła już jemu potrzeba
Myśl i serce — i już traci wiarę;
Ledwie mówić umie, już się skarży
I o grobie, niby starzec, marzy...
O, ty ziemio, ty macocho gminu!...

Gdzie me dzieci? Chodź tu, chodź, mój synu,
I ty, drobny w pieluszkach — tu chodźcie!
Usta wasze uśmiechem osłodźcie,
Powitajcie tę siostrzyczkę waszą.
Ta, co zmarła, równie była małą.
Niech was plamy w koszulce nie straszą,
Bo, jak wasze, białem jest jej ciało;
No, rączkami twarz jej pogłaskajcie,
Ale naprzód jeść, o, jeść jej dajcie!

Skargi Jeremiego (Część. I [1])

Słowo Jeremiego.

Jeremi, sługa ludu, syn ziemi natchniony,
Wyleciał nad obłoki, jako ptak zraniony,
I patrzał w swoją matkę, co pod jego okiem
Płonęła, niby lampa, przykryta obłokiem,

---

[1]) Część I. *Skarg Jeremiego* napisana w r. 1846, składa się: *a)* z części wstępnej *Słowa Jeremiego, Pieśń Zemsty, Noc natchnienia; b)* z 12 modłów; *c)* z dodatku *Krzyż a miecz, Modlitwa,* ta ostatnia z r. 1860). Część II. napisana po r. 1863, w różnych czasach, zawiera 16 liryk.

I dumał nad jej życiem, tak bladem i niskiem.
Aż oto światłość owa czerwieńszym połyskiem
Buchnęła i gwar dziki powiał od niej nagle...
A więc zwinął Jeremi białych skrzydeł żagle
I spuścił się z błękitu...
Patrzę... moją ziemię
Krew zalała!... To wróg moje pomordował plemię.

Jeremi, sługa ludu, syn ziemi natchniony,
Co wzleciał nad obłoki, jako ptak zraniony,
Uczuł, jak krew płynęła z jego dawnej rany,
Bo z braćmi pobitymi był sercem związany;
A więc upadł z obłoków — bo swej krwi kropelkę
Chciał dorzucić w czerwone to jezioro wielkie...
Bo pragnął na biednej matki swojej łonie
W sen pieśni ukołysać rozmiotane skronie.

Na ziemi jego ojców biły łuny krwawe,
Krzyk rozpaczy przedzierał się przez śmiech i wrzawę;
Pośród ogniów szatana przemykały posły
I worki z srebrnikami dla Judaszów niosły!
A za nimi dziecz ślepa z wyciągniętym nożem
Szła, jak plaga, strącona karaniem nie bożem;
Gdzie przeszła, zapadały domy — groby rosły!

Jeremiemu krew wrząca skoczyła do skroni
I mniemał, że miecz dzierży archanielski w dłoni —
I okiem, iskier pełnem, spojrzał po narodzie
I mniemał, że w nim duszę odbije jak w wodzie.
A przy drogach, jak stare pochylone słupy,
Sterczeli ludzie. Spojrzał im w twarz: żywe trupy!
Bo wszyscy skamienieli, nikt bolem nie władał:
Kto pod ciosem nie upadł, ten z niemocy padał!
I, widząc to, Jeremi spłonął strasznym gniewem
I ze snu chciał ich zbudzić brzękiem, słowem, śpiewem;
Więc na górę z rumowisk podniósł się po zgliszczach,
I, mieczem bijąc w lutnię, ćwiczoną na mistrzach,
Łunami obleczony i dymem owiany,
Uderzył w hymn, jak jego serce potargany.

Pieśń zemsty.

Razem głosy, dłonie razem,
A niepróżne dłonie;
A ty, zahucz nam na ucztę,
Sycylijski dzwonie [1]).
Już oddawna chytry wróg
Krwią frymarczy laszą;
Naszą krzywdę święcąc, Bóg
Święci zemstę naszą.
Póki starczy w żyłach krwi, pó-
[ki w piersiach tchu:
Zemsta mu!

Pan miłuje zapał siły,
Nie bezmocy trwogę;
On rzekł: Kto sobie pomaga,
Temu dopomogę.
Wżdy z pod stopy lichy
[płaz
Na wolność się pręży;
Mamyż leżeć, jako głaz,
Gdy nas wróg ciemięży?
Hej, olbrzymów dawna krwi,
[obudź nas ze snu:
Zemsta mu!

Wróg podobny do onego
Zdeptanego węża,
Jednych kusi, drugich truje,
A wszystkich rozprzęża.
Póty jemu w świecie stać,
Póki mętne mątnie·
A więc on na rodną brać
Zbroił dłonie bratnie?...
Za tysiące spadłych głów na
[katowskim pniu:
Zemsta mu!

I wróg, ten dziki satrapa,
Hańbi nasze córki,
I przy pieśni niewolników
Szare kręci sznurki;
Potem w ziemię wbija słu
Porywa nam syna
I na czarnych ptaków łup
Na sznurku upina...
Więc za każdą taką nić skrw
[wionego ln
Zemsta mu!

Słowo święte, słowo wiary
Wróg oddechem ziębi,
A więc pieśń o zemście nasz
Skryjmy w serca głębi!
A tam tajnie niechaj w nien
Jak wulkan, się chowa,
(Tak w pieczarach dawr
[Rzy
Skrywał prawdy słowa).
Aż wyleci kiedyś w świat n
[kształt pieśni chrzt
Zemsta mu!

A ty, Panie, co w swem rę
Ważysz nasze losy,
Boże wielki, dla tej pieśni
Otwórz swe niebiosy!
A gdy przyjdzie ów dzień nas
Ów dzień upragniony,
Ty aniołom swoim każ
W cztery świata strony
Na miedzianych trąbach
[grzmieć hasłem w onym dni
Zemsta mu! Zemsta mu! Zem
[sta m

[1]) Aluzja do t. zw. nieszpór Sycylijskich z r. 1282.

I odśpiewał Jeremi tę pieśń, rwącą szałem,
I wychylił się za nią duszą, sercem całem.
Drgnął naród — lecz za chwilę, ściągnięty łańcuchem,
Znowu opadł — bo bożym nie odetchnął duchem,
I nie w Bogu, lecz w zemście ze snu się obudził.
A Jeremi, gdy poznał, że swe skrzydła zbrudził,
Za śladem skruszonego króla i proroka
Chciał zapłakać — i, ręką gdy sięgnął do oka,
To zamiast łzy krew sępia spłynęła mu z powiek:
I poznał, że u Boga niżej stał — niż człowiek!
A więc czołem uderzył, jak syn się rozżalił,
I panu na ofiarę całą duszę palił,
I przed progiem kościoła długo pokutował;
Aż wkońcu Pan w litości język mu rozkował,
Ażeby, modląc Jego — imię Jego chwalił.

O, mój ludu! Krwią moją są te pieśni moje!
Jam je, jak w arkę świętą, złożył w ręce twoje;
Niechaj gra w twych natchnieniach, niech w twych żyłach płynie,
Niech, wrogom urągając, w tobie nie zaginie,
A innego pręgierza nie trzeba dla wroga...
Dla szatana najsroższą karą — «Chwała Boga»!

Noc natchnienia.

Poglądam w niebo — a niebo ciche,
Patrzę na ziemię — a ziemia śpi,
Ona, co we dnie miota się w pychę,
Ona, co we dnie broczy się w krwi.
A teraz księżyc srebrną pogodą
Obrylantował rosisty wrzos,
I stoją senne wierzby nad wodą,
A wiatr leciuchny muska im włos;
Wonieje ziemia i płoną zorze...
Mój Boże — Mój Boże!...

Wzlatuję w górę, między obłoki,
Z jaśni błękitu pozieram w dół;
Widzicie! Oto kraj nasz szeroki,
Jak zastawiony dla gości stół!

Różnowzorowym kryty kobiercem,
Na nim chleb biały i sól i miód;
Jak siwy gazda z otwartem sercem,
Łańcuch gór śnieżnych wystąpił wprzód;
Puharem stoi jedno, drugie morze...
Mój Boże — Mój Boże!...

A na tej ziemi lud się położył,
Lew — co przed światem straż trzymał wciąż,
Gdy wstrząsnął grzywą, gdy brew nasrożył,
Kłębem się zwijał pogaństwa wąż;
A żywot jego, jako stal, twardy
I w słońcu wiary błyskał, jak stal,
Przed Bogiem korny, sąsiadom hardy,
Rozrastał w sławie... Toż szumem fal
Klaskało jemu jedno, drugie morze...
Mój Boże — Mój Boże!

A oto patrzcie — tę ziemię błogą
Zbójca grabieżnik naszedł — nie gość,
Nasze świątnice niszczył pożogą,
Naszej przeszłości wyrządził złość.
A oto patrzcie — gdy, krusząc pęta,
Z ciężkiej niemocy powstawał lew,
To chytry tygrys podmówił lwięta,
By wytoczyły ojcowską krew.
I krew płynęła w jedno, w drugie morze...
Mój Boże — Mój Boże!...

I krew spłynęła — i znów ni śladu
Po strasznej męce, po strasznej łzie;
A noc tak cicha — ...Liść winogradu
Po mojem oknie wiotko się pnie.
I białe brzozy tam stoją w rzędzie,
Drzemiące głowy ku ziemi gną,
A tam przy brzegu marzą łabędzie
O gwiazdach spadłych na wody dno.
Wonieje ziemia i płoną zorze...
Mój Boże — Mój Boże!...

Za zbłąkanych. (Modlitwa IX).

1.

Maleje, Panie, maleje Twój naród;
Widomej śmierci osłabia go zaród,
Duch jego siły z ciałem się rozprzęża,
Toć łatwiej u nas o karła, niż męża!

Niby nas wiele — a jakżeż nas mało!
Wszystko się w inną stronę rozleciało,
Twojego głosu prawie nikt nie słucha;
Pękły ogniwa — nie stało łańcucha!

Lud nasz, o Panie, co wichrzy się spodem,
Dotąd się jeszcze nie nazwał narodem;
Jak liść jesienny, zgromadzony w lesie,
Tam on ulata — gdzie go wiatr uniesie.

Do obosiecznych podobny on mieczy:
Kto nim zamachnie, wprzód siebie kaleczy,
A straszne jego i śmiertelne cięcia,
Bo on ma siłę — choć siłę zwierzęcia.

I jak łódź, długo więziona w przystani,
Zerwawszy łańcuch, buja po otchłani,
I skał niepomna, ukrytych pod wodą,
Zgubną swawolę nazywa swobodą:

Tak lud nasz wybiegł w bezdroża manowców;
A więc, Ty, Panie, coś strażą wędrowców,
Tę łódź błądzącą do brzegu nakieruj,
My jej wioślarzem — a Ty, Panie, steruj!

2.

Inni znów, ślepą trapieni bojaźnią,
Wrogu hołdują, z wrogiem się przyjaźnią;
Jadem powolnym krąży w nich zepsucie,
Pycha w nich piątrzy, a trawią ich chucie.

Jeśli się skruszą, to sercem niecałem;
Jeśli się zerwą, to krótkim zapałem;
Niezdolni wznieść się do żadnej ofiary,
Popchnięci, w przyszłość idą — lecz bez wiary.

Słabe to duchy, marne samoluby,
Syny to ciała, frymarki, rachuby;
U nich to wielkie, co stoi przed twarzą,
To tylko ciężkie, co na dłoni zważą.

Kiedy ich matka z grobu wstaje, wskrześnie,
Oni wołają: «Za wcześnie, za wcześnie!»
I każą biednej aż do jutra czekać,
A sami będą przed jutrem uciekać.

O Panie, oni jeszcze nie zgubieni,
Ale niełaską Twoją nawiedzeni;
O Panie, otchnij ich potęgą słowa,
A jeszcze życiem tryśnie pierś jałowa!

3.

Tyś wielki, Panie! Za Twoim rozkazem,
Co było miękkiem — staje się żelazem,
Co było ślepem — to przewidza nagle,
Co było niskiem — puszcza skrzydeł żagle.

Tyś wielki, Panie! Na ruch Twego palca
Zgubną moc swoją traci jad padalca,
Dla głów wyniosłych przepaść się otwiera,
A wiecznem życiem płonie — co zamiera.

CHORAŁ. (Modlitwa X, przedrukowano niżej na czele liryki powstania styczniowego).

Akt wiary. (Modlitwa XII).

I rzekł Jeremi: Słuchaj mnie narodzie,
I nie patrz na mnie tak łzawo i smutnie!
Długom ja płakał w oliwnym ogrodzie,
Długo ja łzami rozdźwięczałem lutnię,
A teraz wstaję ciałem utrudzony,
Lecz duszą silny — wielki — namaszczony!

Oto się do was stało moje słowo,
Wy do mych kolan, jak dzieci, przybiegli;
Otom was okrył koroną cierniową,
A wy w pokorze w proch czołami legli:

Teraz powstańcie z koroną gwiaździstą
I oblekajcie szatę białą — czystą!
Ileż wy żółci nie pili kielichów!
A jednak pełni byliście obawy;
Gorycz żre duszę, lecz nie zmywa grzechów.
Teraz narodzie, tyś przebył chrzest krwawy:
Tą krwią dopiero grzechyście spłókali,
A więc do światła występujcie — biali!

Ja was utwierdzić chcę w tej świętej wierze,
A więc bierzmuję wasze dusze jeszcze,
Pieśń w archanielskie skuję wam pancerze,
Na pogląd w przyszłość dam wam oko wieszcze,
Pieśnią pogodzę was z dzisiejszym losem...
Śpiewam ją — a wy, idźcie za mym głosem!

Pieśń.

Wierzymy, Panie, o, wierzymy mocno,
Żeś nas nad wszystkich upodobał sobie,
Żeś nas zapalił, jak pochodnię nocną,
By całą ludzkość prowadzić ku Tobie,
Że nam na niebie już świta zaranie —
Wierzymy, Panie!
Wierzymy, Panie, że Ty gwiazdy siejesz
Na naszej drodze, żeś Ty naszym świadkiem,
Że, chociaż czasem słabymi zachwiejesz,
Jednak nas wszystkich chronisz przed upadkiem,
Żeś aniołami otoczył otchłanie —
Wierzymy, Panie!
Wierzymy, Panie, żeśmy syny światła,
Że nasze wrogi są dziećmi szatana,
Że on im stoi na czele i matła
Twą świętą wiarę, co niepokalana
Z triumfem skończy z nim swe bojowanie...
Wierzymy, Panie!
Wierzymy, Panie, że synowie pychy
Silni są złością, ale słabi w duchu,
Że, jak cień, żywot ich przeminie lichy,
Że ich tu jeszcze przypniesz na łańcuchu,
Że ich płacz czeka i zębów zgrzytanie —
Wierzymy, Panie!

Wierzymy, Panie, że w czas niedaleki
Kraj nasz o morza oprze swoje końce,
A wszystkie ludy przez wieki i wieki
Poglądać na nas będą, jak na słońce,
Że ty nad nami weźmiesz królowanie —
Wierzymy, Panie!

MIECZYSŁAW ROMANOWSKI (1834—1863).[1]

Nowa znajomość.

Stałem w jasne zapatrzony zorze,
We wieczorną Karpat aureolę;
Cisza była na polach i w borze,
W mojem łonie przycichały bole,
Zapomnienia tknięte ręką białą;
Serce z niebem i z ziemią się zlało.
Ciche lilje, zdobiące strumienie,
Woń z mych marzeń wzięły i śnieg biały.
Smutek duszy wzięły borów cienie,
Fale pieśni moje powtarzały;
Do stóp mi się kłoniąc po kolei,
W smutne pieśni lały dźwięk nadziei.
Więc po gwiazdach rzuciłem oczyma,
Po świecącej niebieskiej krainie.
Tam przez morza błądzi wzrok pielgrzyma,
Nim korabiem z zatoki wypłynie.
Nim porzuci ziemię, ojców domy...
Tam za morzem kraj dlań nieznajomy.
I zbliżyła się do mnie dziewica
W czystej bieli, z zadumanym wzrokiem.
Jak posągi greckie miała lica,
Szła poważnie w milczeniu głębokiem;
Szła i postać nachyliwszy wiotką:
— Jam śmierć twoja — rzekła do mnie słodko.

[1]) Wykształcił się w lwowskim uniwersytecie na wydziale prawa. Był skryptorem w Bibljotece Ossolińskich. Zginął młodo w powstaniu styczniowem, ugodzony podczas bitwy pod Józefowem kulą w czoło. Pisał liryczne utwory, opowiadania, powieści, dramaty i prace naukowe. Większa powieść: *Dziewczę z Sącza*, powstała w 1858 r., powieść prozą *Projekta*, we dwa lata potem. Tragedja: *Popiel i Piast* i fragment, *Wanda*, w przedostatnim roku życia.

Lewą ręką serce uśpię twoje,
Jako matka usypia dziecinę;
Prawą oczu ci przysłonię dwoje,
Skrzydła duszy wolno ci rozwinę
I ulecisz od bolów, jak płomień,
W światło, w życie wieczne — nowy promień.
— Niegdyś — rzekłem — niegdyś mi wróżono,
Że mą duszę weźmiesz z p o l a c h w a ł y.
Jeszcze nieba gromami nie płoną;
Czekaj jeszcze, piękny cieniu biały,
I na polu bitwy o mnie spytaj.
Teraz — nowa znajoma mi — witaj!
Stała milcząc, a nad nami w górze
Z za obłoku księżyc się wyłonił.
Do pół skronią oparty na chmurze,
Na tę białą łzy promienne ronił,
Na jej uśmiech senny, na spojrzenia.
I odeszła mówiąc: Do widzenia!

Modlitwa.

Lecę ku Tobie, jako ptak wędrowny.
Skrzydłem mi, Panie, jest serce tęskniące;
Do Ciebie rwę się, jak żal niewymowny,
Z pól, które mogił zaległo tysiące;
Lecę ku Tobie, bo mi z każdą wiosną
Łzy i nieszczęścia i mogiły rosną.
Nie błagam Ciebie, byś mi ulżył krzyża:
Napełń pierś moją bolem, jak chcesz, Panie!
Nie żądam, by dziś błyskawica chyża
Z niebios zabłysła nam na zmartwychwstanie;
Jeno mi w duchu rozmnóż tyle siły,
Bym mógł się patrzeć z wiarą w te mogiły!
Najsilniej — kiedy będą się zapierać
Moich gniazd orlich — Ty wspieraj mię, Panie!
Bo przeklinając nie chciałbym umierać —
I lwa ryk wolę, niż podłych sykanie;
Więc niech zapomnę o podłości bratniej —
Niech stoję — choćby grobów stróż ostatni.

Trzy sztandary.

Trzy w szczerem polu gromady stały,
A trzy nad niemi sztandary wiały.
Więc ci, co z prawej na polu stali,
Sztandar niebieski w górze trzymali;
Po lewej stronie ogniste grono
Wzniosło chorągiew w górę czerwoną.
A między nimi, patrząc nieśmiało,
Stała gromada z chorągwią białą;
I, jakby ducha nie miała w łonie,
Chwiała się ku tej i tamtej stronie,
A czasem jeszcze, nie wiedzieć czemu,
Dawała pokłon komuś trzeciemu...
I rzecze prawa lewej: — Wstecz!
Bo nasz z dawniejszej stali miecz.
Lewa odrzecze: — Wyście próchno!
Oddechy wasze grobem cuchną.
Więc prawa znowu: — Z drogi szał:
Nasz naród na przedzie zawsze stał.
A lewa na to: — Z nami! Z nami!
Bo was zostawim i pójdziem sami.
— My nie rozstrzygniem — rzecze nieśmiało
Chwiejna gromada z chorągwią białą.
Więc się tymczasem trzeciemu kłoni,
Co się zwać kazał panem tej błoni.
I kiedy to się działo na ziemi,
Tkwił ptak ze skrzydły, jak śnieg, białemi
W chmurach, i czekał, która gromada
Ponad innemi górą zawłada.
A gdy doczekać tego nie może,
Zakracze smutnie: — Mocny mój Boże!
Gdzieżby to oni zaszli już byli,
Gdyby z trzech — jeden sztandar zrobili!

Rok 1862.

Idzie ku nam, idzie Pan już w chwale.
Utęsknione serce go przeczuwa,
Drży przyroda, niebo się zasuwa,
Lilja chowa kwiat we wód krysztale,
Sprawiedliwy idzie ku nam w chwale!

Wstańcie smutkiem do mogił przykuci!
Coście niemi? Co was lęk przechodzi?
Idzie ojciec, ziemia się odrodzi,
Zmartwychwstania dreszcz ze snu ją cuci,
Wstańcie smutkiem do mogił przykuci!
Biada zbrodniom! Już je anioł waży
Zawieszoną na niebiosach wagą;
Przy nim drugi stoi z szablą nagą,
A gniew boży płonie mu na twarzy;
Biada zbrodniom! Już je anioł waży.
On tę szablę ognistą połamie
Na tysiące — i z góry ją rzuci;
Błogo temu, co się dotąd smuci!
Jako szermierz ma zbawienia znamię,
Już rycerskie jutro wzniesie ramię.
Jutro burza, jutro rykną gromy!
Pan je wszystkim nad głowę zapali,
Pan, zbrodniarza oczom niewidomy,
Jutro z prochem zrówna jego domy,
Piorunami z tronu go powali.
Chwała Panu! Idzie ku nam w chwale,
Utęsknione serce go przeczuwa,
Drży przyroda, niebo się zasuwa;
Anioł spuścił na dół zbrodni szalę,
Sprawiedliwy idzie ku nam w chwale.

Sestyny. (Finale).

Lećcie me pieśni, niech wam towarzyszy
Szczęśliwa gwiazda pod gościnne strzechy!
Zwiastujcie burzę śród gniotącej ciszy,
Smutnych pozdrówcie dźwiękami pociechy;
Lećcie, witajcie ludzi po kolei,
Jak ptactwo, wiosny okrzykiem, nadziei.
Może już innych pierś ma nie wyśpiewa,
Może wy natchnień ostatnim wyrazem!...
Dni piorunowych serce się spodziewa,
Stwardniała ręka tęskni za żelazem;
W powietrzu słychać pobudkę na boje!...
Już czas!... Już czas nam!... Lećcie pieśni moje!

O gdybyż kiedyś, po złamaniu wroga,
Polskiej krainie zaśpiewać na chwałę!...
Żegnajcie pieśni!... Przyszłość w ręku Boga —
Z sztandarów w pole patrzą orły białe;
Wrzącym strumieniem krew po żyłach bieży,
Lono przebiega dreszcz, lecz serce wierzy.
Jeśli polegnę, niechaj mi w nagrodę
Za was nie kładą pamięci kamienia.
Ziemią niech piersi przysypią mi młode;
Mój kurhan niech mi trawa ozielenia,
A gdy majowy deszcz ten kurhan zrosi,
Niech nad nim ptak się, jak mój duch, — unosi.

Z liryki powstania styczniowego.

KORNEL UJEJSKI.

Chorał. [1])

Z dymem pożarów, z kurzem krwi bratniej]
Do Ciebie, Panie, bije ten głos;
Skarga to straszna, jęk to ostatni,
Od takich modłów bieleje włos.
My już bez skargi nie znamy śpiewu,
Wieniec cierniowy wrósł w naszą skroń;
Wiecznie, jak pomnik Twojego gniewu,
Sterczy ku Tobie błagalna dłoń!

Ileż to razy Tyś nas nie smagał!
A my, niezmyci ze świeżych ran,
Znowu wołamy: On się przebłagał,
Bo On nasz Ojciec, bo On nasz Pan!
I znów powstajem w ufności szczersi,
A za Twą wolą zgniata nas wróg
I śmiech nam rzuca, jak głaz, na piersi:
— A gdzież ten Ojciec, a gdzież ten Bóg?

---

[1]) Napisany w 1846, śpiewany już w 1863. Stanowi dziesiątą modlitwę *Skarg Jeremiego*.

I patrzym w niebo, czy z jego szczytu
Sto słońc nie spadnie wrogom na znak...
Cicho i cicho — pośród błękitu,
Jak dawniej, buja swobodny ptak.
Owóż w zwątpienia strasznej rozterce,
Nim naszą wiarę ocucim znów,
Bluźnią ci usta, choć płacze serce:
Sądź nas po sercu, nie według słów!

O, Panie, Panie! Ze zgrozą świata
Okropne dzieje przyniósł nam czas:
Syn zabił matkę, brat zabił brata,
Mnóstwo Kainów jest pośród nas.
Ależ, o Panie, oni nie winni,
Choć naszą przyszłość cofnęli wstecz;
Inni szatani byli tam czynni;
O, rękę karaj, nie ślepy miecz!

Patrz, my w nieszczęściu zawsze jednacy,
Na Twoje łono, do Twoich gwiazd,
Modlitwą płyniem, jak senni ptacy,
Co lecą spocząć wśród własnych gniazd.
Osłoń nas, osłoń ojcowską dłonią,
Daj nam widzenie przyszłych twych łask,
Niech kwiat męczeństwa uśpi nas wonią,
Niech nas męczeństwa otoczy blask!

I z archaniołem Twoim na czele
Pójdziemy potem na wielki bój,
I na drgającem szatana ciele
Zatkniemy sztandar zwycięski Twój!
Dla błędnych braci otworzym serca,
Winę ich zmyje wolności chrzest,
Wtenczas usłyszy podły bluźniercza
Naszą odpowiedź: B ó g b y ł i j e s t!

JADWIGA ŁUSZCZEWSKA (DEOTYMA). [1])

Dzwon pogrzebowy. [2])

Szczyt naszych cierpień strzelił, jako wieża,
Błysk, jak dzwonnica, sklepieniem skrwawionem
I cały naród stał się wielkim dzwonem,
Gdzie jedno serce uderza!
To dzwon pogrzebu! Tak, stu lat pogrzebu!
Naród już w niebo wysłał gońców, — oni
Przyspieszą dzieje i powiedzą niebu,
Że serce polskie znów dzwoni!
Ten dzwon obudzi w Europie dreszcze,
Nutą ofiary, swą nutą jedyną,
Powie, że Polska nie zginęła jeszcze,
Gdy jeszcze za Polskę giną!
Ten dzwon zadzwonił na godzinę cudów
Ewangelicznej, bezprzykładnej wojny!
Pomiędzy szranki zbrojnych mieczem ludów
Wchodzi lud palmą zbrojny!
Tylko pod palmą gaj oazy rośnie,
Pustynia żarem pod stopą się płoni;
Lecz idźmy! Dojdziem ku źródłom i wiośnie,
Jeśli iść będziem dłoń w dłoni!
Wszak jest najświętszą przysięga na grobie!
Męczeńskie świadki męczeńskiego zgonu,
Na grobach ofiar przysięgnijmy sobie
Spiżową harmonję dzwonu!

J. BOHDAN ZALESKI.

Do wtóru. [3])

Do wtóru, bracia, do wtóru! Lud wielki wstaje do chóru
Drgnieniem serc oto tajem- Nad Wisłą, Dnieprem i Nie-
[nem [mnem.

[1]) Jadwiga Łuszczewska, znana pod pseudonimem «Deotymy», ur. 1834, głośna swego czasu improwizatorka, ogłosiła zbiory swych improwizacyj w latach 1854 i 1858, a także kilka większych poematów, z których cykl p. t. *Polska w pieśni.* Tejże poetki powieść historyczna: *Branki w jasyrze.*

[2]) Na pamiątkę pogrzebu ofiar, poległych dnia 27 lutego 1861.

[3]) Na święto horodelskie 10 października 1861. (Unja w Horodle 1414).

Przy wiekopomnem tem świę-
Bieży spłakana rodzina, [cie
Litwin w Polaka objęcie,
Polak w objęcie Litwina!
Spólnać nam w niebie królo-
I spólni święci patroni, [wa
I spólna chwała bojowa
Pod znakiem Orła, Pogoni!
Darmo car czudzki, car wraży
Zwaśnić nas dzisiaj się kusi,
Litwa dostoi na straży
Polskiej, zaleskiej swej Rusi.
Wiary, wolności my dzieci,
Siedzący na czas w omroce,
Wyjdziem z wiekowej zamieci,
By zwalczać ciemne jej moce.
Całe nas piekło nie zmoże,
Ni się ojcowie z nas gorszą,
Wystąpim znów w imię boże,
Jak pod Grunwaldem[1]) i Orszą[2]).
W kościele my się zbratali,
W kościele gniemy kolana,
Wszelki duch Boga bo chwali,
Wszelki duch patrzy na Pana!
Jeszczeż ofiary potrzeba?
Naszać rokroczna, stuletnia
I oto woła do nieba
Świeża z lutego i kwietnia...[3])
Skinieniaż Pańskiej wszech- [mocy
Wiarą, miłością pancerni,
W jęk nawołujem sierocy,
Gardząc groźbami tam czerni.
O Litwo! Siostro i drużko,
Pierwsza ty ujrzysz znak cudu,
Wódz ludu — twój to Ko- [ściuszko,
Twój to Mickiewicz — wieszcz [ludu!

TEOFIL LENARTOWICZ.

Łazarzu, wstań.[4])

Dojrzewa owoc łez,
Już bliski bolów kres,
Jęków i łkań;
Zdziwiony słucha wróg,
Z nad grobu woła Bóg:
Łazarzu, wstań!
Pochwalne hymny nuć,
Spowicia grobów rzuć,
Świadectwo złóż:
Że jest na niebie Pan,
Że wszelki ból Mu znan,
Żeś wezwan już!
Patrz, jaki wkoło dziw,
Żeś westchnął, żeś już żyw,
Łazarzu mój!
Toż Jam obiecał ci,
Że przyjdą bolów dni,
Że śmiercią bój!

[1]) Bitwa pod Grunwaldem 1410 r. — [2]) Pod Orszą (mst. pow. w województwie Witebskiem) w r. 1508 Zygmunt I z naczelnym wodzem, Mikołajem Firlejem, pobił Moskali, w r. 1514 hetman Konstanty ks. Ostrogski na głowę poraził Moskali, trzecie nad nimi zwycięstwo odniósł w r. 1564 hetman M. Radziwiłł. — [3]) W dniach 27 lutego i 8 kwietnia 1861 r. strzelali Moskale do bezbronnego ludu w Warszawie.

[4]) Wiersz na cześć 27 lutego 1861 r.

Powstałeś, jakoś padł,
A wróg przed tobą zbladł
I dał ci cześć;
Święty go przejął srom,
Pokłonił się twym łzom,
Ócz nie śmiał wznieść.
Zawstydził się swych strzał,
Boś z nagą piersią wstał,
A miecz — twój jęk;
I tak się spełnił cud,
I stopniał lodów lód,
W łez morze wsiąkł.
Bezbożnych zdala rzesz,
Mówiłem: wierz, o wierz!
Jam stworzył świat!
Jam ci odebrał dech,
Proch na cię miótł i śmiech
W żałobie lat.
W grób — twój złożyłem zwłok,
Lecz duchem obmył wzrok,
By przejrzał raz.
Nieziemskie oko wbił
W świat potęg, cudów, sił,
Byś z źródła prawdy pił
Na przyszły czas!
To dziś już grobów dość,
Skruszona wrogów złość,
Co gniotła krtań!
Spowicia grobów złóż,
Łzom twoim koniec już:
Łazarzu, wstań!

MIECZYSŁAW ROMANOWSKI.

Sawannah. [1])

Obozem hufce stanęły na błoniach
Spocząć; Pułaski [2]) spoglądał na morze,
Złote się gwiazdy migotały w toniach
I rubinowe kąpało się zorze;
Fala za falą wstawała z zwierciadła
I szła i do nóg wodzowi się kładła.
Koń jego trawę pasł nad morskim brzegiem
I strzemionami dzwonił, idąc błonią:
Tak mu bywało, gdy stawał noclegiem
W Polsce; po siołach na pacierze dzwonią,
A z pól wracali do chat robotnicy
Na sen, pod skrzydła Marji dziewicy.

---

[1]) Savannah (czyt. Szewane) — miasto w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, odbite w r. 1782 przez Amerykanów na Anglikach.

[2]) Kazimierz Pułaski, najdzielniejszy z wodzów konfederacji barskiej, po ustąpieniu z Częstochowy przed wojskami koronnemi i rosyjskiemi wyemigrował do Ameryki, gdzie w wojnie o wolność Stanów zginął.

Czy wy od Polski, fale? Czy wam znany
Dniepr i zielone ponad Wisłą pola?...
Ósmy rok, zdala od ziemi kochanej,
Po obcych błoniach goni go niedola.
A jeśli spocznie, jak żóraw na straży,
Za Polską wodzi oczyma — lub marzy.
Mógł on na Moskwę Częstochowę zwalić
I paść, jak Samson, pod gruzem kościoła,
Lecz wolał Polsce Palladium [1]) ocalić;
Poszedł i czekał, aż go znów powoła...
I ofiarował Bogu dumną sławę,
Obcej wolności bronić wsiadł na nawę.
Jeden z nim tylko druh konfederacki
Poszedł za morza na wspomnienia smętne;
Na bojach żywot leci mu tułacki;
Szkaplerz położył na serce namiętne,
A w ręku szabla, grom na wrogów głowy,
Szabla z Najświętszą Panną z Częstochowy.
I pozostały mu dotąd z pól carskich
Ten sam wzrok orli, ten sam duch marsowy,
Z któremi padał na służalców carskich
Lub stał na murach świętej Częstochowy;
Blask mu na czoło bije od oręża,
A kędy oręż obróci — zwycięża.
I krwią przed Nowym opisał się Światem,
Jak stawa Polak na zgnębionych zdrowie!
Toż bohaterskim nazwali go bratem
Amerykańskich pokoleń wodzowie.
Na dumę świata szlachetną miał duszę,
A pod laurami krył serca katusze.
Ty jedna, święta Rodzicielko boża,
Znałaś to serce — wielkie, skołatane!
Tobie on tylko, jasna Gwiazdo morza,
Każdą śmiertelną pokazywał ranę!
Skrzydłem Ty orlem byłaś jemu w bitwie,
A prowadziłaś przed Bogiem w modlitwie.

---

[1]) Palladium (gr. palladion) w starożytności oznaczało wizerunek Pallas-Ateny, czczony jako symbol publicznego powodzenia. Sławne było palladium trojańskie, które wykradł Odysseus z Diomedesem.

O, ucisz, Panno, to serce spokojem,
Miłości jego daj rzeźwiącą wiarę!
Na morskim brzegu usnął wódz przed bojem,
Po niebie cicho szły obłoki szare,
Duch jego smętny odmawiał różaniec,
Gwiazdy szły gasnąć na zachodni kraniec...
Już świt. — Już wrzasły trąby ostre głosy,
Słońce wnet błysło na morze i błonia;
Pułaski szablę otarł z rannej rosy,
Przeżegnał piersi i wskoczył na konia;
Mgła się po ziemi rozścieliła ranna,
Wódz pomknął, za nim grzmiało: Na Sawannah!
Niegdyś mu grzmiała pieśń konfederacka,
Orły mu sine wskazywały drogi,
Kiedy na wrogów rankiem szedł znienacka,
Wpadał na działa i siekł co do nogi.
Takiej tu pieśni nikt mu nie zanuci;
Orły czekają w Polsce — czy nie wróci.
Smutny więc jechał — i do towarzysza
Mówił o swoim zgubionym szkaplerzu:
— Wkrótce, mój bracie, będzie w sercu cisza
I drobna prochu garść po twym Kaźmierzu;
Zły znak!... Duch czuje drogę, bracie miły!
Jam się spodziewał w ojczyźnie mogiły.
Na naszych błoniach mijały mnie groty;
Nie było dane dłoni mej kraj zbawić!...
Inny się zjawi jakiś anioł złoty
W rycerskiej piersi, by ten ród naprawić.
Nieszczęście wielkie — wielkich dusz kołyską;
Kto wie — ten anioł może mnie już blisko.
Bez sakramentów zginę!... Bądź Twa wola!
Rzekł, a Sawannah już mu widne z dali;
Cwałem więc z jazdą kopnął się na pola,
Kędy Anglicy szeregami stali
I usypane reduty ze szańców
Siały kartaczów gradem na powstańców.
I w porę przypadł, bo pod jego wzrokiem
Wrzała już bitwa, zaczęta wśród łanów.
Już szli Anglicy wyciągniętym krokiem
Z bagnetem w ręku na Amerykanów;

Wnet jedna chwila los bitwy przeważy...
A jemu zapał zajaśniał na twarzy.
Naprzód! I w dwieście poskoczyli koni,
Za bohaterem lecieli na działa;
Wiatr ich zaledwie dościgał po błoni;
Szable migały w słońcu, ziemia drżała,
I przełamali Anglików dwa fronty,
A wtem błysnęły na okopach lonty.
Zagrzmiało... Jezus Marja! — wódz krzyknął —
I padł; — zwycięzca padł na polu chwały —
I skonał śmiercią do której przywyknął;
I leżał z szablą swą, jak posąg biały,
I Bóg mu rozlał na obliczu ciszę;
Wkoło płakali druh i towarzysze.
I usypali mu grób pod Sawannah
I krzyż na grobie zatknęli brzozowy;
Niech cię przed Boga wiedzie święta Panna
Tak, jak ty w taniec wodziłeś bojowy!
A módl się za nas, niech nam Bóg obudzi
Takiego, jak ty, pośród wiernych ludzi.

FELICJAN FALEŃSKI. [1])

Śpiew idących na śmierć (1863).

Idziemy. W oczach świat cały się przemyka,
Skrwawione bicze plecy nam sieką,
Nigdzie błękitów, nigdzie promyka...
Daleko jeszcze?
Ho, ho! Daleko!
Idziemy. Wszędzie kurzące zgliszcze,
Z chat ojców dołem dymy się wleką,
Siecze grad z deszczem, — wiatr zimny świszcze...
Daleko jeszcze?
Ho, ho! Daleko!

[1]) Felicjan Faleński (1825—1910), jeden z wybitniejszych poetów doby poromantycznej, pisał poezje liryczne powieściowe i dramatyczne, przekładał z literatury greckiej *Hesjoda,* łacińskiej *Juvenalisa,* *Horacego,* włoskiej *Petrarkę.*

Idziem, — jak oczy zasięgnąć mogą.
Bieleją kości słoneczną spieką, —
Stąpamy po nich, trzeszczą pod nogą...
Daleko jeszcze?
Ho, ho! Daleko!
Idziemy — sowa huczy w oddali,
Wpoprzek po piaskach strugi łez cieką.
Pić, pić — wołamy — w gardle nam pali.
Daleko jeszcze?
Ho, ho! Daleko!
Idziemy dalej, tam znów pies wyje,
Wpoprzek krew wrząca wylała rzeką.
Brniemy do kolan, po pas, po szyję...
Daleko jeszcze?
Ho, ho! Daleko!
Panie nasz, Panie, jak Tyś szedł z krzyżem,
Tak my dziś trumny dźwigamy wieko —
A do Golgoty kiedyż się zbliżym?
Daleko jeszcze?
Ho, ho! Daleko!
Idziemy dalej. Znój skrapia lica,
Szumi pomięte zewsząd ściernisko...
Patrzcie na skraju: — O, szubienica! —
Daleko jeszcze?
Blisko już, blisko!
Przecież! Będziemy mieli tam ciszę,
Tam aby spokój? — słodki nasz Chryste!...
— Wiatr was rodzinny w sen ukołysze,
Spowiją w całun tumany mgliste...
— Czy nas kto wspomni? — Na waszej stypie
Sama niebieska zapłacze Pani
I własna ziemia proch wasz przysypie,
Bo wyście jeszcze z wielu wybrani!

II. 1864—1890.

WARUNKI ROZWOJU LITERATURY W TRZECH ZABORACH W LATACH 1864—1890.

W Galicji stosunki polityczne układały się coraz korzystniej zwłaszcza po ogłoszeniu dla Przedlitawji t. zw. «Konstytucji grudniowej» (z 21-go grudnia 1867 r.) z Radą Państwa, jako władzą prawodawczą. Za namiestnika Galicji, Agenora Gołuchowskiego, dokonało się tu zupełnie spolszczenie szkół i urzędów; interesami kraju opiekował się w rządzie centralnym osobny dla Galicji minister; namiestnikami byli Polacy; głównym organem krajowej autonomji był sejm z Wydziałem krajowym, jako władzą wykonawczą i podległemi mu Radami powiatowemi. Koło polskie w Radzie Państwa zdobywało stopniowo naczelną rolę w całej połowie monarchji, był nawet okres, kiedy w ministerstwie tej połowy Polacy przeważali. Wobec rysującej się coraz wyraźniej kolizji interesów austrjackich z jednej strony, a rosyjskich z drugiej, zwłaszcza na Bałkanie, zdawała się realne podstawy zyskiwać idea stronnictwa zachowawczego, czyli t. zw. «Stańczyków», zmierzająca do przyszłej niepodległości Polski w federacji z Austrją. Złudne to, jak okazała przyszłość, zapatrywanie, niedość krytycznie oceniające zależność Austrji od potężnego cesarstwa niemieckiego, podzielały przy końcu tego wieku wszystkie stronnictwa. Trzeba jeszcze dodać, że naczelny zarząd armji austrjackiej wraz z całą jej centralistyczną i absolutnej władzy podległą organizacją niezależny był od parlamentu, nie objęty był także ustawą językową, pozostał przeto aż do wielkiej wojny organem germanizacji, zawsze wrogo usposobionym wobec dążeń narodów nie niemieckich.

W takich stosunkach politycznych zaczęła się Galicja dźwigać z dotychczasowego zastoju. Zaraz po roku 1863 rozbudziła się tu ważna i bardzo ożywiona polemika polityczna. Zwalczały się dwa po-

lityczne prądy: zachowawczy i postępowy. Pierwszy przypisywał klęski Polski samym Polakom, ostro występował przeciw wszelkim politycznym konspiracjom, domagał się bezwzględnej prawdy w dziejowych badaniach, zwłaszcza szczerego krytycyzmu w ocenie wszelkich ujemnych stron przeszłości, a na teraz pragnął z rozbicia «ocalić bodaj cień bytu na drogach legalnych». Zwolennicy tego prądu skupili się w krakowskim *Czasie* i miesięczniku *Przeglądzie Polskim*, założonym w r. 1866. Najwybitniejszy z tego stronnictwa, Józef Szujski[1]), ogłosił w r. 1867 program w piśmie *Kilka prawd z dziejów naszych*, przyjęty przez całe stronnictwo jako zasadniczą normą politycznego działania. W r. 1869 wyszła tegoż stronnictwa ogłoszona w *Przeglądzie Polskim* rozgłośna satyra polityczna w formie 17 listów p. t. *Teka Stańczyka*[2]). Satyra ta, od której całe stronnictwo nazwano *Stańczykami*, w gryzącej formie wydrwiwała przedewszystkiem t. zw. «warchołów», zasadzających cały patrjotyzm na szumnych manifestacjach, frazesach, tajnych spiskach i ruchawkach; nie pobłażała ona jednak także innym objawom politycznej głupoty, czy sobkowstwu lub karjerowiczostwu (np. typ Polonjusza, typ Liberjusza Bankrutowicza). Tym opinjom przeciwstawił się osiadły w Dreźnie J. I. Kraszewski[3]), najpierw w broszurze *Sprawa polska w r. 1861*, potem w *Rachunkach* z lat 1866—1869, a wreszcie w dziele p. t. *Program polski, myśli o zadaniu narodowem*. W pismach tych, przejętych najdotkliwszym bólem patrjotycznym, wybitny i zasłużony ten pisarz rozdzierał śmiało niezagojone jeszcze rany poniesionej klęski. Uznając konieczność t. zw. «pracy organicznej», z entuzjazmem nawołuje do pielęgnowania niezawisłości narodowego ducha, wielbi świeże przykłady bohaterstwa, każe czcić przeszłość, ostro zwalcza galicyjskich «Stańczyków», nazywając ich «gasicielami ducha».

Głównie jednak zwalczali «Stańczyków» demokratyczno-postępowi, skupieni we Lwowie przy redagowanym przez Jana Dobrzańskiego[4]) *Dzienniku Literackim* (1856—1865) i w latach 1862—1885 *Gazecie Narodowej*. Zaliczało się do tego obozu wielu wybitnych poetów i literatów, jak Adam Asnyk, który bawił we Lwowie w latach 1867—70, Kornel Ujejski, mieszkający 1858—80 pode Lwowem, osiadły

---

[1]) Patrz wyjątki i uwagę o życiu i dziejach w *Wypisach*.

[2]) Patrz wyjątek w *Wypisach*. Autorami byli: Stanisław Tarnowski, Józef Szujski, Stanisław Koźmian. [3]) Patrz wyjątki w *Wypisach*.

[4]) Jan Dobrzański (1820—1886), głośny w owym czasie dziennikarz, bardzo popularny w sferach demokratycznej inteligencji i mieszczaństwa we Lwowie.

po r. 1879 w Galicji Agaton Giller[1]), demokrata-historyk Henryk Schmitt[2]), powieściopisarz Józef Dierzkowski[3]), poczytny kronikarz *Gazety Narodowej* Jan Lam[4]). Po stronie tegoż obozu stanęli zagranicą bawiący Zygmunt Miłkowski[5]) i Teofil Lenartowicz. Polemika rozgorzała, wypowiadali się w niej najwybitniejsi pisarze, bądź po czasopismach, bądź w osobnych broszurach, jak np. J. Szujski w rozprawie p. t. *O fałszywej historji, jako mistrzyni fałszywej polityki (Przegląd Polski* 1877 r.), Henryk Schmitt w broszurze p. t. *Kilka myśli na czasie w sprawach publicznych* (Lwów 1877), Zygmunt Kaczkowski w *Tece Nieczui*, (Paryż 1883)[6]). Do tego działu publikacji zaliczyć należy wstęp do dzieła Walerjana Kalinki[7]) p. t. *Ostatnie lata panowania Stanisława Augusta*, wydanego w Poznaniu 1863 r., w którym to wstępie silnie argumentował zasadnicze podówczas nowe u nas i wymagające jeszcze uzasadniania podstawy ściśle naukowych badań historycznych.

Z polemik łatwo przekonać się, że poważniej myślący zgadzali się na ideę tak zwanej «organicznej pracy», zwłaszcza nad unarodowieniem i oświatą wszystkich warstw społeczeństwa, a następnie ekonomicznem ich podniesieniem. W tych też kierunkach wszędzie roz-

---

[1]) Agaton Giller (1831—1887), więziony w r. 1849, w latach 1854—60 wygnany do Syberji nad Bajkał, w r. 1863 był w Warszawie członkiem rządu narodowego, od r. 1879 bawił w Galicji; prócz *Historji powstania 1863* w 4 tomach, ogłosił kilka rozpraw i dzieł, odnoszących się do podróży na Syberję i kraju Zabałkajskiego.

[2]) Henryk Schmitt (1817—1883), więziony w latach 1846—48, ogłosił szereg dzieł historycznych i broszur politycznych.

[3]) Józef Dzierzkowski (1807—1865), ruchliwy i namiętny szermierz sprawy demokratycznej, drukował w czasopismach i osobno wiele artykułów, recenzyj, najwięcej powieści satyryczno-obyczajowych, których zbiór wyszedł we Lwowie, w latach 1875—7 w 10 tomach.

[4]) Jan Lam (1838—86), za udział w powstaniu po r. 1863 więziony, od r. 1866 we Lwowie, znany z dowcipnych i satyrycznych kronik. Jego powieści obyczajowe wyszły we Lwowie w 5 tomach w r. 1885.

[5]) Zygmunt Miłkowski (Teodor Tomasz Jeż) (1824—1915) po odbyciu kampanji węgierskiej 1848—49 bawi w Turcji, potem w Londynie, wstępuje do Tow. Demokratycznego, w wojnie 1853—55 działa na półwyspie Bałkańskim, od 1855—58 w Konstantynopolu, potem w Londynie, w r. 1860 w Galicji, organizuje w r. 1863 oddział powstańczy, objeżdża różne kraje, najwięcej przebywa w Szwajcarji. Drukował mnóstwo powieści, broszur, artykułów literackich, społecznych i politycznych. [6]) Patrz ustęp w *Wypisach*.

[7]) Walerjan Kalinka (1826—1886) od r. 1868 członek zakonu Zmartwychwstańców, od r. 1880 we Lwowie, znakomity autor *Sejmu Czteroletniego* w 3 tomach; zbiorowe wydanie jego dzieł w 11 tomach wyszło w Krakowie 1891 r.

wijać się zaczyna celowa i dobrze zorganizowana, przeto skuteczna praca.

Z ważniejszych pism, które w tym czasie wychodziły w Galicji, prócz wzmiankowanych już wymieniamy: w Krakowie *Przedląd Powszechny* (od r. 1884), *Przegląd Krytyczny* (1874—1877), *Przegląd literacki i artystyczny* (1882—99); we Lwowie: *Ruch literacki* (1874—77), *Tydzień* (1874—79), dodatek do *Gazety Lwowskiej Rozmaitości*, a po r. 1873 *Przewodnik naukowy i literacki*, *Kwartalnik Historyczny* (organ Towarzystwa Historycznego), *Szkoła* (organ szkolnictwa ludowego), *Muzeum* (od r. 1885, organ Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych); mnożą się także pisma ludowe, jak *Dzwonek* (1859—1872) i *Niedziela* od r. 1884 wydawana przez *Macierz polską*.

Wspaniale rozwija się narodowe szkolnictwo. Dwa polskie uniwersytety (krakowski i lwowski), politechnika i akademja weterynarji (we Lwowie), krakowska akademja sztuk pięknych, dwie wyższe szkoły rolnicze — roją się od żądnej wiedzy młodzieży, napływającej nietylko z kraju, lecz także z za kordonów. Zapełnia się Galicja nadmiarem fachowo wykształconych księży, nauczycieli, techników, lekarzy, jurystów, artystów. Słusznie te czasy pochlubić się mogą bujnie rozwiniętem szkolnictwem średniem i ludowem, skoro statystyka dowodzi, że przed r. 1914 było w Galicji 5646 dobrze zorganizowanych szkół ludowych, 41 seminarjów nauczycielskich, 157 różnego rodzaju średnich szkół ogólno-kształcących, 2 szkoły średnie przemysłowe, 7 średnich i 24 niższych szkół specjalnych, 2 szkoły średnie handlowe i 6 szkół kupieckich. Procent analfabetów z roku na rok topniał; zwolna rozwijał się także przemysł, zwłaszcza rolny i górniczy, choć wskutek nader niekorzystnych ceł i wrogiej konkurencji uprzemysłowionych od dawna sąsiednich krajów Przedlitawji rozwój przemysłowy w wysokim stopniu był utrudniony.

Akcję krajowego rządu i oficjalnego szkolnictwa dzielnie popierały liczne stowarzyszenia prywatne, jak Towarzystwo szkoły ludowej, Towarzystwo pedagogiczne, Towarzystwo nauczycieli szkół wyższych, lekarskie, techniczne, rybackie, literackie (im. A. Mickiewicza), historyczne, dziennikarskie, sztuk pięknych, gimnastyczne «Sokół» i t.d. Niektóre z nich, np. «Towarzystwo szkoły ludowej» założone w r. 1891 (pierszym prezesem był Asnyk), pierwszorzędne położyło dla polskości zasługi[1]).

---

[1]) Przed r. 1874 utrzymywało ono 2 własnym kosztem założone gimnazja, 2 seminarja nauczycielskie, 256 szkół kresowych, 101 kursów dla analfabetów, 2.800 czytelń i wypożyczalni książek.

Pierwsza na ziemiach polskich polska Akademja umiejętności (powstała w Krakowie w r. 1872 z «Towarzystwa naukowego») wywierała doniosły wpływ na rozwój nauk przez wydawnictwa, zapomocą nagród i stypendjów, przez organizowanie badań, które tylko zbiorowemi siłami dadzą się wykonać. Z nauk i umiejętności w znacznym stopniu dzięki zasługom tej instytucji świetnie rozwijała się zwłaszcza polska historjografja. Zasady przewodnie dla badań w tym zakresie, stanowczo i silnie wytknięte przez Józefa Szujskiego i Walerjana Kalinkę, nie wywołały u naszych poważniejszych historyków sprzeciwu. Odbywa się tedy wydawnictwo źródeł historycznych w rozmiarach dotychczas niebywałych, zarówno w Galicji, jak w Warszawie i Poznaniu. Może jeszcze większy rozbudza się ruch w kierunku umiejętnie i źródłowo opracowanych monografij historycznych. Do pierwszorzędnych na tem polu uczonych zaliczyć trzeba Tadeusza Wojciechowskiego [1]), Michała Bobrzyńskiego [2]) i Władysława Łozińskiego [3]), a profesor uniwersytetu lwowskiego, Ksawery Liske [4]) sam jeden w ścisłej metodyczności badań wyszkolił kilkunastu licznemi pracami zasłużonych historyków.

Na polu krytyki, monografji literackiej i dziejów literatury wybitniej zasłużyli się w tym czasie w Galicji: Antoni Małecki [5]), Stanisław Tarnowski [6]) i Józef Tretiak [7]).

---

[1]) Tadeusz Wojciechowski, prof. uniw. lwowsk. wydał kilka dzieł, odznaczających się znakomitą metodą i bystrością badań; najgłośniejsze: *Chrobacja, rozbiór starożytności słowiańskich*, Kraków 1873.

[2]) Michał Bobrzyński, profesor uniwersytetu krakowskiego, później namiestnik Galicji i minister Przedlitawji, prócz monografij ściśle naukowych ogłosił rozgłośne i ożywioną polemiką przyjęte dzieło p. t. *Dzieje polskie w zarysie* (1879).

[3]) Władysław Łoziński, uczony lwowski, wydał rozgłośne dzieła: *Prawem i lewem* (1904), *Życie w dawnych czasach* (1907), *Patrycjat i mieszczaństwo lwowskie w XVI i XVII wieku.*

[4]) Ksawery Liske (1838—1891).

[5]) Antoni Małecki (1821—1913), w latach 1856—73 profesor języka i literatury polskiej w uniwersytecie lwowskim. Między licznemi pracami najgłośniejsza była pierwsza metodycznie opracowana monografja p. t. *Juljusz Słowacki. Jego życie i dzieła.* Lwów 1866—7.

[6]) Stanisław Tarnowski (1837—1917), profesor uniwersytetu Jagiellońskiego, napisał bardzo wiele dzieł literacko-naukowych, jak *Pisarze polityczni XVI w.* 2 t., *Henryk Rzewuski, Jan Kochanowski, Zygmunt Krasiński, Henryk Sienkiewicz, Historja literatury polskiej*, 5 tomów, *Juljan Klaczko*, 2 t. i t. d.

[7]) Józef Tretiak (1841—1923), profesor uniw. Jagiellońskiego, liczne pisał rozprawy i monografje dotyczące szczególnie literatury XIX w., jak o Słowackim, Krasińskim, Asnyku, Mickiewiczu, B. Zaleskim. Gruntowność łączy z jasnością układu i stylu.

Dwa teatry narodowe (w Krakowie i Lwowie) służyły rozwojowi dramatu i komedji. Zwłaszcza krakowski za dyrektury Koźmiana rozwijał się pożytecznie, wystawiając arcydzieła Słowackiego, *Konfederatów* Mickiewicza i wiele innych cennych dzieł dramatycznych polskich i obcych.

Genjalny Artur Grottger[1]), uczeń Jana Kossaka i krakowskiej Szkoły sztuk pięknych, a potem Jan Matejko[2]) po całym świecie wstawiają malarstwo polskie, które przy końcu tego okresu dochodzi do świetnego rozwoju.

Zabór pruski w tym okresie znajdował się pod obuchem coraz srożej szalejącego prześladowania wszystkiego, co polskie. Po rozgromieniu w r. 1866 Austrji i w r. 1870—1 Francji potężną rzeszę cesarstwa niemieckiego ogarnęła manja wielkości, od której nie był wolny nawet tak niepospolity mąż stanu, jakim był twórca zjednoczenia Niemiec, Otto Bismarck. Nienawidził on Polaków, upatrując w nich główną przeszkodę swoich planów. Jego osławione t. zw. «majowe ustawy», uchwalone w maju r. 1873, język niemiecki wprowadzały nawet do nauki religji w szkołach poznańskich. Za opór przeciw wykonywaniu tych ustaw uwięziony, potem z urzędu złożony arcybiskup Ledóchowski chroni się do Rzymu, gdzie zostaje kardynałem. Po cofnięciu w r. 1883 ustaw majowych walka z polszczyzną nietylko nie ustaje, ale przeciwnie pod przewrotnem hasłem «ochrony niemczyzny na kresach wschodnich» dochodzi do tak potwornych faktów, jak uchwalenie olbrzymich funduszów na wywłaszczenie polskich majątków, albo wydalenie w r. 1885 40.000 Polaków, poddanych państw sąsiednich. Staraniem złożonego już z kanclerstwa Bismarcka zawiązuje się w r. 1894 «Towarzystwo popierania niemczyzny na kresach wschodnich» z głównymi założycielami Hansemannem, Kennemannem i Thiedemannem, stąd zwane «Hakatą». Przed tą grozą wywłaszczenia i wynarodowienia broni się Poznańskie wytrwale, często po bohatersku i z godnością, stawiąc legalny, lecz czujny opór i protest, a przedewszystkiem solidarnie pracując nad oświatą i dobrobytem ludu i podtrzymując wszelkiemi siłami jego gorące przywiązanie do polskości i katolicyzmu.

Z dzienników, które w Poznańskiem wychodziły, ważniejsze: wolnomyślny, pracami wielu wybitnych literatów zasilany *Tygodnik Wielkopolski* (1870—1874), *Kurjer Poznański* (od r. 1872), *Dziennik Poznański* (od r. 1858), *Warta* (od r. 1874). W ziemi pomorskiej: *Gazeta Toruńska* (od r. 1867), *Gospodarz* (od r. 1871). Na górnym Śląsku:

[1]) Patrz w *Wypisach* wyjątki z pracy J. B. Antoniewicza i uwagę o Grottgerze.

[2]) Patrz w *Wypisach* wyjątki z artykułu Witkiewicza i uwagę o Matejce.

Gazeta Górnośląska (od r. 1874). W ziemi pomorskiej i na Śląsku wychodziły także liczne pisemka dla ludu i młodzieży, a miary tej praktycznej i rozumnej pracy oświatowej dowodzi fakt, że np. bytomski *Katolik* miał do 250.000 stałych odbiorców.

Zabór rosyjski po r. 1863 w coraz sroższym i bezmyślniejszym znajdował się ucisku. Celem zupełnego zespolenia ziem polskich z Rosją ustanowiono w Petersburgu osobny «Komitet dla spraw Królestwa Polskiego» z podwładnym mu w Warszawie t. zw. «Komitetem rządzącym», który wraz z osławionym z polakożerstwa Milutinem miał do r. 1871 władzę prawie nieograniczoną. Przedewszystkiem ogłosił rząd carski uwłaszczenie chłopów, przy czem dano szlachcie odszkodowanie w listach likwidacyjnych, stanowiących zaledwie połowę wartości odjętych gruntów. Odnośny ukaz z 2 marca 1864 r. umyślnie niejasno określał prawa chłopów do lasu i pastwisk, aby zostało ciągle zarzewie niezgody i sporów między szlachtą i chłopami. T. zw. «komisarze włościańscy», którzy mieli owe spory rozstrzygać, świadomie i celowo to zarzewie rozdmuchiwali.

Resztki autonomji zniesiono, zrusyfikowano wszystkie szkoły, urzędy i sądy, wszędzie zaprowadzając urządzenia rosyjskie i urzędników, sprowadzonych z głębi Rosji. Wskutek tego blisko 14.000 urzędników narodowości polskiej straciło chleb. Kraj nazwano «krajem nadwiślańskim», dzieląc go na gubernje z wielkorządcą generał-gubernatorem. Ponownie dokonano olbrzymich rozmiarów konfiskaty dóbr polskich, oddając je rosyjskim czynownikom. Czyniono nawet próby masowej na ziemiach polskich kolonizacji rosyjskich chłopów; rusyfikowano nazwy miast i wsi, wszystkie napisy publiczne i szyldy musiały być rosyjskie.

Na Litwie i Rusi jeszcze większy zapanował ucisk. Nakazano tu od majątków polskich stałą, 10% od dochodu stanowiącą kontrybucję, mnóstwo dóbr polskich skonfiskowano, blisko 800 Polaków zmuszono do sprzedania swoich dóbr, zaprowadzono wreszcie ustawę, która zabraniała Polakom nabywać majątki, również zabroniono mówić publicznie po polsku.

Kościół katolicki, uważany za przeszkodę w dążeniu do odpolszczenia ziem litewskich, ruskich i polskich, uległ wszędzie dotkliwym prześladowaniom. W Królestwie zniesiono po powstaniu blisko 100 męskich klasztorów, biskupów i proboszczów za byle co skazywano na kontrybucje, zawieszenia i zsyłki. W latach 1870—72 w całem Królestwie nie było ani jednego biskupa katolickiego.

Na Litwie zaś i Rusi tysiące kościołów, kaplic i przydrożnych krzyżów padało, w zaniedbaniu i ruinie, gdyż pod grozą srogich kar

nie wolno ich było naprawiać; gdy zupełnie podupadły, ulegały kasacie. Wszelkie poza łacińską liturgją modlitwy i kazania musiały się odbywać w języku rosyjskim. Dzieci małżeństw mieszanych zapisywane były na prawosławje. Po bohaterskim oporze ludności unickiej na Podlasiu (strzelanie wojska do śpiewającej polskie pieśni religijne, bezbronnej ludności w Pratulinie i Drehlowie) gwałtem zaprowadzono tu prawosławje [1]).

Szkolnictwo wszystkich kategoryj stawało się w rękach rządu narzędziem rusyfikacji. W Warszawie zniesiono w r. 1869 «Szkołę Główną», tę cenną i zasłużoną uczelnię wyższą, która w krótkiem swem istnieniu wydała szeregi znakomitych uczonych i literatów [2]); utworzono natomiast uniwersytet, w którym nawet całokształtu literatury polskiej nie wolno było wykładać. W gimnazjach zabroniono uczniom w obrębie szkoły mówić po polsku, a nauka tego języka polegała na przekładaniu z rosyjskiego na polskie i odwrotnie z polskiego na rosyjskie. Młodzież polska w święta galowe musiała uczestniczyć w prawosławnych nabożeństwach, musiała, zacisnąwszy zęby z oburzenia i bolu, uczyć się z podręczników historji (Iłowajskiego) zohydzających Polskę kłamstw, musiała ciągle bez protestu słuchać serwilistycznych hymnów na cześć cara. Nic dziwnego, że niejeden, wyniósłszy z domu rodzicielskiego pełne godności rozumienie i ukochanie ojczystych ideałów, gardząc obłudą, wybuchał protestem i ulegał wydaleniu lub nawet szedł do cytadeli. Inni zrzeszali się potajemnie dla oświecenia się i krzepienia serc zabronioną lekturą. Jeszcze inni garnęli się do tajnych stronnictw wywrotowych [3]). Ci, którym dozwalały środki, kształcili się zagranicą. Pomimo surowych kar za tajne nauczanie, krzewiło się ono po miastach i szlacheckich dworach, zwłaszcza w okresie największych prześladowań za rządu generał-gubernatora Hurki i jego pomocnika, kuratora Apuchtina, którego system stał się u nas na długi czas przysłowiowym.

Że w tak ciężkich warunkach ogólny stan oświaty mocno niedomagał i coraz bardziej obniżał się, nie można się dziwić. Doszło do tego, że gubernje lubelska i kaliska w całej Europie wykazały najwyższy procent analfabetów. Cały ciężar ratowania od zagłady języka

---

[1]) Patrz powieść Weyssenhoffa p. t. *Unja*, 1910.

[2]) Jak np. Al. Świętochowskiego, Henryka Sienkiewicza, Aleksandra Głowackiego, Julj. Ochorowicza, Piotra Chmielowskiego, Bronisława Chlebowskiego.

[3]) Patrz liczne obrazy i szczegóły w różnych powieściach, np. Żeromskiego: *Rozdziobią nas kruki, wrony*, lub Sienkiewicza: *Z pamiętnika... nauczyciela.*

ojczystego i ojczystej kultury spadł na barki zupełnie prywatnej energji, żywotności i inicjatywy. I tej swojej żywotności duch polski nigdy i nigdzie nie dał tak zdumiewających dowodów, jak w owym okresie czasu pod zaborem rosyjskim.

Zaraz w pierwszym czasie po powstaniu gasnący ruch naukowy i publicystyczny usiłowali ożywić w pierwszym rzędzie ci, którzy gruntowne swe wykształcenie zawdzięczali «Szkole Głównej». Ze strony młodych wychowanków tej szkoły, (Aleksandra Świętochowskiego[1]), Juljana Ochorowicza[2]) i inn.) rozległo się energiczne nawoływanie do organicznej pracy na wszystkich dostępnych polach: nad ekonomicznem podniesieniem kraju, nad szerzeniem oświaty i wiedzy we wszystkich warstwach społeczeństwa, organizowaniem przemysłu. Wychodząc z założenia, że dążenie do odzyskania niepodległości politycznej siłą oręża jest przedwczesne i w danych warunkach niewykonalne, nawoływali do starania się o samodzielność «wewnętrzną» i twierdzili, że ta «może być tylko wynikiem wzmocnienia sił umysłowych i materjalnych, wszechstronnego rozwoju narodowego, skojarzonego z postępem ogólnym, oraz demokratyzacji społeczeństwa, powołującej do działania w niem pierwiastki nierozbudzone»[3]). W licznych artykułach swoich organów *Przeglądu Tygodniowego* (1871—4), *Niwy* (redagowanej przez Świętochowskiego od r. 1878) i *Prawdy* (tegoż redaktora od r. 1881) żądali zwalczania ciemnoty we wszystkich jej objawach, emancypacji kobiet, zreformowania zaśniedziałych poglądów na dzieje, rozbratu z wybujałym wpływem romantyzmu. Wielbicielami byli przedewszystkiem rozumu, w przeciwstawieniu do uczuć i fantazji, zwolennikami ścisłej wiedzy, zwłaszcza matematyczno-przyrodniczej — w przeciwstawieniu do poezji. Nazywano ich «pozytywistami», gdyż chętnie powoływali się na główne dzieło francuskiego filozofa, Augusta Comt'a[4]), a z przekonania głosili chwałę Darwina, Renana i zapomnianych dziś niemieckich materjalistów: Büchnera, Moleschotta i Vogta.

Słabo bronili się skupieni w *Tygodniku Ilustrowanym*, *Bluszczu* i *Bibljotece Warszawskiej* zwolennicy przeciwnego obozu, którzy przy surowej cenzurze nie mogli śmielej wystąpić w obronie zagrożonych, jak mniemali, ideałów romantyzmu i idealizmu. Polemika tedy rychło przygasła, zwłaszcza, że młodym niepodobna było zarzucić braku patrjotyzmu, ani zwalczyć wielu ich argumentów; nie minęła jednak

---

[1]) Aleksander Świętochowski — patrz w uwadze przy wyjątkach w *Wypisach*.

[2]) Juljan Ochorowicz (1850—1919) autor wielu interesujących rozpraw z zakresu filozofji i psychologji doświadczalnej. [3]) Al. Świętochowski.

[4]) *Cours de philosophie positive*, Paryż 1839.

bez pożytku, gdyż ożywiła ruch literacki, wzbogaciła literaturę wielu cennemi wydawnictwami, podniosła publicystykę, krytykę literacką i dziennikarstwo wogóle na wyższy poziom wiedzy fachowej.

Po zniesieniu granicy celnej od olbrzymich wschodnich rynków zbytu poczyna coraz wspanialej dźwigać się przemysł i handel, zasilany inteligencją polską, której wzbroniony był dostęp do urzędów. Wzrostowi zamożności towarzyszy rozwój niektórych, dozwolonych przez cenzurę, gałęzi nauk, zwłaszcza historjografji. Pracowali na tem polu pierwszorzędni uczeni, jak Adolf Pawiński[1]), Tadeusz Korzon[2]), Wacław Smoleński[3]), Aleksander Rembowski[4]). W zakresie dziejów literatury obok adwokata petersburskiego, Włodzimierza Spasowicza[5]), niezwykłą pracowitością i erudycją odznaczył się Piotr Chmielowski[6]). Niemałe na tem polu zasługi położyli także Bronisław Chlebowski[7]) i Walery Gostomski[8]). Tych i wielu innych dzieła osobno wydane i rozprawy, drukowane w licznych pismach, kupowane i czytane były przez

[1]) Adolf Pawiński (1840—1896), wykształcony w Dorpacie, Berlinie i Getyndze, zasila pracami swemi niemal wszystkie poważniejsze pisma współczesne, wydaje w r. 1876 *Źródła dziejowe*, redaguje przekłady Macaulay'a' *Dziejów Anglji*, Zeissberga' *Dziejopisarstwo polskie wieków średnich*, *Logikę* Baina', wreszcie ogłasza szereg własnych dzieł, np. olbrzymie, gruntownością badania stosunków ekonomicznych i prawno-politycznych odznaczające się dzieło p. t. *Polska XVI w. pod względem geograficzno-statystycznym*, lub *Młode lata Zygmunta Starego* (1893).

[2]) Tadeusz Korzon (1839—1918), po 5-letniem wygnaniu do Orenburga wróciwszy do Warszawy ogłosił wiele dzieł historycznych, jak *Dola i niedola Jana Sobieskiego* w 3 t., *Kościuszko*, *Wewnętrzne dzieje Polski za Stanisława Augusta* w 4 t. w Warszawie 1882—6, epokowe w naszej historjografji. [3]) Ogłosił cenne dzieła nad wiekiem St. Augusta w Polsce.

[4]) Dzieła z zakresu prawno-politycznych stosunków w dawnej Polsce.

[5]) Włodzimierz Spasowicz (1829—1906) napisał wiele cennych prac literackich o W. Polu, byronizmie Mickiewicza, Konradzie Wallenrodzie. Zbiór w Petersburgu 1904 w 2-ch t.

[6]) Piotr Chmielowski (1848—1904), wychowanek Szkoły Głównej. Z bardzo licznych jego dzieł wymienia się: *Studja i szkice z dziejów literatury polskiej* (1888, w 2 t.) z pracami o Kochanowskim, W. Potockim, I. Krasickim, K. Brodzińskim, J. Słowackim, Z. Krasickim, J. B. Zaleskim; *A. Mickiewicz, zarys biograficzno-literacki* (1886 w 2 t.); *Nasi Powieściopisarze* (1887); *J. I. Krasicki* (1886); *Dramat polski doby najnowszej* (1902); *Dzieje krytyki literackiej w Polsce* (1902); *Henryk Sienkiewicz* (1902).

[7]) Bronisław Chlebowski (1846—1918), wychowanek Szkoły Głównej, ogłosił liczne i zawsze cenne studja, artykuły i recenzje w wielu pismach. Zbiorowe wydanie pism w Warszawie 1912 r. w 4 tomach.

[8]) Walery Gostomski (1854—1915) pisał o *Ślubach Panieńskich* Fredry, o *Panu Tadeuszu*, o Reju, liryce religijnej Mickiewicza, Krzyżakach Sienkiewicza, liryce Kasprowicza i t. p.

żądne ojczystej wiedzy obywatelstwo i inteligencję w rozmiarach dotąd niebywałych.

Zasługą tego okresu są także liczne przekłady cennych dzieł obcych, jak Herberta Spencera*, Tylora*, Hettnera*, Hipolita Taine'a*, Jerzego Brandesa* *(Główne prądy literatury europejskiej)*, Huxleya* *(Fizjografja)*, Ribota* *(O chorobach pamięci i woli)*, oraz zbiorowe wydawnictwa, jak Encyklopedje (teologiczna, rolnicza, pedagogiczna), jak redagowana przez Chmielowskiego *Bibljoteka Wyborowa*, jak ogromny *Słownik Geograficzny* lub *Encyklopedja Staropolska Ilustrowana* Glogera.

Dopomagał krzewieniu oświaty i literatury teatr, acz zależny od rządu, rzadko mógł wystawiać arcydzieła obcego i ojczystego dramatu, ograniczając się na komedji obyczajowej, która też rozwijała się i wydała szereg pisarzów, jak Józef Bliziński [1]), Józef Narzymski [2]), Edward Lubowski [3]) i Kazimierz Zalewski [4]).

Z powyższego widzimy, że w okresie między 1863 a 1890 we wszystkich trzech zaborach Polski opinja publiczna z naciskiem domagała się przedewszystkiem pracy praktycznej; domagano się nawet od poezji tego, aby była produkcją użyteczną [5]). W związku z tem gasło bezpośrednie, entuzjastyczne napawanie się natchnieniami wielkich romantyków, a zaczęła się naukowa analiza ich arcydzieł i życia. Ustępowali jeden za drugim, Bohdan Zaleski, Seweryn Goszczyński, Wincenty Pol, Kornel Ujejski, a poezje poromantyczne Leonarda Sowińskiego [6]) i Felicjana Faleńskiego [7]) ginęły bez echa. Ogromną ciągle poczytność miał niewyczerpany w krzewieniu idei cywilizacyjnych J. I. Kraszewski, ale i on ustąpił wreszcie pola na korzyść powieści Prusa, Orzeszkowej, a zwłaszcza Henryka Sienkiewicza. Twórczość tego ostatniego potężny wywarła wpływ na cały naród i szeroko po cywilizowanym świecie rozniosła sławę żywotności naszej literatury.

---

[1]) Józef Bliziński (1827—1893) — najgłośniejsze komedje: *Pan Damazy*, *Marcowy Kawaler*, *Rozbitki*.

[2]) Józef Narzymski (1839—72): *Epidemja*, *Pozytywni*.

[3]) Edward Lubowski (ur. 1839): *Żyd*, *Przesądy*.

[4]) Kazimierz Zalewski (ur. 1849): *Górą nasi*, *Nasi zięciowie*, *Małżeństwo Apfel*.

[5]) Patrz wybór z poezji Asnyka.

[6]) Leonard Sowiński (1831—87), podolanin, kształcił się w Kijowie, od r. 1862—8 na wygnaniu, uwolniony, osiadł w Warszawie. Utwory swoje, przeważnie poezje, ale także krytyki, studja, życiorysy, powieści ogłaszał w różnych pismach warszawskich. Niekompletne wydanie poezji wyszło w 2 tomach w Poznaniu 1875, oraz w zbiorze p. t. *O zmroku* Warszawa 1885.

[7]) Patrz uwagę w *Wypisach* przy wierszu Faleńskiego.

Z pisarzy politycznych po r. 1863.

B. BOLESŁAWITA (J. I. KRASZEWSKI). [1])

Z Rachunków.

Rzeczy ogólne.

Szliśmy powoli brzegiem cudownym jeziora czterech kantonów, spoglądając tęsknem okiem na panoramę alpejską, roztaczającą się ponad spokojnemi wodami... i kończyliśmy już smętną rozmowę, tę zawsze jedną, a zawsze tak bolesną rozmowę o wszystkiem minionem, o wszystkich oddalonych i pogrzebionych westchnieniami, które się do połkniętych łez przyznać nie chciały; gdy nagle przed oczyma stanął nam ów pomnik, w skale wykuty: Lew, z bokiem przeszytym włócznią, konający i napis na kaplicy: Invictis pax[2]).

I przypomnieliśmy sobie, żeśmy wygnańcy błądzili po wybrzeżach swobodnej szwajcarskiej ziemi, a nie na naszych równinach mazowieckich u brzegów smętnych płowej Wisły.

A była chwila, że nawet kolosalna Righi [3]) znikła nam z oczów, przed któremi stał szumiący nasz lasek sosnowy na piaszczystej dolinie...

Invictis pax...

Tak, tak! Pokój niezwyciężonym, choć upadłym. Napis ten nadaremnie uderza oczy nasze... przyrzeka on w przyszłości i nam... uspokojenie; ale dziś? dziś!

Gdyby dziś można spisać kartę martyrologu naszego, historję umęczonego narodu taką, jaką się czyta we wnętrznościach serc naszych, w nędzach, spodleniach, utrapieniu; gdyby policzyć jęki tych, co konają w syberyjskich kopalniach (ułaskawieni na lat dwadzieścia) i westchnienia tych, co giną wśród zdziczałych Amerykanów i wśród przecywilizowanej Europy i...

---

[1]) B. Bolesławita (J. I Kraszewski) pisał *Rachunki* za rok 1866, 1867 (2 t.) i 1868. — W każdym roku zdawał sprawę z życia narodu polskiego pod trzema zaborami, poświęcając szczegółowe artykuły dziennikarstwu, literaturze, teatrowi, sztuce; w ogólnych zaś artykułach omawiał nasz stosunek do państw zaborczych i do Europy. Na końcu każdego roku są karty poświęcone mogiłom. Wszystkie części mają nadto informacyjne artykuły o wychodźtwie i o Polakach na Sybirze. Dwa rozdziały wyjęte są z części pierwszej na rok 1866. [2]) Pokój niezwyciężonym.

[3]) Szczyt górski nad jeziorami czterech kantonów w Szwajcarji.

Nie kończmy... Na co się to zdało? Nie mówię o najstraszniejszych rysach tego obrazu, o upadku moralnym i tylu nieszczęśliwych, wyrzuconych z trybu życia zwyczajnego na wybrzeże nieznane, a zwichniętych rozbiciem... Na co się to zdało? — powtarzałem do towarzystwa.... Dzisiejsze usposobienie nieszczęśliwego kraju jest takie, że dla niego najświętsze prawdy, głoszone przez emigrację, podejrzanemi się zdadzą. Winę wypadków, które tak okropne skutki pociągnęły za sobą, kraj przypisuje tylko emigracji, chociaż część ich znaczną powinienby przypisać sobie; — wszystek żal więc ma do wygnańców i stracił dla nich litość, wiarę i ufność w nich, wyparł się ich niemal, jako synów i braci.

To wyklęcie wychodźtwa, dlatego, że w jego łonie są żywioły burzliwsze — choć w mniejszości — to zaparcie się idei, która świeciła Polsce długie wieki — pociągnęły za sobą, logicznie zresztą, przewidziane skutki.

Dosyć jest wejrzeć w głąb tego, co się mówi i pisze po dziennikach, wychodzących na polskiej ziemi, echem za opinją publiczną, wtórem za głosem powszechnym, aby się przekonać, jakie zwycięża usposobienie.

Zaczęto od odłożenia na stronę sprawy języka, literatury, narodowości, ducha, sztuki, wszystkiego, co do wyższych potrzeb i pragnień kraju należy; od postanowienia górą eksjomatu, że przedewszystkiem starać się trzeba o byt materjalny, o podźwignienie z ruiny majątkowej. Dziś weszło to tak w życie, stało się tak dalece wyznaniem wiary publicznem, że wstydliwe wyznania sobkowstwa, najbardziej poniżającego, nikogo nic nie kosztują.

Wszystko to jest na potem, gdy będziemy bogaci...

Wiatr dziś powiał z tej strony. Wszyscy, co chcą za rozumnych i poważnych ludzi uchodzić, fundują banki, zakładają stowarzyszenia, formują akcyjne przedsiębiorstwa, a książka stała się rzeczą zakazaną, niepotrzebną, szkodliwą.

Kto nie ma odwagi tego wypowiedzieć do dna, półgębkiem szepce — o podstawach materjalnego bytu.

Nie wiem, skąd wzięliśmy ten pewnik, że byleśmy dźwignęli się w dobrym bycie, reszta nam — dodaną zostanie. Skutkiem tego szału, jesteśmy dziś do ostateczności bezbronni i sromotnie upadli.

Wcale się sprzeciwiać nie myślimy, że po wielkich stratach potrzeba, należy, rozum każe wypełnić szczerby oszczędnością, rachubą, surowem życiem i pamięcią na jutro.

Owe podstawy materjalne, o których dziś tak często słychać,

są niezawodnie potrzebne; ale one jeszcze nie stanowią życia i nie dadzą go, jeśli je stracimy. Możnaby ze św. Pawłem zawołać do dziennikarzy i publicystów naszych: *Nolite exstinguere spiritum*, Ducha nie wygaszajcie.

Pieniądz, mienie, dostatki, ziemię odzyskacie, wszystkiego się bowiem dorabia człowiek, tylko nie raz straconego ducha, nie raz a na wieki zerwanych tradycyj pasem.

I owszem, panowie, pracujcie na grosz, który jest potrzebny, ale nie utopcie się cali z duszami w tej robocie, bo możecie z niej wyjść zamożnymi, ale już nie Polakami.

Pamiętajcie, że we wszystkiem, nawet w dorabianiu się tych podstaw materjalnych, miara być powinna, a tej u nas niema w niczem. Nie należy się rujnować dla marzeń, dla poezji i literatury — ale nie trzeba zapominać, że w nich, jako w arce przymierza, spoczywa skarb narodowego ducha. Zresztą nie idzie tu już o literaturę samą, której każecie pokutować za to, że nas zbawić mimo swej wzniosłości nie potrafiła — idzie o rzeczy jeszcze świętsze i droższe.

Każdy, kto w tych ostatnich chwilach miał możność zetknąć się w jakikolwiek sposób z krajem, z kimkolwiek z jego dawnych prowincyj, pod jednym z trzech rządów zostających, przyzna, że nigdy w nich duch narodowy nie wygasł jeszcze do tego stopnia, co teraz, a przynajmniej tak nie był przeobrażony, jak dzisiaj, nie do poznania.

Ale — nie idzie nam wcale o ducha rewolucyjnego, bo wszelkie rewolucje są nam nienawistne i gdybyśmy ich mniej robili, dalekobyśmy byli dalej zaszli; pomiędzy duchem rewolucji a duchem narodowym jest rozstęp ogromny. Dziś w obawie niemożliwych robót rewolucyjnych, które wszelaki zdrowy umysł odpycha, bardzo wygodnie pozbyliśmy się wszystkiego, co nam zawadzało: westchnąć się nie godzi do przeszłości, zapłakać nad ofiarami, żądać miłosierdzia dla braci, pamiętać na potrzeby ogólne kraju, aby nie być posądzonym i odepchniętym. Kraj sadzi kartofle, kraj bieduje z propinacją, kraj ekonomuje i o niczem prócz o gospodarstwie swem myśleć nawet nie może. Prawda, że ruiny są wielkie, straty ogromne, ale w kraju z natury rolniczym nie są one niepowetowanemi. Nic nie usprawiedliwia wyrzeczenia się duszy dla ciała.

Dziś wszakże inaczej rozgrzeszenia dostąpić nie można, jak zrzekając się przeszłości... Ciż sami ludzie, co wczoraj nie mieli odwagi oprzeć się, gdy im rewolucje narzucano, nie śmieli prze-

mówić, dali się ciągnąć — teraz najgorliwszymi są zwolennikami nowej doktryny — wyrzeczenia się narodowych tradycyj.

Niejeden się oburzy może na ten zarzut; wstydzimy się bowiem wyznać jeszcze, żeśmy apostazji bliscy, ale w sercach już jesteśmy apostatami, jak ów książę Lubecki — dla miłego grosza.

Przychodzi się do tego powoli, nieznacznie, stopniowo naprzód pod dobrym pozorem obowiązków względem rodziny, kraju nawet i t. d., potem, gdy się na najświętsze rzeczy zobojętnieje, żadna już ofiara kosztować nie będzie.

Tak mówiliśmy po cichu, chodząc ponad brzegiem jeziora czterech kantonów.

— O, dodałem, gdybyśmy nie byli prześladowani, znękani, spotwarzeni, ścigani na majątku, czci, na życiu, gdybyśmy nie byli helotami tymi, których narody pokazują sobie na przykład (pan Bismarck[1]) w swej mowie grożącej Prusom rozbiorem), jakżeby wiele prawd gorzkich powiedzieć sobie potrzeba, aby jutro nie było zapóźno!

— Jestże to przyczyną milczenia? — spytał mój towarzysz. — Sądzę, że nie. O, nieprzyjaciele nasi, choćby milczeli, znajdą przeciwko nam oręże; tych zaś lekarstw, jakie my sami sobie dać możemy, nie mogą użyć przeciwko nam, boć przecie mają choć tyle chytrości, jeśli nie rozsądku, że w nich zawartej prawdy niebezpieczeństwa się dowąchają...

Mieliśmy wprawdzie przykłady naszych pisarzy, jak Lelewel, użytych przez Mollerów[2]) podstępnie za broń przeciwko nam, ale jakiż był skutek tego Milutynowskiego[3]) arcydzieła, mającego przekonać o naszem zacofaniu, a o postępowości Rosji, Europę? Europa nie czytała Mollera, a ludzie, co mieli cierpliwość przegryźć się przez tę tkaninę fałszów do końca, doskonale ją ocenili. Ani Rosja ani Milutyn nie zyskali przez to ani jednego nawet przyjaciela, Polsce nie przybył wróg żaden. Z obawy więc, aby nieprzyjaciele nie korzystali z tego, co my sami sobie wyrzucać możemy, — nie pisać — jest rachubą fałszywą, a może grzeszną...

Tak w tej stanowczej rozmowie u brzegów jeziora dałem się zwyciężyć przyjacielowi i skłonić do pisania rachunków z przeszłego roku.

Nie sądźcie jednak, abym wam je zdał wszystkie. Wiele za-

[1]) Otto Bismarck (1815—1898), sławny mąż stanu, twórca zmilitaryzowanych Niemiec, zaciekły wróg narodu Polskiego.

[2]) Nazwisko jednego z mężów stanu ówczesnych Niemiec.

[3]) Milutyn — współczesny dyplomata rosyjski.

staje na dnie serca i w głębi pugilaresu, do nieznajomego jutra poruszę tylko kilka zadań, kilku ran dotknę, kilka boleści wypowiem.

Mimo przekleństwa, jakie dziś cięży na całej emigracji, pomimo wstrętu do niej kraju, który wszelkie z nią, najświętsze nawet węzły, potargał — jest ona jeszcze ze swego położenia, gdy jej boleść nie oślepia, gdy cierpieć umie nie szalejąc, najsprawiedliwszym sędzią, bo najbezstronniejszym — spraw krajowych. W tem, co się jej nie tyczy przynajmniej. Nie przyznajemy emigracji prawa mieszania się do robót i prac kraju, ani dziwacznych pretensyj kierowania niemi; ale dlaczegóżby stojący na stronie — czyściej i dalej widzieć nie mieli od tych, co w kurzawie walki pyłem zasypane mają nieco oczy? Jedynym warunkiem, którego wymagać można, jest chłód, wytrzeźwienie, beznamiętność — zaręczyć zaś możemy, że nienawiści ku nikomu nie mamy w sercu, zemsty nie rozumiemy, żalu nie dopuszczamy. A serdeczna miłość dla wszystkich gości w piersi naszej, goretsza może, niż gdy ją tchem swym pielęgnowali ci, co dziś....

Invictis pax!

Pokój zwyciężonym i niezwyciężonym!

TENŻE.

Polska i Moskwa.

Straszne poćwiartowanie owo Polski starej, pokrajanie jej na części, które współczesny karykaturzysta angielski nazwał królewskim plackiem *(the troelfth Cake)* — rozdział, co istotnie nóż zatopił w serce narodu, porozrywał rodziny, przeciął stosunki, poddał troistemu wpływowi oddzielne części tego męczeńsko rozsztukowanego ciała — któż wie? — może był przez Opatrzność obmyślanym niezupełnie na naszą szkodę, choć pewnie na karę za grzechy nasze. Polska, pochwycona cała, możeby łatwiej przyswojoną była, pogodziłaby się rychlej ze swem przeznaczeniem, i los, któryby ją spotkał, niebezprzykładny, los podbitego narodu, stałby się może znośnym, asymilacja byłaby łatwiejszą, a przynajmniej prawdopodobniejszą rezygnacja. Państwo też, któreby całą wcieliło Polskę, więcej z nią i jej instytucjami rachowaćby się widziało zmuszonem.

Bądź co bądź, wszystkie następstwa podziału uniknioneby były. Część znaczna ohydy zaboru przemocą bezprawną byłaby znikła; krajby mniej cierpiał, aleby prędzej został ujarzmionym i stał się bezsilnym.

Rozbiór, dokonany w takich warunkach, w jakich się on spełnił, z towarzyszącemi mu gwałtami, przekupstwami, z ciągnącemi się w ślad prześladowaniem i męczeństwem — musiał nawet najobojętniejszy naród do heroizmu wyegzaltować, podnieść do wysokości jego przeznaczeń męczeńskich.

W samej chwili, gdy się to okrutne płatanie bezbronnej, jakby umyślnie pod panowaniem Sasów zdenerwowanej Rzeczypospolitej dokonywało, zdrętwiało ciało jej.

Skakano w czasie Grodzieńskiego sejmu [1]), dawano bale po gubernjalnych miastach Wołynia i Podola, możni szaleli, szlachta hulała — ale wśród tych konwulsyj budziło się i rosło uczucie upokorzenia, boleści, pragnienia odwetu, nadzieja odrodzenia. Na podstawie tej płochości i lekkomyślnego roztrzepania rodziło się nowe pokolenie, zamyślone, posępne — z ręką drżącą do miecza i sercem, bijącem miłością ku ojczyźnie. W miarę, jak się oddalamy od epoki Stanisławowskiej, naród cały przeobraża się tęsknicą i żałobą: po nabożnej pieśni konfederatów barskich zabrzmiewa powstańcza kościuszkowska, niezapomniany mazur Dąbrowskiego i śpiewy Niemcewicza, a w ostatku hymny boleści a sarkazmu pełne, wywołane z piersi narodu — wybrańca w babilońsko-moskiewskim ucisku.

W istocie, ze wszystkich tych niewoli najnieznośniejszą, najbardziej drażniącą jest niewola u Moskwy, nie żeby jej okrucieństwo dzikie a drapieżne i gwałtowne, przechodziło łagodniejszych form a głębiej sięgające opresje inne; ale, że niewola u Moskwy, niewola u Tatara, to wiekuiste upokorzenie, że ścieranie się od dziesięciu wieków z cywilizacją europejską poślubionego narodu — o naród ledwie z pieluch barbarzyństwa i ciemnoty wygrzebujący się — to poczwarne połączenie człowieka z bydlęciem, to przemiana istoty ludzkiej, syna bożego, w mitologiczne bydlę, hipocentaura, minotaura lub harpję: to coś okropnego ma w sobie.

Pod pletnią Moskwy i w jej braterskich objęciach wytryska ten potok poezji, pełnej zgrozy, pełnej jęków, natchnionej, strasznej, jak treny Jeremjaszowe, ostrej, jak Juvenalisa satyra, rozłzawionej, jak psalm pokutny Dawida, a tęsknic pełnej, jak odwieczna pieśń ludowa; poezja ta unosi się do niebios, powiewa sztandarem krzyżowym, staje się przewodnią chorągwią narodu.

Potomkowie tych, co na sejmie grodzieńskim wyrok śmierci

---

[1]) Haniebny sejm w Grodnie (1793), który podpisał akt drugiego rozbioru Polski.

podpisywali na matkę, idącą za chorągwią, niesioną przez poetów, na bój i śmierć....

Od pewnej chwili, w której cierpienie do najwyższej potęgi rozpromienia naród, życie jego staje się niepodobnym poematem. Napróżno ostygająca cząstka stara się wyobrażenia ostudzić, tłumy wprowadzić na drogę realizmu, otrzeźwić je, oblać zimną rozwagą; atmosfera rozgorzała upaja najtrzeźwiejszych, poezja obwiewa szyderców, tłumy i wiry pociągają z sobą wszystkich, kto chce i nie chce.

I tworzą się dzieje lat ostatnich, podobniejsze do marzenia, do poematu, do epopei, niż do życia na ziemi; pod ich wpływem całe pokolenia rodzą się i rosną z aureolami na czołach, z krzyżami na piersiach krwawemi, z pragnieniem męczeństw i ofiary; pod ich wpływem wszyscy znoszą na stos palącej się ojczyzny do ostatniej koszuli i do ostatniego dziecięcia.

Zaprawdę, kto historję pół wieku Polski pisać zechce piórem, zmaczanem w zimnym stoku rozwagi i rozsądku, ten napisze rzecz niezrozumianą i niezrozumiałą; w gorączce przeżyta epoka musi mieć gorączkowego historyka-poetę.

Nie historja to narodu, ale pieśń o zgonie ofiary wielkiej, zamordowanej wśród chrześcijańskiego świata wbrew sprawiedliwości, na pośmiewisko prawu bożemu i ludzkiemu.

W miarę jak wszystko dokoła materjalizuje się i stygnie, Polska, mówiąc wyrazem Krasińskiego, wyaniela się, rozpromienia, oczyszcza, uświęca.

Nigdy może prześladowanie nie podziałało tak korzystnie, nie przetworzyło tak bosko, nie odrodziło tak widocznie. Zwykle narody niewola spodla, charaktery znikczemnia, energję odbiera, strach obudza; tu przeciwnie: coraz roślejszych tworzy bohaterów. Całe rodziny: Dziad, ojciec, synowie, wnuki idą zkolei na tę samą szubienicę, wygnanie, do kopalń i do mogił... Znęcanie się zamiast przerażać — zachęca, męczeństwo wabi, dzieci marzą o niem w kolebkach; próżno starają się zbezcześcić ofiary; to, co miało splamić, ubóstwia....

Długie pasmo nieskończonych ofiarnictw, niespisane roczniki, niezliczone imiona — męczeństwa, brane w spadku po rodzicach, tułactwa całych pokoleń — oto dzieje tych lat. Zaledwie po krwawej zemście, która wszystko wyludnia, odetchnie kraj, trochę siły nabierze; — marzenie, nadzieja, gorączka niepodległości nim owłada znowu, krwi przypływ wzbiera: wydziera się do nowych poświęceń...

Od tych cichych rozmów Mickiewicza, do tłumnych a wrzaskliwych biesiad, wszystko tchnie tą roznamiętnioną miłością kraju,

która ma swój tajemniczy język, swe godła, imiona, do których przypięła znak zmartwychwstania. Niema uczty, posiedzenia, zabawy, wesela, żeby słowo to, pełne znaczeń, nie zostało wymówionem..... Im pilniej szpiegują to hasło, tem dziwniej się ono przebiera, brzmi wśród mów urzędowych, niezrozumiane dla wrogów, odzywa się w kościele, u kolebki i grobów. Gdy nie może wyrazem, mówi barwą, płacze dźwiękiem, uśmiecha się promykiem, wyrasta kwieciem.....

Trzeba nie być człowiekiem, żeby przed tą narodu miłością nie klęknąć.

Patrzyliśmy na dokazywane przez nią cuda, na ludzi, z których życie niewolnicze i obroża urzędnika starła wszelką godność, wszystkie znamiona polskie, — po długich latach apostazji za dotknięciem iskry elektrycznej tego prądu odżywających nagle z wezbranem uczuciem w piersi, odradzających się synami ojczyzny, której, odstąpili. Widzieliśmy dzieci, wychowane przez Moskali, wykarmione poddaństwem, nie rozumiejące języka własnego, w których sercach ze krwią wszczepioną nagle odzywa się ta miłość Polski, dla której, śpiewając pieśni moskiewskie, szli na śmierć.]

Takie naprężenie ducha musiało w istocie tworzyć istoty i czyny, gdzieindziej niesłychane, niemożliwe.

Trwało ono aż do roku 1861, w którym zolbrzymiało jeszcze i sprowadziło wybuch roku 1863..... nacechowany najpotężniejszem uczuciem, jakie kiedykolwiek w piersi ludzkiej mieszkało. Szał święty młodzieży ogarnął naówczas wszystkich lub przynajmniej odebrał wszystkim siłę o p i e r a n i a mu się, chociaż p r z e w a ż n a w i ę k s z o ś ć n a r o d u p r z e w i d y w a ł a, j a k i e z a s o b ą s k u t k i m i a ł o p o c i ą g n ą ć p o w s t a n i e.....

Nie myślimy tu kreślić obrazu tego roku, który sprowadził niezliczone klęski; chcemy tylko wytłumaczyć sobie i przed przyszłością ten ducha stosunkowy upadek, jakiego jesteśmy świadkami.

Zagranicą bezprzykładni zdrajcy na wysługach gazet moskiewskich, w kraju nawracający się na prawosławie Lubeccy i... imiona polskie, zaprzężone do wozu reakcji krwawej, a w dziejach bezprzykładnej.

Terroryzm Moskwy musiał po niezmiernem wycieńczeniu i wysileniu kraju nie inne sprowadzić skutki. Ludzie są ludźmi, choćby chwilowo do anielstwa się podnieśli. Ofiary wyczerpują, walka nuży, a im poświęcenie się było większe, a bezużyteczniejsze, tem upadek ducha znaczniejszy.

Tak sie też stało, gdy Moskwa, zamiast pociągnąć łagodności

i sprawiedliwości wymiarem, przyjęła otwarcie system wytępiania narodowości, religji, obyczaju i języka. Tysiące rodzin wywieziono, wyzuto z własności, rozerwano, wymyślnie śląc na powolną śmierć głodu i nędzy.

Rozpacz ogarnęła pozostałych. — Nikt pewnie nie nawrócił się w duszy, ale wszyscy jęli przeklinać przewódców tego ruchu, któremu pierwsi ulegli. W rozmaitych częściach kraju zrodziło to uczucie, w różnych formach objawiające się, chęć spokoju, wstręt do polityki, przywiązanie się do praktycznej strony życia.....

Ofiarą tego zwrotu padła emigracja, o której osobno mówić będziemy, tu dotykamy tylko tej kwestji ubocznie. Nigdy jeszcze może jawniej kraj nie zaparł się swych braci nieszczęśliwych. Przypuszczając nawet zubożenie, wyczerpanie, niedostatek, nie można wytłumaczyć sobie tej niechęci, tego nielitościwego odpierania, jakiego doświadczają wychodźcy. Dzieci, starcy, kobiety, bez kawałka chleba... często smagane przez ocalonych pogardliwym wyrazem: niech pokutują.....

Ale, panowie moi, pokuta i na was, coście cywilnej odwagi do powstrzymania wybuchu nie mieli, spadać po części powinna. Solidarnie winni są wszyscy. Z małemi wyjątkami Królestwo, zabrane kraje, Galicja pod naciskiem ostatnich wypadków, wyrzekły się długo piastowanego uczucia miłości ojczyzny w tem rozumieniu, w jakiem go dawniej brano.

Z Galicji i Poznańskiego ozwały się głosy naprzód, pobudzające do ograniczenia się pracą praktyczną około odbudowania materjalnych podstaw bytu. Przeciwko temu nie mieć nie można, ale prąd ten nowy, jak wszystko u nas nowe, został wyegzagerowanym, posuniętym do krańców. Objęto obowiązkami nowemi prawie wyrzeczenie się innych pragnień i potrzeb ducha, odrzucono je..... przeklęto literaturę, zohydzono beletrystykę, jako szkodliwą, potępiono poezję, a ostatecznie..... w ślad za rozkazem Aleksandra II powiedziano sobie: — Precz z marzeniami!

Naród, który żył pół wieku jednem marzeniem, nagle się z niem pragnął rozbratać.

Ten fakt współczesny zapisujemy, jako jedno z najwybitniejszych zjawisk teraźniejszości; zaprzeczyć mu niepodobna, zrozumieć go łatwo, ale przyjąć bez protestu nie godzi się. Tak jest, marzenie, poezja, wysoki ten nastrój ducha, za daleko nas poprowadził; ale nie jest to jego winą, winą jest naszą, żeśmy z żywota myśli i uczucia sumę zbyt wielką przenieść zapragnęli do rzeczywistości, żeśmy wyczłowieczyli się i sądzili, że warunki bytu ludz-

kiego przez to z siebie zrzucimy, żeśmy wierzyli w cud przez potęgę ducha..... nie będąc może godni powołać się o ten cud do Boga.

Ale możeż to być powodem, aby się przerzucić w drugą a gorszą ostateczność, w niewiarę, w apostazję przeszłości, w potępienie wiekowych prac, łez i ofiar?

Ciekawym fenomenem jest to, że gdy młodzież pchnęła do ruchu 1863 roku, młodzież także galicyjska prawie pierwsza poczęła po nieszczęśliwych jego skutkach odzywać się w duchu tym reakcyjnym, przebranym w miłość nauki praktycznej, w potrzebę pracy wytrwałej a organizacyjnej.

Nie trzeba dodawać, iż ten drugi kierunek zgrzeszył znowu wyłącznością swej gorączki na zimno.

Ale głosy podobne odzywały się i odzywają ze wszystkich stron kraju mniej lub więcej wyrazisto. Mówi przez nie instynkt zachowawczy jego, czując się zagrożonym w samem istnieniu.

Dlatego też nie będziemy walczyć z owym objawiającym się kierunkiem ultra-praktycznym — chcemy go tylko oznaczyć.

Do pewnego stopnia jest on koniecznym; lękamy się tylko, by przy dłuższem działaniu jego na naród, skłonny do duchowego lenistwa, a do przesady gwałtownej — nie pochłonął w sobie, cośmy mieli i mamy najszlachetniejszego.

Moskiewskie dzienniki niejeden raz dały nam pouczającą wskazówkę, podnosząc ten realistyczny kierunek, jako zgodny z ich planami reformy lub tego, co zowią reformą narodu.

Rok 1866 nic nie przyniósł nowego w Królestwie, Litwie, na Wołyniu, Podolu i Ukrainie; wyjaśnił on nam dobitniej jeszcze teraźniejszego ducha Moskwy, jej tendencje i zgodną myśl: eksterminacji żywiołu polskiego.....

Nadzwyczaj ciekawym przykładem tego żarliwego polakożerstwa jest nawrócenie się ku niemu Ogarowa i Hercena [1]), którzy radykalne rządowi podają środki do rusyfikacji Litwy!

W Petersburgu i Moskwie, jak niegdyś modą było kochać Polaków, wcielonych przedstawicieli liberalizmu, tak dziś nawet u młodzieży należy do dobrego tonu, do postępowości, pokłaskiwać Katkowskiemu [2]) *Delenda Polonia!* [3])

---

[1]) Ogarow i Al. Hercen — współcześni publicyści rosyjscy, którzy zrazu sprzyjali powstaniu polskiemu z r. 1863.

[2]) Michał Katkow, rosyjski publicysta, od r. 1863 apostoł absolutyzmu i skrajnie polakożerczego nacjonalizmu.

[3]) «Polskę trzeba zgładzić ze świata».

Patrzyliśmy na to, jak ten prąd w Rosji się rodził, stworzony przez rząd sztuczną agitacją a potwarzami systematycznemi przeciwko Polsce.....

Na młodym, wrażliwym, mówiąc dobitniej, niewykształconym narodzie, który do samoistnego sądu nie przywykł, myśleć się nie nauczył, a ma jeszcze wiele namiętności do wyszafowania — na narodzie, który połechtano, pierwszy raz dając mu trochę swobody i powołując go do niby politycznej roli — środki przez rząd użyte, musiały podziałać silnie.

Widzieliśmy go też w tem usposobieniu, że wychodząc z dawnego obyczaju gościnnego i miłosierdzia dla nieszczęśliwych, rzucał kamieniami i błotem na skute szeregi wygnańców, których im malowano, jako niechrześcijan, zbójców, nieprzyjaciół Boga i cara.

W tej walce z Polską zaprawdę niebezpiecznych użyto narzędzi: demoralizacji, roznamiętnienia, pobudzania niechęci i nienawiści, a w Królestwie zastosowania najostateczniejszego racjonalizmu i komunizmu.

Chcąc sobie pozyskać lud, rząd skruszył prawa własności, usiłując przez najdziwaczniej ulepioną *lex agraria* [1]) stworzyć klasę drobnych posiadaczów ziemi, sobie przychylną, a zrujnować szlachtę, podejrzewaną o posiadanie narodowego uczucia.

Wychodząc z tej zasady, że szlachta tylko stanowiła naród polski i przedstawiła go, Milutyn [2]), Czerkaski, na Litwie Murawiew [3]) i Kaufman [4]), godny jego następca na Wołyniu, Podolu i Ukrainie Bezak, dopuścili się najpotworniejszych nadużyć przeciwko większym posiadaczom.

Wszystkie środki zubożenia, konfiskaty, sekwestry, kontrybucje, sztrafy, wywłaszczenia użyte zostały i naturalnie u wielu musiały sprowadzić upadek a stosunkowe znękanie u wszystkich.

Jaki to wpływ wywarło na wszelkie stosunki ekonomiczne kraju, rujnowanego rozmyślnie przez rząd, wyobrazić sobie łatwo. Zachwianie własności, jednej z podstaw bytu społecznego, która zresztą nigdy w Rosji w europejskiem znaczeniu pojętą i przyjętą nie była — odbiło się nie tylko w prowincjach, poddanych car-

---

[1]) Prawo rolne.

[2]) Mikołaj Milutin od r. 1864 sekretarz stanu w Królestwie Polskiem, twórca reform, zmierzających do poróżnienia szlachty polskiej z włościanami.

[3]) Michał Murawiew, zw. «wieszatelem» od r. 1863—1865 gen. gubernator Wilna.

[4]) Kaufman Konstanty, od r. 1865 gener. gubernator Wilna.

skim eksperymentom komunizmu, ale w całego państwa stanie finansowym i ekonomji. Nie przebierając w środkach, rząd moskiewski nie spostrzegł się może, iż, za narzędzia używając ludzi najostateczniejszych doktryn, dając im w ręce siłę, uznając ich zasady, przelewał je zwolna w łono państwa, w którem jad nieuleczony szczepiły.

W ostatnich latach ucisk, wywierany na resztę unitów w chełmskiej djecezji, których nawet Mikołaj tknąć nie śmiał, doszedł do niesłychanych napaści. Ohydnem jest, że do niego pomagają unici galicyjscy, księża, niegodni tego nazwiska.....

Jest to straszny dopust boży.

Na kościół łaciński na Rusi wywarto całą srogość możliwą; kasują kościoły, rachując na to, że uboższa ludność oddalona od nich, będzie zmuszona uciekać się do popów; kasują djecezje samowolnie, wywożą księży, niszczą cmentarze, wywracają krzyże...

Zdaje się, że owo sławne zerwanie z Rzymem nie było wcale przypadkowem. Pan Meyerdorff musiał mieć na to instrukcje, rząd bowiem od czasu, gdy go już żadne stosunki nie wiążą z papieżem, jeszcze gwałtowniej, wedle swojego wyrażenia «reformuje» Kościół — a pomimo to stara się w swoich dziennikach dowodzić, że jest jeszcze lepiej uposażony, niż we Francji i niż własna ich cerkiew.

Na to tylko jedno odpowiedzieć można, iż Kościół katolicki miał swe wyposażenie własne, które mu wydarto, i to, co dziś ma, nie jest ani dziesiątą częścią tego, co posiadał.

Jest to, jakby kto, zrabowawszy mienie cudze, tłumaczył się łem, że mu jeszcze dosyć do życia zostawił.

Łatwo jest przewidzieć, do czego będzie zdążał rząd rosyjski: oto zechce stworzyć rodzaj osobnego Kościoła polskiego (na szczęście odebrał sobie po temu najlepsze narzędzie, bo Polski nie uznaje) i nadać mu zarząd taki, jaki ma w swej cerkwi, rodzaj synodu rządzącego..... Próba takiego kolegjum do spraw katolickich w Petersburgu utrzymywała się dla cesarstwa, ale ani Rzym, ani ściślej legalni duchowni uznawać tej instytucji i zasiadać w niej nie chcieli.

Duchowieństwo katolickie ma oręż mocny: prawo i dyscyplinę kościelną, których siła może nie być obowiązującą dla Moskwy, ale jest dla kapłana katolickiego.

Ofiarą tego oporu legalnego, poczytywanego za bunt przeciwko władzy, padli ks. arcybiskup Feliński, Krasiński, Rzewuski,

Domagalski, Szczygielski i niezliczone ofiary... naostatek Kaliński, biskup chełmski unicki, który zmarł na wygnaniu.

Dziś konsystorz unicki jest w ręku jawnie sprzyjających schizmie.

Rząd rosyjski rozumie to dobrze, iż katolicyzm jest dlań główną zaporą do zupełnego owładnięcia Polską. Oderwać jej od Europy nie można inaczej, jak zrywając ten węzeł, co ją łączy ze społecznością cywilizowaną; nie można ociemnić i zniżyć, aby, jak Katków chce, zrównać z zacofaną Rosją, tylko gasząc pochodnię religji.

Ale próżne to są usiłowania. Religja tak łatwo wykorzenić się nie daje; porywanie się na nią niebezpieczne; wywołałoby ono starcie z tym ludem, który rząd chce mieć za sobą. Tak rychło więc wykonać planu niepodobna, a tymczasem... może, jak w bajce, albo osieł, albo nauczyciel zdechnąć.

W Litwie, czując trudności zadania, masami, wsiami całemi powywożono ludność w głąb Moskwy, na jej miejsce wszczepiając dzicz, która swym wpływem ma zdziczyć lud tutejszy. Świętokradzkie to targnięcie się na prawa człowieka na nic się nie przyda, bo prędzej gromada owej dziczy powoli się wycywilizuje (takie jest prawo ogólne), niż lud oświeceńszy przejmie wyobrażenia barbarzyńców.

Naród, ażeby przyswajał sobie, aby wcielał, musi mieć wyższość jakąś, musi mieć potęgę duchową. Rosja ma tylko materjalną, zdobycze też jej są pozorne i muszą podpadać, gdy siła pięści na chwilę słabnie. Ci, co doradzali ten system destrukcyjny, chaosotwórczy Moskwie, podkopali jej przyszłość.

Ma on przy zapalczywych sympatjach ogółu, oklaskach prasy i patrjotycznych hałasach, wszystkie pozory dokonywującego się monumentalnego dzieła przyszłości; Aleksander II pysznić się zapewne będzie tytułem reformatora Polski i pierwszego jej istotnego zdobywcy, tak jak się chlubi emancypacją włościan, niestety, równie niedokonaną, lecz jeśli nas nie mylą te aksjomata, które z całego dziejów ludzkich wyciągnąć się dają — robota przeciw prawu i naturze na nic się nie zda.

Będzie to tylko wielki wysiłek, pod którego cieniem wyrośnie rewolucja, która przetworzy samą Rosję — w jaki sposób? — nie próbujmy odgadnąć.

Nadto żywiołów palnych rzucono na to młode ognisko, zbyt się wiele nazbierało materjałów wywrotu, aby ten nie miał na-

stąpić. Wstrzymają go masy ciemne, długo może być niepodobieństwem jeszcze, ale każdy dzień przybliża chwilę nieuchronną.

Tymczasem poćwiartowana Polska cierpi, ale cierpieniem, prześladowaniem świadczy, że żyje.

I ona także przetwarza się, nie w taki sposób, w jakiby, będąc w normalnym stanie, musiała się odrodzić, ale powolnej i mozolnej, ale wedle nieuchronnego prawa postępu.

Rząd nie potrafi wynarodowić ludu, jest to ze wszystkich dzieł najtrudniejsze, bo lud najuparciej zatrzymuje swe cechy rodzime. Inne klasy społeczne zawsze są skłonniejsze do zmiany, z ludem idzie powoli. Pomimo wstrzymania wszelkiemi środkami szerzenia się oświaty, prób rusyfikacji przez elementarze głoskami moskiewskiemi, rząd nie podoła duchowi wieku i światło spłynie na masy.

Przyszłość jest w ręku bożem, ale wierzmy, iż musi być podległa prawu, a prawem jest postęp. Najgwałtowniejsze, a świętokradzkie działanie przeciwko temu prawu będzie tylko walką olbrzymów, których piorun strąci w otchłanie.

JÓZEF SZUJSKI. [1])

Kilka prawd z dziejów naszych. Ku rozważaniu w chwili obecnej. [2])

W jednym z najgłębszych ducha polskiego rezultacie, w mowie o narodowości Polaków K. Brodzińskiego, stoją słowa: «Bóg chciał mieć narody, jak ludzi, osobowemi, aby przez nie działać na ludzkość». Owa osobowość narodów, która dzisiaj upominała się o swoje prawa przy podniesieniu kwestji narodowości, polega na pilnowaniu i strzeżeniu przekazanego przez przeszłość skarbu tradycyj wszelkich, jakie pozostały, na pojęciu się w ciągłości i konsekwencji życia narodowego z przeszłością, na odziedziczeniu przez każde pokolenie cnót z obowiązkiem doskonalenia ich, a grzechów z obowiązkiem ekspiacji. Zachowując tę ciągłość narodową, jesteśmy synami Kościoła katolickiego, obrońcami cywilizacji zachodniej, spadkobiercami wszystkiego złego i wszystkiego dobrego, co

[1]) Józef Szujski (1835—1883) wybitny historyk, publicysta i poeta, jeden z głównych filarów stronnictwa konserwatywnego (t. zw. Stańczyków).

[2]) Artykuł ten ukazał się w osobnej broszurze w Krakowie r. 1867, jako program polityczny pisma *Przegląd Polski*.

nasz ojciec, dziad i pradziad popełnili. Zachowując tę ciągłość, opatrujemy każdego wpuszczonego świeżo do obozu narodowego w prawa i wkładamy nań obowiązki, które z niej wypływają. Dziś po całem stuleciu ciężkiej niedoli, dopełniła się miarka ekspiacji, uwłaszczenie stało się ciałem we wszystkich ziemiach narodu polskiego, jesteśmy równi braterstwem i niewolą. Posłuchajmyż, co mówi do nas przeszłość, co masie nowo przybyłych opowiada obywateli, aby się spoili z nią duchem, jak się spoili literą prawa. Że zaś owe masy, poddane szatańskiej propagandzie wynarodowienia, oderwania od pnia przeszłości, słyszeć nie mogą, niechże posłuchają ci, którzy siać będą ziarna przyszłości w tę masę, aby plon wydała.

Otóż powiada jej naprzód tę wielką prawdę, że jeżeli naród jako państwo upadł, to z własnej winy, jeżeli powstanie, to własną pracą, własnym rozumem, własnym duchem. Jest to toż samo, jak gdybym powiedział, że naród upadł z woli bożej, ukarany, powstanie zaś z tejże woli, odrodzony, bo jeżeli Bóg narody osobowemi uczynił, to zastosował do nich prawa też same, co do ludzi, też same, co do ludzkości. Słowo to moje nie wyłącza winy obcej przy upadku, ani pomocy obcej przy odrodzeniu, bo jak zamach obcy mocnemu nie szkodzi, tak pomoc obca może pomóc mocnemu duchem i słabemu środkami. Ale wracamy do założenia, któreśmy na czele bożych praw przeszłości, prawd narodowych postawili.

Dlaczegóż ten naród umarł, ten naród, który miał dnie tak świetne, kraje tak wielkie, myśli tak wzniosłe, duszę tak szlachetną, posłannictwo tak znaczne? Dlaczego stał się dzisiaj najnędzniejszym Łazarzem ziemi, najnieszczęśliwszym wśród nieszczęśliwych, dlaczego spełniło się na nim co do joty proroctwo świątobliwego kaznodziei dni Zygmunta III, dlaczego zastosować do nas można słowa Izajasza, Ezechjela i Jeremjasza, które do nas stosował?

Czy dlatego, że miał taką, a nie inną formę rządu? Ależ kwitnęliśmy przecie pod monarchiczną dłonią i kwitnęliśmy pod wolnemi rządami Zygmuntów Jagiellonów. Czy dlatego, że miał przewagę tych albo owych społecznych żywiołów? I to nie, bo przewaga duchowieństwa i możnowładztwa za czasów Zbigniewa Oleśnickiego ratowała w czasach pierwszych Jagiellonów Polskę od separatyzmu Witołda, a przewaga demokratycznej szlachty przeprowadziła dzieło unji Litwy z Polską za czasów Zygmunta Augusta, bo mieliśmy panowanie Stefana Batorego, które wszystkie społeczne żywioły umiało uczynić podstawą dziesięcioletniej,

ostatniej chwili harmonji Polski. Później przez trzy wieki mieliśmy najrozmaitsze teorje monarchiczne i republikańskie, a teorje te nie mogły uchronić rzeczypospolitej przed zgubą, a porozbiorowej Polski doprowadzić do odrodzenia. Dlaczego? Bo od owego 1586 roku, w którym położył się do grobu Stefan Batory, a po którym genjusz narodu, Zamojski, popadł w niezgodę z tronem Zygmunta III, rozpoczyna się u nas upadek harmonji w społeczeństwie narodowem, polegającej na czynniku rządu z jednej, na czynniku ładu i sprawiedliwości społecznej z drugiej strony, których istnieniem kwitną, których upadkiem niszczeją narody.

Jakąkolwiek jest forma rządu, jakikolwiek jest skład społeczny, czynniki te dwa istnieć i zgodnie ze sobą działać muszą, jeżeli naród ma kwitnąć. Jeżeli będą w zgodzie, każda forma rządu będzie dobrą i każdy układ społeczny dobrym. Jeżeli przestają być w zgodzie ze sobą, znak to, że coś w układzie społecznym lub w rządzie jest słabego i zepsutego, że jest grzech przeciw prawom bożym w jednym i w drugim, i wtedy to rozpoczynają się zwykle długie, straszne wieki wewnętrznych burz, okropnych katastrof, które opatrzna ręka wiedzie do katastrofy, sprawiedliwość wymierzającej. Duch wierzący w Boga może przerażać się ich skutkami, ale nie straci wiary w ich celowość.

Otóż grzechem tym narodu, wedle proroctwa świętego kaznodziei naszego, było pogardzanie rządem, nierząd, i pogardzanie bliźnim, uciemiężenie ludu. Grzechem tym było odstępstwo od wiary ojców, od Boga i Kościoła. Grzechy te wywołały ową szaloną dysharmonję w społeczeństwie narodowem, która się skończyła podziałem Polski.

(W dalszym ciągu tezę swoją uzasadnia Szujski faktami z naszych dziejów, wykazując, jak w owej dysharmonji rozbiły się radykalne środki rządu i Kościoła, jak szlachta broniła się od wszelkich reform politycznych i społecznych «szalonym» środkiem «liberum veto», zacieśniając się w swoich przywilejach i kastowym egoizmie i temu kastowemu interesowi poświęcając interes całości).

Umarła rzeczpospolita i zaczęły się nowe czasy, przeznaczone na rozwój ostateczny tychże samych żywiołów..... Gdy przyszedł wiekopomny czteroletni sejm, wiekopomny testament rzeczypospolitej, ten po długich wahaniach dał narodowi politykę interesu i rząd, dwie rzeczy, których Polska od dwóch wieków otrzymać nie mogła.

Polityka interesu to samodzielność, rząd, to

niepodległość. Ale polityka interesu..... nie posiągła się do czynu... a rząd nie umiał stać się ciałem. Przeszkodziła temu podnosząca głowę hydra pogrzebanego *liberum veto* w postaci Targowicy...

Nastąpiła niewola. Niewola to nie sam ucisk zewnętrzny, to nie panowanie tego albo owego systemu niemiłego narodowi, to nie przewaga tego albo owego narodu, przekomarzającego się nad drugim, to więcej, bo to odebranie narodowi własnego rządu i własnej dyspozycji społeczeństwem. Obłędzie! który mniemasz, że dosyć jest chcieć wypędzić nieprzyjaciół, że dosyć jest zrobić konspiracyjkę jedną lub drugą, aby być wolnym i niepodległym, wynieś się z ziemi naszej, opuść ją na zawsze, bo sprowadzasz tylko klęski bez granic, bo policzone już dni twoje, które z woli bożej spędziłeś między nami, bo dokonałeś już swego i złożyć nam cię przychodzi do grobu z słowem miłości i przebaczenia chrześcijańskiego! Wiecie, co znaczy stać się wolnym? Stać się wolnym, to stać się zdolnym utworzyć rząd i dokonać reorganizacji społeczeństwa. A rząd ten nie może być żadną arlekinadą rządu, ale rządem organicznym, obejmującym wszystko, a organizacja nie może być destrukcją, ale budowaniem!

Kto pomyślał, wytłumaczy sobie z łatwością dzieje królestw, kongresowego i powstania Kościuszki. Walka to dwóch generacyj... Generacja, schodząca z pola — to przyjaciele Aleksandra, szanujący szmat polskiego kraju w polityce, klasycy w literaturze; generacja młoda — to konspiratorowie w polityce, romantycy w literaturze. A niechaj tu nikt nie myśli, kto nie bluźni, żeby którakolwiek strona miała wtedy monopol ducha narodowego. Obie miały swoje racje, prawda była pośrodku, ale prawda nie dająca się pochwycić odrazu. Po jednej stronie było święte pojęcie rządu, po drugiej — święte pojęcie społecznej reformy. Pojęcia te rozbiły się od chwili podziału bardziej, niż kiedykolwiek, bo niewola stanęła pomiędzy niemi. W obronie przed tą niewolą ratowali jedni rząd, póki miał ślad polskości, drudzy społeczną kwestję łączyli z kwestją niepodległości. Jest to ów fatalny *circulus vitiosus*, który w r. 1863 dobiegł swojego kresu. I podobnie jak opozycja przeciw tronom najwięcej ma względnej za sobą słuszności za dni Zygmunta III lub Augusta II, wprowadzających monarchizm: tak i za dni powstania listopadowego konspiracyjny żywioł miał najwięcej młodości i warunków życia, najwięcej politycznych racyj, miał w świecie ducha genjusza Mochnackiego i Mickiewicza, miał

głowy, pojmujące doskonale potrzebę rządu, miał bohaterów 29 listopada; a obóz przeciwny, który 29 listopada nazwał smutnym wypadkiem, który uwłaszczenia nie przeprowadził, który nie pojął nowej epoki ani w polityce, ani w literaturze, który, owładnąwszy kierownictwo sprawy, nie chwycił się podanych przez młodych środków, obóz ten zdawał się absolutnie żadnych nie posiadać. Powstanie 1831 r. upadło, Kongresówka i kraje zabrane wpadły pod żelazne berło Mikołaja, kłótnia zasad przeniosła się na emigrację, która od r. 1831 do 1848 sama jedna wzięła kierownictwo narodu w monopol.

Jeżeli straszne są skutki niewoli, straszniejsze jeszcze są skutki emigracji. W niewoli ma się przed oczyma rzeczywistość, tę podstawę naturalną każdego czynu politycznego, w emigracji ma się tylko ideę, tylko uczucie, tylko wspomnienie, a ma się prócz tego modłę obcego społeczeństwa przed sobą. Cóż dopiero, jeżeli się w tę emigrację idzie z rozdartem sercem, z straszną dezilluzją, z gniewem i rozpaczą? Na takim to gruncie rozwijały się dalej oba stronnictwa w emigracji, stronnictwo idei rządu i stronnictwo idei społecznej... Stronnictwo demokratyczne zasłużyło się krajowi dobrze rozszerzeniem idei liberalnych, o których zbawienności i potrzebie było przekonanem. Któż z nas do koła jego pojęć nie należał i nie należy jeszcze, kto nie wie, że dokonało swego na polu społecznem? Ale na polu politycznem nie miało to stronnictwo żadnej racji bytu, bo środek jego był środkiem prawdziwym, ale tylko w chwili czynu 1831 r. gdy były warunki skutku, gdy była rzeczywistość. Społecznego ruchu używać dla celów politycznych, mniemać, że usamowolniony wczoraj, dzisiaj za sprawę się poświęci, zastępować organizm społeczny organizmem konspiracji, zaczynać sprawę od siebie i od ludzi kilku, których się zebrało w imię najświętszej rzeczy, przeczyć wszystkiemu, co jest w społeczeństwie, a z dobrej woli nie przystąpiło, rachować na słabość charakteru narodowego, chwiejnego a powodującego się uczuciem: oto w całej nagości teorja konspiracyjna, niepolska, bo pożyczona od socjalnych ruchów zagranicą, teorja, którą znamy, którą zsyła Opatrzność, aby społeczne sprowadzić zrównanie, ale która z tem społecznem razem zrównaniem umarła na wieki. Nie przeczymy jej podwójnej zasługi męczeństwa i propagandy zasad postępowych, nie przeczymy, że prowadziła w Polsce to, co było konieczną

potrzebą — jesteśmy wszyscy jej duchowymi synami i niema nikogo w ziemi polskiej, któryby jej faktycznego zwycięstwa nie uznał; ale chwila stanowcza wybiła i oto dzisiaj pogrzeb *liberi conspiro*, tego ducha, który *liberum veto*, starego grzesznika, odkupił krwią i łzami miljonów.....

Dzisiaj, po skończonem uwłaszczeniu, przyszło do tego, że konspiracja ma absolutną niesłuszność, strona normalnej, organicznej pracy absolutną słuszność!

Dlaczego? Bo rok 1863 zamknął na zawsze epokę konspiracji, nie zostawiając ani jednego człowieka społecznie niewolnego na ziemi polskiej, rok 1863 dokonał dzieła uwłaszczenia ludu, nad którem konspiracja, jako złe konieczne, pracowała. Bo przedłużenie konspiracji poza rok 1863 pod jakimkolwiek kształtem byłoby już nie walką o niepodległość, której drogą konspiracyjną żaden naród na świecie nie odzyskał, nie przedłużeniem socjalnej rewolucji, która się w r. 1863 już dokonała, ale podaniem narodu na zgubę, ułatwieniem danem Moskwie do jej zagłady. Jak *liberum veto* po konstytucji 3 Maja było Targowicą, tak i *liberum conspiro* po usamowolnieniu ludu byłoby nią, w straszniejszej tylko formie...

Absolutną więc dzisiaj słuszność, powtarzamy, ma droga normalnego organicznego rozwoju narodowego, droga uporządkowania społecznego po uwłaszczeniu i równouprawnieniu. Na polu politycznem, społecznem, ekonomicznem, drogą jawną i publiczną winniśmy przyjść do zużytkowania wszystkich sił nowych, do wytworzenia z siebie zastępu ludzi publicznych, zaszczyconych zaufaniem narodu. Sejm, instytucje publiczne, stowarzyszenia, oto legalne i jawne nasze organa, poza któremi nic istnieć, nic pozostawać nie powinno, które poza zakres działania swego wychodzić nie mogą. Bo, obłędem bez granic, dzisiaj już żadnego nie mającym pozoru, jest zarzucać społeczeństwu upadek ducha narodowego, a mniemać, że to społeczeństwo sztucznemi środkami związane, najwyższe dopełnić może cele.....

(Po tej, bez mała w całości przedrukowanej tu, części zasadniczej, rozwija Szujski w II części swej rozprawy program praktycznego stosunku Polaków w zaborze austrackim do Austrji i jej polityki, usiłując uzasadnić twierdzenie, że interesa Polaków i monarchji austrjackiej są identyczne i z tego powodu dozwalają nam w tej federacji być nie tylko dobrymi patrjotami polskimi, lecz także austrjackimi).

TEKA STAŃCZYKA. [1])

Z listu piątego: Rozmowa pana Piotra z panem Pawłem.

P. Piotr. Jakże się miewasz, szanowny Pawle?

P. Paweł. Dziwna to rzecz, na tym rynku gawronowskim trudno się nie spotkać, a my już tak dawno nie widzieliśmy się.

P. Piotr. To prawda. — No i cóż mówisz na to wszystko?

P. Paweł. Cóż chcesz, p. Piotrze, żebym mówił?

P. Piotr. Siądźmy sobie, p. Pawle, tam na ławie przed apteką i pomówmy nieco z sobą, bo przecież wszystko to warto jest zastanowienia.

P. Paweł. Z miłą chęcią.

P. Piotr. Co najdziwniejszego, p. Pawle, oto, że przecież hałasują, nielitościwie bębnią, jak najęci, a tymczasem w nas chcą wpierać, że to tylko nam w uszach tak dzwoni i w głowie szumi.

P. Paweł. P. Piotrze, ciebie to dziwi? Przypomnijże sobie, że to odwieczna ich metoda. I to także nic nowego. Ale jedno z dwojga, Panie Piotrze: albo my wszyscy i z nami cały kraj byliśmy dotąd zupełnie głupi, niedołężni, pozbawieni wszelkiego rozumu i patrjotyzmu, próżnowaliśmy całe życie, szliśmy wszyscy błędną drogą, i trzymaliśmy się nietylko chwilowej, ale zgubnej, małodusznej polityki, albo też ten nowy kierunek, który tak widocznie powstaje w naszych czasach, a tak nam bębni nad uszami, nic nam dobrego nie wróży.

P. Piotr. My to nie dzisiejsi, znamy się przecież na tych perjodycznie pojawiających się u nas symptomatach. Wiemy dobrze, że u nas jeszcze się nie spostrzeżesz, a już naród wciągną w jakieś szaleństwo, że najmniejsze głupstwo łatwo, bardzo łatwo przemienia się w wielkie, a zawsze idzie naprzód en boule de

---

[1]) *Teka Stańczyka* drukowała się w *Przeglądzie Polskim* w roku 1869. Stańczykami nazwali się autorowie pojedynczych artykułów: Józef Szujski, Stanisław Tarnowski i Stanisław Koźmian. Całość składa się z siedemnastu listów różnych zmyślonych osobistości o sprawach galicyjskiej polityki i galicyjskiego społeczeństwa po r. 1863. Są tu: szambelan, trybun, exminister, kandydat do parlamentu, kobieta polityczna, właściciel apteki, urzędnik bankowy, prezes Rady powiatu, poseł sejmikowy, uczony i dziennikarz. Każdy z nich przedstawia opinję swej sfery. Pan Piotr i Pan Paweł nie są stańczykami, lecz dobrze wykładają poglądy stańczyków na różne poruszone przez nich sprawy.

niegę [1]), że u nas nie można lekceważyć sobie nawet małych wybryków pojedynczych, nawet idjotyzmu nielicznej sekty, nawet kretynizmu napiętnowanych indywiduów, bo w nieszczęśliwych okolicznościach, w jakich się znajdujemy, z naszym charakterem narodowym, z naszą przeszłością i wrodzoną skłonnością popełniania wciąż tych samych błędów, nareszcie *avec notre esprit d'apropos* [2]), «dalibóg i z kija wystrzeli, jak Pan Bóg pozwoli». Przyznam ci się, Pawle, że ja nigdy nie dzieliłem przekonania tych, którzy mniemali, że jedyną korzyścią, jaką odniesiemy z ostatniej naszej wielkiej klęski, będzie wyrzeczenie się zupełnie tych kierunków, które nas tak niemylnie doprowadzały zawsze do klęsk i tak systematycznie podawały każdemu, czy chciał, czy nie chciał, sposobność wytępienia żywiołu polskiego; nie p. Pawle, tego nigdy się nie spodziewałem, bo znam mój naród, znam jego położenie i znam ludzi, a ludzie nie lubią się przyznawać, że błądzili, ale przyznam ci się szczerze, że z drugiej strony nie przypuszczałem nigdy, żeby świeżem doświadczeniem potępiony kierunek śmiał i miał bezczelność tak prędko na nowo rozwielmożnić się i zachwalać się, jako jedynie zbawczy.

P. Paweł. Cóż chcesz p. Piotrze, jak są ludzie, tak są i stronnictwa z miedzianem czołem. Zważ dobrze, że dwa tylko zawsze objawiają się u nas kierunki, a że pozorna walka stronnictw ogranicza się u nas niestety do walki rozumu politycznego z głupotą, niejakiej odwagi cywilnej z tchórzostwem, stałości w zdaniu z tą nikczemną chwiejnością, mającą swój początek najczęściej w żądzy popularności, czasem w gorszej jeszcze chęci zysku chwilowego; doświadczenia z zaślepieniem, i trzeźwego zapatrywania się na położenie z tym opłakanym i zgubnym optymizmem, z którego nigdy nie wyleczymy się, a który obiecuje wiecznie i sobie i innym dopięcie wszystkiego jakiemibądź środkami. Lecz co jest prawdziwie upokarzającem, oto, że z tej walki rozumu z głupotą i rozsądku z szaleństwem powstały u nas dwa systemy polityczne. Określać ci ich bliżej nie potrzebuję, znasz je: pierwszy chce przemawiać do rozumu politycznego i uczucia obowiązku — drugi odzywa się do wyobraźni, do sentymentalizmu, do nienawiści i do namiętności, a przedewszystkiem do ciemnoty; drugi w walce z pierwszym ma u nas niezaprzeczoną wyższość, bo przemawia do tego, co najwięcej u nas jest rozwiniętem; nic więc dziwnego, że tak łatwo, tak często i niespodziewanie zwycięża. Wszystkie

[1]) jak kula śniegu; [2]) wobec naszego przysłowiowego...

jego zwycięstwa naznaczone są w historji okropnemi, strasznemi, niepowetowanemi dla Polski klęskami. Otóż, wskutek zbiegu okoliczności, ta prowincja polska po ostatnich wielkich wypadkach wyrzekła się stanowczo tego drugiego zgubnego systemu, a postanowiła trzymać się pierwszego, czyli wyrażając się nie tak górno, kraj nauczony doświadczeniem, poprostu zmądrzał — a co ważniejsza, dotąd w tem zmądrzeniu wytrwał. Tego przebaczyć mu nie mogą. Od niepamiętnych czasów było to może najświetniejsze zwycięstwo rozumu w Polsce, a więc największa klęska dla wszystkich półgłówków. Aż tu raptem pojawiać się zaczęły coraz liczniejsze, coraz śmielsze i natarczywsze objawy drugiego systemu.

P. Piotr. Prawdziwe zamachy przeciw rozsądkowi.

P. Paweł. Najlepiej o tem przekonać może polemika, która się od miesiąca toczy w dziennikarstwie krajowem. Ona lepiej może, jak *Wieczność* lub *Lustrator*, przekonała, że to nie są żarty. *Wieczność* i *Lustrator*, pisma, które niezawsze dotąd szły z sobą w zgodzie, które w niejednej kwestji nie zgadzały się, które w niektórych nigdy może ze sobą się nie zgodzą, stanęły przecież w obronie zdrowej polityki, oświadczyły się stanowczo za wytrwaniem w pierwszym systemie i w rozmaity sposób, poważnie i żartobliwie, z żałością i ironją usiłowały wykazać, do czego zwykle doprowadzał u nas drugi system, a opierając się na przeszłości, dowodziły, że się go obawiać można i należy w przyszłości. Wszakże, panie Piotrze, przyznać im przynajmniej trzeba, że postąpiły uczciwie, skoro wypowiedziały to, co było ich przekonaniem — a następnie skoro zadały sobie pracę wykazania raz jeszcze, do jakich zboczeń doprowadzić może głupstwo ludzkie i niedorzeczności jednostek. Otóż nic mnie tak silnie nie przekonało o słuszności tych ich obaw i zarzutów, jak wściekłość, zła wiara i namiętność, z jakiemi uderzały na nich wychodząca u nas *Całość*, *Dziennik Tygrysowski*, organ demokratyczny, i wychodzący w Tygrysowie *Słonecznik*, organ chwiejności narodowej, oraz bratnie dwóch pierwszych dzienników głosy, które znalazły przystęp do wielkopolskiego organu, do tej Bezstronności, która tak często niestety bywa stronniczą, a której kierunku ani dążności nigdy pojąć ani zrozumieć nie mogę, bo nigdy z dnia na dzień nie jestem jej pewny. Mianowicie ostatni zeszyt *Lustratora* wywołał nadzwyczaj dobrze udane oburzenie, a zarazem źle ukrytą wściekłość. Istny to puhacz ten zeszyt *Lustratora*, na którego biją i krakają wszystkie nasze wrony i gawrony. Uderzono po ukazaniu się tego zeszytu na alarm — a *Całość* nawet zawołała: Alarmiści, Alarmiści!

Niepokoją nas; i ze znaną taktyką dodała niemal: oni to zamieszanie gotowi wywołać.

Ależ na Boga, p. Piotrze, to już się zwie żartować z czytelników i mydlić im oczy! Jakto, więc alarmiści są ci, którzy widząc dzieci, bawiące się brzytwą, wołają: połóżcie to; pijanych, idących koło stodół z zapalonemi fajkami, wołają: oddalcie się; i zuchwałego furmana, zaprzęgającego dzikie konie: daj temu spokój! Przecież milczeć nie mogą, bo im tego prosta uczciwość nie pozwala — nie mogą, nie powinni też dla dogodzenia dzieciom pozwolić im bawić się brzytwą lub siadać na kozieł i dalej! dalej! puszczać się na bezdroża znarowionemi końmi, które muszą skręcić na manowce i rozbić wóz. Czyż to wina przestrzegających, iż tyle razy w życiu zdarzyło im się widzieć, że brzytwa kaleczy, że z fajki, z niewinnej fajki, najczęściej po wsiach powstaje pożar, i że niedobrane, dzikie, młode, nieujeżdżone konie zwykle unoszą, woźnicę zrzucają, powóz druzgoczą? Czyż dlatego, że przestrzegają, kładą oni już na równi te dzieci, tych pijanych, tego zuchwałego woźnicę ze zbrodniarzami, podpalaczami i czarnymi intrygantami? Czy podobna z ich przestróg wysnuć wniosek, że są przeciwnikami golenia się, palenia i jeżdżenia za interesem lub dla przechadzki? Zaprawdę, panie Piotrze, takie konkluzje wysuwać może tylko zła wiara lub ukryty cel, ci tylko, którzy nie życzą sobie, żeby przestrzegano, że brzytwa może skaleczyć, fajka pożar wzniecić, a znarowione konie unieść. *Wieczność*, *Lustrator*, a nawet osławiona *Teka Błażeńska*, ograniczyły się na podobnych przestrogach. Dlaczegóż wywołały one takie oburzenie i tak gwałtowne inwektywy? Cobyś powiedział, panie Piotrze, o człowieku, któryby chciał zabić stróża wieży marjackiej? Że chyba ten człowiek ma zamiar dziś lub jutro podpalić Gawronów i chce uniemożebnić wszelki ratunek tak, żeby był w każdym razie zapóźny — i żeby się nikt nie spostrzegł zawcześnie, że pożar się wzmaga.

P. Piotr. Słusznie, słusznie, p. Pawle! W każdym razie nie ci mają prawo mówić o przesadach, którzy ludzi, przemawiających z poczucia obowiązku, nazywają grabarzami i zwolennikami nieprzerwalności snu. To już za wiele, p. Pawle! Jakże tu nie odpowiedzieć tym panom: grabarzami Polski są ci, którzy czy przez egzaltację, czy przez ambicję, czy przez szał, czy przez ruchliwość, czy przez głupotę, czy przez egoizm narażają ojczyznę na klęski, na przedwczesne i nieudane powstania, którzy, łechcąc wyobraźnię narodu, popychają go do nierozważnych czynów; oni to skazują

go na nieprzerwalność snu, oni to już lekkomyślnem postępowaniem skazali Litwę, zabrane prowincje, Królestwo, na nieprzerwalność snu, oni grabarzami sprawy, oni marnotrawcami zasobów i pracy narodowej! A jeżeliby kto utrzymywał, żeśmy tu spali, że nas dopiero ktoś tam obudził, to śmiało odpowiedzieć możemy, że to fałsz i że to zarozumiałość bez granic, że to lekceważenie i prawdy, i kraju całego, i narodu. Nie, moi panowie, robiliśmy, cośmy mogli, ale wiele zrobić niepodobna było, tę jednak pociechę mamy, że nie ściągnęliśmy na ten kraj ani żadnej klęski, ani żadnej sromoty, ani żadnej represji, ani żadnej zemsty, żeśmy go ani wycieńczyli, ani zgubili, ani w nieprzerwalność snu nie wtrącili. I da Bóg, nadal nie dozwolimy nikomu, aby go w tę nieprzerwalność snu wtrącił.

Zarzucano *Lustratorowi* to ze wszech stron, że obawy jego są bezzasadne, że są płonne, że one właśnie obudzają niepokój, porównano go do zająca, którego szelest liści spłoszył. Jest to zarzut nielada, bo obwinia szczycącego się rozsądkiem politycznym *Lustratora* o tę samą niewytrawność i ten sam brak wykształcenia politycznego, z któremi on do walki występuje.

P. Paweł. Byłby to w samej rzeczy zarzut zabijający, gdyby był słuszny; a gdyby *Lustrator* popełnił był błąd, gdyby wzniecił całą wrzawę niepotrzebnie, z lekkomyślności czy nienawiści, z małoduszności, byłby sobie niewątpliwie wydał *testimonium paupertatis* [1]) politycznej. Ale że tak nie jest, świadczy nie tylko to bębnienie uporczywe, nietylko ten hałas, który przecież słyszymy, nie tylko ta jadowita polemika, ale fakta, p. Piotrze, i te znane nam dobrze, symptomata, których przecież także publicystyka nie mogła pominąć milczeniem, symptomata, które porównałem z oną wśród gumien zapaloną fajką. Ale przedewszystkiem, zastanówmy się nad faktami. Czyż pomimo wypierania się strony przeciwnej, ilustrowanego gorącą apologją demonstracji, można dziś zaprzeczyć, że zamierzała ona urządzić szereg nieprzerwany demonstracyj, nie wymierzonych przeciw Austrji, a tem samem łatwiejszych do przeprowadzenia? Otóż chęć rozbudzenia u nas ducha narodowego za pomocą tych łatwych, wygodnych demonstracyj jest albo dziecińśtwem i zarozumiałością półgłówków, albo też musi mieć inny, dalszy a dziś ukryty cel. Dla utrzymania więc w nas ducha polskiego, potrzeba dziś demonstracji, więc bez demonstracji przemienimy się w Niemców albo idjotów? To zaprawdę zbyt niskie

[1]) Świadectwo ubóstwa.

i małoduszne wyobrażenie o naszym patrjotyźmie, za zuchwałe lekceważenie sobie nas jako Polaków. Gdyby już tak źle było, to i demonstracje jużby nic nie pomogły. Jeżeli, panie Piotrze, srogie prześladowanie moskiewskie, jeżeli tępienie systematyczne żywiołu polskiego i wszystkie z wszystkich stron grożące mu straszne niebezpieczeństwa niezdolne są utrzymać nas na wysokości naszego tutaj zadania, to zaiste już żadne demonstracje tego nie dokażą. Demonstracje, mówią nam, mają za zadanie: szerzenie polonizmu i idei polskiej. Cóż z tego, kiedy nietylko biorą w nich udział przekonani, a niepodobna niemi działać na nieprzekonanych, a raczej nieprzygotowanych, bo doświadczenie nauczyło, że na nich zupełnie przeciwny wywierają skutek: zamiast łączyć, obudzają tylko podejrzliwość. Cóż powiedzieć o nauczycielach, którzy rozpoczynają naukę matematyki od rachunku różniczkowego? Czyż o tem wszystkiem nie wiedzą lub też wiedzieć nie chcą obrońcy demonstracyj? Nikt też dziś nie odważy się na śmieszność twierdzenia, że one potrzebne są do przypomnienia naszej sprawy Europie. Ale jeżeli demonstracje nie mają żadnego praktycznego znaczenia, zato posłużyć mogą wielce do łudzenia się, do cieszenia się oswojonymi i wyuczonymi chłopami, którzy zawsze i wszędzie przedstawiają u nas podczas demonstracji stan włościański. Oh, p. Piotrze, takie łudzenie się jest zgubnem, bo przyczyniać się może tylko do zapoznania warunków, w których żyjemy, do zamknięcia oczów na rzeczywistość. Jeżeli u nas demonstracje łączą z sobą tylko już połączonych, jeżeli stwierdzają fakt, o którym nikt nie wątpi, jeżeli nawracają nawróconych, jeżeli demonstrują bez wytkniętego celu, to z drugiej strony mają tę niezaprzeczoną właściwość, że zaszczepiają i rozpowszechniają moralne i polityczne wałęsanie się i że odrywają od tej pracy, która na niektórych ustach wywołuje tak szyderczy uśmiech, ale która przecież jest kamieniem węgielnym całej naszej budowy. Demonstracje bowiem, dając nam bezpośredni przedsmak ostatecznego celu, muszą obudzać niesmak do wszystkich prozaicznych szczegółów, do tej codziennej, mozolnej, żmudnej a twardej pracy. P r a c a o r g a n i c z n a, p. Piotrze, odpowiedzieć im można — to oświata, to najlepsze *antidotum* przeciw ich dezorganicznej pracy. Wydajcie tę energię, którą wydajecie na urządzanie demonstracji, na szerzenie oświaty, wydajcie te pieniądze, które zbieracie na demonstracje, na oświatę, a dowiecie się, co to jest praca organiczna. Przemawiajcie, a nalegajcie o mądre a pilne zużytkowanie tych instytucyj, które już mamy — zawiązujcie ich jak najwięcej, bo jeśli ich działania są czasem błędne lub błahe,

skrzywione lub bezowocne, to przecież są one prawdziwą dźwignią postępu, jedyną spójnią i jedyną dodatnią stroną wśród dzisiejszego ogólnego rozstroju; zawiązujcie i pielęgnujcie je, a dowiecie się, co to jest praca organiczna! — Bierzcie udział i innych namawiajcie do żywego udziału w tem regularnem życiu politycznem, jakie okoliczności stworzyły.

Walczcie przeciw temu wrodzonemu nam próżniactwu, które zasłania się tym sofizmem, że w tych warunkach nic zrobić nie można, a dowiecie się, co to jest praca organiczna! To przecież dość szeroka niwa i dla waszej działalności a nawet ruchliwości i ambicji. A brak, wielki brak na tej niwie pracowników, brak szczególniej pracowników sumiennych, wytrwałych, obznajmionych i z rolą i z narzędziami rolniczemi. O nich się starajcie, a leniwych karćcie, a lekkomyślnych potępiajcie!

ZYGMUNT KACZKOWSKI (1826—1876). [1])

Teka Nieczui. [2])

Z listu drugiego.

Niebogata jest nasza przeszłość w tradycje stronnictw konserwatywnych. W dawniejszych wiekach naprożno ich szukać, bo trudno tam miały się tworzyć stronnictwa konserwatywne, gdzie

---

[1]) Wyrósł w tradycjach szlacheckich ziemi sanockiej. W 1846 dwa lata w więzieniu, potem praca nad historją 18 wieku. Od r. 1851 zaczął wydawać powieści historyczne. *Bitwa o Chorążankę* zyskała poczytność; wychodziły kolejno: *Gniazda Nieczujów*, *Murdeljo*, *Kasztelanice Lubaczewscy*, *Bracia ślubni*, *Mąż szalony*, *Starosta Hołobucki*, *Grób Nieczui*, *Annuncjata*, *Sodalis Marianus* i *Żydowscy*. Równocześnie ukazywały się obyczajowe: *Kato*, *Wnuczęta*, *Dziwożona*, *Stach z Kępy*, *Bajronista*, *Rozbitek*. Odsiedział powtórnie więzienie po styczniowem powstaniu. Potem, osiadłszy w Wiedniu, a nareszcie w Paryżu, wydał powieści: *Graf Rak*, *Abraham Kitaj*, *Olbrachtowi rycerze*, *Wasi ojcowie*, *Zaklika* i *Święta Klara*.

[2]) *Teka Nieczui* wydana bezimiennie w 1883 r. w Paryżu, jest pióra Zygmunta Kaczkowskiego. Miała to być odpowiedź na *Tekę Stańczyka*. W szeregu rozmów w niebie zabierają głos: Kołłątaj, Lelewel, Wężyk, Krasicki, Pasek, Stańczyk i mnóstwo innych znanych umarłych. W swych mowach zajmują się oni sprawami kraju, nie szczędząc ostrej nagany dla czynników kierujących w latach 1869—1883. Wyjątek wzięty jest z listu drugiego, mowcą jest Ignacy Potocki.

postępu nie było. W XVI wieku są jakieś walki niby do tegoczesnych podobne, ale chodziło tam tylko o sprawy religijne, a owoczesny liberalizm odnosił się tylko do wolności wyznania. Możemy jednak w tych czasach znaleźć niejedną naukę, a to nietylko w tych walkach, które nam okazują, jak dalece nasz naród już wówczas był zdolny do wyższych na sprawy żywotne poglądów, ale także i w tem, że wszystkie naukowe nabytki, przychodzące do nas z Włoch, Niemiec i z Francji, były jednogłośnie i bardzo skwapliwie przyjmowane przez całość narodu. Nie było wówczas nikogo, któryby śmiał utrzymywać, jak to się dziś daje słyszeć w Krakowie, że zbytek światła może nam szkodzić. Podówczas cały nasz naród był jednolitem stronnictwem postępowem i zaprawdę nie przeszkodziło mu to stworzyć złotego wieku Zygmuntowskiego. Z Zygmuntem III nieszczęśliwy los nas obdarzył dynastją obcą, a za jej przewodem rozlał się po kraju wstręt przeciw tej oświacie, jaka właśnie natenczas zaczęła bujnie rozkwitać na całym zachodzie. Nieustające a przeszło półtora roku trwające wojny, nie zostawiły narodowi czasu do naukowego i umysłowego rozwoju. Dzięki nieustającym wojnom uchowały się w narodzie jeszcze duch rycerski i miłość ojczyzny, ale utonął on w najgłębszej ciemnocie, a cnoty rodzinne i obywatelskie tak podupadły, że się w nim zagubiły nawet katechizmowe o nich pojęcia; ledwie dziesiąty ze szlachty umiał się jakkolwiek wypisać: wielu z nich nie umiało wcale czytać; kto co czytał, nie był w stanie zrozumieć; język się skaził do tego stopnia, że stał się dziwotworem języków; książki, które wychodziły naówczas, są do dziś dnia monumentami głupoty; nawet cnoty domowe zniknęły i otworzyły szerokie wrota chciwości bez granic, ohydnemu pieniactwu pomiędzy ojcem i synem, pomiędzy siostrą a bratem, rozprzestrzeniając po całym kraju przedajność sędziów, fałszowanie podpisów, krzywoprzysięstwo, a nareszcie zajazdy i gwałty. Systematyczne niedopuszczanie choćby najdrobniejszego promyka rozwijającej się w innych narodach oświaty pociągnęło za sobą ten skutek, że wolnomyślność i zachowawczość były to wówczas całkiem u nas niezrozumiałe wyrazy, a o zasadach liberalnych albo konserwatywnych wcale nie było mowy. Pierwsi, którzy ten moralny upadek narodu spostrzegli i wzięli sobie do serca, którzy potrzebę zaprowadzenia reform w wychowaniu publicznem, w urządzeniach społecznych i politycznych z szerokiem pojęciem rzeczy uznali i zabrali się do działania, byli Czartoryscy: lecz na nieszczęście wykonanie swych myśli zbawiennych błędnie pojęli, a przez to swemu

wielkiemu dziełu nieprzełamaną otworzyli zaporę. Konfederacja Barska wskrzesiła obumarłe uczucia patrjotyczne, lecz nie przedarła ciemności i nie otworzyła bram zamkniętych oświacie. Dopiero podrastające naówczas młodsze pokolenie, wychowane po większej części w szkołach zagranicznych, a zresztą w zakładach pijarskich i szkole kadetów, rozpostarły po kraju owe jaśniejsze pojęcia, które znalazły wyraz na wielkim sejmie. Ale, biorąc rzeczy dokładnie, czy mieliśmy na tym sejmie zachowawcze stronnictwo? Byli tam oponenci, intryganci i wichrzyciele, ale zachowawczego stronnictwa nie było. Po ostatnim rozbiorze jedna część społeczeństwa stała się obojętną i zajęła się chlebem powszednim, inna, mniej liczna, usiłowała korzystać z okoliczności i garnęła się ku zwycięzcom, aby przy nich coś zyskać; myśli politycznych ani w jednych ani w drugich nie było: duch nie zabity, duch żyjący narodu, nie mogący się w kraju pomieścić, poszedł w legjony. Od tego czasu po wszystkich ziemiach polskich otworzyły się wrota na ścieżaj wszelkiemu światłu i wszelkim nowożytnym pojęciom, od liberalniejszych aż do najskrajniejszych. Duch narodu wtenczas zaczął się przetwarzać, łącząc się napowrót z cywilizacją zachodnią, od której przez półtora wieku był oderwany. To przetwarzanie się trwało od pierwszych lat bieżącego wieku aż do listopadowego powstania. Przez cały ten czas widzimy u nas wyznawców wszystkich naukowych, społecznych i politycznych opinij, od rewolucjonistów i liberałów najczystszej wody, aż do zakamieniałych wyznawców wojskowego albo azjatyckiego despotyzmu.

Pod koniec Księstwa Warszawskiego opinje się podzieliły, ale nie między postępowych i konserwatystów, tylko w ten sens, że jedni spodziewali się zbawienia Polski od Rosji, a drudzy, nie widząc dla niej oparcia w żadnem innem mocarstwie, a nie ufając w szczerość protekcji rosyjskiej, widzieli przyszłość ojczyzny tylko w niej samej. Ani stronnictwa zachowawczego, ani partji postępowej we właściwem tych wyrazów znaczeniu, tam nie było: widzimy tylko jednych, którzy zapomocą wyzwolonego z więzów ciemnoty narodowego ducha dążą do wyzwolenia ojczyzny, chociażby środkiem zbrojnego powstania — i widzimy drugich, którzy gotowi są raczej znieść wszelkie upokorzenia, byle tylko utrzymać dalsze istnienie Kongresowego Królestwa. Nikt tam nie chce owoczesnego stanu Polski konserwować na wieki; wszyscy pragną dla niej lepszego losu w przyszłości i, z bardzo rzadkiemi wyjątkami, nikt nie jest stanowczym przeciwnikiem rozszerzenia oświaty

w narodzie i zaprowadzenia wolnomyślniejszych urządzeń. Są to tedy odcienie, a nie stronnictwa; są ludzie czynu i oportuniści w najszlachetniejszem znaczeniu, bo nikt się tam tradycyjnej polityki naszej nie wyrzeka, ani nawet Lubecki; nikt rozumnego nie tamuje postępu, ani nawet Wincenty Krasiński. Dopiero z odkryciem spisków i rozkwitem romantycznej poezji zaczynają się zarysowywać stronnictwa, ale zawsze na tle jednolitości ducha narodowego we wszystkich kwestjach żywotnych. I wtedy jeszcze nie widzę konserwatywnego stronnictwa: są tylko umysły chłodniejsze, grupy obywateli, obawiających się stawić na kartę traktatami ubezpieczony byt małego Królestwa, ale ci obywatele nie są zorganizowani i nigdy się z sobą policzyć nie mogą. Umyka im dzisiaj jeden, a jutro drugi czuje się oburzonym barbarzyństwami Wielkiego Księcia, — a sąd sejmowy już ich wcale nie rozbija. Znajdują się razem dopiero w dniu wybuchu powstania w Radzie administracyjnej i w Banku. Przypuśćmy tedy, że było to wówczas rzeczywiście stronnictwo zachowawcze. To cóż to stronnictwo zrobiło? Oto pod wpływem źle zastosowanego konserwatyzmu, który nie nigdy nie tworzy, — pamiętajcie to sobie, który nie nigdy nie tworzy, a przeto zgubnym jest w chwili działania — sparaliżowali, ubezwładnili i zabili powstanie. Bo któż o tem wątpi, że gdyby byli poszli za zdaniem owych znienawidzonych klubistów, którzy znów w czasie spokojnej pracy są zgubni, i gdyby byli cały kraj odrazu poruszyli, z czegoby wywiązała się natychmiastowa wyprawa na Litwę i Ruś, Moskwa nie byłaby w stanie tego uderzenia wytrzymać i bylibyśmy już jej wtenczas odebrali wszystko, co kiedykolwiek nam wzięła. Przyznam się, że ja, jak tylko słyszę o zawiązaniu się stronnictwa z charakterem konserwatywnym, chociażby to stronnictwo składało się z ludzi najzacniejszych i najpatrjotyczniejszych, uczuwam wielki niepokój, bo, jak znam dzieje Polski od Piasta aż po czasy dzisiejsze, nie widzę, żebyśmy z takich zawiązków odnieśli kiedykolwiek jakie korzyści.

— Więc cóż? — rzecze na to cokolwiek niecierpliwie Niemcewicz — więc lepiej oddać odrazu radykałom kierunek sprawy publicznej?

A na to Pan Ignacy z ironicznym uśmiechem:

— Przyjdę ja do konkluzji [1]), ale wprzód jeszcze jeden przykład przytoczę. Przed laty dwudziestu pięciu, mniej albo więcej,

[1]) Do wniosku.

Towarzystwo Rolnicze w Warszawie, otrzymawszy cokolwiek więcej swobody, zaczęło się organizować po całym kraju. Nie ogłosiło się ono, co było bardzo rozumnem, jako stronnictwo konserwatywne, tylko rozpoczęło swoje czynności pod hasłem pracy organicznej. Hasło to znaczyło, iż się zamierza całą i wszystką pracę narodu zorganizować, ażeby się wspomagała wzajemnie i do jednego dążyła celu, do celu moralnego i materjalnego wzbogacenia narodu na podstawie jego dziejowych tradycyj. W tej organizacji mogły i powinny były znaleźć pomieszczenie wszystkie ludzkiej pracy zawody. Rolnictwo przodem, bo naród nasz jest przeważnie rolniczym, ale z niem razem przemysł, handel i rękodzieła, nauki i sztuki, rzemiosła i dzienny zarobek. Organizacja taka nie powinna była i nie potrzebowała wcale przybierać charakteru sprzysiężenia z tą albo ową polityczną dążnością. Wszystko się tam mogło dziać jawnie, bo przedewszystkiem nie o politykę chodzić było powinno, tylko o wprowadzenie całego społeczeństwa na drogę pracy i naturalnego rozwoju. Mając to, można było czekać spokojnie na polityczne swobody, któreby były przyszły tem pewniej i prędzej, im więcej jednolitości i siły społeczeństwo byłoby nabrało za pomocą spójności i pracy. Nie przeczę temu, że taki cel jest bardzo trudnym do osiągnięcia w zupełności: lecz pytam, czy Towarzystwo Rolnicze usiłowało przynajmniej podgarnąć pod swoje wpływy wszystkie inne gałęzie pracy? Nie. A jeżeli usiłowało, to nieudolnie. Cóż stąd wyniknęło? Oto żywioły lotniejsze i niecierpliwsze, nie wciągnięte w organizację pracy, zaczęły się organizować osobno, a organizacja ta utworzyła się nie pod hasłem spokojnej pracy, tylko z charakterem sprzysiężeń, z celami politycznemi. A jak tylko obok pierwszej stanęła druga organizacja, Towarzystwo Rolnicze musiało z konieczności przybrać charakter i nazwę stronnictwa konserwatywnego, a niebawem odegrać rolę wszystkich stronnictw konserwatywnych, jakie się u nas kiedykolwiek wiązały. Co się dalej stało, to wszystkim wiadomo. Organizacja młodszych i energiczniejszych żywiołów, ogarnąwszy sobą wszystkie zawody pracy, nieobjęte organizacją rolników, wzięła górę; pozbawiona chłodnego i rozważnego kierunku, rozdmuchała wszystkie namiętności, które torują drogę gwałtownym porywom i uniesieniom; stronnictwo konserwatywne, którego dyrekcja stawała się coraz bardziej wyosobnioną, a organizacja ulegała coraz większemu rozprzężeniu, nie było w stanie tych uniesień ani ochłodzić, ani powstrzymać — a kiedy wybuchło powstanie, nie pozostało mu nic innego, jak dać się porwać powstaniu.

Nie konserwatyzm, ale postęp powinien być naszem hasłem i naszym sztandarem. Nie tworzenie stronnictw, któreby się darły pomiędzy sobą i utrzymywały historyczną niesławę naszej niezgody, ale dążność do jednolitości powinna być naszym celem. A przeto ani zatwardziali konserwatyści, ani radykalni demokraci powinni u nas brać górę: niechaj staną na czele narodu ludzie, którzy imieniem, majątkiem, zasługą, nauką, pracą i talentami wypłynęli na jego powierzchnię; niech się połączą ze sobą bez względu na polityczne odcienie, a w imię miłości ojczyzny, niech przygarną do siebie wszystkie stany i wszystkie pracy ludzkiej zawody; niech nie odtrącają od siebie ani magnata dlatego, że mu się marzy arystokracja, ani mieszczanina dlatego, że z rodu jest demokratą, ani niedouczonego młodzieńca dlatego, że mu się snują rewolucje po głowie..... Niech wytworzą ze siebie organizację, rozgałęzioną po całym kraju, a obejmującą wszystkie warstwy społeczne, organizację nie skrytą, lecz jawną, któraby żadnych politycznych dążności nie miała na celu, a tylko pomoc wzajemną, uporządkowanie i rozwój wszystkich sił panujących i dobro całego kraju: a wtedy w każdym wypadku rozum polityczny się znajdzie, nigdy się głupstwa nie zrobi, bo mu się w dobrem porozumieniu zawczasu zagrodzi drogę i niewczesnych powstań nie będzie, bo w każdem położeniu przeważy zdrowy rozsądek większości. W obrębie takiej organizacji znajdzie się miejsce dla każdej opinji: będą one walczyć ze sobą w domu, ażeby prawdę wywalczyć; ale zgorszenia nie będzie, bo każda myśl niedorzeczna lub podła zostanie stłumiona przez zdrową opinję publiczną i poza granice kraju nie wyjdzie. A jeżeli tam ktoś z prawej lub lewej wymknie się z szeregów i pójdzie swym własnym torem, to kraj go od siebie odrzuci i zniesie tę stratę bez szkody. To jest jedyna droga postępowania dla narodu, żyjącego pod obcym rządem. Potrafili to Węgrzy — a mybyśmy tego nie mieli potrafić? Jeszcze nas przecie stać na to, na co zdobyli się Węgrzy. Bo czegoż na to potrzeba? Kilku ludzi rozumnych a pełnych miłości i dobrej woli: w Bogu nadzieja, że jeszcze takich, kilku ludzi się znajdzie.

A na tem skończyło się tego dnia nasze kołowanie i wszyscyśmy się w wielkiem zamyśleniu rozeszli.

WALERJAN KALINKA. [1])

Ostatnie lata panowania Stanisława Augusta.

(Wstęp).

Dzieło niniejsze, złożone z dokumentów dotąd nieznanych, dostarczyć może wiele światła do historji upadku Polski; objąć ma bowiem szereg zdarzeń nierozerwanym ciągiem po sobie idących od zjazdu kaniowskiego aż do ostatniego podziału. Ważność tych pism czytelnik osądzi, spostrzegłszy z czyjej wyszły ręki: są to korespondencje Stanisława Augusta, Katarzyny II i wielu najcelniejszych osób w Polsce i w Rosji naówczas żyjących; świadectwa tem szacowniejsze, że nie są opowiadaniem ułożonem po czasie, ale związane z życiem politycznem narodu, przedstawiają dokładnie myśl, zamiar i charakter piszących i działających zarazem. Jest więc ta publikacja znacznym nabytkiem historycznym i dla nauki korzyść przyniesie. — Ale inaczej może wypaść odpowiedź w umyśle niejednego czytelnika, jeśli stawi sobie pytanie, czy druk dokumentów wyjaśniających przyczyny upadku państwa polskiego, w dzisiejszej chwili, równie jest korzystny pod względem moralnym i politycznym, jak nim jest niewątpliwie pod względem naukowym? Nad tem pytaniem zastanowić się tutaj musimy, tem więcej, żeśmy i sami długo je w sumieniu ważyli, i że od ludzi, których wysoko cenimy, z którymi łączy nas wiele wspólnych przekonań i uczuć i wiele lat wspólnej poświęconych pracy, słyszeliśmy zdania naszemu przeciwne. Sądzimy, żeśmy winni sobie, a bardziej jeszcze tym, których rad z żalem usłuchać nie mogliśmy, iżby wyraźnie powiedziane były powody, dla których te dokumenta ogłaszamy.

Ostatniem słowem świadectw historycznych, które z tej epoki były i będą jeszcze ogłoszone, jest: że upadku swego Polacy sami są sprawcami, i że nieszczęścia, które na nas spadły wówczas i później, zasłużoną są przez naród pokutą. Ta prawda aczkol-

[1]) Walerjan Kalinka (1826—1886). W 1868 wstąpił w Rzymie do zakonu Zmartwychwstańców, w r. 1870 wyświęcony na księdza, od r. 1880 we Lwowie przełożony internatu rusińskiego. Wydanie zbiorowe dzieł w 11 tomach wyszło w Krakowie 1891. Najważniejsze: *Ostatnie lata panowania Stanisława Augusta*, w Poznaniu 1868, i *Sejm Czteroletni* wydany w 3 tomach w latach 1880—1888.

wiek bolesna i wobec nieprzyjaciół naszych tak upokarzająca, była już nieraz powiedzianą; ale powtórzona dzisiaj w chwili największego ucisku, jakiego naród doznał od dziesięciu wieków, nie na rozumowaniu pisarza oparta, ale nasuwająca się sama z dokumentów niewątpliwych i swą jasnością aż rażących, nabiera większego nierównie znaczenia i głośniejszem staje się wyznaniem. I te właśnie okoliczności przydające wagi takiemu wyznaniu, były powodem zarzutów, które nas dochodziły i które zapewne jeszcze się odezwą. «Szczery i zupełny obraz Polski, pod koniec wieku XVIII (mówiono nam), może być pożyteczny jedynie dla wrogów, którzy pragną tak gorąco naszą przeszłość zbezcześcić i złamać nas widokiem naszych błędów; dostarczy broni przeciwko nam, a ich zbrodnie usprawiedliwi i stanie się, wedle pospolitego wyrażenia wodą na ich młyn. Nie wszystkie prawdy można powiedzieć, nie każdy je zniesie i nie w każdym czasie, a jeśli przyznanie się do grzechów w skrytości ducha czynione, człowieka podwyższa, to jawne z nich oskarżanie się, prócz tego, że nigdy szczerem nie będzie, graniczy z bezwstydem i złością być może. W dzisiejszej niedoli naród potrzebuje wiary w siebie, nadziei w przyszłość i wyrozumiałej dla wszystkich miłości; z wieków minionych nie jad gryzący, ale kojący balsam dziejopisowie dobywać powinni; a ktoby dowiódł, że upadku naszego przyczyną były nie złość lub podstęp wrogów, nawet nie zdrada tych kilku nędznych na łonie naszem wyjątków, ale własne i to wszystkich grzechy, ten odejmie narodowi wszelką otuchę, ten go w oczach własnych zdepcze i poniży, ten go doprowadzi do rozpaczy. Jesteśmy jakoby dzieci, których matka śmiertelną złożona chorobą. Choćby ta choroba z jej uchybień powstała, czyż to czas w tych uchybieniach się rozpatrywać, czyż samo uczucie synowskie nie nakaże raczej odwrócić od nich oczu, a tylko o to starać się, aby jej życie utrzymać? Rozbiór przeszłości trucizną będzie a nie lekarstwem; odłóżmy go do chwili wyzdrowienia. Wówczas on będzie pożądany, a nawet konieczny, aby ustrzec od powtórnej niemocy; dziś tylko matkę dobije».....

«Przy rozdarciu wewnętrznem, jakie w społeczesności naszej panuje, książka podobna (mówiono nam z innej strony) stać się może nie nauką i upomnieniem, lecz źródłem kwasów i niechęci, otwartą kopalnią dla ducha stronniczego, który z luźnych dokumentów i oderwanych ustępów wyprowadzi wnioski, o jakich wydawca nie myślał. Wykazanie grzechów rodzin dawniej naczelnych posłuży za nowe do walki zarzewie i utrudni, może nawet niepo-

dobną uczyni pracę publiczną dzisiejszym potomkom. Znajdą się ludzie, o jakich w partjach politycznych nie trudno, których głównym nieraz bodźcem w działaniu bywa zazdrość do swoich; tacy pochwycą skwapliwie plamiące wspomnienia i w oczy je rzucą tym, którym dorównać nie mogą. A tak ostatniem słowem tej pracy może być skandal publiczny!.... Lecz niedość na tem; zawiść możnych ku sobie, dziś szczęśliwie przygasła, odżyje na nowo, i ci, co tak zacnie podali sobie ręce w niektórych ziemiach polskich, rozejdą się po dawnemu, na swoje i kraju nieszczęście. Tylko wyższe prawdziwie dusze czują się powołane wielkiemi cnotami odbudowywać swe imię; większość z zwyczajnych składa się ludzi; wznowiony obraz zeszłowiecznych plam odstręczy ich, zniechęci, do nieczynności sprowadzi, a może jeszcze w obce obozy przerzuci. Dość już podobnych strat mieliśmy w latach dawniejszych; nie godzi się ich dzisiaj pomnażać i z pola służby narodowej spędzać choćby najlżejszych pracowników! — Jeżeli zaś przeciwnie wypadkiem studjów będzie, że nie kilkanaście historycznych rodzin, jak dotąd mniej więcej utrzymywano, ale cała klasa niegdyś w narodzie wszechwładna przyczyną była naszej zguby, to ów wyrzut bolesny w tych właśnie ugodzi, których obecnie swą nienawiścią najbardziej ściga wróg zawzięty. Było pożytecznem, koniecznem nawet przypominać jej błędy w czasie, kiedy ta klasa używała i nadużywała całej pełności swych praw. Można jeszcze zrozumieć i później rzucane na nią pociski, dopóki dłużnikiem była niższych warstw narodu. Ale dzisiaj, gdy jak Łazarz odarta nie wie, co jej pozwolą z ojczystej dochować spuścizny; gdy z starych szlachty polskiej przywilejów jeden jej tylko został przywilej męczeństwa; gdy dawną swą odkupując wyłączność, zdobywa ona blisko już od wieku, własnem cierpieniem, coraz to nowe obrońców narodowych rzesze: dzisiaj nietylko roztropność, ale wdzięczność sama nakazywaćby powinna jej stare zasługi podnosić, a epokę skończoną i grzechy skończone jednem zresztą pokryć przebaczeniem».....

Takie uwagi i zarzuty dochodziły nas w czasie, kiedy ta książka przygotowywała się do druku... A jednak po walkach wewnętrznych i długich namysłach przyszliśmy do przekonania, że dokumenta wszystkie, skoro niewątpliwe i skoro służą do wyświecenia prawdy historycznej, drukować nie tylko można ale i potrzeba.

Wyliczając powody, na których oparliśmy to nasze mniemanie, może nie od rzeczy będzie przypomnieć nasamprzód, do czego

doprowadził system przeciwny: dążność tak długo u nas panująca zakrywania błędów a podnoszenia nad miarę naszych cnót i zasług. Był czas, gdy pod bolesnem wrażeniem upadku Rzpltej, naród świeżym widokiem własnego nierządu zmęczony, przygnieciony słuszną naganą całej zachodniej Europy, zwątpił o sobie, o swym patrjotyzmie, o swojem nawet męstwie wojennem i w własnych przedewszystkiem oczach potrzebował się odrodzić. Stąd gdy jedni na Zachodzie, obok Francuzów, starą szabli polskiej odzyskiwali chwałę, drudzy widokiem dawnej mądrości i zacności narodu usiłowali go pokrzepić. Wówczas to Czacki układał swą książkę o polskich i litewskich prawach, aby pokazać, że i w naszem prawodawstwie była niejedna rozumna ustawa, «którą możemy się chlubić»; wówczas Niemcewicz swem piórem malowniczem opisywał dzieje Zygmunta III, aby przypomnieć, że i my także czemś byliśmy: *et non fuimus*... Ale szukając w przeszłości pokrzepienia, mężowie ci ani przed sobą ani przed narodem nie ukrywali «ciężkich błędów i nierozumu, co świetność minionych wieków splamiły». «Historja, pisał kilkoma laty wprzód Naruszewicz, ma ten przywilej, że umarli mogą mówić prawdę, żyjący słuchać jej bez urazy»; Czacki płakał, dyktując swe uwagi nad życiem ostatniego z Jagiellończyków, i w każdej podobnież książce ówczesnej, dawną opisującej potęgę, obok wytrawności sądu z głęboką nauką połączonej, czuć ból zacny a stłumiony, że tyle niegdyś cnót, tyle wysiłeń, tyle wreszcie zasobów — wszystko tak marny wzięło koniec, «żeśmy mogli być wielkim narodem, lecz dobrowolnie, zamiast wielkości, przodkowie nasi zostawili swym wnukom poszarpaną dziedzinę!» — Wszakże wkrótce potem wyszły z pamięci te przestrogi... Przeniesiona do historji poezja krytyce już nie dawała przystępu i złym być musiała doradcą w nauce, której odwiecznym warunkiem jest: *sine ira et studio*. Zawsze tylko przed oczy stawiając wielkie wspomnienia, a na epokę upadku rzucając zasłonę, owa poezja historyczna w coraz to wyższe «nadeuropejskie» cnoty ubierać nas zaczęła, coraz to fantastyczniejsze naszej przeszłości nadawać kształty, kolory i blaski, aż skończyła się na bluźnierstwie, zowiąc nas «Chrystusem narodów!» Słyszano i powtarzano także zdania, «że nie mogąc z całym światem wytrzymać zbrodni wspólnictwa, sama święta i niepokalana, Polska w wieku XVIII dobrowolnie zstąpiła do grobu». — Kto sam się bóstwi na świecie — rzekł poeta — ten na odwrót swego szału odczłowiecza się pomału. Tak i my, podniósłszy zasługi narodu ponad wszelką miarę słuszności i rozsądku,

bo aż do ubóstwienia własnego, póty nie zatrzymaliśmy się na tej drodze, dopóki nie usprawiedliwione zostały wszystkie nasze błędy, wszystkie instytucje, któremi państwo upadło, te właśnie instytucje, które naród, doświadczeniem ostrzeżony, sam pod koniec wieku zeszłego potępił najmocniej i stanowczo odrzucił. Dość przypomnieć, że i *liberum veto* i elekcja królów, swawola szlachty i niemoc trybunałów kryminalnych, która w dawnej Rzpltej bezkarność, a z nią nowe nadużycia rodziła, znalazły swych apologistów. Za hasłem przez wielkich mistrzów danem, którzy w historji zamiast prawdy i rzeczywistości szukali ideałów, znaleźli się niższego rzędu prozą i wierszem pisarze, którzy wielkość i szczytność a *priori* przyjęte, tam nawet ukazywać poczęli, gdzie ich najmniej być mogło. Bez krytyki politycznej, bez studjów, bez zaglądania do krajowych źródeł, bez porównania dziejów naszych z obcemi, tworzone teorje szkołą się stały zarozumienia i zamętu wszelkich politycznych pojęć; sięgnęły nawet poza politykę, dotknęły najgłębszych moralnych i religijnych zasad. Bo gdy jedni twierdzili, że Polska jest «Chrystusem narodów», drudzy z tem większą śmiałością twierdzić mogli, że jej powołaniem jest uzupełnić, wydoskonalić i na nowo objawić Chrześcijaństwo!...

.....Zaprawdę, w tem naszem gospodarstwie narodowem podobni jesteśmy do człowieka, co układając swój budżet, nietylko niewątpliwe, ale i spodziewane dochody jak najwyżej naznacza, a nie chce wcale spisać swoich długów, ani przewidzieć wydatków: i cóż dziwnego, że nim rok upłynie spotka go niedobór i że co rok część jego majątku przejdzie w obce ręce? Tak i nas od lat stu spotyka wciąż polityczny niedobór i część ojcowskiej spuścizny z każdem tracimy powstaniem; a nie inna podobno tego marnotrawstwa przyczyna, jak ta, że wielbiąc zapał, męstwo i ofiarność narodu, ujemnym jego stronom przypatrzyć się nie chcemy...

.....«Ale (zapytują nas) jakież wrażenie zrobi ta prawda z taką szorstkością wypowiedziana, dla wielu osobiście nieprzyjemna, dla wszystkich bolesna? Azaliż nie zrazi, nie zniechęci i już bardzo nieszczęśliwych do rozpaczy nie przywiedzie? Azaliż godzi się dodawać otuchy wrogom Polski widokiem dawnego jej zepsucia»? — Odpowiadając na te pytania, przedewszystkiem zaprzeczyć musimy, aby jakiegobądź Polaka można dziś jeszcze od polskości odstręczyć, czy widokiem plam, jakie ciężą na jego przodkach, czy też bardziej upokarzającem wyznaniem, że naród przy wadach, które miał w wieku przeszłym, nie mógł się ostać jako państwo niepodległe. Bezwątpienia, musiał ciężko przeboleć każdy, kto się

o tem przeświadczył, ale nikt dla tego nie czuł się mniej Polakiem, mniej obowiązanym służyć Ojczyźnie. Nikt już dzisiaj z polskości wyzuć się nie zechce, nikt choćby chciał nie potrafi. Silniejsza ona niż my sami, trwalsza od naszej słabości lub rozpaczy, w złej czy dobrej żyje doli i stuletnią już blisko pokutą coraz bardziej się hartuje. Jeżeli dawniej można było słyszeć o Polakach, którzy przechodzili na Niemców, Francuzów i Rosjan — choć i tacy przy schyłku życia tęsknem wejrzeniem znowu się ku Ojczyźnie zwracali — to z każdem, które przybywa ćwierćwieczem, owa odmiana czy apostazja staje się coraz mniej podobną. Gdziekolwiek jesteśmy: w kraju czy za krajem, w Polsce czy na Sybirze, w szerszem czy ciaśniejszem więzieniu, wszędzie musimy być i pozostać Polakami: z nieugaszonem nigdy pragnieniem, z niestłumioną nadzieją, a choćby wbrew wszelkiej nadziei i wbrew własnej woli — tak głęboko na dnie naszej duszy osadził Bóg uczucie polskości! A w takiem usposobieniu polskiego narodu niewątpliwem, niezachwianem, i któremu żaden człowiek sumienny nie zaprzeczy, czyż nie jest rzeczą pożądaną rozpatrzyć się w naszych błędach i w ich nieustannie bijącem źródle, w wadach naszego charakteru: rozpatrzyć się spokojnie, bez fałszywej a tak zgubnej dla nas samych litości? I czyż studjum to może być obojętne albo szkodliwe? Jeżeli przed podobnym z sobą samym rachunkiem cofały się poprzednie pokolenia, to nasze od nich nieszczęśliwsze, ale w swej wierności zaciętsze, może go odbyć z pożytkiem. Żelazo długim wypróbowane ogniem wytrzyma uderzenia, którychby krucha nie zniosła ruda — i jeszcze twardszem się staje. — I czyż doprawdy wzgląd na Moskali ma nas wstrzymywać? Mybyśmy przeciwnie myśleli, że naglącem jest odjąć nieprzyjaciołom triumf, że to oni dopiero ukazują nasze błędy i z ślepoty naszej mają nas wyleczyć. W owym sporze odwiecznym Polski z Moskwą, jak całe prawo mają za sobą, tak potrzeba, aby prawdę całą stawiali przy sobie Polacy, choćby to w chwilową miało się zmienić niekorzyść i chwilowe przynieść poniżenie. Wykrycie prawdy nie odmieni zresztą naszego z niemi stosunku. Jak Moskwa nie odstąpi naszych ziem, choćbyśmy ją przekonali, że do nich prawa nie ma żadnego, tak i my nie wyrzeczemy się naszych uczuć, przekonań, naszych praw, cierpień, nadziei i całego duchowego jestestwa, choć dobrowolnie jej przyznamy, że Bóg użył jej jako kata do wymierzenia zasłużonej kary. Nikt się tu nie cofnie, nie zachwieje, nie wyprze swej roli, ani my, ani oni: my w pracy nad sobą i w pokutniczem skupieniu, czekając aż przyj-

dzie Pańskie miłosierdzie; oni dumnie potrząsając głową i z naszej ziemi całemu już grożąc światu, aż Bóg skruszy rózgę, gdy się stanie niepotrzebną!

Z tej więc strony nie grozi żadne niebezpieczeństwo, choćby cała prawda o przeszłości była poznaną. Ważniejszym wydaje nam się zarzut, że ogłoszenie dokumentów zeszłowiecznych pomnoży rozstrój w społeczeństwie polskiem. Gdyby w istocie tak być miało, bez wahania i na długo odłożylibyśmy całą pracę naszą. Bo lepiej nie znać przeszłości, niż przez nią przyszłość zamącać; bo próżną jest wszelka budowa i na nic się nie zda wszelki materjał tam, gdzie między robotnikami niema harmonji i pokoju; bo wreszcie najgorszyby to było dla narodu wróżbą, gdybyśmy z studjów nad historją upadku Rzpltej, zamiast upamiętania, mieli wynosić pochop do wzajemnych skarg na siebie! Ale i tutaj trzeźwy pogląd do innych wniosków doprowadzi niewątpliwie. Jak w całej Europie trudno byłoby znaleźć jakąś rodzinę świetniejszą, w którejby dziejach nie było przymroku — a to jej nie przeszkadza odbierać od ludzi cześć, na jaką obecnie zasługuje — tak i u nas, choć wiele imion przyćmił wiek XVIII, nie masz dzięki Bogu żadnego, któreby w naszem stuleciu nie odświeżało się i nie podnosiło pracą dzisiejszych potomków. Więc jak śmieszną byłoby rzeczą bez zasług osobistych szukać dla siebie uznania w moc wątpliwej po dziadach spuścizny, tak równie śmiesznem byłoby a nawet niecnem bez win osobistych potępiać ludzi, którzy krajowi służą poczciwie. Doprawdy, nie masz na kogo cisnąć kamieniem! A jeszczeby godziło się zapytać, kto może ciskać, kto jest tak czysty? Nic pospolitszego, jak zarzuty przedajności; nie tylko w książkach, ale i na ulicy spotkać się z niemi można; bo też od połowy XVII wieku mnóstwo najpierwszych dygnitarzy dotkniętych było tą zarazą. Ale nie sądzimy, aby u nas przodków drugiego mógł ktoś obciążać tą winą, sam swobodny i z podniesionem czołem; bo niekoniecznie niewinnym był ten, o kim milczy historja. Znane są, to prawda, imiona ludzi, którzy swe sumienie sprzedawali za krocie; lecz nic dziwnego, że żaden ślad nie pozostał o tych, których kupowano za łyżkę strawy, za kilka talarów. A było takich, jak wiadomo, bardzo wielu, historja każdego rokoszu i każdej nieledwie konfederacji mogłaby na to dostarczyć dowodów. Więc potępiając grzechy przeszłości, nikt z nas zapomnieć nie może, że na każdego mniej więcej jednaka spada za nie odpowiedzialność. — Błędem jest wreszcie mniemanie, iżby przedajność była tak przeważną naszych nieszczęść przyczyną. Zbyt niska to zbrodnia, i przy

najmniejszem moralnem podniesieniu prędko się naród z niej otrząsa i staje się niedostępnym dla wpływów tak nikczemnych. Nie jest też prawdą, aby u nas tylko była ona tak rozpowszechnioną. Przedawali się obcym Niemcy i Anglicy; przedajniejszymi byli od nas Szwedzi; a w Rosji dziś jeszcze przekupstwo panuje tak wielkie, jakiego w Polsce nie było nigdy, nawet za najgorszych czasów. Nie upadły jednak te państwa; muszą więc być inne, głębsze przyczyny złego, które nas obaliły. Historycy, którzy tych przyczyn wciąż szukają w przedajności, którzy ten zarzut nieustannie a z pewną uciechą podnoszą, świadczą tylko o sobie — że nic więcej nie powiemy — iż sami ani dziejów, ani spraw publicznych, ani serca ludzkiego nie rozumieją.

Źródłem naszej niemocy politycznej, a zatem i głównym, jeśli nie wyłącznym powodem upadku, były (wspomnieliśmy to już wyżej i każda karta niniejszej książki świadczy o tem wyraźnie) owe rozliczne niedostatki charakteru narodowego, które całej klasie wówczas rządzącej właściwe, znajdowały swój typ skończony w tylu głośnych pyszałkach od Zborowskiego i Zebrzydowskiego począwszy, a skończywszy na ostatnich Rzpltej hetmanach. W różnych czasach i w różnych ludziach ten sam charakter u nas się powtarza i już przez to samo zasługuje na rozbiór uważny. A nie powiemy, żeby to były studja, należące jedynie do przeszłości, albo żeby tyczyły jednej tylko klasy, dawniejszej szlachty: owszem historyk sumienny wciąż musi sobie stawiać pytanie, azali te wady, które przez dwa wieki grób pod stopami naszej ojczyzny kopały, dziś jeszcze nie utrudniają jej odrodzenia? Było to zasługą szlachty polskiej, że swą gorącą miłość ojczyzny, swą rycerskość i do ofiar gotowość umiała przelać, wśród walki pogrobowej, w inne warstwy narodu; i widzimy też od lat zgórą sześćdziesięciu z tych warstw podnoszące się bez przerwy postacie tak wysokie, że najczystszym typom polskiego niegdyś szlachectwa w niczem nie ustępują. Każdy dziesiątek lat ich przymnażał, w każdej wojnie ich widziano i dzisiaj na każdem polu służby publicznej jest ich tak wiele i tak zacnych, że nikomu już na myśl nie przyjdzie odróżniać: tyś syn szlachecki, a tyś miejski! Ale szczepiąc cnoty swoje w klasach niższych, szlachta polska zaszczepiła także swoje wady. Te w mniejszych rozmiarach i przy zmienionych okolicznościach znajdują dziś wyobrazicieli z niejednej miary dawniejszym podobnych. Każdy ruch narodowy wyrzuca teraz, z niższych czy wyższych klas, cały szereg nowych ludzi; a patrząc na nich, rzekłbyś, że to z grobu powstałe antenaty, znane tak dobrze, choć

bez karmazynu pyszałki, którym tylko pola i środków brakuje, by po staremu wszystkie zebrania publiczne swoją osobą zapełniać, zagłuszać, by w całym kraju na swoją rękę zawiązywać konfederacje, by w swym kącie powiatowym o całej decydować Rzpltej! Rzadko w którym narodzie, mimo klęsk i strasznych odmian, dochowała się, jak u nas, taka przez długie pokolenia jednostajność usposobień: co się działo w XVII i XVIII stuleciu, to i dzisiaj bezmała powtórzyćby się mogło — gdyby nie ostrzegały sumienie i przeszłość! Kto więc chce rzucić potępienie na przestępców z wieków minionych, niech je rzuca, ale zarazem niech przyłoży rękę do własnej piersi i posłucha, ażali w niej się nie odezwą podobne dawnym rokoszowej pychy drgnienia. Jeśli przeto po wszystkie czasy i dla wszystkich ludzi nauka przeszłości uważana była za najlepszą mistrzynię, to u nas epoka tak bliska, jak koniec Rzpltej, najsilniejszą powinnaby być przestrogą dla nas i dla naszych następców, najwięcej dostarczyć wątku do badań i rozmyślań: *Mutato nomine de te docet — historia* [1]).

Przestroga dla spółczesnych i dla następców, oto — w ostatecznem zestawieniu wielostronnych względów i rozumowań — powód stanowczy, dla którego pragnęlibyśmy widzieć ogłoszony jak najpełniejszy zbiór świadectw historycznych z czasów naszego upadku; powód, zdaniem naszem tak ważny, że wobec niego prawie z oczu uchodzą wszystkie niedogodności jakkolwiek niezaprzeczone i w podobnych publikacjach nieuniknione. «Poznacie prawdę, mówi Pismo św., a prawda was wyswobodzi». I gdyby w istocie był w narodzie naszym wstręt tak powszechny do szczerego w swej przeszłości rozpatrzenia się, wtedy dopiero możnaby już zrozpaczyć, bo wtedyby należało zwątpić o jego życiu i wyswobodzeniu. Zdrowych to organizmów jest cechą, że łakną prawdy, i te tylko odrodziły się i podniosły narody, które prawdę sobie mówić pozwalały: Włosi, których od początku bieżącego stulecia... tacy mężowie jak Alfieri,* Azeglio,* a przedewszystkiem Cezar Balbo* gromili ostro za ich gnuśność, rozwiązłość, bezcelowość życia, polityczne fantazje i miękczący artyzm; Niemcy, którzy siebie tak twardo potępiali, że nawet w swej bogatej literaturze dowód własnej widzieli słabości i którym pisarze, jak Schlosser,* Mentzel,* Gervinus,* Häusser,* wyrzucali głośno brak patrjotyzmu, brak zmysłu politycznego, życie czysto naukowe, wygodne, przy lampie i w ciszy rodzinnej prowadzone, wreszcie zbytnią przed wielkimi uni-

[1]) Pod zmienionem nazwiskiem — o tobie uczą dzieje.

żoność i biurokrację. A któż sobie powiedział tyle słów gorzkich, co Anglicy podczas ostatniej wojny wschodniej, że już dalszych nie sięgniemy epok? Ci nawet z tego szydzili, co każdy naród u siebie szanuje: z własnego wojska, i za wzór dla siebie stawiali swych odwiecznych współzawodników, Francuzów. I kiedy te narody w cierpkiej prawdzie na każdą niemoc szukając lekarstwa, nie obawiały się uchodzić za lichsze nawet i słabsze, niż były niemi w istocie, my tylko jedni «wspinając się na paluszkach wzdętej pychy», własną, od nikogo nieprzyznaną pojąc się chwałą, głosiliśmy siebie «narodem wybranym», a każde choćby najlżejsze upomnienie strasznem odrzucaliśmy słowem: brzydki ptak co własne gniazdo kala! Jakby prawda kalać mogła, jakby upojenie było siłą, jakby sąd surowy o sobie nie przynosił zaszczytu i jakby nie ten dopiero w oczach drugich się poniżał, co sobie przyznawał cnoty, których nie posiada!.....

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI. [1])

Pod datą dzisiejszą.

[«Prawda», R. 1881, Nr. 2].

...O trwałem istnieniu narodu nie stanowią jego warunki i środki polityczne, ale suma oraz wysokość sił i dorobków cywilizacyjnych. Nie przeczyliśmy i nie przeczymy, że owe warunki i środki składają otoczenie, ubezpieczające pomyślny rozwój narodu. Odzież osłania nas od skwaru lub zimna, ale nie tworzy człowieka; również i państwo jest tylko pancerzem społeczeństwa. Jak długo pokój będzie wzajemnem warczeniem, a wojna zagryzaniem się ludów, dopóty one muszą na sobie nosić ten pancerz. Czyli, mówiąc językiem przykładu — dopóki po obu stronach granicy dwu sąsiednich plemion lub mocarstw potrzebują stać strażnicze kordony wojsk, dopóty owe plemiona lub mocarstwa nie mogą zdejmować politycznego rynsztunku. Nie znaczy to przecież, ażeby

[1]) Aleksander Świętochowski, ur. 1849, kształcił się w Szkole Głównej w Warszawie i zagranicą. Redagował od r. 1878 w Warszawie *Niwę*, a od r. 1881 *Prawdę*. W r. 1905 zorganizował stronnictwo «postępowo-demokratyczne», a następnie «Towarzystwo kultury polskiej». Ogłosił mnóstwo artykułów, rozpraw, odczytów i dzieł z zakresu polityki, ekonomji, socjologji, literatury; nadto utwory dramatyczne i nowelistyczne. Wydanie krakowskie *Pism* w 7 tomach z r. 1900 obejmuje ważniejsze utwory dramatyczne i powieściowe.

w ich zakresie nie istniały cywilizacyjnie całkiem odrębne żywioły, chociaż pozbawione praw państwowego maszerowania pod własną chorągwią. Otóż stawiamy przed sobą dziś pytanie: czy ogół nasz pojmował i ukochał narodowość swoją przeważnie ze strony politycznej, czy też społecznej?

Jeżeli sięgniemy w dalszą przeszłość, odpowiedź na to pytanie skreśli nam się bardzo wyraźnie. Polska, uprzywilejowawszy jeden żywioł, była nadewszystko państwem. W historji naszej lud znika, mieszczaństwo ledwie w ostatnich wiekach słabo się wyłania, ciągle występuje tylko szlachta, jako jedyny i niezmiernie ruchliwy czynnik polityczny. Mówimy p o l i t y c z n y, bo obładowany a raczej przeładowany najrozmaitszego rodzaju urzędami. Najskromniejszej miary herbowicze, jeśli nie wisieli całkiem na łasce pańskiej, posiadali jakieś, bodaj honorowe godności. Miecznicy, stolnicy, wojscy, nie mówiąc o wyższych zaszczytach, roili się po kraju. Czytając zeszłowieczne pamiętniki, trzeba się zdumiewać nad trudami naszych przodków w pogoni za tytulikiem komisarza lub rotmistrza... choćby bez roty. Najwyższą pociechą dla chudego szlachcica na zagrodzie stanowiło to, że, bodaj w przysłowiu, był równym wojewodzie. Komu tylko los pozwolił być «urodzonym», każdy przyjmował udział w życiu politycznem; nie umiejąc się podpisać, rozmyślał nad zawieraniem traktatów, wypowiadaniem wojen, ograniczaniem praw korony lub wysyłaniem poselstw do odległych krajów. Zapomniawszy o skutkach tej jednostronności życia, przyznać musimy, że szlacheccy przodkowie nasi, bardziej niż jakikolwiek inny naród, byli wyćwiczeni politycznie. Gdzież bowiem posiadacz kilku morgów gruntu, który nigdy nie widział szkoły, który na ucztach sejmikowych wlewał sobie flaki do kaptura od burki, był tak obeznany z całym ustrojem państwa i jego zewnętrznemi stosunkami? A jeżeli nerwy ruchu i czucia politycznego zbiegły tak nisko, to jakże potężnie musiały one rozgałęziać się i wiązać u góry, w rdzeniu narodu! Nie mówiąc o możnowładztwie, nawet uczeni i poeci przyrastali do ustroju państwa, jako jego mniej lub więcej ważne organa. Ledwie zdołalibyśmy odszukać takich, którzyby nie zdobili się tytułem jakiegoś urzędu. Ten kierunek życia musiał się odbić i w literaturze. Teoryj a przynajmniej wywodów politycznych nasnuto bardzo dużo, ale teorje społeczne zaczęto prząść wówczas dopiero, gdy się tamte porwały. Jeszcze czcigodny Staszic, rozwijając swój pogląd na ekonomiczne stosunki kraju, zadziwiał współczesnych niezwykłością widoku. Co przy takiem usposobieniu

i skierowaniu warstwy uprzywilejowanej rozumiano przez istnienie narodu, odgadywać nie potrzeba. To też gdy grom strasznej konieczności kilkakrotnemi uderzeniami rozbił budowę państwową, z pod jej gruzów wydobył się rozpaczliwy okrzyk *Finis Poloniae*. Nie wydał go, jak sprawdziła historja, Kościuszko pod Maciejowicami, ale wydała go szlachta, która utraciwszy podstawy życia ściśle politycznego, nie dostrzegła wcale gruntu, na którymby przyszłość narodu oprzeć mogła. Gdy zginęło wojsko i potargała się lub porwała cała sieć form państwowych, zginęło dla niej wszystko. To też cały szereg późniejszych usiłowań był przeważnie ratunkiem politycznym — niemożliwym, nie zaś społecznym — możliwym.

W czynach spełnionych uznajemy tylko niezłomną konieczność. Ani więc na ustach, ani pod piórem, ani nawet w myśli nie mamy najmniejszego słowa nagany dla ludzi, którzy z pożytkiem czy szkodą legli w grobach dziejów. To, co się stało, świadczy samo za siebie, że się stać musiało. Ale najzupełniejsze zrzeczenie się prawa a może przyjemności zapisywania na marginesach historji potomnych wyroków nie przeszkadza nam wcale odsłaniać zdarzeń w ich rzeczywistej postaci i rzucać światła na przyczyny obecnych skutków. Jeżeli zaś nadmierne skierowanie uwagi naszych ojców na polityczną stronę życia połączone z lekceważeniem społecznej, sprowadziło wiele pomyłek i nieszczęść, to zarazem przyznać trzeba, że popełnione błędy nie przepadły marnie. Z powiewu smutnych doświadczeń wzrastają ciągle owoce dojrzałości narodu. Nie mając tego, co nas kiedyś zupełnie pochłaniało, zaczęliśmy uprawiać odłogi, z których zbierzemy obfite plony. Potrosze już od pół wieku, a wytrwale po przegraniu ostatniej politycznej stawki, zmieniliśmy drogę naszego dźwigania się z upadku — hazardowną grę polityczną na powolny cywilizacyjny dorobek. Może w całej naszej historji niema podobnego okresu ciężkiej i niezmordowanej pracy. Jeżeli prawdą jest, że w jednej strasznej chwili człowiek może posiwieć, to naród nasz posiwiał przed 17 laty. Od tej chwili zmieniliśmy się do niepoznania. Te same żywioły, które wówczas rozdmuchiwały współczesne zarzewie, dziś gaszą nawet pożary przeszłości. Zamiast miechów, widzimy w ich ręku sikawki. Ktoby tak niedawno jeszcze śmiał publicznie ganić orężne porywy i zalecać spokojne, wewnętrzne odradzania się? Tymczasem dziś tam, gdzie marzenia polityczne, niczem niestłumione, rosną najbardziej, w Galicji i Poznańskiem, najgłośniej odzywa się rozbrat z niemi. Bo przecie w głównej

arce polskiego ultramontanizmu i feodalnego szlachectwa, w Krakowskim *Czasie,* co lekkomyślnie podniecał ostatnią gorączkę a dziś znieważa tych, których może sam nią zaraził, — w nim nawet możnowładztwo galicyjskie złożyło nowy testament poprawionego patrjotyzmu. Nie wzór to zapewne dla nas taki zakon, w którym klecha furmani panu w karecie, ciągnionej przez kilka par chłopów, w którym utrata tytułów polskich wynagradza się tanim zakupem austrjackich, w którym polityka narodu zastąpiona jest polityką psiej służby na niemieckim łańcuchu, ale w każdym razie dowód głębokiej zmiany wyobrażeń.

Bez wątpienia, jest to ruch świeży, dopiero rozpędowy, wzmaga się on jednak coraz bardziej i wpada w takt ogólnego biegu cywilizacji. Jakiekolwiek przyznamy cechy temu biegowi, nie ulega wątpliwości, że on jest demokratycznym. Pomijając nawet łatwe do zgromadzenia fakty, trudno wyobrazić sobie żywotny naród arystokratyczny, któryby poniewierał ludem i wydziedziczał go z praw, któryby wzgardliwie wyosobniał z pośród siebie mieszczaństwo, słowem, któryby w własnem ciele zatamował główne tętnice zdrowia i siły. My zbyt niedawno jesteśmy społeczeństwem w swych składowych częściach zrównoważonem, ażebyśmy mogli odrazu zmienić w sobie odziedziczoną krew przeszłości i dorównać innym ludom, które odbyły długi proces przerabiania się stosunków społecznych. Dla nas jeszcze rodowód jest w szerokich kołach tytułem wartościowym, z każdej hrabiowskiej pałki wystrzela jeszcze w naszych oczach promień godności, przyzwyczajeni do oprawiania ludzi w ramy polityczne, grupujemy ich według rang, dotąd urzędnika nie zestawiamy na równym poziomie z kupcem lub przemysłowcem, a całą szlachtę uważamy za oczekujących stosownej pory kandydatów na przewodnie w narodzie stanowiska. Konieczność pracy już pojmujemy, ale na jej równouprawnienie godzimy się niechętnie. Pomiędzy jej polami istnieją dla nas, chociaż zwolna, przyorywane miedze, odgraniczające zagony szlachetne od nieszlachetnych. Byle wietrznik, którego przodkowie nie polizali nawet herbu, wyjechawszy do Wiednia lub Paryża, wpina sobie w nazwisko *von* lub *de,* jak kwiatek w klapę tużurka. Niewielu zapewnie jest u nas ludzi, którzyby zdolni byli wyobrazić sobie rzemieślnika lub kupca jako przedstawiciela narodu, zwłaszcza, że literatura, dochowująca jeszcze dawny bizantynizm, nad zbliżaniem się i spokrewnianiem żywiołów słabo pracuje.

Te i tym podobne jednak obawy, jakkolwiek liczne, nie powinny nam zasłaniać innych, z których wykwita nadzieja przyszłości. Już coraz więcej widzimy obywateli ziemskich, najbardziej obowiązanych chronić szlachecką tradycję od pobrudzenia łokciem lub wagą, oddających dzieci swoje do rzemiosł i handlu; już urząd przestał być marzeniem klas średnich, a posiadacz pięknie zaprzężonej czwórki ideałem panien dobrze urodzonych. Mieszamy się, krzyżujemy i łączymy, a raczej konieczność tasuje nas, jak talje kart, nie zważając na to, że tuz może się znaleźć obok waleta, a dama obok młódki. Teraz właśnie, gdy losy skazały nas na bierność polityczną, zaczęliśmy rozwijać się społecznie, wyrównywać przepaście i kojarzyć odrębne żywioły, słowem demokratyzować nasze stosunki i zasady. Ze wszystkich procesów, które odbywają się w łonie naszego narodu, ten może najgłębiej i najdalej sięgnie swym wpływem. Bez niego szlachta nasza wiecznie przedstawiać będzie dla świata obraz grzyba na dzikim i sękatym pniu ludu; wiecznie pozostaniemy dla niego anachronizmem cywilizacji, dogorywującym gatunkiem jej zwyciężonych w walce o byt rodzajów. Arystokratyzm jest suchotami narodu: nieleczony — nadaje z początku pewien łagodny wdzięk i mocne rumieńce, ale wkrótce go dusi. A my przecież nie jesteśmy jeszcze tak starzy, ażebyśmy własną ręką grób sobie kopać mieli. Przeciwnie, chociaż bogatszą mamy od innych historję, należymy w Europie do najmłodszych pokoleń narodów. Chciejmy więc żyć i przestrzegajmy higjeny społeczeństw zdrowych. Stańmy się raz społeczeństwem, społeczeństwem demokratycznem, niedurzonem ani swoją mniemaną wyższością, ani wyższością pewnych w sobie stanów. Sama szlachta była rzeczywiście polskim narodem, ale nim nie jest i być nie może....

Tyle pod datą dzisiejszą. Wprzódy obraz niż ramy....

„Pozytywizm i pozytywiści".

Niwa, r. 1873, str. 97].

...Staliśmy prawie ciągle jakby na czatach filozofji — wszystkośmy widzieli, a niczego nie zbadali do gruntu. Po długoletnim półcieniu scholastycyzmu, filozofji średniowiecznej, pełnej formułek a ubogiej w myśli, kiedy nie wiedziano, czy się fantazjuje we śnie, czy też majaczy na jawie, zjawił się do nas spirytyzm Dekarta* i Leibniza,* ale pogościwszy zaledwie chwilę, musiał ustąpić miejsca wprost przeciwnemu kierunkowi myślenia, to jest sen-

zualizmowi XVIII-go wieku za pośrednictwem Condillaca* i encyklopedystów francuskich. W kilkunastu latach zmienił się posterunek myśli — naturalnie znowuż na lat kilkanaście. Bo oto nowa filozofja niemiecka w osobie Kanta* znalazła u nas przedstawicieli i gorliwych zwolenników przynajmniej na lat kilka. I kiedy Jan Śniadecki, umysł trzeźwy i szeroki, piorunował przeciwko metafizyce i Kantowi, już wtedy stronników myśli tego ostatniego prawie nie było; bo do umysłów inteligencji naszej zaczął przemawiać Schelling,* a następnie Hegel.* Gwiazda Hegla i idealizmu transcendentalnego świeciła długo, ulegając licznym metamorfozom, w których widziano go nieraz, jak miał wyobrażać zupełnie nową filozofję — filozofję polską albo słowiańską. Lat blisko trzydzieści interesowano się niemieckiemi abstrakcjami, które odbudowywały przyrodę i społeczeństwo na model, wysmażony w tygielku nadszprejskiego myśliciela. Przewaga tych abstrakcyj trwała stosunkowo najdłużej w szeregu zmian, dokonanych w ciągu naszego stulecia na gruncie naszej myśli, gdyż mdłego i astmatycznego życia i d e a l n e g o — r e a l i z m u, którego drgnieniom w ostatnim lat dziesiątku byliśmy przytomni, niepodobna poczytywać za coś, coby mogło rywalizować z szeroko rozwiniętym i w tęczowe tkanki myśli przybranym żywotem c z y s t e g o — i d e a l i z m u. On też pozostawił najwybitniejszy ślad swojego przechodu i czoło swe uwieńczył djademem imion sławnych i rozgłośnych, błyszczących jaskrawym choć pożyczanym tylko blaskiem ; on rozniósł masę wiadomości, wyobrażeń i teoryj wśród tych ludzi, którzy mają pretensję do myślenia i rozmyślania.

Do tego prądu głównego doliczywszy drobne strumyczki... będziemy mieli w najgrubszych zarysach obraz chaosu... Nieporządek, bezład, zamieszanie są tu istotnemi cechami sposobu myślenia i rozumowania....

Wśród takiego stanu rzeczy wpadł nagle prawie spółcześnie z darwinizmem — wyraz p o z y t y w i z m...

Znalazło się kilku (dajmy na to: kilkunastu), co, powodowani sumiennością, zajrzeli do źródła, odczytali sobie jeżeli nie samego Comte'a,* to Littre'go,* i nabrali mniej więcej dokładnego wyobrażenia o metodzie i całości nauki pozytywnej. Reszta inteligencji... nie wahała się przylepić pierwszej lepszej, przez siebie sfabrykowanej etykiety do czegoś nieznanego, co się nazywało pozytywizmem, i później mimo protestacyj i sprostowań, ani chciała nawet słyszeć o zmianie swoich błędnych przekonań.

...Wszyscy, którym praca mozolna była wstrętną, chwycili się tego środka, tak, że obawę wobec pozytywizmu słusznie możnaby uważać za obawę wobec egzaminu z nauk ścisłych. Pozytywizm bowiem wymaga znajomości nauk specjalnych; kto więc nie zna żadnej, a chciałby rozprawiać o wszystkich, musi się uciec do jedynego możliwego środka ratunku, do poczytywania go za rzecz błahą, niewartą najmniejszego zachodu...

...Jest jednakże druga strona medalu. Bojaźń utraty moralnego kretytu u społeczeństwa podszywa się pod intencje najszlachetniejszych dążności, i wyzyskując niektóre instynkty społeczne na swoją korzyść osobistą, woła wniebogłosy, że broni świętych spraw moralności i obyczaju. Jest to taktyka, o ile ściśle złączona z powyżej naszkicowanym stanem pojęć, o tyle nikczemna...

...Opierając moralność swoją na pogodzeniu interesu osobistego z interesami ogólnemi, pozytywizm znajduje silny odgłos w duszach jednostek i całych grup społecznych. Pozytywizm nie usuwa przecież surowych obowiązków względem ogółu; — owszem pozytywizm pierwszy wygłosił i uzasadnił pojęcie tych obowiązków. Jeżeli potrzeba oddać część a nawet całość swego interesu na korzyść ogólną, to się nazywa w pozytywizmie nie ofiarą, nie poświęceniem, — słowami wielkiemi, lecz spełnieniem obowiązku.

ADAM ASNYK [1]) (1838—1898). [2])

Poeci do publiczności.

Po zgasłych wieszczach w ręce słabe, drżące
Wzięliśmy lutnie, w których pieśń czarowna
Spoczywa w tonów ubrana tysiące,
Boleścią całych pokoleń wymowna.

---

[1]) Pseudonim El...y.

[2]) Nauki w Warszawie, we Włocławku, Paryżu i Heidelbergu, gdzie studjował historję i filozofję. Brał udział w styczniowem powstaniu, a gdy po upadku jego i powrocie swym do Heidelbergu zapadł na melancholję, z rodzicami podróżował po Holandji, Niemczech i Włoszech. Z Neapolu w r. 1864 zaczął posyłać do Lwowa swoje poezje: *Podróżni, W zatoce Baja, Odpowiedź, Juljan Apostata, Ascela, Aszera, Odłamowi Psychy Praxytelesa, Sen grobów.* Powróciwszy do Heidelbergu, uzyskał dyplom doktorski, poczem po krótkim pobycie we Lwowie osiadł na stałe w Krakowie od 1870 r. i tu spędził resztę życia.

Śród poezyj lirycznych wyróżniają się: *Pod stopy Krzyża, Przeminął czas, Epaminondas, Deremne żale, Echo kołyski, Nie mów, Do młodych, Oda,*

Smutno nam słyszeć te echa mdlejące,
Smutno nam wiedzieć, że ta moc cudowna,
Potrząsająca niegdyś ludzi tłumem,
Niezrozumiałym stała się dziś szumem.
Straszno nam strun tych dotykać natchnionych,
Co się prężyły jako serca żywe,
Co miały siłę rozbudzać uśpionych,
I smagać biczem umysły leniwe;
Straszno nam stanąć wobec tych zniknionych,
Rozrzucających piękności prawdziwe,
I pieśń podnosić wśród gawiedzi syków —
Pieśń przygnębionych wstydem niewolników.
Znamy swą niemoc, węża, co nas dławi
I opasuje w swe skręty potworne;
Znamy ten obłęd, co nas zwolna trawi
I z piersi dźwięki dobywa niesforne;
Wiemy, że śmieszni jesteśmy, choć łzawi,
I tak bezkształtni, jako mgły wieczorne:
Ale uznając wszystkie nasze winy,
Chcemy wam złego odsłonić przyczyny.
Jesteśmy dziećmi wieku bez miłości,
Wieku bez marzeń, złudzeń i zachwytu,
Obojętnego na widok piękności,
A więdnącego z nudy i przesytu, —
Wieku, co wczesnej doczekał starości,
Sam podkopawszy prawa swego bytu, —
Wieku, co siły strwonił i nadużył,
Nic nie postawił, chociaż wszystko zburzył.
Wzrośliśmy także wśród dziwnego świata,
Co się zapału i uniesień wstydzi,
Co każdem wzniosłem uczuciem pomiata
I wszędzie szuka śmieszności i szydzi;
Bawi go jeszcze arlekińska szata,
Lecz ani kocha, ani nienawidzi...
I to jest nasze największe przekleństwo:
Otaczające nas dziś społeczeństwo!

Świat się ogniami zapala, Wśród przełomu, Nad głębiami. — Pisał też Asnyk komedje i dramaty. Do pierwszych: *Walka stronnictw, Przyjaciele Hioba, Gałązka Heljotropu, Komedja konkursowa;* do drugich: *Cola Rienzi, Bracia Lerche, Kiejstut.*

Jego bezduszna, chłodna atmosfera
Już od kolebki duszę nam otacza;
Dziewiczą barwę szyderstwem z niej ściera,
Żadnej świętości marzeń nie przebacza:
Nic więc dziwnego, że ogień zamiera,
Że się fantazja krzywi i wypacza;
Bo tam, gdzie w sercach bezmyślność i bierność,
Krzewić się może jedna tylko mierność.
Zabrakło wiary, zabrakło płomienia,
Który ożywił niegdyś mężów dawnych,
Zabrakło cudów, zbrakło pokolenia,
Co cud mieściło w piersiach w stal oprawnych;
Dzisiaj, choć widzim smutne poświęcenia,
Choć widzim ludzi krwią swą marnotrawnych,
Przecież to wszystko tak marnie opada,
Jak kwiat, któremu wnętrze robak zjada.
Miłość ojczyzny?... Ta dziś pustym dźwiękiem,
Co nie brzmi wcale, albo brzmi szaleństwem.
Nasi mężowie, śpiąc na łożu miękkiem,
Biją w dzwon trwogi przed niebezpieczeństwem,
Gdy kto ten wyraz powie z cichym jękiem,
I obrzucają swój naród przekleństwem
Za to, że śmiał się targnąć na kajdany
I drgnął na chwilę, własną krwią oblany...
Miłość ojczyzny!... Staroświeckie tema
I rdzą grobowca zgryzione ze szczętem;
Zewsząd mu krzyczą wielkie anatema,
Pokryte słodkim świętoszków lamentem;
Więc, żeby wznawiać rzeczy, których niema,
Trza być półgłówkiem, albo też studentem
I z Don Kiszotem [1]) błądzić po manowcach,
By skruszyć kopje na spłoszonych owcach.
A dziś podobna marzeń wybujałość
Jest w naszym świecie wielce karygodną;
Nasze powagi widzą w tem zuchwałość,
Która być może w straszne skutki płodną;
Przyznają wtedy pieśni doskonałość,
Gdy jest, jak oni, bezbarwną i chłodną

[1]) Satyryczny romans sławnego hiszpańskiego poety, Cervantesa (1547—1616).

I tak strzyżoną, jakby ogród włoski,
Mając ucięte i myśli i zgłoski.
Cóż więcej znaleźć?... Sława?... Tej nie mamy:
Wszyscy mniej więcej jesteśmy niesławni
I nosim znaczne na honorze plamy,
Pod każdym względem zawsze niepoprawni;
O czystą wielkość zawsze mało dbamy,
I wtenczas właśnie jesteśmy zabawni,
Gdy się stroimy w kawałek łachmanu,
Co się nazywa dziś rozumem stanu.

Ten rozum stanu — wynalazek złoty!
Lepszy, niż jaki płaszcz nieprzemakalny;
Pod nim bezpiecznie można szydzić z cnoty
I podkopywać przesąd idealny;
Można ojczyźnie różne czynić psoty
I łuk w nagrodę dostać triumfalny, —
Bo on zasłonić zdoła każdą sprzeczność,
Wszelki egoizm, wszelką niedorzeczność.

Istny talizman, który dobre wróżki
Roznoszą same jako płód krajowy
I polskiej szlachcie kładą pod poduszki,
A ta się nieraz budząc z bólem głowy,
Na suchych wierzbach umie szczepić gruszki
I cyreneńskiej nabiera wymowy!
Tak więc, bez pracy, nauk i zachodu
Kraj się zapełnia gwiazdami narodu.

Przedmiot gotowy dla wieszczów przyszłości!
Będzie go można w gładkie rymy włożyć
I parafjalne pozbierać wielkości
I epopeję narodową stworzyć,
Co pozostanie Iljadą śmieszności...
Lecz my nie pragniem owej chwili dożyć
I wolim raczej na swych lutniach drzemać,
Niż próżny pęcherz powietrzem nadymać.

Cóż więc zostaje?... Pieśni erotyczne,
Ale i dla tych braknie w świecie wzorów:
Pogasły w piersiach ognie romantyczne,
Pełne świetności i pięknych kolorów;
A miłość cierpi suchoty chroniczne
I potrzebuje pomocy doktorów,

Co podtrzymują jej zbyt wątłe życie
Przez różnych środków drastycznych użycie.
Nasze anioły i nasze kobiety
Są w sentymenta ubrane po kostki;
Lubią poezję zajadać na wety,
I lubią także bawić się w miłostki.
Któżby wyliczył ich wszystkie zalety?
Jednej im tylko brak jeszcze drobnostki:
Prawdy w uczuciu... Lecz to rzecz zbyteczna,
Nie modna dzisiaj — nawet niebezpieczna...
Tem, czem są teraz, nie wzniecą tej walki,
Co się toczyła koło murów Troi;
Żadna nie zginie z rąk swojej rywalki,
Żadna się losów Juljetty [1]) nie boi:
Bo każda z wdziękiem norymberskiej lalki
W balowej sukni na wystawie stoi
I z pochyloną, rozmarzoną główką
Czeka na kupca, co płaci gotówką.
A Romeowie nasi nowocześni
Są, jak z żurnalu wycięte figurki:
Tacy bezduszni, tacy bezcieleśni,
Że z nich zaledwie zostały tużurki,
Które do taktu salonowej pieśni
Skaczą kadryle, walce i mazurki,
Wzdychając przy tem od czasu do czasu
Do djamentów, gazy i atłasu.
Krew tam nie kipi purpurowym warem
I nie upiększa ciał swoim szkarłatem;
Zmysły namiętnym nie owiane czarem,
Nie zakwitają egzaltacji kwiatem, —
A to, co wschodzi, jest tak zwiędłem, szarem,
Tak arlekińskiem i tak karłowatem,
Że może służyć za pastwę dewotkom,
Co się pobożnym poświęcają plotkom.
Ale dla pieśni nie ma tam oparcia:
Tyle tam ziarna, co w pustym orzechu;
Te straszne dzisiaj czułych serc rozdarcia
Na drugi tydzień goją się w pośpiechu.

---

[1]) Z tragedji Szekspira: Romeo i Julja.

Do tragicznego zanim przyjdzie starcia,
Cała tragedja kończy się na śmiechu:
Skąd i poezja nasza nosi znamię,
Że jest szydercza, gdy uczuć nie kłamie.
Trudno wymagać, by na takiej roli
Wytrysła natchnień prawdziwych obfitość;
Trudno genjuszu żądać aureoli
Tu, gdzie się tuczy sama pospolitość;
I trudno miłość śpiewać wśród swawoli,
Co budzi tylko wzgardę albo litość;
Trudno, ach! żądać dziś Anakreona,*
Kiedy świat cały na bezkrwistość kona...
Potrzeba śmiać się więc na równi z wami
I razem z wami nad przepaścią pląsać;
Potrzeba kryć się ze swojemi łzami,
I z własnych uczuć głośno się natrząsać —
Karmić się codzień skandalem, plotkami,
Różować twarze i przechodniów kąsać,
Wszystko szlachetne zdeptać, sponiewierać;
Potrzeba śmiać się... śmiać się i — umierać.
Jeśli nas teraz potępić pragniecie
Za naszą niemoc, nasze niedołęstwo, —
Za rozrzucone poetyczne śmiecie,
Za skoszlawione pieśni czarnoksięstwo, —
Godzim się na to... potępcie, gdy chcecie.
Przy was jest słuszność, przy was jest zwycięstwo;
Lecz tę rozważcie smutną okoliczność:
Tacy poeci, jaka jest publiczność.

Zmierzch melodji.

Śpiewnej melodji słodycze,
Współczesne pienia słowicze
Serca silniej nie wzruszą już:
Na gruzach wiary dziecięcej
Duch ludzki pożąda więcej
Wśród walk i burz.
Nie dość mu tkliwych pobudek,
Róż zwiędłych i niezabudek
I szmeru srebrzystych strug...
Lecz żąda, by w męskiej nucie
Dźwięczało głębsze uczucie
Duchownych dróg.
Trzeba mu w pieśni odbicia
Tej walki o prawdę życia,
Co z niebem rozpoczął wieść;
Prawda dlań teraz — najświętsza:
Więc chce przeniknąć do wnętrza
Istnienia treść.

Te, co nęciły go wprzódy,
Bańki tęczowej ułudy
Straciły dawniejszy czar;
W chciwej za światłem pogoni
Od błędnych ognikόw stroni
I nocnych mar.
Myśl niespokojna nań czyha
Na dnie rozkoszy kielicha
I z kwiatów odrywa wzrok;
Nawet miłosne marzenia
Bezmiarem swoim ocienia
Zaziemski mrok.
Wszędzie go ściga myśl: Poco
Z nieznaną ściera się mocą,
Z potęgą, co wiecznie trwa?...
I czemu serce ogarnia
Nieskończoności męczarnia,
Pod którą drga?..!

XIX-mu wiekowi.

Wieku bez jutra, wieku bez przyszłości,
Co nad przepaścią stanąłeś ponury!
Nauczycielu zgrozy i nicości,
Coś wziął ludzkiego ducha na tortury!
Wieku zwątpienia, o wieku niewiary!
Jakże ty strasznym jesteś dla cierpiących!
Sfinksową twarzą patrzysz na ofiary,
Szyderstwem żegnasz w męczarniach ginących,
Śląc im do grobu te słowa najkrwawsze:
Wszystko skończone, giniecie na zawsze!

Na co się przyda, mistrzu, twa nauka,
Na co się przyda dla błądzącej rzeszy?
Gdzież masz pociechę, której ona szuka?
Gdzież masz tę miłość, która ją rozgrzeszy?
Dałeś jej ziemi obszary jałowe
I dożywotnie dałeś jej dziedzictwo;
Ale zabrałeś najlepszą połowę:
Idealnego świata uczestnictwo!
Choć jasne źródła stoją jej otworem,
Ona z nich przecież rozkoszy nie czerpie
I woła, sercem upadając chorem:
— Poco ja żyję, umieram i cierpię?

Przeminął czas...

Przeminął czas! Przeminął czas
Tęczowej cudów powieści;
Już opustoszał święty las
I czarów w sobie nie mieści.

Już w nim nie mieszka żaden bóg,
Faun płochy, ani Driada;[1])
Na skrzyżowaniu ciemnych dróg
Żadne już widmo nie siada.
Zaklęty zamek poszedł w dym,
Postrachu więcej nie szerzy...
I Meluzyna[2]) głosem swym
Nie wabi błędnych rycerzy.
Już czarodziejski prysnął krąg,
Serc widzeniami nie pieści;
Wyrwał się nagle z ludzkich rąk
Genjusz cudownych powieści!
Przeminął czas! Przeminął czas
Rapsodów sławy i miecza;
Zmalały pieśni pośród nas
I pierś zmalała człowiecza!
Wolności także zamarł śpiew:
Niema skrzydlatej husarji,
Co za ojczyznę lała krew,
Padając z imieniem Marji.
A bohaterstwa jasny cud,
Co niegdyś blasków lśnił tęczą,
Dzisiaj wyklina biedny lud,
Żelazną ściśnion obręczą.
Niezrozumiałym już się stał
Orężny szczęk epopei
Dla znikczemniałych, smutnych ciał
Bez męstwa i bez nadziei.
Przycichła pieśń i kona już,
Nie budząc żadnego echa...
Próżno się czepia zwiędłych róż,
Napróżno w łzach się uśmiecha.
Próżno na grobach w cichą noc
Skarży się smutna i blada:
Straciła dawną swoją moc,
Sercem człowieka nie włada.

---

[1]) Faunus (faveo — sprzyjam) — dobroczynne staroitalskie bóstwo lasów, płodności, (pokrewne: Lupercus, Silvanus). Driady albo Hamadriady w mitologji greckiej opiekuńcze bóstwa drzew.

[2]) Średniowieczny mit o Meluzynie, morskiej nimfie, znajdujemy w poezjach trubadurów i truwerów frankońskich.

On się już wyrzekł złotych mar,
Jasnego zaparł królestwa
I nieśmiertelny ducha dar
W otchłanie strącił nicestwa.
I runął cały wielki gmach,
Wzniesiony wiarą pokoleń...
Została nędza, niemoc, strach
I ojców spróchniała goleń!
Lecz błyśnie dzień! Lecz błyśnie dzień,
W którym duch ludzki na nowo
Ożywi zeschły życia pień
Girlandą kwiecia różową.
I z prochu, w który dziś się wpił
Na dawnych marzeń ruinie,
Zaczerpnie zapas twórczych sił
I znowu w niebo popłynie.
A ideału jasny kwiat,
Z zbutwiałych obrany liści,
Napełni znowu wonią świat,
Zakwitnie pełniej i czyściej.
I żywych natchnień złota nić
Przewiąże prawdy zdobyte:
Co nieśmiertelne, musi żyć,
Choć zmienia kształty zużyte!
A wtenczas pieśń powstanie znów,
Cudowną moc swą odświeży
I z labiryntu ciemnych słów
Na światło dzienne wybieży;
Rozpostrze tęczę rajskich farb
I nowe jutrznie zapali,
Najczystszy ludzkich natchnień skarb
Na śpiewnej unosząc fali...
I nieśmiertelną życia treść
Dobędzie z prochu i kału,
I rzeczywistość zdoła wznieść
Za sobą — do ideału.
A bohaterstwo dawnych dni
Uświęci w walce ostatniej:
Gdzie miłość zmaże plamy krwi
I uścisk zwycięży bratni.

Choć pól i łąk...

Choć pól i łąk
Odmładzasz krąg,
Roznosząc woń miłosną, —
Nie wrócisz mi
Młodości dni,
O, czarodziejko-wiosno!

Nie wskrzesisz złud,
Pojących wprzód
Zachwytem serce moje:
Nie dla mnie już
Rumieńce róż
I świeżych uczuć zdroje!

Więc z czary twej
Dla innych lej
Rozkoszy słodkie miody;
Niech z twoich szat
Rwie cudny kwiat
Kochanków zastęp młody.

Mnie tylko daj
Szumiący gaj
Nad moją głową senną...
I otocz mnie
W głębokim śnie
Miłością dusz promienną.

Pod stopy krzyża.

Dużo cierpiałem... lecz koniec się zbliża!
Z uspokojeniem po przebytej męce
Pójdę, o Chryste, do stóp Twego krzyża
Wyciągnąć znowu z utęsknieniem ręce
I witać ciszę zachodzącej zorzy,
Która mnie w prochu u stóp Twych położy!

Nie pomnę modlitw, com niegdyś ze skruchą
Przy boku matki powtarzał niewinny.
Te utonęły w fali życia głucho,
I odkąd w gruzy padł mój raj dziecinny,
Odkąd mi brakło ojczyzny i domu —
Nie otworzyłem mej duszy nikomu!

Nawet przed Tobą nie mogłem, o Panie,
Wydobyć płaczu z mej piersi ściśniętej;
Bo wzrok mój padał w bezdenne otchłanie,
A Tyś mi zniknął, na krzyżu rozpięty,
Z pośród pokoleń rozrzuconych kości
Za ciemną chmurą krwi, łez i nicości.

Ręką ziemskiego dotknąłem się błota,
Widziałem zbrodnie, nie widziałem kary;
Oprócz boleści i nędzy żywota
Nic nie znalazłem — i zbrakło mi wiary,
I dalej w ciemność poszedłem z rozpaczą,
Zazdroszcząc ludziom, co na grobach płaczą.

Widziałem trwogę i niemoc konania,
Widziałem duchów hańbę i upadek;
Lecz nie widziałem nigdzie zmartwychwstania,
I, próżnych męczeństw przerażony świadek,
Patrząc na niebo, co nigdy nie dnieje,
Straciwszy wiarę, straciłem nadzieję.

Kochałem jeszcze biedne ludzkie cienie,
Które na stosach palą się i świecą;
Myślałem bowiem, że biegnąc w płomienie,
Wiedzą przynajmniej, dlaczego tam lecą,
I że, przyjmując każdy ból i ranę,
W piersiach anielstwo noszą nieskalane.

Lecz gdym obaczył, skąd te wszystkie czyny
Swój tajemniczy początek wywodzą;
Skąd wyrastają ściekłe krwią wawrzyny;
Gdzie upadają ci, co w niebo godzą;
I gdy, wnikając w serc zranionych ciemność,
Za każdym bólem znalazłem nikczemność: —

Natenczas miłość stała się podobną
Do nienawiści smutnej i posępnej;
I przeklinałem tę rzeszę żałobną,
I pogardzałem nimi — sam występny...
I mścić się chciałem za gorycz zawodu,
Żem nie mógł kochać, jak dawniej, za młodu.

Tak więc w mej duszy zburzonym kościele
Została straszna pustka i samotność.
Sam — jako nędzarz zostałem w popiele
I własną badać zacząłem przewrotność,
I wszystko w sobie znalazłem to samo,
Co mi się zdało być u drugich plamą.

Wszystkie pragnienia nędzne, brudne, liche,
Co kłamią tylko pozór wyższej cnoty,
Olbrzymią nicość i olbrzymią pychę
Znalazłem na dnie swej własnej istoty;
I tak swe serce rozpoznawszy chore,
Straciłem w sobie ostatnią podporę.

Lecz ta upadku właśnie ostateczność,
Co mnie w bezdennej pogrążyła nocy,
Dała mi poznać wszechwładną konieczność
Wyższej a razem nieskończonej mocy;
I moja rozpacz szalona i trwoga
Świadczyła jeszcze o potędze Boga.

Na mojej piersi spoczywał schowany
Maleńki krzyżyk ze słoniowej kości,
Świadek młodzieńczej wiary nieskalanej,
Dar macierzyńskiej, najczystszej miłości,
Co przetrwał wszystkie burze i szaleństwa
Znakiem cichego boskiego męczeństwa.

Kiedy go teraz na piersi zbolałej
Po latach tylu znalazłem, niewierny,
Tak mi się znowu wydał jasny, biały,
Taki potężny i tak miłosierny,
Że znów tęsknotą zadrżało mi łono
Za tą postacią tyle uwielbioną!

I powitałem światło wiecznie nowe,
Z tych jasnych ramion krzyża tryskające,
I na skrwawione stopy Chrystusowe
Tak samo lałem moje łzy gorące,
Jak wówczas, kiedym poił serce młode,
Patrząc na Mistrza nadziemską pogodę.

I znów słyszałem te boskie wyrazy:
— Chodźcie tu do mnie, wy, którzy cierpicie,
Chodźcie tu do mnie leczyć ziemskie zmazy;
We mnie jest spokój i we mnie jest życie,
Nie płaczcie próżno na świeżej ruinie:
Wszystko przemija — prawda nie przeminie!

Więc posłuchałem słodkiego wezwania:
I oto idę z mem sercem schorzałem,
I pewny jestem Twego zmiłowania,
Bom wiele błądził, lecz wiele kochałem
I drogi życia przeszedłem cierniste...
Więc Ty mnie teraz nie odepchniesz, Chryste!

Do młodych.

Szukajcie prawdy jasnego płomienia,
Szukajcie nowych nieodkrytych dróg!
Za każdym krokiem w tajniki stworzenia
Coraz się dusza ludzka rozprzestrzenia
I większym staje się Bóg!

Choć otrząśniecie kwiaty barwnych mitów,
Choć rozprószycie legendowy mrok,
Choć mgłę urojeń zedrzecie z błękitów, —
Ludziom niebiańskich nie zbraknie zachwytów,
Lecz dalej sięgnie ich wzrok.

Każda epoka ma swe własne cele
I zapomina o wczorajszych snach:
Nieście więc wiedzy pochodnie na czele
I nowy udział bierzcie w wieków dziele, —
Przyszłości podnoście gmach!

Ale nie depczcie przeszłości ołtarzy,
Choć macie sami doskonalsze wznieść:
Na nich się jeszcze święty ogień żarzy
I miłość ludzka stoi tam na straży —
I wy winniście im cześć!

Ze światem, który w ciemność już zachodzi,
Wraz z całą tęczą idealnych snów,
Prawdziwa mądrość niechaj was pogodzi:
I wasze gwiazdy, o zdobywcy młodzi,
W ciemnościach pogasną znów!

Ucisz się, serce!

Ucisz się, serce! — swoich strat
Już nie opłakuj, stroskane;
Ale wschodzący pozdrów świat
I jego jutrznie różane.

Błogosław nowym życia dniom,
Temu, co wschodzi i rośnie,
Świeżym nadziejom, świeżym snom,
Świeżej młodości i wiośnie.

Pozdrów pokoleń przyszły ród,
Ich myśli, pragnienia, cele,
Kwiat nowych uczuć, nowych cnót,
Na naszym wzrosły popiele.

Pozdrów kłos złoty nowych pól,
Nowych kochanków zachwyty,
Nowe tęsknoty, nowy ból, —
I wiecznie nowe błękity.

Pozdrów tych wszystkich wiernych sług,
Co twardą pracą i znojem
Płacą ludzkości święty dług,
O szczęściu nie myśląc swojem;

I tych, co będą światło nieść
Do chat, gdzie ciemni i głodni, —
Co będą walczyć, aby zgnieść
Widziadło nędzy i zbrodni.

Witaj ich wszystkich w blasku zórz,
Który zaledwo widnieje;
W ich ręce swoją wiarę złóż
Swą miłość i swą nadzieję.

Szczęście, za którem dzisiaj ty
Napróżno tęsknisz i czekasz
I nieziszczone wszystkie sny,
Wszystkie pragnienia im przekaż!

Wzleć ponad własnej drogi kres
Z błogosławieństwem dla świata,
Co w pasmo błędów, walk i łez
Szlachetne dążenia wplata.

A snuć się będzie złota nić,
Chociaż ty spoczniesz w mogile...
I będziesz nowem życiem żyć
W młodzieńczej barwie i sile.

Wszędzie coś z swoich znajdziesz snów,
Z uczuć straconych i rojeń —
I z kochankami będziesz znów
Pić słodycz świeżych upojeń;

Będziesz — gdzie ludzkiej myśli zdrój
W niepowstrzymanym rwie biegu...
Gdzie się rozstrzyga duchów bój,
W walczących staniesz szeregu;

Gdzie płynie skargi rzewny głos,
Tam będziesz i będziesz z temi,
Co chcą polepszyć ludzki los
I przynieść szczęście tej ziemi.

I do wieśniaczych zstąpisz chat
Uczucia budzić nieznane...
Więc nie opłakuj swoich strat,
Pociesz się, serce stroskane!

Nie mów.

Nie mów — chociażbyś miał ginąć z pragnienia —
Że wszystkie źródła wyschły już bijące:
Tyś gonił pustyń piaszczystych złudzenia,
A minął strumień na zielonej łące.

Nie mów — chociażbyś umierał z tęsknoty —
Że niema czystej miłości na ziemi:
Tyś pewnie w drodze blask jej rzucił złoty,
Za ognikami zdążając błędnemi.

Nie mów, że wszystko, czegoś ty nie umiał
Odnaleźć w życiu, marą jest zwodniczą:
Zdrój czystych uczuć będzie innym szumiał
I inne serca poił swą słodyczą.

Daremne żale.

Daremne żale, próżny trud,
Bezsilne złorzeczenia!
Przeżytych kształtów żaden cud
Nie wróci do istnienia.

Świat wam nie odda, idąc wstecz,
Zniknionych mar szeregu:
Nie zdoła ogień ani miecz
Powstrzymać myśli w biegu.

Trzeba z żywymi naprzód iść,
Po życie sięgać nowe —
A nie w uwiędłych laurów liść
Z uporem stroić głowę!

Wy nie cofniecie życia fal!
Nie skargi nie pomogą!
Bezsilne gniewy, próżny żal!
Świat pójdzie swoją drogą.

Słonko.

Wędrowało sobie słonko
Uśmiechnięte, jasne, złote;
Szło nad gajem, szło nad łąką:
Napotkało w łzach sierotę.

Ten się żali: — Tak wesoło
Świecisz światu, słonko moje;
Uśmiechami sypiesz wkoło,
Gdy ja smutny we łzach stoję.

Obojętnie patrzysz na to,
Jak się ludzkie serca męczą...
I nad każdą ludzką stratą
Promienistą błyskasz tęczą.

Słonko na to: — Biedne dziecię!
I mnie smutno na niebiosach,
Gdy o waszym myślę świecie
I o ludzi ciężkich losach.

Lecz nie mogę ustać w drodze,
By nad każdą boleć raną:
Więc w złocistym blasku chodzę,
Wypełniając, co kazano.

Nie pomogą próżne żale...
Ból swój niebu trzeba zlecić —
A samemu wciąż wytrwale
Trzeba naprzód iść... i świecić!

Z cyklu „W Tatrach".

Ranek w górach.

Wyzłocone słońcem szczyty
Już różowo w górze płoną
I pogodnie lśnią błękity
Nad pogiętych skał koroną.

W dole — lasy skryte w cieniu
Toną jeszcze w mgle perłowej,
Co w porannem oświetleniu
Mknie się zwolna przez parowy.

Lecz już wietrzyk mgłę rozpędza
I ta rwie się w chmurek stada...
Jak pajęcza, wiotka przędza
Na krawędziach skał osiada;

A z pod sinej tej zasłony
Świat przegląda coraz szerzej,
Z nocnych, cichych snów zbudzony,
Taki jasny, wonny, świeży!

Wszystko srebrzy się dokoła
Pod perlistą, bujną rosą;
Świerki, trawy, mchy i zioła
Balsamiczny zapach niosą.

A blask spływa wciąż gorętszy,
Coraz głębiej oko tonie;
Cudowności świat się piętrzy
W wyzłoconej swej koronie.

Góry wyszły już z kąpieli
I swem łonem świecą czystem,
W granitowej świecą bieli
W tem powietrzu przeźroczystem.

Każdy zakręt, każdy załom
Wyskakuje żywy, dumny;
Słońce dało życie skałom,
Rzeźbiąc światłem ich kolumny.

Wszystko skrzy się, wszystko mieni,
Wszystko w oczach przeistacza;
Gra przelotnych barw i cieni
Coraz szerszy krąg zatacza.

Już zdrój srebrną pianą bryzga,
Gdy po ostrych głazach warczy;
Już się żywszy odblask ślizga
Po jeziorek sinej tarczy;

Już pokraśniał rąbek lasu,
Już się wdzięczy i uśmiecha
Brzeg doliny — a z szałasu
Dolatują śpiewne echa.

Przez zielone łąk kobierce,
Dzwoniąc, idą paść się trzody...
Jakaś rozkosz spływa w serce,
Powiew szczęścia i swobody.

Pierś się wznosi, pierś się [wzdyma
I powietrze chciwie chwyta;
Dusza wybiec chce oczyma
Upojona, a niesyta.

Niby lecieć chce skrzydlata,
Obudzona, jak z zaklęcia,
I tę całą piękność świata
Chce uchwycić w swe objęcia.

Morskie Oko.

I.

Ponad puszczami borów, ściśnięte zaporą
Ścian olbrzymich, co wkoło ze sobą się zwarły,
Ciemne wody rozlewa posępne jezioro
Odźwierciadlając w łonie głazów świat zamarły.
Stoczone z szczytów bryły, mchu pokryte korą,
Po brzegach rumowisko swoje rozpostarły;
Na niem pogięte, krzywe kosodrzewu karły
Gdzieniegdzie nagą pustkę w wianki swe ubiorą.

Granitowe opoki, wyniesione w chmury,
Rzadko tam żywsze blaski słoneczne dopuszczą...
I tajemnicze głębie kryje cień ponury.
Cisza — tylko w oddali gdzieś potoki pluszczą
Lub wichry, przelatując nad zmartwiałą puszczą,
Swym świstem grozę dzikiej powiększą natury.

II.

Tu myśl twórcza straszliwą pięknością wykwita:
Pięknością niezmierzonej potęgi i siły,
Co, gromami na skałach rozdartych wyryta,
Świadczy dziś o przewrotach w łonie ziemskiej bryły.
Dziki zamęt! Głazami zasłane koryta
Zdają się placem boju, gdzie niegdyś walczyły
Północne groźne bogi i krew ofiar piły
Z czary, która w jezioro upadła — rozbita.

Wszystko tu do ostrego tonu się nagina:
Poszarpane gór grzbiety, wody, co czernieją,
Skały, wiszące śniegi, zarośla, mgła sina...
Wszędzie surowa wielkość, przed którą maleją
Sny człowieka, co staje, jak mała dziecina,
Przed skamieniałą dawnych bogów epopeją.

III.

Słońce, gdy na zachodzie złotą tarczę skłoni,
Purpurą zdobi jeszcze skał korony wierzchnie:
Tysiąc tęczowych świateł po szczytach się goni,
Tu zsinieje... tam ogniem zaświeci... znów zmierzchnie;
A w dole, na jeziora zamąconej toni
Odbity blask zakrwawia drżących wód powierzchnię,
Póki skrwawionej fali płaszcz mgły nie osłoni
I ostatni rumieniec wieczoru nie pierzchnie.

Wszystko zgasło... Świat cały napełniony mrokiem;
Granitowe olbrzymy majaczeją w dali,
Rosną w bezmiar i kształty zmieniają przed okiem;
Mgła pokryła przepaści szarym swym obłokiem
I jezioro zniknęło... Lecz słychać szum fali
I z gór lecący potok wymowniej się żali...

IV.

Noc króluje — na głowę kładzie gwiazd diadem;
Przez błękity przesiąka niepewna i drżąca
Jasność jeszcze skrytego dla oczu miesiąca;
Mgły ulatują w górę śnieżnych chmurek śladem.
Wszystko topnieje w świetle niebieskiem i bladem.
I ciemność nad otchłanią chwieje się wisząca.
Księżyc przez skał szczelinę wstał nad wodospadem,
Srebro leje i w przepaść wraz z falami strąca.

Zwolna cała kotlina z śpiących wód topielą
Wynurza się, jak obraz czarodziejskiej księgi...
Wybrzeża przeraźliwym odblaskiem się bielą,
Jakby pokryte zmarłych śmiertelną pościelą;
Czarne wody w płomienne rysują się pręgi,
Przypominając piekieł dantejskie okręgi.

V.

O, wielki poemacie natury! Któż może
Iść w ślad za twych piękności natchnieniem wieczystem?
Kto uchwyci poranku wzlatującą zorzę
I zapali rumieńce na niebie gwiaździstem?

Kto wyrzeźbi kamienne wodospadu łoże?
Przemówi szumem fali, wichru dzikim świstem?
Srebrne chmurki zawiesi w szafirów przestworze
I odbije skał ostrza w wód zwierciadle czystem?

O wielki poemacie! Ciebie tylko można
Odczuć i wielbić razem w drgnieniu serca skrytem,
Gdy, pijąc wszystkie blaski, źrenica pobożna
W cichym zachwycie tryśnie źródłem łez obfitem,
Gdy na skrzydłach tęsknoty dusza leci trwożna
I nakrywa się własnych marzeń swych błękitem.

Podczas burzy.

Dołem wicher ciężkie chmury niesie,
O skaliste roztrąca urwiska;
Burza huczy po sczerniałym lesie
I gromami w głąb wąwozów ciska:
A tam w górze, gdzie najwyższe szczyty,
Lśnią pogodnie, jak dawniej, błękity.

Ach, tak samo na drogach żywota
Nieraz burza szaleje nad głową!
Wicher nami nad przepaścią miota
A grom ciemność oświetla grobową:
Jednak wyżej — widać błękit nieba...
Tylko wznieść się nad chmury potrzeba.

ELIZA ORZESZKOWA (1842—1910). [1])

Z rozprawy „O żydach i kwestji żydowskiej“.

Zbiorowe wydanie pism, Warszawa 1913, t. IX.

(O znaczeniu naukowych badań).

....Szary obraz życia naszego ma swoje pręgi i światła. Jedną z nich jest wzmożony u nas od lat kilkunastu szacunek dla nauki i żywszy ku niej, niż przedtem, popęd pokoleń młodych. Już pomiędzy naszemi rodami królewiąt istnieją takie, które na widok

[1]) Nauki u Sakramentek w Warszawie, a po zesłaniu męża, Orzeszki, na Sybir, w sześciu latach w rodzinnej Milkowszczyznie rozczytywała się w pol-

potomków swych, imających się umysłowych zawodów, wstydem i oburzeniem nie płoną. Już pośród potomków tych dążenie ku światłu umysłowemu stało się dość częstem, a nieuctwo zupełne dość rzadkiem. Już pewna część kobiet naszych zapragnęła opuścić wachlarz dla książki i tkliwe tony fortepianów dla surowych trudów zarobkowej pracy. Szczęśliwe początkowanie to jeden z największych pisarzy naszych, do starego pokolenia należący (T. Jeż) [2]), określa następnemi słowy:

.... «Objawem tym jest: znaczne powiększenie się materjału w ludziach młodych, wykształconych. Spotykam, poznaję, słyszę o różnych, ten umie to, ten owo, ów pracuje w takiej lub innej gałęzi, ów się uczy. Tego dawniej nie bywało. Za czasów naszych nauka wlekła się ztyłu: przodem szło co innego»....

W czasach dzisiejszych nauka podnosić się zaczyna ze stanowiska upośledzonego, na którem różne a różne koleje i usposobienia narodu długo się utrzymywały.

Jednak nie łudźmy się. Jest to dopiero początkowanie, zawiązek, nadzieja. Do pełnego rozwoju wiedzy i myśli, do takiego podniesienia się skali umysłowej ogółu, na jakiem znaleźć może on umiejętność rozwiązania zagadnień życia swego, jeszcze nam daleko.

.... Spróbuję zebrać wiązkę faktów, mierzących szerokość przestrzeni tej, która jeszcze rozdziela nas z właściwem ocenieniem i należytem umiłowaniem nauki. W dziedzinie literatury, ile posiadamy pism naukowych i jakiemi są losy tych, które istnieją? Tygodnik p. t. *Przyroda i Przemysł*, po dość długiem, lecz bardzo trudnem i coraz zamierającem życiu, zgasł całkiem. Tygodnik p. t.

---

skich i starożytnych klasykach, studjowała encyklopedystów, pochłaniała dziejopisów, podróże, powieści, pamiętniki, poezje. Zaczęła pisać 1866, lecz rozgłos przyszedł dopiero po wydaniu *Marji i Marty* (1873). Kwestji żydowskiej poświęciła powieści *Eli Makower* i *Meir Ezofowicz*, oraz nowele: *Gedali, Silny Samson, Ogniwa*; socjalizmowi — *Widma* i *Sylwek Cmentarnik*. Lud i jego stosunek do szlachty malują powieści: *Nad Niemnem* (1888), *Niziny, Dziurdziowie, Cham*, którą to powieść sama Orzeszkowa uważała za jedną z najlepszych, na równi z *Bene nati, Pierwotni, Dwa bieguny, Ad astra, Argonauci*. Szereg najważniejszych powieści uzupełniały nowele, wydane w zbiorach: *Z różnych sfer, Chwile, Przędze, Melancholicy*. Śród nich piękne: *Pieśń przerwana, Co mówi stary klon, Moment, Dymy, Ascetka, Wieczór zimowy*.

[2]) Teodor Tomasz Jeż (Zygmunt Miłkowski) (1824—1914), autor licznych powieści, jak *Szandor Kowacz, Uskoki i t. d.* We wszystkich jest energicznym szermierzem niepodległości ojczyzny i postępu.

Zdrowie, niezmiernie praktyczny i pożyteczny, dwu lat nie przetrwał. Miesięcznik *Ateneum* żyje dzięki wytrwałej ofiarności swych wydawców. I co dalej? Bardzo cenne wydawnictwa, jak n. p. *Bibljoteka umiejętności medycznych*, dla specjalistów tylko przeznaczone i dzięki znowu ofiarności ich trwające i — mnóstwo dzienników, które makowe ziarnko nauki mieszają z garncem beletrystycznych konfitur. To praca perjodyczna. A literatura książkowa? W niektórych dziełach swych, szczególniej w tem, który zawiera historję narodową, przedstawia się okazale, lecz gdzie są badania nasze nad różnemi gałęziami historji cywilizacji powszechnej? Gdzie są dzieła, któreby szerzyć mogły wiedzę przyrodniczą i filozoficzną? Gdzie są gruntowne naukowe studja nad własnemi stosunkami i potrzebami naszemi? Biada temu, kto dla pisarskiej albo obywatelskiej działalności swej zapotrzebuje wiadomości ze statystyki krajowej! Biada temu, kto, nie znając języków obcych, zapragnie w polskich przekładach zapoznać się z zagraniczną nauką? Nie twierdzę, aby wszystkiego tego wcale u nas nie było. Ale to, co jest, przedstawia się w dozach homeopatycznych, nie mogących na organizm społeczny wywierać wpływów silnych i trwałych.

.... Teraz, co się tyczy stowarzyszeń, instytucyj i czynów, udowadniających szacunek dla nauki i poznanie wysokiej jej wartości. Mistrz krajowego ogrodnictwa naszego, pan Jankowski Edmund, od lat wielu już z całych sił swych woła o towarzystwa ogrodnicze. Jest to głos wołającego na puszczy. Wyprawa do Afryki pana Rogozińskiego, w celach naukowych przedsięwzięta, nie znalazła w kraju ani rozgłosu, ani sympatji, ani materjalnego poparcia, którego to ostatniego nie mogło jej udzielić towarzystwo pomocy naukowej D-ra Mianowskiego, bo mu także zabrakło sympatji i poparcia kraju. Z trudnościami, które dla urzeczywistnienia się swego spotyka Macierz polska, jeden tylko Kraszewski z niezmierną powagą i popularnością imienia swego uporać się może, a pora się z niemi już długo, bo chociaż oświata ludu jest najważniejszym z celów naszych, to jednak, ponieważ dokonywać się ma na drogach nauki, więc serc naszych nie rozpala i kieszeni nie otwiera. A kędyś... u jednej z krain ziemi naszej, żyje dotąd pewien wielki uczony, którego imieniem zasłaniamy się przed obcymi, gdy nam oni nieuczoność zarzucają, który jest niezaprzeczalną chlubą umysłowości naszej. Jakimże jest los, który mu od nas przypadł w udziale? Kto kiedykolwiek obchodził jubileusz Józefa Supiń-

skiego? [1]) Kto i czem usiłował rozświecić wieczne ciemności jego oczu, które od wpatrywania się w oblicze nauki zagasły? Kto z nas w osobie jego uczcił naukę i wieloletnią, żarliwą nad nią pracę?

Oto wiązanka faktów naprędce zebrana i bez odpowiedniego ładu przedstawiona, ale mierząca dobrze przestrzeń, która dzieli jeszcze ten stopień umysłowości, na którym znajdujemy się, od tego, który nazywać się ma prawo wysokim poziomem umysłowości ogólnej.

.... Co jest właściwie przyczyną powolnego rozwijania się i wynoszenia umysłowości naszej? Dlaczego, parci ku nauce prądami i potrzebami czasu, zbliżamy się wprawdzie ku niej, ale powolnym, ostrożnym i nawet jakby lękliwym krokiem?

Przyczyn zjawiska tego, niezależnych od nas i których usunięcie możność naszą przechodzi, jest niemało. Nie idzie za tem, aby nie istniały takie, które w nas samych źródło swe mają. Otóż, najważniejszą z tych ostatnich jest wedle mnie to, że przed ogółem naszym nauka krzywo postawioną i niewłaściwemi jej farbami pomalowaną została.

Od lat kilkunastu nauka zalecana jest wprawdzie narodowi przez przewodników umysłowości jego, zalecana powszechnie i często energicznie, ale w ogromnej większości wypadków zalecania te mają pozór podawania choremu trucizny w dozach tak spreparowanych, aby wypadku śmierci spowodować nie mogły. W twierdzeniach o nauce ogromnej większości inteligencji naszej, w samych nawoływaniach ku niej, dają się słyszeć wyraźnie albo łatwo domyślać myśli następujące:

«Nauka jest potrzebną dlatego, że takie już przyszły czasy, które obchodzić się bez niej nie dozwalają. Cóż robić? Ciężkie to czasy, ale trzeba się do nich stosować; skoro już więc inaczej nie można, uczcie się...

Tylko ostrożnie! o! ostrożnie z nauką! Jest ona, jako ozor Ezopa, rzeczą i najlepszą i najgorszą. Najlepszą, bo daje nam możność wytrzymania jako tako konkurencji na polach różnych z ludami innemi, najgorszą, bo posiada właściwości pewne, które zatruwają duszę narodu.

Co? Zatrucie duszy narodu! Rzecz istotnie straszna! Więc może lepiej wcale unikać tego źródła trucizny?

---

[1]) Józef Supiński (1804—1893), znakomity ekonomista i socjolog. Wydanie zbiorowe dzieł p. t. *Pisma*, 5 t., we Lwowie 1872. Za najważniejsze dzieło uchodzi *Szkoła polska gospodarstwa społecznego*, 2 t., Lwów 1862—1865.

Ha! gdyby tylko można było! Ale niepodobna. Takie już czasy przyszły, że bez nauki ani kawałka chleba mieć nie będziesz, ani narodowi swemu chwały przed obcymi nie przysporzysz.

Więc dla celów praktycznych i po części patrjotycznych uczcie się, ale pamiętajcie, aby nauka was do filozofowania, jakiego nie doprowadziła...

Fakty, cyfry, daty, imiona własne, techniczne procedery robót różnych, dobrze! Ale syntezy wszelkie, wywody, konkluzje, wnioski, słowem cała robota myśli, wysnuwającej z suchego materjału naukowego wolne, szerokie poglądy na świat i ludzkość — nie!

To wszystko już może zatruć duszę narodu, odebrać jej wiarę, miłość, ofiarność, poetyczność, a wtrącić ją w negację prawd moralnych, we wzgardę dla tradycji, w samolubstwo, nieobyczajność i cały słowem poczet grzechów tak powszednich, jako też i śmiertelnych.

Najważniejsza zaś, że przejęcie się pojęciami, wytwarzanemi przez naukę i kierowanie według pojęć tych społecznych spraw i losów przyprawić nas może o pogrążenie w nicość zbiorowej indywidualności naszej».

Takie obawy i takie przestrogi, wyraźnie lub półgębkiem wymawiane, towarzyszą rozumowaniom o nauce większości inteligencji naszej. Niektórzy posuwają się jeszcze dalej. Był wypadek, w którym głośne morderstwo, popełnione przez prostą chciwość łupów, przypisano wpływowi kilku naukowych książek, przez mordercę przeczytanych; i taki, w którym złoczyńcę, kradnącego srebrną łyżkę w kawiarni, publicznie, w druku, nazwano pozytywistą.

Każdy zaś pilnie śledzący ruchy literatury naszej wie o tem dobrze, jakie insynuacje i oskarżenia najzłośliwszej i najdotkliwszej natury padają na pisarzy jasno i szczerze postępowych. Jasno i szczerze doradzać ogółowi dążenie ku nauce i oświacie, jasno i szczerze wyrażać przed nim filozoficzne i społeczne przekonania, w nauce źródło mające, jest to stawić czoło oskarżeniom o odszczepieństwo polityczne, co najmniej o polityczny indyferentyzm.

Takie łączenie miłości dla nauki i choć trochę swobodnego sposobu myślenia ze zdradzeniem sprawy publicznej i z umyślnem wystawianiem jej na niebezpieczeństwa, stało się u nas orężem zupełnie pospolitym, a ten tylko ciosów czy ukłuć jego uniknąć może, kto zgodzi się być echem i cieniem większości.

Przyznajmy, że w sposób taki ustawiona i umiłowana nauka nie może wywierać na ogół potężnej atrakcji, że owszem obosieczny

ten miecz i to straszydło, rodzące potwory, musi koniecznie budzić uczucie obawy, wahania się, niekiedy wstrętu. I — o szczycie niekonsekwencji! — ci sami, którzy uczucia te rozbudzili, niejednokrotnie potem wybuchają wyrzekaniami na obojętność ogółu dla nauki — wyrzucają mu upadanie albo nędzne istnienie pism naukowych, niechętne branie udziału w przedsięwzięciach i czynach, bądź naukę na celu mających, bądź przez nią budzonych i popieranych.

.... Nie! Dopóki nauka stawioną będzie przed ogółem w takiej postaci obosiecznego miecza, z taką twarzą Janusową, z jednej strony ziemską, a z drugiej piekielną, niepodobna spodziewać się, aby ogół ten przypadł do niej z zapałem, ze czcią, z wiarą w zbawienie jej dla losów publicznych. I zważmy jeszcze, że z natury swej skłonniejszy on jest do marzeń, niż do badań, do artystycznego tworzenia, niż do naukowych mozołów. I zważmy jeszcze, że na drodze umysłowego rozwoju jego stoi przeszkód tysiąc, do których my, z naszej strony, dodajemy tysiączną pierwszą, może najpotężniejszą.

Lecz słyszę odpowiedź:

— «Nie przed nauką przestrzegamy ogół, nie jej samej przypisujemy wpływy, wytwarzające różne gatunki zbrodni i zbrodniarzy, ale — tym ruchom myśli, których ona jest budzicielką, tym ruchom myśli, które jak wzburzone fale biją w stronę powag, i jak topory pionierów trzebią gęstwinę dotychczasowych mniemań, siejąc po drodze ziarna nowych pojęć, wiar i dążności. Te to ruchy myśli w karbach trzymać chcemy, aby nakształt swawolnych dzieciaków nie rozrzuciły nam domu naszego».

Teraz zkolei zawołać trzeba: Ostrożnie! ostrożnie z trzymaniem w karbach myśli ludzkiej! Spowinięta i na miękkiej pościeli złożona, może ona tylko spać albo kaprysić. Sen zaś myśli publicznej, to śmierć narodu, a kaprys jej, to szał niosący mu niebezpieczeństwa straszne.

Jakże podobna marzyć o załatwianiu spraw jakichkolwiek, o rozwiązywaniu jakichkolwiek zagadnień przez społeczeństwo, któremu własna inteligencja tylko w pewnych granicach i do pewnego stopnia uczyć się i myśleć doradza? Któremu wmawiają, że badanie, rozbiór, krytyka, są stopniami, prowadzącemi do zbrodni? W którem każda myśl, swobodniej nieco poruszająca się i przemawiająca, nosi miano zdrady? Którego władze umysłowe, zamiast nabierania w ćwiczeniach giętkości i energji, w zalecanej im bezczynności sztywnieją i drzemią?

Nie! Na takich drogach nie znajdziemy nigdy sposobów rozwiązywania węzłów społecznego życia naszego, ani sił dostatecznych do ich rozwiązywania.

Po takich drogach społeczeństwo postępować musi z pośpiechem podróżnika, który trzy kroki naprzód, a dwa wstecz dokonywał, bo każdy postęp, zdobyty mozolnie przez umysły uswobodnione i czynne, pochłaniany będzie powodzią głupoty i apatji.

Tylko rozbudzona silnie ciekawość umysłowa doprowadzić może do zgruntowania interesów społecznych, tylko z niepodległej myśli powstać mogą zadość im czyniące energiczne czyny.

Kłamią z rozmysłem, albo w dobrej wierze, lecz ciężko mylą się ci, którzy utrzymują, że badawczość, krytyczność, słowem niepodległość myślenia, sprzeczne będąc z narodową tradycją naszą, mogą zbiorowej indywidualności naszej właściwe cechy jej odebrać i, co za tem idzie, o znikanie i zniknięcie ją przyprawić. O! pocóż tak gorąco niby tradycję tę miłując, tak strasznie spotwarzacie ją przed nami? Pocóż, okazując dla niej cześć tak bezwarunkową, wydzieracie z korony jej klejnot najwspanialszy?

Tradycja ta nasza, jak każda inna, posiada dwie strony: jedną, która wstecz cofa pokolenia współczesne, i drugą, która zaklina je, aby postępowały naprzód. Dlaczegóż w pierwszej tylko spostrzegać cechy właściwe zbiorowej jednostce i słyszeć nauki przodków?

Najwspanialszym klejnotem tradycji naszej jest właśnie ta epoka, w której z najswobodniejszych i najenergiczniejszych ruchów publicznej myśli powstawały, wyprzedzające prawie czas swój, zjawiska politycznej i społecznej natury. Była wtedy tolerancja religijna, pozwalająca bezpiecznie i swobodnie żyć na ziemi naszej dysydentom, Żydom i Mahometanom, a czcią publiczną okrywająca pisarzy takich, którzy, jak Rej z Nagłowic, wiarą religijną różnili się z większością narodu, lecz jednoczyli się z nią w ludzkiej i obywatelskiej cnocie. Była wtenczas cześć dla nauki taka, że kanclerz państwa kosztem własnym wznosił w Zamościu przybytek dla niej, że największy z wieszczów krajowych jeździł po nią aż po krańce Europy, że «dworzaninowi» wolno było wobec księcia Kościoła wysławiać wielkość jej i dobrodziejstwa, że sami książęta Kościoła jawnie i szlachetnie wyznawali humanitarne idee, z gruntu jej wyrosłe.

Oto jest strona tradycji naszej, którą bardzo mała liczba przewodników umysłowości społecznej społeczeństwu ukazuje. Cóż? czy nie warto jej właśnie wziąć za przykład dla teraźniejszości

jej właśnie zagłady w pamięci publicznej lękać się, przez nią głosami przodków do ogółu przemawiać?

I kłamią także, albo srodze mylą się ci, którzy budowę naszą za tak kruchą poczytują, że pierwsze lepsze nadużycie krytyczności i niepodległości myślenia o rozpadnięcie się przyprawić ją może. Zapewne, każde dobro przynosi za sobą niepożądane wybujałości i nadużycia. Są krańce myślenia takie, na których krytyka wnet tylko pragnie rozwalać, a niepodległość — burzyć, na których panują mrzonki, utopje, wszechwzględne i rozkładające negacje. Lecz czyliż tak już jesteśmy słabi, że niezbędnej tej, wszędzie w Europie istniejącej wybujałości nie moglibyśmy zwalczyć i przetrwać? Lękliwość ta nieuzasadniona, bo niczemu nie zaradzająca, bo to właśnie, czego lękamy się, wnika do nas przez wszystkie szczeliny na szeroki świat otwarte, a duszność powietrza naszego wzmaga tylko ostrość i szkodliwość tych powiewów, przybywających z zewnątrz. Starając się zmniejszyć wpływy nauki na społeczność i trzymać w karbach rozwój i wzlot jej myśli, tłumimy ognisko, które ogrzać i oświecić nas może, a nie możemy przeszkodzić temu, że parzą nas iskry, lecące z ognisk sąsiednich. Czyliż tak trudno zrozumieć, że dla swawoli myśli tylko swobodna praca myśli hamulcem być może, że tylko nauka udziela oręży, mogących zwalczać utopje, że tylko na wysokim stopniu umysłowego rozwoju wyrabiają się siły twórcze, zdolne stawić tamy prądom burzącym.

Co do mnie, wierzę, że wtedy tylko zagadnienia nasze społeczne wszystkie... szczęśliwie rozwiązane zostaną, gdy nauka da nam możność badawczo, jasno i swobodnie myśleć, a myśl badawcza, jasna i swobodna nauczy nas energicznie i umiejętni działać.

Wierzę mocno, że zbiorowa indywidualność nasza posiada za sobą tradycję taką, a w samej sobie takie jeszcze siły trwania i życia, że myśl oświecona i niepodległa w najszerszych rozmiarach i ze wszystkiemi nawet krańcowościami swemi, unicestwić właściwych cech jej, ani o zagładę przyprawić jej nie może.

Wierzę, iż prędzej lub później — może bardzo prędko, zrozumiemy wielką omyłkę naszą i, zamiast gasić światło, z całych i wszystkich sił naszych rozpalać je będziemy.

Wierzę, że na wyższy poziom wzniósłszy ogólną umysłowość naszą, prędzej, niż dotąd, pozbywać się będziemy starych przesądów i nałogów; że pod działaniem uswobodnionej i wyćwiczonej myśli, prędzej, dzielniej wykonywać się będą wszystkie nasze przed-

sięwzięcia i prace, że większa cywilizacja nasza, skrzepiona i odmłodzona wiedzą i pojęciami czasów nowych, przyciągnie ku sobie i spoi ze sobą te grupy społeczne, które dziś są jej jeszcze wrogie albo obce.

Wierzę, że gdy dziecinne baśnie i fantastyczne widma ustąpią miejsca prawdom i naukom wiedzy, nienawiści umilkną, odrębności znikną, niedołęstwa zamienią się w dzielność, a pogardy i złorzeczenia we wzajemny szacunek dla spraw i godności człowieka.

Wierzę mocno, że tak się stanie. A jeśli ta wiara moja próżnem jest marzeniem, niech umrę wprzód, nim ją postradam.

Gdzie szczęście?

[Ze zbioru p. t. «Ostatnie nowele». Kraków 1921, str. 205—217].

Piękna, dumna, bogata Cecylja Metella, pragnąc odetchnąć świeżością letniego wieczoru, rozkazała ciemnym Numidom spuścić z ramion pozłoconą lektykę i z niej, na bazaltem usłaną apijską drogę, zstąpiła. Wnet otoczył ją świetny rój przyjaciół i wielbicieli, nic bowiem zaszczytniejszem, ani pożądańszem nie było w ówczesnym Rzymie nad gościnność, przyjaźń, miłość spadkobierczyni imienia i bogactw wielkiego rodu Metellów. Niewiele też tam ujrzeć można było zjawisk tak wspaniałych, jak opłynięta haftowaną stollą kibić tej kobiety, a tak ponętnych, jak jej oczy, które blaskiem i pięknością przewyższały drogie kamienie, rozsiane w misternym diademie jej złotych włosów. Zaledwie też wychylającą się z purpurowych osłon lektyki otoczyły ją pełne radości i czci powitania.

— Bogini lekką stopą ziemi dotknęła! Szczęśliwa ziemio! — Z zapałem i niskim pokłonem wołał podstarzały, lecz wystrojony i z konsularnego rodu pochodzenie swe wywodzący Rutyljus Tersus.

Mniej wysoko urodzony, lecz bogatszy i młodszy Pomponjusz ręce na piersi złożył i z miodem w oczach mówił:

— Ilekroć widzę cię, Domina, myśl moja wikła się w zagadnieniu, u której z bogiń najsłuszniej zazdrość obudzać możesz: Dianę bowiem wyniosłością postaci przerosłaś, Wenerę przyćmiłaś wdziękiem, a Minerwa...

Tu zręczny dworak i ulubieniec panującego Augusta, Popeusz, patetycznemu Pomponjuszowi mowę przerwał.

— Ziemskie nowiny, o dostojna, milszemi ci może będą nad niebieskie. Wczoraj przy wieczerzy, u stołu pana Rzymu i świata

wiele o twoim nieporównanym dowcipie mówiono, a sam Cezar, — niech wiecznie żyje! — tyle wychylił czar wina, ile twe imię liter zawiera...

...Niby garść diamentów Metella rozsypała na czcicieli swoich mnóstwo przelotnych, zalotnych uśmiechów i spojrzeń, ale wzrok jej na żadnym z nich nie zatrzymał się z upodobaniem lub przyjaźnią i nie zajaśniało w nim uczucie szczęścia. Owszem, około koralowych ust jej błądziło szyderstwo, gdy, piękną rękę ku zachodniej stronie nieba wyciągając, zawołała:

— Czy ani jednego słowa podziwu i zachwycenia nie macie, Domini, dla tego cudu natury, który ukazuje się wam w tem świetnie zachodzącem słońcu?

— Gdy na twoje oblicze spoglądam, najjaśniejsza, dla wszystkich świetności nieba i ziemi ślepym się staję, zadeklamował Pomponjusz...

— ...Daleko więcej niż wysławianiem zalet moich... ucieszylibyście mnie, Domini, gdybyście rozwiązać chcieli zagadkę, która w tej chwili myśl moją udręcza.

Gdy zaś jednogłośnie i żarliwie ją błagali, aby im co najprędzej tej sposobności przypodobania się jej udzieliła, rzuciła krótkie pytanie: — Gdzie szczęście?

Natychmiast z ust ich sypnęły się odpowiedzi.

— W możności oglądania cię, najpiękniejsza!

— W tak wesołem i wszelkich trosk próżnem życiu, jak twoje, ulubienico bogów i ludzi!

— W krwi tak dostojnej, jak ta, która napełnia szlachetne twoje żyły!

— W takiej, jak twoja, sławie, najpowabniejsza z niewiast rzymskich!

— W takiem bogactwie, jak twoje, spadkobierczyni numidyjskiego Metella!

— W miłości twojej, o boska!

Odpowiedzi tych wysłuchawszy, po raz pierwszy stanęła i, twarzą ku nim obrócona, z uśmiechami, które jak wyostrzone sztylety po całej jej twarzy drgały i migotały, zawołała:

— Jutro... albo nie, na wszystkich bogów! dziś jeszcze przywołam jednego z najuczeńszych prawników rzymskich i u dołu testamentu mego napisać każę rozkaz, aby, gdy umrę, tu na tem miejscu, zbudowano dla mnie grobowiec, którego kształtu nie oznaczę, — niech sobie nad nim architekci głowy łamią! lecz żądać

będę, aby u szczytu otaczały go wyobrażenia głów oślich, albo wołowych...

Słowy temi głęboko zasmuciwszy swoich czcicieli, lecz nie zdoławszy ich obrazić, — bo któż mógłby się gniewać na taką jak ona ziemską boginię, — Metella ku jednemu z rozsianych po równinie świętych gajów rękę wyciągnęła i znacznie weselej zapytała:

— Co tam pod temi staremi dębami tak wesołego i uroczystego się dzieje? Słyszę gwar wołań i pieśni, widzę wystrojony tłum niewiast i dzieci.

Jeden z czcicieli jej lekceważąco pochwycił:

— Jest to zapewne motłoch, który obchodzi święto jednego z gminnych bóstw swoich.

— Pójdę tam! — zawołała Metella. — Może pośród motłochu znajdę nad czem zapłakać lub z czego się uśmiać, bo oddawna już tylko jawnie lub skrycie — poziewam!

Kaprys jej był dla nich rozkazem! więc ze starannie utajoną niechęcią opuścili szeroką, a o tej porze przez świetne towarzystwo napełnioną drogę i szli za nią ścieżkami, które wśród pola wiodły ku wskazanemu przez nią miejscu. U końca orszaku, wysoko nad kwitnącemi kaktusami i płotkami ze strzyżonych bukszpanów i mirtów, sunęła pozłacana lektyka, przez kilku ciemnych Numidów niesiona.

Wśród licznych, czci bóstw różnego rzędu poświęconych gajów, które olbrzymi Rzym otaczały, ten do najmniejszych i do najmniej ozdobnych należał. Nie było w nim tak, jak w innych, rozległych i tajemniczych głębi, drogocennych portyków i świątyń, ani tłumu posągów mistrzowskiemi dłońmi rzeźbionych, ani łanu najrzadszych i wonią upajających roślin. Nic, tylko kilka dębów odwiecznych, tak może jak Rzym starych, a połączonemi konarami swemi tworzących głębokie sklepienie, pod którem na piedestale, grubo z prostego kamienia wyciosanym, wznosił się jeden tylko, może jak te dęby stary, grubo przez twarde snać ręce wykuty posąg niewiasty. Żadnych kunsztów i ozdób, tylko źródełko, które z miękkiej murawy tryskające srebrnym promykiem wiło się u potężnych pni dębów; żadnych bogactw, tylko nieustannie zmieniające się i ruchome... gromady ludzi świątecznie, ale prostacko ubranych z rozmodlonemi i zachwyceniem zdjętemi, lecz prostaczemi twarzami... Proste także, tanie, ubogie przynosili tu oni ofiary: wieńce z leśnych i polnych kwiatów, kosze napełnione wonnym rozmarynem, placki owsiane, dzbany z mlekiem i płynnym miodem. Z wieńców wznosząc dokoła posągu barwne, trawami roz-

czochrane, dziką wonią buchające wzgórza, a pod stopy mu sypiąc gałązki rozmarynu i z czar glinianych białe lub złote płyny rozlewając, starcy, mężowie, młodzieńcy, niewiasty ogromnym chórem... wołali:

— Anno Perenno! Anno Perenno! Miłośnico biednego ludu, matko karmicielko, bądź błogosławiona! Miłośnico biednego ludu, matko karmicielko, bądź błogosławiona!...

I ciągle, jak strofa nieustannego hymnu, jak hasło namiętnej chwalby, to imię niewieście i gminne rozbrzmiewało pośród odwiecznych dębów i mnóstwem ech rozbiegało po polach. Nigdy żadne bóstwo nie było głośniej, rzewniej, triumfalniej czczone nad tę śmiertelniczkę, której pamięć dziś te prostacze tłumy obchodziły. Tuż, tuż prawie u stóp wyniosłych, wyrzeźbionych, w marmur i złoto ustrojonych pałaców, w których słynęła i królowała Cecylja Metella, obchodziły one z miłością, wdzięcznością i czcią pamięć i chwałę Anny Perenny.

Starca, na uboczu nieco, u stóp dębu stojącego, z zadumy wyrwało pytanie, wymówione głosem wyniosłym i do rozkazywania nawykłym:

— Kimże była ta jakaś, której nieznane nikomu imię tak wychwalacie? Z jakiego rodu pochodziła? Co zasługującego na nieśmiertelną chwałę uczynić mogła?

Starzec podniósł powieki i ujrzał przed sobą niewiastę, bardziej do rozgniewanej bogini, aniżeli do śmiertelniczki podobną... Ale on trwogi ani zdziwienia nie uczuł. Zatrudnieniem jego było wyładowywanie statków Tybrem od morza przybywających i roznoszenie towarów do bogatych sklepów stolicy, znał więc dobrze jej mieszkańców, a teraz, z uprzejmem skinieniem głowy odpowiedział:

— Bądź pozdrowiona, najjaśniejsza; poznaję cię, jesteś córką numidyjskiego Metella, najbogatszą panią w Rzymie. Jacyż bogowie przywiedli cię w to miejsce tylko przez biedny lud nawiedzane? Nie wiesz, kim była Anna Perenna i czem sobie zdobyła nieśmiertelną chwałę? Nie dziw! Na nieścignionych okiem wyżynach zasiadły córy konsularnych rodów rzymskich i żaden bóg nie wykrzesał jeszcze takiego promienia, po którymby ich dusze spuszczały się ku nam... Historja długa jest i nim ją opowiem, może wspaniała jaka biesiada bez ciebie, clarissima, smutnie wlec się będzie, jak dzień bez słońca.

— To nic, opowiedz ją! Zuchwały jesteś i innym razem skarciłabym cię srogo! Teraz jednak, mów — rozkazuję!

Z cienia dębowych splotów, w którym widać było krzepką

postać i mleczne włosy starca, zaszemrał cichy śmiech, któremu towarzyszyły słowa:

— O, najjaśniejsza, jakżeś ty do Anny Perenny niepodobna, jak niepodobna! Zabawi cię jej historja najpewniej, bo ciekawą jest zawsze rzeczą dowiadywać się o czemś tak do nas niepodobnem, jak ty, najjaśniejsza, do Anny Perenny niepodobną jesteś... Jakby ją i ciebie, najjaśniejsza, wcale inni bogowie stwarzali... Jakby jej dusza i twoja, niby dwa dzbany różnej wartości i formy, wcale innem winem życia napełnione były... Ale już dobrze! dobrze! Mówić będę, skoro mi rozkazujesz... i dlaczegóżbym nie miał, na Kastora i Polluxa! córze konsularnego rodu tej drobnej oddać przysługi?

Szerokie plecy nieco przygarbił, obie ręce, które od pracy przybrały pozór ciemnych i powęzłonych gałęzi, na grubym kiju oparł i mówić zaczął:

— Dawno to było, daleko dawniej, niż początkiem swoim sięga ród Metellów. Na ubogi lud rzymski zemsta Jowisza wypuściła hienę głodu. Za co Jowisz mścił się na ubogim ludzie? Czy za jego pokorę i poniżenie? Czy za te gorące strugi potu, któremi on rolę niewdzięczną oblewał? Za twardość rąk spracowanych, czy za serce wiecznych łez pełne? Nikt odgadnąć nie mógł, lecz wszyscy czuli, że cierpią i giną. Darmo, o konsularna córo, malowałbym przed tobą męczarnie głodu; nie zrozumiałabyś nawet najsłabszego ich początku, ty, która czujesz się pokrzywdzoną, kiedy ci kucharz poda za mało tłuste pawiątko, albo barwenę, nie dość obficie aleksandryjskim sosem oblaną. Oni łaknęli żytnich i owsianych placków, tak, jak ty łaknąć możesz chyba nektaru bogów, bo wszystkie ziemskie nektary pijesz tak długo i ciągle, że z mdłością na podniebieniu zapytujesz dna swojej czary: gdzie szczęście!...

...Dawno to było, daleko dawniej, niżeli początkiem swoim sięga ród Metellów, ale istniały już i podówczas podobne temu z potęgi i bogactw rody. Te nie cierpiały głodu, bo dla nich codziennie z Sycylji, z Afryki, z wysp greckich i wybrzeży Azji przybywały okręty przysmakami-naładowane i nigdy pomiędzy niemi nie panowała tak, jak właśnie wtedy, szczera i huczna wesołość. Stara kronika przekazała nam wiadomość o Saturnaljach, które odbyły się w owej porze z niesłychaną przedtem wspaniałością biesiad i strojów. Na Janikulu, Suburze, nadtybrzańskich przedmieściach ludzie, jak sine mary, chwiali się, mdleli, ginęli... Uczta, którą Kwinkcjusz Walerjus uświetnił zaślubiny swoje, kosztowała 50,000 sestercyj, a podawano na niej sto dań najrozmaitszych

i tyleż gatunków wina. Na Janikulu, Suburze, nadtybrzańskich przedmieściach ludzie, jak sine mary, chwiali się, mdleli, ginęli. Klaudja Flawja, Pomponja Atia i inne sprowadzały sobie z Miletu suknie, perły z Koryntu. Na Janikulu, Suburze, nadtybrzańskich przedmieściach ludzie, jak sine mary, chwiali się, mdleli, ginęli. W palatyńskim teatrze grał najsłynniejszy cytrzysta, a upojeni grą jego słuchacze cytrę mu opasali djamentowym sznurem i w gardło tyle najdroższego z greckich win wlali, aż biedak upił się i długo potem grać nie mógł. U góry Saturnalje huczały, tańczyły, piły; u dołu, w jednej z chat nadtybrzańskich, Anna Perenna rankiem ze snu wieszczego powstała i rzekła: «Skorom takiego snu była godna, więc w rzeczywistość go zmienię». Śniło się jej, że od hieny głodu obroniła lud...

— Kim ona była, starcze; mów prędzej, kim była?

— Niczem wielkiem, clarissima, niczem wielkiem... ot, niech mi wspaniałe uszy twe przebaczą, piekarką ona była, przez całe życie owsiany i żytni chleb piekła, dlatego miała zapasy mąki... Więc drew uzbierała, płomień roznieciła, wody przyniosła i chleb mieść i piec zaczęła, a co upiekła, to wnet chyża jak sarna pomiędzy głodnych rozniosła. Spieszyła, spieszyła. Pot oblewał jej czoło i ból dolegliwy zmęczone członki przejmował, lecz ona nie spoczywała, snem zajęczym usypiając wtedy, gdy w czarnym płaszczu nocy ponikły sine mary, ze świtem dnia wstawała i znów drzewka nosiła, ogień niecіła, miesiła, piekła... Aż dnia pewnego w dłonie z rozpaczą klasnęła... pod cienką warstwą mąki ujrzała twarde dno swoich beczek. Czy ona nadal tem twardem drzewem głodnych karmić będzie? Czy wieszczy sen jej przerwie się w połowie — niedokończony? Nie; płomieniem z chaty swojej wybiegła i widziano ją, jak boskim wichrem unoszona, wdzierała się na palatyn, z portyku do portyku, z pałacu do pałacu, lecąc wszędzie, gdziekolwiek togi purpurą lub stalle złotem świecące spostrzegła, swoje zaczerniałe ręce i swój piekarski fartuch nastawiając. Tam jedni na jej widok ze śmiechem za boki się brali, inni na sługi swoje krzyczeli «wygnać tę wściekłą oślicę!» — niektórzy, zdala już ją ujrzawszy, krzywili się, jak po hauście octu, lecz byli też tacy, którzy pozwalali, aby ze śmietnisk szczątki ich uczt zbierała, a Kwinkejusz Walerjusz, mowy jej wysłuchawszy, w głębokiem zamyśleniu, tyle garści mąki dać jej rozkazał, ile dań było na jego weselnej uczcie i Klaudja Flawja ze swego sznura korynckich pereł jedną w jej fartuch rzuciła. Nie wiem, co tam więcej czyniła Anna Perenna na tych wspaniałych wzgórzach, co się z nią działo i jakie

cuda czy czary sprawiała, stara kronika prawi tylko, że plecy miała od razów służalców sine i na wsze strony poranioną duszę, lecz ręce i fartuch pełne. Snem zajęczym usnąwszy, ze świtem wstawała znowu, drzewka nosiła, płomień nieciła, miesiła, piekła, a co upiekła, to chyżo, jak sarna, pomiędzy głodnych roznosiła, aż różowe strumienie z rąk jej spłynęły w pobladłe żyły mężów i niewiast i drobne dziatki, jak w skwarze zwiędłe kwiaty, odkwitły. Tak trwało długo. Nakoniec z wysokich niebios spłynęła jasna, dobra, urodzajna wiosna i Jowisz na jej cuglach ściągnął ze świata hienę głodu. Nie Jowiszowi jednak pierwszemu lud składał dziękczynne ofiary, lecz wielkim tłumem chatę piekarni otoczył. «Anno Perenno! — wołano do niej zewsząd — miłośnico biednego ludu, matko karmicielko, bądź błogosławiona! Anno Perenno, z sercem niewieściem, z rozumem męża, z czynnemi dłońmi i chyżą stopą, ze skromnemi usty, a ognistą mową, Anno Perenno, przez którą dobrodziejstw życia używamy, bądź błogosławiona!» Ale ona przed lud, który ją tak wysławiał, wyszła znużona i cicha: «Sługą waszą jestem, — rzekła — i czyniłam to, co wieszczy sen mój czynić mi rozkazał. Teraz chętnie z tej ziemi ustąpię, bo u wierzchołku jej szczęścia już byłam i nic lepszego nad to, com zaznała, posiąść nie mogę». Pomiędzy te dęby poszła i, w cieniu ich spocząwszy, w boskiem zachwyceniu rozstała się z życiem. Wdzięczny zaś lud na tem miejscu posąg jej wzniósłszy, od niepamiętnych czasów i niezliczonych pokoleń jeden dzień w roku pamięci jej poświęca.

W głębokim cieniu dębów głos prawie niewidzialnego już opowiadacza umilkł. Zmrok wieczoru pogasił blaski okrywających Cecylję Metellę drogich kamieni i haftów, lecz cóż sprawiło, że czoło jej pochyliło się nisko, ręce bezwładnie opadły i cała królewska postać — zmalała?...

...Potem szybko podniosła głowę i, wyprostowana, drżąca, do burzy podobna, zawołała:

— Numidzi moi!

Wtedy też wierni czciciele otoczyli ją znowu strojnem i gwarnem, kornem i żartobliwem kołem. Lecz ona z brwią zmarszczoną i z pobladłem czołem pomiędzy nimi przeszła i wśród purpurowych osłon lektyki z przed oczu ich zniknęła.

Na ciemnych ramionach Numidów niesiona, nad łanami kwitnących kaktusów i niskiemi płotkami bukszpanu, mrocznem powietrzem sunęła lektyka. Wierni czciciele zbliska otaczać jej nie przestali... Najśmielszy i najrychlej zniecierpliwiony Popeusz, giętt-

kim ruchem dworaka firanki nieco uchyliwszy, wzrok ciekawy do wnętrza lektyki zapuścił, a gdy go znowu ku towarzyszom zwrócił, na twarzy jego malowało się zdziwienie bez granic. Co on ujrzał! bogowie, co on ujrzał! Toż to ciekawa wiadomość, którą dziś jeszcze po wszystkich pałacach rozniesie! Z djamentami, jak marny piasek rozsypanemi u stóp, ze starganemi włosy i twarzą w dłoniach, piękna, bogata, dumna, uwielbiana Cecylja Metella — płakała.

ALEKSANDER GŁOWACKI (1847—1912).[1]) (BOLESŁAW PRUS).

Z dzieła p. t. *Najogólniejsze ideały życiowe.* (Warszawa 1905, str. 140 i ust.).

...Narodowość czysto polska, po wyłączeniu z niej obcych pierwiastków, składa się jakby z dwu słojów: ludu i inteligencji.

Charakter naszego ludu jest normalny, lecz nierozwinięty. Chłop posiada dosyć proporcji między Myślą, Uczuciem i Wolą, lecz władze te znajdują się dopiero na szczeblach najniższych. Ma on bystre zmysły, sprawne organy biologiczne, zdrowe kości i muskuły. Umie robić proste spostrzeżenia, nie jest nadwrażliwym, nie ma pamięci przeładowanej frazesami...

Słowem — jest to zagłodzony, lecz zdrowy, uczciwy i zdolny barbarzyńca, który jeszcze nie dorósł do idei najwyższych, ani nawet — do twórczości duchowej. Wymownym dowodem braku twórczości jest — zasklepienie się w pracach wyłącznie wiejskich, brak ducha inicjatywy, brak nawet sztuki stosowanej do ozdabiania sprzętów i naczyń, którą już posiadają zupełnie dzikie plemiona.

Wszystko to jednak lud nasz może zdobyć, przy dobrobycie i przy reformatorskiej pracy przedewszystkiem — w łonie klas inteligentnych. Nasze bowiem klasy oświecone stanowczo muszą

---

[1]) Nauki w Szkole Głównej w Warszawie na wydziale matematyczno-fizycznym. W okresie pozytywizmu pisał artykuły publicystyczne i naukowe, feljetony (w *Nowinach*), kroniki miesięczne (w *Ateneum*): Od r. 1874 ogłasza pierwsze nowele, z tych głośniejsze: *Anielka, Katarynka, Michałko, Powracająca fala* (1880), *Kamizelka* (1883), *Omyłka, Placówka* (1885). Następują powieści: *Lalka* (1890), *Emancypanki* (1893), *Faraon* (1897), *Dzieci* (1909). *Rozprawy społeczne*, osobno wydane: *Szkic programu w warunkach obecnego rozwoju społeczeństwa* (1883), *Najogólniejsze ideały życiowe* (1901), *O ideale doskonałości* (1906).

zreformować swój własny charakter, co jest sprawą zupełnie możliwą, a bez czego będzie z nami coraz gorzej.

Bo jakiż jest dzisiejszy charakter naszej inteligencji?

Oto panującą władzą duszy jest — Uczucie, a panującym Ideałem — Szczęście. Stąd zaś najwyższą Ideą dla nas jest Użycie!...

Nasze niedole wypływają wprost z wadliwego charakteru. Naszą narodową trójcę stanowią: Uczucie, Szczęście i Użycie, a tymczasem świat wymaga innej trójcy: Woli, Użyteczności i — Pracy!

Nieograniczone panowanie u nas Uczucia sprawia to, że posiadamy dosyć silne choć nierozwinięte popędy religijne i jakie takie Instynkta społeczne. Panowanie zaś Ideału Szczęścia — robi nas bardzo pochopnymi do różnych sportów i daje nam niejakie zdolności do sztuk pięknych.

Z rozpanoszenia się Uczuć i nieokiełznanego popędu do Szczęścia wynikają w dalszym ciągu: Nadwrażliwość, idealne poglądy na świat, nieustanne wahanie się między wybuchami radości i rozpaczy, pociąg do bezgranicznej swobody, jaka nigdy nie istniała w życiu i — stanowczo za wielki rozwój indywidualizmu.

Ten nieszczęsny, niepohamowany indywidualizm, urodzony z przywilejów ongi szlacheckich, do dziś dnia robi nas, Polaków, niezdolnymi do porządnej pracy zbiorowej. Wiecznie powtarza się śpiewka: «Dwa Dragony, a cztery Kapitany»...

Dzięki wiekowemu zaniedbaniu Myśli, nie posiadamy np. pociągu do Filozofji; owszem — naszemi bogami są ludzie, którzy z niej żartowali. Instynkta zaś naukowe dopiero w ostatnim pokoleniu rozbudziły się, po to, ażeby w końcu XIX-go wieku ulec nowemu zachwianiu!...

Nareszcie brak Woli robi nas bardzo podrzędnymi pracownikami w rodzinie ludów europejskich.

Jest to okropny stan, lecz — jeszcze nie rozpaczliwy. Naród nasz bowiem zwolna leczy się i rozwija. Czego dowodem jest ważny fakt, że — już mamy świadomość naszej choroby i mówimy o niej spokojnie.

Oto jak wygląda gmach polskiej duszy: wszystkie cegły zużyto na zbudowanie Uczucia, lecz i w niej brakuje najwyższego piętra, t. j. wielkich Namiętności. Zato najniższe piętra są zbyt dobrze rozwinięte: gust do jedzenia, picia, palenia tytoniu i t. d. Nad niemi górują tylko popędy płciowe, które, przynajmniej w literaturze, wzniosły się do wysokości uczuć filozoficznych i religijnych.

Za czasów «Pana Tadeusza» Polak umiał bawić się, jeść, pić

i urządzać zajazdy, a przytem kochał się czerstwo, po gospodarsku. Dzisiejszy Polak wszystkie swoje ideały, przynajmniej we współczesnych romansach, umieszcza pod parasolką.

Gdyby tak dalej poszło, bohaterami następnego pokolenia mogliby być tylko ludzie chorzy na rozmiękczenie mózgu lub inne erotyczne niemoce.

Po roku 1863-cim zaczęło się w naszym narodzie budzenie Myśli zapomocą «Filozofji pozytywnej» młodej prasy i t. d. Zdawałoby się, że pokolenie, następujące po naszem, zacznie budzić w narodzie trzecią, najważniejszą władzę duszy — Wolę.

I właśnie kiedy zgóry cieszyliśmy się tym szczęśliwym zwrotem, wystąpiła reakcja na stronę — Uczuć!...

Nowy ten obłęd społeczny przypomina dolę mrówki, która, wspiąwszy się po śliskiej powierzchni nieco w górę, zmęczona stacza się znowu na dół.

Wymienię kilka przykładów, ażeby wskazać, jak dalece wśród nas jest zaniedbaną władza Woli.

U nas dziecko nieco zamożniejszej rodziny wzrasta w tem pojęciu, że: praca fizyczna jest nieszczęściem, jeżeli nie hańbą. Synowi, który nie lubi uczyć się rozmaitych gramatyk, ojciec grozi, że: «będzie musiał ciężko na chleb pracować»... Gdy zaś chłopak jest wielkim próżniakiem, wówczas stroskany ojciec woła: «Galganie! będziesz buty czyścił!»

Poczciwiec, nie słyszał, że np. w angielskich internatach nawet młode książątko z obowiązku czyści buty nietylko sobie, ale i starszemu koledze, o ile ten ma nad nim władzę «bursza» nad «fuksem».

U nas tylko bardzo ubogie rodziny nie wyręczą się w codziennych zajęciach sługami. W Niemczech i Francji rodziny wcale zamożne obchodzą się bez stałej sługi. W pewnem miasteczku szwajcarskiem wynajmowałem za 20 franków na miesiąc pokoik, którego właścicielka sama zamiatała i słała łóżko u mnie. Była to zaś pani krociowa! I bynajmniej nie robiła tego przez skąpstwo, lecz ze zwyczaju, przez nałóg pracy...

Osłabienie Woli wśród klas inteligentnych miewa formy niekiedy komiczne. Ileż to razy właściciel 100-włókowego majątku wzywa do siebie «Moszka», który nie ma całych butów i, z ufnością w powodzenie operacji, poleca mu — wydobyć kilkaset rubli. No i «Moszek» nietylko nie waha się załatwić interesu, ale nawet znajduje kredyt tam, gdzie pan już go wyczerpał!...

Bardzo często przyczyną powodzeń «Moszka» jest to, że «Mo-

szek» natychmiast siada do biedki i bez względu na mrozy czy słotę jedzie szukać pieniędzy. Podczas gdy panu, nawet w najpiękniejszy dzień, nie chce się podźwignąć z kanapy...

Brak Woli, bodaj czy nie wynikający z braku sił, z niedostatecznego odżywiania się, przybiera niekiedy formy straszliwe, a mianowicie:

Podczas gdy Niemcy i Żydzi pracują około 300 dni w ciągu roku, nasi chłopi w najlepszym razie pracują przez 250 dni.

Gdyby każdy z nich zarabiał tylko 20 kop. dziennie, wówczas na owych 50 dniach próżniactwa straciłby rocznie około 10 rubli, a każdy miljon chłopów straciłby około 10 miljonów rubli na rok.

Proszę teraz pomyśleć: ile setek miljonów dni roboczych marnuje każde pokolenie, w porównaniu choćby np. z Prusakami, a chyba zrozumiemy, dlaczego Prusacy są ucywilizowani i silni, albo dlaczego Żydzi opanowali u nas przemysł i handel. Oto dlatego, że podczas gdy tamci pracują i zyskują, my — albo siedzimy «na kanapie», albo co gorsze — trwonimy siły ludzkie i zasoby społeczne w najnieproduktywniejszy sposób.

Należy pomyśleć o wyrobieniu sobie nowego charakteru i zmianie dotychczasowych trybów życia.

Ale czy zmiana taka jest możliwą? Stanowczo jest.

Pewien psycholog twierdzi, że każdy człowiek posiada jakby trzy warstwy charakteru: 1) Uzdolnienia wrodzone (np. piękny głos, genjusz matematyczny, silna wyobraźnia...), 2) uzdolnienia nabyte (nauka języków, rzemiosła, nałogi, jak np. picie wódki, palenie tytoniu, późne wstawanie, grywanie w karty, próżnowanie i t. d.), 3) uzdolnienia, które c h c e posiadać, a których liczba jest nieskończona.

Jeżeli bowiem np. głuchoniemi mogą rozmawiać, a ślepi — grać na fortepianie, nawet rzeźbić, to naprawdę niepodobna wskazać granicy tym uzdolnieniom, jakie człowiek może w sobie wyrobić, prawie stworzyć!...

Napozór najtrudniejszem zadaniem byłoby przerobić tak zwane «lenistwo naszego ludu», a właściwie — jego jakby niezdolność do długiej i ciężkiej pracy. Otóż nawet ta społeczna choroba — mojem zdaniem — należy do uleczalnych. Lekarstwem zaś byłaby: 1) nauka wiejskich rzemiosł, 2) poprawienie żywności ludu.

Z tego powodu ludzie, którzy zaszczepiają rękodzielnictwo między włościanami, albo którzy uczyliby ich jadać grochy, fasole i mięso zamiast kartofli, ci ludzie byliby prawdziwymi patrjotami.

Nie zaś ci, którzy zajmują się wygrywaniem sielanek na uczuciowej dudce.

«Uczucia» posiadają nawet idjoci, nawet psy i koty; lecz dopiero człowiek w podniosłem znaczeniu tego wyrazu posiada «Rozum» i «Wolę», których boimy się jak śmiertelnego grzechu.

A oto przykład, wskazujący wartość reformy pożywienia.

Pierwsze koleje we Francji budowali robotnicy angielscy. Gdy zaś przedsiębiorca wziął Francuzów, ci po kilku dniach pracy omdleli i nie mogli robić dłużej.

Zwyrodniała rasa, czy co? — pytali przerażeni kierownicy robót.

Wówczas jeden z nich spostrzegł, że wytrwali Anglicy żywią się mięsem a wątli Francuzi jadają tylko pokarmy roślinne.

Kazał tedy żywić mięsem i Francuzów, którzy po kilku tygodniach zrównali się w robocie z Anglikami.

Małe wyjaśnienie. Kiedy mówię, że w nas, Polakach, zanadto jest rozwinięte Uczucie, to bynajmniej nie znaczy, że — wszyscy jesteśmy nad miarę uczuciowymi, a żaden Polak nie potrafi myśleć ani działać... Owszem, wiemy doskonale, że u nas, jak i wszędzie, nie brak ani osobników bez serca, ani — z drugiej strony — myślicieli i działaczów, bez których najmniejsza praca w społeczeństwie byłaby niemożliwą.

Zarzut «nadmiernej uczuciowości» znaczy tylko to, że: 1-mo, ludzi energicznych i umiejących samodzielnie myśleć znajduje się u nas, jakby procentowo, mniej, aniżeli np. między Anglikami albo Niemcami i 2-do, co jest najważniejszem, że — wśród naszej opinji publicznej — prąd uczuciowości jest modnym, podczas gdy prądy umysłowe i akty woli uważane są za coś gorszego.

Pożądana więc reforma nie będzie dla nas katastrofą, która polski charakter, niby rękawiczkę, przewróciłaby na drugą stronę... Będzie to raczej — rzucenie światła na okolicę duszy, dotychczas ukryte w cieniu, zaniedbane.

Nasza uczuciowość nie dlatego razi i przynosi szkodę, że istnieje, ale dla tego, że — istnieje samotna. Gdybyśmy, obok Uczuć, posiadali równie dobrze rozwiniętą Myśl i Wolę, należelibyśmy do ras najdoskonalszych w świecie.

Nie burzmy więc gmachu Uczuć, czego zrobić niepodobna, lecz — dobudujmy inne gmachy: Myśli i Woli.

Jakże wyrobić sobie Wolę?... Prawie tak samo, jak wyrabia się umiejętność gry na fortepianie, jazdy rowerem, fechtunku i t. d., a więc zapomocą — ciągłej wprawy i umiejętnie uporządkowanych ćwiczeń...

Fundamentem (gmachu Woli) są organy ruchu, a przedewszystkiem — ręce i nogi. Kto więc chce kształcić swoją Wolę, musi zacząć od organów ruchu, dbać o ich zdrowie i siłę i wyrabiać ją zapomocą ćwiczeń gimnastycznych. Gimnastyka jednocześnie doskonali Odruchy, jak: chodzenie, bieganie, skakanie, wdrapywanie się, chwytanie, rzucanie i t. p. ruchy elementarne, z których składa się każda praca.

Wielką pomocą w doskonaleniu ruchów i w ogólności Woli jest naśladowanie ludzi, którzy wybornie umieją jaką czynność.

Tym sposobem, dzięki wprawie i naśladowaniu, rozumie się dobrych wzorów, możemy zdobyć mnóstwo Nałogów i Zwyczajów, któremi nasza Wola będzie posługiwała się, jak biegły fortepianista klawiszami.

Jeszcze wyższe piętro Woli stanowią: Sposoby. Polegają one na kombinowaniu ruchów najprostszych dla osiągnięcia jakiegoś celu...

Najwyższem piętrem Woli są Cele, czyli — ideały, które chcemy urzeczywistnić i wywołać bądź w nas samych, bądź w naszem otoczeniu.

Wszystkie owe ćwiczenia, wprawy, naśladownictwa, nałogi przedsiębiorą się dlatego, ażeby zrobić człowieka zdolnym do Czynu.

Czyn zaś, jest to praca wszystkich władz duszy ludzkiej, skojarzonej z przedmiotami zewnętrznemi, dla osiągnięcia pewnego pożądanego skutku.

Czyn jest to najpiękniejszy owoc duszy, w którym kojarzą się: Wola, Myśl i Uczucie. I gdy mnie zapytano: Jaki jest najlepszy sposób, ażeby charakter człowieka rozwijał się harmonijnie? odpowiedziałbym: «Ciągle, nieustannie spełniajcie użyteczne Czyny! Rozniecajcie w sobie szlachetne Pobudki, stawiajcie Cele — z początku małe, później coraz większe, obmyślajcie Plany, wprawiajcie się do Sposobów, oceniajcie Rezultaty... Na tej drodze wyrobicie w sobie mnóstwo drobnych nałogów i nieznacznie — rozwinięcie Woli.

Wstawać rano o kwadrans wcześniej, zjeść o jedną łyżkę mniej, powstrzymać się od drobnego wydatku, pójść na spacer o godzinie, którą wyznaczyliśmy sobie przed tygodniem, złożyć wizyty, kiedy się nie ma ochoty, oto drobne zwycięstwa, po których możemy przystąpić do wyplenienia z siebie złych nałogów, a z czasem — ważyć się na Czyny bohaterskie.

Czy to są trudne zadania?... A przecież mogą zmienić charakter.

ADOLF DYGASIŃSKI. [1])

(Z noweli p. t. *Kwiatek*, str. 18 i nast.).

...W zasobnej chacie Suchara było młodemu psu djabelnie nudno. Stara kotka nieustannie drzemała na nalepie lub przed chałupą i Kwiatek nadaremnie usiłował dojść z nią do jakiejś zażyłości. Zbliżał się, podchodził, dotykał jej łapą, czasem delikatnie pomacał zębami, leniwa kocica rozdziawiała gębę, mruczała, pomiaukiwała i, aby się uwolnić od psich zaczepek, uchodziła na strzechę, albo wskakiwała na piec. Pies wyprawiał wtedy przeróżne sztuki, usiłując sprowadzić do siebie kotkę: przywarował naprzykład i posyłał ku niej wymowne figlarne spojrzenia, to znowu szczekał takim głosem, w którym wcale nie było złości. Nic nie pomagało; kotka, siedząc na wysokościach, mrużyła oczyma, zachowywała się arcyobojętnie.

Zaczepiał też Kwiatek prosięta, kury, ale i one nie miały chęci do zabawy. Chciał się zabawić z rzeczami nieżywemi i gdy raz znalazł na ziemi czapkę gospodarza, wziął ją w zęby, wlazł pod łóżko, szarpał, dziurawił. Oberwał za to kijem. Jednego razu zwróciła jego uwagę suto fałdowana spódnica na gospodyni, krzątającej się po izbie i fałdy w ruchu sprawiały wrażenie czegoś żywego. Przyczaił się Kwiatek i kiedy Sucharowa wynosiła za próg szaflik pomyj, skoczył nagle, pochwycił zębami za brzeg spódnicy. Baba straszliwie zaklęła i wrzasnęła na psa, który, stropiony, chciał ujść, wpadł jej pod nogi, i gospodyni padła jak długa. Oj, odebrał on za to plagi!

...Było tam u Sucharów każdemu zwierzęciu dobrze, tylko nie psu. W wygodnych, należycie opatrzonych stajniach zamieszkiwały konie i krowy; gdy drzwi otwarto, cieplutka para kłębami buchała z tego bydlęcego raju. Również i nierogacizna miała obok chaty

---

[1]) Adolf Dygasiński (1837—1902), młodość w Miechowskiem nad Nidą. Od r. 1880 ogłaszał nowele *(Nowele, Z ogniw życia, Biedronek, Zając, Z sioł, pól i lasów, Z zagonu i brózdy, Zając, Dramata Lubądzkie, Złamane życie, Margiel i Margielka, Wróble, Gody życia)*, znakomite umiłowaniem przyrody i artystycznem malowaniem różnych zwierząt, przeważnie rodzimych, jak psów, wilków, zajęcy, bocianów, gołębi, słowików i t. d. Nazywają Dygasińskiego polskim Kiplingiem,' a ostatni jego utwór p. t. *Gody życia* — niezrównanym w bogactwie obserwacji hymnem przyrody.

Umieszczone tu wyjątki przedrukowano z wydania z r. 1922 p. t. *Łabędzia woda.*

porządny chlewik, suto wysłany słomą. Gospodarz i gospodyni zwracali na Kwiatka tem baczniejszą uwagę, im więcej usiłowań pies ten dokładał, aby zyskać równouprawnienie z innemi czworonożnemi współmieszkańcami zagrody. Sucharowa wypędzała go z izby, używając zwykle miotły, pogrzebacza, polana, Suchar zamaszyście kopał nogą, przytem miotał złorzeczenia i przekleństwa w najgorszym stylu. Nawet posiłku nie pozwalano mu przyjmować w izbie, lecz wynoszono w skorupie do sieni.

Zakradł był się on kilka razy między krowy i tam sobie dobrze wyleżał boki, wypoczął; ale kiedy go gospodyni spostrzegła, wytłukła kijem i wypędziła. Skomląc wniebogłosy, uchodził nieborak w jaki odległy kąt zagrody, aby sobie wylizać zbolałe części ciała...

...Nieustannie prześladowany, wypędzany z izby i stajni, Kwiatek wygrzebał sobie kotlinę w kupie nawozu pod stajnią i nie zrzekając się bynajmniej marzeń o wyższym stopniu komfortu, tymczasem przesypiał noce w ciepłej, wilgotnej, choć niemile woniejącej mierzwie. Rano wyłaził stamtąd zaspany, przeciągał się, ziewał, strząsał ze skóry rozmaite nieczystości i biegł zaraz do chaty, jak gdyby z przekonaniem, że to jego pogodzenie się z losem zasługuje na uznanie; ludzie powinni go teraz pochwalić i dać mu śniadanie.

Przed drzwiami zamkniętej izby przysiadał pies na ogonie i czekał, wyprostowany frontem. Jeżeli drzwi nie otwierano, wtedy niecierpliwem mruczeniem dawał znać o swojej obecności.

Drzwi się oto nareszcie otwarły, wychodzi zaspana i rozczochrana gospodyni, w ręku niesie wszystko, co jest do dojenia krów potrzebne.

Spojrzała na psa i zaraz łaje.

— O, ty zatracony jakiś, psiawiaro!... Kajżeś się znowu tak ubabrał, jak nieboskie stworzenie?

Pies merda ogonem, radośnie podskakuje, idzie z babą do krowiarni. Rozkoszne ciepło go owiało, położył się zaraz przy jakiemś śpiącem cielęciu i wygrzewając sobie boki, czekał, dopóki Sucharowa krów nie wydoi. Baba skończyła swoją czynność, i on się też podniósł, a krowy niespokojnym wzrokiem nań spoglądają, pomrukują, jak gdyby miały podejrzenie, że to może być wróg cieląt. Kwiatek utopił badawcze i chciwe oczy w naczyniu, pełnem mleka, oblizuje się raz po razu. Z jakąż rozkoszą wypiłby to wszystko na śniadanie! Kilka kropel mleka rozlało się na ziemię, wylizał czyściutko — bardzo smaczne.

Wracają do chaty; gospodyni była jakaś roztargniona, i pies

wśliznął się za nią niepostrzeżony; cichutko wlazł pod łóżko, wyciągnął przed siebie przednie łapy, położył na nich swoją wspaniałą głowę, patrzył na izbę. Sucharowa krzątała się koło śniadania, kury łaziły i zaglądały bez ceremonji w każdy kącik, z kwikiem wpadła tam nawet para prosiąt, otwarłszy sobie drzwi ryjem. Każde stworzenie używało w izbie ogromnej swobody, nie mówiąc już o tej starej kocicy, która obcowała z gospodynią poufale, jak córka: ocierała się o jej spódnicę i pomiaukiwała, przypominając, że jest naczczo do tej pory. Natrętne prosięta ciągle zbierały coś po ziemi, gryzły w zębach i skrzętne poszukiwania zaprowadziły je aż pod łóżko, gdzie w ciemności zaczęły psa szturchać ryjkami. Kwiatek miał jakiś wstręt do tych stworzeń, więc zębami chwycił jedno z nich za ucho i uciął.

Porwały się przerażone prosięta, z kwikiem niezadowolenia przebiegły izbę, jak szalone, uderzyły we drzwi, otwarły je z łoskotem i wypadły do sieni.

W tej chwili właśnie Sucharowa nalała miseczkę mleka i postawiła ją w pobliżu łóżka, nawołując: «kici, kici, kici!» Kocica przybiegła, zaczęła pożywać śniadanie: jadła delikatnie, jakby lizała tylko mleko po wierzchu. Pies nie mógł się oprzeć pokusie i gdy baba weszła na chwilę do komory, wyskoczył z pod łóżka, w trzech łykach wypróżnił miseczkę, poczem wrócił na swoje stanowisko...

(Z noweli p. t. *Łabędzia Woda*, początek).

Lato. Na niebie wysokiem — czysto, ani jednej chmurki. Dokąd okiem sięgnąć w górę — modro, a w tem morzu modrości pływa oko słońca, jasne, wspaniałe, rzecz największa na świecie, godna czci żyjących.

Królu-słońce, który wlewasz życie w ziemię, czynisz zmartwychwstanie, pokrywasz znojem czoło człowieka i palisz ogniem zniszczenia rzeczy stworzone!

Żar kapie z niego na padoły. Między niebem a ziemią przestworze drga i miga jakby płomykami tego żaru — rzekłbyś: roje muszek, stworzonych ze światła. Ptak zawisł u podniebia, istna gwiazdka czarna: zapewne jastrząb uciekł przed spiekotą ziemską i tam używa chłodu. Rzesza jaskółek buja także bardzo górno. Kto ma skrzydła śmiałe, dobija się do nieba. Skowronki ścichły, dyszą w cieniu traw albo drzemią rozmarzone skwarem.

Pod namiotem z błękitów i jasności ścielą się łąki zielone, z wierzbami tu i ówdzie, z kępkami krzewów olszyny, wikliny. A wśród łąk rzeczka pomyka dniem i nocą — wstążka modra,

błyszcząca od światła, lamowana po brzegach kwieciem, zielem, wierzbami. Rozpływa się ku wschodowi w staw ogromny, który oblewa wyspę, wysoko wzniesioną nad poziom, wyglądającą jak gaj święty ku czci bóstw wodnych. Na stawie widać zwierciadła gładkie, pełne blasku z odbicia nieba. Część znaczną powierzchni pokryły talary ciemno-zielone liści grzybienia i wystające ponad niemi różyczki kwiatów białych albo żółtych.

Kożuchy, gęste rzęsy pływają przy brzegach, stanowią jak gdyby pieczęć na tajemnicach dna stawu. Sity, trzciny, tataraki zagarnęły pod swe panowanie resztę przestrzeni wodnej, rosną tutaj dziewiczo, tworzą zarośla trudne do przebycia, przybytki zacisznej miłości małżeńskiej i rodzicielskiej ptactwa wodnego. O, jak dobrze jest ukryć szczęście i troski przed oczyma świata, który chce ich dotykać i wytykać palcem!

...Chociaż na Wodzie Łabędziej wcale niema łabędzi, ale zato tyle jest wody, że ląd stały w owej dolinie zdaje się być na łasce niestałego żywiołu.

...Woda świeci, pachnie naokoło, i na jej podstawie rozwija się gatunek życia, nie mogącego istnieć bez wody. Łąki są to przeważnie moczary, bagna rdzawe, trzęsawiska, usiane kępkami turzycy, o dobry skok jedna od drugiej, albo kolonjami przęstek i krzypów. Tam, gdzie dziś niema wody, znać jednak, że była, i pozostały torfowiska, zimne, zamszone, lub bieleją pola wełnianek. Z tem wszystkiem jest tu jeszcze dosyć miejsca i dla kaczyńców, lilij wodnych, jaskrów, storczyków, smółek, rumianów, driakwi, babek, koniczyny, stokroci, kminów, szczawiów, drżączki i wszędzie pospolitego dmuchawca.

Tłumy owadów roją się tutaj, wyprawiają sobie gody weselne, na których nie brakuje ani pokarmów, ani napitków, ani strojów, ani muzyki. Pszczoły, trzmiele, szklarze, gzy, bąki, pasikoniki, motyle, chrząszcze przeróżne brzęczą, buczą, świerkają na niskie i wysokie tony, a kręcą, a fertają się, latają i skaczą. Tam dukaciki i modraczki małe, same jak kwiatki, tułają się wśród kwiatków. Ówdzie rusałki, perłowce, pazie królowej współubiegają się z pszczołami, trzmielami o pierwszeństwo przy stole kwiatowym, spychają jedne drugie. Gdzieindziej kapustniki, cytrynki przelatują niby listki białe i przyżółkłe, które wietrzyk unosi, nim spadną na ziemię.

Niektóre weterany życia mają skrzydła w strzępach, barwy na nich wytarte, wyszarzałe, gonią resztkami, byleby dzień swój przeżyć. Biedronki, jakby guziczki błyszczące, nieruchome siedzą na kwiatkach. Słoniki, złotawce, obżarte czy upojone miodami

wonnemi, tarzają się leniwie w pyle kwiatowym. Gąsienicznik, cienki, krewki, ze skrzydełkami niby żagiel, wpada tu czasem nagle, przebiega krokiem żartkim, spędza zawadjacko tego lub owego i goni dalej.

Nie, nie, one się nie bawią po ludzku, nie ucztują wesoło! Ciężko pracują na chleb, zawzięcie walczą o prawo bytu... Taki pędraczek maika, niemowlę owadzie, a i on w kwiatku czatuje na pszczołę, aby się przypiąć do jej brzuszka, odbyć powietrzem podróż do ula, istnego raju pokarmów. Gdzie on się tego nauczył? Podobno głód i miłość są tradycją odwieczną, która pędzi do pracy, do walki, stanowi mądrość wszechżyciową.

Ale wyspa na stawie ujawnia najwięcej życia lądowego. Prawdopodobnie jest to resztka wzgórzy południowych, oderwana w czasach niepamiętnych od pnia macierzystego przez jakiś potop miejscowy. Lipa miesza się tu z topolą, osiką, wierzbą, brzozą i klonem. Krzewy, zioła, trawy, sycone szczodrze wilgocią, wyrastają wspaniale. Zapach mięty i róży dzikiej unosi się w powietrzu. Słowik corocznie zlatuje na tę wyspę, dzięcioły, kukułka, turkawki, sroki i, ma się rozumieć, krogulec mają tu przystanek dobry. Wilgi gwiżdżą przez całe lato, ptastwo pomniejsze, wędrowne i krajowe, wyprawia gwar nadzwyczajny, jak zwykle w lesie liściastym. Pieśni miłości, szczęścia zlewają się w jeden hymn z odgłosami trwogi, smutku, z okrzykami wojny i jękami cierpienia.

Życie wodne wtóruje godnie lądowemu dniem i nocą. Sity, trzciny, tataraki mają też swego własnego słowika, śpiewaka, który tyle **r** ma w gardle — «ter-try-trra»... Kuliki drobne biegają fertycznie po świeżo wyschłych kałużach i znowu mięciuchno nawołują: «li-li-li». Zimorodek się porwał, leci ponad wodą, połyskuje w słońcu jak szmaragd z turkusem, a krzyk jego zgiełkliwy przypomina skrzeczenie sroki. Pst!... kurka wodna tajemniczo wyciekła z zarośli, zawołała krótko: «kirk» i mknie rączo suchą nogą po listkach grzybienia: to mi tanecznica niezrównana! Łyska daje znać o sobie głosem niespokojnym gdzieś we wnętrzu szuwarów, których wierzchołki wzruszone mówią o jej życiu wielce czynnem, pełnem troski: bo budować gniazdo na powierzchni wody znaczy tyle, co stawiać zamki na lodzie. Rybitwa, jedna, druga, zagnana wiatrem od morza, przepędza tu kilka dni na letniem mieszkaniu: te umieją latać.

Trzebaby nie sypiać po nocach, pełzać, podchodzić, nurkiem podpływać i dobrze wytrzeszczać oczy, aby poznać życie rodzinne

w domu kurek wodnych, łysek, cyranek, bąków, nie mówiąc już o ogromnie skrytych bekasach.

Noc nastręcza inne widoki, inne głosy się rozlegają, i inny rodzaj życia nastaje. Kiedy księżyc rozsypie światło srebrne na fale stawu, i gwiazdy migocące odbijają się w wodzie, kaczki dzikie, kurki wodne opuszczają kryjówki, a wtedy można widzieć ojców, matki w otoczeniu ich drobiazgu. Chróściki przelatują ponad powierzchnią stawu, rzucają się w locie jak narwane i często wpadają do wody. Ćmy białe, szare, ogoniaste, bez ogonów — roją się około wyspy. Nietoperze zwijają się zręcznie w pogoni zawziętej za żerem. Robaczki świętojańskie w cieniu traw wyspy pałają żądzą kochania tak gorącą, że świecą.

Młyn szumi, warczy nieustannie, jak burza nawalna z ulewą i hukiem stłumionym grzmotu. Wtóruje mu zapamiętały, namiętny rejwach żab okolicznych i krzyk jękliwy czajek na mokradłach. Żółw pogwizduje uczuciowo, derkacz daje derkaczowi odpowiedź dosłownie powtórzoną, przepiórka, niby echo, przedrzeźnia przepiórkę. Szczupak olbrzymi rzuci się czasem w stawie z takim pluskiem, że żaby milkną na chwilę, a dzikie ptaki, przestraszone uchodzą z dziećmi w zarośla. Naokoło świerszcze niezmużone z cierpliwością przedziwną odcierkują, jakby dla wprawy, ciągle te same trele. Chrabąszcze, krówki przelatują górą z buczeniem bardzo poważnem, które zdaje się pochodzić z jakiego wstrząśnienia na gwiazdach. Ćmy furkają, komary dyszkancikiem brzęczą lamentująco.

Życie, które w nocy wre pod wodą, pozostaje tajemnicą dla widza na ziemi. Co porabiają o tej porze ryby przeróżne, raki, szczeżuje, ślimaki, płoszczyce, kałużnice, pluskolce, pijawki, pająki wodne? Zapewne także pracują na chleb powszedni, wznoszą ołtarze miłości, walczą i zwyciężają — lub giną. Życie wśród trudów znojnych, dolegliwości, męczarń, upojeń rozkosznych — przelewa się od jednych stworzeń do drugich, jako wieczny, nieskończony łańcuch bytu, w którym żadna śmierć nie jest zerwaniem ogniwa.

Ileż to pracy, wysiłków jednostek w tym ogromie życia! Ile chwil szczęścia, bólu, rozpaczy zaznaczyło życie w ciągu wieków i zaznaczy jeszcze! Ile złożyć trzeba jaj przyszłości, ażeby zaspokoić głód życiowy mnóstwa żarłoków, utrzymać sztandar gatunku własnego i wcielić się na nieśmiertelność w otchłań niezmierzoną życia!

Świat nie zginie, jeśli przepada komar marny albo człowiek, których śmiercią życie nowe właśnie się zapłodni. Ale cóż ginącego obchodzi świat, prawo życia, nawet wszechświat?...

MARJA KONOPNICKA (1846—1910).[1])

Na progu.

Jak braciom, co po długich niewidzenia latach
Padli sobie w objęcia, od łez rwie się mowa,
Tak nam, gdy stajem w waszych poddaszach i chatach,
Niełatwo przed wzruszeniem serca przyjść do słowa.
Gdzie my od was odbiegli?.... Gdzieście wy zostali?...
Czemu nie razem w górę poszła nasza droga?
Czemu my dzisiaj wielcy? a wy czemu mali?
Kto z nas za to odpowie przed sądem u Boga?
O, bracia! Jeśli sobie przebaczyć co mamy,
Zróbmy to zaraz, dzisiaj! Dość żalów, dość kłótni...
Otwórzcie nam ramiona! To my was szukamy,
Bośmy może winniejsi... ach i bardziej smutni.

Z łąk i pól.

Zaszumiał las, zaszumiał las
Od płaczu mojej pieśni...
Po szczytach drzew ruszył się śpiew,
Ptaszkowie łkają leśni,
Zakipiał zdrój, zakipiał zdrój
Od tęsknot moich żaru
I sine mgły i srebrne zły
Rozbryznął w cieniach jaru.

---

[1]) Nauki w Warszawie u Sakramentek. Pisać zaczęła około r. 1870. Uwagę ogólną zwrócił na siebie poemat *Romans wiosenny*. We dwa lata dramatyczne obrazy p. t.: *Z przeszłości*. Pierwszy zbiór poezji wyszedł 1881, dalsze zaś ukazywały się w l. 1883, 1887, 1900, 1905. Poetka tymczasem żyła w Niemczech, Francji, Włoszech i znów wracała do kraju. Śród utworów pierwsze miejsce zajmują pieśni o ludzie, krajobrazy rodzinne, oraz obrazki niedoli ludu. Najlepsze: *Do granicy, Jaś nie doczekał, Z piwnicznej izby, Z łąk i pól*. Towarzyszą im liczne obrazy z dziejów kultury: *Jan Hus, Tarcza Scypjona, Sclavus saltans*; poematy filozoficzne, ujęte w cykle: *Z mojej biblji i Fragmenty*. Z poezji epicznej ukazały się głównie dwa dzieła: *Ponad głębiny i Pan Balcer w Brazylji* (1910). Z poezji dramatycznej: *Prometeusz i Syzyf* (1892). Wiele tłumaczeń, sporo nawet i studjów literackich; z pierwszych najlepsze: *Niemczaki, W dolinie Skawy, Nasza szkapa, Głupi Franek;* z drugich: *Mickiewicz, jego życie i duch*. Z pośród książek dla dzieci godne uwagi: *Krasnoludki*. Dzieliła się też wrażeniami z podróży w książkach: *Na normandzkim brzegu, Wrażenia z podróży*.

Zerwał się wiatr, zerwał się wiatr
Echem mych skarg zbudzony
I poniósł szum żałosnych dum
W dalekie cudze strony.
Uderzył dzwon, uderzył dzwon,
Jak serce me na trwogę,
A sennych chat, gdzie lud, gdzie brat
Rozbudzić dziś nie mogę.

Na gody.

I.

Pokiwali matuś głową,
Popłakali mało wiele,
Dali czapkę barankową,
Tatusiową kamizelę...
Dali łapcie z łyka szyte,
Za pazuchę kromkę chleba:
— Idźże, Jaśku, w świat szeroki,
Na wschód słońca, na wschód nieba...
Jeszczebym ci w chacie rada,
Zbierzesz chróstu, dźwigniesz wody...
Ano, kiedyż ci do ludzi,
Jak nie teraz, nie na gody?...
A gódź-że się w dobrą chwilę,
W dobrą chwilę i godzinę,
Po wszelakiej należności,
Choć za zgrzebną koszulinę...
A gódź-że się u bogacza,
W dobre słowo, w dobrą wiarę,
Jak przesłużysz, co się patrzy,
Da ci może buty stare...
A nie wracaj do chałupy,
Aż wyrośniesz mi z pastucha,
Aż wysłużysz na grzbiecinę
Jaki taki szmat kożucha!
— A i długoż mi, matusiu,
Na te buty służyć w świecie? —
— Aż cię, synku, bieda zgryzie,
Aż cię praca wdół przygniecie. —

— A i długoż mi, mateńko,
Na ten kożuch służyć trzeba?
Aż cię Pan Bóg dojrzy synku,
Z wysokiego swego nieba!
Idzie Jasiek po ścieżynie,
Co się spojrzy, to ją minie,
Co się spojrzy, to się smuci
Albo pójdzie, albo wróci...
Stara wierzba, jakby żywa,
Gałęziami za nim kiwa,
Czegoś skrzypi, czegoś biada,
Dziw do niego nie zagada...
Oj! nie użył Jasiek w chacie
Ani wczasu, ni swobody...
— Ano — kiedyż mu do ludzi,
Jak nie teraz, nie «na gody?»...

Dzwony.

II.

A gdy skonał w czarnej chacie
Jasieńko miły,
Poszła matka prosić dzwonów,
By mu dzwoniły.
— Mój synaczek, mój rodzony
W trumience leży,
O zagrajcież wy mu dzwony,
Z tej białej wieży!
Niechaj idzie głos bijący
O jasne słońce
Przez te pola, przez te lasy
Z wiatrem szumiące...
Ale dzwony twarde serca,
Zimną pierś miały:
— Będziem jemu dzwonić,
Za talar biały! [matko,
I wróciła narzekając,
Do pustej chaty
I strząsnęła wszystkie kąty
I zgrzebne szmaty...
I nic więcej nie znalazła
Prócz onej świty,
Którą syna trup szczerniały
Leżał nakryty...
— Nieszczęśliważ moja dola,
Jasieńku miły!
Chybaż tobie łzy te moje
Będą dzwoniły...
Chyba moje narzekanie
Bić będzie rosą,
Kiedy ciebie na mogiłki
Z chaty wyniosą!
I wynieśli za próg czarny
Trumienkę lichą,
A za synem poszła matka
Ścieżyną cichą...
I nie grały jemu dzwony
Z wysokiej wieży,
Jeno szumiał las zielony
I wietrzyk świeży...
Jeno dzwonki te liljowe,
Co w borze rosną,
Żeby dzwonić chłopskim trum-
W drogę żałosną.... [nom

A jak poszedł...

A jak poszedł król na wojnę,
Grały jemu surmy zbrojne,
Grały jemu surmy złote
Na zwycięstwo, na ochotę...
A jak poszedł Stach na boje,
Zaszumiały jasne zbroje,
Zaszumiało kłosów pole
Na tęsknotę, na niedolę...
A na wojnie świszczą kule,
Lud się wali, jako snopy,
A najdzielniej biją króle,
A najgęściej giną chłopy.
Szumią orły chorągwiane,
Skrzypi kędyś krzyż wioskowy...
Stach śmiertelną dostał ranę,
Król na zamek wracał zdrowy.
A jak wjeżdżał w jasne wrota,
Wyszła przeciw zorza złota
I zagrały wszystkie dzwony
Na słoneczne świata strony.
A jak chłopu dół kopali,
Zaszumiały drzewa w dali,
Dzwoniły mu przez dąbrowę
Te dzwoneczki, te liljowe...

Dziaduś.

Nowe słonko w niebie stoi,
Nowe słonko, nowe lato,
Wyszedł za próg dziaduś siwy:
— Bóg cię trzymaj, moja chato!
I obrócił się na strony
I wyciągnął obie ręce,
Błogosławił krzywym płotom,
Krzywym płotom i studzience.
— Bóg was trzymaj, krzywe płoty,
Suchym chróstem zaplecione!
Chodziły tu różne wichry,
Ale poszły w swoją stronę.
Bóg cię żegnaj ręką swoją,
Ty studzienko z żytnią wiechą!
Napoiłaś ty mnie łzami,
Napoiłaś i pociechą!
I obrócił się na zachód,
Na to pólko, na te łany:
— Bóg cię trzymaj, ziemio moja,
Mój zagonie przeorany.
Siedmiorakim ja cię potem,
Jako dobrym dżdżem, polewał.
A za pługiem, chodząc miedzą,
Jak skowronok tobiem śpiewał...
Razem z ziarnem krople potu,
Razem z potem — pieśni padły
Na ten chleb naszego jutra,
Żeby kruki go nie jadły.
I obrócił się na słońce,
Gdzie się łąka rozzielenia,
I zamachnął się ogniście
Jakby kosą od ramienia...
— Bóg cię trzymaj moja łąko,
Przesieczona ostrą kosą...
Świeciłaś ty znojom naszym,
Świeciłaś ty krwawą rosą!

Contra spem spero. [1])

Przeciw nadziei, co stoi na chmurze
Łez, prędkim wichrom rzuciwszy kotwice,
I obrócony wzrok trzyma na burze
I nawałnice,
W niezgasłe gwiazdy ufam wśród zawiei.
Przeciw nadziei.

Tak pieśniarz ślepy, gdy go noc otoczy,
Choć wie, że rankiem nie wzejdzie mu słońce,
Podnosi w niebo obłąkane oczy
I dłonie drżące
I mroki pije źrenicą zagasłą,
Wierząc w dnia hasło.

Wiem, odleciały te ptaki daleko,
Co nam na skrzydłach niosły chwały zorze,
I z rzek już naszych te wody nie cieką,
Które szły w morze...
I syn się karmi kłosami gorzkiemi
Z ojców swych ziemi.

Sam Pan Bóg zagasił nad nami pochodnię
I na mogiły strząsnął jej popioły.
Idziem, jak idą bezdomne przechodnie
Z zwiędłemi czoły,
A stopy naszej zasypuje ślady
Wicher zagłady...

Wiem! Niech mi smętne echo nie powtarza
Tego, co wstydem pali i co boli.
Bom ja też rodem z wielkiego cmentarza
I z krwawej roli...
I ja też lecę, jak ptak obłąkany
I wichrem gnany.

Przecież o zmierzchy skrzydłami bijąca
I piekieł naszych ograniona sferą
Oczyma szukam dnia blasków i słońca,
Contra spem spero...
I w mogił głębi czuję życia dreszcze
I ufam jeszcze...

---

[1]) Spodziewam się wbrew nadziei.

Przeciw nadziei i przeciw pewności
Wystygłych duchów i śmierci wróżbitów
Wierzę w wskrzeszenie popiołów i kości,
W jutrznię błękitów
I w gwiazdę ludów wierzę wśród zawiei,
Przeciw nadziei.

Zawsze leciałam...

Zawsze leciałam do ciebie,
O Światło!
Zawsze leciałam do ciebie,
O światło wieczne na niebie,
I byłam ci, jak drobny ptak,
Co w podsłoneczny płynie szlak,
I byłam ci, jak muszka licha,
Co za płomieniem dech wydycha,
O światło!
Czyliś zabłysło dla ziemi,
O światło,
Czyliś zabłysło dla ziemi
Kwiatami nocy srebrnemi,
Czyś na majestat weszło swój,
Zwycięski z cieniem zwiódłszy bój,
Czyliś miesięczną swą poświatą
W brzózce tej drżało przed mą chatą,
O światło!...
Zawsze tęsknemi ja loty,
O światło,
Zawsze tęsknemi ja loty
Wzbijałam ducha w blask złoty!
I w burzę nawet, kiedy grom
Zatrząsł te węgły i ten dom,
W błyskawicowych ogniach cała
Jeszczem przed tobą z pieśnią stała
O światło!

Rota.[1])

Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród,
Nie damy pogrześć mowy!
Polski my naród, polski lud,
Królewski szczep Piastowy!
Nie damy, by nas zniemczył wróg,
Tak nam dopomóż Bóg!
Do krwi ostatniej kropli z żył
Będziemy bronić ducha,
Aż się rozpadnie w proch i pył
Krzyżacka zawierucha.
Twierdzą nam będzie każdy próg,
Tak nam dopomóż Bóg!
Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz,
Ni dzieci nam giermanił,
Stanie orężny hufiec nasz,
Duch będzie nam hetmanił
W ten dzień, gdy zabrzmi złoty róg,
Tak nam dopomóż Bóg!
Po ziemi naszej płynie głos,
Wołanie nasze: «Czuwaj!»
Gdy chcesz niewoli złamać los,
Już dzisiaj broń wykuwaj.
Od broni naszej padnie wróg,
Tak nam dopomóż Bóg!
Na krzyż i miecz ślubuję stać
Pod znakiem świętej sprawy,
Gdy padnie hasło, więzy rwać
W bój z wiarą pójdziem krwawy,
W ten dzień, gdy zabrzmi złoty róg,
Tak nam dopomóż Bóg!

Przed sądem.

Drobny, wychudły, z oczyma jasnemi,
W których łzy wielkie i srebrne wzbierały
I gasły w rzęsach spuszczonych ku ziemi;
Blady, jak nędza, a tak jeszcze mały,
Że mógł rozpłakać się i wołać: «Matko!» —

[1]) W czasie wielkiej wojny 1914—1919, oraz plebiscytu śląskiego i wyzwolenia się zaboru pruskiego *Rota* zyskała ogromną popularność i stała się jakby nowym hymnem narodowym.

Gdyby miał matkę... i mógł stroić psoty
I pocałunków żądać — i pieszczoty,
I spać na piersiach ojca... a tak drżący,
Jak ptak wyjęty z gniazda i już mrący...
Wiejski sierota stał w sądzie przed kratką.
A dziwna była ta sala sądowa:
Wielka — i pusta — i zimna — i chłodna —
I bezlitosna — i łez ludzkich głodna —
I nigdy w ustach nie mająca słowa
Miłości bratniej, — i taka surowa,
Tak spiskująca ławkami w półkole
Na ludzką nędzę i ludzką niedolę,
Że Chrystus biały, co stał tam w pobliżu,
Zdawał się cierpieć i drżeć na swym krzyżu.
Przy winowajcy nie było nikogo;
I któżby bronił dziecięcia nędzarzy?
Chyba te wielkie dwie łzy, co po twarzy
Leciały jakąś pełną iskier drogą...
Chyba dzieciństwo nędz pełne sieroty
I chyba tylko promyczek ten złoty,
Co mu przez okno upadał na głowę,
Jakby Bóg gładził włosy jego płowe...
Wszedł sędzia, spojrzał i rzekł: «Gdzie rodzice?»
«Nieznani», — odrzekł pan pisarz z powagą.
Chłopiec wzniósł zgasłe, błękitne źrenice
I ściągnął świtkę na pierś swoją nagą,
Jak gdyby nagle, od jednego słowa
Zdjęło go zimno i pustka grobowa.
Sędzia zadumał się, pochylił czoła
I spytał znowu: «Czy w wiosce jest szkoła?»
— «Nie.» — Pisarz zwykle chmurny był w urzędzie;
Przy tem pytanie było jakieś dziwne,
Więc się zawahał, czy właściwem będzie
Odpowiedź chłopca pisać w protokole...
Milcząc, sprostował palce swoje sztywne
I bębnił zlekka po szarej bibule...
A sędzia patrzył na drżącą dziecinę,
Na ręce nagie, wychudłe i sine,
Na pierś zapadłą i nędzne łachmany,
Na blask tych oczu zmącony i szklany,
Gdzie przecież mogły odbić się niebiosy...

Na drobną główkę, gdzie myśl ludzka, śpiąca,
Nie znała świtu innego prócz słońca,
I innych wrażeń ożywczych, prócz rosy!
I dziwnym cieniem zaszło mu oblicze...
I uczuł w piersi drżenie tajemnicze,
Jakby ta sala pusta była tronem,
Na którym przyszłość z czołem zachmurzonem
Zasiada, pełna klęsk i spustoszenia
I jakiemś grzmiącem i ogromnem słowem
Oblicza plony na polu jałowem,
Przed sąd wzywając całe pokolenia...
I widział, jak szły gęste, ciemne tłumy
I tamowały ruch globu w błękicie...
I spostrzegł, pełen trwogi i zadumy,
Że były chmurą ogromną o świcie,
Przez którą przebić nie mogło się słońce,
I zmierzch na ziemi trwał przez lat tysiące...
Widział, że tłum ten — to siła stracona
Dla wielkich celów i dążeń ludzkości,
I czyta w groźnem spojrzeniu przyszłości,
Że chce rachunku z miljona...
I ujrzał nagle, że wydziedziczeni
Za społeczeństwa swego cierpią winy...
I przerażony, posłyszał w przestrzeni
Sądy nad sprawą chłopczyny...
— «Niechże was Chrystus — głos mówił — rozsądzi,
Kto więcej winien! Czy ten nieświadomy,
Co drogi nie zna i w ciemnościach błądzi,
Czy wy, co grube spisujecie tomy
Karnej ustawy a nie dbacie o to,
By uczyć dziecię, które jest sierotą...
Niechże was Chrystus sądzi!»...
Lecz krzyż czarny
Stał nieruchomy i zimny na stole,
Jako milczące wobec łez ołtarze...
A sędzia powstał i szedł, gdzie pacholę
Blade czekało na wyrok sądowy,
I dotknął ręką jego płowej głowy
I rzekł: — «Pójdź, dziecię! Ja cię uczyć każę!»

HENRYK SIENKIEWICZ. [1])

Bez Dogmatu.

(Z tomu I., wydanie Warszawa 1891) str. 4 — 28).

...Nazywam się Leon Płoszowski, mam lat trzydzieści pięć. Pochodzę z rodziny zamożnej, która w ostatnich czasach zachowała fortunę, znacznie więcej, niż średnią. Co do mnie, jestem pewien, że majątku rodzinnego nie powiększę, ale też go nie utracę. Położenie moje jest tego rodzaju, że się nie potrzebuję wspinać na żadne wyżyny, ani też nigdzie wkupować. Co do kosztownych i rujnujących uciech, jestem życiowym sceptykiem, który wie, ile co jest warte, albo inaczej mówiąc, że wszystko jest djablo mało warte.

Matka moja umarła w tydzień po wydaniu mnie na świat. Ojciec, który kochał ją nad życie, dostał po jej śmierci napadów melancholji. Wyleczywszy się z niej w Wiedniu, nie chciał już wracać do rodzinnego majątku... odstąpił Płoszów siostrze swojej... sam zaś przeniósł się w roku 1848 do Rzymu, z którego przez trzydzieści kilka lat ani razu nie wyjechał, nie chcąc oddalać się od grobu matki. Zapomniałem bowiem nadmienić, że trumnę matki sprowadził z kraju i pochował ją na Campo Santo.

Mamy na Babuino własny dom, zwany Casa Osoria, od rodzinnego herbu. Wygląda on trochę na muzeum, ojciec bowiem ma niepospolite zbiory... Obecnie stały się one przewodnią ideą jego życia. Za młodu był to człowiek niezmiernie świetny, tak pod względem powierzchowności, jak umysłu... Zajmował się wówczas bardzo filozofją — i powszechne było wówczas mniemanie, że nazwisko jego zagrzmi z czasem przynajmniej równie głośno, jak Cieszkowskiego, Libelta etc. Życie towarzyskie i niesłychane powodzenie u kobiet, odciągnęło go później od ścisłej pracy naukowej. Nazy-

---

[1]) 1846—1916. Kształcił się w Warszawie w Szkole Głównej i uniwersytecie. Odbył podróż po Ameryce półn. w l. 1876—78, po Afryce wschodniej w r. 1892. Rozpoczął od powieści: *Na Marne* i *Humoresek z teki Worszyłły* (1873); pisał kroniki tygodniowe w *Gazecie Polskiej* pod pseudonimem Litwosa. Wyszły nowele: *Stary sługa*, *Hania*, a z Ameryki: *Listy*, *Za chlebem*, *Z pamiętników poznańskiego nauczyciela*, *Janko muzykant*, *Przez stepy*, *Orso*, *Latarnik*, *Selim Mirza*, *Szkice węglem*. Po powrocie z Ameryki i po napisaniu urywka p. t.: *Niewola tatarska* rozpoczął powieści historyczne i stworzył ich szereg: *Ogniem i mieczem* (1884), *Potop*, *Pan Wołodyjowski*, *Krzyżacy*, *Na polu chwały*, *Quo vadis*, *Legjony*. Obok historycznych powstały i kulturalne: *Bez dogmatu* (1891), *Rodzina Połanieckich*, *Wiry*; a nawet dla dzieci: *W pustyni i puszczy*.

wano go w salonach: *Léon l'Invincible*... Pod względem naukowym ojciec mój był i pozostanie, bardzo zdolnym i bardzo wykształconym szlachcicem-dyletantem. Wierzę do pewnego stopnia, że dyletantyzm jest przeznaczeniem wszystkich Płoszowskich...

Ojciec zajmował się mną... bardzo dużo, zwłaszcza od piątego roku życia. Chodziłem na rozmowy do jego pokoju, które rozwijały mnie niepospolicie, a może nawet przedwcześnie. Później, gdy studja i poszukiwania archeologiczne, oraz dopełnianie zbiorów pochłaniały ojcu wszystek czas, przyjął do mnie nauczyciela, księdza Calvi. Był to człowiek już stary, z wiarą i duszą nadzwyczaj pogodną. Kochał on nad wszystko sztukę. Sądzę nawet, że religię odczuwał przedewszystkiem przez jej piękność. W muzeach, wobec arcydzieł, lub słuchając muzyki w kaplicy Sykstyńskiej, zapamiętywał się zupełnie. W tych głębokich upodobaniach jego do sztuki nie było jednak nic pogańskiego, gdyż nie wspierały się one na sybarytyzmie, na używaniu zmysłowem, ale na uczuciu. Ksiądz Calvi kochał poprostu sztukę tą czystą i pogodną miłością, z jaką mogli ją kochać Da Fiesole, Cimabué lub Giotto [1]) — a co więcej, kochał ją także z pokorą, bo sam nie miał najmniejszego talentu...

Taka atmosfera, takie otoczenie, nie mogły nie wywrzeć na mnie wpływu. Chowano mnie w sposób nieco oryginalny. Chodziłem z księdzem Calvi, a często i z ojcem, po galerjach, muzeach, za Rzym, do willi, ruin i katakumb. Ksiądz Calvi równie wrażliwy, był na piękność natury, jak sztuki, wcześnie więc nauczył i mnie odczuwać poetyczną melancholję kampanji rzymskiej, harmonję z jaką łuki i linje zrujnowanych wodociągów rysują się na niebie, czystość zarysów pinji; zanim umiałem dobrze cztery działania, zdarzało mi się w galerjach poprawiać Anglików, którym nazwiska Carraci [2]) i Carravaggio [3]) mieszały się w głowach. Wcześnie i łatwo nauczyłem się po łacinie... Mając lat jedenaście, wypowiadałem swoje poglądy na mistrzów włoskich i zagranicznych... słowem: uchodziłem w oczach ojca, księdza Calvi i w znajomych nam domach, za cudowne dziecko; słyszałem nieraz, jak mnie chwalono — i to podniecało mą próżność...

---

[1]) Fra Giovanni Beato Angelico da Fiesole, (1387—1455); Giovanni Cimabué, (1240—1302); Giotto di Bondone, (1266—1337) — sławni z religijnego natchnienia malarze włoscy.

[2]) Carracci, rodzina włoskich malarzów z końca XVI w., zasłużonych udoskonaleniem sztuki włoskiej.

[3]) Caravaggio Michelangelo, (1569—1609), główny przedstawiciel naturalizmu w malarstwie włoskiem końca XVI w.

Ponieważ stan szkół włoskich wogóle wiele pozostawiał do życzenia, ojciec oddał mnie do kolegjum w Metz, które ukończyłem z małym trudem, a natomiast ze wszystkiemi odznaczeniami i nagrodami, jakie tam można otrzymać... Wodziłem rej w całej szkole i nikomu nie przyszło do głowy spierać się ze mną o to stanowisko. Rosłem w niewolnem przekonaniu, że i później, na szerszem polu, tak samo będzie. Przekonanie to dzielili nauczyciele i koledzy; tymczasem faktycznie tak jest, że wielu z moich towarzyszów szkolnych, którym do głowy nie przychodziło wówczas, żeby kiedykolwiek mogli współzawodniczyć ze mną, zajmuje dziś we Francji wybitne stanowiska, bądź na polu literackim, bądź naukowem, bądź politycznem, podczas gdy ja nie wybrałem sobie zawodu, a poprawdzie byłbym w kłopocie, gdyby mi kazano go wybrać. Stanowisko moje towarzyskie jest doskonałe; odziedziczyłem już majątek po matce, odziedziczę kiedyś po ojcu; będę gospodarował w Płoszowie, będę administrował mniej więcej mądrze, albo niemądrze, całą fortuną, ale już sam zakres tych zajęć wyłącza nadzieję, bym mógł kiedykolwiek odznaczyć się w życiu i odegrać jaką rolę...

Myślałem nieraz, iż gdybym nie miał żadnego majątku, to musiałbym się do czegoś wziąć. I zapewne. Musiałbym w jakiś sposób zarabiać na chleb, ale wewnętrznie jestem przekonany, że i w takim razie nie wyzyskałbym swoich uzdolnień w dwudziestej części. Zresztą, taki Darwin,* taki Buckle,* to byli ludzie bogaci... pokazuje się więc, że majątek nietylko nie przeszkadza, ale pomaga do zajęcia stanowiska na wszystkich polach...

Próżniactwu nie przypiszę także mojej nicości. Posiadam w równym stopniu łatwość przyswajania sobie wiadomości, jak i ciekawość. Czytuję wiele i pamiętam wiele. Być może, iż nie zdobyłbym się na żelazną wytrwałość, na pracę długą, powolną, rozległą — ale ten brak wytrwania powinna właśnie łatwość zastąpić. Wreszcie, nic mnie nie obowiązuje do pisania słowników, jak to czynił Littré.* Kto nie umie świecić z wytrwałością słońca, może przynajmniej zabłysnąć, jako meteor. Ale ta nicość w przeszłości, ta prawdopodobna nicość w przyszłości... Cierpko mi się robi i nuda poczyna mnie gnębić...

(Str. 34—45 tomu I).

...Następne moje lata upłynęły między Rzymem i Paryżem. ...Mając wszędzie łatwy wstęp, poznałem rozmaite towarzystwa, począwszy od domów legitymistycznych,[1]) w których zresztą nu-

[1]) Legitymistami zwano we Francji zwolenników dynastji Burbonów w przeciwstawieniu do Orleanistów.

dziłem się, skończywszy na tej świeżej, bardzo utytułowanej arystokracji, stworzonej przez Bonapartych i Orleanów, a stanowiącej wielki świat... może nie paryski, ale naprzykład nicejski. Dumas[1]) syn, Sardou[2]) i inni biorą swoich hrabiów, margrabiów i książąt z tego właśnie gatunku, który, nie mając żadnej wielkiej tradycji dziejowej, a w bród tytułów i pieniędzy, zajęty jest głównie używaniem życia. Do tych kół należą i wysokie finanse. Co do mnie, kręciłem się w nich najchętniej ze względu na te panie. Są one subtelne, wyrobione nerwowo, szukające wrażeń, chciwe życia, a pozbawione naprawdę wszelkich ideałów. Bywają też częstokroć równie zepsute, jak romanse, które czytają, bo moralność ich nie ma ani gruntu religijnego, ani tradycji obowiązującej. Z tem wszystkiem, jest to świat bardzo błyszczący... Byłoby dowodem próżności, a co więcej, złego smaku, rozpisywać się o swych powodzeniach, powiem więc tylko, że tradycje młodości ojcowskiej starałem się, jak mogłem, utrzymać.

Najniższe okręgi tego świata stykają się niejako z największemi wielkiego pół-świata. Ów pół-świat jest niebezpieczniejszy, niż się na pierwszy rzut oka zdaje — bo bynajmniej nie jest trywjalny. Cynizm jego ma pewne pozory artyzmu. Jeżelim tam nie pozostawił zbyt wiele piór, to tylko dlatego, że zanim tam wszedłem, miałem już dziób nieźle zakrzywiony i niezgorzej ostre pazury.

Ale wogóle, mówiąc o życiu paryskiem, można powiedzieć to, że kto wychodzi z tego młyna, musi się czuć nieco zmęczony, a cóż dopiero ten, który, jak ja, wychodził po to tylko, żeby wracać. Człowiek później dopiero zaczyna rozumieć, że jego zwycięstwa równają się Pyrrusowym triumfom. Mój silny z natury organizm stawił dość skuteczny opór temu życiu, ale nerwy mam nadszarpane.

Paryż posiada wszelako jedną wyższość nad wszystkiemi innemi ogniskami życia. Oto nie znam żadnego miasta w świecie, gdzieby pierwiastki wiedzy, sztuki, wszelkiego rodzaju idee ogólnoludzkie, krążyły tak w powietrzu i wsiąkały tak w głowy ludzkie, jak tam. Człowiek nietylko przyswaja sobie tam mimowoli to, co w dziedzinie umysłowej jest najnowszem, ale umysł jego traci zarazem jednostronność, staje się wyrozumiały i ucywilizowany. Powtarzam: ucywilizowany, bo we Włoszech, Niemczech i Polsce spotykałem głowy, nawet bardzo mocne, ale tak nie chcące dopuścić, by mogło

---

[1]) Dumas Aleksander młodszy (syn), 1824—1895 r., autor wielu francuskich powieści obyczajowych i utworów scenicznych *(La dame aux camélias)*.

[2]) Sardou Wiktor (ur. 1831), autor wielu francuskich utworów scenicznych, przeważnie komedyj.

coś istnieć poza promieniem ich światła, tak wyłączne i tak barbarzyńskie, że dla ludzi, którzy chcieli zachować swój własny sposób widzenia rzeczy, stosunek z niemi był wprost niemożliwy.

We Francji, a ściślej mówiąc, w Paryżu, podobne objawy nie istnieją. Jak potok bystro bieżący wyokrągla kamienie, trąc je jeden o drugi, tak prąd życia wyokrągla tam i harmonizuje umysły. Oczywiście pod podobnemi wpływami i moja głowa stała się głową ucywilizowanego człowieka. Potrafię dużo wyrozumieć; nie rzucam pawich krzyków, gdy usłyszę coś przeciwnego moim poglądom, albo coś zgoła nowego. Być może, iż takie uwzględnienie wszelkiego rodzaju zasad prowadzi do pewnej obojętności na wszystkie i odbiera energję w działaniu, ale już nie potrafiłbym być innym...

Jestem też istotą w wysokim stopniu świadomą siebie. Czasem posyła się do djabła to drugie ja, badające i krytykujące pierwsze — nie pozwalające oddać się całkowicie żadnemu wrażeniu, żadnemu działaniu, żadnemu uczuciu, żadnej rozkoszy, żadnej namiętności. Być może, iż samowiedza jest znamieniem wyższego rozwoju umysłowego, ale zarazem jest czemś osłabiającem niezmiernie odczuwanie. Nosić w sobie wiecznie czujną krytykę siebie samego, jest to odłączyć od całości potrzebną na to część ducha — a więc życie i jego wrażenia odczuwać nie całością, lecz tylko pozostałą resztą.

Jest to równie męczące, jak dla ptaka byłoby męczące latanie jednem skrzydłem. Prócz tego samowiedza zbyt rozwinięta odbiera także zdolność do czynu. Gdyby nie ona, Hamlet, zaraz po pierwszym akcie byłby nawylot przewiercił stryjaszka i z całym spokojem objął po nim sukcesję.

Co do mnie osobiście, jeśli czasem broni mnie ona i wstrzymuje od kroków nierozważnych, to natomiast daleko częściej nuży mnie, nie pozwala mi się skupić całkowicie i wyłącznie w jednem działaniu. Noszę w sobie dwóch ludzi, z których, gdy jeden ciągle zeznaje i krytykuje, drugi żyje tylko półżyciem i traci wszelką stanowczość...

Odziedziczyłem zapewne po ojcu umysł syntetyczny, bo staram się zawsze uogólniać wszystkie zjawiska; z nauk zaś żadna nie pociąga mnie tak, jak filozofja. Ale za czasów mego ojca filozofja obejmowała taki sobie, ni mniej, ni więcej, zakres, jak wszechświat i wszechbyt, wskutek tego miała gotową odpowiedź na wszelkie pytania. Obecnie stała się ona o tyle rozsądną, iż przyznaje, że jej w dawnem ogólnem znaczeniu niema — i że istnieje tylko

jako filozofja poszczególnych gałęzi wiedzy. Doprawdy, gdy o tem myślę, chce mi się powiedzieć, że i rozum ludzki ma swoją tragedję i że zaczęła się ona dla niego właśnie wraz z tem wyznaniem swojej niemocy. Ponieważ piszę osobisty pamiętnik, będę więc mówił o tych rzeczach ze stanowiska osobistego. Nie mam się za fachowego filozofa, bo z fachu, jak już wspomniałem, jestem niczem — ale jak wszyscy ludzie myślący, zajmowałem się najnowszym ruchem filozoficznym, byłem i jestem pod jego wpływem i mam zupełne prawo mówić o tem, co weszło w skład i wpłynęło na wytworzenie się mojej istoty umysłowej i moralnej.

Przedewszystkiem zaznaczam, że moje wierzenia religijne, które wyniosłem jeszcze nietknięte z Metz, nie ostały się wskutek czytania książek przyrodniczo-filozoficznych. Nie idzie za tem, bym był ateistą. Och, nie! To było dobre dawniej, za owych czasów, gdy jeśli ktoś nie uznawał ducha, mówił sobie: materja — i zaspakajał się tem słowem. Dziś tylko parafjalni filozofowie stoją na takiem zacofanem stanowisku. Dziś filozofja takich rzeczy nie przesądza, dziś odpowiada na podobne pytanie: «nie wiem» — i to «nie wiem» wszczepia w duszę. Dziś psychologja zajmuje się analizą bardzo ścisłą wszelkiego rodzaju objawów psychicznych, lecz zapytana o nieśmiertelność duszy, odpowiada także: «nie wiem» — i istotnie nietylko nie wie, ale nie może wiedzieć.

A teraz łatwo mi będzie określić stan mego umysłu. Oto: nie wiem, nie wiem! W tem, w tej uznanej impotencji ludzkiego rozumu, leży tragedja. Bo pomijając, że natura nasza duchowa będzie zawsze gwałtu krzyczała o odpowiedź na podobne pytania, toż to przecie są pytania największej wagi realnej, najbardziej człowieka obchodzące. Jeśli po tamtej stronie jest coś i to coś wieczystego, to nieszczęścia i straty po tej stronie maleją do zera. Możnaby do nich zastosować słowa Hamleta: «A to niech djabli porwą żałobę, ja wezmę sobole!» «Zgadzam się na śmierć, mówi Renan,* ale niech wiem, że mi się ona na coś przyda». A filozofja odpowiada: «Nie wiem».

Człowiek zaś szamocze się w tej wielkiej niewiadomej, czując, że gdyby się mógł na którąkolwiek stronę przechylić, to jednak byłoby mu lepiej i spokojniej. Ale cóż na to poradzić? Czy winić filozofję, że zamiast budować systematy, które się codzień rozlatywały, jak domki z kart, uznała własną niemoc i zajęła się badaniem i uporządkowywaniem zjawisk, leżących w przystępnych dla rozumu granicach? Nie! Sądzę tylko, że ja i każdy inny miałby prawo przyjść do niej i powiedzieć jej: «Podziwiam twoją trzeźwość,

uwielbiam ścisłość analizy, ale z tem wszystkiem uczyniłaś mnie nieszczęśliwym. Nie masz, jak sama przyznajesz, dość siły odpowiedzieć na pytania pierwszej dla mnie wagi — a miałaś jej dość, by podkopać moją ufność w naukę, która mi na nie odpowiadała nietylko stanowczo, ale w sposób kojący i słodki. I nie mów, że ponieważ nie przesądzasz nic, więc pozwalasz mi wierzyć we wszystko. Nieprawda! Metodą twoją, duszą twoją, istotą twoją, jest zwątpienie i krytyka. Tę twoją naukową metodę, ten sceptycyzm, tę krytykę, tak wszczepiłaś w moją duszę, że stała się ona moją naturą. Wypaliłaś, jak kamieniem piekielnym, we mnie wszystkie te nerwy ducha, któremi się wierzy bezkrytycznie i poprostu, tak, że dziś, gdybym chciał wierzyć, to nie mam czem. Pozwalasz mi chodzić na mszę, jeśli mam ochotę, ale zatrułaś mnie sceptycyzmem do tego stopnia, że dziś jestem sceptykiem nawet względem ciebie, nawet względem własnego sceptycyzmu, i nie wiem, nie wiem, nie wiem! — i męczę się i szaleję w tej ciemności!!!

Rzym, 12 stycznia.

Wczoraj pisałem w pewnem uniesieniu. Ale też zdaje mi się, żem dotknął próchna i mojej własnej i ogólnej ludzkiej duszy.

. . . . . .

Rzym, 13 stycznia (str. 51—55).

Sceptycyzm, ów sceptycyzm podniesiony do kwadratu, wyłącza we mnie wszelkie niewzruszone przekonania. Patrzę, obserwuję, krytykuję — i czasem zdaje mi się, że chwytam istotę rzeczy, ale zresztą gotów jestem zawsze i o tem powątpiewać. O moim stosunku do religji mówiłem. Co do przekonań społecznych, jestem o tyle konserwatystą, o ile człowiek w moich warunkach być nim poniekąd musi, i o ile konserwatyzm odpowiada moim upodobaniom. Nie potrzebuję mówić, jak daleko od tego do poglądu na zachowawczość, jak na dogmat, którego krytykować nie wolno. Jestem człowiekiem nadto ucywilizowanym, abym stał bezwzględnie po stronie arystokracji lub demokracji. W takie rzeczy bawią się jeszcze po zaściankach lub w dalekich stronach, gdzie idee przechodzą tak, jak mody, o kilkanaście lat zapóźno. Od czasu, jak nie istnieje przywilej, kwestja jest, podług mnie, zamknięta; tam zaś, gdzie ją zacofanie podtrzymuje, stała się kwestją nie zasad, ale próżności i nerwów. Co do mnie, lubię ludzi rozwiniętych, wyrobionych nerwowo i szukam ich tam, gdzie mi ich znaleźć łatwiej.

Lubię ich tak, jak lubię dzieła sztuki, piękną naturę, piękne kobiety. Pod względem estetycznym posiadam nerwy nietylko wyrobione, ale może nawet przerafinowane. Składała się na to i przy-

rodzona wrażliwość i wychowanie, jakie odebrałem. Ta estetyczna wrażliwość daje mi tyle samouciech, ile przykrości, ale wyświadczała i wyświadcza mi ona jedną wielką przysługę, mianowicie chroni od cynizmu, czyli od ostatniego zepsucia i zastępuje mi poniekąd zasady moralne. Nie popełniłbym wielu uczynków nietyle może dlatego, że są złe, ile dlatego, że są szpetne. Z moich estetycznych nerwów płynie także delikatność uczuć. Wogóle zdaje mi się, że jestem człowiekiem — być może trochę popsutym — ale porządnym, lubo naprawdę mówiąc, poniekąd zawieszonym w powietrzu, bo nie wspierającym się na żadnych dogmatach, ani pod względem religijnym, ani społecznym. Nie mam także celu, dla którego bym życie mógł poświęcić.

Na zakończenie tej syntezy, słowo jeszcze o moich zdolnościach. Ojciec, ciotka, koledzy, a czasem i ludzie obcy, uważają je za wprost nadzwyczajne. Ja przyznam, że mój umysł ma pewną błyskotliwość. Ale czy *l'improductivité slave* nie rozwieje pokładanych we mnie nadziei? Na mocy tego, com dotychczas zrobił, a raczej na mocy tego, żem dotychczas nic nie zrobił, nietylko dla drugich, ale nawet dla siebie, godzi mi się przypuszczać, że tak.

A zeznanie to kosztuje mnie więcej, niż się zdaje. Ironja moja, gdy o sobie myślę, ma smak goryczy. Jest coś jałowego w tej glinie, z której Bóg stworzył Płoszowskich, skoro na niej tak łatwo i bujnie wszystko porasta, a nic nie wydaje ziarna. Gdybym istotnie przy tej jałowości, przy tej niemocy czynu, posiadał nawet genjalne zdolności, to byłbym jakimś szczególnym rodzajem genjuszu bez teki, jak bywają ministrowie bez teki.

To określenie: genjusz bez teki, wydaje mi się bliskie istoty rzeczy. Muszę wziąć na nie patent wynalazku. Ach! i znowu ta pociecha! Oto nie sam jeden, dalibóg, nie sam jeden będę nosił to miano. Imię moje jest legjon! *L'improductivité slave* istnieje swoją drogą, a swoją drogą: genjusz bez teki, to nasz, czysto nadwiślański płód. Raz jeszcze powtarzam, że imię moje jest legjon. Nie znam zakątka ziemi, w którymby tylu marnowało świetne zdolności, — w którymby ci nawet, którzy coś dają, dawali tak mało — tak niesłychanie mało, w stosunku do tego, co im Bóg dał.

III. 1890—1914.

WARUNKI ROZWOJU LITERATURY W LATACH 1890—1914.

Pod zaborem pruskim rząd w dalszym ciągu popierał usilnie działalność germanizacyjną hekatystów, bezwzględnie i srogo tłumiąc każdy opór, jak np. w r. 1901 rozruchy we Wrześni. Komisja kolonizacyjna otrzymała drugie 100 miljonów marek, to też w ciągu 20 lat osadziła na rdzennie polskich ziemiach 15.000 niemieckich rodzin. W r. 1908 rząd pruski, niezadowolony z takich wyników, przeprowadził ustawę o przymusowem wywłaszczaniu Polaków, oraz prawo o stowarzyszeniach i zgromadzeniach, zabraniające prowadzenia obrad w języku polskim we wszystkich miejscowościach, gdzie nie było ponad 60% ludności polskiej. Na podstawie sfałszowanej statystyki nawet Poznań do takich miast zaliczono. Społeczeństwo jednak poznańskie broniło się przed wynarodowieniem wytrwale i skutecznie za pomocą własnych banków parcelacyjnych, zarobkowych spółek, «Kółek rolniczych», czytelń ludowych, kółek samokształceniowych, słowem legalną, lecz solidarną patrjotyczną pracą. Dzięki temu oświata przenikata w najszersze warstwy, a z nią wzmagał się powszechny dobrobyt.

W Galicji o tyle tylko stan polityczny zmienił się, że liberalna ordynacja wyborcza do Rady Państwa porwała w wir spraw politycznych i społecznych warstwy robotnicze i ludowe. Nowe stronnictwa, ludowców i polskiej partji socjalistycznej, na czele swych programów postawiły dążenie do niepodległości Polski. Wielka wystawa urządzona we Lwowie w rocznicę powstania Kościuszki, chlubnym była dowodem wszechstronnego rozwoju Galicji.

Pod zaborem rosyjskim po wstąpieniu na tron cara Mikołaja II (1894) pod grozą wzmagającego się w głębi Rosji terroru nihilistów, ucisk carskiego rządu nieco osłabł. W Warszawie śród

wymownego milczenia olbrzymich tłumów — (zabroniono przemawiać) — odsłonięto pomnik Mickiewicza. Klęska Rosji w wojnie z Japonją (1904—1905) wywołuje w r. 1905 rewolucję z powszechnym strejkiem w Rosji. Rewolucja ta nie porwała solidarnie całego narodu polskiego do zbrojnej walki o niepodległość; usiłowania w tym kierunku Józefa Piłsudskiego spotkały się z niechęcią zarówno stronnictwa narodowo-demokratycznego (z Romanem Dmowskim na czele), jak znacznej części polskiego stronnictwa socjalistycznego. Skończyło się na manifestacjach i t. zw. «bojówce», t. j. sporadycznych zbrojnych zamachach. Zdusił to warszawski generał-gubernator Skałłon srogiemi represjami. Piłsudski ze swoimi schronił się do Galicji.

Tylko szkolnictwo polskie odniosło korzyść z tego zamętu. Gdy w r. 1905 młodzież sama bez zezwolenia rodziców zbojkotowała znienawidzone rządowe szkoły, powstały bezprzykładną w dziejach prywatną ofiarnością szybko zorganizowane szkoły polskie ludowe, średnie i uniwersytety ludowe z naczelną «Macierzą szkolną» i jej prezesem, Henrykiem Sienkiewiczem [1]).

W r. 1906 zebrała się w Petersburgu pierwsza rosyjska Duma; spotkali się w niej posłowie z Królestwa (w liczbie 36) z niechęcią zarówno rządu, jak reszty posłów. Zapadła uchwała, zmniejszająca liczbę posłów z Królestwa do 12, w czem dwóch miało być Rosjan. Rząd, korzystając z tej niechęci, cofał ulgi kulturalne, przyznane Polakom podczas rewolucji, zamknął «Macierz szkolną», wykupił z rąk polskich przymusowo kolej Warszawsko-Wiedeńską, wreszcie na mocy uchwały Dumy wcielił do cesarstwa ziemię chełmską za karę za to, że ludność jej, korzystając w r. 1905 z ukazu tolerancyjnego, masowo przeszła na katolicyzm.

Jak w okresie poprzednim, tylko coraz szersze kręgi warstw społecznych obejmując, rozwijał się we wszystkich trzech zaborach ruch literacki i naukowy.

Około roku 1890 zaczęła się zwolna budzić reakcja przeciwko zastojowi poezji i sztuki. Szła ona z Francji i Belgji, gdzie coraz większą uwagę zwracały poezje Baudelaire'a,* Verlaine'a* i Maeterlincka*. Pierwszym jej u nas zwiastunem było pismo literackie *Życie*, założone w r. 1887 i redagowane przez Miriama (Zenona Przesmyckiego) [2]).

---

[1]) W krótkim czasie swego istnienia «Macierz szkolna» utrzymywała około 800 szkół ludowych i średnich, 400 ochronek, 600 czytelń i bibljotek.

[2]) Zenon Przesmycki, ur. 1861 r., pisał oryginalne poezje (np. *Z czary miłości*, 1894, *Pro arte* 1914), wydał w pełnej artystycznego przepychu formie 10 tomów *Chimery*, najwięcej jednak zasłużył się w literaturze mistrzowskiemi przekładami, np. Vrchlickiego,* Zeyera,* Maeterlincka.

Rzucił on tu energiczne hasło przeciwdziałania «pewnemu skrzywieniu pojęć, wywołanemu rozwielmożnieniem się tendencyjności w literaturze pięknej i kierowania się w wyborze utworów głównie wartością ich artystyczną». Hasło to po upadku warszawskiego *Życia* podjęło grono młodych literatów, poetów i artystów w Krakowie. Tu teatr pod zarządem Tadeusza Pawlikowskiego po r. 1891 wystawiać począł dramaty Maeterlincka, Przybyszewskiego *(Dla Szczęścia*, Wyspiańskiego *Warszawiankę)*, Rydla *(Zaczarowane Koło)*, Kisielewskiego *(W sieci*, *Karykatury)*. Hasło odrodzenia sztuki dzielnie popierała Akademja Sztuk Pięknych, w której profesorami byli wówczas artyści tej miary, jak Jacek Malczewski, Juljan Fałat, Leon Wyczółkowski i młodzi, świeżo po długoletniem kształceniu się we Francji przybyli: Józef Mehoffer i Stanisław Wyspiański. Powstaje w r. 1897 organ literacki młodych, *Życie* [1]). Umieszcza ono poezje i artykuły wielu młodych [2]), z których niektórzy mieli stać się z czasem pierwszorzędną chlubą naszej literatury.

Tymczasem ich twórczość ówczesna, oraz wywody teoretyczne, pokrewne z pierwszemi artykułami Miriama, wywołały bardzo silny sprzeciw zarówno ze strony tych, którzy upatrywali piękno głównie w ideałach etycznych, jak z drugiej strony i tych także, którzy pragnęli, aby poezja polska była przedewszystkiem odzwierciedleniem narodowego ducha polskiego. Zasadnicze poglądy pierwszych znajdujemy w wydanych w roku 1900 *Szkicach literackich* Marjana Zdziechowskiego, — a drugich w rozprawach Stanisława Szczepanowskiego [3]).

Jeszcze więcej ożywił się ruch literacki, gdy w r. 1899 objął redakcję *Życia* Stanisław Przybyszewski i ogłosił tu programowy swój artykuł p. t. *Confiteor*, w którym bezwzględnie, absolutnie i skrajnie teoretycznie (stanowisko to sam później zmienił) czystą sztukę stawiał ponad narodem, moralnością i wogóle jakąkolwiek ideą [4]).

---

[1]) Założycielem był Ludwik Szczepański, redagował zrazu Artur Górski, od r. 1898—1900 Stanisław Przybyszewski.

[2]) Zenona Przesmyckiego, Kazimierza Tetmajera, Jana Kasprowicza, Antoniego Langego, Jerzego Żuławskiego, Władysława Orkana, Lucjana Rydla i innych.

[3]) Patrz w *Wypisach* uwagę o życiu i wyjątki z rozprawy p. t. *Idea polska wobec prądów kosmopolitycznych*, Lwów 1901, drukowanej w *Słowie Polskiem* w r. 1897 wraz z aforyzmami o wychowaniu.

[4]) Patrz w *Wypisach*.

Rozprawa ta wywołała ożywiony ruch literacki, którego rezultatem było odrodzenie się poezji, świeżej, szczerej, oryginalnej, pełnej w dalszym rozwoju idealizmu i płomiennych uczuć patrjotycznych (np. Wyspiańskiego), odznaczającej się także bogactwem, rozmaitością i subtelnością nowych form artystycznych.

STANISŁAW PRZYBYSZEWSKI. [1])

Confiteor. [2])

Sztuka w naszem pojęciu nie jest ani «piękno», ani «ein Theil der Erkenntnis [3])», jak ją Schopenhauer nazywa; nie uznajemy również żadnej z tych bezlicznych formułek, jakie estetycy stawiali, począwszy od Platona, aż do starczych niedorzeczności Tołstoja.*

Sztuka jest odtworzeniem tego, co jest wiecznem, niezależnem od wszelkich zmian lub przypadkowości, niezawisłem ani od czasu, ani od przestrzeni, a więc: odtworzeniem istotności, t. j. duszy. I to duszy, czy się we wszechświecie, czy w ludzkości, czy w pojedynczem indywiduum przejawia.

Sztuka zatem jest odtworzeniem życia duszy we wszystkich jej przejawach, niezależnie od tego, czy są dobre lub złe, brzydkie lub piękne. To właśnie stanowi zasadniczy punkt naszej estetyki.

Sztuka wczorajsza była na usługach tak zwanej moralności. Nawet najpotężniejsi artyści z małemi wyjątkami nie byli w stanie śledzić przejawów duszy, oderwanych od tak zmiennych pojęć, jak pojęcia moralne lub społeczne, zawsze potrzebowali dla dzieł swych płaszczyka moralno-narodowego. Sztuka w naszem pojęciu nie zna przypadkowego rozklasyfikowania objawów duszy

---

[1]) Autor powieści, artykułów i dramatów, zapomocą których ożywił reakcję przeciwko pozytywizmowi i naturalizmowi doby poromantycznej.

[2]) Wyjątki z tego artykułu programowego, umieszczonego na czele krakowskiego *Życia* Nr. 1 z 10 stycznia 1899, podaje się tu ze względu na rozgłos i wpływ, jaki artykuł ten wywarł na twórczość t. zw. «Młodej Polski», oraz na polemikę, jaką wywołał. «Od czasu rozprawy Mickiewicza o krytykach i recenzentach warszawskich — pisze Jan Lorentowicz w *Młodej Polsce* 1908 — nie mieliśmy manifestu literackiego równie bezwzględnego, równie śmiałego, równie zuchwałego». [3]) Częścią poznania.

na dobre lub złe, nie zna żadnych zasad czy to moralnych, czy społecznych: dla artysty w naszem pojęciu są wszelkie przejawy duszy równomierne, nie zapatruje on się na ich wartość przypadkową, nie liczy się z ich przypadkowem złem lub dobrem oddziaływaniem czy to na człowieka lub społeczeństwo, tylko odważa wedle potęgi, z jaką się przejawiają.

A więc substrat naszej sztuki istnieje dla nas jedynie tylko ze strony swej energji, zupełnie niezależnie od tego, czy jest dobrem lub złem, pięknem czy brzydotą, czystością czy harmonją, rozpasaniem, zbrodnią czy cnotą.

Artysta odtwarza zatem życie duszy we wszystkich przejawach; nie go nie obchodzą ani prawa społeczne, ani etyczne, nie zna przypadkowych odgraniczeń, nazw i formułek, żadnych z tych koryt, odnóg i łożysk, w jakie społeczeństwo olbrzymi strumień duszy wepchnęło i osłabiło go: artysta zna tylko — powtarzam — potęgę, z jaką dusza nazewnątrz wybucha.

Sztuka jest objawieniem duszy we wszystkich jej stanach, śledzi ją na wszystkich drogach, wybiega za nią we wieczność i wszechprzestrzeń, wgłębia się w nią w prasiły bytu i sięga w tęczowe szczyty.

Sztuka nie ma żadnego celu, jest celem sama w sobie, jest absolutem, bo jest odbiciem absolutu-duszy.

A ponieważ jest absolutem, więc nie może być ujętą w żadne karby, nie może być na usługach jakiejśkolwiek idei, jest panią, praźródłem, z którego całe życie się wyłoniło.

Sztuka stoi nad życiem, wnika w istotę wszechrzeczy, czyta zwykłemu człowiekowi ukryte ramy; obejmuje wszechrzecz od jednej wieczności do drugiej, nie ma ni granic, ni praw, zna tylko jedną odwieczną ciągłość i potęgę bytu duszy, kojarzy duszę człowieka z duszą wszechnatury, a duszę jednostki uważa za przejaw tamtej.

Sztuka tendencyjna, sztuka pouczająca, sztuka rozrywka, sztuka patrjotyzm, sztuka mająca jakiś cel moralny lub społeczny, przestaje być sztuką, a staje się *biblia pauperum* dla ludzi, którzy nie umieją myśleć lub są zbyt mało wykształceni, by móc odczytać odnośne podręczniki, — a dla takich ludzi potrzebni są nauczyciele wędrowni a nie sztuka.

Tak pojęta sztuka staje się najwyższą religją, a kapłanem jej jest artysta. Jest on osobisty tylko wewnętrzną potęgą, z jaką stany duszy odtwarza, poza tem jest kosmiczną, metafizyczną siłą, przez jaką się absolut i wieczność przejawia.

Był on pierwszym prorokiem, który wszelką przyszłość odsłaniał, a tłumaczył ramy zapleśniałej przeszłości, był magiem, co przenikał najgłębsze tajemnice, obejmował tajne związki wszechświatów, przeczuwał i odkrywał ich wzajemne na siebie działanie, a z wiedzy tej tworzył sobie moc, co gwiazdy na niebie w ich biegu zastanawiała, był wielkim mędrcem, który wiedział najtajniejsze przyczyny i tworzył nowe nigdy nie przeczuwane syntezy: artysta ten to *ipse philosophus, demon, Deus et omnia* [1]).

Naród to cząstka wieczności, i w nim tkwią korzenie artysty, z niego z ziemi rodzinnej ciągnie artysta najżywotniejszą swą siłę. W narodzie tkwi artysta, ale nie w jego polityce, nie w jego zewnętrznych przemianach, tylko w tem, co jest w narodzie wiecznem: jego odrębności od wszystkich innych narodów, rzeczy niezmiennej i odwiecznej: w rasie.

ZENON PRZESMYCKI. [2])

Walka ze sztuką.

Schyłek wieku ubiegłego, nie ustępujący innym epokom lub może przewyższający je pod względem owej śmiesznej, dziecinnej zarozumiałości, był widownią zupełnego chaosu duchowego, rozbicia wszystkich pojęć na drzazgi empiryczne [3]), osłabionej zdolności syntetycznego [4]), celowego myślenia i działania, zamętu i anarchji [5]), jakie świat rzadko snadź widywał. Nie dziw zatem, iż przychodząc z uprzedzeniem gotowem o doskonałości i wielkości tak bardzo sławionego, a niestety nader nieokreślonego «postępu», i nie mogąc nadto wyjść poza mniejsze lub większe konglomeraty [6]) faktów i wznieść się do jakichkolwiek uogólnień, patento-

---

[1]) «Sam filozof, duch, Bóg i wszystko».

[2]) Zenon Przesmycki (Miriam), ur. 1861 r., odegrał wybitną rolę jako polemista i krytyk w obronie czystej sztuki najpierw w warszawskiem *Życiu* (od r. 1887), następnie jako wydawca *Chimery* (10 tomów), tłumacz obcych poetów, wreszcie jako oryginalny poeta liryczny.

[3]) Empire (gr.) doświadczenie, inaczej poznanie, oparte na stwierdzonych zmysłami faktach.

[4]) Synthesis (gr.) złączenie różnorodnych szczegółów w jedną całość — w przeciwieństwie do analizy.

[5]) Anarchja (gr.) — bezrząd.

[6]) Konglomerat (łać.) całość, uformowana z naturalnego spojenia się drobinowych cząstek.

wani rachmistrze zasług XIX stulecia dali się oszołomić zgiełkiem szczegółów, ciżbą «wielkich zdobyczy» i nie zauważyli najcharakterystyczniejszej wieku tego cechy: stałego, coraz gwałtowniejszego opadu ducha, rosnącej nieustannie i pod koniec wprost już zastraszająco nienawiści do wszystkich rzeczy wiekuistych, nie mieszczących się w granicach zmysłowego, ziemskiego poznania i życia.

Kiedyś wielka jakaś rewizja przeszłości — bo przyszłość to korektorka wieczna («Norwid») — zmodyfikuje też zasadniczo wnioski ostateczne tych panegirystów [1]) i wiek, dla którego niektórzy proponują dziś miano «wielkiego», nazwie wiekiem zrzeczenia się ludzkiej godności. Naszem w tej chwili przedsięwzięciem będzie jedynie zastanowienie się nad jednym z najbardziej znaczących objawów tej nienawiści, jakim jest ciągła i coraz gwałtowniejsza walka ze sztuką.

Napaści coraz zażartsze i zmieniające się wkońcu w prawdziwą nagonkę na każdy szczery, prawdziwy objaw sztuki, walki ze wszystkiemi próbami szukania nowych dróg twórczych, obnoszenie na tarczach wszelkich płytkich triumfatorów i wdzięczących się do tłumu służalców, zobelżenie lub grzebanie w głębokiem milczeniu największych, najgłębszych twórców, wojowanie ze stworzonemi *ad hoc* na postrach tłumów widzidłami, z próżnemi treści etykietami i nic nie mówiącemi etykietami zbiorowemi, wreszcie objawy wyraźnej nienawiści, wybijającej z błogiego snu zwierzęcego, nienawiść do wszelkiej głębi, do wszelkiej duchowości, do wszelkiego zapału czy wzlotu, — oto co charakteryzuje całą, przeszło pół wieku zajmującą, dobę romantyczną i różni ją od epok poprzedzających.

Ciągłość napaści tych wskazuje na istnienie wzmagającej się nieustannie, w każdym zakresie, pod każdą postacią, na całej linji walki ze sztuką samą, z jej źródłami i z jej najwyższą zasadą. Schyłek wieku ujrzał pogromców czy to śmielszej czy to świadomszej siebie natury, którzy zrzucając maskę, otwarcie już i bez jakichbądź obsłonek zaprzeczyli sztuce wszelkich praw do królewskiego stanowiska pani dusz, wyzwolicielki z ograniczoności cielesnej, pośredniczki między indywidualnością [2]) i absolutem [3]), uczynili ją

---

[1]) Panegiris (gr.) zgromadzenie ludu. Tu wyraz panegirysta w znaczeniu: chwalca — pochlebca.

[2]) Indywidualność (łac. Individuum) — nie dające się rozdzielić, oznacza zazwyczaj duchowe cechy jednostki ludzkiej, wyróżniającej ją od innych ludzi.

[3]) Absolutem, albo absolutnym bytem nazywa się w filozofji pojęcie

«funkcją społeczną», zostawili jej rolę rozrywki, uprzyjemniającej życie lub wózka dla tendencji [1]) i wyraźnie stwierdzili — gdyby nad to podrzędne stanowisko wznieść się pragnęła i śmiała — swą nieprzejednaną dla niej nienawiść.

«Nie rozumiem, jakim sposobem można być narodu zrobić zależnym od sztuki, która jest tylko jego ozdobą? To raczej sztuka zależy od narodu, od jego skromnych pracowników. Bo co poczęliby wszechwładni poeci, malarze, fortepianiści, gdyby rolnik, młynarz i piekarz nie dostarczył im chleba, szewc — butów, krawiec — modnego fraka, bankier — pieniędzy i t. d.»

Inny autor mówi o Słowackim, że «gdy na orlich skrzydłach wzniósł się i wkroczył do *Dichters Lande*... w osłupieniu niemal przypatrujemy się nadczłowieczym wzlotom, kręgom i zatokom autora Genezis z Ducha... atoli iść za nim nie możemy... prowadzi nas bowiem w zaświaty, na wyżyny tak zawrotne, że wolimy pozostać na padole» (T. T. Jeż). Inny znów ostrzega, że «pogoń za pięknością, to najpewniejsza droga do pozy teatralnej i blichtru scenicznego» (St. Szczepanowski). Inny jeszcze robi zarzut, że «poezja zajmowała w naszem życiu umysłowem zawsze za dużo miejsca» (J. Ochorowicz). Reasumują rzecz wyraźne już zupełnie i godne upamiętnienia... medytacje: «Co myśleć o społeczeństwie, w którem poezja zasłania wszystkie inne sfery uczucia i życia, a laury opłątają nogi aktorom?» — «Rasy, do których należy przyszłość, szukają idei pożytecznych; zużyci i dogorywujący wzdychają do czystego piękna» (B. Prus).

Te otwarcie już wrogie wystąpienia przeciwko samej istocie sztuki, to uświadomienie się nurtującej dawno już w tłumach tajemnej nienawiści do ostatniej dusz pani, jest przełomem stanowczym i czyni z prostego terminu astronomicznego, jakim jest koniec stulecia, ideowy punkt zwrotny i jakgdyby słup graniczny między dwiema ducha epokami.

Widownią walki ze sztuką były początkowo tylko łamy dzienników. Tam ograniczała się ona do inwektyw [2]) i napaści przeważnie gołosłownych i dlatego mniej jeszcze szkodliwych. Gdy publiczność została już należycie «wychowana», dziennikarze, nie

---

bytu samego w sobie, niezależnego od jakichkolwiek warunków lub przyczyn, zatem niedoświadczalnego (transcendentalnego).

[1]) Tendencja (łac.) oznacza w dziele literackiem jakąś dążność autora (religijną, polityczną, moralną) — w przeciwstawieniu do celów czysto artystycznych.

[2]) Inwektywa (łac.) — w znaczeniu niesłusznie krzywdzącego zarzutu.

zadawalając się już sporadycznemi wzmiankami i wycieczkami w doraźnych artykulikach, jęli systematyzować swe teorje i postulaty i pociągnęli za sobą gromady «dotkniętych chorobą pisania». I posypały się całe masy broszur, książek, studjów o sztuce i literaturze, pisanych bez najmniejszego przygotowania i znajomości rzeczy, rabujących wprost lub pośrednio dzieła, które jednocześnie łżono lub ośmieszano, robiących zarzuty, które tylko wobec ogólnej bezmyślności na serjo mogły być brane, stawiających wreszcie teorje i wnioski, świadczące o braku jakiegobądź przetrawienia nawet tego, co się miało pod ręką i o zdumiewającej wprost niezdolności porządnego myślenia.

Nie wojowanie czcze, ani nawracanie tych, co z prądem już poszli, celem jest naszych refleksyj.

Chodzi nam tylko o tych nielicznych, którzy, mając w rzeczach sztuki pośledniejsze aspiracje, nie mogą jednak sami dać sobie rady wśród chaosu pseudo-poważnych, stawianych nowym kierunkom, zarzutów niezdrowia, zmysłowości, kosmopolityzmu [1]), pesymizmu [2]), egoizmu [3]), niezrozumiałości, mistycyzmu [4]), dekadentyzmu [5]), oraz płytko bez zrozumienia lub ze złą wolą używanych terminów definicji (symbolu [6]), sztuki, piękna, genjuszu, treści i formy, sztuki dla sztuki i t. p.) i błąkają się rozpaczliwie w tym lesie, nie znajdując żadnej ku wyjściu wiodącej drożyny. Chodzi nam przedewszystkiem o nowe, wchodzące w życie generacje twórcze, które przez chaotyczną tego wszystkiego gęstwinę przedzierać się muszą. Dziś, jak nigdy, «ludzie młodych myśli dziwnie się

---

[1]) Kosmos (gr.) — wszechświat: stąd kosmopolitą nazywamy tego, który więcej dba o dobro wszystkich ludzi, niż o interes własnej ojczyzny.

[2]) Optymizm (od łac. *optimus* — najlepszy), pesymizm (od łac. *pessimus* — najgorszy) oznaczają w mowie potocznej skłonność do oceniania wszystkiego z najlepszej lub najgorszej strony; w filozofji służą one do określenia zasadniczego poglądu na świat, jako bądź najlepszy, bądź też najgorszy ze wszystkich możliwych.

[3]) Egoizm (od gr. ego) oznacza w sztuce skrajny indywidualizm.

[4]) Mistycyzm — od gr. wyrazu «mystos» wtajemniczony w religijne tajne obrzędy (misterje). Mistycyzmem w religji nazywamy kierunek, przypisujący bezpośrednim wpływom świata nadprzyrodzonego główne w losach duszy ludzkiej znaczenie.

[5]) *Décadance* (fr. — upadek). W poezji nowszej dekadentyzmem nazywają kierunek nacechowany wyrafinowaniem i przedrażnieniem a pozbawiony młodzieńczej naiwności, świeżości i siły. Za jego twórcę we Francji uważa się lirycznego poetę Baudelaire'a.*

[6]) Od greckiego «symbolon», znak, po którym wzajemnie można się porozumieć.

wahają» (Kochanowski), dziś, jak nigdy, «*es ist dafür gesorgt, dass die Bäume nicht in den Himmel wachsen*» [1]) (Goethe). Gwoli tym szukającym, gwoli tym młodym, chcemy rozpatrzyć kolejno zarzuty i określenia, co równoznacznem będzie z prośbą roztrząśnięcia na nowo zasadniczych zagadnień estetyki, sztuki i twórczości. Nauczać nie chcemy nikogo; pragniemy jedynie, aby roztrząsania nasze obudziły lub podnieciły zdolność głębszego, sięgającego aż ku dnom rzeczy zastanowienia się. Wiedzę, świadomość, każdy czerpać musi z siebie, nie z innych, atoli drogę dobrym wysiłkom przez usunięcie namułów frazesowych skutecznie utorować można, i to po niniejszem wstępnem stwierdzeniu ogólnego stanu atmosfery duchowej — naszem będzie zadaniem.

(Tredecim). [2]) Walka o snobów. [3])

Gdy świeży powiew europejskiej myśli minie rogatki warszawskie i uzbroi polemistów i dziennikarzy, wszczyna się gwarna i hałaśliwa bitwa przed forum znudzonych kobiet, gadatliwych wyrostków i gnuśnych, napół sennych poczciwców. Z szańców nowych idei eksplodowały niegdyś, jak bomby, nazwiska Spencera,* Comte'a,* Buckle'a,* Malthusa,* Darwina* i Haeckla,* hufcem następowały dewotki; a z okopów św. Trójcy grzmiały ciężkie działa obywatelskości, społecznego zdrowia i wszelakich cnót i obowiązków. *Coram indolentia publica* [4]) toczyła się dowcipna walka o ideały, ścierali się styliści, parując nawzajem plotkę, fałsz i oszczerstwo. Zwycięzcy (oba obozy zwyciężają w takich razach równocześnie) składają broń wtedy dopiero, gdy zatrute strzały dziennikarskie obezwładnią lub zniechęcą tych, co w gwar bitwy nieśli z dobrą wiarą rzetelną wiedzę i prawdziwy talent. Filozofja, nauki społeczne a przedewszystkiem wiedza przyrodnicza, wywiązawszy się znakomicie z roli publicystycznej tarczy i oręża, zakończyłyby pełny chwały żywot swój u nas, gdyby nie rozpaczliwe wysiłki garstki nieznanych ogółowi specjalistów, którzy poprzez hałaśliwą, lecz jałową epokę walki, sięgnęli wstecz i próbo-

[1]) «Postarano się o to, by drzewa nie wyrosły do nieba».

[2]) Tredecim — anonim, którym podpisywał się autor t. zw. *Glossów*, ogłaszanych w *Chimerze*, dotyczących zagadnień krytyczno-literackich.

[3]) Snob — wyraz angielski, oznaczający zarozumialca, który przesadnie i na każdym kroku dba o formalną okazałość lub poprawność, skwapliwie zwłaszcza strojąc się w cudze piórka.

[4]) «Wobec nieudolnej publiczności».

wali nawiązać zerwane w początkach wieku nici. Bo w gwarze walki zapomniano bodaj i o tem, że przed tak niedawnemi stosunkowo czasy żyliśmy, jak każdy naród oświecony, nauką i sztuką równocześnie. Dziś wydaje się ludziom, że mała garstka tych, co swe życie sztuce poświęcili, — gnębić pragnie naukę. Publiczność, rozochocona widowiskiem walki, nudzi się w czasach spokoju, wyrzeka na oportunizm [1]) zapaśników, na brak zapalnych podniet czyli wielkich haseł, na bankructwo ideałów i nauki; pragnie polemiki bodajby kosztem myśli, łaknie dziennikarskich *circenses*, grożąc w przeciwnym razie gnuśnem i tępem zobojętnieniem na wszelkie objawy duchowego życia.

To «dziennikarzenie» społeczeństwa pragnie zkolei wprowadzić i nas na arenę. Już się snoby po amfiteatrach roją, już sobie obiecują widowisko, już gotowi klaskać, gwizdać, szczuć jednych przeciwko drugim.

Tym razem zawiodą się gorzko. Stokroć ważniejszą, niżli wszelkie polemiki, wydaje się nam konieczność rozjaśnienia atmosfery wokół siebie, rozejrzenia się wśród naszych przyjaciół, oraz tych, co za nich uchodzić pragną.

Po smutnym typie struggle-lifera [2]), któremu było wygodnie z teorją walki o byt, z Darwinem* i Malthusem,* z patronem hasła «pracy u podstaw», — zjawił się oto typ nowy.

Artysta symulant, ten obrotny rzemieślnik, żądny popularności, a chciwy użycia, to najweselsze dziecko owej sztuki, dla której genjuszem jest lekkonogi Hermes, muzą — *Venus vulgivaga* [3]), wyrocznią — dzień dzisiejszy. Kto nie zna tych zwinnych, skrzętnych, na wszystkie strony zezujących i wszędzie szukających sympatji — artystów? Nadewszystko skrzętnych! Kto nie zna tych, co mają przyjaciół przy każdej rogatce, protektorów w każdej sferze towarzyskiej, w każdem piśmie swych życzliwych, swoje Warszawianki w każdym salonie? Panowie ci bywają zawsze kwintesencją [4]) czasu, o ile atmosferę jego wchłonąć można na ulicy i w salo-

---

[1]) Od łac. wyrazu: *oportunus* — dogodny, zasadę poświęcający osobistej wygodzie.

[2]) *Struggle for life* (ang. czytaj: sztröggl for laif) — walka o byt.

[3]) *Venus Vulgivaga* (łac. krążąca w tłumie, — odpowiada greck. Aphrodite Pandemos.

[4]) *Quinta essentia* (piąty koniec bytu) — u Pytagorejczyków nazywał się eter. Dziś kwintesencją — nazywają popularnie wywar zgęszczony, stąd najlepszą cząstkę każdej rzeczy.

nach; są ekstraktem [1]) nowych prądów, o ile wwionie je do uszu gazeta lub moda. Są tak doskonale «w stylu...», tak znakomicie «a la»..., że służą recenzentom za freblowskie wprost pokazy w ich prelekcjach o sztuce. Dzieje się to dla bardzo zrozumiałego powodu; szerokie koła wolą od nowej myśli i indywidualnych usiłowań, zmuszających bądź co bądź do zastanowienia, — ich karykaturę, dającą miłe poczucie wyższości i pozwalającą przy tanim nakładzie wiedzy i inteligencji odnosić łatwe zwycięstwa lub, co dziwniejsza, z tąż karykaturą, jako z rzeczą bądź co bądź przystępniejszą, zawierać ugodowe pakty. Przypuszczalny chorąży «nowego kierunku» pokonywa tymczasem snobów, którzy codziennemi programami wszak żyją i żyć pragną i z tą armją ciągnie na sceptyków [2]), którzy jako nieobecni, mogą być uważani za pokonanych. Wreszcie czeka go główna batalja z filistrem [3]). Czyjś indywidualny motyw [4]), przetransportowany [5]) na jaskrawy i kompromisowy [6]) efekt, stacza walkę z całkowitą indolencją [7]), zwycięża oczywiście efekt. I tak po bezkrwawej wojnie triumfuje — «kierunek!» Oczywiście kierunek! Artysta symulant [8]) zawsze walczy w imię nowego kierunku, w imię stylu..., na chwałę «a la»..., ponieważ on sam nic nie przedstawia, ponieważ w sobie nie ma nietylko nic takiego, coby zwyciężać potrzebowało i mogło, lecz nawet nic, z czemby walczyć było można. Takimi są popularni chorążowie secesji [9]) i modernizmu [10]), równie secesyjni, jak dekoracje modnych kawiarni, równie modernistyczni, jak okładki nowych książek firm wydawniczych, równie przystępni, jak wszyst-

---

[1]) Ekstrakt od łac. wyrazu *extraho* — wyciągam.

[2]) Od greck. wyrazu *skepsis*, oznaczającego kierunek myślenia, który zniewala do największej ostrożności w wypowiadaniu sądów apodyktycznych.

[3]) Filistrami (Filistyńczykami) nazywają w Niemczech studentów nie należących do żadnego związku. Stąd filister — ograniczonego umysłu, parafjanin, kołtun.

[4]) *Causa motiva* — główny powód, z którego w utworze literackim wypływa t. zw. akcja, czyli rozwój działania.

[5]) Transponować (łać.) — przestawiać.

[6]) Łac. *compromissum* — porozumienie, oparte na wzajemnych zobowiązaniach. [7]) Łac. *indolentia* — nieudolność.

[8]) Od łać. *simulo* — udaję coś nieistniejącego.

[9]) Secesja — od łac. *secedo* — odłączenie się (odejście plebsu z Rzymu na górę świętą w r. 494 przed Chr.). W nowszej sztuce, zwłaszcza w malarstwie, secesją nazywamy kierunek, w kolorycie, treści i ujęciu jej różny od starego, ustalonego, skostniałego.

[10]) Modernizmem (od łac. *modernus* — nowy — nazywa się każdy najnowszy, najmodniejszy kierunek literacki, artystyczny czy socjalny.

kie płaskości repertuaru [1]) nadsceny, równie popularni, jak proklamowana i w zaczątkach już będąca *Localkunst* [2]), równie niezmordowani, jak np. Biernbaum, Wolzogen i inni, «pstrych teatrów inicjatorzy».

«Trzeba z żywymi naprzód iść» — słychać wokół artysty symulanta. Złośliwe echo powtarza niesmacznym akcentem przezorne: «Naprzód z młodymi trzeba iść!»

Gdy ze wszystkich barwnych kwiatów puszek efektu został zebrany, nektar popularnych sensacyj doszczętnie wypity, nawraca się artysta w wehikule, który go niósł, nie ma już nic do roboty. Z rozmachem życiowca skacze wprost w przeciwną stronę, wskutek czego, siłą bezwładu, runąć musi nieraz na zjemię. Nazywa się to: artysta znalazł wreszcie siebie, prawdopodobnie dlatego, że ustawicznie uganiając się za cudzemi cieniami, nakrył wreszcie swój własny.

Jest i drugi typ artysty symulanta, daleki od bezpośrednich widoków praktycznych, a więc znacznie sympatyczniejszy; — człowiek temperamentu i życiowej energji. Wywiązuje się bardzo poprawnie ze swych robótek, jest przytem pełen zapału i ognia w sprawach tyczących kierunków, celów i ideałów sztuki, podnosi tyle wrzawy, gwaru i kurzu wokół siebie, że gotów sprawić wrażenie człowieka, który rozpaczliwie czegoś szuka. Dziś go porywa sztuka da Vinciego,* jutro zwycięża potęga Michała Anioła, zrana jest spokojnym, jasnym i krzepkim Grekiem, po obiedzie przeczulonym i łagodnie zmysłowym prerafaelitą [3]), po kolacji błąka się mu po głowie Fragonard,* po winie Rops*, po likierach Przybyszewski, a po tak spędzonym wieczorze wśród bezsennej nocy trapią go wizje Goyi*. Ale to wszystko niema nic wspólnego z jego pracą, — temperament artysty wyładował się doszczętnie w słowach, sprzeczkach, projektach i krytykach: dzieła zostają po staremu bardzo poprawną, bezosobową robotą, bez śladu dążeń w jakimbądź kierunku, bez najlżejszych prób pogłębienia swej pracy uczuciem i siłą. Da Vinci z Fragonardem, Michał Anioł z Ropsem, prerafaelici z Goyą.

[1]) *Repertoire* (fr.) wybór dramatycznych utworów, przyjętych do przedstawień na jakiejś scenie.

[2]) *Lokalkunst* (niem.) sztuka lokalna, miejscowa... Oczywiście w znaczeniu ironicznem.

[3]) Prerafaelitami nazywają grupę nowożytnych malarzów, którzy widząc w dziełach Rafaela znamiona upadku sztuki malarskiej, szukają wzorów naiwnej i natchnionej wiarą prostoty w dziełach malarskich wcześniejszych, t. j. w średniowieczu.

Helleni z Przybyszewskim poszli spać; indywidualność, o której się z takim łoskotem rozprawiało, wytarła się w słowach, postrzępiła w sprzeczkach, rozwiała w krytykach; do pracy nie starczyło jej wcale.

Jest wreszcie cała falanga symulujących po salonach, rautach i buduarach już nie artyzm, ale zamiłowanie do niego, ta pospolita rzesza estetyków symulantów, głęboko przekonanych, że muzy ze szczególną lubością usługują sytym, próżnym i wykwintnym na zewnątrz.

Tych zwolenników odstąpić gotowiśmy każdemu, co się po nich jawnie bez wstydu zgłosi. Będziemy najszczęśliwsi, kiedy nastaną dla nich mody i czasy na inne nowinki. Tem łatwiej porozumiemy się z tymi, do których jedynie zwracać się pragniemy.

Tak więc, przyjaciele moi, słowa nas nie powiążą, zwłaszcza tak wytarte, jak secesja i modernizm.

Połączyć nas może tylko sztuka — ta jedyna i wieczna, co nie zna kierunków i haseł, lecz tylko twórczą moc i głębię artysty, który na niej swoje piętno wyciska, sztuka, poczynająca się nie z prądów dnia dzisiejszego, lecz z twórczej potrzeby jednostki, sięgająca w głąb jej duszy po indywidualne źródła poezji i artyzmu, sztuka, dojrzewająca w samotności, bez której twórcy niema, i przy rzetelnych darach rzetelną wypowiadająca się pracą. Więc w pracy tylko spotkać się możemy, po jej owocach poznać się i oceniać wzajemnie. A na to nie trzeba koniecznie za ręce się trzymać, niekoniecznie trzeba się skupiać w jednym salonie czy w jednem czasopiśmie. Poprzez dalekie kraje i obce mowy, poprzez drobiazg osobistych niechęci, wbrew drażnieniu dziennikarzy i szczuciu polityków, a więc wbrew nienawiściom plemiennym, rasowym i narodowym, tacy ludzie poznają się i oceniają wzajemnie. Lecz jeśli gdzieś w głuchym zakątku zapragnie mała garstka swe najskromniejsze bodajby, lecz rzetelnie pojęte umiłowanie zanieść pod ten wieczny znicz sztuki, jeśli na samym początku, przy pierwszych krokach spotka się z gniewnym pomrukiem sąsiadów lub arcywymownem ich milczeniem, jeśli z pomruków tych czy niemoty wyłaniać się poczną po kątach ciche zaklęcia, że zniszczy się te usiłowania, jeśli się sąsiedzi gdzieś po kątach zaroją, denuncjując sobie wzajemnie na ucho, że to są ci, co wnoszą rozkład obyczajowy w smutek naszego życia, wówczas ta garstka podać sobie musi na chwilę ręce, lecz na to tylko, by w gnuśnej atmo-

sferze czcigodnej obłudy i szlachetnego fałszu wywalczyć prawa jednostce, jednostce twórczej.

Nicht zum Guten, nicht vom Bösen
Wollen wir die Welt erlösen,
Nur zum Willen, der da schafft —
Dichterkraft ist Gotteskraft [1]).

Poza tem życie bądź co bądź płynie i u nas szerokiem korytem, niosąc i inne zagadnienia, na które każdy z osobna rozmaicie zapatrywać się może. Lecz wszystkich tych, którzy w rzeczach twórczości mają cośkolwiek wspólnego, łączy wiara, że na owym zniczu sztuki płoną trwalsze od miejsca, czasu i sąsiedzkich zapatrywań, niezależne, najistotniejsze i wieczne pierwiastki życia.

STANISŁAW SZCZEPANOWSKI. [2])

Idea polska wobec prądów kosmopolitycznych. [3])

Upadek narodów katolickich.

Polska była i jest narodem katolickim. Są Polacy innego wyznania; najlepsi patrjoci nieraz do nich należą. Na Śląsku austrjackim ruch narodowy rozpoczął się u protestantów, nie u katolików. Kalwin Potworowski był długoletnim przywódcą narodu polskiego pod zaborem pruskim; mamy patrjotów żydów w Warszawie. Z tem wszystkiem oczywistem jest dla każdego, kto ma oczy, ażeby widział, że Polska, jako naród, jest katolicka, staje się coraz bardziej katolicka. Jeżeli głębokie przyczyny psychologiczne

---

[1]) Nie zamierzamy wyzwalać świata od tego, co złe, ani kierować ku temu, co dobre, jeno ku twórczej myśli. Moc poety jest mocą bożą!

[2]) Szczepanowskiego Stanisława *Myśli o odrodzeniu narodowem* wyszły we Lwowie w 1903 roku. Jest to szereg pism i przemówień o konstytucji trzeciego maja, o liceum krzemienieckiem, o szkole ludowej i jej związku z wychowaniem narodowem, o racjonaliźmie narodowym, o Śnie Jermaka Konopnickiej, o potrzebie dezinfekcji prądów europejskich, o potrzebie swojskiego kierunku w literaturze i o wychowaniu. Niżej podany wyjątek stanowi główne myśli najważniejszej ze zbioru rozprawy końcowej.

[3]) Prądy kosmopolityczne (gr. kosmos-świat) — kierunki polityczne, uwzględniające przedewszystkiem interesa całego świata i wszystkich ludzi w przeciwieństwie do patrjotycznego nacjonalizmu, dbającego w pierwszym rzędzie o dobro narodu ojczystego. W ujemnym sensie kosmopolitą nazywamy tego, dla którego ojczyzna tam, gdzie mu dobrze.

nie dopuściły u nas do reformy religijnej w XVI wieku, to stokroć bardziej myśl podobna jest wykluczoną w XIX lub XX wieku. Polska więc i nadal będzie katolicką albo jej nie będzie. Twierdzenie to można przyjąć jako pewnik. Polityk lub mąż stanu polski, któryby tego pewnika nie uznał, musiałby chyba wyjść z potwornego założenia, że społeczeństwo może się rozwijać bez religji, ale w tej chwili stanąłby nietylko poza obrębem własnego narodu, ale też poza obrębem ogólnego doświadczenia całej ludzkości.

Polska więc będzie katolicką i będzie w przyszłości dzieliła losy katolicyzmu tak samo, jak je dzieliła w przeszłości...

Żywotność katolicyzmu tłumaczę sobie tem, że abstrahując od teologji, w całym szeregu dogmatów żywotnych stoi wyżej od protestantyzmu i broni prawd, które są trwałym nabytkiem ludzkości. Do takich zaliczam:

a) Wiarę w wolność woli czyli wiarę w odpowiedzialność za swoje uczynki — bo doktryna predestynacji [1]), do której mniej więcej zbliżają się wszelkie sekty protestanckie, z konieczności wyradza fatalizm, robi z człowieka igraszkę ślepych sił, za których działanie nie jest odpowiedzialny i podkopuje podstawę rozwoju moralnego;

b) Wiarę w to, że dogmat bez uczynków jest martwy, że po owocach drzewo się poznaje. W teorji Lutra, że sama wiara wystarczy do zbawienia, kryje się rozbrat wiary i życia, teorji i praktyki, leży wytłumaczenie faktu historycznego tylokrotnie sprawdzonego, że najświetniejszy filozof niemiecki może być równocześnie służalcem najnikczemniejszej polityki;

c) Wyższość pierwiastku duchowego nad pierwiastkiem świeckim, manifestującą się w niezależności papieża od wszystkich potęg świeckich. Nawet filozofowie niekatoliccy, np. Comte,* twórca pozywityzmu [2]), uznają że, powstanie władzy duchownej niezależnej od świeckiej, jest znamieniem nowożytnej cywilizacji i warunkiem jej trwałości. Uznanie wyższości sumienia i sprężyn duchowych jest naszą jedyną ochroną przeciwko wszechwładzy państwa, czy ona się objawia negatywnie, jako uciemiężenie narodów, czy pozytywnie, jako plan przymusowej organizacji socjalistycznej;

---

[1]) Doktryna predestynacji (od łać. wyrazu *praedestinatio*—przeznaczenie) polega na twierdzeniu, że każdy człowiek zgóry już przeznaczony jest na potępienie lub zbawienie. — [2]) Pozytywizmem nazywamy każdy kierunek poprzestający w filozofji na tem, co jest niezbicie stwierdzone (pozytywne).

d) Społeczny charakter katolicyzmu, tak zastosowany do obecnej chwili historycznej, objawiający się w wierze w obcowanie z świętymi, w tworzeniu się zakonów i t. d. — podczas kiedy protestant, zdaje się zajęty wyłącznie zbawieniem swojej duszy indywidualnej, szuka swojej własnej ścieżki do nieba i prywatnej furtki dla siebie samego;

e) Elastyczność, a zatem postępowość katolicyzmu, który przyjmuje tradycje i zmienia się z historją i zastosowuje do wymagań chwili obecnej. Wprawdzie teologowie katoliccy wypierają się tej zalety i wychwalają niezmienność Kościoła, ale dla tych, którzy mogą utrzymywać, wbrew ewidencji[1]) oczu i uszu, że niema różnicy pomiędzy polityką Leona XIII a Piusem IX, nie pisze się historji, wobec nich ustaje dyskusja.

Polak skłonny jest do czynu religijnego, ale niecierpliwy do robienia rzeczy świętych przedmiotem spekulacji. Dlatego też scholastyka[2]) jest dla Polaka, jak groch o ścianę. Nie znam też narodu, u którego panuje równie bezdenna niewiadomość wszelkich argumentacyj[3]) teologicznych i równa odraza do wszelkiego mędrkowania w tym przedmiocie. Przez długie lata przedstawiało mi się to, jako dowód nieudolności narodowej do badań filozoficznych, dopóki zrozumienie doniosłości intuicji[4]) nie przekonało mnie, że w tem usposobieniu tkwi najgłębsza filozofja, że pod pokrywą nieudolności teologicznej kryje się najgłębsze powołanie religijne. Tak samo, jak dla człowieka widzącego wszelkie dowody o istnieniu słońca są zbyteczne, a dla niewidomego nieprzekonywujące — tak dla tego, który posiada intuicję, który przejrzał, który jest obdarzony okiem duchowem, słońce duchowe świata niecielesnego jest tak oczywiste, że wszelkie dowody i argumentacje wydają się niegodną i niepotrzebną szermierką słowną. Natomiast Polak staje z łatwością na najwyższym poziomie uczucia religijnego. Teologja rozróżnia wyższe i niższe pobudki wiary. Do niższych zalicza obawę kar w życiu przyszłem. «Gdybym nie wierzył w piekło, jakżebym mógł oprzeć się pokusom»? — powiada pewien misjonarz angielski. Polak, który się waha i zastanawia, czy ma się

---

[1]) Ewidencja oczywiste twierdzenie (od łać. wyr. *video*—widzę).

[2]) Kierunek filozoficzny, który panował w wiekach średnich, a polegał na zależności filozoficznego myślenia od powagi Kościoła i filozofji Aristotelesa, a pod względem formalnym, na drobiazgowej dialektyce logicznej. — [3]) Argumentacja—dowodzenie. — [4]) Intuicja (od wyr. łać. *inteneor*) oznacza w mowie potocznej taki pogląd na rzeczy, który nie wynika z logicznego roztrząsania, lecz jest bezpośredniem natchnieniem świadomości.

oprzeć pokusie, już jej uległ. Ale Polak z łatwością wzbija się do takiego nastroju ducha, że jest dla pokusy nieprzystępny, że ona dla niego zgoła nie istnieje. To jest to, co teologja nazywa stanem łaski, a Anglik życiem wyższem, w którem człowieka ogarnia li tylko miłość Boga najwyższego bez żadnej przymieszki uczuć osobistych. Polakowi pokazać to, co jest wielkie, wspaniałe i szlachetne, on odrazu bez argumentacji czuje, że to jest właściwą ojczyzną jego ducha, że to są jego przyrodzone właściwości. Każda Polka, niezepsuta francuszczyzną, bez wahania, a z głęboką i wzruszającą naiwnością mimowoli będzie łączyła z wyobrażeniem chrześcijaństwa i katolicyzmu — każdą prawdę, każdą piękność, każde poświęcenie i odrazu będzie jej jasnem i oczywistem, jak na dłoni, to, co dla filozofów i teologów w uczonych okularach będzie wątpliwem i spornem. Dlatego też, to, co Goethe nazywa *Ehrfurcht*, jest podstawą charakteru narodowego polskiego. Głęboka cześć dla rzeczy świętych. Odraza do bluźnierstwa i profanacji[1]). Stąd cynizm[2]) a na nawet satyra jest grzechem przeciwko duchowi polskiemu, jak to zauważyli Mickiewicz i Słowacki. Stąd obecne panowanie niezdrowej tak zwanej humorystyki w naszem piśmiennictwie jest miarą i oznaką kierunku kosmopolitycznego i antinarodowego.

Nigdzie kierunek religijny nie pojawia się wybitniej, jak w polskiem pojmowaniu historji własnego narodu. Żaden inny naród nie posiada takiego nieprzerwanego szeregu wielkich postaci, w których się uosabia sumienie narodu, zacząwszy od św. Stanisława biskupa, kardynała Oleśnickiego i ks. Skargi, do ks. Marka, do Mickiewicza i Krasińskiego. Z wyjątkiem starożytnego narodu izraelickiego, u żadnego narodu religja nie łączy się tak ściśle, jak u nas, z historją. Tak, jak naród izraelicki, tak i nasz w każdym wypadku widzi palec boży, karę za grzechy lub błogosławieństwo za serce czyste i nieskażone. Każdy wypadek dziejowy jest dla nas przedewszystkiem problemem etyki narodowej.

Od lat 30 nasza historjozofja niezmordowanie pracowała nad wyplenieniem pojęcia, że my się różnimy od innych narodów, że mamy jakąś odrębną misję narodową. Daremnie; autorowie, chcący pisać z całą możliwą trzeźwością, znowu tylko popadają w jednostronność narodową i historje narodu i jego losy sprowadzają do

---

[1]) Bluźnierstwo — słowne znieważanie rzeczy świętych; profanacja — czynne. — [2]) Cynizmem w potocznej mowie nazywamy umyślne i świadome naruszenie przyzwoitości. Wyraz pochodzi od greckiej sekty filozoficznej t. zw. cyników, założonej w Atenach po śmierci Sokratesa.

pewnych, niby nowo odkrytych, przyczyn psychologicznych, jakoto: nieuznania zasady władzy, hierarchji społecznej i t. d. Dziś jeszcze nie mamy historji, którąby należycie uwzględniała wpływ czynników geograficznych, statystycznych i ekonomicznych, którąby naprzykład wykazała, że pospolite ruszenie rozeszło się nie dla grzechu niezgody i prywaty, ale dlatego, że w braku magazynów i zapasów nie było co jeść dla koni i ludzi; którąby wykazała, że Piotr Wielki, zanim jego następcy zawojowali Polskę militarnie, już podkopał jej istnienie ekonomiczne i uczynił ją niepotrzebną i zbędną dla Europy, dostarczając tejże zboża i surowych materjałów z Petersburga w większej ilości i taniej, aniżeli to mogła uczynić Polska; — jako w braku przygotowań materjalnych Polacy przez cały ciąg swojej historji pasowali się z niemożliwościami, z zadaniami, które przy całem bohaterstwie i poświęceniu się były nie do wykonania z powodu braku środków, systemu i ciągłości. Cała ta strona fatalizmu konieczności naturalnych w naszej historji jest jeszcze do obrobienia.

Ale cała ta geografja, ekonomika, statystyka i polityka następstw nieubłaganych z niezmiennych przesłanek nie istnieje dla duszy polskiej. Wobec fatalizmu, rozumu i konieczności Polak powtarza swoje: *e pur si muove*[1]) — nie pozwalam! — Wy wiecie, co przymus, nie wiecie co wola.

I ta jednostronność ducha narodowego, to wytężenie całej siły wzroku li tylko w stronę duchową było potrzebne, ażeby w narodzie mógł dojrzeć kwiat i owoc tysiącletnich walk, tysiącletniego mocowania się z niemożliwością: — nasza wielka literatura mesjaniczna, jedyna literatura, która obok Pisma Świętego posiada cechy biblji nietylko narodowej, lecz uniwersalnej, oddającej odwieczne prawidła wiary i sprawiedliwości w postaci, przystępnej dla umysłów nowoczesnych i zastosowanej do potrzeb chwili bieżącej w historji narodu polskiego i w historji ludzkości.

Teraz dopiero, zdobywszy myśl przewodnią, możemy pracować, ażeby do niej dodać «roztropność węża», przysposobić środki i zasoby materjalne do jej przeprowadzenia i wykonania. Od tej chwili zbawienie ojczyzny stało się niezależnem od polityki i dyplomacji, stało się zależnem jedynie od nas samych. Jaki przy-

---

[1]) Słowa *Eppur si muove* («a przecież obraca się») przypisywano wielkiemu uczonemu i astronomowi włoskiemu, nazwiskiem Galilei, którego zmuszono w Rzymie (1633) do uroczystego odwołania nauki Kopernika o budowie wszechświata.

mus, jaka niewola, jakie więzienia i bagnety mogą nam przeszkodzić do opanowania i wyleczenia własnej duszy? Dlatego *sursum corda!*[1]) Jakież mogą być niemożliwości dla narodu, jeżeli każdy jego obywatel wprzódy uwzoruje swoją duszę podług koniecznych wymagań obowiązku i posłannictwa narodowego, nastroi swego ducha, ażeby zgodnie odpowiedział, kiedy nastanie godzina czynów dla każdego Polaka, a zmartwychwstania dla narodu?...

Nie każda przemoc łamie, ale każda niewola podli, a najbardziej duchowa niewola. Mam przekonanie, że tysiące Polaków czuje jarzmo ducha niemieckiego nad nami i czeka tylko hasła, żeby się z niego wyzwolić. Do tych mówię: Przestańcie być naśladowcami choćby najlepszych wzorów, małpami i papugami. Miejcie odwagę pozostać Polakami, nie Polakami *des schönen Scheins*, pięknej ułudy, ale prawdziwymi Polakami, z serca i ducha. Miejcie odwagę przyjąć ideę polską, jako pobudkę waszego życia, stosujcie ją do każdej chwili: do waszej pracy i do waszego wypoczynku, do nauki i sztuki, do zabawy i życia codziennego. Hardo i śmiało wyznawajcie waszą wiarę polską, że sprawiedliwość w walce z niesprawiedliwością zwyciężyć musi, hartujcie waszą wolę i przygotowujcie wasze siły, ażeby w tej walce z pożytkiem uczestniczyć. U szczytów, dosięgniętych przez myśl polską, odwróćcie się z pogardą od brudów i kłamstw, bluźnierstw i bezeceństw, zalewających cały świat. A bądźcie pewni, że w waszych usiłowaniach nie będziecie opuszczeni; kolumny duchów stoją za wami, duchy wszystkich przodków bohaterskich, duchy wszystkich wieszczów natchnionych spieszą ku wam i ofiarują swoją pomoc i współdziałanie. Każdy z was pojedynczo jest bezsilnym i rozpacza, ale związcie się jednym łańcuchem, ramię do ramienia, a cały naród pójdzie za wami.

Przed wami niezmierzone pole działania; raźnie, chrobro, wytrwale i zaborczo: cały obszar wiedzy przyrodniczej, którą trzeba przyswoić, by dla dobrej sławy władać wszystkiemi wichrami, żywiołami i piorunami. Cały obszar historji ludzkości, którą trzeba przerobić w myśl idei polskiej, ażebyście w chwili stanowczej mogli skorzystać z doświadczenia wszystkich czasów. Cały obszar sztuk pięknych, który trzeba ogarnąć i przerobić na natchnienie i na dostrojenie polskiego ducha do tonu bohaterskiego, który mu zapewni zwycięstwo. Cały obszar pracy ekonomicznej, bo duch wciela się tylko przez uszlachetnienie materji: piękność potrzebuje

[1]) W górę serca!

marmuru, męstwo żelaza, życie codzienne nawet chleba powszedniego, a każda walka zasobów niewyczerpanych!

Przed wami cały naród, martwa bryła do poruszenia, kształcenia i pociągnienia waszą miłością, waszym przykładem. Działajcie tak, a spadną łuski z oczu ociemniałych, na nowo zadrgają serca stwardziałe, poruszą się umysły zgnuśniałe i zbudujecie kościół na epoce, której żadne siły piekła nie przemogą, a w tym kościele będzie miejsce nietylko dla nas, ale i dla całej ludzkości. Nie słuchajcie w tem mojego tylko głosu, bom ja słaby i bez sił, sam nic nowego nie przynoszę. Pragnę tylko zastosować do chwili obecnej to, co od przeszło pół wieku głosi cała nasza literatura. Ale słuchajcie głosu całej przeszłości, pamiętajcie o całej przyszłości! Słuchajcie przewszystkiem najgłębszych i najrzewniejszych instynktów własnego serca, tych naiwnych i prostych przykazań, które każda matka Polka szczepi w sercach nowego pokolenia — a wszystkie mądrości i zawiści szatańskie w nicość się przed wami obrócą.

Ostatniem słowem naszej ewangelji narodowej, tego dopełnienia i zastosowania do chwili obecnej powszechnej ewangelji rodu ludzkiego, jest więc czyn, a ponieważ ten czyn ma przeobrazić wszystkie istniejące stosunki podług wymagań idei polskiej i pokonać wszystkie żywioły przeciwne, to staje się walką z wszystkiem, co przeszkadza harmonji narodowej, społecznej i życiowej na świecie; walka ze wszystkimi nieprzyjaciółmi sprawiedliwości, z każdą niesprawiedliwą przemocą, t. j. z każdą siłą szatańską, czy one objawiają się jako «drapieżne zmysły i rozkiełznane chuci», bez hamulców i podniet idealnych w naszem własnem sercu, czy jako oschłość, obojętność, wyzysk lub okrucieństwo w życiu społecznem, czy jako zabór, ucisk, tyrania i despotyzm w życiu narodowem.

Podstawą całego działania jest przeobrażenie jednostki. Szlachetna i bohaterska jednostka przeobraża społeczeństwo. Przeobrażone społeczeństwo staje się siłą historyczną i przeobraża stosunki narodowe i międzynarodowe.

Mickiewicz w całej pełni i z całą bezwzględnością zastosował naukę Platona, że dusza pojedynczego obywatela jest obrazem społeczeństwa, które się na jej podobieństwo kształtuje. Widzimy to u niego, jako jednego z założycieli Promienistych w Wilnie, jako członka Braci Zjednoczonych w Paryżu, nawet w zwichniętej postaci kółek Towiańskiego w późniejszem życiu. Prawda i sprawiedliwość zaczynała się u niego w życiu codziennem... Odrodzenie społeczne i odrodzenie narodowe polegało na przeobrażeniu

osobistem i wypływało z odrodzenia osobistego życia i poddania go nowemu zakonowi. — Jest to prawda, którą każde dziecko zrozumieć i zastosować potrafi, a którą tylko umysł oschły i przepełniony fałszywą wiedzą i fałszywemi zapatrywaniami na życie nazwie mistycyzmem.

Siła duchowa społeczeństwa jest tylko siłą nagromadzonych obowiązków. Prawdziwa nauka społeczna polega na tem, żeby zaostrzać poczucie obowiązku i nakładać nowe obowiązki. Fałszywa nauka tem się poleca i tem schlebia tchórzostwu ludzkiemu i wygodzie ludzkiej, że wyzwala od obowiązków. Pochlebiając jednostce, ubezwładnia społeczeństwo i poddaje je w słowach Schillera: *dem dunkeln Schicksal, das nur der Starke zwingel*[1]).

Szatan sofista[2]) i szatan estetyk przygotowują panowanie szatana tyrana. Człowiek, opętany przez szatana sofistę, wierzy w nieistniejące fatalizmy i konieczności, wierzy w bezskuteczność walki z bezprawiem, a opętany przez szatana estetyka, otacza swoją nikczemność aureolą poezji sentymentalnej, o rozwianych iluzjach młodości i własnowolnie staje się pastwą szatana tyrana.

Cała prawie nasza literatura obecna, całe prawie dziennikarstwo, uniwersytety, szkoły, są pod bezwzględnem panowaniem sofistów i estetyków «wyzwalających» ducha narodu — i przygotowujących naród do jarzma upadlającej niewoli. Czas jest założyć protest przeciwko temu kierunkowi nietylko w imieniu idei polskiej, ale i w imieniu obrażonej godności ludzkiej, na straży której stoi i stać będzie idea polska ze zwycięskiem poczuciem, że prawda zwyciężyć musi.

Ta nasza ewangelja posiada tę cechę największych prawd, że może być zarazem wiarą dziecinną, a równocześnie najwyższym wyrazem wszechmyśli, stojącej na ludzkich myśli piramidzie. To nie mistycyzm, to nie obraz poetyczny, to literalna prawda, co Krasiński mówi w *Przedświcie*, że zanim ojczyzna zmartwychwstać może, każdy Polak musi się przeobrazić na bohatera, na rycerza sprawiedliwości, ażeby myśl boża mogła triumfować i dla narodu polskiego i dla ludzkości. Zanim będzie można powiedzieć:

Myśl boska w twojem łonie
I los świata w twym zakonie,

---

[1]) «Ślepemu losowi, który zwalczyć może tylko silny».

[2]) Sofistami nazywano w Atenach za Peryklesa wpływową klasę nauczycieli, którzy się zajmowali ogólną edukacją młodzieży. W potocznej mowie sofisterją nazywamy krętactwa, nadające sobie pozory uczoności.

to:

Przyjdzie nowych ludzi plemię,
Jakich jeszcze nie widziano,
W tę ojczyznę nieśmiertelną
Mimo działów niepodzielną!

a początek tego nowego plemienia, to przeobrażenie starej krwi podług nowego zakonu!

By pogodzić świata dzieje
Z wolą Pana ponad pany,
Duch im prawdy z nieba dany,
Z ich prastarą krwią się zleje!

To wytworzenie nowego plemienia ludzi, łączących starą krew a nowy zakon, to warunek zasadniczy, a zarazem najtrudniejszy wskrzeszenia ojczyzny i odbudowania jej na nowych podstawach.

Jest dziwną cechą czasów nowożytnych, że przy schyłku wieku XIX trzeba się zastanawiać nad prostą kwestją, czy słońce świeci jeszcze nad światem, czy można uszlachetnić życie pojedyncze i poddać je pod zakon sprawiedliwości, czy szlachetne jednostki potrafią opanować społeczeństwo, a czy przeobrażone społeczeństwo może się stać czynnikiem politycznym i historycznym i poprowadzić ludzkość nowemi torami. Dziecko polskie i każdy Polak prostaczek i każdy prostoduszny Polak wogóle ani na chwilę nie wahaliby się z odpowiedzią.

Trzeba być bardzo wykształconym i bardzo przejętym obecnemi prądami kosmopolitycznemi, ażeby mieć jakieś wątpliwości. Ale wszak my jesteśmy wykształceni, jak nigdy. Chwała Bogu, od trzydziestu lat Polacy poczuli się częścią ludzkości, i to podlegają tym samym prawom, co cała ludzkość. Chwała Bogu, każdy nowy IZM, który się pojawi nad brzegiem Sekwany czy Sprei[1]), czy naturalizm[2]), czy pozytywizm, natychmiast odbija się w Warszawie, Krakowie, nawet we Lwowie, a przedewszystkiem wykształcił się ten ostatni kwiat cywilizacji, zdrowy krytycyzm, badający wszystko podług wszechludzkich prawideł, rozróżniający trzeźwo zdrowe

---

[1]) Nad rzeką Sekwaną leży Paryż, nad Spreą — Berlin. — [2]) Naturalizmem w sztuce nazywamy kierunek, zmierzający do jak najwierniejszego naśladowania natury.

ziarno od plewy, prawdy istotne od zabobonów, szowinizmów[1]) i mrzonek.

Sztuka, która tylko drażni lub łechce, a rozstraja i usypia, nie istnieje dla mnie lub istnieje, jako przedmiot odrazy, pogardy lub nienawiści. Tak samo nie istnieje dla mnie wiedza, która nie jest bronią, która nie ułatwia i nie potęguje działania, a tylko jest przedmiotem próżnej ciekawości, *jeu d'esprit*[2]) dla znudzonych, zdenerwowanych lub znarowionych.

Historjozofja, która prowadzi do opuszczenia rąk i poddania się przemocy, jest dla mnie największem bluźnierstwem, bo w dogmatykę dla całego rodu ludzkiego przetwarza niedołęstwo i nikczemność ludzi biernych i niewolniczych.

Nie odzywam się więc wcale do tchórzów, niedołęgów lub sybarytów[3]), umyślnie ignoruję ich zamiłowania i ich sposób patrzenia na świat. Odzywam się tylko do wierzących i walczących lub chcących walczyć, w imię idei narodowej, bo jedynym probierzem żywej wiary jest walka, a jedyną gwarancją zwycięstwa w walce jest wiara. — Jedynem mojem pragnieniem jest wskazać tym wierzącym i walczącym to, co im może dostarczyć otuchy i środków do walki.

Z mojego ciasnego i jednostronnego stanowiska tylko wierzący i walczący zasługują na miano ludzi, bo tylko oni posiadają te cechy istoty ludzkiej, to jest inicjatywę i odwagę i mogą stać się siłą historyczną, podczas kiedy patrzący, wątpiący i obojętni, wszystkie tchórze, niedołęgi, sybaryci, choćby niewiedzieć jak oświeceni, należą tylko do inwentarza ludzkiego, do *misera contribuens plebs*[4]), do bydła, które jest uprawnionym przedmiotem badania, ile razy chodzi o rozkład ciężarów, o obliczenie podoju lub wydatności mięsa na targ, ale nie wpływa, jako samoistny czynnik, na bieg wypadków historycznych.

Każde dziecko polskie, każdy polski prostaczek, każdy prostoduszny Polak wogóle ani na chwilęby się nie wahał z opowiedzią na pytanie, czy szlachetność jest możliwa i czy może doprowadzić do zwycięstwa. Jednakowoż dla obecnych ludzi wykształconych,

---

[1]) Szowinizm, od nazwy Chauvin'a chełpiącego się swą walecznością rekruta z komedji francuskiej Coniardów p. t. *La cocard tricolore* (1831); szowinizmem nazywamy przesadne i samochwalcze zboczenia patrjotymu.

[2]) Igraszka dowcipu.

[3]) Sybarytyzm — pogrążenie się w materjalnym zbytku i zniewieściałości (od nazwy *Sybaris*, starogr. kolonji w południowych Włoszech).

[4]) «do marnego motłochu płacących podatki».

co równocześnie najczęściej znaczy także dla wynarodowionych, pozwolę sobie wskazać szereg prawd psychologicznych, które co najmniej mogą podać w wątpliwość uniwersalnie przez wykształconych przyjętą naukę o fatalizmie historycznym, o nieubłaganem prawie, że przemoc może bezkarnie deptać najświętsze uczucia i obrażać najgłębsze instynkta ludzkości.

1) Odrodzenie zaczyna się od serca, a nie od rozumu, od charakteru, a nie od oświaty i sztuki, bo cechą odrodzenia są zmienione czyny, a nie zmienione opinje. Łatwiej też zachęcić prawe serce do szukania wiedzy, aniżeli znikczemniałej cywilizacji dodać szlachetności energji.

2) Tak, jak cechą życia w naturze jest pokonanie martwej materji, tak cechą ducha jest opanowanie przyrodzonych popędów organicznych w człowieku.

Jak w przyrodzie martwej naczelnem prawem jest grawitacja czyli ciężkość, tak w martwem społeczeństwie naczelnem prawem jest egoizm. Każda bryła ludzka prawem tej grawitacji toczy się na dół po pochyłości egoistycznych skłonności.

Społeczeństwo żywe przeciwnie — rozwija się wbrew pociągom naturalnym, wbrew egoizmowi, strachowi, zemście, wygodzie. W społeczeństwie żywem pojawiają się obok przyrodzonych popędów pierwiastki duchowe spójni. Zamiast automatu o drapieżnych zmysłach pojawia się człowiek, który dla drugiego człowieka już nie jest wilkiem, ale sprzymierzeńcem, bratem, bo w jego sercu już się odezwały duchowe pobudki miłości, szlachetności, męstwa i natchnienia.

Miarą prawdziwej, uduchowionej ludzkości jest właśnie powstanie tych społecznych, prawdziwie ludzkich pobudek, na których polega każda organizacja zbiorowa: rodzina, społeczeństwo, naród, ludzkość, każda praca trwała, każde zbliżenie się do wieczności. Cała cywilizacja — to ciągła praca duchowa, walcząca z przyrodzoną koniecznością i budującą wbrew prawom martwego świata.

Cechą i miarą prawdziwej ludzkości jest więc: *Sursum corda* — przezwyciężenie grawitacji «drapieżnych umysłów i rozkiełznanych chuci» i wyzwolenie się z pod ślepych sił martwego świata — słowem, zamienienie automatów ludzkich i martwego mechanizmu społecznego na ludzi walczących i wierzących, łączących się w ustrój żywotny, rozwijający się swobodnie prawem wolności.

3) Jeżeli cała praca społeczna, narodowa i cywilizacyjna może być porównana do budowy, to budowa każda wymaga naprzód pewnej świadomości celu, pewnego planu i umiejętności do kierowania, a potem pewnych zorganizowanych sił do wykonania jej. Tu pojawiają się dwa działy pracy genjuszu ludzkiego. W tem pierwszem zadaniu wyrobienia myśli przewodnich objawia się pole dla genjuszów twórczej myśli, w tem drugiem zadaniu dla genjuszów twórczego czynu.

4) Pozostaje wytłumaczenie, jak się tworzą i skupiają siły duchowe. Cechą apetytów naturalnych jest potrzeba zaspokojenia materjalnego. Pożywienie lub ubranie, wydzielone jednemu, tem samem odebrane jest drugiemu. Ten sam przedmiot nie może zaspokoić dwóch apetytów.

Cechą pragnień duchowych jest przeciwnie, że zaspokojenie jednego człowieka w niczem nie zmniejsza możliwości zaspokojenia drugiego. To, że ktoś odczuwa piękność obrazu lub muzyki, nie zmniejsza przyjemności drugiego, przeciwnie. Wrażenie więc tego rodzaju nie tworzy antagonizmów, owszem, staje się łącznikiem pomiędzy ludźmi. Męstwo lub sprawiedliwość jednego nie uszczupla zapasu męstwa lub sprawiedliwości dla drugich, przeciwnie, ułatwia im nabycie tych samych cech. Zarodki tych pragnień duchowych mogą być słabsze w pojedynczym człowieku od wilczych apetytów. Ale podczas kiedy wilcze apetyty nawzajem się obezwładniają i znoszą, to pragnienia duchowe łączą się i skupiają.

Społeczeństwo żywotne przedstawia zupełną analogję ze stosem galwanicznym. Stosy, połączone w baterję galwaniczną, posiadają w każdym punkcie obwodu prąd, który się równa całej, połączonej sile wszystkich stosów. Pojedynczy stos nieraz wydaje ledwie dostrzegalną iskierkę, stosy, połączone w baterje, potężną błyskawicę. Tak samo w zwartem społeczeństwie, gdzie jednostki są połączone spójnią duchową, objawy duchowe potęgują się i napięcie ich w każdej jednostce równa się połączonemu napięciu wszystkich jednostek, i z zaledwie dostrzegalnych, pojedynczych dobrych chęci zjawia się woli błyskawica. Na tem polega efekt dyscypliny w armji, solidarności w stronnictwie politycznem, działania opinji publicznej, patrjotyzmu w narodzie, entuzjazmu w ruchach ludowych. Siła zbiorowa udziela się każdej jednostce.

5) Każdy ruch duchowy cechuje się przewagą celów ogólnych, narodowych lub społecznych nad celami osobistemi i tem, co z tego założenia wypływa, ograniczeniem potrzeb osobistych; takie ograniczenie potrzeb osobistych jest jedynym i koniecznym dowodem

przeobrażenia wewnętrznego, jedynym dowodem, że się już nie jest dzieckiem, ceniącem błahostki, jedynym dowodem, że Polak w swojej duszy sam dla siebie przeprowadził to, co zaleca całemu narodowi, to jest podporządkowanie celów osobistych pod cele ogólne, że działa z zasady, a nie z chwilowej fantazji, jedynym dowodem, że nie wierzga dawnym narodem i że duszę wichrowatą przeistoczył na duszę bohaterską.

6) Każdy ruch duchowy żyje ofiarami i trudem uczestników, a nie natychmiastowemi korzyściami materjalnemi, które im może zapewnić. Tak jak matce dziecko tem milsze, im więcej się dla niego nacierpiała, tak dla każdego szlachetnego człowieka sprawa tem droższa, im więcej się dla niej ofiar poniosło. Bo też każde uczucie żywi się tylko ciągłemi czynami, codziennemi świadczeniami, praktyką codzienną.

Was der Verstand der Verständigen nicht sieht,
Das sieht in seiner Einfalt ein kindlich Gemüth[1]).

Psychologja bohaterska, ta psychologja każdego dziecka polskiego, prostaczka polskiego, każdego prostodusznego Polaka, w historji świata jeszcze więcej posiada cech rzeczywistości, niż psychologja niewoli, bo jej zawdzięczamy wszystko, co ludzkość wytworzyła wielkiego i wspaniałego, jej zawdzięczamy całą otuchę i nadzieję na przyszłość. Psychologja bohaterska dostarcza o wiele więcej różnorodnych i skutecznych środków działania, niż psychologja niewolnicza. Oprócz zasobu swoich własnych środków, rozporządza ona wszystkiemi siłami stopnia niższego, podczas kiedy dla psychologji materji nieprzystępne są środki duchowe.

Już w ewangelji słyszymy: «Bądźcie niewinni, jak gołębie a roztropni, jak węże». Niewinność gołębia nie przeszkadza w nabyciu roztropności węża. Tak samo władza nad dynamiką i elektryką społeczną nie przeszkadza w nabyciu wielkich środków, których dostarczać może wiedza przyrodnicza, nauka i praktyka ekonomiczna.

Jak już powiedziałem, nie rozumiałem nigdy, dlaczego człowiek szlachetny miałby być z przyrodzenia niedołężnym i nieobrotnym i nie mógł sobie przyswoić wszystkich zalet i sił owych wielkich karjerowiczów wieku XIX: śmiałości rozbójnika, umiejętności spekulanta i wytrwałości wyzyskiwacza, tem się tylko od

[1]) Czego nie dostrzega rozum człowieka rozsądnego, to w swej naiwności dobrze widzi umysł małego dziecka.

nich różniąc, żeby owoce owego działania obracał nie na niegodne i daremne zadanie nasycenia własnych wilczych apetytów, ale aby cząstkę swej duszy zostawił w dziele, którego rdza nie dotknie, a mól nie zniszczy i które służyć będzie późnym pokoleniom.

Tak wygląda realizm. — Tak wygląda mrzonka. Realizm i jego cele przemijają, jak sen zwodniczy, a po chwili ludzie pytają: gdzie ślad jego? A to, co trzeźwi nazywają mrzonką, stawia gmachy i świątynie, które wieczność przetrwają.

KAZIMIERZ PRZERWA TETMAJER (1863).[1])

Muszla.

Niewielka, stara muszla na mym stole leży;
Jest to jeden z mych skarbów, choć warta tak mało;
Nie wiem, z jakiego morza pochodzi wybrzeży,
Ni jak dawno jej morze szumieć już przestało.
Odkąd siebie i muszlę tę pamiętam starą
I dziś, ilekroć tylko spojrzę na nią razy:
Owiane jakąś mętną, głęboką mgłą szarą,
Stają mi przed oczyma dawnych lat obrazy.
A najlepiej lubię, przymknąwszy powieki,
Przyłożyć ją do ucha i słuchać, jak szumi:
Wtenczas całą mą duszą zwracam w świat daleki,
W toń wspomnień, które życie zaciera i tłumi.
Przypominają mi się pola i ogrody,
Dom pośród ciemnych smreków i różanych krzewów,
Pastwiska i wikliny, bystre górskie wody,
Jasność kamyków na dnie albo męt wylewów.
Przypominają mi się tajemnicze mroki
Wśród szpalerów wieczorem, gdym pełen obawy
Szedł, słysząc czyjeś szepty, słysząc jakieś kroki
Ciche, lotne, zaledwo tykające trawy.

---

[1]) Po literackich próbach: *Illa* (1886) i *Allegorja* wydał kilka seryj lirycznych utworów. Najbardziej charakterystyczne wiersze z pierwszego okresu są: *Credo, Nie wierzę w nic, Prometeusz, Niewierny, Drwię, Koniec wieku, Hymn do Nirwany, Duch, Preludja, Hymn do miłości.* W drugim okresie tatrzańskie sonety i poematy: *W Białem, W lesie, Przy Morskiem Oku, Melodja mgieł nocnych, Janosik;* poematy: *Dzwony, Anioł Pański, Qui amant, Albatros.* — Napisał cykl ludowych nowel p. t. *Na skalnem Podhalu;* szereg nowel i powieści spółczesnych, jak: *Ksiądz Piotr, Anioł śmierci, Zatracenie;* dramaty: *Sfinks* i *Zawisza Czarny.*

Przypominają mi się dziwne baśnie, dziwy,
Które mi szły z gór ciemnych przez lasy i łany,
I groza, kiedy wichry, rozpuściwszy grzywy,
Wiozły z nich chmury gradu lub śniegu tumany.
Przypominają mi się me pierwsze marzenia:
Amerykańskie bory i dzicy Indjanie,
Bezludne wyspy, pełne palmowego cienia,
Lwy w sitowiach i śmieszne małpy na platanie.
Przypominają mi się te białe okręty,
Płynące z wyobraźni gdzieś morską bezdenią;
Błękitna, straszna cisza albo burzą wzdęty
Ocean, gdy się fale pod obłoki pienią.
. . . . . .
Zdawało mi się niegdyś — i któż z nas tak nie śni? —
Zdawało mi się niegdyś, żem szedł w toń różaną;
Człowiek się ze snu budzi, tem lepiej, im wcześniej
I taki sam zostaje — z jedną tylko zmianą.
Dusza jego na pozór zostaje jednaka,
Jak kwiat, stuliwszy liście, znowu je roztula,
Tylko będzie, jak skrzydło postrzelone ptaka:
Wygoiło się wprawdzie, ale tkwi w niem kula.
Więc niema już ptak taki odwagi do lotu,
A jeśli to był żóraw, przeraża go morze;
Lęka się ciemnych głębi głuchego łoskotu
I długiej nad niezmierne wędrówki bezdroże...
Zdawało mi się niegdyś... Dziś, kiedy do ucha
Przytknę tę starą muszlę: gdzieś w dalekie kraje
Wiedzie mnie, kędy pustka rozciąga się głucha
I gdzie nigdy od wschodu słońce nie powstaje.
Błąkam się kędyś w lasach i puszczach dziewiczych,
W jakichś górach przepastnych, w jakichś pieczar sklepach,
Po jakichś zadumanych wodach tajemniczych,
Niezmierzonych jeziorach, bezgranicznych stepach.
Jakie tam dziwne świecą na niebie księżyce —
Po kilka naraz, błyszczą nad ziemią tak nisko,
Odbijają się w wodzie i w srebrne źrenice
Obejmują milczących pustek uroczysko.
Rosną tam dziwne drzewa, jodły tak olbrzymie,
Że sięgają gór wierzchów, a niebo nad niemi
W wilgotnych, szarych mgławic falującym dymie,
Jakby martwe, zamarłej przygląda się ziemi.

Tam nic niema... pustynia, stepy, góry, morze —
I duszy mojej smętnej, zadumana mara;
Patrzę wokoło i nieraz sam w sobie się trwożę —
Gdzie jestem?... To mi szepce moja muszla stara.
Jest-li to ten świat dawny, który przed miljonem
Wieków ona pamięta? Sąż to urojenia
Obłąkanej fantazji, co w oku szalonem
Ma jakieś dziwne, nigdy niebyłe widzenia?...
Tam jednak w tej pustyni, tam jest mi najlepiej,
Tam dusza moja siada na omglonym głazie
I gdy się cała w sobie skupi i zasklepi,
Tonie w ogromnych milczeń i głębin ekstazie.
Lubię tonąć w otchłaniach bezgranicznej głuszy,
W abstrakcyjnem pojęciu żywego bezbytu,
Gdzie wszystko się jednoczy i jest w jednej duszy,
Gdzie w duszy ma się wieczność, ziemię, sklep błękitu.
Lubię patrzeć oczyma wewnątrz zwróconemi
W świat, co się niezmierzony sam w człowieku stwarza,
Tak wielki, tak odległy, tak różny od ziemi,
Świat bez wrzawy, bez zgiełku, bez krwi i cmentarza.
Ale najlepiej lubię, gdy szumiąca głucho
Stara muszla mnie wiedzie w wspomnień kraj daleki;
Szumi mi, jak me serce; gdy doń przytknę ucho,
Słyszę, jak smutno szepce: na wieki, na wieki...

Nie wierzę w nic.

Nie wierzę w nic, nie pragnę niczego na świecie,
Wstręt mam do wszystkich czynów, drwię z wszelkich zapałów.
Posągi moich marzeń strącam z piedestałów
I zdruzgotane rzucam w niepamięci śmiecie,
I jedna mi już tylko wiara pozostała,
Że konieczność jest wszystkiem, wola ludzka niczem,
I jedno mi już tylko zostało pragnienie:
Nirwany[1]), w której istność pogrąża się cała
W bezwładności, w omdleniu sennem, tajemniczem
I, nie czując, przechodzi zwolna w nieistnienie.

[1]) W języku klasycznej literatury aryjskich Indów, sanskrycie, wyraz «nirwana» znaczy zgaśnięcie, rozwianie się. Wedle nauki Buddy (żył w połowie VI w. przed Chr.) «nirwana» jest końcem wszelkiej egzystencji, wszelkich wcieleń, wszelkich pożądań, cierpień, uciech, namiętności, słowem — niebytem.

Albatros.[1])

Cisza na oceanie, nie drgnie jedna fala,
Ciemno-modra płaszczyzna nieruchoma leży;
Na fali, skąd już nie znać sinych wstąg wybrzeży,
Siadł albatros od lądów i ludnych wysp zdala.
Marzy i żaden gwar mu ciszy nie zamąca,
Marzy... ziemia daleko i daleko życie...
Utonąwszy oczyma w świetlistym błękicie,
Na ciemno-modrej wodzie bieli się wśród słońca.
Zadumane, niezmierne dokoła milczenie,
W bezbrzeż sfer zapatrzony spokój, sen przedwieczny,
Zda się, w kryształ promienny ściął się krąg słoneczny
I wielkie skrystaliło się nieba sklepienie.
Ptak śni — i zdaje mu się, że Bóg ziemi jeszcze
Nie stworzył, tylko woda nieruchoma, senna
Leży pod sennem niebem, bezkreśna, bezdenna...
Śni... sen mu przerwą wichry, pioruny i deszcze.
Wówczas na wielkich skrzydłach z szumem się podniesie,
Wrzący ocean muśnie po spienionej grzywie,
Rzuci się w pierś orkanom, huczącym straszliwie
I ponad burzą w cichym zawiśnie bezkresie.
A gdy burza ucichnie, gdzieś na skale dzikiej
Usiądzie suszyć pióra od deszczu wilgotne
I patrząc w słońce, jak on, dumne i samotne,
Słuchać w skałę bijących fal sennej muzyki.

Melodje mgieł nocnych.

(Nad Czarnym Stawem Gąsienicowym).

Cicho, cicho, nie budźmy śpiącej wody w kotlinie,
Lekko z wiatrem pląsajmy po przestworów głębinie...
Okręcajmy się wstęgą naokoło księżyca,
Co nam ciała przeźrocze tęczą blasków nasyca,

---

[1]) Jeden z największych ptaków mórz południowych, biało upierzony, o wielkich skrzydłach czarnych, odznacza się bystrym lotem, gnieździ się w nadbrzeżnych skałach.

I wchłaniajmy potoków szmer, co toną w jeziorze,
I limb szumy powiewne i w smrekowym szept borze;
Pijmy kwiatów woń rzeźwą, co na zboczach gór kwitną,
Dźwięczne, barwne i wonne; w głąb zlatujmy błękitną...
Cicho, cicho, nie budźmy śpiącej wody w kotlinie,
Lekko z wiatrem pląsajmy po przestworów głębinie...
Oto gwiazdę, co spada, lećmy chwycić w ramiona,
Lećmy, lećmy ją żegnać, zanim spadnie i skona...
Puchem mlecza się bawmy i ćmy błoną przeźroczą
I sów pierzem puszystem, co w powietrzu krąg toczą;
Nietoperza ścigajmy, co po cichu tak leci,
Jak my same, i w nikłe oplatajmy go sieci;
Z szczytu na szczyt przerzućmy się, jak mosty wiszące,
Gwiazd promienie przybiją do skał mostów tych końce,
A wiatr na nich na chwilę uciszony odpocznie,
Nim je zerwie i w pląsy znów pogoni nas skocznie...

Zaczarowany las.

Zaczarowany las: — pomiędzy drzewa
Elf[1]) biały mignie i w cień się rozwiewa,
Oczy potworów z zielonej głębiny,
Jak karbunkuły świecą i rubiny.
A na wierzchołku rozbujałych drzew
Zrywa się, milknie dziwny, ostry śpiew.
W gąszczu pełzają olbrzymie połozy
I szklistą skórą pod słońce migocą;
Błękitne węże na srebrzyste brzozy
Skrętem się wiją i wzrokiem się złocą,
A na wierzchołku rozbujałych drzew
Zrywa się, milknie dziwny, ostry śpiew.
Rozpar słoneczny wydobywa z kwiatów
Ogień śmiertelnie silnych aromatów,
Z zabójczą mocą odurzają głowę
Potworne kwiaty sine i ponsowe.

---

[1]) Elfami (Elbami) zwano u starożytnych Germanów i Celtów pomniejsze bóstwa (półbóstwa), uosabiające różne siły przyrody; rozróżniano Elfy słoneczne (białe) i Elfy czarne.

A na wierzchołku rozbujałych drzew
Zrywa się, milknie dziwny, ostry śpiew.
Tam dusza moja przed swych oczu męką
Szalona smutkiem z wiru życia bieży
I, konwulsyjnie wzrok zakrywszy ręką,
W gorączce, w wizjach, w półobłędzie leży,
Aż z rozbujałych obudzi ją drzew
Ten dziwny, ostry, jak krzyk orli, śpiew...

Fragment z wiersza: **Dla mego synka.**

Synku mój mały! Obcobrzmiące
nazwisko będziesz nosił
wiedz, że twój dziad na polskiej łące
trawę krwią swoją zrosił,
że tej krwi kropla na twe czoło
wieczystym padła znakiem,
że, z nazwy Niemiec, szablą gołą
zatwierdził się Polakiem.
Ułański mundur, chłopcze drogi,
może i tobie szyją,
może szlifują ci ostrogi
i kitę czaka wiją?
Kto wie?... Może?...
Poskoczą polskie konie
i nasza rodna pieśń ułańska
poleci po szwadronie...
«Jak wspaniała nasza postać,
jak się w słońcu błyszczy stal!
Koń rwie ziemię, nie chce dostać,
pójdziesz, koniu, pójdziesz w dal!...»[1])
Gdy cię wychowam na ułana
bez lęku i bez skazy:
nie będzie służba zmarnowana,
a wiedz, że my dwa razy,
za nasze obcobrzmiące imię
kochać kraj musim więcej
i przyjdzie stanąć w armat dymie:
dwakroć nam trza goręcej!

[1]) Z pieśni Józefa Przerwy-Tetmajera, śpiewanej w kawalerji.

I pomnij, jakimkolwiek chodzi
los twego życia szlakiem:
że każdy wraz się tutaj rodzi
człowiekiem i Polakiem
i że to dwie są święte rzeczy
o sile apostolskiej:
piękny i dobry duch człowieczy
w gorącej piersi polskiej!...

Limba.

Samotna limba szumi
na zboczu stromem
u stóp jej czarna przepaść
zasłana złomem.

Wkoło się piętrzy granit
zimny, ponury,
ponad nią wicher ciemne
przegania chmury.

Wkrąg otoczona taką
pustką okrutną
samotna limba szumi
bezdennie smutno...

Pozdrowienie.

Z ponad wiślanych leci fal
wiosenny, chłodny wiatr,
leci ku mojej ziemi w dal,
ku śnieżnym szczytom Tatr.

Wichrze! Nad wzgórza, pola nieś
me pozdrowienie stąd,
rodzinną moją pozdrów wieś
i dunajcowy prąd.

Przydrożne wierzby, smreków las,
w ogródkach każdy kwiat,
i wszystkie łąki pozdrów wraz
i ludzi z wszystkich chat.

I do tych śnieżnych skał się zwróć,
ku stawom, halom gnaj,
i pozdrów mi po tysiąckroć
mój cały górski kraj.

W Kościeliskach w nocy.

I.

Cisza. Noc. Na zaćmioną dolinę Kościelisk
idą z gór lasem zrosłych, z upłazów i jarów
tajemnicze milczenia w mgławicach oparów,
wznoszących się po cichu z wodnych oparzelisk.

Głucho warczą strumienie po głazach swych ścielisk,
las śpi. Na nieruchomą, czarną toń konarów
padł, wschodząc przez wyrwany wśród wapieni parów,
miesięcznego przedświatła srebrzysty obelisk.

Fosforyczną białością powlekły się ściany
nagich, skrzesanych turni; wielka cieniu rzeka
ogarnia je i niesie w mroku oceany.

Wszedł księżyc; na wierzchołku zaczepił się smreka,
rozdarł się na olbrzymich dwóch gwiazd błyskawice
i kiście świetlnych kolców wbił w nieba ciemnice.

II.

Jaka cisza! Jak dziwnie wyglądają drzewa — —
jaki dziwny szum wody — — coś, co niepokoi,
snuje się po dolinie, wśród gęstwin się roi — —
lęk ciche mgły swych skrzydeł w powietrzu rozwiewa...

Jakie dziwne niewidny księżyc światło zlewa — —
jaki dziwny, posępny, wielki cień tam stoi —
zda się, że coś zawodzi, skowycze i płacze —
cicho!... jaki dreszcz szybko przemknął się gęstwiną —
gdzieś w lesie zajęczały ponuro puhacze...

Tu — mogiła pod stosem chróstu i smreczyną —
zwierzę jakieś ze stosu w ciemną gęstwę skacze —
jaki dziwny czar idzie Kościelisk doliną...

Gazda halny.

(Ze zbioru «Na skalnem Podhalu», t. I).

Szedł wieczorem Jędrzej Pazdur w góry, jak często bywało; bo on rad swoje gazdowstwo nocami obchodził.

Miał on gospodarstwo dość spore we wsi, w Cichem poronińskiem, pod czternaście korcy pola, półtora morga lasu, chował krowy i konia, ale nie to go cieszyło; hej, jego cieszyło inkse gazdowstwo, hań w górak.

A nie był to ten kierdelek owiec, co się mu pasł w Małołące, nie, ino to były te góry, ten smrekowy las, ta woda, a kosodrzewina po upłazach.

Dziwowali się temu ludzie i mieli go za przygłupiego, bo on mało co kiedy o roli, albo o bydle radził, tylko ciągiem: co się ta we Wierchcichej, a co się ta w Jaworowej Dolinie dzieje?...

Idzie Jędrzej, patrzy do światu, noc była jasna, miesiąc wyszedł z za Kosistej; w pełni był. Zajaśnił się na lesie pod Żółtą Turnią i pyta się Jędrzeja: Ze po co ześ haw prziseł tak nieskoro, Jędrek?

A on mu odpowiedział:

— Bo ja jest halny gazda...

Idzie wgórę do Zawratu, ku Pięciustawom, a myśli sobie: Hej miły mocny Boze! Jako sie im też ta bez zime gazdowało przeze mnie? Kosodrzewiny popod Wołosyn cy tés przybyło kielo telo?... To to jego gazdowstwo najmilsze. Wonieje to, a do'słonka się iskrzy, jak złote.

Przyległ na chwilę, zdrzemało mu się. A tak się mu śnije, że się naokoło niego wszystko, wszystko staje zielone, jako na wiosnę bywa, kiedy się ziemia poczyna weselić.

Obudził się, chłodny wiater ku ranu, przejaśniła się noc, tylko w Kościelcu popod turnie gruby cień.

Wstaje Jędrzej, przetarł oczy śniegiem, rąbie stupaje do przełęczy, stanął na niej.

Prawie namieniało na świtanie.

Patrzy się: wierchy takie jak ze mgły, gdzieś tam od Lodowego przebiela rózeje świat. I wyszedł taki skrawek światła, jak żebyś skrzele od białego kapelusza wystawił. Patrzy Jędrzej, ono się dźwiga to światło, taki obłoczek różany, leciuteńki, cihućki. I wyjechało takie słońce, jakoby się porosiło kasi w dolinak, jakieś mokre, wilgotne, wypłynęło tak na dół z poza turni i pyta się: Ze pocożeś ty haw prziseł, Jędrek, tak rano?

A on mu odpowiedział:

— Bo ja jest halny gazda.

Wziął się potem na dół ku Pięciu Stawom.

Lepiej mu się szło, niż do Zawratu, bo od południowej strony śniegi już wytajały, mało gdzie co zawadził, zbiegł wartko ku stawu Pod Kołem. Zamarźniony.

— Nic tu po mnie — myśli Jędrzej. — Niek se ta lód gazduje, kie je taki sparty. Telo jego.

Spojrzy dalej — hej! Wielki Staw czerni się między skały.

— Stawecku! Stawecku! — woła Jędrzej. — Tuś?!

A ono tak zaszumiało z tej wody:

— Hej, gazdo! Witajcie! Nie było was tés dawno!

— Jakoz ci sie ta drzémało pod lode? — woła Jędrzej.

A staw mu gwarzy:

— Dobrze. A tak sie mi śniło, co syćko bedzie zielone.

— Ej tak i mnie! — mówi Jędrzej. — A radeś, ze ci ku niebu widno?

— E! Dy to u mnie tak, jak nawonniejsy kwiat — mówi Staw.

I tak tam oni radzili sobie.

Poziera Jędrzej! rozwidniło się, świetleje po niebie: słucha — idzie po kosodrzewinie szum, pocieplał wiatr.

— Bedzie jehał śnieg — myśli se.

A tu ono tak gra od turni, jakosi tak, że sie Jędrzejowi gardło ścisnęło i łzy mu do oczu naszły.

Wyciąga ręce ku Wołoszynowi i krzyczy:

— Hej! gazdowstwo moje kochane! rodzone! prześlicne!...

Pogląda po Wielkim Stawie, pogląda po Przednim, aż się zadziwował: Kielo som tés!

A Siklawa huczy mu, wali się z grzmotem ku Roztoce, i potoki lecą z Wołoszyna, a taki z nich szedł śpiew, jak z dzwonków.

— Wody mam dość — mówi.

Weźmie kosodrzewiny kitkę w rękę, pomacał.

— Pięknie zrosła. Nagodził Bóg urodzaj, nima co pedzieć — mówi. — Wiaterek duł, oduhował, toz to rosło, jak zyto. Ino by trza tén śnieg pouprzątać dolinami, ale to sie ta wartko zrobi z wiesnom. Turnie sie juz tés pozwydobywały kielo telo ze śniega, śmiejom sie do słonka, jak nowe...

Gdzie spojrzy, wszystko jego: tu wody, tam góry; świecą mu się stawy, zieleni trawa, oczyma ledwie objąć może to swoje gazdowstwo.

Wszystko wydało mu się po myśli.

— Bogatyk jest — rzekł. — Tu sie mi w Pięcistawak, dziękować Bogu, wydarzyło tego roku dobrze.

A potem się Jędrzej zabrał ku Miedzianemu, na Śpiglasowe Pérci.

Zestraszył kozy. Rad widział Jędrzej kozy, ale go to mierziało, że się go bały.

— Djablaście wy zjadły kany dziś! — mówi im. — Dy wam nic złego nie robiem, cegoz sie mi boicie?

Zasmuciło mu się serce, że się go te kozy boją, na jego gazdowstwie. Tak jako zające w kapuście! pociesza się.

A nad Stawami wyszedł dzień i przezłociły się ciemne turnie Murów Liptowskich.

Jasność zalała dolinę, rozwidniło się wokrąg, co jaze cud, radość.

— Hej! grajom tés wody do słonka! Ciepło im, ciesom sie — myśli Jędrzej.

Cud! radość!

Obrócił się na pérci plecami ku Miedzianemu, ku śniegom, i patrzy: woda gra, mieni się, telo na niej farby, jako w tęcy, a wiatr leci doliną, rozpiął skrzydła, topi śnieg, aż się zażółciły po pod Krzyżne. Gdzie już pierwej stajały, trawa rośnie, zieleni się, młodziutka, wiosenna, a potoki się z niej sączą na dół strugami, jak pręgi szklanne. Jakisi idzie młody deh dolinom, jaze duk w człowieku rośnie!

Takie to było prześliczne Jędrzejowe gazdowstwo...

* * *

Już go nie opuścił.

Tego dnia, kiedy wieczór nastał, wielki księżyc po pełni, wyszedłszy nad wierchy, zaświecił już na czerniejących pośród śniegów co stromszych skałach, i potem począł wolno oświetlać zanurzone w mroku straszliwe puste doliny, zaćmiewając się tu i owdzie na turniach i w żlebach, jakby się światło błąkało w bezdrożach. Szumiały w ciemności nocnej wody, bo już mróz nie ścinał ich lodem. Pustkowia zaumarłe napełniały się żywem, ciepłem powietrzem. Zdawało się, że się wzrusza coś w górach. Już nie było zastygłego spokoju zimy — szła wiosna.

Kiedy blask księżyca począł spływać po białych upłazach Miedzianego, nagle olśnił głowę i ramiona Jędrzeja Pazdura, wystające ze zwału śniegów.

Musiała się oberwać lawina ponad nim i przysypała go w pędzie.

Śnieg utknął w głazach, pośród których Jędrzej stał i nie zniósł go niżej, a tylko ogarnął po ramiona, tak, iż tkwił w nim, twarzą obrócony ku przestrzeni. Mdlejąc już, nieprzytomne otwarł Jędrzej oczy na księżyc. Ciepły wiatr gnał deszczowe obłoki; huczały strumienie wiosenne — usłyszał. Nie czuł bólu, nie czuł śmierci. Popatrzał jeszcze raz dookoła zaszklewającemi się oczyma. Hej! wiesna idzie — szepnął — syćko, syćko bedzie zielone...

JAN KASPROWICZ. [1])

Cztery sonety.

I.

W ciemnosmreczyńskich skał zwaliska,
Gdzie pawiookie drzemią stawy,
Krzak dzikiej róży pons swój krwawy
Na plamy czarnych złomów ciska.
U stóp mu bujne rosną trawy,
Bokiem się piętrzy turnia śliska,
Kosodrzewiny wężowiska
Poobszywały głaźne ławy...
Samotny, senny, zadumany
Skronie do zimnej tuli ściany,
Jakby się lękał tchnienia burzy.
Cisza... O liście wiatr nie trąca,
A tylko limba próchniejąca
Spoczywa obok krzaku róży.

---

[1]) 1860—1926. Studja w uniwersytetach niemieckich. Osiadł we Lwowie zrazu jako publicysta, następnie jako profesor literatury powszechnej w uniwersytecie. Zaczął od poematów z życia ludowego: *Jewka Orliczka, Dwaj bracia rodzeni, Rumianek, Na służbie, Salusia Orczykówna, Chłopska dola, Na rozdrożu, W karczmisku, Król Lear z Biedaczowa, Jan Rudawski, Maciej Kosarczyk, Hanka Olpińska, Marcin Szafran.* Tym samym duchem wywione sonety: *Z chałupy.* Na tle biblijnem śród innych powstał poem[at] [Chr]istus. Od cyklu p. t. *Anima lachrimans* przeszedł do liryki filozofi[czn]ej. Na przełomie stanął poemat p. t. *Miłość.* Nastąpiły hymny: *Święty mocny, Dies irae, Salome, Marja Egipcjanka, Judasz, Moja czorna, Hymn św. Franciszka z Asyżu, Salve Regina,* objęte jednym *Ginącemu światu,* a związane z dziełem o bohaterskim koniu i waląc[ym] domu. Kasprowicz napisał też dramat historyczny *Kostka Napierski,* dra[maty] symboliczne: *Na wzgórzu śmierci* i *Uczta Herodjady* i przełożył z różnych języków wiele arcydzieł na język polski. Zbiorowe wydanie dzieł wyszło w 6 tomach we Lwowie w r. 1912.

II.

Słońce w niebieskim lśni kryształe,
Światłością stały się granity,
Ciemnosmreczyński las spowity
W blado-błękitne, wiewne fale.
Szumna siklawa mknie po skale,
Pas rozwijając srebrnolity,
A przez mgły idą, przez błękity,
Jakby wzdychania, jakby żale...
W skrytych załomach, w cichym schronie,
Między graniami w słońcu płonie,
Zatopion w szum — krzak dzikiej róży...
Do ścian się tuli, jakby we śnie,
A obok limbę toczą pleśnie,
Limbę zwaloną tchnieniem burzy.

III.

Lęki... wzdychania... rozżalenia,
Przenikające bezświadomy
Bezmiar powietrza! Hen, na złomy,
Na blaski turnic, na ich cienia
Stado się kozic rozprzestrzenia;
Nadziemskich lotów ptak łakomy
Rozwija skrzydeł swych ogromy;
Świstak gdzieś świszcze z pod kamienia.
A między zielska i wykroty,
Jak lęk, jak żal, jak dech tęsknoty,
Wtulił się krzak tej dzikiej róży.
Przy nim ofiara, ach, zamieci,
Czerwonem próchnem limba świeci,
Na wznak rzucona świstem burzy...

IV.

O, rozżalenia! O, wzdychania!
O, tajemnicze dziwne lęki!...
Ziół zapachniały świeże pęki
Od niw liptowskich, od Krywania.
W dali echowe słychać grania:
Jakby nie z tego świata dźwięki
Płyną po rosie, co hal miękki
Aksamit w wilgotną biel osłania.

W seledyn stroją się niebiosy,
Wilgotna biel wieczornej rosy
Błyszczy na kwieciu dzikiej róży.
A cichy powiew krople strąca
Na limbę, co tam próchniejąca
Leży, zwalona wiewem burzy.

Trzeba nam wiary.

Trzeba nam wiary — nie tej, co nęci
Tęczowej złudy obliczem;
Nie tej, co woła: O wniebowzięci
Słudzy Jehowy!
Trzeba nam wiary — nie tej, co w nocy
Przed słońca kryje się zniczem
I drży, gdy świtu wielcy prorocy
Podniosą głowy.

Trzeba nam wiary — nie tej, co w duszy
Krzykiem: «Tyś prochem jest człecze!»
Zabija wolę i tętno głuszy,
To tętno czynu.
Ani też wiary — tej, która każe
Odsłaniać piersi na miecze,
By znów przystroić pychy ołtarze
Liściem wawrzynu.

Trzeba nam wiary — nie tej, co wróży
Duchom, złamanym cierpieniem,
W zamian za kolce ziemskiej podróży
Raj w sferach mitu;
Trzeba nam wiary — nie tej, co zmysły
Piekielnem straszy widzeniem:
«Oto na wieki wam się rozprysły
Tafle błękitu».

Trzeba nam wiary — tej wszechpotężnej,
Że, wobec głodu i męki
Złączonym w światła hufiec orężny,
Pójdziemy w boje.

Trzeba nam wiary, że my zawiśli
Od własnej woli i ręki,
Że przekształcimy w bronzy swe myśli
I w laurów zwoje.

Trzeba nam wiary, że, na rozsądku
I na miłości oparty,
Śród wiekowego gmach nasz porządku
Złotem lśnić będzie;
Trzeba nam wiary, że ten gmach słońca
I chleba wszystkim otwarty,
Że każdy walczyć winien do końca,
Aż go posiędzie.

Trzeba nam wiary — wierzmy, rówieśni!
O wierzmy, zwycięstw już bliscy!
I bądźmy zawsze jako ci w pieśni
Męże ze stali:
Bo oto idzie czas zmartwychwstania,
A zmartwychwstaną ci wszyscy,
Co tej złocistej chwili zarania
Z wiarą czekali!

Oni i my. [1])

«Za wiele żółci macie, a za mało
Serdecznych uczuć kryształowej rosy!
Przed nami duszę zamykacie całą,
A gorzką skargę rzucacie w niebiosy
I, przepełnieni swem własnem cierpieniem,
Schylacie głowy, jak czerwcowe kłosy,
Które grad pobił lodowym kamieniem,
I nie wierzycie w ciepłą dłoń anioła,
Mogącą blade orzeźwić wam czoła.

W łachman się chłopski okrywacie z dumą,
Od naszych stołów uchodząc zdaleka.
O, i krzyczycie niedojrzałym tłumom:
«Nie-masz tam, niema szlachetnego człeka!

[1]) Wiersz VIII z cyklu p. t. *Z padołu walki.*

Oni wam kwilą na miłosną nutę,
A dłoń się waszych uścisków wyrzeka
I piersi w pancerz żelazny zakute,
A gdy się który do braterstwa przyzna
I ust wam poda: strońcie, tam trucizna!»

Wszystko co piękne, wszystko, co szlachetne,
We waszych oczach marą lub głupotą;
Rycerskie hasła i zwycięstwa świetne
I skroń, koroną przystrojona złotą,
W urągowisku u was i pogardzie.
Niwelacyjną zajętych robotą,
Wielkie triumfy widzącym w petardzie,
Ze spiekłej wargi wiecznie krzyki płyną:
Hej, chodź, Spartaku![1]) hej, chodź Katylino![2])

Zbrojni w nożyce fałszywej nauki,
Ufni skalanych zwolenników mnóstwem,
Pragniecie pociąć w najdrobniejsze sztuki
Węzeł człowieka kojarzący z bóstwem.
Święte małżeństwo religji z rozumem
Wy karygodnym zowiąc cudzołóstwem,
Gasicie słońce zachwytów przed tłumem,
Każąc natomiast w bezwstydnej nagości
Szukać rozkoszy, siły i mądrości.

Rwiecie nas naprzód, ale wasza droga
Rani nam stopy jadowitem zielem;
Wznosicie kościół, lecz kościół bez Boga,
A w nim z was każdy kapłanem mściciel
Odwieczne prawdy bezrozumną mrzonk‘
I Chrystus dla was płonnym marzycielem.
Pod apostolstwa niewinną osłonką
Lud odrywacie od jasnego nieba,
Krzycząc z nim razem: chleba! chleba! chleba!

---

[1]) Spartacus, wódz niewolników rzymskich, zbuntowanych w roku 73 przed Chr. i pokonanych przez Crassusa w r. 73.

[2]) Lucius Sergius Catilina, dowódca głośnego spisku za konsulatu Cycerona w Rzymie.

O nie tak! nie tak! niecni matkobójce!
Macież podkładać pod upadłe chaty
Świeże wciąż iskry i męczeństw ogrójce
Nowemi ciągle powiększać rozbraty?!
Uchwyćcie wiary pochodnie w swe ręce,
Ducha w pokory przyobleczcie szaty,
Wtórujcie ładu i zgody piosence
I bądźcie więcej wylani i szczersi,
A my do swojej przytulim was piersi.

Zadowoleni bądźcie raz z tej strawy,
Którą wam wieki zgotowały dawne:
W kradzieży smutnej nie szukając sławy,
Rzućcie roszczenia śmieszne i zabawne;
Lud nasz do ofiar wiedźcie i poświęceń,
Ucząc, że stany święte są i prawne,
Że ziemska rozkosz znakiem zezwierzęceń,
I w tej szlachetnej nie ustając pracy,
Przestańcie pisać: Henryk czy Pankracy?»...

Tak mówią oni... i z swych posterunków
Na swe gasnące już patrząc ogniska,
Albo się ku nam do bratnich całunków
Poniżyć raczą, widząc, że śmierć bliska,
Lub dawnych zwycięstw upojeni wonią,
Nie wierząc w przyszłość krwawego igrzyska,
Walczą bezpłodnie śmiechem i ironją,
Lub też, przejęci «oburzeniem świętem»,
Od nas swe oczy odwracają z wstrętem.

A my? czyż mamy czekać ze spokojem,
Aż się rozegra ten dramat dziejowy,
Którego pierwsze akty łzą i znojem,
Brakiem miłości, światła, karmi zdrowej;
A bohaterem, co swą pierś wypręży,
By zerwać pęta, ten olbrzym ludowy,
A katastrofa — szczęk krwawych oręży,
A epilogiem — równość i swoboda,
Chleb i królestwo miłości i zgoda?...

My idziem naprzód, pragnąc waszej ręki,
Jeśli nam szczere przynosi sojusze;
Jesteśmy zawsze skłonni do podzięki,
Jeśli swą duszą grzejecie nam duszę.
Umiemy uczcić te męże ze stali,
Eleazary [1]) i Makkabeusze, [2])
Co swoje życie dla idei dali —
Umiemy uczcić, choćby ich męczeństwo
Dla dzieci nowe przyniosło przekleństwo.

Lecz się nie damy ukołysać pieśnią
Owej przeszłości, co dzisiaj ruiną;
Dla nas z grobowca, pokrytego pleśnią,
Uzdrawiające kaskady nie płyną!
Ojce w zwycięstwach nie szukali chluby,
Aby zgotować gnuśny spokój synom:
Oni pragnęli, byśmy, jak cheruby,
U dziejowego postawieni tronu,
Błyskali mieczem przebojów do zgonu.

Lecz się nie damy uwieść ani zgłupić
Owym szalbierzom społecznej mennicy,
Co fałszywemi grzywny chcą okupić
Krew z naszej piersi, łzy z naszej źrenicy,
My się nie damy zgnieść kamiennym murem,
By tylko błyszczeć na dziejów stronnicy,
Pisanej waszych najemników piórem,
I nie odbierzem swoim dzieciom strawy,
By wasze dzieci miały chleb łaskawy.

Wam, przyodzianym w samowładztwa d·
Trudno się wyrzec złocistej poduszki
Trudno ubóstwa przyjąć ewangelję:
Milej kornemi otoczyć się służki,
Milej się zakuć w zbroicę dogmatu,
Ludzkie rozumy zmienić na podnóżki
I tak panować zgłupiałemu światu

[1]) Eleazar, bohater judejski, wsławiony w bitwie pod Beth Sacharia z wojskami Antiocha V (r. 163 przed Chr.).

[2]) Makkabeusze, bohaterska rodzina Judasza Makkabi, wsławiona walkami o niepodległość Judei w II-gim wieku przed Chr.).

I z rafinerją w szaleństwie zaciekłem
Wyroki swoje pieczętować piekłem.

O stójcie! stójcie! Ascetycznych sukien
Kraj się w tym wielkim zapędzie odwiewa,
A z pod tych grubych z pod włosiennych włókien,
Któremi każden z was się przyodziewa,
Wygląda nagość bezwstydnej niecnoty!
O stójcie! stójcie! Krzyżowego drzewa,
Uświęconego męczeństwem Heloty [1]),
Co świat chciał zbawić szlachetnem marzeniem,
Nie znieważajcie tem brudnem ramieniem!

Głosim swobodę myśli, wolność ducha,
Wierząc w rozsądek i szlachetność ludzi,
Nie w katowskiego potęgę obucha.
A kiedy dzisiaj już nas nikt nie złudzi
Zaobłocznego wesela fantomem,
Nie będziem czekać, aż nam łan rozgrudzi
Zews lub Jehowa swoim ostrym gromem,
Lecz sami schwycim pługi w rękę czarną
I tu będziem siali szczęścia ziarno.

Na gruncie, dłonią uprawionym własną,
Wznosim świątnicę nowym ideałom,
Nie na wzór waszych kamienną i ciasną,
Ale sterczącą ponad ziemią całą;
Jej Przenajświętszem: to człowieka serce,
A w niem Bóg-Miłość, otoczony chwałą,
Płonie, jak promień w porannej iskierce,
A kolumnami, na których się wspiera:
Rozsądek, piękno, cnota, prawda szczera.

Idziemy naprzód! dalej! dalej z nami!
Lepiej wziąć topór, niż paść pod toporem!
Idziemy naprzód, lecz nie ze stryczkami,
Nie ze sztyletem, skrytobójców wzorem!
Idziemy naprzód na otwarte pole,
Idziemy jawnym i ubitym torem —

[1]) Heloci rolnicy Lakonji, ujarzmieni przez Spartan. Niejednokrotnie buntowali się oni przeciwko swoim ciemiężcom, zwłaszcza w r. 464 przed Chr.

Idziemy walczyć za ludzkości bole!
Śmierć albo życie! jedna ostateczność:
Dalej! Dziejowa zmusza nas konieczność.

Bądź pozdrowiona![1])

Chociaż mną miotasz po spienionej fali
Jak burza morska resztkami okrętu,
Tutaj, gdzie chmur mi słońce nie przepali,
Gdzie każdy jęk mój ginie w głuchej dali
Zamętu —

Chociaż mi w duszę wlewasz żółci zdroje,
Że myśl tu nieraz myśli przeciwieństwem,
Że, gdy ogarną mnie twe niepokoje,
Rzucam na siebie i na bliskie swoje
Przekleństwem —

Chociaż mnie krwawym naznaczyłaś chrzestem,
Stanąwszy blada już nad mą kołyską;
Choć przez cię nieraz jako starzec jestem,
Że mi śmierć, zda się, z swych skrzydeł szelestem
Tak bliską: —

Bądź pozdrowiona, o ty bez promienia,
Który nadzieją martwe serca pieści,
Spowita płaszczem bezdennego cienia,
Źródło mej pieśni, macierzy natchnienia,
Boleści!...

Byłeś mi dawniej bożyszczem o tłumie.[2])

Byłeś mi dawniej bożyszczem o tłumie!
Władzę mą trawił twój żołądek wraży!
Dziś moja miłość już zgiąć się nie umie
Na stopniach twoich bezbożnych ołtarzy.

Dziś z resztą siły poszedłem w bluźnierce,
Ma dłoń słabnąca dziś twój bałwan kruszy,
Krwawy Molochu, coś pożarł me serce,
Jak wampir wyssał drogi szpik mej duszy!

---

[1]) Z cyklu: *Anima lachrymans.*
[2]) Z cyklu: *W ciemności schodzi dusza moja.*

Królu w łachmanach, siedzący na tronie,
Z którego zdarto bisior i złocenia!
Ogniem zawiści twoje oko płonie,
Chciwość twe usta w wstrętną paszczę zmienia.

Wytrzeszczasz straszne bazyliszka oczy,
Albo je chytrze przysłaniasz obłudą,
Wabiąc zwierzynę, która we krwi broczy
Pod twym pazurem, pod twą ręką chudą.

Żer w twe koryto ciągłe znoszą wieki,
Wnętrzności swoje rzucają-ć pod nogi,
Ty od nasyceń wieczyście daleki
Wściekłyś z pragnienia, — jak żbik, z głodu-ś srogi.

Myśli, uczucia, prorocze ekstazy,
Czystość poświęceń, rycerskie porywy,
Modły zachwytne, dyscyplinne razy,
Krwi stygmatycznej święty strumień żywy —

Gwoździe, co sine przebijają ręce,
Ciernie, co kłują bladożółte skronie —
Wszystko to ginie w twej potwornej szczęce,
Wszystko to brzuch twój w swoich bezdniach chłonie.

Przywlokłeś ku mnie swe nogi żebracze,
Bose, zziębnięte w śnieżystej wichurze,
I dusza moja już litością płacze,
I już ci cały, jak pachołek służę...

Przyszedłeś ku mnie, ty płazie człowieczy,
Z odgniotem jarzma na schylonym grzbiecie,
I już ma dusza ciemiężcom złorzeczy,
Już w twej obronie bicz rzemienny plecie...

Wszedłeś ku mnie, dzierżycielu pięści,
Pokazując nabrzmiałe ramiona —
«Glob się z tej mocy rozpadnie na części,
Świat zła — krzyknąłeś — pod tym gromem skona!»

Jak nie uwierzyć w żelazne ryskale,
Co w pył wiekowe opoki rozkruszą?!
I bałwochwalcze już kadzidła palę
Tobie, o tłumie, żeś owładł mą duszą!

Widzę: olbrzymie szeregi się zbiegły —
Skórzane mają u pasa fartuchy...
Tykami młotów walą w świątyń cegły,
Przestwór wypełnia huk i łoskot głuchy!...

Widzę: centaury przebiegają ziemię,
Miast łuków, dzierżą płomienne pochodnie!
Kopyta w iskrach!... Gdzież ta siła drzemie,
Co łun powstrzyma rozszalałą zbrodnię?!

Są w twojej piersi wulkaniczne ognie!
Ale, stracony, kto się od nich zajmie!
Serce swe spali, duszę swoją pognie,
Jak ćma, tak spłonie w twym służalczym najmie.

To jest konieczność: padł, orząc twe łany,
Ty go przygniecieszsz swem cielskiem kosmatem,
Brutalny zwierzu! Ty, bożku miedziany,
Runiesz na niego całym swoim — światem...

A sam na pulchnej od popiołów roli,
Na której padło to przekleństwo boże,
Będziesz już brzuch swój wypasał dowoli,
Nienasycony, stugębny potworze!

Ty wrogu ducha! Stopami z ołowiu
Zdeptałeś kwiaty, które dłoń posiała
Bożego siewcy: na zwiędłem pustkowiu
Straszny dla duchów stawiasz ogrom ciała!

Gdzieś dawnych bożnic zburzył fundamenty,
Tam nowy kościół dla ciebie powstanie,
O nieskalany! o boski! o święty!
O ty mocarzu! królu i kapłanie!

Jest wielki ołtarz! Cały złotem błyszczy!
Na nim twe ścierwo rozpiera się tłuste,
Między pierwszemi najpierwsze z bożyszczy,
Na swych kolanach pieszczące Rozpustę!

Długo tak będziesz cesarzył, o krwawy,
Dziki Molochu, coś pożarł me serce?
Aż śród piekielnej obedrą cię wrzawy
Jadła i picia spragnieni odzierce.

Żebrak cię zwali, zziębnięty i bosy,
Ten, co swą nędzą do łez cię poruszy!
Sługa jarzemny rozstrzygnie twe losy,
Wampirze, ssący drogi szpik mej duszy!

Dzierżyciel pięści w twoją pierś uderzy,
Na karku twoim swą stopę położy,
Zdrajco, coś ze mnie zdarł zbroję szermierzy,
Więżąc mnie w swojej dławiącej obroży!...

Ginącemu światu.

Zbiór poezyj Kasprowicza, zatytułowany *Ginącemu światu*, składa się: 1) z 25 obrazków w mowie nierymowanej pod wspólnym tytułem: *O bohaterskim koniu i walącym się domu;* 2) z hymnów *Dies irae, Salome, Święty Boże, Moja pieśń wieczorna, Salve Regina, Hymn św. Franciszka z Asyżu, Judasz, Marja Egipcjanka;* 2) z dwóch udramatyzowanych obrazów p. t.: *Na wzgórzu śmierci* i *Uczta Herodjady.*

Serja 25 obrazków zawiera wrażenia z życia, przesycone beznadziejnym bólem wobec steku niedoli i tragicznych szamotań się ludzi w nieustannej walce między złemi i dobremi popędami duszy. Z tego jakby tła, malującego ogólne skażenie obyczajów, wyrastają podniosłe hymny, pełne polotu uczuć i potężnej siły słowa. Z tych to hymnów przytacza się *Moja pieśń.*

Moja pieśń wieczorna.

On był i myśmy byli przed początkiem —
Niech imię Jego będzie pochwalone!
Razem z gwiazdami byliśmy i słońcem,
Zanim się gwiazdy i słońca
Jęły rozbijać w swych kołach,
Nim się stało, to, co cię pożera.

O duszo, spragniona miłości,
O duszo, spragniona spokoju!
On był i Ty w nim byłaś przed początkiem,
Nim jeszcze miłość i spokój
Stały się ogniem trawiącym,
Zanim się stały zabójczą tęsknicą
I tem kamiennem, ślepem przerażeniem...

Dzień mój przygasa —
Za wielkim, niebotycznym przygasa mi szczytem,
Krwawą za sobą zostawiając zorzę,
Która się czepia ogniami
Tych oto smreczyn i ścian poszarpanych,
Zatartych śladów moich stóp.

Błogosławioną niech będzie ta chwila,
Kiedy się rodzi wieczorny hymn duszy!
Kiedy od cichych pól,
Od rżysk i rzecznych pobrzeży,
Od przecznic i od ugorów,
Od wypaczonych chat
I od tych stodół zwietrzałych
Chłopięca płacze piosenka:
A grajże mi, piszczałeczko,
A grajże mi, graj!
Uliniłem cię z wierzbiny,
Gdzie ten potok srebrnosiny,
Gdzie ten szumi gaj!
Pani pana tam zabiła,
Zieleni się hej! mogiła,
Zieleni się hej!
A cierniste krzewię głogu
Kwiat swój sypie po rozłogu,
A szept idzie z kniej!...
A dusza słucha i słucha...
A dzień jej przygasa,
A ona śladem tęsknicy
Płynie rozlewną falą księżycową,
Rosami płynie lśniącemi na łąkach,
I wierzchołkami ukojonych drzew
I grzbietem białych gór
Ku onym dniom zapomnianym,
Gdy miłość i spokój
Nie były ogniem trawiącym,
Ani kamiennem, ślepem przerażeniem.
Przestwór się przed nią rozszerza
I, przepełniony wiekuistą mocą,
Topi w swych głębiach wszystko, co ją zmogło
Urągowiskiem i grzechem

I wypełnioną pokutą,
Wstydu i hańby pociemniałą twarzą
I podeptaniem świętych, bożych praw
I krwawą zemsty pochodnią
I bolu, bolu strasznego
Tak pożądanem, a tak żrącem widmem.

Błogosławioną niech będzie ta chwila,
Kiedy się rodzi wieczorny hymn duszy!...

Z zapadłych wiosek płyną rozhowory,
W bagniskach dzikie odzywa się ptactwo
A gdzieś w pustkowiu, a gdzieś na rozstaju
W samotnej chacie połyskuje światło,
A tam, zdaleka cicha idzie śmierć.
Od zórz zachodnich, w ziół zasypiających
Roskosznej woni piosnka się kołysze,
Nad niemowlęcia kolebką wysnuta:
O tej radości, o tem weselu,
O tem cudownem, ukrytem zielu
Z za siódmej góry, z za siódmej rzeki,
Które na smutek słodkie ma leki.
O tej godzinie, co szczęście niesie,
Pieśń się kołysze, po krzach po lesie,
Po falach życia pieśń się kołysze
W tę uroczystą, wieczorną ciszę,
A w ślad za pieśnią cicha kroczy śmierć.

Wybaw człowieka, o Panie,
Od żagwi gniewu Twojego!
Dusza Ci śpiewa psalm, jak niegdyś, niegdyś —
Śród koralowych jarzębin,
...y rozszumiałych, wielkich polach zbóż,
...zy tajemniczych pogwarach tych lip,
Rozkołysanych Twym świętym oddechem...

Bo gdzież jest większy Pan i Król i Władca?
Gdzież moc Ci równa i równa potęga?
Sam z Siebieś powstał, majestat Twój płonie
Na tym z wieczności zbudowanym tronie.
Z Siebie stworzyłeś ten przestwór bez końca.

I z siebieś w niego rzucił żar na słońca.
Istnienieś Swoje zamknął w prochu ziemi
I wichr piersiami oddycha Twojemi,
Duszę człowieka wywiodłeś ze Siebie
Wraz z duszą globów, świecących na niebie.
Tyś, Boże, ziarnem i kłosem i listkiem,
Wszystko jest z Ciebie i Ty jesteś wszystkiem
I przez Cię wszystko nieśmiertelny Panie,
Ma nieśmiertelne w Tobie królowanie.
Gdzież moc Ci równa? Gdzież równa potęga?
Gdzież jest ten płomień, co skry twej dosięga?
Gromem przemawiasz w łyskającej tuczy,
Głos Twój morzami i wulkanem huczy,
Trzęsieniem ziemi ogłasza Twe wieści,
Lub słodko szumi, szemrze i szeleści.
Straszliwym bywasz w Swym monarszym gniewie:
Rozkwitłe pola zatapiasz w ulewie,
Żagwią pożarów godzisz nam w zagrody,
Bijesz dobytek i zatruwasz wody.
Lecz kto opiece Twej odda się szczerze,
Tego Twa łaska od złego ustrzeże.
Bo czyjaż dobroć Twych bezmiarów sięga?
Gdzież moc Ci równa i równa potęga?
Błogosławioną niech będzie ta chwila,
Kiedy się rodzi wieczorny hymn duszy,
Tej nieskalanej, pokornej i cichej!...
On był i myśmy byli przed początkiem —
Chwalmy i wielbmy Jego święte imię!

Stamtąd — od nizin dalekich,
Usypiających poza stu wodami
Poza tysiącem dróg,
Jakieś się echo przyczołguje w duszę —
Cicho! —
To płacz tej dawnej, chłopięcej piosenki;
A grajże mi, piszczałeczko,
A grajże mi, graj!
Uliniłem cię z wierzbiny,
Gdzie ten ruczaj srebrno-siny,
Gdzie ten szumi gaj!
Ach!...

Przeorałem łan o świcie —
Od pola do pola,
Kąkol wyrósł w mojem życie,
Dolaż moja, dola!
A grajże mi piszczałeczko,
A grajże mi, graj!...
A grajże mi graj!...

Czemu nie milkniesz, ty zorzo?

Dzień mój już przygasł,
A zorza jego się krwawi,
Jakby się krwawić miała w nieskończoność!...
Boże!
Czemu nie karzesz?
W tych rozżarzonych stanąłeś przestworzach,
Cały spłomienion, większy, niż przestwory,
Z krzyżem, ogromnym, płomienistym w dłoni
I rozżagwiony, rzucasz na mnie świat...
Karz mnie!
Bom-ci ja człowiek, który wyszedł z grzechu
I prześladowan był przez grzech do końca,
Moja to wina!
Bo oto moja nieprawość,
Mnoga, jak iskry tych ogni,
Przeszła granice, Panie, Twych zamiarów!
Ojcam się wyparł,
A kiedy zamknął powieki,
Krzyża-m na jego grobie nie postawił,
Bom go nie prosił o garść tego błota,
O nędzny żywot ten!
Moja to wina, moja wielka wina!
Matkę-m wypędził z domu, by nie jadła
Strawy, porwanej większym, niż ja, tchórzom —
A wypędziłem ją w czas, gdy nad ziemią
Przebiegał tuman nawałnic,
Aby jej w drodze, w bezludnem pustkowiu,
Oczy wyżarły błyskawice,
A dąb, walący się od gromu,
Aby ją przygniótł swą kłodą na wieczność!
Moja to wina, moja wielka wina!

Oślepłą siostrę spotkawszy żebrzącą
U wrót wspaniałej katedry,
Nie czułem tyle odwagi,
Aby się dotknąć jej ręki wyschniętej
I na jej krwawe wskazując orbity,
Głupim powiedzieć lwom i pustym lwicom:
Idźcie! Mnie łaski waszej nie potrzeba —
To siostra moja! Przy niej mi pozostać!
Moja to wina, moja wielka wina!
Psa, który zaszedł mi drogę
I z głodu zęby wyszczerzył
I miłosierne wlepił we mnie ślepie,
Kopnąłem nogą,
Aż ze skowytem padł przed moim płotem!
Robaka-m zdeptał —
Tysiące owadów
Miażdżyłem stopą, wlokąc się przydrożem,
Ażeby duszę znudzoną
Orzeźwić wschodem lub zachodem słońca.
A pnąc się w górę, ku rzeźbionym grotom,
Ku tajemniczym snom stalaktytowym,
Albo ku wirchom, skąd pycha
Wygraża światu pięściami z granitu,
Kazałem ścinać pachołkom
Gałęzie smreków młodziutkich,
Gdyż iglicami drażniły mi skronie...
Zabiłem brata,
Bo mi się worał w miedzę
I naręcz owsa mi wyżął
Dla swego konia —
Moja to wina, moja wielka wina!
Chęć mi raz przyszła obłędna,
Ażeby kopać dla siebie mogiłę,
Bo mi się życie stało cmentarzyskiem,
I w tę mogiłę wtrąciłem bliźniego,
Tak, że oszalał między umarłymi!
Moja to wina!
Nie karz mnie, Boże, według moich zbrodni!
W tej gniewu Twego straszliwej godzinie
Świat niech się kaja, lecz niechaj nie ginie!

Wielka jest moc Twa i wielka potęga,
Lecz czyjaż dobroć Twej dobroci sięga?!

Panie!
Wszystkie ja grzechy wziąłem na swe barki,
Bomci ja człowiek, bom urodzon z bolu,
Bo żal i rozpacz i przestrach
I wyczerpanie i siła
Są przyczynami mojego istnienia...

Karz mnie, człowieka, co krąży po świecie
Z brzemieniem winy na ugiętym grzbiecie.
Wagę masz w ręku i miecz sprawiedliwy,
Z którego lecą skry na ludzkie niwy,
A pomsty Twojej płomienna potęga
Od pokolenia w pokolenie sięga.
Krew nam wysusza i pożera kości
Wieczysta wszechmoc Twej zapalczywości —
Żadna się przed nią groza nie ostała:
Niechaj Ci za to będzie cześć i chwała
Na wieki wieków, Amen, Amen, Amen!
Panie!
Kłamałem!
Zawiść i zazdrość tuliły się do mnie
Żółkłemi łony, i nagością swoją
Opanowawszy mą duszę,
Kazały zezem patrzeć mi na sławę
I na bogactwo rodzonego brata.
Kradłem —
W kościele Twoim rozbiłem skarbonę!

Fałszywym byłem prorokiem
I nie umiałem powstrzymać bluźnierstwa
Przeciwko Tobie, tak, jak dzisiaj bluźnię!
Krzywdym ja bratu nie przebaczył,
Choć sam krzywdziłem — jak oszust!
Pogardę niosłem tłumowi,
Jego sczerniałym spracowanym dłoniom,
Jego łachmanom, przesyconym potem!
Ornat na siebie kładłem i koronę
I, wziąwszy jabłko do ręki i berło,

Kazałem klękać przed swemi rozkazy,
Jakby nie było Twego majestatu!
Moja to wina, moja wielka wina!
Okręty słałem na spienione morza
A w bitwach, w mojem wszczynanych imieniu,
Tysiące kładły się we krwi swej własnej,
A wszak Ty jeden masz prawo
Na życie człeka wydawać wyroki!...
Moja to wina, moja wielka wina!...
Karz mnie! —
Bom ci ja człowiek, skazany na karę,
Bo dzień mój przygasa
A zorza jego się krwawi
I świat się mój pali!
Bo dawno już przeszedł czas —
Moja to wina, moja wielka wina, —
Gdzie miłość i spokój
Nie były ogniem trawiącym,
Ani zabójczą tęsknicą,
Ani kamieniem, ślepem przerażeniem...

A graj-że mi, graj!...
Jarzębiny się rumienią —
Suchy piasek się podnosi —
A graj-że mi, graj!...
On był i myśmy byli przed początkiem,
Zanim, się stało to, co nas pożera...

Błogosławioną niech będzie ta chwila,
Kiedy się rodzi wieczorny hymn duszy.
Kiedy na wieki — na wieki
Gaśnie jej dzień...

STANISŁAW WYSPIAŃSKI (1869—1907).[1]

Z poematu p. t. „Kazimierz Wielki".

Już stokiem wzgórza gromnic żar ofiarny
wije się rzeką świateł, co migocą;
wlókł się olbrzymi wóz, całunem czarny

[1]) Wykształcił się w uniwersytecie Jagiellońskim, w Akademji Sztuk Pięknych i w Paryżu — w zakresie malarstwa i literatury. Do wczesnych

wśród masztów, których chusty się szamocą;
wicher żałośny zawiewał cmentarny,
Jakby w godzinę duchów przed północą.
— Tam proch królewski mój ze czcią wieziony.
W taką to chwilę ja widmem zjawiony,
stałem się Duch, modlitew wskrzeszon cudem
a strzęp mych szat powionął nad ich głowy,
gdym ja, w koronie widmo, gadał z ludem,
cienie po baszcie chwiejąc wawelowej
olbrzymie! Snać — że byłem wielkoludem; —
dreszcz przez nich biegł, poczuli dech grobowy.
— Biłem w nich krzykiem mej piersi spróchniałej
a echo się po Polsce niosło całej:
«Pomstę mi dajcie, wy, ludzie pogrzebni!
Pomstę za moje wezgłowie we strzępach!
Nam, co jesteśmy żywotu potrzebni,
co się tułamy w urwiskach i kępach.
Spomóżcie, wy, karmazyny i wy, zgrzebni,
przechować klejnot chwał w ruin ostępach;
w gruz rozsypują się węzły korony
i spokój grobów święty naruszony.»

. . . . . .

«Spałem spokojny, wielkością przejęty
narodu, którym z krasną Ładą [1]) żenił
i ostawiałem w polach plon niezżęty,
gdy już przenicznych ziarn kłos się rumienił.
Ludu mój, otoś w nędzy jest przygięty;
Lęk się i Smutek w twe serce wkorzenił.»
— Cały lud wrzasnął ku mnie: «Cień Kaźmierza!»
A był ten krzyk, jak piorun, co uderza.
Jako wulkanny wybuch gromopłodny

---

dzieł należą oprócz *Legendy* (1892) dramaty neo-helleńskie i na tle listopadowego powstania. Były to: *Meleager*, *Protesilaus* i *Leodamia*, nieco później *Achilleis* i *Powrót Odyssa* oraz *Warszawianka* (1893), *Lelewel*, *Noc Listopadowa*. Poeta wrócił do marzenia o dawnej Polsce w dramatach *Bolesław Śmiały*, *Skałka* i w poematach: *Kazimierz Wielki* i *Bolesław Śmiały*. Na r. 1900 przypada napisanie *Wesela* i *Legjonu*, poczem idą *Wyzwolenie* i *Akropolis* Z walk sumienia z występkiem wysunął dwie tragedje: *Klątwę* i *Sędziów*. We fragmentach zostały: *Zygmunt August* i *Juljusz II.*

[1]) Łada, Łado — bożyszcze miłości, zgody i związku małżeńskiego, czczone przez naszych przodków w wiekach przedchrześcijańskich.

z piersi tysiącznej naraz... krzyk Przymierza!
Naród mój wołał głosem jednozgodny;
«Kaźmierza króla duch! — Duch Kaźmierza!»
Oni, ci sami, których ja buławą
i mieczem niegdy muszę ku jedności,
dzisiaj bezpańscy, wielką bólu wrzawą
wyznają: oto jedność w sercach gości.
Dusze ich splatał węzeł wspólnej klęski
w mym duchu, którym stał tam, jak zwycięski.
A dzwon ten wielki bił dla mnie pokłony,
wielkim powietrze falując przelotem
dźwięków przeciągłych bronzu, rozmodlony,
pogłębiający ich modły łoskotem:
«Bądź nam jedyny, ty król odrodzony
grobów! — O, stań się piorunowym grzmotem!
Duchem pozostań wśród nas, twego ludu!
Cudu żądamy, królu! dopełń cudu!!»
Chwilę tak stałem, w naród mój bolesny
jamami oczu wygasłych patrzący;
dobiegał do mnie szum pogwarów leśny;
prześwietlał Wisły skręt, tuż się wijący;
łąk oddalony skłon, hen górno-kreśny
i zapęd tłumnej rzeszy, w górę rwący.
Raz jeden jeszcze wśród mgieł Ave krzyknąłem, —
Bo w zmierzchach, jako cienie lotne, nikłem.
Naród mój tak się we swą przeszłość weśnił;
schodził we wszystkie grobowe piwnice,
z trupami się umarłymi rówieśnił,
badał im w trzewach skonu tajemnice,
że sam w tych ciągłych łzach i płaczach pleśnił,
bruzdami czoło poorał i lice
i starzał; — w coraz dalsze patrząc groby,
wzrok wytężył w mroczne podcienia żałoby!
Rozpoznawałem, że kochał się w trunach,
kołysząc w nich swą myśl, jakby w szalupach;
że czytać znał, jak w powikłanych runach,
w bereł kruszynach i koron skorupach;
jak na spuścizny cieszył się fortunach,
rozmiłowanych w tych przegniłych trupach;
mniemając, że go to do życia wiodło,
że brał te trupie piszczele za godło.

Widywałem tych trupów korowody,
ten ponad nimi żal płaczących lutni,
bo prochom uroczyste sprawiano wywody
i na ten krótki czas niechano kłótni
nad każdą z trumien, którą na czas zgody
wiedli na Wawel, — ci, złotem rozrzutni;
możni i biedni dobywali z kalet;
sztuka wieńczyła zmarłych z krasnych palet.
A tacy byli skorzy, tak się rwali,
tak ich ten grób, trumny weselą,
że, jakby innych radości nie znali,
tylko te, gdy cmentarze światłem ścielą,
w najświetniejsze się stroje przybierali,
miodem się, mlekiem, chlebem, z trumną dzielą.
Smutni zawsze, — naraz prędsi, gospodarni,
Żywi! — Tak piękni byli, a cmentarni!

. . . . . .

Więc krwią i kością nagle ze żywymi
stałem się kowal w żelaznej obręczy
na czole — i dzierżyłem młot olbrzymi
żelazny — wciąż ten łomot głuchy brzęczy
jeszcze w uszach, — — — że będę nad nimi
wódz! — A nad mną Bóg na tęczy...
Więc wsparłem młot o stół ołtarza skalny,
przy którym naród Sejm odprawiał walny!

Z Wyzwolenia. [1])

(Wyjątki)

(Z Prologu) KONRAD.

Idę zdaleka, nie wiem, z raju czyli z piekła.
Błyskawic gradem
Drży ziemia, z której pochodzę,
We krwi brodzę,
Nazywam się Konradem.

[1]) *Wyzwolenie*, dramat w 3-ch aktach, napisany w r. 1902, wydany w 1903 r.

Rozpacz ze mną się wlekła
Głową wężów okropnem widziadłem,
Wyjąc: Z e m s t a.
Byłem gwiazdą,
Gwiazdą stałą, niebios niewolnicą.
Tam hen, ujęty łańcuchem,
Z wyprężonemi ramiony
Uwięzgłem duchem,
Gdzie gwiazd iskrzące skorpiony
Świecą
W przestrzeni wieczystych głusz,

Gdzie gwiazda bogów i dusz —
I spadłem.
Tę ziemię ukochałem
Szałem
I w żądzy palącej posiadłem
Ciałem! —
Jestem w każdym człowieku, żyję w każdem sercu.
Po kwietnym łąk kobiercu,
Po skalnych paściach, krzesanicach
Jestem niesion skrzydłami
Z płomieniem w licach.
Ogień, płomienie w piersi!
. . . . . .

MUZA.

Ktokolwiek żyjesz w polskiej ziemi
I smucisz się i czoło kryjesz,
Z rękoma w krzyż załamanemi
Biadasz — przybywaj tu, — odżyjesz!

W Przestrzeń rzucimy wielkie słowa,
Tragiczną je ubierzem maską.
Ktokolwiek wiesz, co znaczy polska mowa,
Przybywaj tu, — odżyjesz Słowa łaską.

Wyzwolin doczekacie się dnia
Przybywamy tu z zapowiedzią, —
Tragiczną będzie nasza gra,
Wyrzutem będzie i spowiedzią.

Uderzymy górne, wysokie tony,
Jak z wieżyc bijące dzwony.
Przybywamy tu z zapowiedzią,
Tragiczną będzie nasza gra:
Skarżeniem, chłostą i spowiedzią.
Wyzwolin ten doczeka się dnia,
Kto własną wolą wyzwolony!
. . . . . .

(Z aktu II.) KONRAD.

Chcę, żeby w letni dzień
W upalny, letni dzień
Przede mną zżęto żytni łan,
Dzwoniących sierpów słyszeć szmer
I świerszczów szept i szum
I żeby w oczach mych
Koszono kąkol w snopie zbóż.
Chcę widzieć, słyszeć w skwarny dzień
Czas kośby dobrych ziół i złych
I jak od płowych, zżętych pól
Ptactwo się podnosi na żer.
. . . . . .
Chcę patrzeć, słyszeć, jaki gwar
Zielonych złotych much;
Chcę widzieć, słyszeć, tężyć słuch,
Jak z kwiatów spada kwietny puch,
Jak lęk i groza kosi łan
Wśród ciszy pól i gór,
W słonecznym blasku złotych chmur,
Na chleb na przyszły rok.
Chcę patrzeć, patrzeć, tężyć wzrok...
I potrącać mogiłę co krok.'
Chcę pójść w zaciszny, gęsty bór
Za skłony sinych gór
I patrzeć po konarach drzew:
Od których, z jakich stron
Słonecznych żóraw wionie wiew,
Jak krąży w drzewach żywy sok...
I które padną za rok...
I że niczyich rąk nie zbroczy krew.
. . . . . .

KONRAD:

Pamiętam, niegdyś wchodzi-
Do księdza, do pustelni [łem
I przystanąłem w sieni.
Pamiętam, gdy pozdrowiłem,
Ci czyści i nieskazitelni
Pojrzeli ku mnie zdziwieni.

O Boże! Pokutę przebyłem
I długie lata tułacze;
Dziś jestem we własnym domu
I krzyż na progu znaczę...

Krzyż znaczę boży nie przeto,
Bym na się krzyż przyjmował;
Lecz byś mnie, Boże, od męki,
Od męki krzyża zachował.

Byś mnie zachował od tego,
Coś zasię za mnie przebył;
Bym ja był z twoich wiernych,
A niewolnikiem nie był.

Bym ja miał z ciebie siłę,
Jak wierzę w Twoją wiarę
I żebym się doczekał,
Jak miecze ślesz i karę.

Byś to, coś zapowiedział,
Dopełnił w mojem życiu:
By zeszło światło w nocy
I trysnął zdrój w ukryciu.

By trysło źródło świeże
Za laską Mojżeszową
I byś mi wskazał leże
I dach nad moją głową.

Byś zwiódł z wędrówki długiej
Mój naród do Wszechmocy!

Byś dał, co mają inni,
Gdy przyjdziesz jako dziecię
[tej nocy.

Bożego narodzenia
Ta noc jest dla nas święta.
Niech idą w zapomnienia
Niewoli gnuśne pęta.

Daj nam poczucie siły
I Polskę daj nam żywą,
By słowa się spełniły
Nad ziemią tą szczęśliwą.

Jest tyle sił w narodzie,
Jest tyle mnogo ludzi;
Niechże w nie duch Twój wstąpi
I śpiące niech pobudzi.

Niech się królestwo stanie
Nie krzyża, lecz zbawienia,
O daj nam, Jezu Panie,
Twą Polskę objawienia.

O Boże, wielki Boże,
Ty nie znasz nas Polaków;
Ty nie wiesz, czem być może
Straż polska u Twych znaków!

Nie ścierpię już niedoli
Ani niewolnej nędzy.
Sam sięgnę lepszej doli
I łeb przygniotą jędzy.

Zwyciężę na tej ziemi,
Z tej ziemi Państwo wskrze-
[szę.
Synami my Twojemi
Błogosław czyn i rzeszę!

Z pism pośmiertnych, t. II.

(Kraków 1910).

Mój uśmiech nie szczery —
nie łudź się — patrzę śmiało?
skąd? — gdy raczej mi przystało
do ziemi przykuć wzrok. —
Nie wierz temu: to maniery
zwykłe — kłamstwo co krok.
Myśmy tak się z niemi zżyli,
że nam zdaje się konieczne,
i darmo kto się sili
być sobą — to zbyteczne.
Czy zechce mi kto tłumaczyć,
nie rozumiem co ma znaczyć,
ja nie zdaję sobie sprawy
z tego drżenia — z tej obawy,
co obsiada moją pierś —
co wstrzymuje serca bicie
żywsze — co mi każe kryć
uczucia święte ognia,
wyśmiewa swobodną myśl. —
Zapał, marzenia dziecinne,
jak lilje, białe niewinne
pognie,
połamie, podepcze —
rozpaczną myśl
szyderczo w ucho szepcze,
otuchę mi odbiera,
że nie wiem czy potrafię żyć
nieskalany —
poniewiera
wszystko, com ukochał wprzód,
rozwiewa w mgły —
nieubłagany,
wątpieniem sięga tam, gdzie
nadziei słońce, [świecisz ty,
a w oczy rzuca brud
podłości pełne czary
każe mi pić —
z mej duszy chce ofiary,
każe mi żyć. —
Gdzież obrońce?
Czy zechce mi kto tłumaczyć?
bo ja nie wiem co ma znaczyć,
że mnie serce boli —
tęsknię — w oczach łzy,
wszak nie może być inaczej;
nigdym lepszej nie znał doli —
czemuż, za czem tęskno mi?
Pierś, jak harfa rozstrojona
ze słabych skuta stron:

Gdy chcę dobyć silny ton,
każda strona
się rwie
i krwawi się.

U stóp Wawelu.

U stóp Wawelu miał ojciec pracownię,
wielką izbę białą, wysklepioną
żyjącą figur zmarłych wielkim tłumem;
tam chłopiec mały chodziłem, co czułem
to później w kształty mej sztuki zakułem.
Uczuciem wtedy tylko, nie rozumem
obejmowałem zarys gliną ulepioną
wyrastający przedemną w olbrzymy:
w drzewie lipowem rzezane posągi.

Wesoły jestem.

Wesoły jestem, wesoły,
i śmieję się do łez;
choć jesień już na poły
kwitnący czuję bez.

Wesoły jestem, jary,
choć idą czasy burz;
widzę z otuchą wiary
kwitnący ogród róż.

Wesoły jestem, świeży...
— Cóż to? na marach trup?
to ciało tylko leży,
lecz duch, jak ognia słup.

Wesoły jestem, młody,
już zbywam zbytnich piór,
już idę w krąg swobody,
już słyszę gwiezdny Chór.

Już słyszę: biją dzwony
wysoko w niebios strop;
trup dawno pogrzebiony,
duch niesie pełny snop.

Ach, któryż jestem żywy,
czy ten, co leci wzwyż,
czy ten, co zmarł szczęśliwy,
ściskając w dłoni krzyż — ?

Czy ten, co skrzydeł loty
przez żywot miał związane,
czy ten, co ciska groty
o krzemień gwiazd krzesane —?

Czy ten, co legł przykryty
kirami i całunem,
czy ten, co mija szczyty
i drogę tnie piorunem — ?

Czy ten, co legnie zmożon
przed świątyń własnych pro-
czy ten, co niestrwożon [giem,
na sąd ma stanąć z Bogiem — ?

O, chcą odemnie, chcą,
by hart był zawsze w sile,
by wciąż ich wzruszać łzą,
podniosłą łzą na chwilę.

By hart był w dźwięku słów,
by jęk był pełen siły,
by dreszczem wstrząsnął znów
i żywych i mogiły.

Lecz nie spostrzegli snać,
żem dość już chyba gadał,
by siłę Chóru znać,
by Chór mi odpowiadał.

Hymn. [1])

Zstąp Gołębica, Twórczy Duch,
Byś myśli godne wzbudził w nas,
ku Tobie wznosim wzrok i słuch,
spólnie żyjący, wzrośli wraz.

---

[1]) Hymn *Veni Creator* — narodu śpiew — Ducha Świętego wezwanie — czyli — w sejmowem kole — w świątyni świętych w katedrze — w gromadzie gminy — w zborze pracujących, — w hufie żołnierzy — w polu na roli — w domie — w zagrodzie rękodzielnika — w dworze, w pałacu, w zamku — w chat okolu — jak rzek strumienie — od poników gór po wód roztocze — we wichrze, w promieniu, w gromie — w orce — przy ziaren siejbie — jak mowa sięga — o r ę d z i e.

Który się zwiesz Biesiadą dusz,
Wszechmogącego Boży dar,
płomieniem duszom piętno włóż,
przez czułość serc, zdrój żywy, żar.
Zbrój nas we siedem darów łask,
Prawicą ojce wskrzesz,
w Obrzędzie roztocz wieszczy blask,
we Słońce dusze w lot Twój bierz.
Zestąp Światłości w zmysłów mrok,
dobądź serc naszych zapał z łon,
by człowiek przemógł cielska trok
i mocen wzniósł się w męski ton.
Odwołaj wroga z naszych dróg,
w pokoju pokój zbawczy nam,
powiedziesz nas Wieszczący Bóg,
przejdziemy cało złość i kłam.
Zwól, przez cię w Tobie Ojca znać,
zwól, by był przez Cię poznan Syn,
zwól, w Tobie Światłość światu dać,
zwól, z wiarą wieków podjąć Czyn.

LEOPOLD STAFF.[1])

Kowal.

Całą bezkształną masę kruszców drogocennych,
Które zaległy piersi mej głąb nieodgadłą,
Jak wulkan, z mych otchłani wyrzucam bezdennych
I ciskam ją na twarde, stalowe kowadło.
Grzmotem młota w nią walę w radosnej otusze,
Bo wykonać mi trzeba dzieło wielkie, pilne,
Bo z tych kruszców dla siebie serce wykuć muszę,
Serce hartowne, mężne, serce dumne, silne.

---

[1]) Ur. 1878. Ogłosił zbiory liryk: *Sny o potędze* (1901); *Mistrz Twardowski* (1909); *Dzień duszy* (1903); *Ptakom niebieskim* (1905); *Gałąź kwitnąca* (1905); *Uśmiechy godzin* (1910); *W cieniu miecza* (1911); *Łabędź i lira* (1914); *Tęcza łez i krwi* (1918); *Szumiące muszle* (1921). Nadto dramaty: *Skarb* (1901); *Godiwa* (1906); *Igrzysko* (1909); *To samo* (1913); *Wawrzyny* (1913).

Lecz gdy ulegniesz, serce, pod młota żelazem,
Gdy pękniesz, przeciw ciosom stali nieodporne,
W pył cię rozbiją dłoni mej gromy potworne!
Bo lepiej giń zmiażdżone cyklopowym razem,
Niżbyś żyć miało własną słabością przeklęte,
Rysą chorej niemocy skażone, pęknięte.

Melodje zmierzchów.

(Autorowi *Melodji mgieł*, K. Tetmajerowi).

Porzućmy groty głuche, gdzie dzień nas zepchnął złoty,
Na świat biegnijmy, chyże na ziemię zwróćmy loty!
Zapada jasne słońce. Szybko, jak błyskawice,
Lećmy dłoniami mroku zakrywać słońcu lice,
W przepaści je zepchniemy, na złoty pył potłuczem
I wzlecim popod niebo, żórawi ciemnym kluczem.
Potem się rozpierzchnijmy na wszystkie świata strony
I cicho rozwiewajmy zmierzchowych szat welony.
Obleczmy w czarny jedwab jeziora szybę gładką,
Biegnijmy czoła szczytów obrzucać cieniów siatką.
A gdy spotkamy słońca promień lub blask zbłąkany,
Tropmy go przez gór grzbiety, lasy i śpiące łany;
A gdy ścigany w wody zwierciadło ciemne wpadnie,
Gońmy go wśród fal cichych i w muł zagrzebmy na dnie;
Gdy w jar się skryje, wpędźmy w najgłębsze go szczeliny
I zasnuwajmy szarą tkaniną pajęczyny.
Lećmy wiotkie i ciche w sioła, w uśpione chaty,
Z serc ludzkich smutków gorzkich wykradać plon bogaty,
I po błękitów bladej rozrzućmy je roztoczy,
Aż od nich całe nieba sklepienie się zamroczy.
Potem znużone, senne, milcząco i powoli
Połóżmy się, by spocząć w brózdy zoranej roli
I patrzmy, jak noc idzie ściąć ziarna gwiazd złociste,
Z których dla marzycieli rosną snów kwiaty czyste.

Studnia.

W rozzłocone, słoneczne, omdlałe południe,
Gdy pracownicy pola w dom spieszą, a błonie

Opustoszeje z ludzi, ponad starą studnię
Trwożna dziewczyna idzie patrzeć w ciemne tonie.

Pochyla się nad głębią i cichemi słowy
Szepce w mrok, a jej piersią wstrząsa lęk niezmierny,
A szept leci wzdłuż ściany omszałej, pionowej
I z lekkim pluskiem na dno upada cysterny.

W dole, w głębokiej wodzie wstają blade cienie,
Spojrzą w górę i szeptem dziewczynie odwtórzą,
Patrzą jej w twarz miłośnie i na jej skinienie
W czarne zwierciadło śpiącej wody się zanurzą.

Dziewczyna spuszcza zwolna w czarną studnię wiadro
I czeka... A po chwili nurki jakiś złoty
Skarb niosą, jakieś cudne kwiaty, których nadrą
Na dnie w porostach wodnych i dziwne klejnoty.

W wiadro jej kładą, znaki dają potajemnie
I dziewczyna wyciąga wiadrem cud po cudzie...
Nagle nurki się kryją w wód drzemiących ciemnie,
Dziewczyna pierzcha w dali... Nadchodzą już ludzie.

Wypoczęli i biegną spragnieni nad studnię,
Lecz nie szepcą w nią z lękiem, brzmi tylko śmiech młody...
Nie zjawi się cień nurka: na dnie mrok, bezludnie...
Ciągną wiadro: lecz niema w niem już nic — prócz wody.

Sarkofagi.

Jest w głębiach moich czarne, posępne podziemie,
Krypta pełna śmiertelnej, ogłuchłej powagi,
Kędy w zaskrzepłej ciszy, co snem mroków drzemie,
Ciągną się marmurowe, ciężkie sarkofagi.

Na nich leżą kamienne postacie rycerzy,
Bezładne snem spiżowym po trudzie skończonym,
Z piersią zimną, zakutą w chłód głaźnych puklerzy;
Nie śnią, że w górze życie grzmi wirem szalonym.

Przed walką w kryptę dusza ma uchodzi blada,
Lęk życia niosąc w piersi drżącej, zniewieściałej,

I na śpiące marmury senne kwiaty składa,
By za jej brak odwagi zmarłych przebłagały.

Lecz drży w pomroku trwożna, że wonne powietrze,
Które kwiaty ożywczą wkoło leją strugą,
Z lic umarłych rycerzy sen śmiertelny zetrze,
I drży, by nie otwarli oczu... Czeka długo...

Do sarkofagów z trwogą podchodzi tajemną,
W milczeniu patrzy w każdą twarz surową, twardą...
Nadsłuchuje... czy na jej tchórzliwość nikczemną
Serce w piersi kamienia nie zadrga — pogardą.

Modlitwa.

Chroń, Panie, wątłą duszy mojej zieleń
Od podeptania i martwych spopieleń,
Abym wśród życia Ostatniej Wieczerzy
Czuł jej aromat balsamiczny, świeży.

I niech rozpięty na krzyżu konania
Nie widzę słońca, co w pomrok się skłania,
Lecz niech mi Wiara, Matka Boleściwa —
Wskaże dal, gdzie się świt nowy odkrywa!

Tak mi zaśpiewał wiatr...

(Ze zbioru *W mgle*)[1]).

Tak mi zaśpiewał wiatr jesienny w polu:
— Skąd to powracasz, samotny wędrowcze,
Siewco tęsknoty, a żniwiarzu bolu?

Gdzie twe spojrzenia bystre, wywiadowcze,
Coś niemi ścigał po nieb wysokości
Skrzydła swych marzeń i chmur runa owcze?

Wzrok twój przybity, bladość w twarzy gości.
Kędyż znikł dawny płomień w oku twojem? —
— O wietrze! — rzekłem. — Uszedłem miłości!

[1]) Leopold Staff, *Szumiąca muszla*, Warszawa 1921.

Z pęt wyrwałem, które się powojem
Zdając, są kajdan twardemi ogniwy!
Burzą trawiłem się, mrąc nieukojem!

Wracam wyzwolon z niewoli straszliwej!
Z męki kochania, z katuszy okrutnej
Uniosłem serce! — Więc jesteś szczęśliwy? —

— O, wietrze! Jestem szczęśliwy i — smutny...

(Z cyklu p. t. *Nokturny*)[1]).

2.

W wieczór majowy
Pełen słodyczy,
Woniami bzowy,
Pieśnią słowiczy:

Z modrej ciemnoty
Z głębi ogrodu
Wypływa złoty
Księżyc, jak z miodu.

Rozkosz się zlewa
Z błękitów kruży;
Zefir omdlewa
Na piersiach róży.

W mgieł ametyście
Miękkim szelestem
Wzdychają liście...
O, spragnion jestem!

W gwiazd pocałunku
Nektar z nieb ścieka...
Chcę szczęścia trunku!
Ptasiego mleka!

O, wonią przesiąc
Maju miłośną!...
Miodowy miesiąc
Duszy mej z wiosną!...

5.

Znużona wieś,
Ukołysana w sen posłusznym fletem,
W oparach tonie,
Jak na dnie gdzieś
Jeziora, które rozlewa fjoletem
Swe monotonje.

Padolny świat
W stłumionych, głuchych westchnieniach i głosach,
W smutku i w cieniu,
Jakby od lat

[1]) Leopold Staff, *Szumiąca muszla*, Warszawa 1921.

Nawet Bóg o nim zapomniał w niebiosach, —
Śpi w opuszczeniu.

Zwolna szmat mgieł
Nad sadem, który siwe bielmo zmąca,
Jaśnią ożywa
I srebrny kieł
Narodzonego nowo półmiesiąca
W przestwór wypływa.

I światłem swem
Tak błogą ulgę piersi mej bezsennej
Niesie, jak żeby,
Wymodlon snem,
Nie z mgieł wypłynął, lecz z ciemnej, bezdennej
Serca potrzeby.

7.

Pod srebrnym snem błękitów,
Pod gwiazd zaklęciem,
Drzewa smukleją szczytów
Swych wniebowzięciem.

O, podniesienie łona
Natchnieniem bożem!
O, duszo rozszerzona,
Pijana przestworzem!

O, przesłonięcie oczu
Marzenia gazą!
Zachwycie w sfer przeźroczu!
Biała ekstazo!

Jak obłok mgły świetlisty
Śnieżnemi blaski,
Czuję się w sercu czysty
I pełen Łaski!

Zniknęły myśli męty,
Niepokój, trwoga,
Czuję się w duszy święty
I pełen Boga.

Deszcz krwi i ognia.

(Ze zbioru p. t. *Tęcza łez i krwi.* Warszawa 1921).

Deszcz krwi i ognia, Mocy sprawiedliwej kara,
Porażeniem niszczącem zalał całą ziemię!
Przebrała się bezbrzeżnej cierpliwości miara
I przerosło gór szczyty dzikiej zbrodni brzemię.

Podanaś jest w zagładę za swą złość zelżywą
I w perzynę obraca cię sądu godzina,

Europo zatwardziała, ty nowa Niniwo!
I wołają piorunów huki: Twoja wina!

Chadzałaś w nieprawości i kłamstwa ozdobie,
Tarzałaś się wśród zbytku i występku łoża,
Urągając niebiosom, zaufana w sobie:
«Mamy siłę i złoto! Cóż nam bojaźń boża?»

I msty ulewa spadła z niebios baldachimu
I wzrosły z niej na zgliszczach twej buty wszetecznej
Krwawe kwiaty płomienia, czarne drzewa dymu
I puścił się w morderczy tan miecz obosieczny.

W pustynię zamienione są twe pola płodne,
Miasta z głazu, jak lniane spłonęły namioty,
I pobite poległy twoje pierworodne
I obalony leży w gruzach Cielec Złoty.

Świat złamany w swej pysze, jak pęd latorostki,
Je czarny chleb rozpaczy, pije wino zgonu
I w dymiącej, zapiekłej krwi brodząc po kostki,
Czuje pierwszy raz w życiu potrzebę Zakonu!

Ludzkość opamiętana, co zda się upiorem
Własnej mocy wczorajszej i widmem okropnem,
Rozdarłszy szaty swoje, grzbiet oblókłszy worem,
Biodra swe przepasuje powrósłem konopnem,

I jako wdowa czarna, źrenice przeciera
I, pokutnemi łzami rosząc chude lice,
Skruszona, grzebie w szarym popiele i zbiera
Strzaskane Dziesięciorga Przykazań tablice.

Polsko, nie jesteś ty już niewolnicą.

(J. w.)

Polsko, nie jesteś ty już niewolnicą!
Łańcuch twych kajdan stał się tym łańcuchem,
Na którym z lochu, co był twą stolicą
Lat sto, swym własnym dźwignęłaś się duchem.

Nie przyszły ciebie poprzeć karabiny,
Ni wiodły za cię bój komety w niebie,
Ni z Jakóbowej stąpiły drabiny
W pomoc Anioły. Powstałaś przez siebie!

Dzisiaj wychodzisz po wieku z podziemia,
Z ludów jedyny ty lud czystych dłoni,
Co swych zaborców zdumieniem oniemia,
Że tem zwycięża jeno, że się broni.

Ducha wspomnieniem ich ci nie rozsierdzę,
Żyłaś miłością, nie zaś zemsty żołdem,
Choć serce twardsze masz, niż Flandrji twierdze,
Co ci przyznano nowym pruskim hołdem.

Ty, broniąc siebie wbrew wszelkiej nadziei,
Broniłaś jeno od czarnej rozpaczy
Wiary, że wolność, prawo, moc idei,
Nie jest czczym wiatrem ust, ale coś znaczy.

Duchową bronią walczyłaś i zbroją,
O którą pękał każdy cios obuchem.
Więc dziś myśl każdą podłóż ziemią swoją
I każdą ziemi swej piędź nakryj duchem.

Żadne cię miana nad to nie zaszczycą,
Co być nie mogło przez wiek twą ozdobą!
Polsko, nie jesteś ty już niewolnicą!
Lecz czemś największem, czem być można: Sobą!

Ojczyzno nasza.

(J. w.)

Ojczyzno nasza,
Matko Bolesna!
Spełniona czasza
Łez i bezkresna
Męka stuleci,
Która Cię truła!
Nad tobą świeci
Wolna kopuła!

Twe święte serce,
Gdzie white siłą
Przez trójmordercę
Siedm mieczy tkwiło,
Na lud twój, który
U stóp Ci klęczy,
Zlewa dziś z góry
Siedem barw Tęczy!

ANTONI LANGE. [1])

Nie na dzień jeden.

Nie na dzień jeden siejesz swoje ziarno,
Ale na jutra czas nieurodzony;
Więc bez wytchnienia kraj tę ziemię czarną,
By od twych pługów garbate zagony
Zabrzmiały pieśnią zbóż złocistych gwarną.

Choć nieraz wichry i susze wygarną
Tym krwawym potem wydobyte plony:
Wytrwała praca twa nie będzie marną —
Nie na dzień jeden!
Natura kocha swoją pieśń cmentarną,
Niby małżonka pieści akwilony:
Od gniewu Diany giną Akteony [2]);
Strasznie jest zwalczać moc elementarną,
Lecz siej, pomimo grad i suszę skwarną —
Nie na dzień jeden!

Na roli.

I.

Za ogrodem śród drożyny
Purpurowe kwitną głogi,
Przy nich siny krzew tarniny
A za niemi pól rozłogi.
Kwadratowe, w krzyż splecione,
Podwójnemi lśnią kolory,
Pola czarne i złocone,
Te ścierniska, te ugory.
Pozłociste żniw mogiły,
Hebanowe siejb kołyski,
Śmierć i życie — bratnie siły —
Mkną, ujęte w dwa uściski.

II.

Melancholja zżętych łanów
Karmi tylko gąski białe;
Stada owiec i baranów
Gryzą słomki pozostałe.
Grobem dyszą pól rozłogi,
Choć nad każdem śmierci łożem —

[1]) Ur. 1864. Ogłosił szereg poezji lirycznych, studjów literackich, dramatów, nowel i przekładów z poetów obcych. *Poezje* t. I (1895) i t. II (1898). Przekłady wydane w r. 1901.

[2]) Akteona — wedle mitologji greckiej — zamieniła Artemis w jelenia, rozgniewana za to, że ją zobaczył w kąpieli; rozszarpały go potem psy na górze Cithāronie.

Niby chaty — stoją stogi,
Woniejące złotem zbożem.

III.

Po szerokim po ugorze
Za swym pługiem rolnik kroczy,
Twardą ziemię ciężko orze,
Wyostrzonem radłem toczy.
Orze ziemię lat tysiące
I zasyła modły w nieba:
O pogodę i o słońce,
Słowo boże i kęs chleba.

IV.

Rażny, chociaż niewesoły,
Idzie brózdą i powraca
I pogania swoje woły,
Skroń mu potem zlewa praca.
Włos ma płowy, szare oko,
Twarz od słońca ogorzałą,
Barki silne, pierś szeroką
I koszulę nosi białą.
W koszulisku swojem lnianem,
W białych lnianych spodniach, [bosy,
W kapeluszu swym słomianym
Swoje ciche spełnia losy.

V.

Dziwna postać ta oracza!
Idą, płyną pokolenia,
Jego nic nie przeinacza,
Jego ducha nic nie zmienia.
I tak kroczy śród gorąca,
Jak na wyżni gdzieś irańskiej
Jakiś duch z przed lat tysiąca,
Jakiś wid starosłowiański.
Takim był on za dni Lecha,
Za Lumirów i Bojanów:
Nieruchoma wiejska strzecha
Nie zna świata huraganów.
Gdzieś na świecie wyły burze,
Świat niejedno stworzył dzieło;
On niezmienny w swej naturze,
Skrzydło dziejów go nie tknęło.

Exegi.

Świat zbudowałem sobie jasny i promienny
W tajemnicy przed ludźmi, nieznany nikomu:
Świat napół rzeczywisty i napoły senny —
I żyję w nim i krążę, jak po własnym domu.

Są w świecie tym najczystszej miłości ogrody;
Są w nim złote księżyce; są światła magiczne
Gwiazd, co nigdy nie gasną; są błękitne wody,
Co się tam w oceany rozlały mistyczne.

Są w nim zielone łąki, gaje pełne ciszy;
Są zioła czarodziejskich pełne aromatów —
I nigdzie takich pieśni serce nie usłyszy,
Jak tam, w tym najpiękniejszym z wymarzonych światów.

A gdybyś, jako mędrzec, tę wszystką harmonję
Chciał rozłożyć na. szczere, pierwsze elementa:
Znalazłbyś wszystkie jęki, co wrzały w mem łonie,
Wszystko, o czem pamięta duch, choć nie pamięta!

Cierpiałem bardzo wiele, może nazbyt wiele,
I nieraz życie z własnej spychało mnie drogi;
Lecz wiem, że jest gościniec, co się w niebo ściele,
I wiem, że w onem niebie żyją dobre bogi.

Wiem, przeczuwałem zawsze ten mój świat promienny,
Lecz droga szła ku niemu przez otchłanne morze,
Przez głuchy bór milczenia tłuszczy bezimiennej,
Przez skały bezechowe... Z mroku szedłem w zorzę!

Ale kto pragnie wiele, ten uzyska wiele;
Kto wywołuje ducha, ten wywoła ducha:
We krwi jest nowy żywot, we łzach jest wesele,
A milczenie to wulkan, co naraz wybucha.

Ze wszystkich moich mogił wstałem odrodzony —
I możem dzisiaj bardziej czysty i dziewiczy,
Niż gdy świat młodzieńczemi chwytał mnie ramiony,
Gdym kochał jady pełne zawrotnej słodyczy.

I wstałem z wszystkich ugięć nieugięty znowu,
I splotłem rzeczywisty mój byt i byt senny —
W modlitwę, gdzie miłości, naturze i słowu
Postawiłem swój kościół, jasny i promienny!

Mój świat, którego ludzie mi może zaprzeczą,
I powiedzą obłudnie, że go niema wcale —
Mój świat jest: on jest duchem, on jest żywą rzeczą,
Widzę go, czuję, słyszę — w niepojętej chwale.

Nieraz wychodzę z niego na życiowe wiry,
Ale wiem, jaka wróci mnie ku niemu ścieżka,
I wiem, że choć tu bole napotkam i kiry,
Tam — w świecie mym — bogini czarodziejska mieszka.

Ona czeka. Gdy przyjdę, uśmiech ma na twarzy,
Gdym długo nieobecny, jakoby w wyrzucie,

Pyta, czemu jej złotych odbiegłem ołtarzy,
A gdy widzi, żem smutny, — śpiewa w słodkiej nucie.

O, bo ona ma w sobie moc niewyczerpaną
Przebaczenia! Bogini moja, ty wiesz o tem,
Że jeżeli twą ziemię opuszczam świetlaną,
Gdzie wiosna zieloności wiecznym tchnie uplotem:

To nie przeto, żem ciebie zapomniał choć trocha,
Lecz, że dla ciebie zbieram na drogach żywota
Męczarnie, w których dusza przedziwnie się kocha,
By zmienić je w promienie z eteru i złota.

A niechaj wyją wichry, niechaj huczą burze,
Niechaj się piorunami niebo rozorkani —
Stoi mój świat nietknięty, jakoby w lazurze,
I nic go nie naruszy i nic go nie zrani.

Natura w nim złożyła siły nadczłowiecze,
Niewyczerpaną młodość, nieskończone życie:
A niechaj wrą płomienie, niech zgrzytają miecze —
On jeszcze zmartwychwstanie w krwi i mieczów zgrzycie!

Rosnącą mocą pragnień podsycany wiecznie,
On coraz szersze mroki dokoła rozpędza;
I świeci mi tęczowo, świeci mi słonecznie,
I niczem dlań jest bytu nieskończona nędza!

Upadałem od jęków własnych i niewłasnych,
Zwątpienie jastrzębiemi gryzło mnie pazury;
Nicość była mi słońcem i w trwogach niejasnych
Pytałem, po com zaszedł na ten świat ponury?...

Nie miałem odpowiedzi... Cały podsłoneczny
Świat niemo patrzył na mnie... Zgnębiony milczeniem,
Czułem się zbyt samotny, czułem się zbyteczny,
Marzenie mi pryskało, jak mgła za marzeniem.

I oto, gdy mię dusić jęła bezpowietrzność,
Gdym na manowcach roić przestał już o niebie:
Znalazłem swoją prawdę — swój cel i konieczność —
I swój świat promienisty — i ciebie — i siebie.

Oto słońce mi błysło, rozpierzchły się mroki,
W powietrzu kryształowem zalśniła mi czystość
I, powstał w mej nicości czarnej i głębokiej
Świat bardziej rzeczywisty, niżli rzeczywistość.

Wykąpałem się w marzeń wielkich oceanach
I zawszem w burzach patrzył w mą gwiazdę polarną,
I muzyka mi brzmiała w dziejowych orkanach
I pod zieloną darnią dzwoniła cmentarną.

Znalazłem, jak za rózgi magicznej ruszeniem
Kalifornię zapału — młodości — nadziei;
Znalazłem żywą wodę, co jasnym strumieniem
Wytryska śród tumanów i burz i zawiei.

Byłem ubogi sercem. Dziś jam tak bogaty,
Że zda się niezmierzone skarby w sobie noszę!
I mógłbym je rozsypać w niezmierzone światy
I jeszczeby mi wielkie zostały rozkosze!

Stanąłem ponad wszystką nienawiścią świata,
Jakoby czujny strażnik miłości i ciszy —
I zaszła w moje ręce — biała i skrzydlata
Pieśń. Bogini mi śpiewa. — Serce moje słyszy.

Z cyklu *Na Świtezi.*

Wielmożny duchu pieśni, coś przeminął wzrokiem
Naturę, ty naturą byłeś sam: obłokiem —
I powietrzem — i orłów pogwarem skrzydlatych
I byłeś szumem starych dębów rosochatych.

I byłeś szmerem złotych pól — i puszcz łoskotem,
Rykiem burz — wschodów słońca purpurowem złotem,
I byłeś siołem, puszczą, słońcem, niebem, wodą.
I księga twa nie księgą już, ale przyrodą!

Tyś nauczył nas mowy tajemniczej borów
I pieśni głębin jezior i nieba przestworów;
Tyś, błądzącym za palmą pustyń bezowocnych
Objawił nam ukryte cuda puszcz północnych.

Echo wiosny jedynej na ten wiek ponury,
Wcielenie wszechplemienia soków i natury,
Ojcze nasz — w każdym kwiatów malowanych puchu
Obecny — chwała tobie, o wielmożny duchu!

Wielmożny duchu pieśni, chwała ci wieczysta,
Bo tworzysz z tychże źródeł, z których Bóg korzysta,
A kto się w twojej księgi pogrąży krynice,
Temu nikną natury i sztuki granice.

O sztukmistrzu, tem wyższy nad inne sztukmistrze,
Żeś sztukę zlał z naturą w braterstwo najczystsze,
Żeś razem był natury piersią i narzędziem:
My, pieśniarze, cię wiecznie wielbić tutaj będziem.

Z cyklu p. t. *Rym.*

Pierś mi strawił zatruty mego wieku rozczyn —
Duch zmęczony, że sam-by pragnął siebie przerość,
Tęskni dziś za spokojem zapomnianych wioszczyn,
Gdzie, pod lip starych cieniem, kwitnie złota szczerość.
Znudziły mnie zawroty tej abrakadabry —
Prostoty chcę, zieleni śród lasów i opól,
Nęcą mnie kraśne maki i niebieskie chabry,
Szmery wód, ciche szumy rokicin i topól.
I chciałbym ksiąg zapomnieć, których czar mnie urzekł,
I stanąć odrodzony śród zielonych muraw
I usiąść nad strumieniem w kole dobrych wróżek
Lub ulecieć nad pola, jak swobodny żóraw.
I chciałbym zapomniawszy pieśni kłamnych syren,
Wsłuchać się w tajemnice borów Zendawesty
I jak jaskółka spadać na prostaczy świren
Lub kwitnąć, jak na piaskach nadwiślańskich rdesty.
I tak chciałbym, z nieziemskich odrodzony przyczyn,
Pojąć pieśń, którą śpiewa dziś stuleciu ziemia,
Którą pszczół roje brzęczą śród gryk i koniczyn,
I którą szumią ludzkie ule i żeremia.
Bo wierzę, że w tych szumach żyje Boża czeladź
Kwiatów, ptaków, motyli — i chciałbym balsami
Zapach łąk w serce przelać — i zwolna się wcielać
W treść istot, z którą wkońcu duch się utożsami.

Chciałbym, by światło błysło w moich oczach ślepych,
Bym je zamknął na fałszu uwodzące złoto,
Bym, pojąwszy natury prostotę i przepych —
Jak ona, lśnił przepychem naraz i prostotą.

ZENON PRZESMYCKI (MIRIAM).

Posępny los.

Posępny ciężki los
naszego pokolenia.
Za ciosem bije cios
w czarowny gmach złudzenia.
Nie wiemy, gdzie nam iść,
nie wiemy, skąd idziemy,
Jak zwiędły suchy liść,
przez świat się toczym niemy.
Duszący zwątpień mrok
ogarnął nas dokoła,
Nie błyska ogniem wzrok,
bezmyślnie gną się czoła.
Straszliwa pustka w nas!
Nie znamy drgnień zapału,
Obojętności głaz
przywala nas pomału.
Nie dbamy o to już,
co będzie, co się stanie,
Czy złote blaski zórz
obwieszczą nam zaranie,
Czy, trupy żywe, gnić
wciąż będziem sami jedni;
My chcemy tylko żyć
i mieć nasz chleb powszedni.

O! pieśni, zbudź nas, zbudź
swych dźwięków huraganem!
Po stokroć lepiej łódź
Na morzu rozhukanem

Na szturmy rzucić fal:
niż wpadłszy w morską ciszę
Mrzeć, w siną patrząc dal,
jak fala się kołysze.
O! pieśni, przemów ty
symfonją nieskończoną!
Niech z oczu trysną łzy,
burzliwie zadrga łono;
Niech mchem porosły głaz
uczuje ognia żary;
Niech zdumion ujrzy czas,
jak zwątpień pierzchną mary.
O! pieśni karz i sądź,
grzmij w piersi strupieszałe!
Mojżesza laską bądź
i twardą rozbij skałę!
Niech Feniks natchnień znów
z popiołów zimnych wzleci
I gwiazdą wielkich snów
lśni długi ciąg stuleci!!

JAN LEMAŃSKI. [1])

Bajka o kurze, o diamencie i o sztuce.

Im niższe w hierarchji
Bytowej żyjątka,
Tem mniej cenią rzecz, która
Nie jest dla żołądka.
Pierwotniaki za życia
Jedyne zadanie
Mają: przyjęcie żeru
I jego oddanie.
A prawda... jeszcze jeden
Cel jest dla nich — trzeci:
Mieć podobnych do siebie
Jak najwięcej dzieci.

Zdarzyło się raz kurze,
Rozgrzebując śmieci,
Znaleźć przedmiot, co nie da
Zjeść się, ale świeci.
Był to diament. Świetlanych
Nie lubiąc omamień,
Kura precz odrzuciła
Drogocenny kamień.
— Ach — mówi — nadaremnie
Dziób mój w głaz ten stuka:
Nie daje mi korzyści
Ta świecąca sztuka.

[1]) Ur. 1865. Wsławił się poezjami satyrycznemi: *Bajki* (1902); *Proza ironiczna* (1904); *Colloqia albo rozmowy* (1905); *Ofiara królewny* (1906); *Nowenna* (1907); *Prawo własności* (1909); *Kamień filozoficzny* (1911); *Noc i dzień* (1911); *Zwierzyniec* (1912); *Jasełka* (1912).

Że też jest coś na świecie,
Czego brać w żołądek
Nie można! To jest nonsens!
To jest nieporządek! —
Słysząc nad diamentem
Te refleksje kury,
Urągającej sztuce
Czystej, człek niektóry
Podniósł ten klejnot, otarł
Z niego brud i kurze
I powiada: — Nie rzucaj —
Diamentów kurze. —
Jest pośród nas niejeden,
Który czystej sztuki
Adeptów i wyznawców
Pokrajałby w sztuki.
Taki pan idzie w życiu
Onej kury śladem,
Która chce, aby wszystko
Było zbóż pośladem;
Która wszędzie dla trzewiów
Pożywienia szuka,
Bo dla niej najwyższą
Ta poślednia sztuka.

A ta, która migoce
Światłem, jak diament,
Taką sztuką pogardza
Kur autorament.
Są i ludzie — powiedzmy
Tu dokumentarnie,
Którzy od słońca wolą
Lampy i latarnie.
Tak. Jest sztuka, jak marjaż
Dla posagu żony,
I jest sztuka — przez miłość
Związek skojarzony.
Tak. Jest sztuka dla zysku,
Tytułu posady,
I sztuka, która ziemski
Rusza świat z posady.
Tak. Jest cnota dla dobrej
W społeczeństwie noty,
I bezinteresowna
Cnota jest: dla cnoty.
Jest prawda tylko na dziś,
I prawda wieczysta;
Jest sztuka, która brudzi,
I jest — sztuka czysta.

Parawany.

2.

Choć to dziś nie czas maskarad,
Lecz pozwólcie prawdy karat
Rzec na temat ludzkich szkarad.

Już gdy żyły tu mamuty,
Człowiek, jeszcze nie obuty,
A znajomym szył już buty.

Pierwotnego lud plemienia
Bliźnich młotem prał z ka-
[mienia
W razie meporozumienia.

Potem w życiu się szastali
Raub-ryterowie w stali
I mieczami się chlastali.

Przeminęło średniowiecze,
Lecz czy życie się człowiecze
Odmieniło bardzo — przeczę.

Mauzer, kartaczownica,
Browning i szubienica
Dziś: to żadna jest różnica.

12.

Chcesz być dobrze przyjmo-
[wany
Przez świat ustosunkowany,
Szanuj jego parawany.

Życie tylko jest pozorem:
Umiej dobrze mleć ozorem,
A zostaniesz ludzi wzorem.

Z wierzchu piórka miej gołębie,
Namaszczoną słodycz w gębie,
A złość — w duszy chowaj głębie.

Przed bogaczem pochylony,
Czcij porządek ustalony,
A sowite zbierzesz plony.

Lecz jeżeli woń ci zbrzydła
Tego pseudo-cnót pachnidła,
Parawanów połam skrzydła.

Choć tak czynić jest nieładnie,
Lecz zobaczysz wtedy snadnie,
Co w tem życiu leży na dnie.

Dobroczynność. [1])

Tam gdzieś skrzypią szubienice...
Furda! Garson, lej w szklanicę.

Tam gdzieś kogoś, ktoś tam wiesza...
Głupstwo! Nas tu *witz* rozśmiesza.

Przy stolikach rojne tłumy,
Pachnie wódka, dym, perfumy,

Krew w słuchaczu oraz widzu
Rozpłomienia śpiew o rydzu.

Tam gdzieś kogoś kat na belkę
Ciągnie?.. Garson, daj butelkę!

Z ideałów naszych kpili:
Dziś będziemy za nich pili.

Z żył pragnęli krwi nam ulać,
Dziś możemy za nich hulać.

Towarzysze, ideowce!
Dziś kat strzyże was, jak owce.

---

[1]) Ze zbioru p. t. *Baśń o prawdzie.* Warszawa 1910.

Chciałeś zbawić świat, chłopczyku,
Odrodzeniem? — wiś na stryku.

A nas niechaj śpiew odrodzi,
Jak na rydze Kasia chodzi.

Wierz, słuchaczu mój i widzu:
Kwintesencja życia — w rydzu.

Wysoko i nisko.

Dwaj ludzie patrzą w siebie.
Jeden na wierzchołku
Stoi góry wysokiej,
Drugi stoi w dołku.

— Jakiż on jest maleńki —
Rzekł ten pierwszy z wyżek. —
— Ach, jaki z niego pigmej —
Drugi z dołu wyrzekł, —

Wespnę się — myśli — w górę
Do tego karzełka.
— Zejdę — pomyślał tamten: —
Bawi mię ta pchełka.

Zaczęli iść ku sobie,
Tamten ku dołowi,
Ten w górę. Gdy się zeszli,
Patrzą: — jednakowi.

LUCJAN RYDEL. [1])

Wstań pieśni. [2])

Wstań pieśni, wstań z drgających strun
I dzwoń i dźwięcz;
Przez blask wieczorny złotych łun,
Przez triumfalne łuki tęcz
Płyń w lazurową nieba toń
I dzwoń i dźwięcz.

Pod sobą w dole, w dole gdzieś,
Wśród lip i brzóz,
W zielonych sadach cicha wieś
I świegot ptasi w gąszczach łóz

---

[1]) 1870—1918. Rozpoczął lirykami, wsławił się scenicznemi utworami dużej do dziś dnia popularności: *Zaczarowane Koło* (1900); *Betleem polskie* (1905); ogłosił dramaty: *Na zawsze* (1903): *Bodenheim* (1906); trylogję p. t. *Zygmunt August* (1913).

[2]) Ze zbioru p. t. *Poezje*.

I dymy, które wiatru dech
Gna z niskich strzech.

Pod tobą łany chlebnych zbóż
I wstęgi rzek
I szafirowe tafle mórz
I skalnych szczytów srebrny śnieg,
Pod tobą w chmurach śpiący grzmot
I orłów lot...

O płyń przez gwiazd promienny pył
W otchłanie sfer,
W zawrotny wir ognistych brył,
W szkarłatny odmęt krwawych skier,
W blask opalowy — leć i toń
I dźwięcz i dzwoń.

Serce mi się wciąż wyrywa. [1])

Serce mi się wciąż wyrywa
Do dalekich moich stron,
Do tej ziemi ukochanej
Serce mi się wciąż wyrywa...
U nas teraz na wsi żniwa...
Złotokłosy pada plon,
Śpiewką żeńców dźwięczą łany,
Głos po niebie się rozpływa,
A na kłosach wiatr przygrywa,
Jak na harfie wyzłacanej.

Śpiewką żeńców dźwięczy niwa,
Na południe bije dzwon
I przy drodze wierzba siwa
Da gromadzie spracowanej
Cień blaskami przetykany...
— Mnie tu pośród obcych stron
Śnią się ciągle takie żniwa
I ta wierzba i te łany
I do ziemi ukochanej
Serce mi się wciąż wyrywa!...

[1]) Ze zbioru p. t. *Poezje.*

Przekleństwo.

Przekleństwo łzom, które się próżno leją,
Gdy burza wre dokoła
I huczy grom,

Gdy trzeba trwać z odwagą i nadzieją
I nie uginać czoła —
Przekleństwo łzom!

Przekleństwo snom, które się próżno marzą,
Gdy spłonął dach nad głową
I runął dom,

Gdy trzeba wstać i ze spokojną twarzą
Budować gmach na nowo —
Przekleństwo snom!

Przeklęta jest — po trzykroć jest przeklęta
Ta małoduszność blada,
Co znosi srom,

I sama lot własnego ducha pęta
I w trwodze więzy wkłada
Swym łzom i snom.

Modlitwa Królowej Korony Polskiej.

Synu mój, Boże, oto ja na czele
Poddanych moich padam na kolana,
W proch się przed Twoim Majestatem ścielę
Łzami zalana!

Królową swojej Korony mnie zowie
Naród mój biedny, co mi służy wiernie,
Lecz ta Korona złota na mej głowie,
Rani, jak ciernie!

Bo z łez jej perły, ze krwi jej rubiny,
Złoto jej ciężkie, jak kajdan żelastwo...
Synu Niebieski, ziemskie moje syny
Są wrogów pastwą!

Patrz: cała Polska pod mój płaszcz się garnie
I z pochyloną w jarzmie wrogów szyją
Jękiem się skarży na swoje męczarnie:
Matko! Marjo!

A ja, bolesna, jako na Golgocie,
Słucham ich płaczu, serce krwią mi broczy
I żebrząc dla nich łaski, zwracam do Cię
Błagalne oczy...

Grzeszni są, Panie, lecz w piekielnej pysze
Stokroć są gorsi ciemiężce zuchwali,
Ich serce jadem nienawiści dysze
W piersiach ze stali.

Grzeszni są, Panie, lecz sto lat pokuty,
Sto lat niewoli przetrwali za karę,
A duch wynieśli jadem nie zatruty
I żywą wiarę!

Grzeszni są, Panie, lecz Ty, co przyrzekasz:
«Ja nadłamanej trzciny nie dołamię»,
Na prośbę Matki już ich dłużej nie karz,
Powściągnij ramię!

Na żywot Matki, na piersi matczyne,
Które Cię karmią, na krzyż Twój, na mękę —
Błagam: Odrodzin przybliż im godzinę!
Podaj im rękę!

Przed oczy Twoje, Panie.

(1915).

Przed oczy Twoje, Panie,
Krzywdy nasze składamy,
To żywcem pogrzebanie
W czyśćcowych mąk otchłanie
Ran coraz nowych szramy,

Te gwałty i uciski
Nad miarę i nad siły,
Ten ból rozpaczy bliski,
Z którym się od kołyski
Zmagamy do mogiły.

Od dziada i pradziada
Z pokoleń w pokolenia
Klęska dziedzictwem spada,
Zniszczenie i zagłada
W cmentarz nam Polskę zmienia.

A my, w sercu i w czynie
Tej matce wierni zawsze
I ufni, że nie zginie,
— Jak ojce — tak my ninie
W boje lecim najkrwawsze.

Płomień i miecz dokoła
Gniazda nasze wyniszcza,
Goreją miasta, sioła,
Zostaje ziemia goła
I poczerniałe zgliszcza.
Drzew martwe sterczą mary,
Wznosząc wśród pogorzeli
Zwęglone swe konary
Nad gruz i popiół szary...
Gdzież ci, co dom ten mieli?!
Tam wdali strzechy płoną,
Pożar słońce przesłania
Burych dymów oponą,
A w noc łuną czerwoną
Krwawi się do świtania.
Ziemia kulami zryta
I rowy ją podarły,
Podeptały kopyta
Kraj głodem obumarły.
Ludzie chodzą jak cienie
Z przygasłemi oczyma
I są, jak te kamienie,
Których skargą milczenie:
Płacz już się ich nie ima!
Przed oczy Twoje, Panie,
Przed miłosierne oczy
Ten niemy ból niech stanie
I narodu błaganie,
Co krew za wolność toczy...
Bo my, Boże, wierzymy,
Że z tej krwawej topieli,
Którą z siebie toczymy,
Poprzez łuny i dymy
Jutrznia złota wystrzeli!

JERZY ZUŁAWSKI. [1])

Kędy-ś kraju? [2])

Kędy-ś kraju rodzinny? Tułacz i sierota
różne ziemie objeżdżam i miasta i wioski,
ale nigdzie nie mogę pozbyć z serca troski:
wszędzie idzie w ślad za mną jak widmo — tęsknota!

Piękne miasta widziałem pełne sztuk i złota,
Alp widziałem lodowce i firmament włoski,
morza brzeg i w mirtowych gajach białe kioski,
Kędy mieszka wesele, rozkosz i pustota;

w drodze nieraz z namiętnych ssałem ust przynętę,
zapomnienia szukałem w towarzyszów gwarze,
kończąc śmiechem udanym pieśni w łzach poczęte, —

ale sercu nie ulżyć. Dzisiaj tylko marzę,
by powrócić na łany mojej ziemi święte —
i tam żyć i umierać, gdzie ojców ołtarze!

[1]) 1874—1915. Ogłosił kilka zbiorów poezji lirycznej (*Poezje*, 4 t. 1909), dramatów (*Eros i Psyche*, 1904), powieści (*Na srebrnym globie*, 1903).

[2]) Ze zbiorku *Poezje*, Kraków, 1901.

Nad gruzami.

Ha, myśliciele! Wy walić umiecie!
Prawdy, co wczoraj niewzruszone były,
dziś się w bezkształtne rozpadają bryły;
jutro wieść o nich już zaginie w świecie!

Biada stworzeniu, co pod dachem kruchym
stawiło skarby swoje i ogniska,
wierząc stuletniej potędze zamczyska,
Które się jutro z jękiem zwali głuchym!

Biada gołębim tam u szczytu gniazdom!
W proch jutro padną razem z wieżą dumną,
razem z złoconą krzyżową kolumną,
co wczoraj blaskiem urągała gwiazdom!

Aby żyć można bez wiecznego strachu,
Kretem być trzeba pod powierzchnią ziemi,
oślepnąć, chodzić drogami czarnemi
i słońca nie znać ani świątyń gmachu!

Ha! albo orłem. Wzbić się ponad wieże
i z góry patrzeć na zniszczenia ślady,
na konające pośród gruzów gady
i konające wśród gruzów rycerze!

Bez odpoczynku i bez pokrzepienia
tak się pod niebem orlim warzyć lotem
i gardzić świątyń walących się grzmotem
i gardzić ziemią, co wiecznie się zmienia!

A kiedy w skrzydłach już nie stanie mocy,
orzeł samotny, który żył bez gniazda,
upadnie z nieba, jak strącona gwiazda,
na łono gruzów zapomnień i nocy...

JÓZEF JEDLICZ. [1])

Rusałka wzdycha.

Rusałka wzdycha
Z krynicznych den:
...O, śmierć jest cicha,
Jak kwiat, co usycha,
Jak cichy sen...

Gzież się podziały
Te słońca żary,
Złote spiekoty...?
Te serc tęsknoty,
Miłosne czary
I zmysłów szały...?

Gdzież się podziały
Lny i podbiały
I kwietna łąka...?
I krew kąkolu
Na złotem polu
I płacz skowronka...?

Gdzież te rubiny
Młodej wikliny,
Te barw przepychy...?
Te bujne kiści
Złotawych liści,
Gdzie w wieczór cichy
W łunach księżyca
Śpi tajemnica...?

Boleśnie wzdycha
Kryniczny mrok...
Z kwiatków kielicha
Pierzcha, wysycha
Przewonny sok...

Na zwiędłej malwy
Suchym badylu
Śmierć się kołysze
I sennie nuci
Swą białą pieśń...
Nuci o złotym
Życia motylu,
Co wdal odleciał,
W bezkresne cisze — —
I już nie wróci...
I już nie wróci...

Powódź.

Przez łęgi i łany
Dunajec wezbrany,
Jak morze się toczy, wśród wirów i pian —
Spoglądam, jak fale
Kołują wspaniale,
Z tęsknicą spoglądam w bezkreśny ich tan.

---

[1]) Ur. 1879, podhalanin, ogłosił zbiorki poezyj lirycznych, jak *Słoneczna pieśń*, 1895; *Nieznanemu Bogu*, 1912; nowele p. t. *Jasny i czarny*, 1909. — Podane liryki pochodzą ze zbioru *Nieznanemu Bogu*.

O zmierzchu po fali
Nadpłynął z oddali
Przedziwny, srebrzysty, nieznany mi ptak;
Skrzydłami w pomroce
Obłędnie trzepoce,
Chce dobić do brzegu, lecz sił mu już brak.

Wtem wielka go fala
Na wieki oddala,
Daremnie go ściga płonący mój wzrok!
I długo wśród głuszy,
Jak widmo mej duszy,
Bieleje na falach, aż wchłonął go mrok.

To nie cud.

To nie cud śmiać się w szczęściu... Cud nad cudy
Uśmiech na ustach mieć, gdy rana boli —
Wśród śmierci łuną życia zdumieć ludy
I rość i mocą olbrzymieć w niewoli!

To nie cud w mocy grozić... Cud nad cudy
W nędzach niewoli światu grozić duchem!
W męczarni stworzyć wielkie szczęście złudy
I żyć — i w niebo wylatać z łańcuchem!...

O zmierzchu.

O zmierzchu, z mgły perłowej,
Pod złoty krąg księżyca —
Srebrzysta, modrolica
Wychodzi rusalica
I w głuszy wieczorowej

Na gęśli księżycowej
Swą dziwną gędzi pieśń,
Uroczną życia pieśń... —

A imię jej: tęsknica...

Dzieci.

(Fragment końcowy).

O dzieci moje, gdy mnie już nie będzie,
Wiedzcie, iż w waszej piersi duch mój żyje,
A w sercu moja krew serdeczna bije,
Iż żywy z wami idę zawdy, wszędzie...

By spełnić przodków nadobłoczne dzieło,
Dążcie wieczyście naprzód — wstecz ni kroku!
O nie lękajcie się upiorów mroku,
Ani się radźcie tego, co minęło...

Skronie owiwszy złotym winogradem,
Wzbijajcie się w ponury męt chaosu:
Aż zadrży światowładna przemoc losu
Przed waszem Pięknem, Harmonją i Ładem...

O bądźcie dumne dumą waszych ojców,
Którzy w mozole krwawym od powicia
Wiernie dźwigali straszne brzemię życia,
Dążąc dostojnie do prawdy ogrojców...

Jeżeli z duchem mym obcować chcecie,
O nie szukajcie go w cmentarnym mroku,
O nie szukajcie go w próchnie zewłoku:
W swych własnych, żywych duszach go znajdziecie!

We własnych tęsknic zawierusze słodkiej,
W nadludzkim pędzie ku nieskończoności,
Nie w bezistnieniu grobów, lecz w przyszłości —
Pomnijcie: w świtach żywią wasze przodki...

Lećcie, orlęta, na nowe rozkwity,
Niech w bezmiar żenie was tęsknica boża:
A co dzisiejsza zataiła zorza,
Niech wam powiedzą żywe jutra świty!

JAN KRZEPTOWSKI (SABAŁA).[1]

Sél ráz — prosem pięknie ik miłości — budárz na zárobek do miasta.

Zracno[2] już było, ale ze miał zaruconom cieślice[3] i świder bez ramie, toz to, co krocý, to mu świder o cieślice zwoni — haj.

Usłysała zwonienie śmierzć, co na Bańkowkach[4] hłopa brała

[1] Jan Krzeptowski z Zakopanego, zwany powszechnie Sabałą (1809–1894), typowy tatrzański góral, towarzysz wycieczek w Tatry Dra Tytusa Chałubińskiego; zbiorek jego bajek, powiastek i piosnek zebrał A. Stopka w książeczce p. t. *Sabała*, Kraków, 1897. Przytacza się z tego zbiorku w oryginalnej gwarze t. zw. *Sabałową bajkę*, swego czasu spopularyzowaną przez H. Sienkiewicza. [2]) Widno. [3]) Topór. [4]) Poronin.

i wyskocyła na dróge jako stará baba ku niemu, stowarzysowała sie ś nim i idzie dołu drogami — haj.

Hłop, ze był mądry gazda, poznał zaraz śmierzć i myśli, jako sie jej pozbyć má. — Nie wielo myślący, kie przyśli tymczase do Białego Donajca, sjon hłop świder z ramieniá i wzion wiertać dziure do wiérby, pokiela nie wywiertał, a pote zaziéra do niéj.

— Cego tam patrzys — pytá sie go śmierzć.

— Kces sie przekonać, to sama zażréj. Tam na dół widno het prec do świata, a ta mnoheńko luda, a staryk nawięcéj — haj.

Wyskrobała sie śmierzć na wiérbe, zażrała do dziury, ale nie widzi nic. Wlazła cała, coby jej lepiej było użréć.

Hłop za tela [1]) okrzesał cieślicom kołecek kwardy [2]) ze sęke, przybieł ś nim śmierzć we wiérbie i poseł — haj.

I dobrze nie barzo [3]), co sie nie robi, roki wielgie lecom, a hłop zyje i zyje. Ludziska przestali téz umiérać i zajaziéło [4]) sie od nik w Zakopaném, w Kościeliskak i na Bańkówkak i sędy, ze człek koło człeka stał jako smreki w huściawie [5]) — haj.

Naprzykrzyło sie, prosem piéknie ik miłości, i hłopu juz zyć tele casy, bo go biéda pocéna bić. Zarobić juz nijakim świate [6]) nika nic nie móg.

Jaze se zbacył o śmierzci we wiérbie, polaz do Donajca i odetkał biéde z wiérby.

Jak śmierzć, moi piékni, nie skocy, jak nie łapi kosy, kie [7]) nie zacnie kosić.

W Zakopaném, w Kościelisku, w Porominie, w Hohołowie i na Donajcu, to telo sie naraz ludzi wykopyrtło [8]), co ik ani wto [9]), ani kany [10]) ni miał pohować.

A śmierć se ino dalej kosi i kosi. Jaze zawadziéła kosom o jednom gaździnom, wdowa była, a siedmiorgo sierot u niej w hałupie. Biere jom, a dziecyska w krzyk, co jaze giełcało [11]) po halak, tak lamentujom i labidzom [12]):

— Nie bier nam matki, nie bier matki.

Zlutowała sie śmierzć nad dziećmi, posła do Pana Boga i tak mu padá:

— Panie Boze mój! ja téj wdowy brać ni mogę, bo jéj dzieci tak płacom i lamentujom, já sama baba i jaze mi sie ik luto stało [13]).

---

[1]) Tymczasem. — [2]) Twardy. — [3]) Przysłowie Sabały. — [4]) Zajazić — zastawić się, o wodzie lub o ludzie, o owcach, gdy nie mogą wszystkie naraz przejść. — [5]) W gęstwinie. — [6]) W żaden sposób. — [7]) Kiedy. — [8]) Wywróciło się. — [9]) Kto. — [10]) Gdzie. — [11]) Rozlegało się. — [12]) Narzekają. — [13]) Żal zrobiło.

A Pan Bóg jej tak padà:

— Jà ludzi stwarzàm, ale ik nie zabiéram ze świata. W tyk rzecak to Pàniezus gazda. Idźze do Niego i spytaj sie, jako ma być — haj.

Przyhodzi śmierzć do Pàniezusa i tak Mu padà:

— Panie Jezusicku, jakoz jà màm tom gaździnom brać, kie je wdowa, siedmiorgo ma dziàtek w hałupie, a tak pytajom i lamentujom, co jaze mi sie ik luto zrobiéło — haj.

Pàniezus prask śmierztecke w pysk, prask w pysk.

— Hybàj — padà jéj — i wocymieniu [1]) przyniéś małom skałkę [2]) z morzà.

Skocyła śmierzć wartko i przyniesła okrągłom skałke, kolwicek [3]) jako hléb.

A Pàniezus jej ozkazàł tak:

— Gryź skàłke!

Gryzie śmierzć, gryzie, zębiska jom bolom, jàze przecie zgryzła jom i patrzy.

Jaze co sie nie robi, wnuku [4]) màły hrobàcek siedzi i rusa sie — haj.

A Pàniezus przyskoczył do śmierzci i prask jom znowu w pysk.

— Patrzàjze, kanalija jedna, jà wiém, ka tak małe hrobàcki siàdujom i zyjom i nie dàm im z głodu skapać [5]), a o dzieciak byk zabàcył.

— Hybàj wartko, bier wdowe!

Zabrała śmierzć matke, ale sie dzieci wyhowały. Setne hłopàki były; toz to ik sędej radzi widzieli i dobrze im sie powodziło, bo rozum mieli — haj.

STEFAN ZEROMSKI (ZYCH MAURYCY. [6])

„Powieść o Udałym Walgierzu“ (Wyjątki).

Na progu wyniosłym morza, gdzie sosny rumiany cień błękitnawy na jasne piaski rzucają, — oparły się wozy królewskie Ustały zgonione konie, zarżnęły się w piasek skrzypiące koła.

[1]) W oka mgnieniu. [2]) Kamyk. [3]) Podobnie jak.
[4]) W środku. [5]) Zniszczeć — (o owcach): pozdychać.
[6]) (1868—1925). W r. 1896 zbiór nowel p. t. *Rozdziobią nas kruki, wrony*; w r. 1898 powieść *Syzyfowe prace*: obie obrazem prześladowań młodzieży polskiej pod zaborem rosyjskim. W r. 1900 *Ludzie bezdomni*, poczem

Każe król rozbić szkarłatny namiot swój. Zwisa ciężka, złota frendzla zasłony, na wiotki piasek opadła. A przed zasłoną na żerdzi głęboko wkopanej szeleści plemienna stannica, królów wojenny proporzec. Czterydzieści wnet stanęło stołów. Siadła pospołu drużyna bojowa. Siadł i najemnych gości tłum: Pieczeniagi [1]) i Waręgi [2]), Czechy i Morawy, za złoto żołdu zdradzające swój ród Nemety, Sasy, Bawary.

Na siedlisku wyniosłem rozparł się król. Szkarłat rodowy piastowski obleka jego tron i ziemię szeroko — daleko. Po prawicy i po lewicy ma król wiciądze swe, ojczyce ziemi. Cieszy się król.

Pierwszy to raz od tylu czasów wielki roztruchan podnosi. Bezcenne migają kamieńce, lśni złoto, gdy do ust niesie wino z za gór, z za światów. Na cześć drużyny pije. Krzyczy mu w ląd i w morze drużyna wieczną cześć.

Haw — białe morze. Pod sinem, dalekiem niebem chluszcze bryzgami fal, na niskie piaski dumne wełny wyrzuca.

Władacz wciąga nozdrzami wiatr słony, w siwą dalekość morskich potoków oczy zanurza.

— Na twoją cześć, głębokie morze! Na twoją wieczną sławę, święta, jedyna, moja! — woła w płaszczyznę ziemi.

— Pieśni wzywa drużyna.

Wyjdzie z tłumu, gdzie czeladnicy, pachoły i posługacze wojenni, z pomiędzy chorągwi chłopskich — starców kudłatych zgraja. Siwy tłum. Zasiądą wokrąg. Nastroją liry.

Śpiewają panu słowiańską, przedwieczną, wojnopamiętną pieśń. A pieśń jasnego pana za nogi obłapia, czołem mu bije. A pieśń go woła...

Wsparł na mieczu łokieć, na pięści wielką głowę niezwyciężony. Obrócił jasne oczy na dziady grające. Słucha. Słucha, jako ta pieśń uderza w krzyk, pomstą pomstuje. Dym kłębami siwemi, ogień drżącemi jęzory wybucha z niej. Ku niemu leci, ku jego sercu z żelaza, ku piersiom, szlochającym tajemnie pod kolczastą zbroją, co płaczu, jako żyw, nie zaznały. Krzemienie proc furczą, cięciwy

---

wspaniały obraz wieku legjonów Napoleońskich w trzech-tomowej powieści p. t. *Popioły*; w r. 1905 *Echa leśne*; w r. 1906 *Powieść o Udałym Walgierzu*; w r. 1908 *Duma o hetmanie*, dalej powieści: *Uroda życia* i *Wierna rzeka*; trylogja powieściowa: *Walka z szatanem*, *Nawracanie Judasza*, *Zamieć* i *Charilas*. W r. 1922: *Wiatr od morza*; w r. 1925: *Przedwiośnie*. Obok powyższych najważniejszych utworów wiele innych artykułów, opowiadań, odczytów, utworów powieściowych i dramatycznych.

[1]) Pieczeniegi, Pieczyngi — szczep mongolski, zajmujący w czasach przedchrześcijańskich okolice morza Czarnego. [2]) Waregi — Normanowie.

w pieśni tej brzęczą i brzechwy lotnych strzał świszczą. Słychać w niej płacz śmiertelny dzieciąt bezsilnych i dziewek ledwie podrosłych. Hańba z niej woła ojczyców, za siwe kudły wleczonych ze siół przez długie mosty w kajdany żelazne, w plenice [1]).

Czarna się dymi krew, co wypłynęła bez pomsty z żył mocnych chłopów, nieznanemi broniami pobitych w paliszczach, kamienną ongi ciosanych siekierą, w warownych grodach pośrodku bagien i w tynach nad słodkiemi wodami, gdy się z najeźdźcą piersią gołą o jego żelazną pierś siepali.

Wzdycha król. Ręką szarpie głownię mieczową. Krwawemi oczyma, w których ogień bucha i dym się kłębi, wodzi po ludziach. Nagle się uczta przerwie. Jeden drugiego pyta: czemuż to władacz sposępniał?

Postrzegł król ich milczenie i skinął ręką na grajki.

— Milczeć!

Porwie w lewą dłoń czarę, a prawą uściśnie jelca straszliwego koncerza. Wstaje olbrzymi. Ciało jego obleczone od stóp do głów w kolczugi sieć stalową. Kutta, koszula pancerna, lśni na ramionach, a płach jej mieni się i drży na wielkich piersiach. Stolica pod stopą żelazną trzeszczy. A w pięści zwartej sieczysty brzeszczot raz w raz szczęka.

I słowo wieszcze pada w tłum:

— Słuchajta! Wodze, namiestnicy, i wy, chorągwie! Na śmierć piję Sasom, którzy na nasze ziemie przedwieczne idą. Abym ich, póki mego żywota, tym mieczem i waszym mieczem wyrąbał, zdradzieckiem zegadłem wyżgał, żeleźcem grotów przebódł, garścią zemściwą po ciemku wydusił. Ziemią nagłym pożarów zagonem wiecznie za nimi chodźmy, rzekami będziewa tajemnie brodzić, w morze na łodziach zbiegniemy i na wałach bezdennych pod próg uśpiony podpłyniem. Złupimy miasta i sioła, spalimy siedliszcza do ostatniej przyciesi.

Okrzyk:

— Na śmierć Sasom!

— To wam zapowiadam wszem wobec: Nie pozwolę grzebać trupów pobitych, gdziekolwiek Niemców dopadnę — w kraju dziadoszan, czy na piaskach lutyckich. Niechaj z nich korazuny i gugelhauby, nabiodra i plechy nagolenne łupi ciura, trupy ich niechaj wilcy roznoszą po puszczach, sępy po skał grzebieniach. Niechaj nagi między zasiekami leśnemi leży pfalcgraf Burkhard

---

[1]) Plen (rus.) — niewola.

i margraf Gero [1]). Nie zazna czci, ani rozkoszy spoczynku w ziemi, która jest moja, Frydrych, mąż żelazny, Widredy i graf Folkmar z dwiestą zwalonych rycerzy! Niech zgniją u wierzchu bagna w potokach krwawych i w pyle! Na wieczną rzeczy pamiątkę zostaną niepogrzebani Adelhajd, Ira, Thietmar, Doda i Ludolf. Tak rozkazuję. A ktoby się woli mojej sprzeciwił, przez Boga wiecznie żywego — biada mu!

(Następnie król rozdziela łupy wojenne).

. . . . . .

A gdy tak szczodrze król wręcza dary każdemu ze swych rycerzy, każdemu ze swych sług do ostatniego pacholęcia, słychać od czat dalekich wrzaskliwe hasło rogu. Wszystkie się oczy w tę stronę zwróciły i jako czujne ogary pomknęły w las. Oto wyszedł z boru orszak konny pod czatowniczą strażą i ku namiotowi pańskiemu podąża. Przysłonił wódz dłonią oczy i wilcze miota spojrzenie.

Aż znagła wstał.

Ciężko po stopniach idzie z tronu.

Zmierzały wprost ku królewskiemu stołkowi wielkie rycerze niemieckie, zakute w żelazo. Forgi wielobarwnych piór, jakoby obłoki na czubach krzesanic, chwiały się na wierzchołkach obłych szyszaków. Nieustraszone ślepia patrzały zuchwale z widzierów hełmowych... Każdy miał prawicę żelazną na klindze miecza, a lewicą ściskał rękojeść mizerykordji. Ze środka ich, jak gdyby z zamczystego łona zastępu, wyszedł człowiek chudy, z kaprawemi oczyma, z twarzą, wykrzywioną od boleści. Nogi miał bose i nagie aż do kolan, ręce nagie aż do ramienia. A nagość jego kości kryła kapa wytarta, z nędznego sukna żałoby uszyta. Pod nią wisiały strzępy mniszego habitu. Na głowie miał czapkę biskupią, w rękach biskupią krzywułę. Ujrzawszy w oddali majestat, stanął skulony, stopa przy stopie, kolano przy kolanie. Podniósł rękę i pokazał w niej krzyż.

Wnet biała trwoga skupiła dookoła wodza drużynę. Opat — doradca przysunął się do pańskiego boku i szepce:

— Panie! ...Bacz — — — Święty człowiek idzie przeciwko Tobie.

— Tenże to z Myśny?

— On. Patrz, płacze.

— Czegóż płacze?

[1]) Gero, od r. 939 mianowany przez Ottona I margrafem obszarów między Łabą a Odrą, zniesławił się w krwawych, okrutnych walkach z tubylczemi plemionami Słowian, broniących swej wolności. Żył do r. 965.

— Płaczek on boży. Kaprawy, patrz, z płakania. Bosy. Bez koszuli i bez nogawic zimie i lecie. A zamiast łoża pień ma bukowy, który był sobie wydłubał w tajemnicy przed ludźmi. A obwiedziony jest pień-łoże płotem z tarniny, żeby go kolce wyrywały ze snu. Głowę zaś, panie, układa na poduszce z badylów róży dzikiej... Zanim, posłuszny woli cesarskiej, po stopniach stolicy biskupiej poszedł, gdy w puszczy, w bratnim eremie przebywał, widzieli bracia na zemdlonym od twardej pracy, że przepasany jest łańcuchem żelaznym z kolcami, który mu w biodra wrósł, a skórę brzucha przetarł i, w otwartych wieczyście ranach, gołych wnętrzności dotykał.

Duma król. Z głębi potężnych piersi wzdycha. Aż oto woła ku biskupowi:

— Wydam ci ciała poległych w boju, jeno tu nie płacz przedemną.

Szepce opat do ucha monarchy:

— Panie, ach, panie!

Patrzy król pod przyłbice w zawarte maski onego towarzyszów lwiemi oczyma, jak między żelazy goreją.

— Wydam ci ciała poległych: z chwałą je chowaj w tej ziemi.

(Taka decyzja króla wywołała rozłam w drużynie polskiej: na czele opornych stanął Walgierz Udały, rycerz «o dłoniach potężnych, o udach z żelaza, o kolanach z miedzi». Ten postanawia opuścić króla:)

Królu polski! Wychodzę z twojego koła, gdyż nie chcę służyć pod twoją stannicą. Jestem ci równy i władzy twojej już nie chcę dźwigać. Dotąd dźwigałem, a teraz nie chcę. Wracam na zamek, gdzie ojce moje od początku czasów władały. Ze mną Wydrzyoko, Nosal i Mściw. Każ mię porąbać mieczami, walić w me piersi młoty, bić w moje oczy z kusz. Nie chcę już Niemców wojować pospołu z tobą, któryś jest twardy samowładca, któryś jest straszny najeźdźca, a bosego się Niemców wróża boisz. Nie chcę z tobą wojować, bo mi się wojna z tobą nie podoba!

(Zbuntowani rycerze uchodzą w nocy z obozu króla i wracają do swych zamczyszcz, Walgierz do Tyńca, gdzie po wojennych trudach pragnie wypocząć z ukochaną i uroczą żoną, Cudną. Tam jednak na niezłomnego rycerza spada cios najstraszliwszych katuszy. Cudna mu sprzeniewierza się. Przykuty do żelaznego słupa musi patrzeć na jej wiarołomstwo — dnie, miesiące, lata w pohańbieniu. Duma, w cierpieniu przeistacza się duchowo, dochodzi do przekonania, że prócz siły rycerskiej i sławy wojennej, tak zawodnej, istnieją jeszcze inne jakieś wartości, których lekceważyć nie należy. Zrozumiał, dlaczego potężny i nieustraszony król zląkł się bożego biskupa i jego oczu łzami zasłonionych. Wyzwolony — wraca do króla!).

Z „Dumy o hetmanie“. [1])

(Po barwnych obrazach wojska tureckiego i szumnego rycerstwa polskiego czytamy:)

Ponad nimi wszystkimi, jako żałosny polski biały ptak, polata myśl hetmańska, wszystko nieulękłem rozsądzająca baczeniem.

— Ciebie się nie tylko boję, lecz lękam, ó wolna, o kresu nie znająca duszo polska!

Przed tobą drżę, ty niełacna, krnąbrna, sama siebie szaleństwem chłoszcząca, ty, samej sobie nieznana i nikomu niewiadoma...

Widziałem cię w krwawych bitwach.

Gdyśmy się siekli w pałasze z kozaki i wojewodą Michałem [2]), pod Rewlem z Karolusem [3]), pod Toropcem z Moskiewskiego Tatary [4]), u bram niezłomnego Połocka, pod tynami płonącemi Wielkich Łuk, we trzydziestu nogajskich [5]) zagonach, w inflanckich i multańskich potrzebach, w kłuszyńskich [6]) opłotkach i na wielkiej moskiewskiej drodze, gdyśmy w dziewięć tysięcy szli na kraj świata po Monomacha [7]) czapkę szafirową dla polskiej skroni królewskiego dziecięcia... [8]) Widziałem cię w byczyńskiej [9]) opresji, gdy w djabła łańcuckiego [10]) kudłaty łeb przyszło cisnąć siekierą, — i pod Guzowem [11]), gdy pod ramię i po kolana trzeba się było ubroczyć w rodzonej krwi...

---

[1]) Hetman Stanisław Żółkiewski w charakterze swoim i całej działalności jakby skupił wszystkie dodatnie rysy dawnego rycerstwa polskiego. Zginął bohaterską śmiercią pod Cecorą w r. 1620 w 73 roku życia; w klęsce tej spowodowanej głównie niesfornością szlachty, w niewolę turecką popadli syn hetmana, Jan, oraz hetman polny, Koniecpolski. Żeromskiego «Duma o hetmanie» daje obrazy tej klęski, kreślonej świetnym językiem i przesycone głębokim liryzmem.

[2]) Wojewodę mołdawskiego, Michała, w r. 1600 pobił na Wołoszczyźnie Jan Zamojski.

[3]) Z Karolem IX królem szwedzkim, w r. 1605 zwycięstwo pod Kircholnem.

[4]) Toropiec miasto w gub. pskowskiej, oblegane w r. 1617 przez Kozaków.

[5]) tatarskich.

[6]) W r. 1610 sławne zwycięstwo Żółkiewskiego nad wojskiem moskiewskiem cara Wasyla Szujskiego pod Kłuszynem.

[7]) Włodzimierz II Monomach (1113—1125) władał w Kijowie, syn jego założył księstwo suzdalskie. [8]) dla Władysława, syna Zygmunta III.

[9]) Byczyna — miasto na Śląsku opolskim, sławne zwycięstwem Jana Zamojskiego w r. 1588.

[10]) Stanisław Stadnicki, głośny wichrzyciel i warchoł, przezwany djabłem łańcuckim.

[11]) W r. 1607 w bitwie pod Guzowem klęska rokoszan Mikołaja Zebrzydowskiego.

Och, polskiego wyuzdania duchu, wrosły w serce, ojcowski, własny — a obcy, rodzimy, — a wrogi!

Nie przed najeźdźcą drży moje serce, lecz przed wami, o, sobiepany!

Każdy z osobna wódz, każdy król. Pan Jerzy Mniszek — król sobie, Wiszniowiecki — sobie, Sapieha — sobie, Samuel Tyszkiewicz i Mohiłowi zięciowie. Każdy zależy tylko od Boga i od swej woli. Z kim chce, z tym zawiera przymierze, z kim chce, prowadzi wojnę, i gdzie chce, szuka ojczyzny. Djabeł Stadnicki i Ludwik Poniatowski zdobywają zamki i dwory, pola, wsie i łupią miasta w ojczyźnie. Krzysztof Zborowski własne państwo zborowskie zakłada, przeciwko Polsce zmawia się z Moskiewskim i Rakaszaninem. Samuel banita praktykuje kozaki przeciw ojczyźnie.

Zebrzydowski gromadzi stotysięczną armię przeciwko panującemu królowi. Lisowski [1]) w kilka tysięcy urwanego od szubienicy człowieka rozbije ogromne pułki jedynowładców północy pod zamkiem Białozierskiem u Wielkiej Soli, pod błotnistym Suzdalem, zdobędzie niezmierną krainę dla impostowa Dymitra i Maryny. Oleś Zborowski Samuelów oświadczy, że Polski za ojczyznę mieć nie chce, jeśli król Zygmunt w jego sprawy, w jego zamki, na moskiewskim budowane lodzie, zechce zaglądać. Książę Koreckie we dwudziestu bitwach pogromi stotysięczne hordy na tem włoskiem palenisku, wiecznie krwią polską gaszonem.

A jeśli swawolnicy zięciowie, prowadząc teścia hospodara na multański tron [2]), podpał pod całą rzeczpospolitą wzniecą — skoro lisowczycy, wspierając cesarza z Bethlenem Gaborem [3]), rozjuszą sułtana do tyla, że ogniem wielkiej wojny w Polskę wybuchnie — kiedy przyjdzie wszystkiego odżałować, nieprzyjaciela odepchnąć stos, gołe granice zastawić od nawały, — wtedy nielza!

Ze wszystkiej, z najjaśniejszej rzeczypospolitej nie znajdziesz, nie wyściskasz z kolan, nie wystoisz u drzwi przemożnych, nie

---

[1]) Aleksander Lisowski, dowódca słynnych kozaków Lisowczyków, towarzyszył Jerzemu Mniszchowi, wojewodzie sandomierskiemu i jego córce Marynie, w awanturniczej wyprawie na Moskwę (1604—1605) przeciwko Borysowi Godunowowi celem osadzenia na moskiewskim tronie samozwańca Dymitra i Maryny.

[2]) Potoccy, Samuel Korocki i Michał Wiśniowiecki wyprawiali się po kilkakroć (1608, 1612, 1616) na Mołdawię w celu przywrócenia tam swego krewnego, Konstantyna Mohyły.

[3]) Bethlen Gabor, książę siedmiogrodzki, sprzymierzeniec w wojnie 30-letniej cesarza Ferdynanda II.

wypiszesz tysiącem listów, nie wyżebrzesz przez rumor uniwersałów siedmiu tysięcy żołnierza!

Gdyby nie syn, nie siostrzeniec, nie bratanek — gdyby nie koligaci z pod Karpat podnóża, co na słowo najświętsze zaklęci skupią kilka rot w nagłym czasie i dla sąsiedniej wyjdą przyjaźni — iluż by ze mną było?

Darmo w gnuśnej próżni, wśród ziewania ducha, wpośród mów, a szumnych odpowiedzi, w zimnem kole skomleń, gdzie w pośmiewisko obracają uniwersał, — żeby Warneńczykową strzałę woli na cięciwę Stefana króla zuchwałej rady położyć, — nie zasłaniać dziś od nawały nagich ścian kraju, bo tu u węgłów śmierć się wałęsa i w wywalonych czeka drzwiach, lecz w nieprzyjaciela ślepie iść, najeżdżać go w jego kraju, skoro z legowisk swoich wyszedł, żeby przyćmić Europy oświatę i na karku polskich ludzi wolnych postawić nogę.

Lecz któż w płytkie serce ludzi wolnych tchnie, żeby w sobie jedno uczcili Prawo, niem się związali, zbudzili wolę, wzniosłość i zachwyt wielki?

Jeśli nie skoczyć z tym zastępem, sam na dwudziestu nieprzyjaciela, zarzucą wtył zniewagi, idąc na swą pijatykę, me główne imię z niedbałą sarmacką pychą, z niewdzięczną polską fantazją, jako wylot kontusza. A jeśli skoczyć i przegrać, ukamienują obłudnym szlochem mą pamięć, unurzają moje imię wojenne w błocie obozowisk i jawnego oszczerstwa, cisną je w pomiotle pospolitego sądu, w śmiechu swym bezrozumnym zagrzebią i przypną mi nad wiecznym mym hełmem kitę przekleństwa.

(Następnie roztaczają się obrazy rozpaczliwych walk garstki Żółkiewskiego z nawałą Turków, bohaterskiego w nieustannej obronie cofania się polskiego taboru, nikczemnych zdrad, rokoszów i niekarności, bolesnych wizyj i walk wewnętrznych sędziwego hetmana, aż nadeszła straszna chwila klęski):

Stał tabor bezsilny w czwartem miejscu wytchnienia. Nie chciał, gdyż nie mógł iść.

Lecz, mało wiele mieszkając, rzuci się ciżba do niesprawy. Natychmiast w temże miejscu, ledwie wytchnąwszy, chcieli panowie odzyskać wszystko dobro, ze skarbników przez ciury skradzione.

Tu na tymże placu chcieli karać drapieżność rabusiów. Atoli większość rycerzy uszła już była z obozu, albo od ciosów nieprzyjaciela poległa.

I stało się, że ciurów więcej już było, niżeli rycerstwa. Z głodu, z pragnienia i z zemsty oddawna narosłej zaczęli znowu ciurowie żakować, rżnąć skóry wozów i wywłóczyć dobytek, pętlą imać na arkan z zasadzki walczących na szańcu rycerzy, konie chwytać, objuczać je mienia ostatkiem i co noc czarną uchodzić.

Czując nad sobą sąd za Dniestrem i śmierć prędką, poczęła tłuszcza wrzeć szaleństwem i bezrozumnie pędzić w rozsypkę.

A skoro hetman polny sprawił tabor i sił ostatek wytężył, żeby dalej uchodzić, swar szalony panów z ciurami nie dał rządu dokonać.

Rycerze w kupę się zbili w przednim kącie taboru ciurowie w poślednim.

Uszedł z podkolasia i chyłkiem z obozu zdrajca do wroga i sprzedał za pieniądz wieść o tem, co się dzieje w taborze, Kantymirowi.

Więc, jako skrzydła obłoków gradowych, poczną się rozciągać, rozwłóczyć, wytężać nieprzyjaciela zagony.

Czekał wróg nieomylnie, że ludzie w obozie jedni drugich, czekanami wyrąbią, strykami wyduszą, jedni drugich szablami z ramienia rozsieką, jedni drugich porżną z nienacka nożami, jedni drugich włócznią przebiją.

Aż o godzinie sobie wiadomej zacznie wróg bić ze strzelby, z janczarek, z samopałów wtył taboru, w spieszony lisowski ostatek i w polnego hetmana wytrwałą ochotnika chorągiew.

Im bardziej się wzmagała natarczywość napaści, tem okrutniej bestwiła się wewnętrzna wrzawa walki w tłuszczy oszalałej.

Ten i ów z rycerzy, spracowany niespaniem, chodem, bitwą i dziełem, ogarnięty paniczną rozpaczą i pozbawiony rozumu, wypadał w noc z rzędu wozów, gnał ku Dniestru, między staborzone czyhające na zdobycz tłumy Wołochów.

Najwyższy wszczął się tumult. Huk strzelby i samopałów. Tętent koni, ze stepu na obóz przypadających.

Ocknął się kanclerz ze snu twardego.

Usłyszał za namiotem krzyk, żeby zmniejszyć tabor wozów i małą kupą uchodzić.

Poznał Marcina Kazanowskiego głos.

Usłyszał inny krzyk, żeby wszystko porzucić i komunikiem, co siły w koniach, gnać do rzeki.

Usłyszał trzeci krzyk, żeby wozy zostawić, zsiąść z koni, konie sprząc, czyli zbatożyć, i poza końmi, jakoby za taborem, odstrzeliwując się, iść do kraju na los.

I posłyszał hetman w krzykach tych, zrozumiał trzeźwo, że to już złamane jest wszystko i że nadchodzi śmierć.

Zdrętwiało jego serce, wzniosło się do modlitwy i wzmogło.

Wstał z łoża — szablę przypasał.

Wdział kołpak. Wyszedł.

A był już obóz rozerwany.

Tatarzyn łańcuchy wozów tam i sam rozrąbał, w tabor się włamał i w wyrwach siekł się w pałasze z obroną.

Ze wszech stron tworzyły się dziury w zaszczycie [1]).

Ci, co jeszcze kolas bronili, padali od miecza, inni w stryki Wołochów.

Najśmielszych rąbało ostrze na śmierć, upadłych tratowały kopyta pędzących bachmatów.

Kantymir uderzył teraz tysiącami i zbierał rozbitych wojskiem, jak ptaki siecią.

Znalazł się kanclerz z hetmanem polnym w przedzie taboru.

A koni przy nich jeszcze trzysta.

Bokami końskiemi się zwarli i tamę postawili nawale tatarskiej.

Przeciw nim wszystka siła Kantymira.

Powtórnie ozwie się rada: wszyscy z koni!

Konie batować!

I posłuchali wszyscy, jak rozkazu.

Kanclerz, zsiadłszy ze swego, ręką mu kark przez chwilę gładził...

A wraz rozparł się na nogach starych, szabli dobył, przebił nią bok i serce konia drogiego z mocą dawną — na znak, że nie będzie uchodził.

Padł wierny koń. Na przednich wsparł się nogach i zarżał ostatni raz waletę panu.

Lecz już nie spojrzał pan. Już go nie słyszał.

Szedł w swoją daleką drogę.

A szedł w gronie coraz mniej licznem na kilkoro strzelania z łuku.

Syn przy nim i towarzysze wybrani — dusze polskie. Kto jeszcze konia mógł dopaść, w noc uchodził.

Aż zostało towarzystwa dziesięciu mężów. Kazanowski Marcin, Bałłaban, Żółkiewski Łukasz, Potocki wojewodzic, Ferensbach, Silnicki i Skrzyżowski rotmistrze, Maliński, Kurzawski i Złotopolski Abraham.

---

[1]) Z ruskiego szczyt — tarcza, skąd zaszczyt — obronny tabor, obrona.

Syn hetmański jedenasty, hetman polny dwunasty, kanclerz trzynasty.

Tak we trzynastu, niedobrej liczbie, w odważną puszczą się drogę.

Prosili go towarzysze, żeby na koń siadł i uchodził.

Konia pojmanego z taboru syn mu przywiódł.

W milczeniu odtrącił strzemię — przydając, — że miło mu będzie z takimi umierać.

Spojrzał po hufcu i nie dostrzegł nikogo z tych, co odeń odebrali przysięgę, że z obozu nie ujdzie [1]).

Gorzkim się uśmiechem zachłysnął.

Z nocy na idących runęła wielka wojsk fala.

Zawyją w szaleństwie radości tatarzy.

Ujrzy hetman przed sobą, daleko w blasku kagańców, — w łykach syna jedynego, jak go na uździenicy konie wleką po ziemi.

Więc pocznie się z zastępy wrogów siec sam — na śmierć za imię polskie.

Ciosy w boju padają na głowę, na piersi i na ręce.

Jeden i drugi napastnik od jego szabli na placu pozostał.

Odrąbał dziki z Azjej barbarzyńca w ramieniu rękę z szablą wrośniętą w dłoń...

Odsiekał ją, jakoby gałęź od pnia.

Padło walczące ramie, co sławy polskiej nie puściło z dłoni.

A ściął inny wysoką głowę.

Zleciała, jako dla wilków przynęta, żeby się nad nią zabawili, załoga bezpieczeństwa rzeczypospolitej, z granic jej wyniesiona — iżby dalej spać mógł naród — ostatni dar dla ojczyzny, i harde skwitowanie panom Potockim ze zniewag odbioru.

Porwał ją trzeci żołdak, wbił na spisę ku wiecznemu postrachu i czci polskich pokoleń.

Krew poplątanemi strugami drzewce wysokie oplotła — zasnęły oczy zniechęcone.

Przed namiotem głowę wroga Iskiender basza wystawi.

Padyszachowi w darze ją pośle.

U bramy drewnianej seraju, którą sułtan do meczetu chadza, na włóczni zawiśnie przez lata.

Aż jej ptacy, gnieżdżący się w wieżach Hagiej Sofji, o której marzył wydarciu, źrenice wydziobią.

[1]) Przysięgi takiej żądali byli od Żółkiewskiego zdrajcy, którzy go poprzednio podejrzywali o zamiar ucieczki.

Z „Wiatru od morza".

(Utwór Żeromskiego *Wiatr od morza*, wydany w r. 1922, nie jest powieścią we właściwem znaczeniu, raczej cyklem obrazów dziejowych i obyczajowych morskiego wybrzeża między ujściami Wisły i Odry, urozmaiconych obrazami przyrody. Zaczyna się ów cykl najazdem normandzkich Jutów[1]) pod wodzą Rörika na brzeg Oksywji[2]) i obroną pogańskich Słowian, Kaszubów).

Leżąc na skraju góry w zaszczycie swych tarcz, skórą obciągniętych, obrońcy rzucili na zdobywców olbrzymie głazy, śniaty drzewa, wylewali wrzącą smołę i ukrop. Pod zasłoną puklerzów Jutowie ustąpili aż do rzeczki. Wtedy obrońcy, rozwarłszy bramy grodziszcza i wiszące mosty spuściwszy, rzucili się w pogoń za nimi. Lecz tu w gwałtownem natarciu pobici zostali na głowę. Wtedy to jeden z Kaszubów wystąpił poprzed szeregi i wyzywał Jutów do walki jednego przeciw jednemu. Był to wróż czy czarownik, osobliwy wśród innych ze względu na wzrost i budowę ciała. Włosy jego były w warkocz splecione. Na sobie miał białe skóry wyprawne, pancerze na piersi z rogu kopyt końskich, jako łuska karaceny naszytych, a w ręku młot olbrzymi kamienny. Wódz Rörik przystał na spotkanie z umową, że skutkiem zwycięstwa Słowianina będzie odstąpienie od zamku, a w razie zwycięstwa rycerza Jutów nastąpi oddanie grodu. Na spotkanie Kaszubskie wyszedł najmężniejszy, najdzielniejszy, niezwyciężony młodzieniec, Oleg, bohater. Słowiański wróż, czy czarownik pobiegł ku niemu, podniół swój młot kamienny i od jednego ciosu zabił Dana. Słowianie przyczajeni na wałach grodziszcza — gdzie za nasypami, ludzką rzuconemi ręką, taiła się woda, wyniesiona aż do połowy urwiska — wydali okrzyk radości. Jutowie, stojący na brzegu wokół wielkiej łodzi Rörika, wydali okrzyk zgrozy i zemsty. Wśród wrzawy dwu wojsk, wyzwisk i zniewag czarownik przechadzał się, triumfując. Wówczas z zastępów Rörika wystąpi inny wojownik, Tortinbras, znający czary. Wróż słowiański wyciągnął ręce i skinął przytakująco. Począł przed wojskiem swem tańczyć radośnie, tupać i skakać na miejscu, klaskając w dłonie. Wśród uwagi dwu hufców i wielkiej ciszy, tam na górze i tu na dole, wojownicy rzucili się na siebie. Obaj potężni, obaj znający czary, rozdarli swe tarcze, zmiażdżyli szyszaki, zadali sobie nawzajem swe ciosy tak śmiertelne, że wkrótce obadwaj, ranami okryci

[1]) Jutowie — mieszkańcy Jutlandji (część stałego lądu Danji).
[2]) Oksywja — wieś paraf. nad morzem na zachodzie od Gdyni.

i krwią brocząc, z głuchym łoskotem na ziemię runęli. Wtedy wódz Rörik dał znak do zdradzieckiej napaści. Syk mieczów normandzkich, z pochew wyrwanych, zagłuszył morskie szelesty. Blask mieczów waregskich, jak błyskawica zamigotał. Mieliż morscy rycerze, których dzień upływał wśród boju, a sen wśród gromu i błyskawic, których jedynem zajęciem była żegluga, wojna i rabunek, dochować wiary prostakom, zgarbionym w pracy około zasiewów, doglądania żniwa i omłotu prosa, zabiegów około zbiórki jagód, orzechów i grzybów, otrząsania po lesie dzikich jabłek i gruszek, warzenia potrawy z tłuczonego owsa i leśnego miodu, podbierania jaj przelotnego ptactwa i łowienia ryb?

Drużyna Rörika pomknęła na wroga gołą dłonią, czepiając kolców głogu i igieł tarniny, ostrych bylin charszczu ostrego i kłączów takrocznego żarnowca. Wtargnąwszy na wał sypany, junacy rzucili się wpław przez podmarzniętą kałużę rowu, wydźwigniętego na połowę wysokości urwiska. Kto z niej wybrnąć i piąć się zaczął ku ścianom, węgłom i zaworom grodu, wszczepiał okrwawione palce w śliską powłokę prostopadłej, szklanej góry, co wokół zamku z morskiego wypalona piasku, podtrzymywała przyciesi szerokie i stromy częstokół. Krew Wikingów[1]) kapała w wody rowu, na lodowisko fosy, ciekła długiemi smugami po okrągłych bokach szklanej góry. Chmury strzał leciały z łuków słowiańskich na twarde szyszaki. Ciała nieulękłych bersekierów[2]) zlatywały w otchlisko, gdzie kipi ciemne morze ze wściekłą potęgą, gdzie się ciska na hardy przylądek i gdzie czuby pian, po zimnej chlaszcząc glinie, wyśpiewują nieulękłych chwałę . . . . . .

(Ldność tych wybrzeży długie i straszliwe w ciągu dziejów stacza walki z różnymi zaborcami).

Ileż to razy wielka rzeka słowiańska, Łaba, zakrwawiła się od zwycięstw Obotrytów[3]) w zapamiętałych bitwach z nienawistnymi Saksami!

Ileż to razy plemię chrobrych Waregów w walkach z Danami, Normanami, Jutami na lądzie, na lodowiskach zatok i przesmyków, na łodziach piratów roznosiła postrach słowiański w dalekie półwyspy, mierzeje i ostrowiska!

---

[1]) Wikingowie — Normanowie (Nordmanowie) — dawni mieszkańcy Skandynawji i Danji, garmańskiego szczepu.

[2]) Bersserkr (od Bär — niedźwiedź i serkr — skóra) oznacza człowieka nadzwyczajnej siły.

[3]) Obotryci — szczep starożytnych Słowian na prawym brzegu dolnej Elby zamieszkałych.

Ileż to razy potężne związki Weletów [1]) wypadały z lasów swych, z nad jeziora, z drewnianych grodów, z morskich zatok, przystani, wysepek, aby na lądzie i morzu mordować, palić i niszczyć!

Ileż to razy Ranowie ze swych białych przylądków i półwyspów — Mnichów, Jasmund, Witów, Wałów, Chełm i Zudar — z cienia świętej puszczy w Arkonie skaczą w setki korabiów, ażeby siwe morze na wschód, zachód i północ przemierzać!

Ileż to razy róg Swarożyca rozlegał się po tamtej, lewej załabskiej stronie dla obrony krain, osadzonych przez cesarza Karzeła!

Ileż to razy za czasów pobożnego Ludwika [2]) płonęły nowo założone przez Saksów w słowiańskich lasach grody, twierdze, warownie, zamki, biskupie katedry, klasztory, księże parafje, puszczone z dymem przez zatwardziałe pogaństwo Lutyków!

Obodryci w długich, w ciągu stulecia toczonych zmaganiach z Saksami, zaprawieni do krwawej wyprawy, idą przeciwko niemieckiemu Ludwikowi, napadają na Hamburg, ażeby ujście Łaby ogarnąć.

Walecznie bronią się przeciwko zamachowi saskiego grafa, Ottona, stróża nad Łabą, przekraczają tę rzekę, wpadają do Turyngji i straszliwie ją niszczą.

Gdy na tron cesarski wstąpił Ptasznik [3]), zaciekły wróg słowiańskiego rodu, niezwalczony napastnik, powielekroć skrwawiły się jego legjony w lasach prawego brzegu, powielekroć znajdowały zgubę w głębokich jeziorach, u brzegu bystrych rzek, w bagien topielach.

. . . . . .

W pustych i napoły dzikich połabskich wybrzeżach syn Ptaszników, Otto Pierwszy [4]), wojenną swoją siedzibę na podwalinach Dziewina w Magdeburgu fundował.

Przed żelaznemi jego oczyma otwierało się kraiszcze słowiańskie bez granic, pełne ludzi i skarbów. Lud to był dorodny, krótkogłowy, orlonosy i czarnolicy, szczupły i smagły, kobiety kształtne, z pięknym twarzy zarysem, o drobnej ręce i nodze. Skarby były nieprzemierzone w roli, lasach, w wodzie i pod ziemią. Na tę równinę słowiańską wyszły długogłowe, białowłose z odcieniem czerwonym, bladookie z wyrazem srogości, wielkolice Sasy, o dłoni

---

[1]) Weletowie, zwani także Wilkami lub Lutykami, najwaleczniejszy szczep Słowian połabskich.

[2]) Ludwik I, Pobożny, trzeci syn Karola Wielkiego, panował 814—840.

[3]) Henryk I z dynastji saskiej, zwany Ptasznikiem, panował 919—936.

[4]) Otto I, zwany Wielkim 937—973.

i stopie wielkiej, o ciałach tłustych, białych, poruszających się zwolna, żarłoczne na mięso i ser, skłonne do opilstwa i okrutne, z krzyżem, mieczem i powrozem, ażeby w pocie czoła nad ujarzmieniem pracować, potoki krwi wylać, ludy całe do nogi wyciąć, wygnać, wygubić, świat zbrodniami napełnić.

Gdy margraf Gero Łużyczanów ujarzmił, spotkał na swej drodze po raz pierwszy nowego nieprzyjaciela, Mieszka [1]), sklawańskiego władacza. Pokonał go i do uznania cesarskiego zwierzchnictwa, oraz do płacenia daniny aż po Wartę przymusił. Ale pierwszy to raz saskie niezwyciężone legjony spotkały za lasami już przemierzonemi potęgę nieznaną. Wychylała się z ciemnego, tajemniczego wschodu, oparta o nieprzejrzane, niewiadome i niezliczone w lasach polany, zagrodzona niezbrodzonemi błotami, osnuta siecią rzek głębokich. Te nowe, nieznane ludy trzymał w żelaznej dłoni książę mężny, genjalny i nad wszelki wyraz przebiegły.

. . . . . .

Trzydzieści lat przepracował, jako hołdownik cesarzów Ottonów, poniżał się i udawał wasala, ażeby pod swe państwo przyciesi położyć. Zapomocą Kościoła złączył się z krajami południa i kształtował swą społeczność na modłę zachodu. Powiększał dziedzinę, wyrywając Niemcom z pod ręki pobratymcze plemiona. Dla zbytu produktów rolnych dobijał się swobodnej na morzu żeglugi.

Wielkiemu synowi tę przed śmiercią główną naukę naszeptał: wyrywać pobratymców pomorskich z rąk niemieckiego siepacza. To też, gdy młody lew [2]) na świat wyszedł, przyłączył do Polski Pomorze i wziął Gdańsk pod swą władzę.

(Następują obrazy śmierci «Wojtecha, zwanego Adalbertem, Radima, zwanego Gaudentym i Kleryka Bogusza zwanego Benedyktem»; dalej — stanu Pomorza w okresie podziałów po śmierci Krzywoustego i później w walkach z Krzyżakami; wspaniały obraz rozmyślań nad budową wszechświata Mikołaja Kopernika, rodzajowe i bardzo malownicze opisy zarówno Fryderyka II, rozmyślającego nad zniemczeniem polskiego Pomorza, jak niemniej zamętu i krwawych walk o Gdańsk w czasach Napoleońskich, wreszcie obrazy z ostatniej wielkiej wojny, jak katastrofy niemieckiej łodzi podwodnej i odzyskania dla Polski Kaszubskiego wybrzeża).

Wysunięta w morze Głowa Oksywska zamglona była tumanem. Kształt starego kościółka, który przerywa pustkę półwyspu od dziewięciu bez mała stuleci, zarysował się na tle drzew cud-

[1]) Mieszko I (963—992).

[2]) Bolesław Chrobry (992—1025).

nego cmentarza, na stoku góry. Niemało wiatrów chłostało wielkie głazy podstawowe tej świątyni. Liczne zmiany dziejów przesunęły się nad tem gniazdem westchnień nadmorskiego ludu, wielekroć przekształcanem, przelepianem i doklecanem z prostacka. Przeszły nad niem panowania mnisze, krzyżackie i świeckie, zabory, wywłaszczenia, księstwa, władztwa, królestwa, cesarstwa. Zawsze jednako uparte stróżowało nad swem morzem.

Morze rudozielone, a fiołkowe w oddali, poruszało się na całym swoim obszarze. Białe, a jakby lękliwe piany snuły się na czubach fali i chyżo w toniach ginęły. Na brzeg wklęsły i płaski, łukiem równym wygięty, woda szła nieustannym podrzutem, wciąż przemywając jego zdziar szorstki i gruboziarnisty, a pracą wiecznotrwałą wygładzają miałkiego piasku zwilgotniałe smugi.

Niepamiętne, zawsze jednakowo trwałe, niezniszczalne morze, takie samo było, jak przed niezliczonemi wiekami. Tam i sam rudy, czerwony, szary, na poły zwinięty dla wiatru żagiel niewidzialnej łodzi przerzynał zielone wody i błękitne niebo. Tak samo, jak przed niezliczonemi wiekami.

Lecz zuchowata i bezczelna nowość narzuciła się oto tej dziedzinie. Jasnożółte przęsła grobli portowej werżnęły się w samoistny, samowładny i jednobarwny przestwór morza na sześćset metrów od brzegu. Poprzeczne ramię na setkę metrów wpoprzek, a w kierunku, kędy Oksywja, zagrodziło zatokę. Między pale sosnowe łamacza fali, zabite w dno głębokie żelaznemi kafarami, wwaliły się istne góry głazów. Tysiące beczek cementu skują kiedyś te głazy w jeden wał ostoi, niedostępny i niezdobyty dla najszaleńszej burzy. Tak to wdziera się, wtłacza i zachodzi w niczyją, bezpańską zatokę pierwszy port Rzeczypospolitej. Sześć wież wyniosłych dla młotów, siłą pary rzucanych, wydziela wciąż z siebie smugi dymu i tępy łoskot uderzeń. Młoty biją miarowo w odziemki wielkich sosen kaszubskich, które zaostrzonemi śpiczasto wierzchoły szybko w dno piaszczyste uchodzą. Raz wraz ciężki złom żelaza z hurgotem łańcuchów sunie w górę po wyślizganej powierzchni łoża stromego i piorunowo spada. Raz wraz obła, żółta strzała olbrzymiego pala usuwa się z przed oczu, uchodząc w dno coraz głębsze, coraz bardziej tępy, głuchy, oporny odgłos wydając.

Setki robotników snują się po wiązaniach palowych, już wybudowanych i spojonych mutrami. Jak mrówki, czy termity, idą rzędem, miarowo nogi podnosząc i do taktu wykonywując przepisane i przewidziane ruchy rękoma. Tam i sam stoją na drabi-

nach machin, na podmuchy wiatru wystawieni, podobni z oddalenia do flag i pawilonów. Twarze robotników schłostane są od wiatru, czarne od słońca. Drewniane ich trepy kołaczą o belki, tramy, wiązania poprzeczne i narzucone tymczasowo deski, gdy biegną i skaczą, wykonywując swe dzieło. Odzienie ich zniszczone jest od pracy, spłowiałe na wichrze, upale i deszczu, podobne do ich zarostu i włosów, — podobne do kurzu, pyłu, zeschłych trocin, do wiórów i odrzuconych opiłków. Jedni z nich mają na głowach miejskie kapelusze, dobrze przez plutę wymyte, inni czapki okrągłe wojenne, z pruskim, czerwonym, mocno spłowiałym lampasem, inni niemniej spłowiałe wojenne polskie rogatywki, a jeszcze inni okrągłe, płaskie rzeszota moskiewskie. Z pod tych oznak potęgi wojennej, minionej lub nowonarodzonej w tych czasach, patrzą oczy siwe lub czarne, badając każdą rzecz trzeźwo, surowo, uważnie, pilnie i zimno, bez sympatji i pokory. Oczy te usiłują pojąć od jednego rzutu istotę zjawiska, sens zadanego trudu, ułatwić sile swych mięśni, mocy kości i więzów ciężki sposób wykonania. Nad tym skrawkiem przymorskiej bielawy i półkolem ujarzmionej zatoki panują wśród nieustannego szumu morza łoskoty młotów, ostre ciosy siekier, dźwięczne bicie w kowadła, szelest piły, trzask przerzucanych skrzyżalów i tępe echo oporu rdzenia drzewnego przeciwko pracy niestrudzonego obucha i dłóta. Na skrawku lądu zalega piasek miałki, wymieciony przez morze, pełen drobnych fioletowych muszelek. Zrzadka porasta go trawka tak uboga, że ledwie ją stać na bytowanie widome. Tam i sam uczepił się piaszczystego garbu przyziemny, rozpłaszczony oset z kolczastemi liśćmi, albo charszcz chropawy, o bladym kolorze badylów. W spalonych, płowych trawach, na torfie lub piasku bytują karykatury główek polnych bratków, naparstnic, albo szarej skabiozy.

Powierzchnia tej nadmorskiej pustki pełna jest dołów piaszczystych z oberwanemi brzegami, gdzie noga przechodnia zapada w sypką głębinę. Tylko stare żłobowiska zapomnianych drożyn pokrywa zieleńsza nieco murawka. Na wydmuchach litego piasku ślady niezliczonych stóp, wklęsłe, lejkowate dzióby, nie wskazują czasu, ani kierunku, kiedy i dokąd idąc, wygniotła je przechodząca tędy stopa człowieczа. Wszędzie poniewiera się mnóstwo wiórów zczerniałych, zeschniętych, któremi wiatr się zabawia, włócząc je po rozległej przestrzeni. Wzdłuż i wpoprzek wydm, murawki i dołów przepaścistego szczyrku rzucone na okrąglakach szyny roboczych kolejek plączą się pod nogami, w rozmaitych idąc kierunkach, jak wióry. Wśród nich lśnią solidnie na mocnych pro-

gach grube i niewzruszone szyny szerokotorowej kolei, dowożącej belki, deski i kamień.

Kamienie leżą, jak góry, pracowicie na to miejsce przeniesione z odległych pól, z dalekich płaszczyzn i wzniesień, gdzie je pogubiły lub wepchały w głąb morza lodowce, w swoją wiekuistą dal wędrujące. Obok leżą równolegle lub wyłamują się z porządku niemniej wysokie stosy belek, tramów sosnowych o śniatach obdartych z kory, piętnowanych cyframi, przyniesione tutaj potężną wolą i siłą pracowników. Ociosane i obrobione z obydwu końców, leżą, jak biczyska, któremi państwo i interes poganiać będą siłę morza. Wyrwane, jak chwast, z głębi lasów prastarych, wyrwane ze szczytów i pochyłości gór, pójdą wnet posłusznie w rudozieloną głębinę słonego morza głową na dół upadną, śmigłym wierzchołkiem zanurzą się w leje, wydrążone przez parę w twardem podłożu, na pięć metrów głęboko zakopią się na wieki pod dziewięciometrową wody głębiną, ażeby wiekuistą niepodległość Światopełkowej dziedziny zbudować. Zaciosy wieńcowe, fugi, śruby żelazne i mutry na moc wkręcone spoją je w paliszcze, niezłomne dla sześciometrowych bałwanów burzy najbardziej szalonej...

Na widnokręgu stoją w ordynku porządnym niezliczone czarne pryzmaty torfu, wydobytego już z głębi i w suche złożonego cegiełki. Lekka para wiekuistej zgnilizny nosi się nad niesięgłym dla oczu obszarem chyłońskiego pustkowia. Leżały tam drzewiej piaski denne, głęboką pracą morza złożone, a wodą nasiąkłe, jak gąbka. Na tym półobeschłym obszarze zagnieździł się mech, torfowiec. W ciągu długich stuleci ten kożuch torfowy tamował bieg swobodny chyłońskiego potoku. Wsysając w siebie wody słodkie, rósł szybko, coraz wyżej, aż do dziewięciometrowej grubości. Niedoschnięte jeziorzysko pomorskie zmieniło się w mokre torfowie. Tam to właśnie, w tę prastarą kaszubską pażycę, gdzie niegdyś przelewało się morze, gdzie przez wieki królowała niema głusza, gdzie leżała pustka ziewająca, a djabeł Smętek światełka swoje, straszliwe dla ludzi, po nocy obnosił, — znowu na rozkaz ludzki morze ma się wrócić. Wlać się ma na dwa kilometry daleko w głąb lądu, znowu się do moreny posunąć, — na kilometer zgórą wszerz się rozpostrzeć, na dziesięć metrów w głąb zapuścić. Ma sobą napełnić doki uwiecznione cementem, omurowane i oskalone głazem ciosanym, — ma się potężnie rozszerzyć w basen środkowy, o półkilometrze średnicy, w którym największy dreagnought o sile maszyn równej sile siedmnastu tysięcy koni obróci się lekko dookoła swojej osi.

Ockniona znowu z tylosetletniego snu wola Chrobrego króla, spełniona wykonaniem sprawa żywota Jana Henryka Dąbrowskiego, objawia się w tej stronie, ażeby pokazać ułamek potęgi wielkiego plemienia, zabudowując zimną pustkę od strony Gdyni ubogiej i od strony martwych pagórków Oksywja. Tu i tam biegną w ciągu lat kilometry betonowych i kamiennych bulwarów i placów... zaświszczą sygnały i syreny setek kotłów, bić będą w niebogłosy, jak w Southampton [1]), tysiące młotów, warczeć będą maszyny, śpiewać będą pracownicy, przygotowywać się do podróży wokół globu ziemskiego polskie okręty i młodzi polscy marynarze. Floty na cyplach Helu, Oksywja i Kamiennej Góry osłonią to pracowisko od pokuszenia się o nie wroga, linje kolei żelaznych poniosą stąd dorobek świata w głąb lądu, a z głębi lądu przytaszczą tu na wywóz dorobek pracy rąk polskich. W ciągu lat wykopany zostanie z długiej szyi chylońskiej ośmiometrowy pokład torfu, a podspodni piasek wyrzucony na podstawę wałów i tam ujmie kisnące wody malarycznej rzeczułki w czynne i żywo działające baseny. Wokół bulwarów staną obrzymie hale, warsztaty, windy, przedziwne kształty stoczni i magazynów, biura, domy, baraki, hotele. Rozłożą się pod gołogórami Oksywja, w wewnętrznym porcie Polski, szeregi grubych kominów okrętów wojennych z ich wieżami i blockhausami, z paszczami armat i złowieszczem łożyskiem straszliwej torpedy. Głębokie Gdyńskie morze, najgłębsze morze, najgłębsze miejsce w gdańskiej zatoce, ujęte zostanie w szerokie, kilometry zakreślające mola, czyli ostoje przedportu. Z dwu stron od Gdyni i Oksywja, na tysiąc metrów wysuwa się w morza palisza. Między niemi, w zatoce, stanie napoprzek łamacz fali, zostawiający do przedportu dwa wolne dojazdy dla wielkich i małych okrętów.

Ten niewysłowionej piękności poemat, tworzony w drzewie, kamieniu, betonie, żelazie, — ten przepotężny dramat, zakazujący wydzieranie morzu jego wód, siły, głębi i władzy, — ta wspaniała powieść o rozdarciu ramieniem człowieka dziejów ziemi i kisnącego ze stulecia na stulecie jej rozwoju, aby go w ciągu krótkich lat przekształcić na narzędzie własne, posłuszne woli, jako wół, koń, pies, — to nowe, w polskiej lądowej duszy zatoczone dzieło stawało się w oczach, z dnia na dzień ukazywało swe strofy nieznane...

---

[1]) Southampton (czyli Szöthämmt'n) — jeden z najpotężniejszych portów w Anglji.

WŁ. ST. REYMONT. [1])

(Z Chłopów). [2])

Noc musiała być już późna, pierwsze kury zaczęły piać, gdy naraz Boryna poruszył się na łóżku, jakby przecykając, wraz też i księżyc uderzył w szyby i chlusnął, oblewając mu twarz srebrzystym wrzątkiem światła.

Przysiadł na łóżku i kiwając głową a robiąc silnie grdyką, chciał cosik powiedzieć, ale mu jeno zabulkotało w gardzieli.

Siedział tak dość długo, rozglądając się nieprzytomnie, a niekiedy gmerząc palcami we świetle, jakby chcąc zebrać w garść ową rozmigotaną rzekę księżycowych brzasków, bijącą mu w oczy.

— Dnieje... pora... — zamamrotał wreszcie, stając na podłodze.

Wyjrzał oknem i jakby się budził z ciężkiego snu, zdało mu się, że to już duży dzień, że zaspał, a jakieś pilne roboty czekają na niego...

— Pora wstawać, pora..., powtarzał, żegnając się wielekroć razy i zaczynając pacierz, rozglądał się zarazem za odzieniem, po buty sięgał, kaj zwykły były stoić, ale nie nalazłszy niczego pod ręką zapomniał o wszystkiem i błądził bezradnie rękoma dokoła siebie, pacierz mu się rwał, iż jeno poniektóre słowa mamlał bezdźwięcznie.

Skołtuniły mu się naraz w mózgu wspominki jakichś robót, to sprawy dawne, to jakby odgłosy tego, co się dokoła niego działo przez cały czas choroby, przesiąkało to w niego w strzępach nikłych, w bladych przypomnieniach, w ruchach zatartych, jak skiby na rżyskach i budziło się teraz nagle, kłębiło w mózgu i na świat parło, że porywał się, co chwila za jakimś majakiem, lecz nim się go uczepił, już mu się rozłaził w pamięci, jako te zgniłe przędze i dusza mu się chwiała, kiej płomień, nie mający się czem podsycić.

Tyle jeno teraz wiedział, co się może śnić o pierwszej zwiesnie drzewom poschniętym, że pora im przecknąć z drętwicy zimowej, pora nabrane chlusty wypuścić ze siebie, pora naszumieć

---

[1]) Wł. St. Reymont (1868—1925) zdobył sobie sławę najznakomitszego powieściopisarza naszego najnowszej doby utworami: *Spotkanie* (1897), *Komedjantka* (1896), *Fragmenty* (1897), *Ziemia obiecana* (1899), *W jesienną noc* (1902), *Chłopi* (t. 1—4 w latach 1904—1909), *Rok 1794*.

[2]) Cz. III. *Wiosna*. Warszawa 1909.

z wichrami weselną pieśń życia, a nie wiedzą, że płone są ich śnienia i próżne poczynania...

Zaczem cokolwiek robił, czynił, jako ten koń po latach chodzenia w kieracie czyni na wolności, że cięgiem się jeno wkółko obraca z przywyku.

Maciej otworzył okno i wyjrzał na świat, zajrzał do komory i po długim namyśle pogrzebał w kominie, zaś potem, jak stał, boso i w koszuli, poszedł na dwór.

Drzwi były wywarte, całą sień zalewało księżycowe światło, przed progiem spał Łapa, zwinięty w kłębek, ale na szelest kroków przebudził się, zawarczał i poznawszy swojego, poszedł za nim.

Maciej przystanął przed domem i skrobiąc się w ucho, ciężko się głowił, jakie to pilne roboty czekają?...

Pies radośnie skakał mu do piersi, pogładził go po dawnemu, rozglądając się frasobliwie po świecie.

Widno było jak w dzień, księżyc wynosił się już nad chałupę, że modry cień zesuwał się z białych ścian, wody stawu połśniewały, kiej lustra, wieś leżała w głębokiem milczeniu, jedne ptaszyska, co się wydzierały zapamiętale po gąszczach.

Znagła przypomniało mu się cosik, bo poszedł śpieszno w podwórze, drzwi wszystkie stały otwarte, chłopaki chrapały pod ścianami stodoły, zajrzał do stajni, poklepując konie, jaże zarżały, potem do krów wsadził głowę, leżały rzędem, że ino im zady widniały we świetle; to z pod szopy zachciał wóz wyciągnąć, już nawet porwał za wystający dyszel, ale dojrzawszy błyszczący pług pod chlewami, do niego pośpieszył i nie doszedłszy, całkiem zapomniał.

Stanął w pośrodku podwórza, obracając się na wszystkie strony, bo mu się wydało, że skądsiś wołają.

Żuraw studzienny wynosił się tuż przed nim, cień długi kładąc.

— Czego to? — pytał, nadsłuchując odpowiedzi.

Sad, porznięty światłami, jakby zastąpił mu drogę, srebrzące się liście szemrały cosik cichutko.

— Kto me woła? — myślał, dotykając się drzew.

Łapa, chodzący wciąż przy nim, zaskomlał cosik, że przystanął, westchnął głęboko i rzekł wesoło:

— Prawda, piesku, pora siać...

Ale w mig i o tem przepomniał; rozsypywało mu się wszystko w pamięci, kiej suchy piasek w garściach, jeno że wciąż nowe wspominki popychały go znów gdzieś naprzód; motał się w one

złudy, jak to wrzeciono w nić, uciekającą wiecznie, a cięgiem na jednem miejscu.

— Juści... pora siać... — powiedział znowu i ruszył raźnie kole szopy opłotkami, wiedącemi na pole, natknął się na bróg ów nieszczęsny, spalony jeszcze zimą i już postawiony teraz na nowo.

Chciał go zrazu wyminąć, lecz nagle odskoczył, rozwidniło mu się na mgnienie, błyskawicą rzucił na wstecz czasu, wyrwał z płota kołek i ująwszy go oburącz, kiej widły i z nasrożoną twarzą, rzucił się na słupy, gotowy bić i zabijać, lecz nim uderzył cobądź, wypuścił kołek bezradnie.

Za brogiem, od samej drogi a pobok ziemniaków, ciągnął się długi szmat podorówki, przystanął przed nim, wodząc zdumionemi oczyma.

Księżyc już był wpół nieba, ziemie pławiły się w przymglonych brzaskach i leżały operlone rosami, jakby zasłuchane w milczeniu.

Nieprzenikniona cichość biła z pól, zamglone dale łączyły ziemię z niebem, z łąk pełzały białawe tumany i wlekły się nad zbożami, kiej przędze, obtulając je, niby ciepłym, wilgotnym kożuchem.

Wyrosłe zielonawe ściany żyta pochylały się nad miedzę pod ciężarem kłosów, zwisających, kieby te rdzawe dzioby piskląt, pszenice szły już w słup, stały hardo, lśniąc czerniawemi piórami, zaś owsy i jęczmiona, ledwie rozkrzewione, zieleniały, kiej łąki, w płowych przesłonach mgieł i światła.

Drugie kury już piały, noc była późna, pola pogrążone w głęboki sen odpoczywania, jakoby dychały niekiej cichuśkim chrzęstem i jakiemś echem dziecinnych zabiegów i trosk — jak dycha mać, kiej przylegnie wpośród dzieciątek, dufnie śpiących na jej łonie...

Boryna naraz przyklęknął na zagonie i jął w nastawioną koszulę nabierać ziemi, niby z tego wora zboże, naszykowane do siewu, aż nagarnąwszy tyla, iż się ledwie podźwignął, przeżegnał się, spróbował rozmachu i począł obsiewać...

Pochylił się pod ciężarem i zwolna, krok za krokiem szedł i tym błogosławiącym, półkolistym rzutem posiewał ziemię na zagonach.

Łapa chodził za nim, a kiej ptak jaki spłoszony zerwał się z pod nóg, gonił przez chwilę i znowu powracał na służbę przy gospodarzu.

A Boryna, zapatrzony przed się w cały ten urokliwy świat nocy zwiesnowej, szedł zagonami cicho, niby widmo, błogosławiące

każdej grudce ziemi, każdemu źdźbłu i siał — siał wciąż, siał niestrudzenie.

Potykał się o skiby, plątał we wyrwach, niekiedy się nawet przewracał, jeno że nic o tem nie wiedział i nic nie czuł, kromie tej potrzeby głuchej a nieprzepartej, bych siać.

Szedł aż do krańca pól, a gdy mu ziemi zabrakło pod ręką, nowej nabierał i siał, a gdy mu drogę zastąpiły kamionki a krze kolczaste, zawracał.

Obchodził daleko, że już ptasie głosy się urywały i kajś w mglistych mrokach zginęła cała wieś, a obejmowało płowe, nieprzejrzane morze pól, ginął w nich, kiej ptak zabłąkany, lub kiej dusza odlatująca ze zemie — i znowu się wyłaniał bliżej domów, w krąg ptasich świergotów powracał i w krąg zamilkłych na chwilę trudów człowieczych, jakby wynoszony z nawrotem na krawędź żyjącego świata przez chrzęstliwą falę zbóż...

— Puszczaj, Kuba, brony a letko — wołał niekiedy niby na parobka.

I tak przechodził czas, a on siał niezmordowanie, przystając jeno niekiedy, bych odpocząć i kości rozciągnąć i znowu się brał do płonej pracy, do tego trudu na nic, do tych zbędnych zabiegów.

A potem, kiej już noc ździebko zmętniała, gwiazdy zbladły i kury zaczynały piać przed świtaniem, zwolniał w robocie, przystawał częściej i zapomniawszy nabierać ziemi, pustą garścią siał, jakby już jeno siebie samego rozsiewał do ostatka na te praojcowe role, wszystkie dni przeżyte, wszystek żywot człowieczy, któren był wziął i teraz tym niwom świętym powracał i Bogu Przedwiecznemu.

I w oną żywota jego porę ostatnią cosik dziwnego zaczęło się dziać: niebo poszarzało, kiej zgrzebna płachta, księżyc zaszedł, a wszelkie światłości pogasły, że cały świat oślepł nagle i zatonął w burych, skołtunionych topielach, a coś zgoła niepojętego jakby wstało gdziesik i szło ciężkiemi krokami wśród mroków, że ziemia zdała się kolebać.

Przeciągły, złowróżbny szum powiał od borów.

Zatrzęsły się drzewa samotne, deszcz poschniętych liści zaszemrał po kłosach, zakołysały się zboża i trawy, a z niskich, rozdygotanych pól podnosił się cichy, trwożny, jękliwy głos:

— Gospodarzu! Gospodarzu!

Zielone pióra jęczmion trzęsły się, jakby w płaczu i gorącemi całunkami przylegały do jego nóg utrudzonych.

— Gospodarzu! — zdały się skamleć żyta, zastępujące mu drogę i trzęsły rosistym gradem łez.

Jakieś ptaki zakrzyczały żałośnie. Wiater załkał mu nad głową. Mgły owijały go w mokrą przędzę, a głosy wciąż rosły, olbrzymiały, ze wszystkich stron biły jękliwie, nieprzerwanie:

— Gospodarzu! Gospodarzu!

Dosłyszał wreszcie, że, rozglądając się, wołał cicho:

— Dyć jestem, czego? co?...

Przygłuchło naraz dokoła, dopiero, kiej znowu ruszył posiewać ociężałą już i pustą dłonią, ziemia przemówiła w jeden chór ogromny:

— Ostańcie! Ostańcie z nami! Ostańcie!...

Przystanął zdumiony, zdało mu się, że wszystko ruszyło naprzeciw, pełzały trawy, płynęły rozkołysane zboża, opasywały go zagony, cały świat się podnosił i walił na niego, że strach go porwał, chciał krzyczeć, ale głosu już nie wydobył ze ściśniętej gardzieli, chciał uciekać, zabrakło mu sił i ziemia chwyciła za nogi, plątały go zboża, przytrzymywały brózdy, łapały twarde skiby, wygrażały drzewa, zastępujące drogę, rwały osty, raniły kamienie, gonił zły wiater, błąkała noc i te głosy, bijące całym światem:

— Ostańcie! Ostańcie!

Zmartwiał naraz, wszystko przycichło i stanęło w miejscu, błyskawica otworzyła mu oczy z pomroki śmiertelnej, niebo się rozwarło przed nim, a tam w jasnościach oślepiających Bóg Ojciec, siedzący na tronie ze snopów, wyciąga ku niemu ręce i rzecze dobrotliwie:

— Pódzi-że, duszko człowiecza, do mnie. Pódzi-że, utrudzony parobku...

Zachwiał się Boryna, roztworzył ręce, jak w czas podniesienia:

— Panie Boże, zapłać! — odrzekł i runął na twarz przed tym majestatem przenajświętszym.

Padł i pomarł w onej łaski Pańskiej godzinie...

Świt się nad nim uczynił, a Łapa wył długo i żałośnie.

WACŁAW SIEROSZEWSKI. [1])

Z noweli p. t. **Dno nędzy** rozdz XII. [2])

Kutujachryst wróciła natychmiast do jurty, położyła się i więcej nie wstała. Umarła w parę dni potem. Byterchaj została sama. Strach już jej nie opuszczał. Miała pod ręką zapasy żywności, ale bała się drzwi otworzyć. Żyła myszami, głogiem, korzonkami, jakie mogła uzbierać w pobliżu. Chudła, bladła coraz bardziej, traciła siły, większość dnia wolnego od łapania zwierząt, zbierania jagód, spędzała siedząc w jurcie, choć zaduch rozkładającego się ciała Kutujachryst zatruwał powietrze. Wreszcie los zesłał jej oswobodziciela. Dostrzegła go pewnego wieczora, gdy wracała z wiaderkiem wody. Był to zwierz bury, czarny i duży, jak Łysucha. Dziewczynka aż drgnęła z radości, gdyż z początku wydało jej się, że to istotnie Łysucha, że nic nie było, że zaraz wyjdą i Anka i Grzegórz. Lecz gość miał kosmatą, trójkątną mordę, ogromne pazury, a nie miał rogów i ogona. Dostrzegłszy ją, zatrzymał się i przysiadł, a potem zaczął tylną nogą skrobać sobie za uchem. Byterchaj wpadła pospiesznie do jurty, drzwi za sobą zatrzasnęła i ciekawie patrzyła przez okienko, co dalej będzie. Zwierz na trzask drzwi strwożył się, podniósł na zadnie łapy i obejrzał wokoło. Było cicho, ciemnawo, tylko jezioro czerwone od łuny wieczornej pluskało w oddali, więc uspokoił się, podszedł do zgliszcza, trącił pyskiem zsiniałą głowę Mergeń i zaczął szarpać ciało. Całą noc prawie hałasował, ruszał i przetaczał bale.

Nad ranem Byterchaj już nie widziała trupów, lecz białe kości i krwawe szczątki rozrzucone wśród węgli. Niedźwiedź opodal spał, wetknąwszy mordę między łapy... Dwa dni ucztował przed drzwiami jurty. Ostatniej nocy miał nawet przeszkodę, walczył z jakiemiś zwierzętami, i ryczał gniewnie. Lecz nie od-

---

[1]) Ur. 1858, na szereg lat rzucony między Jakutów i Tunguzów w tajgi sybirskie, stąd czerpie treść do szeregu pierwszych nowel, jak *Na kresach lasów* (1894), *W matni* (1896), *Brzask* (1901), *Dno nędzy*, *Czukcze*, *Małżeństwo* (1904), *Ucieczka* (1904).

Rozszerza się zakres w pysznych obrazach Kaukazu, (*Risztan* 1900), i dalekiego wschodu: Korei, Chin i Japonji *(Ol-Soni-Kisań* 1906; *Na daleki wschód*, 1911; *Powieści chińskie; Beniowski* z 2-gą częścią p. t. *Ocean*). Stanął w szeregu pierwszorzędnych naszych nowelistów, zwłaszcza jako pierwszy u nas twórca noweli etnograficznej, niezrównany malarz egzotycznego pejzażu i epik psychiki naszych wygnańców sybirskich.

[2]) Z wydania warszawskiego z r. 1900.

szedł. Nad ranem znowu dziewczynka spostrzegła go na zwykłem miejscu, śpiącego na słońcu... Pragnienie i głód strasznie męczyły ją, lecz wyjść nie śmiała... Usiadła w kąciku, umierająca prawie i marzyła o tych lasach zielonych, o tych ziemiach nad wielkiem jeziorem, gdzie mieszkają szczęśliwi ludzie, gdzie swobodnie biegają dzieci i cielęta... Ocucił ją szmer w oknie. Ogromna kosmata morda i zbrojna w pazury łapa wsunęły się prawie jednocześnie, lecz otwór był za mały. Zwierz łypnął ślepiami i cofnął się... Nie dał jednak za wygraną... Słyszała, jak chodził dokoła jurty i klapał po trawach. Wreszcie skoczył niezgrabnie na dach, który zatrzeszczał pod jego ciężarem... Drapanie, szmer zlatującej ziemi, wreszcie ruch dyli pułapu wskazywały, że kopie... Po niejakim czasie okrąglaki rozsunęły się i zwaliły z wielkim hałasem i w jasnym otworze ukazała się głowa z krwawemi ślepiami.

Zwierz zajrzał i spuścił się tyłem do wnętrza. Tu stanął, otrząsnął się z kurzu, wyciągnął nos, zawęszył i poszedł wprost do łoża Kutujachryst... Ale... po drodze spojrzenie jego spotkało się z błyszczącemi jak karbunkuł oczami Byterchaj...

Zerwał się na tylne łapy, zacharczał i dysząc coraz wścieklej, plwając i klapiąc zębami, szedł ku niej najeżony, straszny... Dziewczynka nie ruszała się, nie krzyczała i nawet nie wydała jęku, gdy chude jej ciałko przycisnął łapą do ławy...

Śniegi zasypały zamarzłe jeziora, rzadkie lasy i ubogą ziemię. Potężny mróz skuł wszystko na twardy kryształ.

Gmina dowiedziawszy się od myśliwców, że nie widać dymów z jurty trędowatych, posłała umyślnego, aby się przekonać, czy istotnie Bóg zdjął z niej «przekleństwo». Jakut długo krzyczał bez skutku, wreszcie dzidą drzwi podważył.. Dostrzegł wyłamany dach i domyślił się.

— Niedźwiedź ! — mruknął.

Z tem wrócił do księcia... Wtedy z e b r a n i e uchwaliło posłać pieniądze do miasteczka na zakupienie żałobnej mszy, a jurtę spalić.

Nowy posłaniec przeżegnawszy się pobożnie, podłożył wiązkę zapalonego chróstu pod zrąb starego, przesiąkłego jadem budynku... Stanął opodal i czekał, aż chmury dymu, wyrwawszy się nazewnątrz, upewniły go, że ogień dobrze się zajął. Wtedy wrócił do swoich.

Na miejscu pozostały tylko dwa place popiołu i trochę kości. Cała okolica, jak daleko sięgały wędrówki trędowatych, została na długo pustą i nieodwiedzaną... Nikt nie śmiał zrywać tu jagód, łapać ryby, ścigać kryjącej się zwierzyny...

Ale śniedź życia nie wyrwana z korzeniem, nie zniszczona w zarodku przez śmierć poprzednich ofiar, znowu wykwitnie gdzieś na ciałach ludzkich i znowu zaludnią się i zajęczą wyklęte pustynie.

JÓZEF WEYSSENHOF. [1])

Z powieści p. t. **Puszcza.**

...Zaskrzypiał żwir przed domem — zadudniały bruki podwórza. Tu i ówdzie drzewa przydrożne przekreślały na chwilę mroki oboczne i górne kirem twardszym, rozczapirzonym. Kotowicz schylał instynktowo głowę, aby nie dostać w twarz gałęźmi, które wyskakiwały z ciemności przed oczyma w nieobliczalnem oddaleniu i mijały w lot, jak przylśnione.

Wkrótce kałamaszka wypłynęła na drogę miękką i cichą, niewidoczną wśród zadymionego mrokiem powietrza. Koń widział jednak snać drogę przed sobą, bo dzielnie posuwał tucznym zadem, lśniącym pod rozczochraną poświatą kagańca.

Kotowicz, przywarty do ramienia Moroza, razem z nim kołysany i podrzucany przygodą fali niewidzialnej, po której sunęła kałamaszka, poczuł się, pierwszy raz oddawna, zupełnie zdrowym. Pachnący chłód nocy ożywiał w nim przygasłe zalety młodości; nie doznawał dotkliwego naprężenia nerwów, które mu przeszkadzały odpoczywać nawet w nocy; chłostany po grzbiecie przez drobne, twarde uderzenia bryczki, skąpany oczyma i ustami w dzikiej świeżości, czuł się nadzwyczaj dobrze, bezmyślnie i silnie.

— Już las? — szepnął pytająco, jakby się bał spłoszyć milczący nastrój oczekiwania czegoś w spisku z nocą.

— Taki on i ostanie się z nami aż do miejsca — odpowiedział Moroz.

---

[1]) Ur. 1860, jako powieściopisarza rozsławiły go szczególnie dwie powieści: *Żywot i myśli Z. Podfilipskiego* (1894) i *Sprawa Dołęgi* (1902); mniejsze miały powodzenie powieści, osnute na tle politycznem r. 1905: *Dni polityczne* i *Hetmani. W Litwie, Unji i Hetmanach* obrazował ideę narodowej i społecznej łączności dążeń szlachty i ludu wiejskiego. Największą jednak poczytność zdobyły powieści jego: *Sobol i panna* oraz *Puszcza*, w których — sam zawołany myśliwy — z niezrównanem mistrzostwem maluje obrazy przyrody polskiej.

Bo ciemność zwarła się i przystąpiła bliżej do drogi. W ruchomej sferze zadymionego świata błyskały różowe pnie bliższych sosen, albo w przestrzeni, zaledwie na sążeń prześwietlonej, występowały wielkie, ciężkie plamy — drzewa, czy słupy dymu? — i mijały, aby zlać się znowu w gęstwę ogarniającą zewszechstron w której tylko wyobraźnia torowała sobie tysiączne ujścia w głąb i w dal. Ustał wśród puszczy wszelki powiew, mgła, nasycona żywiczną wonią, wydawała się teraz letnią i poiła pierś dobrobytem. Edward, który zaziębiał się łatwo w ostatnich czasach i kaszlał, czuł, że mu ta dzika inhalacja uzdrawia i pokrzepia płuca.

Jechali tak długo, milcząc, coraz wolniej, bo bryczka zaczęła skakać po korzeniach, a droga zacieśniła się tak bardzo, że zdawała się tylko krętym tunelem, przebitym wśród nieprzejrzanej gęstwiny przemysłem grubego zwierza. Koń zaczynał stąpać ostrożniej i kierować się chwiejniej, aż go Moroz wziął na krótsze lejce.

Podróż stawała się rzeczywiście trudną na uroczysku zwanem Dziercza, niższem i bagnistem. Teraz inne porosty występowały z mroku i stawały wpoprzek drogi, niby zrujnowane przepłoty z grubszych i cieńszych drągów olszowych, osinowych, grabowych. Czasem prosto przed koniem wytryskał wał dębu, albo jesionu, czasem kilka takich, między któremi kałamaszka przeciskała się mozolnie, utykając na boki, jak karzeł kulawy przez nieustępliwy tłum olbrzymów. I pod kołami zaczęły chlapać rozgłośnie szerokie kałuże o dnach podejrzanych.

Moroz zatrzymał naraz konia, którego zcicha wciąż przeklinał, wysiadł i wziął swą ofiarę za lejce przy pysku.

— Co tam? — zapytał Kotowicz.

— Tut, panoczek, kiepskowato...

Strzelec sprowadził konia na bok, Kotowicz zaś spuścił kaganiec, aby dojrzeć, co tam zawadzało. W zniżonej łunie dojrzał ślad zwany drogą, spadający w czarną studnię nieodgadnionej głębokości, która jednak na pewno mogła pomieścić w sobie kałamaszkę razem z koniem i podróżnymi. Dla otuchy, widać, nazwał Moroz drogę w tem miejscu «kiepskowatą», zamiast karkołomną. Jeżeli dalej gorsza, albo choćby taka?... — pomyślał Edward z pewnym niepokojem. — Ale pokrzepił go widok Moroza, który brnąc po kolana, prowadził konia pewnie przez szczerą puszczę, jakby znał poomacku każdą lukę wybujałego przestworu pni i rozkrzewień.

Jakoż wydobył wkrótce furmankę z manowców; przestała szlochać beznadziejnie przez kałuże, koń parskał, poczuwszy mech pod

kopytami, ucichło — i Moroz jednym gimnastycznym skokiem usiadł na swem miejscu obok Edwarda.

— Tak już *ciapir'* droga widna i niczego sobie.

Widna była dla rysich oczu; zapewne szersza — bo gałęzie mniej chłostały po twarzy — zapewne suchsza, bo gdy koń przechodził w kłusa, dudniało spodem i po kościach, czasem zaś kałamaszka wyskoczyła w górę czterema kołami i znowu opadała na grunt złośliwy, który zdawał się mocno gniewać za to, że go depce jakiś przyrząd końsko-ludzki nieudolny, zamiast potężnej racicy łosia lub ostrożnej łapy zwierzęcia puszystego.

Podróżni milczeli z paru względów: pochłaniała obu walka z puszczą, wymagająca ciągłego naprężenia uwagi; niebezpiecznie też mleć językiem, gdy go co chwila można przyciąć na jakimś wyboju drogi. Coraz bardziej wygładzały się jednak przeszkody, wreszcie bryczka zaczęła sunąć mszystym szlakiem cicho i równo. Po gruntownem skołataniu ciała w ciągu ubiegłej godziny Edward poczuł dobroczynne uspokojenie; ogarnął go sen czujny zdrożonego jeźdźca, który bezwiednie już utrzymuje równowagę na siodle, lecz daje się zarazem kołysać wizjom niezupełnie realnym. Pamiętał, że jedzie ogromnym, bezkresnym lasem, lecz dokąd i poco? — zaczęło się to plątać po mózgu rozkosznie utrudzonym.

Nie dźwięk żaden, lecz zapach go ocucił; niespodziewana woń sosnowego dymu. Spojrzał na Moroza i ujrzał twarz jego drgającą satyrycznie w blaskach kagańca, który teraz był w ręku strzelca. Widocznie przezorny woźnica zabrał pocichu kaganiec z rąk drzemiącego towarzysza.

— A ot pan Oksza już lulkę kurzy przy ogniu — odezwał się Moroz wesoło — nie sztuka jemu stawić się tu raniej; trzy wiorsty tylko od jego domu i lekkiej drogi.

Przez zwarty częstokół lasu nie widać jeszcze było ogniska, tylko powiew dymu dolatał coraz wyraźniejszy, pociągający do miejsca, gdzie wśród niezmiernego pustkowia zapadł człowiek. Błyskała przez drzewa oświetlona pół-sfera, niby różowy namiot rozpięty na zaróżowionych też słupach sosen — i wkrótce odsłonił się obraz oczekiwany. Przy buchającem ognisku stał wysoki mężczyzna pięknego myśliwskiego pozoru i pilnie wiercił oczyma ciemność, z której dochodził go turkot kałamaszki. W pobliżu Okszy stała jego kałamaszka, rodzona siostra turowickiej.

Edward zeskoczył i podszedł do Okszy:

— Jestem Kotowicz, sąsiad pański. — Moroz, tu obecny urządził nam tę leśną schadzkę — bardzo rad jestem.

Przerwał wylew uprzejmości, gdyż okazały myśliwy stał przed nim sztywno, nazwał się tylko nawzajem, uchylił kapelusza i milczał, przypatrując się poważnie młodszemu sąsiadowi.

Przystąpiono więc zaraz do łowieckiej treści wyprawy. Oksza zwrócił się do Moroza:

— Gdzie masz głuszce, Moroz? — wszak sam zasadzałeś?

— A won za *łoju hrakoj*[1]) na suchem — dwa — wskazał strzelec w jednym kierunku, potem w przeciwnym: — na berezie tam jeden pewny, drugi — *Boh jaho wiedaje*[2]).

— To niech pan idzie na te dwa, bo i dostęp łatwiejszy; ja polezę w brzezinę — zakomenderował Oksza.

— I dobrze tak — zgodził się Moroz.

...Myśliwi wyjęli strzelby z futerałów i złożyli je. Wypalili po parę papierosów na zapas, gdyż przy dochodzeniu do głuszca nie będzie już wolno palić. Rzadkie padały słowa, wszystkie zmierzające do jednego celu, do którego i Kotowicz nabierał uszanowania i zapału...

Oksza oddalił się nieco od ognia, zadarł głowę i przez wierzchołki drzew, pośród których cień nocy może już nie w swem natężeniu — może się tylko tak zdawało? — Spojrzał na zegarek:

— Zaraz trzecia — pora już nam rozejść się.

Zaczem wszyscy wyprostowali się, przejęci doniosłością chwili i, wobec rozpoczęcia misterji podkradów, zaczęli mówić instynktowo ciszej...

Oksza ukłonił się Kotowiczowi w milczeniu; oddał mu podobny ukłon Edward, znał bowiem niektóre myśliwskie przesądy i wiedział, że nie należy głośno życzyć powodzenia przed wyprawą. Rozeszli się po puszczy, powoli i cicho, jak mary.

Edward stąpał za Morozem, starając się naśladować krok miękki i pewny, którym strzelec posuwał swą postać, niby słup gęstszego cienia po wykrętnej drodze między pniami i gałęźmi. Dobrze się szło, póki świeciły jeszcze ostatnie blaski ogniska; ale wkrótce mrok nocy nierozdartej, bezksiężycowej, zgęszczonej przez nawisłe cienie lasu, stał się zupełnym dla oczu Kotowicza: nie widział, ani nie słyszał przed sobą przewodniego słupa.

---

[1]) «Hraka» — pas gruntu suchego między błotnistemi łęgami.

[2]) Bóg go wie.

— Moroz... gdzie jesteś?... nie tak prędko.

— Da jaż panoczek, pomaleńku... *a koli nie widzisz, tak dzierżysia* pan za mój kaftan.

Jakoś to nie dogadzało miłości własnej Edwarda, więc położył wyciągniętą rękę na ramieniu Moroza i szedł odtąd pewniej, wyczuwając dłonią zwroty i przechylenia niewidzialnego przewodnika.

— A Moroz widzisz drogę? — szepnął znowu Kotowicz.

— *Jakaja tut doroha?* na niebo panoczek *pobacz* — widno

Rzeczywiście na niebie czuby i zatoki drzew czerniły się już na mroku rzadszym, nieruchome, gdyż noc była bardzo cicha ciepła sama przez się, a może też ogrzana przez wzruszenia i trud pochodu. Kotowicz wyrywał się do rozmowy, gdyż doznawał wrażeń nowych, poczęści niezrozumiałych. Moroz sam nie zaczynał, lecz odpowiadał przyciszonym głosem. Widać, że głuszce były jeszcze daleko...

...Trochę już już brzask przeświecał i pozwolił Kotowiczowi bez macania przewodnika podążać za nim. Ale grunt, dotąd suchy i elastyczny, stawał się grząskim, aż pod nogami zaczęła pluskać woda i powiało chłodem od większego jej zbiornika. Moroz zaczął czegoś szukać po ziemi; wynalazł dwa surowe drągi, przygotowane tu zapewne od dnia wczorajszego, i podał je Kotowiczowi:

— Oddaj mnie panoczek strzelbę i proszę za mną.

— W mroku coraz mdlejącym ujrzał Kotowicz tuż przed sobą dwa cienkie pnie brzozowe, rzucone przez ciemne lustro bagna. Na tę kładkę wszedł Moroz i stąpał po niej biegle, balansując strzelbą i ramionami, jak linoskok. Edward spróbował iść też w równowadze, lecz po kilku krokach utkwił oba drągi w lepkie błoto i stanął.

— Długo tego będzie? — zapytał Moroza.

— Bagna nie mała i nie *wielmi* duża — sażeni trzydzieści. I wpadłszy, nie utoniesz panoczek.

Trzeba było iść dalej, i chociaż kładka nie polepszała się bynajmniej, była nawet jeszcze chwiejniejsza na połączeniach żerdzi z następnemi, Kotowicz nabierał wprawy co sekunda, z nieubłaganej konieczności, gdyż obrócić się i cofnąć w tej przeprawie byłoby jeszcze trudniej. Nauczył się więc odrazu, że trzeba iść ostrożnie, ale śmiało i nie opierać się drągami o dno bagna, chyba w przypadku zupełnej utraty równowagi. Jednak te sto kroków przeprawy zagrzało Kotowicza aż do potu. Gdy wreszcie Moroz skoczył na suchy brzeg, Kotowicz pośpieszył za nim, pierwszy raz chybił

nogą i ugrzązł po kolano w błocie. Strzelec podał mu rękę — wydarł się Edward z lepkich kleszczy bez wielkiego szwanku.

— Tut, panoczek, blisko już; staniem i p o c z u j e m — odezwał się Moroz przejmującym szeptem.

Stanęli obaj nieruchomi i ciemni, jak dwa pnie na sążeń przycięte. Las był około nich znowu sosnowy, młody, śmigły; giętką choinę zapowiedź świtu głaskała bezdźwięcznym powiewem, czuby jej chwiały się lekuchno, jakby potakując solennemu oczekiwaniu myśliwych:

— Będzie on, będzie...

Taka była w powietrzu elektryczna pewność nadwyczajnych wzruszeń, że gdy Edward utkwił spojrzenie porozumiewawcze w twarz Moroza, stary wyga leśny na nieme zapytanie skinął dwa razy głową potakująco, jak te sosny:

— Będzie on, będzie...

Krzyk przenikliwy, jakby zbudzonego ze snu kapryśnego dziecka, rozdarł ciszę. Kotowicz drgnął i zapytał wymownym gestem:

— Co to?

— So-wa, objaśnił niemem poruszeniem warg Moroz.

Stali znowu w milczeniu głębokiem. Budziły się po lesie kształty: drzewa zaczęły się rozbierać ze swych czarnych burnusów i okazywać wdzięki rozkrzewień. Jakieś się pono otworzyły kwiaty, bo powstawały wonie ich wiosenne. Przeciągła cisza zaczęła niepokoić Kotowicza; spoglądał na Moroza, który stał wciąż z półotwartemi ustami, wpatrzony w nieokreśloną przestrzeń, ogólnym pozorem wyrażając bezradną bierność; tylko powieki drgały mu ciągle, znacząc na śniadym zegarze jego twarzy nieustanną robotę wewnętrznego organizmu. Raz poruszył ramionami, raz brodę głasnął szybko, jakby odmierzał temi ruchami upływające minuty i kwadranse.

Przyszła nareszcie chwila. Wypłynęła z oddali tak nieznacznie, że Kotowicz wcaleby jej nie zauważył, gdyby nie był wpatrzony posłusznie w Moroza. Strzelec skulił się w szyi, oczyma błysnął fosforycznie, chwycił, jak w kleszcze, ramię Edwarda i wyrzekł szeptem przenikliwym, rozmiłowanym:

— *Hraje!* — — — (gra!)

— Gdzie? — odszepnął Kotowicz, szukając uchem dźwięku po niemym lesie.

Moroz zmarszczył tylko twarz na znak milczenia, nadsłuchiwał znowu chwilę — dosłyszał — nerwowym skinieniem potwierdził — i chwycił Kotowicza silnem objęciem za prawe ramię:

— *Ciaper' so mnoj! — raz, dwa, tri.*

Żelazny dziad uniósł z sobą lekkiego Edwarda na trzy skoki, potem osadził go nieruchomie w pozie, w jakiej oba zapadli. — Chwila ciszy i znowu porwał go Moroz na trzy kroki posuwiste. — Znowu cisza kamienna. — Edward czuł elektryczne drżenie dłoni Moroza, słyszał takt serc podwójny.

Za następnem porwaniem się w skok zrozumiał Kotowicz nareszcie głos, płynący w puszczy, który dotychczas był mu jakby dalekiem gadaniem starego, ochrypłego zegara:

— Tyk — — tak — tykut, tykut, tykut — szcze — cze — cze — cze — cze — ta — szka...

— Więc to jest słynna pieśń? — — głucha, drewniana — jaka dziwna! — —

Wiedział z opisów, że pieśń ta składa się z trzech motywów: z bąkania, telekania i czyhitania; że tylko podczas ostatniego kogut doszczętnie głuchnie i wtedy można skakać, łamać gałęzie, nawet strzelić bez zwrócenia uwagi głuszca. W przerwach i podczas bąkania trzeba się zachowywać jak pień leśny, gdyż wielki książę puszczy, mistrz zacietrzewionej w swej pieśni miłosnej, czujny jest w przerwach i nieufny, jak żaden z mniejszych uskrzydlonych matadorów.

Po paru jeszcze wspólnych posunięciach Kotowicz oświadczył, że sam już potrafi skakać, niech tylko Moroz idzie naprzód. Kilka słów niezbędnych do tego porozumienia przekroczyło jednak może granice «pieśni», bo umilkła na kilka minut. Ale myśliwi stali osłonięci choiną i opodal jeszcze od głuszca, więc śpiewak namyślił się po przerwie i ostrożnie przebąknął — raz.

Kotowicz już się nachylił do skoku, ale go Moroz zatrzymał groźną miną. Dopiero gdy się znowu głuszec rozczyhitał, skoczyli obaj i zbliżyli się do głuszca o kilka posunięć, teraz już nie po trzy, lecz po dwa kroki.

Wtem w rytmicznej harmonji pieśni i podskoków zgrzytnął fałsz tak maleńki, że nie obudziłby chyba czujności lisa: Kotowicz, kończąc skok, stąpił na suchą gałąź, która trzasła głucho między mchem a butem — już po pieśni. Moroz drgnął i skamieniał, przeczuwając nieszczęście. Jakoż zamiast nowej pieśni, spodziewanej od choiny, gdzie już czuli głuszca myśliwi, spłynął wśród igliwia cień ogromny, rozskrzydlony — i oddalił się z lekkim łopotem.

— Nie poszancowało![1]) — rzekł głośno Moroz, odwracając do Kotowicza twarz mocno niezadowoloną.

---

[1]) Nie poszczęściło się.

— Poleciał! — stwierdził Edward żałośnie fakt oczywisty.

Moroz zdjął czapkę, przetarł ręką twarz, podrapał się niecierpliwie w głowę. Po chwili znowu czapkę szybko narzucił i rzekł ochoczo:

— Poczekaj, panoczek: *drugoho majem*. Ja jego *czuwał*, kiedy my do tego skakali. Tylko już panoczek na *haljo nie polezaj* [1]).

Kotowicz przyjął bez obrazy zasłużoną uwagę i stąpał odtąd ostrożniej po gruncie mszystym, w którym noga grzęzła miękko i cicho, a przeszkody coraz łatwiej było omijać, bo przybywało światła. Zaledwie uszli ze sto kroków, odezwała się wyraźnie pieśń, tym razem bliższa, bardziej jeszcze upragniona, bo już ją Edward znał i miał wyrytą w mózgu, jako formułę nowej, z niczem nieporównanej rozkoszy. Chociaż niezbyt często polował, pamiętał przecie silne łowieckie emocje, spotykał się z dzikiem w kniei, gonił konno za lisem i jeleniem...

— Tyk — — tykut, tykut... i szmermel fałszywy, a pyszny, niby zgrzyt po szle — skąd niektórzy nazywają z niemiecka koniec pieśni *szlifowaniem*.

Skakali z Morozem łatwo i cicho, wykręcając swą drogę na pnie grubsze i miejsca osłonięte. Znaleźli się wreszcie przed bukietem sośniny, z którego wypływał ten czar pociągający, prawie równie przygłuszony zbliska, jak z oddalenia, ten głos pełen tajemnicy i samczej zawziętości. Stanęli «pod pieśnią».

Ale gdzie on jest? — Moroz go już widzi, bo nie skacze dalej, choć głuszec tnie pieśń za pieśnią; bada spojrzeniem Kotowicza, czy i on go widzi? — Nie. — Coś w tej choinie siedzi niepojętego, co gra, ale ptaka wielkości indora, nie widać.

Moroz wznosi podczas pieśni rękę i palcem wskazuje w jedno miejsce; za kierunkiem tego palca Edward zapuszcza spojrzenie w zagmatwaną choinkę, wypatruje, ślepi. — Jakieś zgrubienie gałęzi... to byłby on? — nie, to kiść igliwia. — Ale Moroz trzyma wciąż rękę wyciągniętą, nieruchomą jak drogowskaz. Powtórnie spoziera Kotowicz w to miejsce... — Może to i głuszec?... — Taki mały, jak ciemny gołąb z wyciągniętą szyją? — O! ruszył się! — zmienił pozycję — siedzi teraz, jak jastrząb w poprzek gałęzi... I znowu pieśń — to on.

Kotowicz podniósł strzelbę, złożył się — nie widać w półmroku ani lufy, ani muszki, ale przecie strzelba znajoma — palnął.

---

[1]) Nie właź na chróst.

Wielki cień rozskrzydlony zsunął się z gałęzi, uciekając z wyraźniejszym tylko łopotem, niż poprzedni.

— No i cóż!? — zawołał Moroz prawie groźnie, a twarz miał znękaną i zgorszoną.

— No i nic — poleciał. Nie rozumiem.

Edward poczuł, że nie może śliny przełknąć, tak mu zaschło w gardle i ogarnęło go dotkliwe rozczarowanie, podobne do żalu za snem, pięknym, niedośnionym. Świt się rozwidniał, głuszca już dzisiaj nie będzie. — Jak on cudownie grał!

Moroz odpowiedział tęsknem echem na niewyrażoną myśl Kotowicza:

— *Pieun* był sławny!

Tak — śpiewak był niezrównany! — objawiciel tajemnic życia wiecznego, zapomnianych przez człowieka pośród zabiegów o stanowisko, o pieniądze, o rozkosz, niestworzoną przez przyrodę. Edward dałby wiele, aby zatrzymać noc, która uciekała, cofnąć się stecz poza chwilę strzału, która spłoszyła marzenie jedyne, takie rzydlate, a zdrowe i realne, marzenie namacalne...

Spowszedniało na świecie: dzień jasny zaczynał oblewać całe niebo i wykrawać z mroku nieprzeliczone leśne profile — świt nienawistny, bez nadziei, bez głuszca...

ANDRZEJ STRUG (TADEUSZ GAŁECKI).[1])

Z powieści p. t.: **„Z powrotem“.**

...Pociąg podchodzi do Siedlec.

Zastukały i zachwiały się wagony po zwrotnicach. Kiedy stanęli, Rylski ostrożnie wyjrzał za okno. W tłumie na peronie nic szczególnego nie spostrzegł, ale patrzył dalej. Ale kiedy fala wysiadających przerzedziła się, zauważył pana, przechadzającego się od niechcenia wzdłuż wagonów i spoglądającego w okna. O kilkanaście

[1]) Ur. 1873, od r. 1908 w nowelach i powieściach (*Ludzie podziemni, Jutro, Ze wspomnień starego sympatyka, W twardej służbie, Dzieje jednego pocisku, Ojcowie nasi, Portret, Chimera* i inne) kreślił obrazy bohaterskiej, pełnej cichego męczeństwa i moralnej tężyzny walki robotników, chłopów i młodzieży inteligencji z barbarzyństwem carskiego w Polsce despotyzmu w okresie rewolucyjnym 1905 i po rewolucyjnym. Z pysznej galerji tych straceńców-bohaterów, w twardej służbie dla wolności ważących się na śmierć męczeńską — podajemy ustęp o Rylskim i Chowańcu z powieści p. t.: *Z powrotem.*

kroków za nim szedł drugi pan i też zaglądał w każde okno. Na trzeciego już Rylski nie czekał. Cofnął się od okna i położył się na ławce, jak długi. Twarz zasłonił sobie odniechcenia ręką, a wystawił na pokaz w całej okazałości swoje buty, które w niczem nie zdradzały, jakoby przyodziewały nogi inteligentne. Tak trwał, irytując się jeno, że będzie musiał do tego samego miasta, które oto jest już o dwa kroki, wędrować kilka godzin przez deszcz i błoto z zapadłej wioski podlaskiej, gdzie swoją drogą mogą się zacząć nowe hece. Kątem oka, z poza pięści, którą sobie podłożył pod głowę, obserwował, jak wszedł do wagonu ów podejrzany pan. Stanął — stoi. Po paru minutach od drugiego końca wozu wchodzi drugi. Postali, poszeptali, poszli. Za moment uderzył trzeci dzwonek, i ruszył pociąg.

Kiedy w pół godziny później wyszedł z wagonu na przystanku, zauważył ze zgrozą, że pogoda ustaliła się na dobre... Deszcz pryskał równomiernie a wytrwale drobnym maczkiem, nie śpiesząc się i nie folgując, i zapowiadał najwyraźniej, że starczy go na trzy dni i więcej. Tuż za stacyjką rozciągały się płaskie puste pola i wiła się kędyś bagnista, pełna wybojów droga. Pociąg natychmiast ruszył dalej, i Rylski, chlapiąc po wodzie, widział go jeszcze długo, jak snuł po niezmierzonej płaszczyźnie, dymiąc i ziejąc parą. Przeskakując nader sprawnie przez kałuże i wybierając starannie w błocie miejsca mniej rozrobione, spostrzegł jednak po kilkuset krokach, że lewy but zaczerpnął już sporo wody... Buty to były partyjne, które miały swoją historję dość długą. Ci, którzy pierwsi używali ich do «agitacji wiejskiej», siedzieli już dawno w ciupie. Były one zelowane przez różnych szewców po różnych miastach, ale goniły już resztkami zdrowia. Po chwili i w prawym bucie zaczęło świegotać i chlapać. Rylski odrazu zaprzestał ostrożności, i nie wybierając już drogi, brnął przez kałuże, byle prędzej.

Tak przez dobrą godzinę parł naprzód bez chwili wytchnienia. Z kaszkieta lała mu się woda, gruba kurta zaczęła przesiąkać na plecach. Wyglądał na tej samotnej, bagnistej drożynie na rzemieślnika wiejskiego, na śpieszącego się do wsi handlarza cielętami albo gęśmi... i niktby się nie domyślił w nim autora trzech cienkich rozpraw filozoficznych, z których jedna dała mu tytuł doktora nauk społecznych, druga jakąś *mention honorable* ze strony *Ecole des sciences sociales*, a trzecia wywołała całą burzę na łamach jakiegoś *Przeglądu filozoficznego*, czy też *Archiv für*...

...Do Gródek miał niedaleko... hen w dole poprzez białawy tuman czerniały dachy chałup...

Ileż to trudu, upokorzeń, ile gadania i ceregieli kosztowało pozyskanie tej nędznej okolicy. Byli tu nasamprzód oświatowcy i zasypywali lud elementarzami, czytankami, broszurkami *Promyka*, rozmaitemi historjami *O pijaku Urbanie*, o *Urwisie Dyrdusiu*, o *Bydlęciu odętem*. A że owo «państwo» dawało to wszystko za darmo, więc brali gospodarze, kłaniając się dobremu państwu. Potem przyszedł czas na rozmaitości patrjotyczne, na anegdoty o królach polskich, na wierszyki liryczne o ojczyźnie, na płaczliwe historyjki o różnych biednych i zacnych «kmiotkach», na które czułe były serca chłopskie. Słuchając tych historyj, czytanych głośno po chałupach przy mdłym promyku lampki, przyćmionej jeszcze dla oszczędności, pociągali słuchacze nosami. Inni to już byli «panicze», którzy ciągali w te strony owe książeczki. Gadało to ze strasznem przejęciem i prawie że nawpół z płaczem, «jakby byli wszyscy czegoś winowaci»; jak powiadał mener rewolucyjny na całą okolicę, towarzysz Jan Chowaniec z Gródków. Widział on dużo i przetrwał oświatowców i ludowców i narodowców demokratów, dopóki, zawsze ciekawy ostatnich prądów, nie zatrzymał się na «socjalnych panach». Że zaś cenił swoją godność, nie poddawał się odrazu nowej prawdzie i nowym ludziom, ale gruntownie ugadywał się z każdym, oponował, upierał się przy swojem po chłopsku, jak narowisty koń...

...Prawił, jakby w natchnieniu, jakby nie do jednego człowieka mówił, jeno do całych tysiąców...

— «Płona jest ziemia u nas, piach a kamienie, a łąka, jak jest, to mokra, a lasy wkoło rządowe, moskiewskie. Biedny kraj i ladaco. Ni dla oka pociecha, ni dla brzucha sytość. Ale to ja wam, jako tutejszy z dziada pradziada, powiadam, niema takich ludzi wiele w całej Polsce, jako tutok som. Zobaczycie, będziecie wiedzieli! Som bogate chłopy gdzieindziejsi, na Powiślu, po Sandomierskiem i jeszcze gdzie, co na borowinach tłustych orzom; som i mądrzejsi od naszych... Ale słuchajcie, co wam powiem. Takich kwardych a wiernych, a na wszystko najgorsze wytrzymałych ludzi nigdzie nie znajdziecie! Tu od maleńkości dziecko we głodzie się chowa, po głodnej matce. Chleb to u nas święto, a mięso widzim, jak z dopustu Bożego padnie któremu krowina albo owieczka. Tem żyjemy, co z tego piachu wyorzem, pługiem po kamieniach śtyrkający. Hej!... Ino w ciężkim pocie a w niedostatku stwardnieje w człowieku moc, i nic na świecie go nie przemoże, i nikt na świecie mu nie da rady, choćby i sam djabeł. To tak się ono zdaje, że gudłaje są chłopy podlaskie, ciemne a pokorne, i jeno temi niebieskiemi oczami po świecie wodzą, a cierpią, a znoszą, a przed każdym

czapkę zdejmują. Niech ta będzie!... Ano zbudź jeno człowieka w nich, tę ich, siłę, a potrząśnij duszę, a rzeknij im słowo nowe...

Świadek ja tu jestem i przy mnie się wszystko robiło, jak zaczęli tu i do nas ludzie dobrzy zaglądać a uczyć. Różni bywali i przeróżni, tacy i owacy, niech wszystkim Pan Bóg zapłaci za ich fatygę i dobre chęci. Po każdym cosik pozostało, bodaj ślad a wspomnienie. I przybrało w narodzie tej mocy niespożytej, murowanej, i niechno przyjdzie chwila, niech ino przyjdzie nasza godzina. Gotowi my, gotowi, ja wam to powiadam, człowieku obcy... A jak się poruszymy, świat się zadziwi wokoło! Niech ino przyjdzie godzina, niech się pospieszy! Ugadywałem ja się z ludźmi niemało i tutaj i w mieście i w samej Warszawie byłem razy trzy, w pałacu raz byłem takim, że myślę sobie: król polski się tu do czasu utaił i mnie chłopu posłuchanie daje. Na zebraniach bywałem po lasach, gdzie po sześćset chłopa stawało, jak mur, głowa przy głowie i słuchało, co mówili ludzie przyjeżdżający z daleka. Mówiłem i ja do ludu ze sosny i widziałem, jak we mnie z dołu tysiące oczu patrzy a czeka... Hej!...

WŁADYSŁAW ORKAN. [1])

Z powieści p. t.: **„Komornicy“** (wyd. 3-cie).

(Str. 28 i nst.).

...Przy pile, na tramiku, oberżniętym dokoła, siedział Sobek samotny, bił kerpcem o podłogę i gwizdał jakąś nutę. Mało go obchodzili zebrani chłopi. Widywał ich tu codzień; znał ich wszystkich, oni go jeszcze lepiej. Kołysał się i gwizdał, czasem dla większej fantazji przyklął sobie siarczyście.

Do niego to przytoczył się Kozera cierpiący.

— Tak mnie, Sobuś, tak mnie to nadeszło...

— Mówcie głośniej, bo piła!

---

[1]) Ur. 1876, w twórczości powieściowej (*Nowele. Nad urwiskiem, Komornicy* (1890), *W roztokach* (1903), *Pomór, Drzewiej, Kostka Napierski*), w lirykach i utworach dramatycznych (*Ofiara, Wina i kara, Franek Rakoczy, Z martwej Roztoki*) kreślił obrazy ziemi podtatrzańskiej, pełne realistycznej prawdy i głębokiego bólu, ze szczególnem mistrzowstwem typy biedaków upośledzonych, nieszczęśliwych, opuszczonych, w najskrajniejszej pogrążonych nędzy. Jest też Orkan jednym z wybitnych w naszej literaturze mistrzów we władaniu narzeczem górali tatrzańskich.

Zgrzyt przyduszony tłumił gwarę i wchłaniał ostre słowa.

— Niech cię Bóg broni, Sobuś, niech cię Bóg zachowa!

— Od czego?

— Ja ci powiem, ino mię słuchaj uważnie. Rano było... Ty już wiesz, co ja rano robię. U mnie pacierz i chwała Boska przedewszystkiem. Juści ta mówię ten pacierz i mówię — a tu mi cosi szepce: «Kozera, podź do żyda! Kozera, podź do żyda! Kozera, podź do żyda!» Co to jest? — myślę sobie — czy mnie djabeł kusi, czy co? Ale nic! — Mówię dalej... Ojcze nasz... Zdrowaś... Wierzę... A tu jak mnie szarpnie cosi za ramię, jak mi wrzaśnie nad uchem: «Kozera, podź do żyda!!» Tak co było robić? Zebrałech sie i idę... idę, — a cięgiem czuję, jak mie cosi popędza, popędza... No i przyszedłech do Zyśla. Jak-ech przyszedł...

— Michał! do piły! bo dochodzi... — wrzasnął Sobek.

— Jakech przyszedł, takech ci ta ostał... od rana do połednia, od połednia do wieczora. Naschodziło się chłopów! Był i Kanty i Luberda i Grela, było tego sporo. Pijemy ta, pijemy, a czas leci, nie stoi... Juści ja kazuje półkwaterek, Grela też; znalazł się przy nas i kumotr z nad miedze i ktoś jeszcze... dość, że nas było mocki. Popiliśmy sie święcie, jak sie patrzy... Słuchajże! bo to jeszcze nie koniec... Tak ci przeszedł i wieczór i noc nadeszła niezadługo. Wszyscy sie potracili, ka mogli — ja ostał sam... Co robić? E, myślę se, pódę na wolę Boską! Przecie chałupa nie precki, to i dojdę... Ale mnie cosi wstrzymywało... Nie pytałech już przecie na nic i poszedłech. Juści idę i idę prostą drogą, jak się patrzy... dyć zajdę! Naraz — jak mnie cosi zajęło, jak mnie zaczęło wodzić!... Zwodziło mnie wszędy: woda nie woda, miedza nie miedza... wodziło i wodziło do samego rana. Co ja sie razy zamoczył, z kielu ja brzegów spadł, to ani, ani!... zeżyjesz świat, a nie uwierzysz. Ino, jakby ciebie samego kiedy tak zajęło, czego Boże broń, zachowaj! Matko Najświętsza!... Dopieroch ci rano przyszedł do siebie, jak się już dobrze rozwidniło!... i wiesz, kanych się znalazł?... Hań — na zapałowym brzyzku — w tych jamach!... Tam mnie opuściło, toż toch sie ostał i wrócił do chałupy... Nie wierzysz mi? Przypatrz się! — wyciągnął nogę — nowiutkie kerpce kupiłech na jarmarku, toch ci je zdołał doznaku zedrzeć... za jednę noc!...

Tak ci padam, mój Sobuś, nie wierz nic, choćby ci gadało, nie wiem co! Choćby cie szarpało ze wszystkich stron!... Bo to kusiciel krotny, nic więcej. Jużech się zaprzysiągł: Nie pódę ani do karczmy, choćby mnie w gardle piekło. Nie pódę — wolę skonać...

. . . . . .

(Od str. 148 i nast., w karczmie po chrzcie dziecka).

...Kumotr dziecko położył na pierzynie, kumoszka je nakryła chustką — i posiedli.

Kozera też Bogu dziękował po cichu, że doczekał się takiej uroczystości.

— Żeby to choć raz do roku! Mój Boże! Upije sie człek i ni ma wyrzutów sumienia...

— W ręce!

— Dej Boże! Niech rośnie... niech sie krzepi!

— Jeszcze się z wnęka pociechy doczekacie...

— Ho, ho, ho!

— Pijcież kumie!

— Nie raczcie...

— Bo u mnie, to tak. Jak mam z kim, to wypiję...

— W ręce!

— Dej wam Boże!

— I zesiedziałbych dzień, dwa dni... nic mie do chałupy nie ciągnie...

— Moiściewy!

Poczęli się raczyć serdecznie i zasiedzieli całe popołudnie, aż do późnej nocy...

Żyd już zamykał karczmę, kiedy kumoszkę zamroczyło i zemgliło do znaku. Padła na ławę za szynkowy stół i tam usnęła.

Kumotr uparty wykłócił się na ostatku z Kozerą i zapowiedział wszystkim, że idzie prosto do chałupy. Wstał i ruszył od stołu, ale nie mógł nijakim światem trafić do drzwi. Naobracał się po izbie, naobracał — cisnęło nim w kąt, i tam ostał.

Kozera podparł głowę na pięściach, począł drzemać, jak zwykle co drugi dzień. Budziło go częste kwilenie dziecka. Po chwili oprzytomniał.

— E, trza iść do chałupy! Tu nic nie wysiedzę...

Zwykle wychodził o tej porze. Zgratał się powoli, poszukał kapelusza, chazukę zawiesił na ramionach. Teraz dziecko... Co tu z niem zrobić? Niedługo się namyślał

— Uwiędłobyś do rana... Chodź, pódziemy do chałupy! — szepnął, wyciągając po nie ręce. — Jak ja cię tu poniesę? — myślał, trzymając je w dłoniach.

Nagle przyszedł mu pomysł nielada! Aże się roześmiał — tak się mu ta myśl spodobała...

— Czekaj... włożę cię do rękawa... Tam ci bedzie dobrze, cieplutko, jak w piecu... Bedziesz widział!

Zapiął rękaw haftkami na końcu, podniósł ramię i wsunął spowite dziecko do rękawa.

— Poniosę cię, jak kukiełkę z jarmarku... Zdziwi sie ta Hanka! Podźmy, bo już późno...

Otworzył drzwi — na polu ciemno, mgła, drogi nie widać... Kozera się przeżegnał krzyżem świętym i ruszył po omacku... Nogami macał chodnik i szedł prosto ku jezdnej drodze — na Koninki...

— Kanyż ta ten gościniec? — mruczał. — Ja ku niemu, on mi z pod nóg ucieka... Myślisz, że cie będę prosił, cobyś mie poczkał? Juści! Kozera huncfot, pijak, ale sie ne bedzie drodze kłaniał...

I poszedł prosto przed siebie, zapadając w śnieg po kolana. Przysiągłby, że dobrze idzie, że go sam instynkt do domu zaprowadzi... Całą drogę mówił do dziecka, a gdyby dziecka nie miał, sprzeczałby się sam ze sobą, jak zawdy.

— Idziemy se, — mruczał — idziemy prościutko, jak się patrzy... Poco mam nakładać drogi, kiedy możemy sprościć... Prawda, Tomuś? Jakże ci tam w rękawie — cieplutko? he?... Widzisz, pamiętaj, jakiego masz dziadka! Szanuj go! Nie poniewieraj! Bo drugiego takiego nie najdziesz, choćbyś sie dziesięć razy urodził... Wiedz se! Szanuj go, szanuj! I nie opuszczaj aż do śmierci... Wnetki urośniesz... bedziesz widział! Ja ci to przepowiadam... Sprawię ci chazukę, jak sie patrzy, drobniutko wyszywaną... co? Porteczki też, a jakże! Bedziesz se parobkiem!

Hej... za stodołą kury pasał,
Na ramieniu portki nasał!...»

Zaśpiewał głośno.

Nie podoba ci sie? O cóż ty beczysz?... dziecko! Miejże rozum, nie zawodź, boś nie ino ty nieszczęśliwe... Źle ci tam w rękawie? Widzisz, nie pamiętałbyś, kiedy cię chrzcili... e cicho-że.

Perswadował mu i uciszał, dopóki się dziecko nie uciszyło zupełnie.

Szedł i szedł prosto przed siebie, zapadając w śnieg coraz głębiej. Mgła obsiadła go dokoła, w oczach poczęły mu majaczyć smreki — wieże — kościoły...

— Oho, już mie zajęło! — szepnął.

Zdawało mu się, że stoi nad urwiskiem... lada chwila usunie się miałki śnieg i... wpadnie... Wracał napowrót — i to samo. Zabrał się naprzód i ze zdziwieniem spotykał swoje ślady.

— Wkółko mie wodzi — pomyślał. — Ale poczkaj! Ja ci sie tu nie dam. Żeby na drogę trafić...

Poszedł w prawo, myśląc rozumnie, że wyjdzie na gościniec. Nawet mu się zdawało, że widzi osiedle; wyraźnie rozpoznawał białe dachy.

— Dojdę, bo niedaleko...

Począł iść ku temu osiedlu, nie patrząc już pod nogi... byle jak najprędzej dojść do chałup!

Ale chałupy cofały się przed nim i za zbliżeniem oddalały we mgle.

— Czy widmo? — klął po cichu. — Dyć ja tu przecie zawdy muszę kany wyjść... Nieporada, cobych tu ostał. Chryste Panie!

Modlił się gorąco, odmówił wszystkie pacierze, jakie umiał na pamięć i szedł uporczywie do chałup, widnych zdaleka we mgle. Potok nie potok, zaspy, debrze, urwiska — wszystko przeszedł i zmierzył... naprożno! Począł wątpić, czy dojdzie do chałup tych przed śmierzcią...

Szczęściem mgła się podniosła, i Kozera ujrzał dwie topole nad swoim okołem...

— No, chwałaż Bogu! — oddychnął ciężko i otarł pot. — Ale mnie też uwodziło, jak nigdy przedtem...

Przyśpieszył kroku, i prawie poczęło za mgłą świtać, kiedy stanął w izbie.

Hanka zerwała się na siedząco.

— Kanyż Sobuś? — wrzasnęła...

— Dyć-ech do krzty o nim zabaczył...

— Kanyż je?! Mówcie!

— Nie krzyczże! bo sie mu haw nic nie dzieje...

Podniósł prawe ramię i sięgnął.

— Chryste Panie! Dyć go nima w rękawie... o bedziesz ta! haftka sie urwała...

— Zbóju! — skoczyła Hanka.

Zachwiał się, gdy przeleciała koło niego boskiem po polu — i poszedł za nią bezmyślnie aż ku studni...

Ze zbioru p. t.: **„Z martwej roztoki“.**

Gałązki olszyn.

Gałązki olszyn, które pieści
Wiatr, hybotając je miarowo,
Więcej zaiste mają treści,
Niż najtreściwsze słowo.

Ach, jakże pusta jest i ckliwa
Ta proza poetyczna!
Prawie, że zawsze nieprawdziwa,
Najczęściej nielogiczna.

Oto oblana kwieciem grusza
W słońcu stojąca, biała —
Przynajmniej jest w niej wła-
[sna dusza,
Własna żywiczność ciała.

Czy zejdę w las między igli-
[wy,
Czy kwiatów w polu narwę —
Każde ma kształt swój osobliwy
I własną barwę.

Skarb.

Na skrzyni zasobnej siedzę,
Myślami smętnemi się biedzę,
Jak znaleźć klucz?...
Jest skarb, a klucza niema.
Radzi myśl: dłońmi obiema
Weź młot i stłucz!

Któż niewidziane wywróży...
Śni mi się wprawdzie skarb
[duży,
By złota steré —
Lecz jeśli skrzynię rozbiję...
Któż wie, czy li się w jej wnętrzu
Śmierć — — [nie kryje

Pójdziemy, serce...

Pójdziemy, serce, tem pustkowiem,
Będziemy sobie, pustce śpiewać —
Jeno nie wolno nam się żalić,
Upadać w męce, ni omdlewać.

Słabe będziemy witać zdrowiem,
Zdrowe będziemy w moc orężnić,
Weźmiemy wolę: świat rozpalić,
Rozpacz zniemiałą w bunt spotężnić.

A gdy jedynie pustka głucha
Odbijać będzie nasze pieśni —
To wszystko jedno jest dla ducha,
Który się tutaj w nas cieleśni.

Bo nie dlatego dzwon rozbrzmiewa,
By ludzi wołać do pokłonu —
Lecz że ma serce w swojem wnętrzu
I w spiżu moc zaklętą tonu.

Z Wierchów Smreczyńskich. [1])

I

Obracam oczy na południe,
I dokąd błękit sięga
Słonecznie jasno, kwietno, ludnie,
Uśmiecha się potęga.

Ocean światła... Zda się: słońce
Nie płynie już przestworzem,
Spadło w doliny te kwitnące
I legło cichem morzem.

Życie się topi w tej powodzi,
Jak niebo na dnie morza,
I zda się: ziemia inne rodzi,
Niebieskie jakieś zboża.

II.

Obracam oczy ku północy,
I aż się duch przeraża
Widmo posępnej, czarnej nocy
Podnosi się z cmentarza...

Idzie doliną, idzie górą,
Jak straszne widmo człecze
Po niebie sunie czarną chmurą,
Po ziemi mgłą się wlecze.

Przez mgły, podolne żałobnice,
Które zaległy niże,
Skrzypiące słychać szubienice
I czarne widać krzyże.

III.

Od wschodu granitowych szczytów
Olbrzymie sterczy gniazdo
I z chmur spogląda do błękitów
Błyszczącą morską gwiazdą.

Czy noc na ziemi, czy słoneczność
Zapadłe w spiż głęboko,
Wpatrzone w błękit, marzy wiecz-
Spokojne Morskie Oko. [ność

ANDRZEJ NIEMOJEWSKI. [2])

Maszynista. [3])

W wysokiej a mrocznej sali, na ogromnym bloku cementowym, spoczywa machina szybowa, niby śpiące cielsko potwora. Dwa cylindry leżą niby łapy, nad niemi rysuje się w cieniach potężne koło rozpędowe, na które, niby na kark, nawinięta lina druciana. W tej chwili kolosalna ta machina wydaje się czemś bezdusznem, potwornem, budzącem postrach. Jest to jakiś sfinks leżący na bloku ce-

[1]) Ze zbioru: *W tej smutnej ziemi*, Lwów 1903.

[2]) Ur. 1864; prozą i wierszem, w obrazkach opisowych i dramatycznych z temperamentem głosi idee demokratyczne i społeczne; schodząc do hut, fabryk i podziemi i otwierając nowe dziedziny poezji (*Listopad*, 1896); zstępując do podziemi walk politycznych (*Polonia irredenta*, 1895—6), kreśląc obrazy ze sfer obywatelskich (*Majówka*, 1895) lub artystycznych (*Listy człowieka szalonego*, 1903). [3]) Z *Listopada*, Łódź 1904.

mentowym. Sfinks ten wydaje się czemś ciężkiem, niekształtnem, wydaje się jakimś potworem chorym i niezdarnym pomysłem obłąkanej fantazji warjata. Jedna jedyna lampa, zawieszona u bocznej ściany, rzuca nieprzyjemne światło na deskę, pionowo po prawej ustawioną, poznaczoną w poprzek linjami; u jej szczytu wisi na drucie trójkącik w kształcie serca. Przed maszyną stoi na wzniesieniu maszynista. W prawej ręce trzyma ramię hamulca, a lewą ręką ujmuje kółko wentyla. Stoi nieruchomo w pomroce, zmęczony jego wzrok zawisł na owej linji świetlnej, na desce, u szczytu której wisi serce. Za ścianą grzmią sortowniki, przesypuje się węgiel, słychać zgrzyt wagoników, zmieszane głosy ludzkie, rozlega się istna orgja tonów i szmerów.

W tej chwili szarpnięto dwukrotnie dzwonek, umieszczony nad kołem rozpędowem. Maszynista odkręcił nieco wentyl, poruszył nieznacznie hamulec. Olbrzymie cielsko machiny ocknęło się, podniosły się kolejno dźwignie tłoków, syknęła para z cylindrów. Lecz potwór nie zbudził się jeszcze zupełnie. Po raz wtóry szarpnięto dzwonek. Olbrzymie koło zaczyna się powoli obracać, dźwignie wznoszą się i opadają naprzemian, niby łapy, coraz prędzej, cicho, niby łapy potwora z gatunku kotów, lekko, zgrabnie. Tak porusza się ta kolosalna machina, wpada w pęd szalony, serce po desce leci w dół z przerażającą szybkością. Serce — to szala! Droga, którą ono przebiega, to skrócona głębokość szybu! — Już, już dna szybu dobiega, za chwilę roztrzaska się tam w głębi o dno! Lecz znowu rozlega się dwukrotny odgłos dzwonka, koło rozpędowe zwalnia, dźwignie wznoszą się coraz wolniej, serce powolutku dna dosięga, staje; już i cielsko machiny nieruchome, bezwładne. Maszynista nie spuszcza oka z linji świetlistej, jedna ręka spoczywa na wentylowem kółku, druga trzyma hamulec. Za ścianą grzmią sortowniki coraz donośniej, w sali mroczno i posępno, nad wyraz posępno. Znowu rozlega się dwukrotny odgłos dzwonka, machina ożywia się, koło rozpędowe zaczyna szaleć, lina się nań nawija, dźwignie, niby olbrzymie łapy kota, wznoszą się i opadają, cicho, szybko. Serce po desce dobiega szczytu, już koniec szybu, potwór się uspokaja, układa, teraz tam z szali za ścianą wyciągają wózki, wszędzie węgiel, węgiel, węgiel!

Znowu brzmi dzwonek! Lecz cóż to? Aha, sygnał poczwórny! To górnicy szybem zjeżdżają. Machina porusza się wolniutko, ostrożnie stąpa cielsko kota, cicho, zgrabnie, serce po desce zsuwa się pomału. Jeszcze zwalnia, staje, szala z górnikami dobija do dna

szybu. Rozlega się sygnał. Dwa uderzenia! Ręka porusza hamulec, odkręca kółko wentyla, koło rozpędowe leci, zaczyna znowu szaleć...

Już północ minęła, dawno minęła. Tam za obrębem kopalni, za dziedzińcami, za warpiami, tam ciemno w domach, ludzie oddawna już śpią, może już wnet i budzić się zaczną. Czasem tam za ścianą głuchną sortowniki... nie! one grzmią ustawicznie, tylko, sen przeleciał nad głową maszynisty... Ale on się otrząsnął, już jest znowu rześki! Słyszy wyraźnie sygnały i doskonale je odróżnia. Prawie ciągle dwa uderzenia. Idzie węgiel, sam węgiel. Machina pracuje równo, sama idzie. I ręce same ją poruszają. To światło na desce nuży wzrok, kleją się powieki. Jakoś na chwilę deska owa znika... Nie znikła, zamroczyła się tylko... Jezus Marja!... Maszynista ze strachem przeciera powieki. Co się to dzieje? Tak, miał przez chwilę oczy zamknięte, widział deskę, ale widział we śnie, słyszał sygnały, ręce same poruszały hamulec i wentyl. Sortowniki za ścianą huczą niby wicher, który wzmaga się i słabnie, coraz ciszej huczy, coraz ciszej...

Cóż tam za wrzaski nagle słychać?! Maszynista drgnął. Tam jest trzask, świst, ryk... Rzuca rozpaczliwie ręce ku hamulcowi, zakręca wentyl... Och, przeklęta chwila, jedna chwila!

Wpada gromada ludzi. Jakaś potężna ręka chwyta go za ramię i potrząsa nim. Rozlega się krzyk do zdławionego ryku podobny.

— Walek, na Boga Wszechmogącego! Nie słyszałeś, jak b[illegible] cztery? Szala z ludźmi uderzyła o strop nad szybem! Potr[illegible] żebra, dwóch na miejscu zabitych!...

Maszynista słucha osłupiały, ale jeszcze nie pojmuje tego mu mówią. Chce uprzytomnić sobie kilka chwil ostatnich. Sygnał... hamulec, wentyl... serce szło w górę... coraz prędzej... bito sygnał, słyszał go... ale jaki to sygnał? Nie może sobie przypomnieć...

Nagle zakrywa twarz rękami i wybucha okropnym płaczem. Cała hala napełniona ludźmi. Wszyscy krzyczą, wymachują rękami. Wyprowadzają go na schody...

Scena nadludzkiej walki ze snem skończona. Teraz tam rozpocznie się dramat prawny.

WACŁAW BERENT. [1])

Z powieści p. t.: **„Ozimina“,** Lwów 1924. [2])

O framugę drzwi wsparty, mdły tem ustawieniem niedbałem, w stroju frakowym wysmukły i wiotki, jakby rozchwiany w nonszalancji swojej, zwracał ku ludziom swą twarz białą z uśmiechem warg nigdy niedomkniętych, podgarniał dłonią kruczą czuprynę.

W tem zbiorowisku mijał szybko oczami kobiety surowe, suche na twarzach i rękach, ubrane sztywno i bez gustu — niewiasty o charakterze żadnym w postaci, stroju i obliczu; młode reprezentantki posagów, matki skrofulicznych dzieci, osoby bez płci i wieku; przyschłe w hugonockiej cnocie bogobojne małżonki solidnych mężów.

Lecz oto inne: gładkie ciała wszelkich sfer, małżonki, nabywane po wszystkich targach: białogłowy cieliste o miękkiem wejrzeniu i pulchnych policzkach, rzekłbyś, jak to na wschodzie: ciastem karmione i zapierzałe na tej strawie. Twarze lekko obrzękłe, mleczne i przeźrocze — przedziwne tło dla oczu ciemnych, w których tli się życie monotonne w lubieżności cichej. Ręce nie z tych, co się do rozkazywania lub marzycielskiej bezczynności rodziły, raczej kuse, forsownie pielęgnowane, przebiałe; dłonie, które chyba nigdy niczego się nie dotykały i służyły na to tylko, by obładowane w pierścionki, spoczywały przed oczyma ludzi na materjach sukien. Wszystkie te kobiety, rzucało mu się i to w oczy, siedzą nieco za szeroko na krzesłach — nie domykały się kolana nóg krótkich; sprawia to może pulchność osób lub, co prawdopodobniej, ta w bierności zawsze półsenna egzystencja hodowanych stworzeń, to ich nieustanne poczuwanie się do kobiecości — fizycznej.

---

[1]) Wacław Berent, ur. 1873 r., ogłosił dotychczas powieści: *Fachowiec* (1898), realistyczne obrazy dziejów studenta, który, folgując współczesnym prądom, poświęca się rzemiosłu i w mechanicznem zajęciu wykoszlawia duszę. — *Próchno*, (1903) — krwią i łzami kreślone obrazy psychicznego rozstroju artystów współczesnych — schyłkowców; — *Oziminę* (1911) — satyryczne obrazy zmaterjalizowania, zniedołężnienia i moralnej nędzy warszawskiego społeczeństwa sfery plutokratycznej. W *Żywych kamieniach* — wizyjne zmartwychwstanie życia w miastach średniowiecznych. — Wszędzie artyzm najwyszukańszy i flaubertowska moc obrazowania.

[2]) Z balu u warszawskiego barona, ożenionego z arystokratką; przy końcu obrazek nędzy podmiejskiej. Akcja *Oziminy* rozgrywa się przed wojną rosyjsko-japońską i rewolucją 1904—1905 r.

Siedzą tedy luksusowe małżonki i dyszą perfumami, promieniują w powietrze fluidum cielesności białych — wytwarzają atmosferę cieplarni.

...W drugim końcu sali bzyka giestami wśród kobiet postać kosmata i niespokojna, o ruchach niby roztargnionych, a dopraszających się uwagi oczu kobiecych: bzyka jak bąk wśród kwiatów. Wreszcie spada na kwiat upatrzony. Oto lilja o wątpliwem panieństwie w oczach, osóbka, myjąca raz po raz kocią łapką swą czarną główkę, tak wdzięcznie, tak poduszkowo w ramionach pochyloną, że gest ten o miłych horoskopach przywabił do niej żuka. Przysiadł i zapuścił ryj w kielich, czy miodu w nim jeszcze wiele: wszczął rozmowę o sztuce i literaturze, by przemycać w niej rzeczy śliskie. Zawisł kosmaty nad kielichem, wystawia różki, maca płaty, eterycznych elejków szuka. Rzuca powiedzenia, które byłyby sprośne, gdyby nie powaga przedmiotu, gdyby nie sztuka i literatura. Trysnął tedy łatwy miód i dla niego. Żuk kosmaty zawiesza się nad kielichem, sięga w najwstydliwsze dno kwiatu i ssie wonne etery słów lubieżnych...

Tuż obok małą i pulchną mężatkę o rozbieganym języku i nie spokojnej nóżce zdobywał obcesowo dziennikarz, eksploatując specyficznie wielkomiejską, erotyczną ciek[illegible] do popularn[illegible] ludzi dnia. Pytała równocześnie o kilku; by[illegible]iszy w in[illegible] macjach, nie tracąc spokojnej nadziei, że ws[illegible]e na nim.

Oto pani o długiej twarzy i burszt[illegible]męła się w fotel, jak w sedję kamienną. Ramię o[illegible] niskiej poręczy, zwisła opieszale ręka duża... [illegible] o niską kolumnę, chylił się nad nią wielki brodacz [illegible]i okularów. Rozpowiada jędrnie, jak ktoś ożywiony tow[illegible]em kobiety, mówi z tą przekonywującą mocą powściągliwego gestu, jak to czynią starsi uduchowieni mężczyźni...

I nagle, pochylając się do niej:

— Pani, — zaczął impetycznie, jakby ze środka swych myśli — wiek jeszcze nie minął, kiedy w takich oto salonach niewiasty zwracały się do mężczyzn z pytaniem: «Ileś waćpan harmat zdobył?» Jakże inne wiodą tu dziś gawędy!

Odpowiedziały mu jej brwi, wygięte nagle jak łuki: «Co to ma znaczyć?» pytały. Wreszcie pochyliła się ku niemu bokiem przez poręcz i przeplatając powoli palce białych rąk:

— A więc, ileż waćpan tych harmat zdobył — profesorze?

Szarpnął okulary otwartą dłonią. Nie po myśli była mu w tej chwili szermierka z kobiecym języczkiem.

— Pani — wybuchnął po raz drugi — onego czasu przychodzili tu ludzie po kontakt czuciowy ze społecznością. Każdy nić własnej przędzy wplatał w tę tkaninę duchowego stylu czasów. Tu się rozpłomieniały serca i umysły przy rozumie i wdzięku kobiet. Nawet lekkomyślność tych pań wzbogacała życie. Bywały to wtedy namiętności i uczucia, które nawet kaprys kobiecych względów potrafiły ponieść w niespodziane zupełnie ujścia czynu i ducha.

Brwi pani ściągnęły się chmurnie...

— Ha, — mówiła po chwili, rozplatając ręce — żyjemy w czasach bardzo niearmatnich. A mężczyźni? Niech się pan przyjrzy ich dzisiejszym namiętnościom...

...A śpiew rozlegał się dalej.

Nawet damy surowe... spoglądały na diwę z rezerwą, lecz i z respektem, jak na monstrancję inowierczą; słuchając pieśni swawolnej, splatały ręce suche o niezliczonych ilościach pierścionków i pochylały głowy, jak przed kazaniem.

W zawrotach i skrętach piosnki rozpylały się słowa: dzwoniła nuta sama, kaprysiły dźwięki gołe, śpiewały głoski w wyskokach tanecznych.

I te lekkości, bańki mydlane, pustoty, wygłosy, jak cymbał brzęczenie, móżdżków ptasich radość i ochota, dźwięczały ludziom w uszach, [illegible] fanfara młodości.

Wśród głów znaczy wszczęło się tymczasem zamieszanie nagłe; jakiś zgiełk niewyraźny wmieszał się w dźwięki śpiewu, wzbudzał otrząsy i gniewne obzieranie ludzi.

Stojący bliżej okna poczynali sobie zdawać sprawę, że hałas ten pochodzi z ulicy i niesie się zdaleka gwarem, zrazu przycichłym, za chwilę jeszcze głośniejszym. W gesty diwy, nie wiedzącej, co ten szmer wśród słuchaczy ma znaczyć, wmieszał się przelotnie pytający ruch oburzenia. Szasnęła trenem w indygnacji, karzącej surowo publiczność.

Lecz w tejże chwili ktoś w dłonie uderzył, jakby z bicza klasnął.

— Przerwać! — huknął głos basowy.

Pułkownik [1]) stał w oknie i roztwierał je gwałtownie. Mroźne powietrze buchnęło na przerażone kobiety, niosąc gwar ulicznego zbiegowiska: męskiego chóru dostrajania się bezładne w pohukach okrzyków monotonnych:

— Wojna! Wojna!

---

[1]) Oczywiście rosyjski, jeden z uczestników balu...

W tłumie mundurowych wyrostków gubił się chór bezładny i zmącił rozbrzmiałym nagle głosem orkiestry. Wreszcie zestroił się jakoś: trąb mosiężnym łoskotem rozbrzmiał w hejnał potęgi — hymn znany [1]).

W blasku, bijącym z okien parterowych salonu, załopotała się nagle w ulicy olbrzymia trójbarwna chorągiew.

— Wstać! — huknął pułkownik instynktownym akcentem rozkazu, lecz zarazem jakby w życzliwem ratowaniu ludzi od popełnienia czegoś nieprzystojnego: «Wstać potrzeba» — dodawał łagodniej.

Mężczyźni, których to zastało na krzesłach, powstawali bardzo powoli, obzierając się naokół, jakby ustępując sobie nawzajem pierwszeństwa. Kobiety czyniły to początkowo w zdumieniu, że się i damy inkomoduje, potem zrywały się z miejsc w popłochu, jedna za drugą.

W salonie zaległa cisza blada.

. . . . . .

Ziewało na nich północne lazaroństwo i z tych domów, jakby krzywych pod to kolebanie się zgrzytliwego pojazdu, z kamienic o barwie pośredniej między granitowym tonem miast zachodu, a pstrokacizną Moskwy: fasad o kolorku brudno-wesołym, zdobnym ponadto w jaskrawo kłócące się barwy blach i szyldów dwujęzycznych. Pod te aspekty architektury, dziwnie szpetne, bez śladu jakiejkolwiek woli prócz zysku, obtłukiwał się po brukach lazaroński wehikuł, rzucając, zda się, na wszystko, kędy skierowały się oczy, swój turkot apatji monotonnej; — jak Bóg dał... jak Żyd chciał... ile każdy z tego miał!...

Omal że nie nadepnąwszy na nogi żebraka, który wyłożył na trotuar swe wyschłe na kość piszczele, niby samotrzask na osoby dobroczynne, przedostali się pod mur i skręcili rychło wdół, ku Powiślu...

Gdy zapuścili się jednak w spadziste, ku rzece wiodące zaułki, gdy wionęło na nich przeraźliwie zatęchłą wonią nędzy, gdy z murów i rynsztoków, odzieży i łbów ludzkich nieomal cuchnąć poczęło, profesor opadł w sobie i przybladł na twarzy. Patrzył z odrazą na rachityczne bachorki, zaropiałe koło gąb i nosa, na tłuste Żydówy, pełzające jak brunatne ropuchy od sklepiczka do sklepiczka, na szwargotne rojenie się Żydów, na te ich królicze napół krwawe ślepia żerujących po śmietnikach stworzeń. A bardziej przytłaczającą od wielkiego brudu i nędzy była dlań leżąca na wszystkiem barwa szarzyzny mętnej, ton już nie asfaltu nawet, lecz plwociny...

[1]) Boże cara chrani...

Z historjografji ostatniej doby.

DR. LUDWIK KUBALA. [1])

Szkice historyczne. Serja I.

Oblężenie Zbaraża. (Wyjątki).

I. OBÓZ POD ZBARAŻEM.

Regimentarze nie byli w stanie wzbudzić do siebie zaufania i utrzymać żołnierza w posłuszeństwie. Jędrzej z Dąbrowicy Firlej, kasztelan bełzki, stary żołnierz i doświadczony wódz, był chory ciągle i zaledwie trzymał się na nogach. Przytem jako kalwin nielubiony, mniej miał znaczenia, niż drugi jego kolega i regimentarz, Stanisław Lanckoroński, kasztelan kamieniecki, dobry żołnierz, ale zły dowódca. Mikołaj hr. Ostroróg, podczaszy koronny, znany z pod Piławiec, bardziej w kancelarji królewskiej, niż w obozie przydatny, nie znał się na wojskowości i zdumiewał żołnierzy, ile razy co dobrego zdziałał.

Widząc niechęć wojska i grożące niebezpieczeństwo, wysłał Firlej posłów do księcia, zapraszając go do swego obozu pod Konstantynów, i ofiarując naczelne dowództwo.

Wiśniowiecki postawił warunek, aby regimentarze cofnęli się do Zbaraża, jako na miejsce, wedle jego zdania, najdogodniejsze do powstrzymania pochodu nieprzyjaciela...

Miasto Zbaraż z trzech stron wodą oblane, usiadło niby w podkowie. Wschodu i zachodu broniły dwa stawy, od południa jakby łukiem rzeczką Gniezną połączone. Otwór zwrócony ku północnemu zachodowi, ku Załościcom, obwarowany był fosą, ostrokołem i parkanami. Ramiona tej podkowy przedłużały się od wschodu wzgórzami a od zachodu Czarnym lasem, tak, że tylko drogą do Załościć przystęp był wolny pod miasto. Od wschodu na drugim brzegu Gniezny wznosił się na wzgórzu potężny zamek Zbaraskich, pyszny gmach r. 1587 wystawiony; pomiędzy nim a wschodniem stanowiskiem leżało przedmieście Przygródek.

Na południe od miasta i zamku, począwszy od zachodniego stawu aż ku Lublankom niższym, falisty teren tworzył wyżynę, na której Krzysztofowi Przyjemskiemu, generałowi artylerji konnej,

---

[1]) L. Kubala, um. 1918 r., był profesorem gimn. we Lwowie; zajmował się przeważnie wiekiem XVII. Plastyką przedstawienia i gruntownością celują: *Szkice historyczne* (1880), *Jerzy Ossoliński* (1883), *Wojna szwedzka*.

zatoczyć kazano obóz tak wielki, iżby się wszystkie spodziewane posiłki pomieścić mogły. Wały obozu toczyły się na milę, tył przylegał do miasta i do zamku, i tylko jedna część ztyłu, wychodząca poza wschodnie stawisko, wałem obsypaną być musiała.

Dnia 2 lipca stanęli regimentarze pod Zbarażem. W obozie polskim niedobrze się działo; dowódcy w niezgodzie, żołnierze nieposłuszni. Wielu widząc zbliżające się niebezpieczeństwo, zaczęło się wymykać pod pozorem nieodebrania żołdu, tak, że w chorągwiach ledwie połowa pozostała. Komputowi [1]), mimo surowych uniwersałów, nie nadeszli, wszystkiego wojska zdolnego do boju zostało 6.000.

Tak żołnierze, jak dowódcy, oczekiwali z niecierpliwością przybycia Wiśniowieckiego, po którego wysłano kasztelana kamienieckiego...

Wjechał nareszcie 9 lipca z 3.000 żołnierzy swoich do obozu wśród nieskończonej radości, na ramionach całego wojska niesiony. Przyjmowali go regimentarze, Lanckoroński oddawał buławę, żołnierze w uniesieniu dwa kwartały zadarmo służyć obiecywali.

«Nie ja W. M. dawałem buławę — powiedział książę — i odbierać jej też nie będę». Pomimo tego jednak z dniem, w którym wjechał do obozu, wszyscy od regimentarzy aż do prostego żołnierza, w nim najwyższego wodza widzieli i biada temu, ktoby się śmiał sprzeciwić.

Cały obóz z czeladzią rachowano na 15.000 ludzi. Wojska było 9.000, ale tylko 2.000 piechoty, reszta jazda. «Dlatego chorągwie pancerne husarskie i kozackie zarówno z piechotą straże sprawiać musiały, i były zawsze w pogotowiu na podjazdy i posłuchy, a w ciemne noce ochotnie wycieczki czyniły». Wiśniowiecki objeżdżał codziennie obóz, obiecywał aż do gardła swego nie odstępować żołnierzy, byle tylko w zgodzie a posłuszni byli, gdyż pod Piławcami za niezgodą i nieposłuszeństwem wielkiej niesławy nabyli.

Nieprzyjaciel zbliżał się powoli z niezliczonemi tłumami czerni i ord tatarskich. Zewsząd garnęło się chłopstwo do niego, kosami, cepami i widłami uzbrojone.

W trzech województwach, z tej i po tamtej stronie Dniepru, zostały niemal same stare kaleki, kobiety i dzieci. Liczono 300.000 czerni razem z wojskiem kozackiem; pułkowników 23, w pułku zaś 5.000 do 20.000 ludzi...

---

[1]) Wojsko komputowe (z łać. *computus* — liczba, rachunek) znaczyło w przeciwstawieniu do pospolitego ruszenia — wojsko stałe, zrejestrowane i utrzymywane ze skarbu Rzpospolitej.

Szedł razem z kozakami han tatarski w 100.000 ordy krymskiej, nohajskiej, białogrodzkiej, budziackiej, dobruckiej, szli Petyhorcy — Czerkasowie, karejowscy kozacy, 6.000 Turków rumelskich baszy sylistryjskiego i gromady Karałaszów, wysłanych od hospodarów Multan i Wołoszczyzny. Szło 300.000 koni tatarskich, ogromny tabor kozacki i 70 armat — liczba znaczna naówczas, kiedy kurfürst brandemburski (1656) tylko 40 sztuk posiadał.

Przed następującym nieprzyjacielem schroniło się okoliczne chłopstwo (w liczbie 6.000) wraz z dobytkiem swoim do Zbaraża, zwierz spłoszony gromadził się w pobliskich lasach. Zgliszcza spalonych miast, które się poddać nie chciały i ciała wyrżniętych mieszkańców znaczyły drogę zbliżającej się ordy tatarskiej.

Zewsząd nowiny straszne przeciągały przez obóz zbaraski, jak wicher nadchodzącej burzy przez mały lasek dębowy, i przejmowały niepokojem garstkę Polaków. Stary Firlej listem 6 lipca pożegnał króla w imieniu wojska i w imieniu swoich kolegów, oświadczając, że czekają śmierci w okopach pod Zbarażem i że nie pozwolą nieprzyjacielowi dalej iść, chyba po głowach swoich.

Wielu żołnierzy, którzy pierwszy raz do boju stawali, nie mieli wyobrażenia o grożącem niebezpieczeństwie; drudzy, jak Koniecpolski, Marek Sobieski i inne młode lwy, wychowane w tradycjach Kircholmu i Chocimia, czekały nań z upragnieniem. Stary żołnierz czekał rozkazów — a jednak wszyscy mieli nadzieję prędkiej odsieczy ze strony króla, a nawet nadesłania posiłków do obozu. Sami regimentarze, chociaż wiedzieli, że na posiłki już zapóźno, choć się już byli zdeklarowali bronić z tem, co było pod ręką, wołali o pomoc przez zbawienie ojczyzny nawet wtedy jeszcze, kiedy już tłumami nieprzyjaciół otoczeni, szalonym nazwać takiego byli mogli, ktoby się do Zbaraża w kilka tysięcy ludzi zbliżyć odważył. Ale nadzieja jest większa, jak świat, a gdzie chodzi o życie, chętnie się wierzy w niepodobieństwa.

Wieczorem tegoż dnia, w którym Wiśniowiecki wjechał do obozu, wrócił podjazd złożony z 15 chorągwi z doniesieniem, że pod Czołhańskim Kamieniem, pięć mil od obozu, spotkał się z nieprzyjacielem i prowadzi go za sobą.

Rzucili się wszyscy bez wyjątku do rydlów i do motyk tak, że wkrótce okopy i kwatery każdemu do obrony zlecone stanęły. Podzielono cały obszar na pięć części, a całe wojsko na pięć dywizyj pod dowództwem Firleja, Lanckorońskiego, Ostroroga, Wiśniowieckiego i Koniecpolskiego. Każden z nich miał jedną część obozu do obrony oddaną.

O świcie wyborowy komunik tatarsko-kozacki w liczbie 30.000 ludzi, zaszedłszy ztyłu od Wiśniowca, zagarnął 150 pachołków i 28 towarzyszy, wysłanych w nocy po siano i na czaty. Wszystkich w pień wycięto, poczem komunik zbliżył się do obozu. Był to rekonesans nieprzyjaciela, który miał rozpatrzyć położenie, i zwyczajem tatarskim spróbować szczęścia.

Wojsko polskie wyszło za okopy i stanęło w szyku bojowym. Właśnie w tym czasie zbliżał się do starego Zbaraża (ćwierć mili od miasta i obozu) mały taborek wozów ks. Wiśniowieckiego, mieszczący w sobie 200 piechoty i dwie lekkie chorągwie. Pospieszał, aby się co prędzej schronić do głównego obozu — kiedy go cały nawał tatarski ogarnął. Wysłano mu na ratunek chorągwie Koniecpolskiego i Wiśniowieckiego, które świeżemi tłumami ordy oskoczone, wydobyć się z matni nie mogły. Dopiero atak trzech husarskich chorągwi ulżył osaczonym i taborek księcia wśród huku armat szczęśliwie w okopy zemknął.

Rozpierzchły komunik rozrzucił mnóstwo harcownika i zdaleka opasywał obóz, podczas gdy coraz nowe tłumy ordy nadchodziły.

Z zachodem słońca ujrzano w kilku miejscach na horyzoncie czarne chmury, które w kierunku Zbaraża sunęły. Wieczorny zmrok przypadł na nie i nie dozwolił ujrzeć, jak się nieprzyjaciel obozem rozkładał.

Noc była ciepła i spokojna. Z miasta, na wieże i dachy, na mury zamku i wały obozu, cisnęli się ludzie z niewysłowionem uczuciem ciekawości i niepokoju.

Po wszystkich stronach, jak daleko okiem zasięgnąć, paliło się ogni tysiące i tysiące, które malejąc i niknąc, gubiły się w oddali. Zdawało się, że gwiazdy gromadami z nieba spadły i na ziemi płonęły. Głuchy szmer kilkuset tysięcy głosów dochodził z oddali.

W tym samym czasie na zamku zbaraskim Wiśniowiecki wyprawiał ucztę. Wszystkie okna zajaśniały od świateł, zagrzmiały moździerze, trąby i kotły na wiwaty, a cały obóz i miasto wychwalały rezolucję wodza, który nietylko sam serca nie tracił, ale i wojsku swemu otuchy dodać potrafił.

W rzęsiście oświeconej sali marszałek księcia, stojąc przy drzwiach, czytał z regestru osoby, które po starszeństwie zasiadały złotem tkane taborety. Przy odgłosie muzyki i brzęku srebrnych talerzy, dobyli biesiadnicy sztućców z za pasa, łyżki srebrne, rogowe i drewniane migały w powietrzu.

Po pierwszym i ostatnim toaście na cześć króla i spieszną a szczęśliwą odsiecz, wstał książę i ze swobodną twarzą, na któ-

rejby nikt troski nie dojrzał, odczytał, dawnym obyczajem hetmanów polskich, punkta, któremi oficerowie nazajutrz żołnierzy swoich zagrzać byli obowiązani...

II. SZTURM I OBLĘŻENIE.

Kozacy i orda rozłożyli się obozem w półkole. Hetman kozacki nie robił żadnych przygotowań do oblężenia; czekał nadejścia taboru, spodziewając się jednym szturmem rozrzucić zamek, obóz i miasto na wszystkie strony świata, a Polaków samym widokiem potęgi swojej porazić. I rzeczywiście, gdy z brzaskiem następnego dnia ujrzano z wałów takie mrowisko ludu i koni, że cała okolica zdawała się poruszać; kiedy po południu przy odgłosie 39 armat Kozacy i wszystkie okiem nieprzejrzane ordy z przeraźliwym wrzaskiem do szturmu przystąpiły: strach wielki i niebywały na oblężonych nastąpił i dopiero procesje, z Najświętszym Sakramentem około wałów chodząc, przestraszonych otrzeźwiły. W milczeniu, z bijącem sercem, z wytężoną uwagą czekali na nieprzyjaciela, który hucząc i wyjąc, jak fale wzburzonego morza, uderzał tu i ówdzie w wały fałszywemi atakami, chcąc zrekognoskować teren, obejrzeć szańce i okopy, i wymiarkować siłę odporną oblężonych. Chmielnicki w towarzystwie murzów tatarskich objeżdżał obóz, wesoły był i obiecywał Tatarom, że jutro wieczorem w zamku nocować będą.

W poniedziałek nadciągnął tabor kozacki i rozłożył się ćwierć mili od obozu polskiego od Werniaków, za Legowiskiem, aż ku Dębinie, całą milę wzdłuż. W nocy usypano trzy szańce i zatoczono w nie 40 armat, z których zaraz o świcie strzelać zaczęto.

We wtorek 13 lipca wieczorem przypuszczono szturm generalny, jeden z najgwałtowniejszych. Kozacy ruszyli z okropnym wrzaskiem z czterech stron na okopy. Sam Chmielnicki na czele jednego pułku prowadził swoich żołnierzy, którzy nie znając jeszcze niebezpieczeństwa podobnego ataku, ani waleczności polskiej, lecieli naprzód na stracenie. Cisnął się pułk za pułkiem, orda, jak chmura wilków, biegała dokoła wałów.[2]

Na prawem skrzydle obozu, gdzie były kwatery Wiśniowieckiego, odparto kilka szturmów tak szczęśliwie, że Kozacy z niczem wrócić musieli, natomiast szturm, skierowany na lewe skrzydło przeciw kwaterom Firleja, trudniej było odeprzeć.

Tutaj nieprzyjaciel pędził przed sobą mnóstwo jeńców bez różnicy płci z worami piasku; w mgnieniu oka zasypał fosę, jednym

atakiem dostał się na wały i zatknął swoje chorągwie. Szczęściem, że już wtedy z prawej strony obozu Kozacy byli ustąpili, a Wiśniowiecki mógł przysłać pomoc, która nadbiegła jeszcze na czas i nadludzkim wysiłkiem udało się wyprzeć z wałów Kozactwo. Wypadł za okopy Marek Sobieski z kilku chorągwiami jazdy i zajeżdżał z boku nieprzyjaciela. «Co jazda zajechała, wszyscy w staw topili się, że mało wody znać było, a co nie potonęło, pchało się znowu zaciekle na nasz okop i lgnęli tam jak muchy w mazi».

Wreszcie Chmielnicki kazał zatrąbić na odwrót. Chorągwie polskie rzuciły się za uciekającymi, a siekąc po drodze i goniąc aż do okopów kozackich, szaniec jeden wzięły i kilka chorągwi zdobyły.

W tym czasie szturm od strony stawu wschodniego groził oblężonym wielkiem niebezpieczeństwem. Stały tam niedokończone jeszcze okopy, a obrońców prawie porachować było można. Uderzył na nich pułkownik Burłaj na czele zadnieprzańskich Kozaków, obszedłszy znienacka prawe skrzydło obozu. Piechota węgierska, której obronę tego miejsca zlecono, uciekać zaczęła i nieprzyjaciel byłby stąd opanował całą kwaterę Firleja, gdyby nie nadbiegł Przyjemski. Dobytym orężem przebił chorążego węgierskiego, porwał za sztandar, wstrzymał uciekających i rzucił się z nimi na Burłaja. Nadbiegło wkrótce kilka rot piechoty cudzoziemskiej i wszystkich Kozaków, którzy już do środka byli wtargnęli, do nogi wycięto.

Burłaj cofał się w porządku i w wielkich był opałach, bo musiał obchodzić całe skrzydło obozu, aby się złączyć ze swoimi, którzy po skończonym szturmie do taboru wracali. Lada chwila groziło mu odcięcie. Chmielnicki wysłał Mrozowickiego z jazdą kozacką, aby go stamtąd ratował. Ledwie się połączyli, zastąpiła im drogę dywizja Koniecpolskiego i odcięła obu od taboru.

Nad małą rzeczką, koło Lublanki, bronili się zaciekle. Mnóstwo ich wysieczono, resztę Tatarzy obronili. Zginął Burłaj, stary żołnierz, pułkownik kozacki, sławiony z wypraw swoich na Czarnem morzu. Pod jego dowództwem Kozacy Synopę, emporjum handlu azjatyckiego, dobyli i wiele przeważnych czynów za jego powodem dokonali. Godniejszy lepszego losu, gdyby nie był z ojczyzną wojował.

Był to gorący dzień, ale skończył się niemałą klęską Kozaków. Leżał trup na trupie w niektórych miejscach na chłopa wysoko. W stawie zostało mnóstwo ciał ludzkich, że później dla tych trupów i robactwa niepodobna było brać wody i głęboko studnie kopać musiano...

Dzień ten przekonał wodzów, że w tak obszernym obozie bronić się dłużej niepodobna. Kopano zatem całą noc i z brzaskiem dnia ścieśniono obóz niemal o trzecią część tym sposobem, że część wałów niedokończonych na lewem skrzydle, na które nieprzyjaciel najbardziej nacierał, opuszczano, a nowy okop, bliżej linji wschodniego jeziora, usypano...

Chmielnicki widząc, że się szturm nie udał, pomimo, iż krwi kozackiej nie żałował, postanowił rozpocząć oblężenie...

III. ODSIECZ.

...Pod Toporowem zjawił się w namiotach królewskich żebrak, bardziej do cienia, niż do człowieka podobny i oddał listy od regimentarzy z pod Zbaraża. Był to dzielny towarzysz pancerny, Jan Skrzetuski, wysłany od Firleja do króla. Przeprawił się w nocy przez wielki staw, całą noc w trzcinie leżał, w dzień w chróstach się czołgał, manowcami się przemykał i w błocie się topiąc, nieprzyjacielskie omylił straże i przyniósł listy, a co król w piśmie wyczytał, to wszyscy z jego oblicza wyrozumieli. Pisał Firlej, że już w mieście i zamku się bronią, mięso końskie jedzą, połowa koni wyzdychała, prochu na sześć dni tylko zostaje, a wielu żołnierzy od samego niespania umiera, że proszą o ratunek, bo dłużej nad 6 dni nie wytrzymają.

Król posłańca udarował i pierwszy wakans obiecał. Kanclerz dał pieniądze, konia, czapkę i szaty ze siebie; a towarzysz zapytany, czy zechce zanieść nazad królewskie listy do Zbaraża, podjął się tego, ale co się z nim potem stało, nie wiadomo...

Z dzieła p. t. *Wojna szwedzka w roku 1655 i 1656.*

O Stefanie Czarnieckim.

...28 sierpnia stanęła królowa w Krakowie z dworem swoim i ze skarbami królewskiemi, które zaraz do Śląska wyprawiła.

Widmo zbliżającego się niebezpieczeństwa stanęło z całą swą grozą pod miastem. Bogaci kupcy i bankierzy katoliccy i żydowscy uciekali, mieszczanie nie chcieli podatków płacić, ani pożyczać pieniędzy. Królowa oddała swoje klejnoty, biskup Gembicki zaciągnął swoim kosztem 800 piechoty i wydał list pasterski, aby klasztory i kościoły wszystko srebro i złoto do mennicy składały. Duchowni z ambon i konfesjonałów do wierności królowi nakłaniali.

19 września przyjechał król i stanął w domu Montelupich na Kleparzu. Wyprawił królowę, uspokoił skonfederowane wojsko i uszedł do Śląska.

Obronę Krakowa złożył w ręce Stefana Czarnieckiego, kasztelana kijowskiego. Zostawił mu 3.600 ludzi i upoważnił do kapitulacji, jeżeli dwóch do trzech niedziel odsiecz nie nadejdzie, bo miasto oblężenia wytrzymać nie mogło.

Kasztelan kijowski «wielkie miał imię w Polsce i w Krymie». Służbę wojenną rozpoczął pod hetmanem Koniecpolskim na wojnie z Gustawem Adolfem [1]) i snać okazał wiele przezorności, skoro mu hetman na zwiady trzy chorągwie powierzył. Walczył w Prusiech z takiem męstwem, że się starzy żołnierze dziwili: czy *infamis* dla odkupienia swoich zbrodni taką odwagę czyni?

Zwolna zdobywał sobie uznanie i nagrody.

W wyprawie Beresteckiej i Ochmatowskiej [2]) zwrócił na siebie uwagę powszechną króla, szlachty i całego wojska, jako wódz szczęśliwy i żołnierz nieustraszony.

Ale dopiero w czasie wojny szwedzkiej, gdy zgnębił wielkiego zdobywcę [3]), zajaśniał wiekopomną sławą — legendowy bohater narodu.

Jak ów olbrzym św. Florjan na obrazach w kościołach naszych, któremu płonące domy po kolana sięgają, patron i protektor królestwa polskiego, dzierżący w ręku chorągiew Polski: tak i on, Czarniecki, w którego domu cześć dla tego świętego nie ustawała, podniósł ten święty sztandar, jako symbol majestatu Korony i jedności Rzeczypospolitej.

Stalowy człowiek, wierny królowi swemu, z natury do wojny stworzony, ogniem tchnął zamiast duszy. W radzie i zamysłach skryty, trzymał się niewzruszenie tego, co raz uznał za dobre i potrzebne i tą drogą szedł bez wahania. To było źródło jego szybkiej decyzji, którą bez zwłoki w czyn zamieniał. Mógł był o sobie powiedzieć: *volo, ergo sum* [4]).

---

[1]) Gustaw Adolf, syn pobitego w r. 1605 przez Chodkiewicza pod Kirchholmem Karola IX, późniejszy bohater wojny 30-letniej, pobity pod Trzcianą przez hetmana Stanisława Koniecpolskiego.

[2]) W sławnej bitwie pod Beresteczkiem w r. 1651 wojska polskie pod wodzą Potockiego, Kalinowskiego i ks. Jeremiego Wiśniowieckiego pobiły kozaków Chmielnickiego i Tatarów. Pod Ochmatowem na Ukrainie hetman Stanisław «Rewera» Potocki zadał klęskę Moskalom.

[3]) Karola Gustawa.

[4]) Chcę, więc jestem

Mało mówił; parady, samochwalstwa i długich oracyj nie znosił, przykładem świecił, odwagi drugim udzielał. Sam niestrudzony, wojsko nie tyle surowością, ile nieustanną pracą w karności utrzymywał, mówiąc: *Facilius militem continuo actu lassatum, quam otio calcitrantem tractari* [1]).

Żołnierze w szczęście jego wierzyli, kochali go i czcili, bo ich do sławy i zwycięstwa prowadził. «Starym go dziadziem» zwali dla jego doświadczenia — «trzepaczką», że niespodzianie na wszystkie strony uderzał — «lisem ostrożnym, Lisowskiego zabytku żołnierzem».

Miał lat 56, kiedy mu król obronę Krakowa powierzył.

Pod wielką czaszką, po staropolsku wygoloną, dłużyła się chuda twarz z krogulczym nosem i z głęboką brózdą od strzału, który mu wyrwał podniebienie, gdzie mu blaszkę wstawiono, aby mógł mówić zrozumiale. Na czole pooranem dwie zmarszczki gniewu, na obliczu wyraz frasobliwy i zawzięty. Długa broda jakby zdwojona spływała mu na piersi — ruchy prędkie, choć jeszcze utykał od rany, otrzymanej pod Buszą [2]).

Współcześni więcej jego czynami, niż jego osobą, się zajmowali, ale żołnierz jego, Jan Chryzostom Pasek, który blisko sześć lat pod jego komendą walczył, zostawił nam obrazek jego życia w obozie. Widzimy go, jak walczy, jak z wesołą twarzą i z żakasanemi po łokcie rękami prowadzi swoich do boju, jak ich po bratersku zachęca i dodaje odwagi, jak z nimi żartuje i śmieje się srodze, gdy co wesołego usłyszy, jak karze i brodą kręci w alternacji, jak uszy czapką zatyka, gdy go tłum zbawicielem okrzykuje...

«Zażywałem z nim okrutnej biedy, czasem też rozkoszy, gdyż właśnie to był wódz maniery owych wielkich wojowników i szczęśliwy, i wszystka moja służba miła bardzo była. Bodaj się tacy wodzowie rodzili. Szczęśliwa matka, która rodzi takich synów».

---

[1]) Łatwiej rządzić wojskiem, zmęczonem ciągłą pracą, niż znarowionem bezczynnością.

[2]) Busza — wieś w pow. jampolskim, słynna z zaciętych, krwawych walk Czarnieckiego z kozaczyzną w r. 1654.

WŁADYSŁAW ŁOZIŃSKI. [1])

O hetmanie Stanisławie Żółkiewskim.

Aby nie przekroczyć sprawiedliwej miary w potępianiu wybryków szlacheckiej anarchji w Polsce, trzebaby szlachtę naszą porównać nie ze szlachtą współczesną innych krajów europejskich, ale z małemi udzielnemi książątkami włoskiemi i niemieckiemi, bo niedarmo nazywano królewiętami polskich możnowładców. Możny szlachcic polski, a cóż dopiero magnat, był prawie udzielnym władcą, a miarą tej udzielności swojej zbliżał się bardzo do małych suwerenów europejskich. Posiadał wielkie obszary ziemi, miał w nich miasta i warowne zamki, utrzymywał własne wojsko, wybierał cła i myta, z poddanych swoich ściągał czynsze i daniny, miał prawo życia i śmierci nad chłopem, urządzał na własną rękę wyprawy wojenne na sąsiednie kraje — dość tu przypomnieć wołoskie kampanje Mohiłowych zięciów — znosił się z zagranicznemi dworami, prowadził formalne wojny z równie możnym sąsiadem, wypowiadał je nawet własnemu królowi. Takie porównanie będzie szczęśliwe, a gdy zważymy, co się działo współcześnie w dzierżawach i na dworach małych tyranów włoskich i niemieckich, przyznać będziemy musieli, że porównanie wypadnie korzystnie dla możnowładców polskich.

Ale nie można pisać o ziemi lwowskiej, aby na samym wstępie nie złożyć hołdu cieniom hetmana Żółkiewskiego, nie uchylić kornie czoła przed jego nieśmiertelną pamięcią. Wiekuista duma narodu, rycerz bez skazy i trwogi, istny nasz Bayard [2]) polski, wielkie światło na naszem niebie, jak godzien być historycznym patronem chwały i cnoty polskiej, tak też był patronem i dobrym genjuszem ziemi lwowskiej. Piękne słowa Orzechowskiego o hetmanie Tarnowskim i o nim są powiedziane: i o nim w równej i pełnej mierze mówić nam trzeba, jako «O jednym darze bożym wielkim, którym darem Pan Bóg uczcił, uraczył i uwielbił naród nas wszystek polski». Tym jednym mężem już Polska bogata — bogatą

---

[1]) Wł. Łoziński ogłosił znakomite dzieła: *Prawem i lewem* (1904), *Patrycjat i mieszczaństwo lwowskie w XVI i XVII w.* oraz *Życie polskie w dawnych czasach* (1907). Podaje się wyjątek z t. II, rozdz. I *Prawem i lewem.*

[2]) Pierre Bayard, zwany rycerzem bez trwogi i skazy *(Chevalier sans peur et sans reproche)*, żył od 1476—1524, zyskując legendarną sławę w wojnach Karola VIII. i jego następców.

była nim też i ziemia lwowska, w której zamieszkał, którą ozdobił monumentalnym grodem, którą samym przykładem swoim, samą powagą i czynną siłą cnoty, jakby zdrową i czystą atmosferą, strzegł w najgorszych czasach od moralnej zarazy, od swawoli, od rozpasania się egoizmu, od tych opłakanych wojen prywatnych, których widownią było województwo ruskie, a osobliwie ziemia przemyska.

Było to zawsze cechą Polski, że więcej w niej ważył człowiek, niż instytucja, więcej znaczyła moc osobistości, niż moc społecznych urządzeń. Wypływało to zapewne z bujności indywidualizmu w naturach polskich, które niełatwo dawały się uskromić rozkazem prawa, ale łatwo ulegały żywej, bezpośredniej sugestji, czy też przewadze silniejszej, energiczniejszej, wyższej duszy. I nie omylimy się też pewnie, jeżeli fakt, że ziemia lwowska w pierwszych dziesiątkach lat XVII w. była najspokojniejsza ze wszystkich ziem województwa ruskiego, wytłumaczywszy zbawiennym wpływem kilku przezacnych rodów polskich, które w niej osiadły: Żółkiewskich, Sieniawskich, Daniłowiczów...

Ale przed wszystkimi i nad wszystkimi Stanisław Żółkiewski. Gdyby innych wcale nie było, on sam jeden wystarcza, aby odkupić grzech i sromotę czasów. Jest on dla nas czemś więcej jeszcze, niż wielkim mężem, jest w i e l k i m P o l a k i e m, bo jest syntezą i krystalizacją wszystkiego, co było świetnego, dobrego i wzniosłego w naturze specjalnie polskiej. Wojownik, dziejopis, statysta, orator, uczony, gospodarz, na wszystkich polach swojej działalności znakomity, na niektórych niezrównany, zawarł w swoim charakterze i w swoich zdolnościach całe bogactwo polskiej duszy, całą bujność polskiego genjuszu. Czem był dla Polski, mówić nie potrzeba, a gdyby nawet potrzeba, nie byłoby to na miejscu w tej pracy... czem był jednak dla województwa ruskiego, a specjalnie dla ziemi lwowskiej, tego nie dotknąć krótkiemi choćby słowy, byłoby krzywdą, wyrządzoną czasom, odjęciem wszelkiego światła z ich posępnego wyrazu.

Na samym prawie wstępie pory, którą objęło nasze opowiadanie, wyrasta nagle, powiedzielibyśmy dziś, że z amerykańską prawdziwie szybkością, cały gród murowany, obronny, jak na owe czasy i na ruską ziemię, monumentalnie wspaniały, wyrasta na miejscu winnickiego sioła Żółkiew ze swoim potężnym zamkiem, z niepospolitym architektonicznie kościołem, z murami i bramami, których szczątki do niedawna jeszcze nadawały miastu jakoby coś z malutkiego Krakowa, a i po dziś dzień budzą tyle wielkich wspomnień cnoty, ofiarności, heroizmu, że chciałoby się całować tę ziemię,

którą deptały stopy całego pokolenia bohaterów. Żółkiew staje się dla ziemi lwowskiej ogniskiem kultury, przybytkiem cnót patrjotycznych, przykładem i światłem. Jej mury są tarczą dla tysięcy ludu przeciw zagonom ordyńców, ale jej pan, dziedzic i twórca, jest mieczem całej Polski.

Z tego dumnego zamku, z tego kwitnącego miasta, które samo jedno świadczy o twórczej energji, o wielkości i sile charakteru, najmniej pociechy ma ten, którego wolą i pracą jakby wyrosło z pod ziemi. Żółkiewski jest gościem tylko w swojej ulubionej Żółkwi, gościem tylko u domowego ogniska, gościem u swojej Reginy, «małżonki sercem ukochanej i wieczyście miłej». On, co 44 razy wyruszał na pole walki, bo sam powiada o sobie, że «czterdzieści cztery obozy złożył», nie mógł nawet marzyć o cichem szczęściu domowego życia, o ziemiańskich sprawach, które tak cenił i na których się znał doskonale, o swoich studjach uczonych i klasycznych, które tak ukochał. Horacjusz, którego umiał na pamięć, był mu towarzyszem w obozie, a nie wśród wczasów żółkiewskich. Ale choć zawsze prawie nieobecny swoją osobą, obecny był zawsze jakby duchem, jakby niewidzialnym a przecież zawsze skutecznym wzorem, jakby magiczną siłą wielkiego imienia i wielkiego przykładu, jakby jasnym refleksem, który z dalekiej wojny, z odległych kresów ojczyzny, z nad Bałtyku, z Moskwy, z Wołoszy biegł powrotną falą do Żółkwi.

Wróg swawoli, wierny aż do abnegacji sługa obowiązku, lojalny stronnik tronu bez egoizmu i służalczości, magnat bez prepotencji, prawdziwy apostoł karności i posłuszeństwa prawom ojczystym, — Żółkiewski jest antytezą wszystkich tych krnąbrnych, hardych, samolubnych charakterów, w które tak obfitowała pora naszego opowiadania. Samą siłą etyczną wywiera on wpływ zbawienny na swoje otoczenie, na całe województwo ruskie, a w szczególności na ziemię lwowską; rzecby można, że oczyma złe rozgania. Ludzie bez wszelkiego respektu dla prawa, z respektu dla niego poskramiają swoją zuchwałość, poddają się jego medjacji, szanują jego polubowne wyroki. Uciskani przemocą biegną do Żółkwi po ratunek, zagrożeni prywatną wojną wzywają tam protekcji i rozjemstwa, spory rodzinne, bliskie już tragicznego przesilenia, tam znajdują zażegnanie. Hetman jest protektorem miasta Lwowa, dobrodziejem jego instytucyj, hojnym szafarzem ksiąg uczonych dla młodzieży i bibljotek klasztornych, obrońcą przed swawolą żołnierza lub szlacheckiego oczajduszy. On jeden umie poskromić swawolę żołnierską; gdzie już mandaty królewskie są bezsilne, jego

ordynansy znajdują jeszcze posłuszeństwo. Moc to człowieka, któremu każdy wierzy, o którym każdy wie, że tak mówi, jak myśli, tak robi, jak mówi.

Wszyscy się w tym czasie pieniali i zajeżdżali: w aktach procesowych poniewierają się najdostojniejsze i najszanowniejsze skądinąd nazwiska polskie — nazwiska Żółkiewskiego w aktach procesowych nie znajdziesz, świeci ono wiekuistym blaskiem tylko na kartach dziejowych, na najpiękniejszych i najbardziej triumfalnych. Buntownicza dewiza «Prawem i lewem» budziła w nim wstręt i oburzenie — każdy wybryk pychy i awanturniczej ambicji potępiał surowo; wiemy, z jaką indygnacją patrzył na wyprawy Mniszchowskie z Samozwańcem, jak go gniewały lekkomyślne ekspedycje «panów zięciów Mohiłowych» po hospodarstwo wołoskie, jak bolał nad wojnami prywatnemi bratanka swojej żony, Jana Szczęsnego Herburta, którego synowi swemu wskazywał jako odstraszający przykład, do czego prowadzą anarchiczne zachcianki. Na tle swego czasu i swojego środowiska mąż cnoty prawdziwie legendarnej nie dziw, że zostawił po sobie pamięć, opromienioną nimbem poetycznych legend. Zaraz po tragicznej a tak bohaterskiej jego śmierci pod Cecorą, opłakiwanej szczeremi łzami we Lwowie, urosły te podania, jak polne kwiaty na świeżej mogile. Opowiadano, że jak do św. Franciszka, tak i do niego garnęli się niebiescy ptaszkowie, że odbieżonego w dzieciństwie przez piastunkę na łące osłaniał przed skwarem słonecznym potężnemi skrzydły ptak jakiś nieznany, tajemniczy; że wśród zgiełku zwycięskiej bitwy pod Kłuszynem ptaszek białopióry usiadł przy nim na koniu, że słowiki wlatywały do jego komnaty w zamku żółkiewskim i cieszyły mu serce swym słodkim, jemu osobno poświęconym śpiewem.

Z krytyki ostatniej doby.

BOLESŁAW CHLEBOWSKI. [1])

O Józefie Ignacym Kraszewskim. [2])

Budziciel życia duchowego i pracy społecznej w ciężkich warunkach bytu dziejowego, wywołanych klęskami r. 1831 i 1863; poeta-powieściopisarz, twórca kilku tysięcy postaci z życia współ-

[1]) Patrz w uwadze do wstępu o *Warunkach rozwoju literatury... w latach 1864—1890.*

[2]) Wyjątki z życiorysu, pomieszczonego w 8 tomie *Wieku XIX.*

czesnego i przeszłości, uświadamiających ogółowi stan moralny i kulturalny różnych sfer społecznych i pokoleń; publicysta, historyk, krytyk, redaktor, wydawca, wielki zarówno ogromem półwiekowej pracy, jak i sumą dobrej woli i zapału, włożoną w rosnącą z latami różnokierunkową działalność społeczno-literacką: Kraszewski zajmuje donieślejsze o wiele stanowisko w dziejach naszego życia wewnętrznego, naszej pracy kulturalnej, niż w historji literatury, — jest większym, zasłużeńszym jako niezmordowany pracownik, zastępujący społeczeństwu brakujące mu instytucje oświatowe, niż jako uzdolniony pisarz, poświęcający świadomie swój artyzm potrzebom i celom społecznym jedynie.

Dla zrozumienia dość jaskrawych wahań się Kraszewskiego w pojęciach i kierunkach działalności, uwydatniających się szczególnie z chwilą zajęcia stanowiska budziciela i kierownika życia duchowego i bliższego zetknięcia się z kołami, mającemi pretensję do przewodnictwa społecznego, trzeba zwrócić uwagę na właściwości jego organizacji duchowej. Nieskończona rozmaitość dusz ludzkich i złożoność, cechująca zwykle dusze bogatsze, utrudniają nam zrozumienie i sprawiedliwą ocenę czynów i przekonań naszych bliźnich, zwłaszcza gdy przykładamy do nich idealną, jednostajną skalę wymagań moralnych. Niezmienność przekonań, zgodność czynów z zasadami głoszonemi, oto są główne wymagania, k wszystkim stawiamy, niepomni, czy też nieświadomi naszych w snych wielkich odchyleń od tych idealnych norm. Cechą d Kraszewskiego była wrażliwość wzrokowa, słuchowa i uczuciowość rozlewna, niezdolna do koncentracji i wybuchów, nie wyłączająca ironji i złośliwości, zwracająca się z łatwością ku najrozmaitsz przedmiotom, osobom, kierunkom. Umysłowość zaś, zależna zmiennej uczuciowości, wyraziła się głównie w ciekawości ws stronnej, w pochłanianiu przez szybką, różnokierunkową lekturę olbrzymich zasobów faktów i wiadomości, zachowywanych w pamięci przy słabej zdolności do oderwanego myślenia, ścisłości, jasności systematyczności w pojęciach, rozumowaniach i konstrukcjach syntentycznych. Przekonania jego religijne, społeczne, estetyczne, czy filozoficzne nie dają się nigdy sformułować, gdyż on sam o to nigdy się nie stara, a ile razy usiłuje tego dokonać, okazuje swą nieudolność. Jak olbrzymia większość ludzi, tak i niewyróżniający się pod tym względem od tłumu Kraszewski, odczuwa, wierzy, działa i tworzy, nie troszcząc się o dogmaty, teorje, systemy — religijne, społeczne, filozoficzne, estetyczne, nie będąc zdolnym zdać sobie sprawy z podstaw swych wierzeń, uczuć, czynów, idąc zwykle za swemi

uczuciowemi impulsami, wskazaniami. Stąd łatwo tak dostraja się do swego otoczenia, przejmuje pojęciami, dążeniami, harmonizującemi z jego nastrojem uczuciowym w danej chwili. Nie spotykamy u Kraszewskiego ni potężnych uczuć, ni idei doniosłych, władnących duszą, wynoszących jednostkę ponad ogół i nadających trwałe, wydatne piętno jej charakterowi, czynom, dziełom. Kraszewski czuje i myśli nie za miljony, lecz wraz z miljonami — i stąd dzieli z ludźmi ich słabości zwykłe: zmienność uczuć, chwiejność w przekonaniach, — przeciwstawiając im jako jedyną stałą cechę, wynoszącą go ponad ogół, namiętność działalności literackiej i społecznej, wzmagającą się z latami i nadającą mu, przy średnich zdolnościach umysłowych, tak doniosłe znaczenie na stanowisku pisarza — budziciela i dostarczyciela pokarmu duchowego dla rosnącego ciągle koła czytelników.

Rosnące w całem społeczeństwie pragnienie złożenia hołdu wielkiemu pracownikowi spowodowało przyspieszenie uroczystości, która zamiast w pięćdziesięciolecie, przypadające w r. 1880, naznaczoną została na rok 1879. Już w r. 1877 z inicjatywy Adama Pługa (Pietkiewicza) w gronie współpracowników *Kłosów* powstała myśl przygotowania na zbliżający się jubileusz *Księgi Pamiątkowej*, mającej w szeregu specjalnych opracowań przedstawić życie i różnorodną działalność jubilata... Kilka tysięcy prenumeratorów pisało się przed wyjściem z druku książki. Jednocześnie ogłoszona prenumerata na *Wybór pism* Kraszewskiego w 15 tomach ściągnęła o wiele liczniejsze zapisy. Czysty zysk z obu tych wydawnictw, przeznaczony jako dar dla autora-jubilata, doszedł sumy 60.000 rb.

Najwymowniejszym jednak wyrazem hołdu był odbyty w Krakowie w dniu 3 października 1879 r. wspaniały obchód, na który zybyło około 12.000 uczestników ze wszystkich prowincyj polskich i rozrzuconych po obczyźnie kolonij. Po uroczystem powitaniu jubilata na dworcu kolei w dniu 3 października przez radę miejską, młodzież uniwersytecka, cechy i tłumy publiczności, nazajutrz w sali świeżo odnowionych Sukiennic odbył się akt hołdu narodowego, rozpoczęty kantatą Żeleńskiego ze słowami Asnyka. Po wstępnej przemowie prezydenta miasta, Zyblikiewicza, rozpoczęło się składanie darów i adresów przez 120 delegacyj od różnych instytucyj, korporacyj, prowincyj, grup społecznych, kolonij zamorskich. Zkolei powstał ze swego krzesła wielką doniosłością wywartego wpływu, rozmiarami dokonanych prac, napięciem zbiegających się dziś ku niemu uczuć miljonów dusz — szczupły, drobny, pochylony wiekiem, pracą i chorobą starzec — i śród ciszy

uroczystej odczytał z drukowanej karty swą odpowiedź i spowiedź zarazem. W przemówieniu tem odsłonił po raz pierwszy swą głęboką i niewzruszoną wiarę w żywotność narodu i jego odrodzenie się współczesne «pod ożywczem działaniem wielkiej boleści i sromu». Optymistyczny zarys pojawów wszechstronnego odradzania się zakończył twierdzeniem, iż «z narodu, którego organizmowi brakło obezwładnionych narzędzi, stajemy się ciałem pełnem, któremu nie będzie zbywać na żadnej części składowej, na żadnym żywotnym warunku». Liczne fakta świadczą, iż «na duchu urośliśmy tyle, ileśmy cielesnej mocy stracili». O swoim współudziale w tem dźwiganiu się z upadku tak się wyraził: «Co mnie na tę drogę pracy popchnęło, co na niej utrzymało, wytłumaczyć nie umiem... Bodźcem była miłość tej ojczyzny, której losy w dziecinnem sercu tkwiły już raną, do dziś dnia niezagojoną. Miłość ta boleścią razem była; szły z sobą tak połączone, że ich nic rozerwać nie mogło, ale im towarzyszyła nadzieja i wiara głęboka, że narody pod prawem Chrystusowem nie giną i nie umierają, że naród nasz, pozbawiony niepodległości, zniknąwszy jako państwo — jako naród istnieć ma prawo, obowiązek i istnieć będzie, dopóki sam żywota się nie wyrzecze lub samobójstwa nie popełni... Z tą wiarą, iż państwem być przestawszy, jako naród, pracą nieustanną, spokojną utrzymać w sobie życie możemy i powinniśmy, w skromnym zakresie starałem się przekonanie moje wpajać i w zgodzie z niem postępować. Piekłem tak przez pół wieku ten razowy chleb powszedni... Mogły się w nim znaleźć i oście i otręby — być może ale zakalca nie było. Tak jest, nie siałem nigdy niezgody, rozbratu, nienawiści, nie rzucałem nigdy kamieniem, ani na żywych, ani na groby. Miłość starałem się wlać w słowa moje, i odczuto ją, pewnie, gdy często z niej płynącą gorycz tych słów wybaczano. Nawoływałem, ile sił stało, do zgody, jedności, wyrozumiałości, połączenia serc i myśli, przejednania w domu i po za domem!»

Ciągnąc dalej na ideach i wizjach *Przedświtu* i *Psalmów* osnute wypowiedzenia swoich wierzeń i pragnień, wołał: «Wierzmy raczej w miłość i braterstwo powszechne, niż w wiekuistą, zwierzęcą walkę o byt, wierzmy raczej w prawo słabości, niż w prawo pięści i siły... w zgodę i miłość nietylko plemion ale i narodów, wierzmy w sprawiedliwość bożą, we wszystko, co wielkie, święte, dobre, piękne, co podnosi człowieka, a nie skarla go i zezwierzęca. Tak, wierzmy wszyscy w ideały, ale do nich idźmy tą drogą, jaką we

śnie Jakóbowym anioły wstępowały do niebios — po drewnianych szczeblach rzeczywistości... Rachujmy się z położeniem, siłami, nie tracąc z oczu tych wielkich, niebiańskich celów, jakie nam tradycje narodowe przekazały...»

STEFAN ŻEROMSKI.

O Teofilu Lenartowiczu. [1])

Gdy do mazowieckiej równiny i do Mazurów zbliżył się genjusz Teofila Lenartowicza, to zetknięcie wydało arcydzieła, jedne z największych w dziejach ludzkiego artyzmu. To zdanie może być poczytane za przesadę, gdyż zbyt bliska odległość czytelnictwa od pewnych utworów, obrzydliwość naśladownictw, oczytanie się i osłuchanie niweczy pierwsze wrażenie i paczy jasność sądu. Doskonałe wnaśladowanie się w T. Lenartowicza, naprzykład Marji Konopnickiej, sprawiło, iż ten poeta nie jest w modzie, nie jest wzdłuż i napoprzek obnoszony przez snobów, gdyż pełne już mają uszy tego «rodzaju».

Jeśli wziąć najpospolitszy z utworów T. Lenartowicza:

Przez zagony, przez pole
Idzie sobie pacholę...

to mamy tutaj do czynienia właśnie z utworem natury «dadaistycznej» [2]). Jest to przykład owego odrzucenia wszelkich wpływów, przykładów i «spadku», którego uroczyście wypierają się poeci współcześni. T. Lenartowicz nie należy do żadnej «szkoły» w literaturze polskiej. Tkwił, oczywiście, w pewnej grupie rówieśników po-romantycznych, ale nie należał do niej wcale. Jedynym czynnikiem, który nań widocznie oddziałał — było Mazowsze i lud mazowiecki. Równina, rzeka, drzewa nadwodne, szary widnokrąg, przyziemni ludzie, — wiosna, lato, jesień, zima — oto wszystko.

«Przez zagony, przez pole»...

W istocie — naprzód pod nogą są «zagony», a dalej, w przestrzeni przed oczyma dalekie, puste «pole». Idzie «pacholę», — szara w łachmanach stwora, nie wiadomo nawet, jakiej płci, chłop-

---

[1]) Z dzieła Żeromskiego p. t. *Snobizm i Postęp*, Warszawa 1923.

[2]) Pierwotnej, zapomocą samych dźwięków wyrażającej uczucia i nastroje.

czyńskiej, czy dziewczyńskiej. «Wicher — ulewa», a gdy się wszystko skryło w osiedlach, «to» idzie i śpiewa. «Wyszedł z gaju gajowy...» Tak samo, jak «to», szary człowiek, leśny łazęga, do pniaka podobny, tyle tylko, że ma spłowiały, niegdyś zielony lampas na zrudziałej czapce, podobnie, jak szary odziemek bukowy ma nad sobą pod jesień płowiejące gałązki. Ten to — jakby zdumiony las przemówił, — «ozwie się w ty słowy...» To nie są miejskie, pańskie «te słowa», ani brzmiące w Świętokrzyskiem Kazaniu o świętej Katarzynie, zachowane na Litwie, mickiewiczowskie «ta słowa», lecz tutejsze «ty słowy», jak się właśnie mówi po nadwiślu, wśród wiejskich ludzi. Rozmowa jest prawdziwa, jak ulał. Tylko takie przecie pytanie mógł rzucić zdumiony człowiek. «Taka bieda na dworze, a ty śpiewasz, niebożę?» Słowo «bieda» jest tutejsze, niezastąpione, malujące wszystko okrucieństwo, bezsilność, zaciekłość przyrody w jednym jedynym dźwięku, — a słowo «niebożę» jest litościwem tchnieniem na te istoty, które są na ziemi niczyje, ani ludzkie, ani ziemskie, ani nawet nie boże. Ale w słowie pachołęcia odpowiadają gajowemu wieki i wieki minione, próchnica, zalegająca wewnętrzne podglebie «smentarzów», na których już się lasy wysokie wyniosły, brzozy sięgają długiemi gałęziami do bujnej murawy, jesiennemi kwiatkami przetkanej, — odpowiadają mu wszystkie dzieje ubożąt, skrzatów chodzących, z praprawieków mieszkańców tej ziemi piaszczystej, jałowej, gdzie człowiek w walce, w pracy, w trosce, — brat bratu, siostra siostrze, katem się staje.

Oj, długom ja płakała,
Gdy mnie siostra wygnała,
Gdy ja biedna sierota,
Drżąca stałam u płota.

Lecz oto radosne rozwiązanie, jedynie istniejące w tem życiu, nie znającem odmiany:

Aż raz w nocy niedzielnej,
Przy dzwonnicy kościelnej
Mróz wszelakie czucie ściął
I Pan Jezus duszę wziął.

Zupełnie tak mówią chłopi... Kilkoma kreseczkami, ni to nieomylnym rylcem Jakóba Callota [1]), narysowany jest ten niezapomniany krajobraz: zagony, pole, gaj i te dwie postaci. Jedyny na widnokręgu przedmiot, rzucający się w oczy, który w tych polach

[1]) Jakób Callot, francuski sławny miedziorytnik, żył od 1592—1635 r.

widać, — to dzwonnica kościelna, — a nad wszystkiem roztoczone wysokie niebo, — jedyna radość, — gdzie już nic z tych straszliwych konieczności jadła, przyodziewku, legowiska, — o które ludzie w walce dzikiej na śmierć się zabijają, a siostra siostrę «wygania» — «nie trzeba...»

Wszystkie strzeliste ekstazy świętej Teresy [1]), wszystka niezłomna potęga wiary świętego Aleksego [2]) i wszystka radosna ufność świętego Franciszka [3]), co więcej, wszystka treść wszystkich religij zawarta jest w tem najcudniejszem polskiem westchnieniu: — «idę sobie do nieba». Ta przeczysta artystycznie, wytworna i mądrze sformułowana sprawa, ta urjańska perła poezji polskiej wyrwana jest z surowizny, podjęta z piachu dróg międzyleśnych, wydobyta z samej istoty bytu, z mowy tutejszego ludu, o krok od Warszawy. Każde dziecko umie ten poemat na pamięć, — o, hańbo literatury! Dziady pod kościołem śpiewają go ludkowi na odpustach, król musiałby się nad nim głęboko zadumać, jaśnie pan łzy gorzkie ronić... Jest to bowiem siła, rola i zadanie prawdziwej i wielkiej poezji, iż ludzi, których na ziemi wszystko rozdziela, różni i od siebie odtrąca, samym widokiem okropności i skutków różnic, nanowo łączy w jedno i samo tylko ludzkie serce w nich odsłania

MARJAN ZDZIECHOWSKI. [4])

Szkice literackie, I. Warszawa 1900.

Ze szkicu p. t. *Kazimierz Tetmajer.*

...Piękne są te wiersze, w których poeta daje się unieść marzącym falom fantazji; unoszą go gdzieś w ciszę bezmiaru. Szlachetne pierwiastki biorą górę w jego duszy i po wierszach poświęconych szałom miłosnym następuje szereg sonetów, w których poeta objawia, że «więcej niźli natury pierwotne piękności i więcej,

[1]) Teresa Karmelitanka, zwana Virgo seraphica, kanonizowana 1622 r., żyła w Hiszpanji 1515—1582. Sławne są jej pisma, jak *Autobjografja*, *Droga do doskonałości*, a zwłaszcza religijne liryki.

[2]) Święty Alexius umarł w Rzymie w r. 417. Życie jego opiewają liczne poematy średniowieczne.

[3]) Święty Franciszek z Asyżu, założyciel Zakonu Franciszkanów, 1182—1226.

[4]) Ur. 1860; w badaniach historyczno-literackich i krytycznych sięgnął do piśmiennictw obcych, zwłaszcza rosyjskiego i czeskiego. Ważniejsze dzieła: *Mesjaniści słowianofile*, 1888; *Byron i jego wiek*, 1894; *Szkice literackie*, 1900; *Odrodzenie Chorwacji w w. XIX*, 1902; *Z epoki mesjanizmu*, 1912; *Wizja Krasińskiego*, 1912; *Pesymizm, romantyzm a podstawy chrześcijaństwa*, 1915.

niźli uśmiech kobiety kochanej», nęci go ku sobie nieskończoność. Jej obrazem jest cisza w naturze, przedsmakiem — ten smutek błogi, to wielkie pragnienie czegoś nieokreślonego, ta «nieskończona tęsknica» za czemś «nieznanem, mistycznem i kryjomem», która w chwilach błogiej ciszy i zamyślenia w naturze ogarnia duszę z taką siłą, że nawet przestaje już chcieć poeta «w ramiona swe owinąć tę, która mu na wieczność rzuciła wspomnienie». W malowaniu obrazów ciszy oraz graniczących ze śmiercią stanów nirwanicznego omdlenia duszy Tetmajer jest mistrzem skończonym. Przypomina Leopardiego,* tylko poeta włoski więcej jest myślicielem i psychologiem, pogrąża się w samym sobie, gdy Tetmajer rozpływa się w marzeniach, które mu otwierają nieskończoność: zatopiony o zmroku w bezsłownej zadumie, wsłuchuje się on w szumy leśne, a dusza jego przez doliny mroczne i wąwozy górskie i przełęcze idzie gdzieś «na dalekie w księżycu równiny i dalej w bezmiar...» Gdy w późną noc marzy, z oddali płynie ku niemu muzyka jakaś dziwna i nieziemska, «kędyś w bezkresu poczęta głębinie», — i zdaje mu się, że ją niegdyś słyszał, roje mglistych wspomnień błądzą mu w duszy...

Ten sam nastrój ogarnia poetę i w chwilach południowej ciszy tego rozmarzenia natury zatopionej w blaskach słońca, rzucającego złociste plamy na ciche łąki i na ciemną zieleń drzew. Myśl poety «podobna z nad mórz wzlatującej mewie» pędzi wtedy pustką cichą i przejrzystą aż ponad kopułę niebiosów, tam ją okala «jasność niezmierna i cisza pełna, nie wiem skąd idąca» i w owej niezgłębionej toni zawisa «nieruchoma, senna, podobna orłom, co zasną w przestrzeniach».

Te wizje wiekuistego światła i ciszy, zapełniające całe dwa cykle *Zamyślenia* i *Z Tatr*, wracają spokój duszy poety, skołatanej chorobą wieku a niezdolnej do stworzenia ideału. Cudownym jest *Albatros*, ptak śniący na dzikiej skale nadmorskiej, zdala od ludnych wybrzeży, wpatrzony w słońce, jak on, dumne i samotne — obraz duszy wyzwolonej z pęt zmysłowości.

Potężne tchnienie nieskończoności rozszerza i rozszczęśliwia. W jednym z zamyśleń maluje poeta rozkosz duszy, unoszącej się w otchłań gwiaździstą na skrzydłach rozmarzonych tęsknot. «I zdaje mi się» — kończy —

...jakby wychodziła ku mnie
Ta moc, co w wodach jest, górach, błękicie,
Gwiazdach i kwiatach, wszędzie — która życie
Obudza w trumnie.

I życzyć potrzeba, ażeby ta moc została w duszy poety. Polot fantazji potężny, uczucie szczere i silne, niech się jeszcze umysł pogłębi, a wyszlachetnieje treść i stanie Tetmajer w zakresie poezji lirycznej na wyżynach piękna, bo zleją się słowa jego w harmonję z myślami i pragnieniami idealnych dusz ludzkich, tych, które są miarą piękna. I nie będzie poeta czuł potrzeby narzekania, że poezja jest w naszych czasach tylko «upiorem swej minionej królewskości», jak to dziś czyni w przedmowie do swych utworów. Że tak jest w chwili obecnej, winna temu nie publiczność, ale poeci. Ich pesymizm, to bezmyślny, to kwilący, nie ma nic wspólnego z pesymizmem filozoficznym i w rzeczy samej nikomu nie jest potrzebny i nikt jego torem nie pójdzie. Niema więc czego ubolewać, że taka poezja «przestała wodzów być pochodnią».

WALERY GOSTOMSKI. [1])

Liryka Kasprowicza. [2])

(VI. *Moja pieśń wieczorna*).

...Wątek główny *Pieśni wieczornej*, jako wysnuty bezpośrednio z głębi osobistego, uczuciowego życia poety i dopiero w dalszem swem rozwinięciu ogarniający motywy życia ogólno-ludzkiego — więcej ma skupienia wewnętrznego i jednolitości, a zatem prostszy jest i wyrazistszy. Żywioł liryczny silniej i naiwniej w nim występuje, choć i symbolika nie jest zeń wcale wykluczona; owszem, zawarta jest w samym już tytule i w zasadniczym pomyśle poematu. Zarysowuje się tu w wyobraźni poety cichy, wieczorny schyłek dnia, gasnącego w krwawych blaskach zorzy zachodniej, jako symboliczny obraz ukojenia, wpływającego do duszy po burzliwym dniu, pełnym bólu i wstrząśnień namiętnych, które zapadają w ciszę martwego spokoju, pozostawiając po sobie krwawe odbłyski dogasającej wraz z niemi siły żywotnej jestestwa ludzkiego.

Osobisty stan duszy poety wyobraża tu stan jakiejś duszy zbiorowej, być może wogóle duszy «ginącego świata», któremu w całej tej tetralogji liryczno-symbolicznej śpiewa poeta złowrogą pieśń zagłady. Widzieliśmy ją poprzednio, tę duszę świata, czy du-

---

[1]) Patrz w uwadze do wstępu o *Warunkach rozwoju literatury w latach 1864—1890.*

[2]) W. G. *Z przeszłości i teraźniejszości*, Warszawa 1904.

szę człowieczeństwa, przerażoną śmiertelnie wobec grozy sądu *(Dies irae)*, oszalałą w mękach wyuzdanej żądzy *(Salome)*, wybuchającą rozpaczną skargą bólu i cierpienia *(Święty Boże)*, — obecnie po tym jaskrawo-upalnym i burzliwym dniu istnienia widzimy ją wśród kojącej ciszy wieczornej, spragnioną martwego spokoju cieniów nocnych. Ale płonąca wciąż jeszcze krwawa zorza zachodu budzi wspomnienia przeżytych burz i upałów, podczas gdy cisza zapadającego wieczoru rozbrzmiewa budzącemi się w duszy odgłosami poranku życia, wschodzącego tak pogodnie w blaskach młodzieńczej wiary i nadziei. Te dwa zasadnicze wrażenia odzywają się wciąż dwoma motywami, powtarzającemi się wśród różnorodnych akordów i melodyj pieśni.

Czemu nie gaśniesz, ty, zorzo?...

powtarza wciąż niecierpliwa żądza końca.

Błogosławiona niech będzie ta chwila,
Kiedy się rodzi wieczorny hymn duszy —

odzywa się wciąż echo cudnych porankowych wspomnień.

A obok tych dwóch motywów z wrażeń i wspomnień, bezpośrednio wysnutych, oto trzeci, rozpoczynający poemat motyw, w metalicznych głębiach myśli biorący swój początek:

O duszo, spragniona miłości!
O duszo, spragniona spokoju!
On był i ty w nim byłaś przed początkiem, i t. d.

Czy te «ognie trawiące» nieodzownie muszą pochłonąć serce ludzkie? Czy owo «kamienne, ślepe przerażenie» koniecznym ma być wynikiem walk i cierpień żywota? Czy miłość i spokój, które «były przed początkiem», nigdzie nie mogą się znaleźć na całym obszarze istnienia, ni poza jego kresem? Oto pytania, które potrąca ideowa osnowa *Pieśni wieczornej*. Niepodobna oczywiście rozwodzić się tu nad niemi; zaznaczyć tylko trzeba odzywający się w nich w bardziej tylko stłumionym, minorowym tonie, ten sam tragiczny rozdźwięk wiary i zwątpienia, który tak dziko i jaskrawo brzmiał w poprzednim poemacie *Święty Boże*. Przeciwieństwem jego akord wiary, brzmiący jakąś przedbytową harmonją «miłości i spokoju» — czy nazawsze (wedle przekonania poety) utraconą?...

Poezja jego nie daje na to wyraźnej odpowiedzi; tylko mnóstwo budzi wątpliwości; dźwięczy ona wszakże przecudnem echem tej harmonji w najpiękniejszych melodjach lirycznych z motywu owego «wieczornego hymnu duszy» wysnutych.

Stanowią one największy urok *Pieśni* Kasprowicza, urok czystej, naiwnej liryki, w której znajdujemy taki miły odpoczynek po orgjach dzikich rozdźwięków, po burzliwym zamęcie kłębiących się w bezkresach bytu fal uczucia i myśli. Jakimże pogodnym wdziękiem, jakim czarem swojskości owiewa nas płynąca we wspomnieniach poety od «cichych pól, od rżysk i rzecznych pobrzeży» prosta piosenka chłopięca:

A grajże mi, piszczałeczko...

A w ślad za nią na falach wspomnień płyną z «sielsko-anielskiej» krainy dzieciństwa obrazy, wrażenia i nastroje, pełne takiego wdzięku w swej swojskiej prostocie:

Z zapadłych wiosek płyną rozhowory...

Czy podobna prawdziwiej, zwięźlej i poetyczniej odtworzyć tęskny urok naszej ziemi i smutną na niej dolę chaty na pustkowiu i unoszące się ponad nią promienne marzenia życia i kroczącą po niej cichą a wszechwładną śmierć? Czy to nie skończony obraz bytu ziemskiego w jego najistotniejszych i najprostszych rysach, na tle rodzimem rozsnutych?...

A oto inny niemniej prawdziwy i poetyczny obraz, który ponad ziemską dziedzinę wykwita ku niebu płomiennym kwiatem wiary: Oto wiejski kościółek wśród rozszumiałych pól zbożowych, otoczony wieńcem lip prastarych i jarzębiną w koralowych gronach; w oknach świergocą jaskółki, a białe gołębie przelatują ponad poszeptami pacierzy zgromadzonego ludu:

Na roztęczone mgławice kadzideł
Kładą się dźwięki organów... i t. d.

Z głębi religijnego nastroju tej rozmodlonej duszy płynie psalm natchniony, z dziwnie uroczystą prostotą głoszący chwałę bożą:

Wszystko jest z Ciebie i Ty jesteś wszystkiem... i t. d.

Tak więc owa dusza wątpiąca, dusza pełna rozdźwięków, zamącona szalonym wirem żądz i namiętności, zdolna jest wznieść się do takiej czystej, niezmąconej harmonji wiary, zdolna jest wyśpiewywać ją w tonie, brzmiącym odgłosami najwznioślejszych, prastarych jej hymnów! Uczucie religijne, przenikające całą poezję Kasprowicza (choć często w tak skrzywionej i zwyrodniałej postaci), tutaj objawia się w najpełniejszym i najczystszym swym nastroju, a raczej w zestroju harmonijnym zasadniczych swych tonów, które,

potrącone echowym głosem wspomnień, oddźwięczały w głębi duszy poety potężnym akordem wiary.

Akord ten dźwięczy już do końca *Pieśni wieczornej*, niezamąconej rozdźwiękami zwątpienia, ale nie utrzymanej też w tej czystej i prostej postaci, w jakiej go tu słyszymy. Odgłosy burz namiętnych, przytłumione chwilowo czarem wspomnień młodzieńczych, odzywają się znowu. Krwawiąca się wciąż jeszcze ponad szczytami gór zorza zachodnia, niby odblysk symboliczny bolesnych, krwawych walk życia, uprzytomnia znów poecie całą ich grozę tragiczną, całą potworność żądz i namiętności, które je wywołały. Raz jeszcze wśród tych powstających ponownie dzikich dźwięków odzywa się cichy ton fujarki pastuszej, ale wnet milknie, zgłuszony wzmagającą się wciąż burzą uczuć i myśli, w której huczą groźnie odgłosy straszliwej tragedji życia. Dusza poety, skupiona na chwilę w rzewnie-lirycznym nastroju niewinnej sielanki dzieciństwa, rozszerza się znowu na szeroki przestwór tragizmu życiowego, zawartego w gronie ludzkich namiętności, występków i zbrodni. I znowu staje się ona symboliczną przedstawicielką zbiorowej duszy «ginącego świata», która tutaj, w ostatniej swej chwili, w pożarze dogasającego w krwawych odblyskach dnia swego czyni niejako spowiedź powszechną ze swych grzechów, wyjaśniających bezmiar jej cierpień, jako zasłużoną karę, wymierzoną przez surowe, lecz sprawiedliwe wyroki Wszechmocnego Sędziego. W uznaniu tej sprawiedliwości odwiecznej, w przeciwieństwie do poprzednich buntowniczych swych wybuchów, wypowiada tu poeta, jako rzecznik grzesznej duszy świata, słowa głębokiej skruchy:

Karz mnie, człowieka, co krąży po świecie
Z brzemieniem winy na ugiętym grzbiecie...

Widzimy więc, że ów tragiczny finał *Pieśni wieczornej*, a zarazem i całej tetralogji *Ginącego świata* osnuty jest na motywie wiary, ale jakiejś ponurej, mrocznej wiary, duchem Starego Zakonu przesiąkniętej, obcej duchowi chrześcijańskiemu, nierozjaśnionej promieniami jego nadziei i miłości.

Ostatni obraz tej wizji — symboliczny obraz ognistej, krwawej zorzy wieczornej, płonącej, niby pożar wszechświata na potwornych cielskach gór i na dzikich ich szczytach — niezrównany jest w swym wzniosłym i groźnym tragizmie. Następująca potem spowiedź powszechna grzesznej duszy człowieczeństwa, wskutek nadmiernego w niej nagromadzenia potworności moralnych, prze-

kracza niekiedy najdalej nawet posuniętą granicę wrażenia estetycznego...

Pewną jest rzeczą, że jego (poety) wspaniały cykl liryczno-symboliczny stanowi jeden z najpotężniejszych i najszczerszych w poezji objawów zamętu i rozstroju, panującego w duszach ludzi dzisiejszych, jest zarazem dziwnie wymownym i przejmującym do głębi krzykiem budzących się dzisiaj z długiego odrętwienia pragnień duchowych, pragnień idei wyższej, wiary, wzlotów nadziemskich.

IGNACY MATUSZEWSKI. [1])

Ze studjum p. t.: **Metafizyka Wyspiańskiego.** [2])

Pomimo pozornej gmatwaniny i przeładowania wizjami — twórczość Wyspiańskiego posiada bardzo wyraźne linje wytyczne. Odczuwając silnie racjonalizm [3]) życia ziemskiego i jego bolesne sprzeczności, Wyspiański doszedł dość wcześnie do uświadomienia sobie tego, że pomiędzy ideałem, piastowanym w piersi ludzkiej, a rzeczywistością — zieje przepaść, której n i c wypełnić w z u p e ł n o ś c i nie zdoła, a ponieważ współcześnie wierzył w istnienie sprawiedliwości bezwzględnej, boskiej, więc w każdym czynie ludzkim widział grzech, ale grzech nieumikniony.

W jednym ze swoich pierwszych dramatów [4]) powiada przez usta Atalanty: «Takich ludzi niema, którzyby jakiekolwiek dzieło spełnili bez żadnej winy, lub ujemnej strony, którą starają się ukryć».

To zdanie mogłoby nie zasługiwać na uwagę, gdyby nie fakt, że w różnych warjantach powraca ono wielokrotnie, by się skrystalizować ostatecznie w jednym z najpóźniejszych utworów, *Skałce*, w słowach Śmierci-Wybawicielki, która mówi do Biskupa: «Jeden jest prawdy wieczny bieg, że niemasz życia krom przez grzech; jeden jest żywym wieczny los — wzajemnych zbrodni ważyć cios».

---

[1]) Między krytykami najnowszej doby zalicza się Ignacy Matuszewski do najwybitniejszych od czasu ogłoszenia cennych studjów *Słowacki i nowa sztuka* (1902), *Twórczość i twórcy* (1904). *Studja o Żeromskim i Wyspiańskim* (1916).

[2]) *Studja o Żeromskim i Wyspiańskim* j. w.

[3]) Od łac. wyrazu ratio- logiczne rozumowanie.

[4]) W *Meleagrze* (1894).

Dlaczego?

Bo życie realne, ziemskie jest splotem tak zawiłym, że przeniknąć jego celów ostatecznych człowiek nie może. Każdy ma swoją prawdę i każdy winien iść drogą swojej własnej prawdy, ale każda z tych indywidualnych prawd — posiada wartość czasową, względną, przemijającą. «Prawda twa — powiada dalej Śmierć do Biskupa — we śmierci jeno wiecznie trwa; gdy żywi życiem poczną żyć, z żywymi ty nie możesz być». A dalej: «Prawda twoja — prawdzie kłam, — Bóg sądzi sam».

Znaczy to, że gdzieś, poza nami, czy ponad nami istnieje jakaś prawda absolutna, która się jednak odbija w sercu każdego inaczej. Więc jakaś jedna «Prawda» może się przeciwstawić drugiej «Prawdzie», czyli że obie będą i słuszne i niesłuszne, i mogą a nawet muszą walczyć z sobą, jak Bolesław Śmiały walczy ze Świętym Stanisławem.

A swoją drogą każdy, o ile jest silnym i szczerym, musi być taki, jakim jest, i właśnie dlatego musi grzeszyć, bo gdyby nie błądził, to przerósłby ludzką miarę i stał się równym Bogu, a ponieważ to jest niemożliwe, więc kto chce: «czynić podobnym Bogu człowieka» i chwyta sam «Miecz sądu do ręki», — ten ryzyskuje własną duszę i będzie obalony i zniszczony, bo: «Nie ludzie rządzą światem, — lecz jest jeszcze wyżej inna siła, co światem rządzi i nie można nawet zaufać samemu sobie i wierze własnej w siebie».

A mimo to nie można żyć nie działając, bo życie bezczynne to nie życie...

Należy tedy działać, choćby za to trzeba było zapłacić zgubą.

Jakże wybrnąć z tego labiryntu, nie mając żadnej niezawodnej busoli — drogowskazu, ani w sobie, ani zewnątrz siebie?

«Kędyż się zwrócę? — pyta złamany wewnętrzną rozterką poeta. Wszędy nicość, wszędy pustkowie, pustość, głusza, tęskni samotna moja dusza — i nad mą dolą płacze litość. Z czem pójdę do dom smutny, biedny? Na proch się moja myśl skruszyła. Niewolnik wielkiej myśli jednej. W niej moja niemoc, moja siła».

Tęsknić do czynu, czynu realnego a zarazem heroicznego, wzniosłego etycznie i estetycznie, a być zniewolonym do mówienia sobie ciągle, że «wszystko, czego się tknę, w mych rękach mrze» — «dążyłem — nie wiem, dokąd dążę».

Posiadać «złoty róg» i nie móc zużytkować jego potęgi w całej wymarzonej skali — to wytwarza stan psychicznego rozbicia, który

---

[1]) Skałka (1906).

u duchów, nastrojonych religijno-mistycznie, jakim był niewątpliwie w istocie swojej Wyspiański, musi pchnąć do wiary o charakterze metafizycznym.

* * *

O co Wyspiańskiemu chodzi, jako artyście oraz jako człowiekowi i patrjocie? O przeobrażenie tego, co jest, na coś doskonalszego, wyższego.

«Śmierć żywych» to początek Nieśmiertelności. Należy zabić siebie, tego siebie, tego, który jest — bez wystrzału i bez trucizny (Wyzwolenie). «Umarłe! Śmierć was odrodzi... Zmartwychwstaniecie młodzi» (Legjon).

To możnaby zrozumieć jeszcze jako regenerację narodu w przyszłych, wyższych, zdolniejszych do szlachetnego czynu pokoleniach.

Ale w niektórych dziełach swoich Wyspiański bardzo wyraźnie zaczepia a potem i rozwija ideę nieśmiertelności duszy oraz metampsychozy.

W poemacie «Kazimierz Wielki», związanym genetycznie z «Wyzwoleniem», można jeszcze mniemać, że wstępując formalnie w ślady Słowackiego, tworzy tylko nowy, pojęty po swojemu rapsod «Króla Ducha» i zestawia gigantycznego przewodnika narodu z nikłą generacją teraźniejszą w «czarnych, żałobnych ubiorkach» z «drżącemi rękami i łzami w oczach» (XII).

Ten utwór możnaby uważać za dzieło symboliczne, z którego trudnoby jeszcze wyciągać wnioski o tem, czy Wyspiański, podobnie jak Słowacki, wierzył realnie w nieśmiertelność, wędrówkę pozagrobową i doskonalenie się dusz ludzkich.

Ale ów motyw powraca kilka razy, przybierając coraz to bardziej określoną formę... W «Achilleidzie» — Achiles, oburzony na podłość ludzką i marzący o wznioślejszym typie człowieczeństwa w przyszłości, słyszy fale Skamandru, szepczące mu słowa pociechy i rozjaśniające ciemną zagadkę bytu doczesnego, wskazując na możliwość spełnienia godnych heroicznego ducha zadań — w przyszłości:

«Żywot twój n i e n a j e d n y m z a k o ń c z y s i ę b y c i e — Będziesz się błąkał duchem we gwiazd zawierusze — A ż t r u d p o d e j m i e s z n o w y, n o w e z a c z n i e s z ż y c i e... Wyzwolon będziesz duchem z ciała i pamięci. Zginą wszyscy, co z tobą dziś walczą przeklęci. Wzbudzisz nowe narody do siły i czynu... I zginiesz, jako teraz, gdy sięgniesz wawrzynu. — Przemóż Śmierć».

«Umierać musi, co ma żyć» — powiada w «Nocy Listopadowej» Kora, wstępując w otchłanie Hadesu, który tylko wydaje się

otchłanią grobową, gdy w istocie jest to «kraj, kędy są wiecznotrwałe siły, z tych coraz nowy rośnie pęd, i wzejdą i będą rodziły. Tam wszelki żywot ma swój byt, i czeka, aż dlań błyśnie świt, i czeka, aż dlań przyjdzie czas zajaśnieć pełnią kras».

Oto chytry, przeklęty Odyss, który czuje, że krwawa pieśń jego życia skończona, i tęskni do zmarnowanej młodości, słyszy z ust Syren wyrok, a zarazem zapowiedź odrodzenia:

«Nikt żywy w kraj młodości drugi raz nie wraca. Nowe rozpoczniesz życie, nowa czeka-ć praca, życie nowe, w z n a w i a n e ż y c i e w i e l o k r o t n i e. B y t d u s z y n i e ś m i e r t e l n y»...

Uznając więc nieśmiertelność duszy, nie uznaje Wyspiański N i r w a n y, wiecznego spoczynku na łonie Prabytu, lecz zdaje się mniemać, że każdej, nawet najwyższej duszy, Bóg na «złotej szalce odważy osobne przeznaczenie» — względnie do jej w a r t o ś c i, c n o t y i s i ł y.

Jako uzupełnienie tych pośrednich dowodów wiary Wyspiańskiego w metampsychozę można przytoczyć wyznanie bardziej bezpośrednie, a mianowicie zakończenie znanego wiersza: «Niech nikt nad grobem mym nie płacze». Brzmi ono tak:

«A kiedyś może, kiedyś jeszcze,
Gdy mi się sprzykrzy leżeć,
Rozburzę dom ten, gdzie się mieszczę
I w słońce pocznę bieżeć.
Gdy mnie ujrzycie takim lotem,
Że postać mam już jasną,
To zawołajcie mnie z powrotem
Tą mową moją własną,
Bym ją posłyszał tam do góry,
Gdy gwiazdy będę mijał:
Podejmę może po raz wtóry
Ten trud, co mnie zabijał».

Religijność Wyspiańskiego nie jest... w swoich ostatecznych celach ascetyczną. Modląc się do Boga w *Wyzwoleniu*, błaga Go o «Polskę żywą», realną, o «ziemię szczęśliwą».

«Niech się królestwo stanie n i e k r z y ż a, l e c z z b a w i e n i a, o daj nam Jezu Panie Twą Polskę objawienia». I woła w ekstazie: «Nie ścierpię już niedoli, ani niewolnej nędzy. Sam sięgnę lepszej doli i łeb przygniotę — jędzy, zwyciężę n a t e j z i e m i, t e j z i e m i p a ń s t w o w s k r z e s z ę»...

* * *

Wobec takiego stanowiska, które da się wytłumaczyć wyjątkowemi warunkami i poczuciem silnej łączności z narodem, nie posiadającym samoistnego bytu, a więc nie mogącym się rozwijać normalnie, — cel najbliższy sercu odsuwał na dalsze wielkie przeznaczenie treści życia, zarówno indywidualnego, jak i narodowego w krainy nadobłoczne.

IGNACY MATUSZEWSKI.

Poemat prozą Żeromskiego.

Jeżeli przyjrzymy się uważnie większości typów, stworzonych przez Żeromskiego, to uderzy nas umiejętność, z jaką autor maluje zmiany, zachodzące w ich wnętrzu. Wyraz «zmiany» nie jest tu może odpowiedni, gdyż, ściśle biorąc, nie są to zmiany, lecz wydobywanie się na jaw tego, co tkwiło w głębi człowieka i, dzięki zbiegowi okoliczności, staje się świadomem dla niego, a widomem dla czytelnika.

Charakter danej osoby pozostaje w istocie swojej jednaki, ale się rozwija, jak kwiat z pączka, i albo więdnie, jeśli jest słaby, albo też, jeżeli posiada siłę życiową, zaczyna jaśnieć pełnią barw i bogactwem oraz oryginalnością kształtów.

Żeromski uwzględnia wpływy zewnętrzne, ale grają one u autora «Popiołów» raczej rolę bodźców, niźli sił, kształtujących duszę, która, reagując na działanie środowiska, przeobraża się, nie tyle przez nacisk czynników obcych, ile przez wewnętrzną pracę, świadomą lub bezwiedną, zależnie od typu, do jakiego należy.

Słuszność powyższej uwagi możemy stwierdzić bardzo dokładnie, rozpatrując utwór znakomitego pisarza p. t. «Powieść o Udałym Walgierzu».

Żeromski wybrał formę epicką, ale nie trzymał się akcji, zawartej w legendzie, lecz traktował rzecz zupełnie samoistnie. Pominął początkowe, germańskie motywy legendy, a zatrzymał się na swojskich, które po swojemu uzupełnił i zaokrąglił w całość skończoną i zamkniętą w sobie.

Autor nie lekceważy strony opisowej, nie zbywa akcji lekkiemi ominięciami, ale, dzięki niesłychanej zwięzłości, plastyce, barwności i wyrozumiałości języka, umie wypowiedzieć w kilku słowach lub zdaniach to, na coby kto inny zużył kilka stronic.

Niema tam nic zbytecznego, wszystko jest niezbędne, ale tak zwarte i jędrne, że stanowi prawdziwy majstersztyk kunsztu pisarskiego, w którym największą trudność i zaletę stanowi to, żeby zapomocą jak najmniejszej ilości wyrazów obudzić jak największą sumę wrażeń, uczuć, wyobrażeń i myśli...

Gdyby Żeromski nie napisał nic innego prócz «Walgierza», to możnaby zatrzymać się na przecudnej formie i nie pytać o nic więcej, mniemając, że autorowi szło tylko o wirtuozostwo językowe. Na szczęście, z całego szeregu dawniejszych utworów Żeromskiego widzimy, że nie jest to typ, dający się zamknąć w rubryce «wirtuoza».

Autor «Popiołów» zawsze ma coś do powiedzenia i chce coś powiedzieć...

Mając to na względzie, nie mamy prawa traktować «Walgierza», jako przepysznego ornamentu, lecz musimy zrobić próbę odsłonięcia ukrytych poza pięknemi kształtami idei...

(W dalszym ciągu swych wywodów krytyk, przebiegając losy Walgierza, jego rozstanie się z królem, jego tortury cierpień i dzieje przeobrażenia pod wpływem rozmyślań, gdy był w domu własnym przywiązany do słupa i policzkowany, pisze):

Odziedziczone po przodkach pojęcie wartości bohaterstwa, siły i wielkości poczyna chwiać się w umyśle Walgierza.

Wielkim jest i dziad-wróż słowiański, który strzeże progu prastarej kontyny i czci dawne bogi, chociaż widzi, że nowa wiara gotuje im koniec tragiczny; wielkim jest i bosy biskup, żywy męczennik, który w imię Chrystusa walczy łzami i krzyżem z okrucieństwem i nienawiścią; wielkim jest i król polski, którego bystre oko ogarnia teraźniejszość i przenika przyszłość, a który posiada nietylko żelazną dłoń, ale i serce, zdolne do szlachetnych uczuć i wzruszeń.

Walgierz nie wyrzeka się zemsty i swobody, bo jest, bądź co bądź, człowiekiem z krwi i kości, nie bezcielesnem widmem; jest rycerzem, koniądzem, nie mnichem; ale odzyskawszy wolność i pomściwszy swą hańbę, wraca do życia z innemi, niż dawniej, celami.

Idzie do króla polskiego nie po to, żeby szukać pomocy i opieki, bo tego w danej chwili nie potrzebuje, ale dlatego, że odczuł i zrozumiał wyższość myśli królewskiej nad swemi dawnemi silnemi, ale ciasnemi dążeniami. Sława, która lubiła «oglądać swoje oblicze w mieczu zbójcy, wydartym z pochwy», wydaje się teraz bohaterowi nikłą. Pojął, że istnieją inne formy wielkości, nietylko skąpane w purpurze krwi i lśniące blaskiem zdobytych łupów.

Idzie do króla polskiego, nie jako wróg, ale jako przyjaciel, gdyż czuje mu się pokrewnym i równym — nie potęgą materjalną, ale duchową. Idzie, bo zrozumiał daleko sięgające myśli i cele królewskiego wodza narodu...

Idzie, bo odczuł, że monarcha polski nie jest «twardym samodzierżcą», ani lękliwym sługą «bosych wróżów», lecz wcieleniem świeżych, żywotnych i zdolnych do rozwoju idei...

Żeromski, jako wielki artysta, nie mógł pisać powieści tendencyjnej, lecz, opierając się na prastarej legendzie, stworzył dzieło sztuki, ujęte w kształty konkretne, dał żywych ludzi czy nadludzi, nie nadziane frazesami manekiny.

Ideowo — symbolizm «Walgierza Udałego» przekracza kordon legendarno-historyczny i nie przestaje być żywotnym i wymownym nawet dla obecnej chwili...

MORAWSKI KAZIMIERZ. [1])

Z dzieła p. t. *Vergilius i Horatius*, Kraków 1916. R. VI.

Epoka augustowska była okresem świątecznym w dziejach ludzkości, a takich chwil błogich niewiele liczy historja. Była ona świętem, bo zapewniła znacznej części ludzkości spokój i wytchnienie po niekończących się burzach i zamieszkach republiki. I dużo wydała ludzi, których błogosławieństwa chwili podniecały i natchnęły do pracy i pisania. Na polu prozy przyczynił wiekowi Augusta świetności Livius, a w zakresie poezji zabłysł cały szereg pisarzy, żeby tylko Wergilego, Horacjusza, Tibulla, Propertiusa i Ovidiusa wspomnieć. Błogość epoki mogła zapewnić zbytek słodyczy i zacieśnić człowieka w prywatnem życiu. Typem takiego zasklepienia jest Ovidius, który przeważnie opiewał już tylko rozkosze, walki i zwycięstwa miłosne.

Resque domi gestas et mea bella cano [2])

wyznawał on szczerze i prawie cynicznie w *Amores*. W innych jednak duszach słodycz życia nie stłumiła szerszych i podnioślejszych uczuć. Ta sama miłość Rzymu i ojczyzny, która drga na każdej karcie historji Liviusa, odzywa się żywem tętnem w pie-

[1]) Był profesorem uniwersytetu i prezesem Akademji Umiejętności w Krakowie; ogłosił dzieje Uniwersytetu Jagiellońskiego, dzieje literatury rzymskiej, przekłady i rozprawy z zakresu literatury greckiej i rzymskiej.

[2]) Sprawy domowe i własne swoje wojny opiewam.

śniach Wergilego i Horacjusza. Omówiliśmy obszerniej ich działalność; jedna skończyła się w r. 19, druga w r. 8 przed Chr. Obaj więc poeci żyli i pisali w najszczęśliwszych i najbujniejszych czasach Augusta, zanim się dzień jego nie pochylił i nie zasępił. Obaj też przyczynili się walnie do uświetnienia tej epoki. Wergiljusz podnosił się do coraz szerszych i większych zadań, rozwój jego jest prawidłowy. Horacjusza tymczasem działalność jest falistą; od gawędy przechodzi on do liryki, potem znów do uszlachetnionej gawędy powraca. Wergiljusz postępuje ku coraz większej patetyczności; a rdzeniem Horacego jest prostota, która go nigdy nie opuszcza i jaśnieje zarówno w pierwszych jak ostatnich jego utworach. Zresztą mają oni dosyć dużo rysów pokrewnych. Obydwaj poeci nie są wybuchowymi, a pieśni ich są wytworem długiej i sumiennej pracy.

Zarówno Wergiljusz jak Horacy spotkali się w pewnych kołach współczesnych z jawną niechęcią i opozycją. Sławetna para wierszokletów, Bavius i Mevius, dała się Wergiljuszowi i Horacjuszowi we znaki; odebrali oni też z ręki mistrzów zasłużone razy. Parodjowali i ośmiewali inni, jak Numitorius, Bukoliki Wergilego, inni znów wietrzyli i wykazywali kradzieże (furta) i plagjaty w jego dziełach. Wobec wielkiej zależności Wergiljusza od Homera i Enniusa łatwem było zadanie tych krytyków. Macrobius (ok. 400 po Chr.) w Saturnaliach dał nam też próby zawistnych o poecie sądów. Autor ten podał nam najcenniejsze wiadomości o starej Wergiljusza krytyce. Wystąpił jednak niebawem przeciw tym, którzy sławę poety umniejszali, zwycięsko wielki znawca piśmiennictwa Asconius Pedianus w dziele: *Contra obtractatores Vergili* [1]). — Horacego satyra sprowadziła nań także napaści przeciwników; brano tedy przeciw niemu Luciliusa w obronę i nie chciano przyznać ani wyższości ani uprawnienia Horacjusza gawędom. Pieśni zaś spotkały się z obojętnością ze strony publiczności. — Ale wybrane koła, a przedewszystkiem sam cesarz ocenili lepiej i trafniej zasługi i wartość obydwóch poetów i uznali to w całej pełni, że Wergiljusz dał Rzymowi epopeję narodową, a Horacjusz stworzył lirykę, dotąd upośledzoną w rzymskiem piśmiennictwie. I mimo głosów niechętnych zdarzyło się to, o czem Wergiljusz nie marzył, a czego Horacjusz się obawiał, że obaj poeci już w pierwszym po Chrystusie wieku, stali się autorami i... ofiarami szkoły. Na ich pieśniach zaczęto tedy wprowadzać

[1]) Przeciwko krytykom Wergiljusza.

nietylko do tajników poezji, ale nawet języka, oni zaczęli nadto służyć retorom za podkład, na którym i nad którym wybujała kwiecista deklamacja. Niebawem, już w pierwszym i drugim po Chr. wieku, pojawiać się zaczęły uczone tych poetów komentarze. Objaśnienia Horacjusza trzymały się więcej tekstu poety i opatrywały go przeważnie zdawkową gramatyczną i retoryczną teorją. Inaczej się działo z Wergiljuszem. U tego autora począwszy od Aeliusa Donatusa (ok. 350 po Chr.) zaczęto dociekać tego, co nietylko w tekscie, ale rzekomo poza tekstem się kryje, wietrzono wszędzie jakąś mądrość przysłoniętą i allegoryczną. Wergiljusz uchodził więc odtąd za naczynie wszelkiej i głębokiej wiedzy, zaliczano go nawet do filozofów i z tym nimbusem przeszedł on do średnich stuleci. Chrześcijańscy autorzy pomnożyli znacznie cześć dla Wirgiljusza; jego czysta dusza i rzekome przepowiednie w czwartej eklodze jednały mu wielbicieli w tych kołach; a św. Augustyna poruszały nawet losy Dydony do łez rozrzewnienia. Dante,* pałając bezmiernie czcią dla poety i myśliciela, wybrał więc Wergiljusza na przewodnika po zaświatach. Nie zanurzył on rzymskiego poety w piekle, lecz umieścił wśród tych, którzy bez własnej winy prawdy nie posiedli. Chrześcijanie litowali się zawsze nad poganinem, którego Chrystus odkupić nie zdołał. I w Mantui śpiewano jeszcze w XV w. po kościołach pieśń o pielgrzymce św. Pawła na grób Marona w Neapolu. Średnie wieki z miłości dla Eneasza sprzyjały raczej Trojańczykom. Jeszcze też zdobycie Konstantynopola w XV w. przedstawiali niektórzy jako odwet Trojan, bo Teukrów identyfikowano z Turkami. — Wśród literatury średniowiecznej odznacza się wybujałem alegoryzowaniem komentarz Fabiusa Fulgentiusa do Eneidy (wiek VI). Kręte zaś wywody pewnego gramatyka, który się nazwał Virgilius Maro (ok. 500 po Chr.), graniczyły już prawie z obłędem, lecz niemniej cieszyły się wzięciem ogromnem u ludzi. — Baśń ludowa także uczepiła się wcześnie Wergiljusza postaci. Pod Neapolem wyrósł on na czarodzieja, któremu przypisywano rozmaite wyroby, wynalazki posiadające siłę i skuteczność czarów. I niema prawie drugiego pisarza, któregoby średnie wieki taką czcią otoczyły i taką legendą oplotły.

Tymczasem Horacjusza los i jego prosta poezja ustrzegły przed takim kultem przesadnym. Pisał on zawsze dla kół wybranych i w średnich wiekach nie zdobył sobie również szerokiej popularności. Jego sentencje cieszyły się tylko większem powodzeniem i częstokroć u autorów średnich wieków wybrzmiewały jako hasła.

A po wędrówce przez wieki znaleźli się obaj pisarze wobec człowieka nowożytnego i stanęli przed nim żywi i nieśmiertelni. Wiek piętnasty i szesnasty obudził zmysł dla pięknego ich języka; nowi ludzie nie szukali już w nich tajemnic ukrytych, lecz w głębie tajników rzeczywistych ich pieśni i duszy wniknąć usiłowali. I stoją ci poeci w dalszym ciągu przed nami jako prawdziwi słowa czarodzieje, żyją z nami jako przyjaciele, pocieszyciele, szafują swemi dźwiękami, jasnością i jędrnością, ku błogosławieństwu ludzi, piśmiennictw i narodów. Obok Greków przypadło im to posłannictwo w udziale. Bo Rzymianie byli wprawdzie na wielu polach naśladowcami (mimetikoi), ale umieli obce nabytki według swego ducha i potrzeb przekształcać i rozwijać. I w literaturze ich spływały na greckie naczynia natchnienia rodzime, narodowe; duch rzymski tak wyraźne piętno na swych wytworach częstokroć wyciskał, że ta literatura rzymska wyrosła na coś odrębnego i odrębnych a owocnych natchnień nie skąpiła nigdy tym, którzy z miłością wnikali w jej ducha. A wśród pisarzy, którzy ogień i światło przejęli od Greków, aby żagiew życia, coraz nowym podsycaną żarem, przekazać następnym pokoleniom, stoją w pierwszym rzędzie między Rzymianami dwaj serdeczni przyjaciele, którym poświęciliśmy niniejsze karty, Wergiljusz i Horacjusz. Pierwszy był w średnich wiekach nietylko wzorem dla poetów, lecz i doradcą ludzkości; nie znajdziemy zaś chyba drugiego poety, któryby ludziom nowożytnym tyle udzielał codziennie przestróg, rad i wskazówek jak Horacjusz. Najwyższą to cechą nieśmiertelności poety, że słowa jego dotąd się przyoblekają w życie a myśli przeobrażają w działania.

ADAM GRZYMAŁA SIEDLECKI. [1])

Z przedmowy do dzieła p. t. *Wyspiański*, wyd. drugie, Warszawskie b. d.

...Wyspiański miał się za reformatora spraw narodowych. Nie zgodziłby się za nic, by jego poezję uważać za dzieło sztuki jedynie. Pragnął ją mieć za czyn i zdarzenie społeczne, historycznie aktywne. Pod tym względem podzielał auto-opinje przygniatającej większości naszych poetów i pisarzów, od ery Kadłubka począwszy.

[1]) Adam Grzymała Siedlecki, ur. 1876, wcześnie oddawszy się działalności krytyczno-literackiej i publicystycznej, prócz licznych prac, ogłoszonych w różnych pismach, wydał osobno: studjum o St. Wyspiańskim (1908 i 1918); *Galerja moich bliźnich* (1911); powieść *Samosęki* i in.

Republikańska skłonność do stanowienia o losie narodu była przyrodzoną cechą naszych pisarzy od najdawniejszych czasów, ale dyletantyzm, czyli łatwość pokonywania trudności w sprawach, znanych tylko z teorji, stała się udziałem dopiero literatury porozbiorowej. Kochanowski lub Krasicki, Herakljusz Lubomirski lub Wybicki, pisarze XVI—XVIII wieku przemawiają publicznie w materjach politycznych nie dlatego, że są poetami czy filozofami, lecz dlatego, że są, jako szlachta, elektami króla, senatorami czy urzędnikami, wreszcie wyborcami posłów lub na posła możliwymi kandydatami. Po rozbiorach, a więc od czasów romantycznych począwszy, poeci i belletryści piszą w sprawach ojczystych dlatego, że nie są urzędnikami i politykami i że politykami by nie chcieli być. Na tle bowiem depresji po utracie niepodległości, a jeszcze bardziej po przegranej wojnie 1831 r. powstaje w inteligencji polskiej przekonanie, że wszelka fachowa działalność uprawnionych politycznych czynników bywa zasadniczo zawodna; ponieważ politycy to nie ustrzegli ojczyzny od zguby, więc o losie narodu powinni myśleć nie statyści i mężowie stanu, lecz ludzie absolutnie odmiennego pokroju: ludzie natchnieni, ludzie obdarzeni bezpośrednią komunikacją z Duchem Świętym, w których rękach może jeszcze leży zbawienie dla Polski, dla tego społeczeństwa, które wyczerpało już wszystkie ziemskie i doczesne sposoby wywalczenia sobie lepszej przyszłości. Rozpoczęły się tedy nowe metody dźwigania dziejów: lekarzów zastąpili czarodzieje. O najbardziej konkretnych, metodycznych i taktycznych zagadnieniach mówiło się językiem proroków i kategorjami czwartego wymiaru. Pierwiastek «niewiadomego» stawał się regulatorem rzeczywistości, cud przyjmowany był jako obliczalny współczynnik, a cała skala fantazji jako obowiązujący program. Poeci nie opuszczali fundamentu irracjonalności, tej podstawowej funkcji sztuki — i na tym terenie budowali wymiary, ustawy i prawa dla dnia powszedniego. Rozpoczął się okres wieszczenia.

W analizie polityki naszych romantyków — ciągnącej się zresztą nieprzerwanie aż do dnia dzisiejszego — niedocenionym bodaj pierwiastkiem jest wpływ Skargi i karjera jego kazań. Nie z tych przyczyn, które wyłuszczał wielki kaznodzieja, upadła Polska, ale nikt nie odwróci faktu, że on to wieszczym duchem przewidział wynik ostateczny. Dopóki trwała niepodległość, Skarga nie uchodził za wielkiego polityka, ale natychmiast po rozbiorach roztoczyła się nad nim aureola, rozpromieniona ostatecznie w wykładach Mickiewicza na katedrze kolegjum francuskiego... Dla poetów romanty-

ków był też Skarga gotowym prototypem myślenia politycznego... I romantyka nasza w mówieniu o ojczyźnie wzięła wszystkie sposoby Skargi: namaszczenie, religijne spojrzenie na doczesność, moralistykę, jako podstawę w wyborze dróg działania, wreszcie wywyższony wymiar rzeczywistości, rozciągnięcie jej krańców aż do bezkresu wieczystości. Wzięła też gotowy wzór wieszczenia.

Publicystyka romantyczna, wierszowana czy poetycka w prozie, przetrwała aż do naszych czasów. Pozytywiści polscy — psychicznie nachylali się ku romantyzmowi. Rozsnuwali oni jeśli nie romantyzm, to idealizm praktyczności, a z żarem romantycznym głosili absolut trzeźwości. Po nich, jako najnowsza fala politykujących posłów przyszła belletrystyka P. P. S., przeciwstawiająca się ofiarnemu kompromisowi pozytywizmu, jawnie nawiązująca się do ideałów romantyki. Zmieniły się hasła, ale duch polityki literackiej pozostawał ten sam: wołanie o górność dusz, poniechanie rzeczywistości, wpisywanie narodu w zakon zaprzysiężonych utopij i nieustanna a od Mickiewicza niezmienna troska, by świat Polską zadziwić; żądza wyjątkowości, spleciona tyle z instynktu religijnego Polaka, ile z jego próżności.

Czemże jest Wyspiański, jako poeta polityczny na tle tak pojmowanego piśmiennictwa naszego w wieku XIX-ym i XX-ym?

Jest on poniewoli nieodrodną cząstką metafizyki politycznej, a w pozorach i w gorącej swej intencji protestem przeciwko teologji polskiego patrjotyzmu.

Cały rozmach woli i umysłu Wyspiańskiego skierował się przeciwko naszemu idealizmowi. Nie wierzy on przedewszystkiem w ów idealizm, podejrzewa go o nieszczerość. *Poemat dla romantycznych głów,* — zaczyna ów idealizm w swojem i autora imieniu Chłopicki z *Warszawianki.* Jako komedjanctwo wystawia skutki i przeobrażenia idealizmu — *Wesele.* W *Wyzwoleniu* Konrad uderzy wprost i jawnie w smętki polskie, w żądzę poetyczności. Nie wierzy Wyspiański w szczerość polskich dusznych mszy, zionie jadem przeciwko mesjanizmowi, jak i przeciw otulaniu się w słodycz przeszłości *(Kazimierz Wielki).* Maski! maski! maski! I rzekomy idealizm maska, i literatura patrjotyczna, i strasznie polskie miny, i melancholja narodowa, i uroczyste obracanie się w kolisku zagadnień narodowych, ów nieustanny od roku 1795 sejm polskiej inteligencji, który się Wyspiańskiemu wydaje już li tylko gadulstwem — wszystko to: dalsze lub bliższe refleksy rasowego lenistwa. Mówią, debatują, wieszczą, boleją, biją się w piersi, by nie mieć czasu na pracę. Podjudzają w swej poezji naród do czynu,

do naśladowania Kościuszki, a gdyby rzecz stanęła, jako rzeczywistość — odegralibyście akt trzeci *Wesela*, admirowalibyście chłopa z kosą, czy chłopa z karabinem maszynowym, podziwialibyście ruch z punktu widzenia artystycznego, strzelalibyście we wroga sonetami wojennemi. *Poemat dla romantycznych głów.*

Lenistwo, wyniesione z czasów pańszczyźnianych, kiedy chłop za nas wszystko odrabiał, staje przed Wyspiańskim jako złowrogie (no i może anachronistyczne) streszczenie ojczyzny. Z tego lenistwa, przeniesionego z mięśni na duszę, rodzą się, zdaniem Wyspiańskiego, smętki, poetyczności, nirwany histeryczne, gadulstwo mózgów, bezwtórczość, bezinicjatywa, grandezza bezczynności. We wszystkiem i zawsze szuka Polak linji najmniejszego wysiłku, załatania, nie załatwienia sprawy. Stąd płynie dekoratywność naszych usposobień, owe *pawie piórka*, usymbolizowane w *Weselu*, delja k a r m a z y n a w *Wyzwoleniu*, pióropusze nokturnowe w *Warszawiance*, pseudo tragedja d z i e n n i k a r z a przed Stańczykiem, upajanie się wernyhoryzmem, wiara w cudowne, poza naszym trudem, zbawienie Polski, wiara w amulety, w złote rogi, zapadanie w senne tańce dokoła pustki, uchodzenie w «grobowe leża i piwnice», poprzysięganie się grobem, lgnienie do wygodnej poezji śmierci *(Wyzwolenie)*. I tak to wszystko nienawistne Wyspiańskiemu, że już nie chce odróżniać istoty rzeczy od pozoru — nietylko na falsyfikat, ale i na samą rzecz rzuca anatemę, przeklina nietylko fałszywy idealizm, ale i sam idealizm; nietylko komedjanctwo, ale i poezję; nietylko gawędziarstwo patrjotyczne, ale nawet i myślicielstwo patrjotyzmu: Konrad *Wyzwolenia* marzy o ujrzeniu rodaków, którzyby nareszcie nie mieli imienia Polski na ustach, którzyby byli przeciętnymi twórcami swojego osobistego życia. Tak jest, wprost o przeciętność Polaków wołają niektóre karty *Wyzwolenia*.

Ponieważ Wyspiański był artystą, poetą — więc z całego kompleksu zjawisk polskich najbardziej go obchodziła i najbardziej mu była znana sztuka i poezja ojczysta, — tym też działom ducha polskiego mimowoli przypisywał najbardziej decydujące dla narodu znaczenie. Tak, nie bez odcienia manji upatrzył sobie, że poezja porozbiorowa, a więc przedewszystkiem romantyzm, a jeszcze silniej mesjanizm rozkładająco działa na duszę polską. Pierwszy spór z romantyzmem stoczył już w *Warszawiance* ustami Chłopickiego; dalszy ciąg sporu podejmuje zań Kazimierz Wielki w poemacie tego tytułu. W *Weselu* pokazuje karykaturę romantyzmu, uplastycznioną w pokoleniu ludzi z zarania XX stulecia, wreszcie

streszcza się i do pewnego rodzaju furji przeciwromantycznej dochodzi w *Wyzwoleniu*, które, będąc naogół chybionym bodaj utworem artystycznym, pozostanie dla nas jako najwymowniejsze świadectwo narodowych bólów i oskarżeń Wyspiańskiego. Tutaj walka z romantyzmem jest już otwarta. Stają naprzeciw siebie dwa romantyzmy, jeden niejako hipotetyczny, taki, jakim mógł być dla dziejów polskiej duszy: — to Konrad; drugi taki, jaki jest, jaki się stał, jaki wyrósł na ugorach polskiej psychiki: — to ów Genjusz...

...Zdaniem Wyspiańskiego, romantyzm na swój sposób podsycał jeno i utrwalał senność polskiej bierności, rozleniwienia woli, dawał w ręce rodakom nakaz idealizmu, w który się oni stroją na święto, którym zakrywają pustkę i antytwórczość; zasłaniają nim niewiarę w Polskę niepodległą, uczą się odeń smutku, by smutkiem zastawiać się przed czynem etc. etc... To jakby jeden filar, na którym się wspiera gmach zła polskiego. Drugim filarem — bliźniaczo podobnym — będzie dlań klątwa szlachetczyzny. Buta, pycha, niekarność, warcholstwo, egoizm, oligarchja, a znowu fanfaronada, a znowu lenistwo pańszczyźnianego dziedzica, przechowane aż do naszych czasów jako lenistwo woli i zanik istotnej twórczości życia (wypływu pracy), niezdolność do skupionych, długotrwałych wysiłków, wieczyste *liberum veto* i wieczyste «jakoś to będzie» — słowem to wszystko, co się kręci w podziemiach *Wesela*, aż wypłynie w finale sztuki w postaci zaspanego na śmierć tańca, na to wszystko Wyspiański patrzy, jako na produkt szlacheckiego instynktu, słowiańskiej nirwany, wzmożonej ustawowem próżniactwem. Jak za dawnych czasów szlacheckich Rzeczypospolitej, tak i dziś Polak gotów jeszcze wylecieć w pole, «pohańców bić», «po pyskach prać», byle to trwało krótko, — byle się szybko zakończyło i dał możność napowrót wrócić do «szkleny», do anegdoty, do nieobowiązującego, biernego patrjotyzmu, do pieszczenia się artystyczną koncepcją Polski, które to pieszczenie — zdaniem Wyspiańskiego, — jest czemś w rodzaju śnienia na jawie. Dlatego to Stańczyk mówi Dziennikarzowi: «Wy wolicie spać».

Oto jest negatywna, burzycielska strona ideologji narodowej Wyspiańskiego. Jakiż jest pozytyw, wskazanie, program reformy?

Oczywiście taki, któryby wykluczył obie zasadnicze podstawy zła: idealizm, *vulgo* romantyzm i szlacheckość, *vulgo* lenistwo ducha. Polska musi się stać pragmatyczna... i z ducha chłopska. Wystarczy zresztą, gdy będzie chłopska, a już będzie pod względem narodowym pragmatycznie patrjotyczna. Będzie wolna od blagi narodowej, nie zarażona «poetycznością», nie mająca na ustach

Polski «aż do obrzydzenia», ale nieugięcie choć bezwiednie polska, twarda, wytrwała i karna — jak mniema w swojej marzycielskości poeta; nie zmorfinizowana melancholjami niewoli, zapobiegliwa o swoje, zdolna do niezmęczonego wysiłku, pełna zadziwiającej woli trwania, niezrażona przeciwieństwami, zprosta mądra, a gdy posłyszy apel — bez dekoratywności bitna, gotowa na śmierć, jak Wiarus *Warszawianki*, bez noszenia w tornistrze sonetu o pięknym zgonie, słowem bez kokieterji i flirtu z potomnością.

...Wyspiański chce znać wszystkie wady Czepców i Wiarusów i nietylko pomimo tych wad, ale nawet i z powodu tych wad upatruje w chłopie najlepszy model dla idealnego Polaka... Chce, jak Konrad *Wyzwolenia*, by Polska była taka sama, jak inne narody, by miała zalety i wady, z tem tylko zastrzeżeniem, by zaletami czy wadami służyła ojczyźnie do zdobywania przyszłości. Zalety i wady inteligencji wydają mu się jałowemi, bezpłodnemi, nieużytecznemi dla przyszłości polskiej, natomiast cnoty i błędy chłopa ma za realny grunt, widzi w nich całokształt życiowo celowy i zdrowy... Więc spiastowić się z powrotem, rozpocząć od nowa, od kołodziejskiej pracy nad rydwanem polskiego, dziejowego pochodu, w każdem przeznaczeniu, stanie i powołaniu być podobnym chłopu w zaciekłości życiowej, twardości, pracy, woli, w celowym egoizmie, małomówności a wielotrudzie, wytrwałości, karności; przejść w wychowaniu narodowem nie przez prawo sejmowania i sejmów zrywania, lecz przez pańszczyznę dla dziedzica — Ojczyzny; znosić jej swój plon żylastych rąk i żylastego ducha, dać sobie rozpruć swe ciepłe wnętrzności, gdy ona zziębła i trza ją ogrzać; a losowi nie ustępować, pazurami drapać ziemię, gdy pługa po pożodze nie staje, a w każdym dopuście historji być owym legendarnym piastem Łokietkiem: nigdy, jak on, nie tracić otuchy; jak on, ze zbójami nawet być w jaskiniach w przymierzu, byleby tylko zebrać ojczyznę w kupę i naprzekór wrogim siłom dojść do swego, z niczego, z wygnania, z żebractwa dotrzeć do tronu i korony, usadowić się na swojem, jak tyle dzielny co i przecherny gospodarz, a wtedy dopiero potomnym pokoleniom zostawić Polskę, by się mogła stać już Kazimierzową, świetną, murowaną, europejską. Słowem, być zawsze Czepcem, Wiarusem i piastem-Łokietkiem.

STANISŁAW WITKIEWICZ. [1])

Z artykułu p. t. **Największy obraz Matejki.** [2])

(Sztuka i krytyka u nas 1884—1898; Lwów 1899).

...Można drwić sobie z praw społecznych, zwyczajów i obyczajów towarzyskich czy narodowych, właściwości etnograficznych, zależności ich od natury ziemi; można nie dbać o prawa ciążenia ciał, o drogi nakreślone planetom i słońcom; o prawa życia i rozwoju jestestw organicznych; można zburzyć, zniszczyć, przemieszać całą loikę świata żyjącego, rzeczywistego i być pomimo to krańcowym realistą w malarstwie pod warunkiem: zachowania loiki światłocienia, harmonji barw i ścisłości kształtu, kształtu nietylko w znaczeniu powtórzenia form rzeczy znanych, lecz również w utrzymaniu prawdy stosunku jakiejkolwiek danej bryły do oświecającego ją światła.

Malarz może kazać rosnąć różom na pustych szczytach tatrzańskich, liljom kwitnąć nad rozpadlinami lodowców; może zaludniać głębie mórz pięknemi kobietami, może na kłębach chmur stawiać pałace i wieże świątyń, może przez błękit nieba kazać iść lub lecieć tłumom ludzi, koni, smoków, aniołów lub anielic; może wprowadzać do codziennych warunków rzeczywistego życia najbardziej nieprawdopodobne pierwiastki z punktu widzenia przyrodniczego i społecznego i być zawsze prawdziwym, zawsze naturalnym.

I naodwrót, najpospolitsza scena, najzwyklejszy sprzęt codziennego użytku, najściślej naturalne stosunki ludzi, rzeczy i zjawisk, mogą być przedmiotem obrazu całkiem nieprawdziwego z chwilą, w której środki artystyczne malarstwa — kształty, światło, barwa — będą użyte nieprawdziwie, w sposób konwencjonalny, stylowy, manieryczny, umówiony.

---

[1]) Stanisław Witkiewicz (1854 — 1915) zdobył rozgłos świetnemi studjami krytycznemi: Mickiewicz jako kolorysta, *Sztuka i krytyka u nas, Jan Matejko Jacek Malczewski, Juljusz Kossak* i innemi.

[2]) Jan Matejko (1838 — 1893) niemal całe życie spędził w Krakowie; najsławniejsze płótna: *Kazanie Skargi*, 1864; *Reytan czyli upadek Polski*, 1867; *Unja Lubelska*, 1869; *Stefan Batory*, 1872; *Bitwa pod Grunwaldem*, 1878; *Hołd Pruski*, 1882; *Zamojski pod Byczyną*, 1883; *Sobieski pod Wiedniem*, 1883; *Bolesław Chrobry w Złotej bramie*, 1884; *Dziewica Orleańska*, 1886; *Kościuszko pod Racławicami*, 1888.

Otóż o tem wszystkiem nie wiedziała estetyka i krytyka, nie wiedzieli znawcy, nie słyszała publiczność i sądząc malarstwo z punktu pojęć, tak od niego odległych, tak mało związanych z jego istotą, jego szczególnemi przymiotami, jako samodzielnego odłamu sztuki, rozklasyfikowała jego dzieła pod względem wartości i charakteru w sposób całkiem fałszywy.

Rozdział malarzy na idealistów i realistów, na tych, co «podnosili ducha» i na tych, co się «tarzali w błocie wobec natury» — podział obrazów na «głębokie dzieła twórczej myśli» i na «obrazki, przedstawiające rodzajowe (?) sceny powszedniego życia» — został przeprowadzony na zasadzie znaczenia, jakie dla sądzących miały pewne rzeczy i wypadki, przedstawione w obrazach.

Idealista był ten, co malował aniołów, madonny, grobowce pod cieniem cyprysów, sceny smutne lub dramatyczne, sieroty, dobre uczynki, ludzi dobrych, piękne kobiety, owinięte w draperje, ruiny zamków; kto malował ludzi dawniejszych, ilustracje do dzieł historycznych, którego figury ubrane były w starodawne szaty i zbroje, piły wino z pucharów i podpierały się czekanami... i t. d. i dalej.

Realistą zaś był malarz, przedstawiający deszcz jesienny, błotnistą drogę, ludzi zdrowych i wesołych, obdartego dziada, eleganckie współczesne kobiety, wnętrza nowoczesnych domów; wiejskie dziewki, pijaków, życie dzisiejsze, ludzi bez «historycznego znaczenia», surduty, sukmany, juchtowe buty i bose, bez sandałów nogi, zwyczajne laski do podpierania się i przedmioty powszechnie znane w życiu codziennem.

Idealistą był ten, co malował Julję, przebijającą się sztyletem z miłości, realistą, kto przedstawiał Basię, trującą się łebkami z zapałek z tego samego powodu.

Realistą był ten, co rysował stójkowego, zatrzymującego rozbiegane konie, idealistą był ten, co malował hajduków miejskich, uzbrojonych w halabardy, ubranych w aksamitne kurty i stalowe hełmy z pióropuszami...

Klasycyzm i romantyzm literacki, które między sobą stoczyły śmiertelną walkę, podawały sobie ręce i w zgodzie zasiadały na tronie krytyki z chwilą, w której chodziło o malarstwo lub rzeźbę albo i najnowsze kierunki w literaturze...

Wynikiem tego oceniania dzieł sztuki plastycznej ze względu na moralne lub umysłowe pojęcia, wyrażone w ich temacie; tego, przenoszenia literackiego punktu widzenia do malarstwa; tej kom-

binacji reminiscencyj różnorodnych oderwanych teoryj, nie liczących się z samym faktem konkretnym, jakim były już istniejące dzieła sztuki — stało się najfałszywsze rozsegregowanie artystów.

Rzeczywiści r e a l i ś c i dostali się do raju idealnego, zręczni kuglarze techniczni policzeni między «głębokich wyrazicieli ducha dziejów»; tęskni marzyciele, włóczący melancholję swojej duszy wśród mroków jesiennego wieczoru — między «brudnych realistów»; malarze, przedstawiający jeden i ten sam motyw uczuć, ten sam nastrój psychiczny, zostali rzuceni na krańce przeciwnych biegunów ze względu na krój sukni lub imię bohaterów swoich obrazów.

Pobudką do rozróżniania kierunków, wobec zupełnego nieuctwa krytyki, stawała się nawet wielkość płótna, gatunek farby, woda lub olej, jednem słowem wszystko oprócz charakteru samego dzieła sztuki malarskiej, wyrażającego się w sposobie użycia barwy, światła i kształtu.

Oczywista rzecz, że kiedy wśród takiej «temperatury moralnej» zjawił się Matejko, który zaczął od s m u t n y c h i w dodatku h i s t o r y c z n y c h tematów, odrazu posadzono go w klatkę idealną, czczono za ideały, stworzono dokoła niego tak ciasną atmosferę ducha dziejów i zakrystji, dopóty spajano go haszyszem «posłannictwa», dopóty wkręcano historjozoficzne patyki w koła jego talentu, aż całkiem go rzucono ze wspaniałej drogi, po której iść zaczął — z drogi p r a w d y.

M a t e j k o j e s t t a l e n t e m m a l a r s k i m n a w s k r ó ś r e a l i s t y c z n y m.

Jak jego talent malarski, podobnież jego umysł wogóle skłonnym był do bardzo ścisłych badań, odszukiwania w historji prawdy, na ile można bezwzględnej, do odtwarzania dawnego życia przy pomocy nadzwyczaj sumiennych i pracowitych poszukiwań archeologicznych, studjów nad dawnemi zabytkami sztuki i resztkami form bytu.

Jeżeli kto ugania się za prawdziwością, autentycznością delij, butów, pasa, zbroi, spinek, sprzączek, pętelek i guzików; jeżeli kto stara się o p o r t r e t o w e i n d y w i d u a l i z o w a n i e t w a r z y; jeżeli z nadzwyczajną siłą wyraża różnorodne uczucia i stany psychiczne, jeżeli wywołuje w twarzach zupełne złudzenie życia; jeżeli swoich figur nie układa w wdzięczne, konwencjonalne pozy; jeżeli pozwala im szamotać się pod wpływem burz uczuć, bez względu na piękny układ linji: — jest to talent i umysł, dążący do przedstawienia jak najprawdziwszego życia, do wywołania możliwie

silnego wrażenia prawdy, co mu się też nieraz w sposób wspaniały osiągnąć dało...

...Matejko, obdarzony tak nadzwyczajnem poczuciem różnorodnych wyrazów uczuć, wyrazów, których żaden model dać nie mógł, który te wyrazy odtwarzał z tak zdumiewającą siłą; Matejko prócz tego, sądząc z jego obrazów i tych nielicznych studjów, jakie znam, prowadził bardzo staranne, bardzo zaciekłe badania, jakichby się nie powstydził żaden naturalista. Badania te wskutek tematów branych z przeszłości, komplikowały się przez mieszaninę poszukiwań archeologicznych i studjów czysto malarskich — jedne i drugie dowodzą jednak, że dążeniem Matejki było osiągnięcie możliwie ścisłej prawdy. Kostjumy, które sobie szył podług dawnych dokumentów, zbroje, których używał, sprzęty, bronie i klejnoty, wszystko było studjowane do obrazów lub w obrazach ze ścisłością i bezwzględnością, na jaką tylko może się zdobyć talent realistyczny, złączony z wielkim, idącym do ostatnich krańców temperamentem.

U Matejki wszystko jest żywe. Starodawne ubiory, których krój tak rażąco różni się od dzisiejszych; materje, z których one były uszyte, dające fałdy tak inne od tych, do których oko nowoczesnych ludzi było przywykłe; kształt, który one nadają ludzkiej figurze — wszystko to Matejko przyjmował bez żadnych zastrzeżeń, bez żadnego poprawiania, żadnego układania, przykrajania do konwenansu akademickiego, klasycyzmu lub modnego gustu. W tym kierunku jest on tak krańcowym i szczerym czcicielem prawdy, jak ci, co mając predylekcję do ciemnych lub brudnych stron życia, wprowadzają je do sztuki bez żadnych obsłonek i śmiesznych fartuszków.

W Matejki obrazach złotogłowia, aksamity, atłasy, futra, koronki, zbroje, skóry, delje, żupany, rękawice, buty, misiurki, husarskie skrzydła, płachty namiotów — aż do pętelek i spinek — wszystko przedstawia się ze swemi szczególnemi cechami kształtu, uderza swoją oryginalnością i drży życiem tych ludzi, którzy je na sobie noszą.

Żeby sobie uprzytomnić tę doskonałość odtwarzania natury przez Matejkę, dość przypomnieć drzwi spękane, wypłowiałą i podartą draperję, zgniecione pióro, żaboty, koronki, gwiazdy i hafty na mundurach, porozrywane pętelki kontusza Rejtana, jego pierś obrosłą i inne szczegóły w Sejmie Warszawskim; opaloną kłodę, namiot, husarską zbroję, bochenek chleba, zbroję Batorego, jako delję i tyle innych tak żywych, tak plastycznych i prawdzi-

wych rzeczy w Batorym; te przepyszne nogi zakute w stal, żelazne rękawice i misiurki, łuskowy pancerz Żyżki w Grunwaldzie; boazerje, dywany, atłasy, biblję czy krucyfiks w Unji, choćby pysk buldoga w Joannie d'Arc — i setki innych, rozsypanych z bezprzykładną rozrzutnością szczegółów — dość sobie to przypomnieć, żeby realistyczne dążenia Matejki nie potrzebowały dłuższego dowodzenia.

I trzeba było tej siły wyrazu, tego życia, jakie mają twarze przez niego malowane, żeby ich nie zabiła doskonałość sprzętów, ubrań, całego tego otoczenia tak bogatego, kolorowego, jaskrawego, wobec którego twarz ludzka jest tak ubogim motywem kształtu i barwy...

Wziąwszy z mnóstwa obrazów Matejki ten, w którym on był najbardziej sobą, kiedy jego umysł i talent szły w zupełnej harmonji, obraz, który ma wszystkie największe zalety Matejki, nie mając jego wad rażących, który zarazem przedstawia naturę wziętą najwszechstronniej — t. j. Kazanie Skargi, przekonać się można, że nawet w pojmowaniu tematów historycznych Matejko różni się całkiem od tych wszystkich historycznych malarzy, którzy malowali historję tak, jak ją pisali historycy, patrzący na dzieje przez pergamin traktatów, z podnóżka tronu lub pola bitew. Kazanie Skargi nie jest żadnym urzędowym tematem, jest sceną opartą na motywach psychicznych, czuciowych, na wyrazach twarzy, na tem, co z życia malarstwo może przedstawić, — jest to pojęte i skomponowane nawskróś realistycznie.

Malował on Skargę czującego, myślącego, mówiącego, Skargę żywego; a nie treść lub symbolikę jego słów, nie jakąś filozofję, tylko rzeczywisty na ile można go sobie przedstawić stosunek do współczesnych mu osób — do Zygmunta III-go, Zamoyskiego, Stadnickiego i innych — do całego mnóstwa ludzi, którzy zachowują się wobec słów Skargi każdy odpowiednio do swojej natury indywidualnej. Kiedy jednym miota gwałtowne wzruszenie, kiedy twarz jego drga burzą uczucia, — drugi drzemie nie rozumiejąc — inny zachowuje się dumnie — słucha, lecz czuje się na swem stanowisku wyższym nad wszystko, co słyszy. Ile figur, tyle ludzi żywych; ile twarzy, tyle kapitalnych wyrazów. Wszystko tu żyje, wszystko nosi piętno samodzielnego wielkiego talentu, dla którego nie istnieje żaden konwenans, żadna rutyna szkolna, żaden styl umówiony, żaden hamulec w dążeniu do prawdy prócz własnej osobowości tego nieodłącznego od ludzkich dzieł subjektywizmu i co za tem idzie, niestety, własnej maniery.

Obraz ten jest życiem, wziętem tak ściśle z tej strony, którą malarstwo może przedstawić najzrozumialej, najjaśniej, że gdyby, jak to z dziełami sztuk bywa, przeżył on nawet istnienie społeczeństwa, z którego wyszedł, gdyby zniknęła pamięć imion i czasów w nim przedstawionych, będzie on zawsze doskonałym obrazem ludzi, zostających pod wpływem potężnych słów mówcy. Choćby kto nie słyszał imienia Skargi, nie wiedział nic o naszej historji, wobec tego obrazu nie będzie miał żadnych zagadek, żadnych wątpliwości, ponieważ przedstawia on życie prawdziwe z jego trwałemi, wiecznemi cechami.

Jeżeli nawet patrzeć na realizm w sztuce z punktu naszej estetyki, t. j. uważać go za dążenie do przedstawienia ujemnych, podłych, brudnych, lub brutalnych stron życia ludzi i natury, i tak Matejko, wiedziony swoim pesymizmem w poglądzie na naszą przeszłość, stworzył wiele rzeczy, które idealna estetyka powinna była wyświecić i potępić.

Ten sam natchniony Skarga jak pospolicie wygląda w innym obrazie, w Sędziwoju, robiącym złoto na dworze Zygmunta III-go; Gamrat, wracający z hulatyki, Bolesław Śmiały z kochanką; Leszek i Gryfina, Kazimierz Wielki, idący na ucztę Wierzynka i te wszystkie krwawe mordy i zdrady, wypisane na jego obrazach — nie są chyba dążeniem do upiększania, idealizowania życia, a choćby do przemilczania jego stron ciemnych.

Jeżeli odsuniemy z jego obrazów «mistrzostwo kolorytu», którego w nich niema, a co krytyka nasza uważała za główną ich zaletę, za znamienną cechę talentu Matejki; jeżeli odrzucimy z nich symbolikę barw i linji, historjozofję, idee, głęboką treść dziejową, posłannictwo apostolskie i wszystkie inne nimbusy, któremi go otoczyła opinja społeczeństwa i teorje idealno-realnych estetyków, a które Matejko uznał niestety za swoje, — jeżeli jego sławę obedrzemy z tego całego szychu frazesów, w które go ustroiła niewiadomość, nieuctwo jego otoczenia, — Matejko pozostanie jeszcze olbrzymim talentem, nieporównanie wielką i samodzielną indywidualnością — malarzem, który pewne strony natury odtworzył z niesłychaną siłą i prawdą, który w pewnym kierunku stworzył rzeczywiste arcydzieła i który zresztą pozostawia dowody, że w jego talencie leżały pierwiastki wszechstronniejszego przedstawienia życia — pierwiastki zmarnowane bądź wskutek oddziaływania sfery, w której Matejko żył i tworzył — bądź też wskutek właściwości jego własnej organizacji psychicznej.

Kiedyś, gdy przebrzmią echa... polemicznej walki, kiedy w za-

pomnienie pójdą opinje dzisiejszego społeczeństwa, kiedy talent Matejki przestanie służyć za oręż do walki między teoretykami, za hasło lub tarczę dla pewnych ciasnych bieżących opinij i interesów — kiedyś przyszłe pokolenia będą go podziwiać za to, czem był rzeczywiście: czcić jako wielkiego przedstawiciela dążeń do opanowania i wyrażania p r a w d y, ż y c i a w malarstwie, jakimi byli zresztą wszyscy artyści wszystkich ludów i czasów.

JAN BOŁOZ ANTONIEWICZ.

Grottger. [1])

Wojna Artura Grottgera (W wyjątkach).

Nie zapomnę nigdy czterech miesięcy, spędzonych w r. 1894-ym podczas «Wystawy sztuki polskiej 1764—1886» w stałem i ciągłem obcowaniu z tym wielkim cyklem.

Przestrzegając i w technicznem ułożeniu tej wystawy rozwoju i następstwa chronologicznego, umieściłem w pokoju poprzednim dzieła Kossaka. Ile biło z nich zdrowia, zadowolenia, spokoju, jak świeciły zdala tym sytym a wesołym akordem purpury hetmańskiej i zieleni pól ojczystych! Jaka czerstwa i śmiała rytmika zdrowego realizmu z nich się odzywała!

Odwracając się na progu, widziało się *Wojnę* Grottgera. Imponowała ona swą poważną, żałobną, prawie jednobarwną szatą i wzruszającą do głębi melodją linij, zrodzonych poniekąd bez współdziałania materji, jako czysta, niemal abstrakcyjna emanacja samego ducha twórczego.

---

[1]) Tom XI wydawnictwa p. t. *Nauka i Sztuka*, Lwów-Warszawa, b. d. Podaje się tu kilka tylko wyimków, omawiających ostatnie i najsławniejsze dzieło Grottgera, *Wojnę*.

A r t u r G r o t t g e r, ur. 11. XII. 1837 w Ottynowicach, w Małopolsce wschodniej, kształcił się w domu, później we Lwowie od 1848—52 pod kierunkiem Juljusza Kossaka; po śmierci ojca dzięki stypendyjnym zasiłkom uczy się w r. 1853 malarstwa w Krakowie w Szkole Sztuk Pięknych, następnie w Wiedniu w Szkole malarstwa od 1854 —1858. Okres ten wydał 26 akwarel, 2 obrazy olejne i 5 kompozycyj rysunkowych, kończy się zupełnem usamodzielnieniem. Po krótkim pobycie w Monachjum bawi znów w Wiedniu, (4 większe obrazy olejne); od r. 1861—1865 powstają trzy pierwsze cykle: *Warszawa, Polonja, Litewski bór;* w r. 1865—66 bawi w kraju, komponuje *Litwanję*, ostatni rok spędza w Paryżu, wydaje cykl *Wojnę*. Umiera 13 grudnia 1867 r.

Czuło się odrazu: nad tem dziełem pracowały moce inne, potęgi ze świata wyższego. Kształty, występujące z żółtawego tła tych kartonów, pochodzą z innej sfery, niejako z innej planety duchowej. Jak raca wśród całej rzeszy małych ogni sztucznych, tak wystrzela to dzieło ponad całą masę współczesnych produkcyj artystycznych myślą śmiałą i lotną, pnącą się ku niebiosom.

Szybkość i nagłość rozwoju narodowej myśli twórczej zdumiewa, śmiałość tej linji myślowej zachwyca, szczytność jej porywa. Stając wówczas tak często na tym progu, między sztuką Kossaka a Grottgera, pierwszą zrodzoną z realistycznej rytmiki, a drugą z idealistycznej metodyki, pytałem się siebie tylekrotnie, czy którykolwiek inny naród słowiański — a przecież one wszystkie dopiero w XIX w. zdobyły sobie sztukę narodową — może wykazać rozwój tak szybki, tak gwałtowny, a szczytny? Niewątpliwie: Polska góruje nad produkcją artystyczną pobratymczych plemion, a góruje przedewszystkiem ideą i idealizmem. Jeżeli się pytamy, jakie dzieło nadało jej najpierw tytuł prawny do tej wyższości duchowej, to musimy odpowiedzieć: «Dziełu temu jest na imię *Wojna*». A ta *Wojna* Artura Grottgera, to przecież dzieło bez delji, bez kontusza i czamary, pozbawione wszelkiej lokalnej cechy w jakiemkolwiek znaczeniu, rzeczywistem czy przenośnem.

Wielkie hasła, dziś zatracone lub, chciejmy wierzyć, że tylko przygłuszone, -brzmią dokoła tego cyklu. Słowo: «ludzkość» przoduje, jak okrzyk herolda, jego jedenastu obrazom, strzela z niego energja ekspansywnej myśli, kreśląc na kartonach węglem i kredką szyllerowskie *credo*, że jest «rzeczą małą, nędzną pisać historję jednego tylko narodu».

Odczuł i oddał Grottger ból swego narodu. Ale czy ten naród jeden tylko cierpi? Odczuł i oddał grozę i zbrodnię wojny — powstania! Ale czy powstanie to, którego był duchowym uczestnikiem i którego dzieje przeżył z kredką w ręku, począwszy od «Pierwszej ofiary» rozruchów warszawskich aż do ostatniej, ginącej w pożarze litewskim *Boru*, jest wojną jedyną? Przedstawił on oblicze rodaka, pałające natchnioną i namiętną walką, zdjęte grozą śmierci i ludzką rozpaczą. Ale czy tylko polskie oblicze rozognia się w walce namiętnej i mieni się w obliczu śmierci?

Czyżby to jego serce biło tylko dla rodaka, a nie dla bliźniego? Czyżby ten rozum serca umiał sądzić tylko krzywdę Polski, a nie miałby być przystępnym dla krzywdy ludzkiej wogóle? Czyżby naród i ludzkość nie były mu pojęciami etycznie współmiernemi? W duszy Grottgera granice te teraz się zacierają. Mechanizm dziejów

i cierpień narodu olbrzymieje teraz w jego myśli i staje się mechanizmem dziejów ludzkości. Myśl jego, lotem białego orła okrążyła Warszawę, przeleciała nad żyzną, krwią zbroczoną ziemią mazowiecką, nad słupem płomieni litewskiego boru i znowu powróciła do swego skalistego gniazda. A gdyby szerszy jeszcze krąg zatoczyć — tam, gdzie się mrowią miljony dusz ludzkich?...

Idea zasadnicza, z której powstały cztery poprzednie cykle, rozszerza się teraz na ludzkość. Zrównanie nie zmieni się, gdy artysta podstawi w niem w miejsce Polski wyższy czynnik: ludzkość całą!

Wojna Grottgera ze swoją ideą tak ogólną oświatową, uniwersalną, rzekłbym: kosmopolityczną, gdyby w pojęciu ogółu to wielkie słowo nie było — niestety i błędne zupełnie — zarazem negacją pierwiastku narodowego, jest zatem w zawiązku swoim dziełem ducha narodowego, jest dziełem narodowem w sensie innym i wyższym, niż tyle i tyle innych dzieł, zamykających się trwożliwie w granicach wąsko pojętej swojskości. Wielka linja duchowego rozwoju narodu prowadzi przez sam środek tego cyklu, tak samo, jak przez «Bitwę Grunwaldzką» Matejki. Badania nad tym cyklem, nad jego treścią myślową i historją jego powstania tracą też prawie już wszelką cechę zawodową i stają się częścią składową badań nad historją i kulturą narodowego ducha.

Jeśli kiedy jakiś umysł, ogarniający całokształt rozwojowy naszego narodu, zakreśli śmiałą ręką jego dzieje, choćby tylko porozbiorowe, wtedy poznamy i uznamy, że ten cykl jest jednym z najwyższych punktów, do których myśl polska się wzniosła. Są dzieła myśli, które poniekąd tracą odrębny charakter owoców twórczości duchowej i stają się prawie czynami. Takim czynem jest *Wojna*...

Naród! Od sześciu lat, począwszy od intuicyjnego przeczucia przyszłych katastrof, objawiającego się w szkicach barszczowickich i w «Modlitwie konfederatów», słowo to budziło artystę naszego co rana, wabiło go tajemniczym a cierpkim swym czarem, stawało mu się bodźcem, popędem, nakazem. W czterech cyklach, którym na imię *Warszawa, Polonja, Bór* i *Lituanja* oddał się narodowi zupełnie i bez zastrzeżeń. Jest w nich atoli stały choć powolny rozwój w przedstawieniu czynników, wyobrażających naród.

W *Warszawie* mamy jeszcze społeczeństwo zwarte, objęte obwodem jednego miasta; na tle miejskich murów, pod skupieniem miejskiej katedry rozgrywa się ten prolog wielkiej tragedji.

W *Polonji* akcja się potęguje, tempo jej się przyśpiesza, serca

zaczynają bić gorączkowo. Następują po sobie naprzemian obrazy rozpaczy i bólu, sceny energicznego czynu i rozwiniętej siły — a stosownie do tego dzieli się cykl na obrazy o przeważającym pierwiastku kobiecym, to znowu męskim.

Bór, usuwając zupełnie żywioł kobiecy, a razem z nim i wszelkie znamię rodzinnego pożycia, staje się apoteozą męskiego heroizmu. Nie pyta się tu artysta, kto temu borowemu sprawę zgotował, gdy ostatni raz opuścił chatę, nie pyta się, kto nad jego trupem zawodzić będzie i grób mu wykopie. Trafiony kulą, runie powstaniec litewski na suche gałęzie leśne, jak pada z trzaskiem świerk odwieczny, zwalony wichurą, a potem znowu głusza i cisza.

W *Lituanji* wraca artysta pod wpływem nowych planów życiowych ze swym bohaterem ponownie w koło życia domowego, daje mu towarzyszkę, bohatera łączy z bohaterką. Z cichej chaty wychodzi borowy nocną porą i nocną porą znowu do niej wraca po raz ostatni — widmem i marą.

Głośnemi modłami tysięcy, stąpających za ciałem biskupa patrjoty, otwiera się koło tych cyklów, zamyka się ono cichą modlitwą, szeptaną przez jedne tylko usta — usta «aresztantki» u stóp Matki Częstochowskiej.

Krąg się zawarł. Przeszedł w nim artysta od zbiorowego nastroju przez tragiczną namiętność i heroizm do rzewności i osobistego tragizmu, od społeczeństwa przez naród i lud do indywidualizmu...

Cykl *Wojna* składa się... z 11 kartonów: 9 z nich ma format podłużny 47.5 cm. na 61 cm., a tylko w pierwszym i ostatnim format jest stojący 47.5 cm. na 31 cm. Najwcześniejsze pomysły cofają się wprawdzie aż do pierwszych dni lipca 1866 roku, ale praca nad cyklem w jego składzie obecnym... zaczyna się dopiero w Krakowie 7 września 1866. W liście datowanym z Paryża dnia 27 maja roku 1867 donosił, że obrazy zostały ostatecznie poprawione i już «bez apelacji» tak pójdą na wystawę...

Instynkt, instynkt genjusza kierował kroki Grottgera do Paryża. Nie w sielankowym zaciszu wioski żółkiewskiego «cyrkułu», nie w «mateczniku» krakowskiego rynku, nie w gwarnym ulu szlacheckiej gościnności, lecz w światowem mieście dopiero zdołała się ujawnić dzieła tego światowa idea.

Tu wieczna wre wojna, tu szpieg, tu pohańbiciel, tu świętokradca mija się z twórcą co krok, na bulwarze, w teatrze, w kawiarni, na bruku, wszędzie, gdzie spojrzy, — więcej zoczy «szakali», niż «ludzi».

Tu dopiero jest tło właściwe dla *Wojny*. A tłem tem jest Paryż, ów kolos, pożerający sam siebie co dnia, co rana, odradzający się z własnej siły piekielnej, ten potwór-moloch, budowany od wieków, w jękach, znoju i pocie czoła, miljonami rąk, miljonami mózgów «ponad siły nasze», istna budowa piramidy Cheopsa ujęta w paragrafy, budowa Niniwy — na akcje.

Teraz i tutaj dopiero, na widok tego życia — śmierci bez końca, tego kolosu w i e c z n e g o z ł a, wydobywa się cała poezja tragizmu, spowita w pierwotnym pomyśle, drzemiąca do tej chwili jeszcze po większej części w myśli twórcy tylko.

Na kirowem tle tego wiecznego zła i upodlenia żarzy się płomienna dusza Artura Grottgera i wznosi się z niej ku niebiosom płomień miłości bożej — jak z ofiarnego ołtarza Abla.

W tej fazie życia, u progu lat męskich (ale i u krańca żywota), w tej dojrzałości umysłu, wypracowanej długą walką wewnętrzną, w tem bogactwie serca, zaskarbionem najgłębszą miłością, i w obliczu tego wiecznego zła, mogą dopiero zrodzić się oba ostatnie kartony *Wojny*, razem z *Lituanją* i *Wedetą* — dzieła jego ducha i ręki najwyższe — i ś c i e n i e ś m i e r t e l n e.

Im bliżej Grottger był końca, tem głębiej i potężniej ujmował problem zasadniczy dzieła i tem wyższy znajdował dlań wyraz. W obrazie dziesiątym chwycił całą ideę najpotężniej. Tu znalazł formę najprostszą dla wyrażenia swego mistycznego pesymizmu. Zbezczeszczenie świętości — oto dzieło, na które zdobyła się ludzkość. Nieraz pytam sam siebie, czy te ostatnie trzy kartony *Pobojowisko, Zbezczeszczenie* i *Artysta przed obrazem gniewu bożego* nie są właściwie sumą cyklu całego, czy nie mówią wszystkiego, co do treści i formy, co tylko artysta chciał kiedykolwiek wypowiedzieć? Czy i tu część nie jest większą od całości? Długie miesiące mozolił się artysta nad pierwszemi ośmioma obrazami, noszącemi jeszcze i w swych kształtach ostatecznych widoczne ślady owego «nieznośnego wydłubywania». Te trzy ostatnie zaś, obok *Wedety* i całej *Lituanji* dzieła jego najświetniejsze, są owocami dziesięciodniowej pracy.

I kartony *Wojny* należy ważyć, a nie liczyć.

Przed wielu wiekami... byli myśliciele — filozofowie — ojcowie Kościoła — mistycy, — którzy budzili w ludzkości tę świadomość zła, którzy słowem i pismem dawali jej wyraz donośny, poważny i wyniosły. Ale natura ludzka tem jest ułomna czy bogata, że oko jej żąda obrazu, ucho żąda dźwięku, a umysły «tej anielskiej miary, bez której ludziom nie zda się poeta». Pierwszym,

który wypowiedział światu syntezę zła tą «anielską miarą», był Dante (około r. 1300); w dwa wieki po nim i na nim wzniósł się jeszcze wyżej Michał Anioł.* Dwa lat dziesiątki zgórą przegradzają *Psalmy* (Krasińskiego) od *Wojny*, ale kiedyś, w przyszłości, patrząc z wyżyn perspektywy wieków na przeszłość, powie się, że około połowy wieku XIX-go otrzymał naród od nich obu pierwsze t r w a ł e o b r a z y w i e c z n e g o z ł a.

Czy i po nich i na nich wzniesie się znowu kiedyś nasz przyszły Michał Anioł?

Naród, który żyje — może czekać!

JÓZEF TRETIAK.[1])

(Z referatu p. t.: **Podział historji literatury polskiej na okresy.**[2])

Podział historji literatury jakiegokolwiek narodu na okresy jest niczem innem, jak najogólniejszym zarysem rozwoju tej literatury. Czas, w którym w literaturze dokonywa się jąkiś zwrot ważny i długotrwały, jest punktem, oddzielającym jeden okres od drugiego. Wyszukanie wszystkich takich punktów pierwszorzędnej wagi daje nam podział historji literatury na główne okresy czyli epoki.

Trudność zadania polega na tem, że zjawiska drugorzędne, zwroty widoczne i niezaprzeczone, ale w porównaniu z innemi mające mniej znaczenia, nabierają nieraz w oczach naszych doniosłości pierwszorzędnej i jeżeli nie zakrywają sobą zwrotów ważniejszych, to przynajmniej stojąc obok nich, na równi z niemi, obniżają ich znaczenie i nie pozwalają na przejrzysty układ historji literatury. Do trudności zadania przyczynia się także i ścisły związek literatury z życiem społecznem i z historją polityczną danego narodu. Zmiany dynastyj lub panujących, przeobrażenia społeczne, katastrofy polityczne wywierają mniejszy lub większy, ale zawsze jakiś dostrzegalny wpływ na losy literatury, a ponieważ

---

[1]) Józef Tretiak (1841—1923), ogłosił wiele dzieł i rozpraw z zakresu piśmiennictwa polskiego zwłaszcza XIX w., najważniejsze: *Mickiewicz w Wilnie i Kownie* (1884); *A. Mickiewicz w świetle nowych źródeł; Szkice literackie; J. Słowacki, historja ducha poety i jej odbicie w poezji.* (Kraków 2 t. 1905).

[2]) Referat na zjazd historyków polskich w Krakowie w r. 1900.

są to fakta bardziej wyraziste, dające się łatwiej ująć chronologicznie od objawów życia umysłowego, więc nieraz w oczach historyków uchodzą za słupy graniczne między okresami. Już w najpierwszym podziale historji literatury polskiej, dokonanym przez Bentkowskiego[1]), rok śmierci Łokietka a wstąpienia na tron Kazimierza Wielkiego jest takim granicznikiem między pierwszym a drugim okresem, a rok wstąpienia na tron Zygmunta Starego — między drugim a trzecim. U Wiszniewskiego[2]) ostatni rozbiór Polski oddziela okres szósty od siódmego. Bartoszewicz chciałby cały podział oprzeć na zmianach dynastyj i tylko z powodu niepokonanych trudności, jakie takiemu podziałowi stają na drodze, musi od niego odstąpić. U Spasowicza[3]) rok wstąpienia na tron Zygmunta Augusta rozpoczyna okres drugi, a rok wstąpienia na tron Stanisława Augusta — okres czwarty.

Trzeba jeszcze na to zwrócić uwagę, że prawie we wszystkich podziałach (wyjątki nieliczne) skombinowane są rozmaite podstawy podziału. Więc obok zmiany dynastji lub panującego za równorzędną podstawę podziału, za słup graniczny, bierze się nieraz jakiś ważniejszy fakt z dziejów wychowania i oświaty (założenie Akademji Krakowskiej, szkoły jezuickie w Krakowie, Konarski, Czacki) albo pojawienie się znakomitych poetów (Kochanowski, Mickiewicz) albo jakiś ogólny fakt literacki, nie dający się ściśle przywiązać do daty. Za najlepszy wzór takiego powiązania różnych podstaw podziału może służyć, bardzo sumiennie zresztą opracowana, historja literatury polskiej Bartoszewicza[4]).

Tę dowolność podziałów usunąć i podział literatury polskiej oprzeć na jakiejś głębszej a jednolitej podstawie próbowali już przed pół wiekiem dwaj historycy literatury: Jan Majorkiewicz[5]) i W. A. Maciejowski[6]).

Ale próba wypadła fatalnie. Majorkiewicz oparł swój podział na zasadzie przewagi racjonalizmu lub religijności, a podzie-

---

[1]) Feliks Bentkowski (1781—1852); *Historja literatury polskiej*, 2 tomy, Warszawa 1814.

[2]) Michał Wiszniewski (1794—1865): *Historja literatury polskiej*, 7 tomów, Kraków, 1840—1845, tom 8, Kraków 1851, tomy 9—10 Kraków 1857.

[3]) Spasowicz Włodzimierz (1829—1906): *Dzieje literatury polskiej* (1863).

[4]) Juljusz Bartoszewicz (1821—1870): *Historja literatury polskiej*, Warszawa 1851.

[5]) Jan Majorkiewicz (1820—1847): *Historja liter. i krytyka*, Warszawa 1847.

[6]) Wacław Aleksander Maciejowski (1793—1883): *Piśmiennictwo polskie od najdawniejszych czasów aż do r. 1830—31.* Warszawa, 1851—53.

liwszy całą historję literatury polskiej na trzy zwroty w znaczeniu okresów, nie starał się nawet wyjaśnić, jakim to sposobem w jego podziale ludowe pieśni i podania znalazły się w jednym zwrocie z *Odprawą posłów* Kochanowskiego i *Dworzaninem* Górnickiego, a Krasicki w jednym okresie z Mickiewiczem. Maciejowski, który erudycją dorównywał Wiszniewskiemu, ale jasnością myśli i stylu o wiele niższym był nietylko od niego, ale bodaj czy nie od wszystkich innych historyków literatury, zwrócił pierwszy uwagę na pierwiastek ludowy w literaturze i to stanowi jego zasługę, ale jego podział historji literatury polskiej, oparty jakoby na ludowości i narodowości, podział na zwroty i obroty, jest szczytem elastyczności.

W ostatnich czasach, mianowicie w roku ubiegłym (1899), p. Chmielowski[1]) w tomie I swojej historji literatury oparł swój podział na podstawie przewagi warstw społecznych. Jak ta podstawa w zastosowaniu okazała się zawodną, dowiódł tego gruntownie p. Chlebowski w recenzji umieszczonej w styczniowym zeszycie *Ateneum* z r. b.

Kwestja zatem podziału historji literatury polskiej na okresy pozostaje otwartą...

Jądro literatury każdego narodu stanowi jego poezja. Ze wszystkich działów literatury ona jest najstarszą, wypływa też bezpośrednio z przyrodzonego popędu do uzewnętrznienia uczuć, myśli, obrazów w rytmicznem słowie... Chcąc zatem śledzić rozwój literatury, trzeba przedewszystkiem zwracać uwagę na poezję, na przemiany, jakim ona ulega. Wszystko inne, co zwyczajnie wchodzi w zakres pojęcia literytury: filozofja, historja, krytyka i t. d. przedewszystkiem interesować nas powinno w stosunku swoim do poezji.

Charakter, jaki przybiera poezja, przemiany, którym ulega zależne są od różnych przyczyn, w pierwszym rzędzie jednak od dwu głównych czynników: właściwości psychicznych danego narodu, jego życia wewnętrznego, i od wpływów zewnętrznych. Dlatego w każdej poezji, w każdej literaturze można odróżnić dwa główne czynniki: rodzimość i wpływ obcy. Pierwszy z tych pierwiastków nadaje literaturze jej odrębność, jej indywidualność, jej rację odrębnego bytu. Drugi wiąże ją ze wszystkiemi innemi, czyni ją ogniwem w łańcuchu powszechnego rozwoju pojęć, uczuć

---

[1]) Piotr Chmielowski (1848—1904) prócz licznych monografij i rozpraw z zakresu literatury wydał *Historję literatury polskiej* 6 tomów, Warszawa 1900.

i dążeń ludzkości. Czynniki te kojarzą się z sobą nieraz w taki sposób, że ścisłe ich odgraniczenie jest prawie niepodobnem.

Obce prądy działają zwyczajnie z początku na warstwy wyższe, więcej zbliżone do obcych społeczeństw i bardzo powoli przenikają do warstw niższych. Wytwarza się wskutek tego różnica pomiędzy literaturą stanów wyższych a literaturą albo lepiej twórczością ludową. Cechą pierwszej w porównaniu z drugą jest zwykle przewaga obcego wpływu, cechą drugiej — przewaga rodzimego pierwiastka. Z drugiej strony cechą pierwszej jest rozległość umysłowego horyzontu, obfitość i rozmaitość pojęć, obrazów, uczuć: cechą drugiej — przy ciasnym zakresie pojęć — bezpośredniość, żywość i szczerość wyrażenia.

Stosunek tych dwu sfer i tych dwóch czynników do siebie: rodzimości i obcego wpływu, może być bardzo rozmaity, a jest niezmiernie ważny. Od ich równowagi, od harmonijnego ich współdziałania zależy pomyślny rozwój literatury. Literatura, pozbawiona czucia z innemi, nie pobudzona obcemi wpływami, naraża się na zastój, na martwotę. Literatura ulegająca bezwzględnie obcym wpływom, a z rodzinnym gruntem zrywająca, skazana jest na brak żywotności i samodzielności, musi być jałową, egzotyczną, nie może odpowiedzieć zadaniu swemu: być wyrazem ducha narodowego w słowie.

Oto jest, sądzę, podstawa, na której powinien być przeprowadzony podział historji literatury polskiej na główne okresy albo epoki...

Historja (literatury) powinna być podzieloną na trzy główne epoki czyli okresy:

1) Od przyjęcia chrześcijaństwa, właściwie od pierwszych zabytków literatury łacińskiej w Polsce, do pierwszych utworów Reja, mianowicie do roku 1543, w którym się ukazuje pierwszy znany jego utwór poetycki: «Krótka rozprawa między trzema osobami, Panem, Wójtem i Plebanem».

2) Od roku 1543 do roku mniej więcej 1820, to jest do czasu wydania *Wiesława* Brodzińskiego, pisania ballad i *Ody* do młodości Mickiewicza.

3) Od roku 1820 do bieżącej chwili.

Każda z tych trzech epok da się podzielić na drugorzędne okresy i tu już podstawa podziału, uwydatniającego podrzędne zmiany, nie może być tak jednolitą, wszakże da się oprzeć przeważnie na rozmaitości obcych wpływów. Nie wchodząc w szczegółowe odgraniczenie tych podokresów wskażę tylko, że w pierw-

szej epoce z ogólnego tła da się wyróżnić czas wpływu czeskiego, mniej więcej od połowy XIV do połowy XV wieku, który przygotowuje niejako równouprawnienie polszczyzny z łaciną, jest dla polszczyzny jakby pierwszem niemowlęcem stawianiem kroków; i czas pierwszych wpływów humanizmu mniej więcej od połowy XV do połowy XVI wieku, czas, który wydaje poezję łacińsko-polską i jest niejako przygotowaniem do świetnego rozkwitu literatury polskiej pod wpływem humanizmu w drugiej połowie XVI wieku.

W drugiej epoce należy wyróżnić naprzód: okres zwyczajnie nazywany Złotym, od pierwszych utworów Reja do ostatnich Skargi i Szymonowicza, to jest do początku XVII wieku (okres skombinowanych wpływów reformacji i humanizmu); potem okres upadania literatury do końca XVII wieku, odznaczający się osłabieniem obcych wpływów, z których najwięcej uwydatnia się wpływ włoski; dalej okres najgłębszego upadku literatury i oświaty, odpowiadający mniej więcej czasom saskim, których głównym rysem charakterystycznym jest zastój umysłowy (z obcych wpływów najwięcej zaznacza się wpływ francuski, nie wywołuje jednak ważniejszych zmian w literaturze); wreszcie okres silnego wpływu francuszczyzny, który to wpływ wyrywa umysłowość polską w zastoju, dodatnio oddziaływa na nią pod wielu względami, aby pod koniec okresu doprowadzić ją do nowego zastoju.

W epoce ostatniej można odróżnić okres romantyzmu, który ciągnie się od lat bezpośrednio następujących po katastrofie 1863 roku a dałby się jeszcze na drobniejsze działy podzielić, i okres pozytywizmu i realizmu, albo jeszcze lepiej reakcji przeciw romantycznemu kierunkowi, reakcji, która jeszcze przed dziesiątkiem lat nadawała najsilniejsze akcenta naszej literaturze. Co się tyczy ostatnich lat i nowych prądów, które przebiegają w naszej poezji i sztuce, te wskazują wprawdzie załamanie się poprzednich wpływów, jednak do historycznego traktowania jeszcze nie dojrzały

Z filozofji ostatniej doby.

WŁADYSŁAW BIEGAŃSKI.[1])

(Z dzieła pod p. t. **Etyka ogólna,** Warszawa 1918).

Cele wyższe o wybitnej charakterystyce wytwórczości i doskonałości nazywamy ideałami. Ideały odgrywają ważną rolę w życiu człowieka. «Życie praktyczne, mówi Struve[2]) — bez przewodnich ideałów przedstawiałoby chaos osobniczych dążności i czynów, pozbawionych prawdziwej doniosłości tak dla osobnika, jak dla ogółu. Tylko ideały łączą szczegółowe czyny pojedynczego człowieka w szereg logiczny i moralny, zdolny zadowolić głębsze potrzeby jego umysłu i serca. Tylko ideały jednoczą ludzi ze sobą w jeden racjonalnie działający ustrój społeczny. Tylko one przyświecają ludzkości na drodze dziejów jako jasno pojmowane cele postępu».

Pojmowanie ideałów jako celów tłumaczy nam dobrze wszystkie ich właściwości. Przedewszystkiem każdy ideał wyraża nie to, co jest, lecz co być może, co być powinno, gdyż jako cel, jako skutek zamierzony, ale jeszcze nie urzeczywistniony, ideał wyraża coś, co się ma odbyć w przyszłości. Powtóre ideał ma charakter konkretny, w szczegółach wyznaczony, wyobrażalny i tem się zasadniczo różni od pojęć, które, jako wyniki poznania, mają charakter uogólniony, pozbawiony szczegółów. I ta okoliczność tłumaczy się pojmowaniem ideałów jako celów. Ideał bowiem jako cel oznacza coś, co ma być dokonane, co ma być urzeczywistnione, a zatem musi posiadać charakter konkretny, musi być w pewnych szczegółach wyznaczony. Ideał niekoniecznie musi mieć wszystkie szczegóły wyznaczone, może być i jest często ogólnikowym, pozbawionym pewnych szczegółów, ale jest to w każdym razie ogólnikowość wyobrażenia, nie zaś ogólność gatunkowa pojęcia.

Po trzecie ideał, jak każdy cel, jest wyobrażeniem wytwórczem, nie odtwarza tego, co jest lub było, lecz tworzy to, co ma nastąpić. Jest więc wyrazem twórczej siły naszego umysłu. Przytem dodać

---

[1]) Władysław Biegański (1867—1917), lekarz z zawodu, ogłosił prócz wielu rozpraw, referatów, odczytów cenne dzieła filozoficzne, z tych ważniejsze: *Logika medycyny* (1907), *Traktat o poznaniu i prawdzie* (1910), *Teorja Logiki* (1912), *Teorja poznania ze stanowiska celowości* (1914).

[2]) *Wstęp krytyczny do filozofji* 1896.

musimy, że nasza twórczość przy układaniu ideałów ujęta jest w pewne karty. Tworząc to, co ma być kiedyś dokonane, co ma się urzeczywistnić, wyobraźnia nasza musi się trzymać w pewnych granicach, może utworzyć tylko coś takiego, co jest możliwe do urzeczywistnienia, co jest osiągalne z mniejszą lub większą łatwością. Utwory wyobraźni, pozbawione tej właściwości, nie mają charakteru celowego i nie są właściwemi ideałami, lecz mrzonkami, utopjami. Właściwy ideał posiada zawsze charakter możliwości, osiągalności.

Nakoniec jest jeszcze w ideałach jedna właściwość, którą jedynie wytłumaczyć możemy, upatrując w nich wyraz celów. Wiadomo powszechnie, że ideały wiążą się ściśle z uczuciami i dążnością do działania; stanowią one, jak to później jeszcze zobaczymy, bardzo obfite źródło czynów Otóż ta ich rola staje się zrozumiałą, jeżeli uwzględnimy, że każdy ideał jest właściwie celem i że każdy cel stanowi popęd, skojarzony z wyobrażeniem czyniącego mu zadość skutku. Ponieważ popędy są ściśle powiązane z uczuciami, przeto związek ideału z uczuciami i popędami do czynu wynika tu z konieczności i nie wymaga już żadnych szczegółowych wyjaśnień.

Również z tego samego punktu widzenia da się wyjaśnić inna charakterystyczna cecha ideałów, mianowicie ich doskonałość. Wspomnieliśmy już, że każde wyobrażenie celu jest dostosowane do uczucia, popędu czyli innemi słowy do odczuwania potrzeby Twórcza siła wyobraźni działa pod wpływem tej potrzeby i tak układa elementy wyobrażenia celu, że wyobrażenie to możliwie najzupełniej odpowiada potrzebie. Właśnie to zupełne dostosowanie wyobrażenia celowego do uczuć, resp. popędów, stanowi całą istotę zawartej w niem doskonałości. To też im wyższym jest cel, im swobodniejszym jest udział wyobraźni w jego budowie, tem zupełniejsze jest dostosowanie celu, tem wyraźniejszą jest jego doskonałość. Ponieważ ideały wyrażają tylko cele wyższe, przeto łatwo zrozumieć możemy, dlaczego towarzyszy im w tak wybitnym stopniu pierwiastek doskonałości.

Wspomnieliśmy także, że im cel jest wyższy, im więcej zawiera elementów wytwórczych i im zupełniej jest dostosowany do odczuwanej potrzeby, tem jego realizacja jest trudniejszą. Otóż ideały jako cele wyższe, doskonałe, zupełnie dostosowane do naszych uczuć i popędów, tem się właśnie odznaczają, że podczas działania realizują się tylko w przybliżeniu.

Ideałem więc nazywać będziemy wyobrażenie celu wyższego, oddalonego, wyobrażenie o charakterze wytwórczym dostosowane zupełnie do odpowiedniego uczucia i popędu i wskutek tego posiadające wybitną cechę doskonałości. Na podstawie takiej definicji możemy z łatwością odróżnić ideały od wszystkich innych pojęć i wyobrażeń...

Mówiliśmy, że każdy ideał jest celem, resp. wzorem; cel zaś naszego działania polega na wywołaniu wrażeń, myśli poznawczych lub czynów. Stąd wszystkie ideały można podzielić na estetyczne, poznawcze i etyczne. Ideały przedstawiamy sobie zawsze w postaci wyobrażenia konkretnego; nie może być ideału, wyrażonego pojęciem ogólnem, gatunkowem lub rodzajowem, gdyż takie pojęcia wogóle są niewyobrażalne. Stąd wszystkie ideały są szczegółowe. Rozpatrując je jednak z punktu widzenia poznawczego, możemy ideały szczegółowe uogólnić i tworzyć rozmaite klasy, grupy ideałów. Klasy te jednak nie będą ideałami ogólnemi, gdzie cel jest reprezentowany przez pojęcie ogólne, lecz pojęciami ogólnemi ideałów szczegółowych, t. j. poznawczą ich klasyfikacją. Uogólniając je w ten sposób coraz wyżej, dochodzimy do trzech najwyższych klas, mianowicie do pojęć piękna, prawdy i dobra, które stanowią wyraz ogólny wspomnianych już przez nas ideałów estetycznych, poznawczych i etycznych.

Tutaj ze względu na treść niniejszej pracy zastanowimy się bliżej tylko nad ideałami etycznemi i poruszymy dwa zasadnicze pytania: 1) jakie jest ich źródło t. j. skąd one powstają i 2) jakie są ich skutki, t. j. jaką rolę w naszych czynach odgrywają.

Pytanie pierwsze bywało rozmaicie rozstrzygane. Jak już wiemy, Platon[1]) upatrywał źródło wszystkich ideałów, a zatem i etycznych, w pierwiastkach, wzorach realnych, ale nadzmysłowych, które obejmował swoją koncepcją idei. Podług jego nauki, wzory te istnieją w regjonach pozaświatowych; nasz rozum, który stamtąd także pochodzi i tam znajomość tych wzorów zaczerpnął, dochodzi do ich poznania przez głębokie rozważanie, przez przypominanie. Kant[2]) godzi się z Platonem, że człowiek swe ideały etyczne czerpie nie z doświadczenia, gdyż to, co być powinno, nie może być wyprowadzone z tego, co jest. Ale z drugiej strony nie

---

[1]) Platon (427—347) obok Arystotelesa największy filozof starożytnej Grecji.

[2]) Kant Emanuel (1724—1804). Filarami niejako całego systemu tego wielkiego niemieckiego filozofa są dzieła: *Kritik der reinen Vernunft* (1781), *Kritik der praktischen Vernunft* (1788) i *Kritik der Urteilskraft* (1790).

uznaje realnego, pozazmysłowego bytu ideałów i twierdzi, że ideały tworzy nasz rozum, niezależnie od wszelkiego doświadczenia, jako konieczne założenia naszego postępowania moralnego. W nauce dogmatycznych racjonalistów ze szkoły Descartes'a[1]) ideały były zaliczane do t. zw. idei wrodzonych; ich właściwem źródłem miał być Stwórca wszechświata i rozumu ludzkiego; Bóg, stwarzając człowieka, nadał rozumowi jego ideały, jako wzory do postępowania. Wszystkie te powyżej wyłożone poglądy objąć możemy ogólną nazwą aprjoryzmu i racjonalizmu. Jako wyraz aprjoryzmu poglądy te odmawiają doświadczeniu wszelkiego udziału w powstawaniu ideałów, jako zaś racjonalistyczne poszukują źródła ich w rozumie ludzkim, w rozmaity sposób stamtąd je wyprowadzając.

Poglądom tym przeciwstawiają się inne aposterjorystyczne i empirystyczne, które powstawanie ideałów wyprowadzają z elementów doświadczenia. Pomijając szczegóły historyczne, pogląd ten opiszemy w tej postaci, jak go przedstawia spółczesna psychologja. Ideał powstaje wtedy, kiedy obecna rzeczywistość wywołuje z jakichkolwiek względów niezadowolenie, przykry stan uczuciowy. Dopóki człowiek jest zadowolony z obecnego stanu rzeczy, dopóty nie odczuwa potrzeby do zmiany. Gdy jednak obecna rzeczywistość i istniejące w niej stosunki budzą przykry stan uczuciowy, powstaje równocześnie popęd do jego usunięcia. Niezadowolenie i wynikający z niego popęd mogą przez pewien czas istnieć w sposób niewyraźny; gdy jednak nasuwają się często, i że tak powiem, coraz natarczywiej, umysł nasz tworzy cel działania, które mogłoby usunąć niezadowolenie. Wyobrażenie tego celu umysł wytwarza z elementów, znanych mu z doświadczenia, układa je jednak w ten sposób, aby zupełnie czyniły zadość popędowi. O układzie więc elementów, o ich syntezie decyduje tu nie poprzedzające doświadczenie, lecz obecny stan uczuciowy i popędowy. I na tem właśnie polega cała nowość wytworzonego wyobrażenia celu. Wyobrażenie to nie jest czystem odtworzeniem poprzedzającego doświadczenia, ale z tego bynajmniej nie wynika, że z doświadczenia wcale nie powstaje, jak chce teorja aprjorystyczna. Owszem, z doświadczenia są zaczerpnięte wszystkie jego elementy, układ tylko tych elementów jest nowy, jest przystosowany do obecnego stanu uczuciowego i popędowego.

---

[1]) Descartes (Decart) René (1596—1650) znakomity filozof francuski; jego system opiera się na ścisłym dualizmie.

Jeżeli cel jest oddalony i dla życia doniosły, to stanowi ideał, wyznaczający drogi naszego przyszłego działania. Działamy więc w kierunku tego celu-ideału i przypuśćmy, żeśmy skutek zamierzony osiągnęli. Jak już wiemy, urzeczywistnienie to nie jest zupełne; z jednej strony nie dorasta do ideału, nie czyni zupełnie zadość wymarzonemu układowi elementów, z drugiej zaś, na mocy prawa heterogenji celów, przekracza jego granice i powoduje szereg okoliczności komplikujących. Otóż te braki w urzeczywistnieniu celu oraz okoliczności, komplikujące urzeczywistnienie, wywołują wkrótce inne niezadowolenie i popęd do jego usunięcia. Powstaje więc nowy ideał i t. d., gdyż w powstawaniu ideałów niema granic, niema ostatecznego kresu. Ideał urzeczywistniony zawiera już zarodki nowego ideału.

Z powyższego widzimy, że ideały nie są stałe, lecz są czemś zmiennem, ruchomem; każda epoka zarówno w życiu osobnika, jak w życiu społeczeństwa ma swoje ideały, które z biegiem czasu zmieniają się i ustępują miejsca innym, nowym... Nazwy ideałów często pozostają te same, ale ich treść ulega ciągłym i to zasadniczym zmianom. Zmienność ideałów jest najsilniejszym argumentem przeciwko teorjom aprjorystycznym, upatrującym w nich jakieś bezwzględnie stałe wzory, jakieś idee wrodzone lub konieczne warunki, a stanowczo przemawia za teorją aposterjorystyczną, wykazującą ich zależność od warunków doświadczenia.

Obecnie zastanowić się musimy nad drugiem pytaniem, mianowicie nad zagadnieniem, jaką rolę spełniają ideały w naszem życiu. Znaczenie ich jest wielkie. Przedewszystkiem wprowadzają one do naszego działania ściśle określony kierunek i porządek. Dążąc do jakiegoś bardzo oddalonego ideału-celu, musimy wszystkie czyny i zamiary temu celowi podporządkować. Będziemy więc wyłączali z naszego działania wszystko to, co do celu, przyjętego przez nas, nie prowadzi, a natomiast będziemy przedsiębrali tylko to, co pośrednim sposobem do danego celu doprowadzić może. Stąd nasze działanie staje się uporządkowanem, nasze popędy są ujęte w pewne karby; niema tu miejsca na żadne zboczenia i wybryki. Tylko w takiem uporządkowanem przez ideał działaniu może być mowa o obowiązkach, o uzasadnionych motywach czynu, słowem o postępowaniu moralnem. To też etyka, jako nauka normatywna, wskazująca jak powinniśmy postępować, jest w całości oparta na rozważaniu uporządkowanego przez ideały działania moralnego.

Następnie ideały nie są tylko środkami porządkującemi działanie, mającemi tylko wartość przy teoretycznem rozważaniu działania, lecz stanowią także bardzo ważne i nieraz bardzo silne pobudki czynów. Mówiliśmy, że pobudką czynu jest zawsze towarzyszące naszym wrażeniom i wyobrażeniom uczucie; otóż i ideałowi, jako wyobrażeniu, towarzyszy także ton uczuciowy, resp. pewien popęd, do którego, jak już wiemy, ideał w swej treści się dostosowuje. Ideał więc wyraża zawsze popęd, który może być do najwyższego stopnia spotęgowany przez uwagę, stale zwróconą na treść ideału i przez stałą obecność tej treści w myśli. Fakty świadczą, że tak bywa w rzeczy samej. Gdy ideał jest mocno w umyśle zakorzeniony, gdy stanowi ośrodek, około którego wszystkie nasze myśli się obracają, to nabiera przez to bardzo mocnego, wprost nieprzezwyciężonego popędu do czynu, do działania. Niczem niepohamowany zapał reformatorów religijnych i społecznych, martyrologja świętych chrześcijańskich mogą nam dostarczyć pod tym względem nieskończonej liczby przykładów.

Z językoznawstwa ostatniej doby.

ALEKSANDER BRÜCKNER.[1])

Z dzieła p. t. **Dzieje języka polskiego.** Nauka i sztuka t. III.

(Z rozdz. V.) ...Do XVI wieku nie było różnicy między językiem klas wykształconych a ludowym, bo nie było języka piśmiennego, którego normy obowiązywałyby wszystkich, roszczących pretensje do ogłady. Każdy pisał, jak mówił, a mówił, jak otoczenie, jak lud; wystrzegano się chyba szeplenienia czy wałczenia, zresztą nie unikano form gwarowych, słów nieznanych innym. Świętosław tłumaczy statuty na polskie... o osobliwościach tej polszczyzny już wspomnieliśmy, o jej janakim, renie, szlachatnych i t. d., ale i on, choć Mazur rodowity, nie szepleni (mazurzy), a tak, jak on, piszę każdy. Niema pomnika XV wieku, coby nie objawiał cech (w słownictwie i t. d.) osobliwszych, znanych tylko jemu.

---

[1]) Aleksander Brückner, profesor uniw. berlińskiego, publikował liczne prace z zakresu dziejów literatury i językoznawstwa polskiego.

Dopiero w XVI wieku zrywa się z tą jednolitością pierwotną niekulturalną; odgradza się język piśmienny, wykształcony od niepiśmiennego, ludowego, grubego, chłopskiego; przepaść, dzieląca język i narzecza, pogłębia się coraz bardziej. Najbardziej widoczna ona w słownictwie. Język pozbywa się słów przestarzałych, swoich czy obcych; obce żywioły spływają powoli, osiadają u dołu; język klaruje się z tych fusów niemiecko-czeskich, pozostawia je sferom najniższym. Wytwarza się różnica między językiem szlacheckim a miejskim i gburskim — możemy śmiało o szlacheckim mówić, gdyż przez trzy wieki jeden stan wyłącznie panował, zakrywając sobą inne. Różnice zaczynały się wcześniej, lecz teraz występują w całej jaskrawości. Szlachta rzuciła dawno nazwy od-ojcowskie, iców i owiców, pisze się, by się od nieosiadłej gołoty odróżnić, od dóbr ziemskich, jakiemi wyłącznie włada, skimi i ckimi; icy i owicy ocaleli w miasteczku i na wsi; poczciwego Klona syn był Klonowic, a mistrza Szymona Szymonowic i nie widzimy racji, dlaczego Ozimek Zimorowicem się przezwał... I srogo warowano, aby mieszczanin przy icach zostawał, nie wspinał się do skich, chociaż naprożno; nasza literatura satyryczna XVII wieku pełna jest wycieczek na ten wdzięczny temat; lecz nic nie pomaga; jeśli wziąć byle księgę radziecką, znajdziesz, że ten, co się właśnie Szpuntem nazywał, po kilkunastu latach Szpuntowskim się obzywa... Mieszczanin używa dalej germanizmów, przesiąkł niemi w cechach i urzędach; szlachta się ich zupełnie wyzbywa, zapomina o szyndowaniu i bitunku nawet, z czego przecież dawniej żyła; tylko mieszczanin, jak Saksona się trzyma, pamięta dalej o lotunku (procencie), szperowaniu, trybowce, chociaż i on niektóre wyrazy zapomina, wardęgę i luprynk i podobne szpeciągi. Chłopek najdłużej się ich trzyma, jak i prastarych właściwości mowy i nowych osobliwszych, miejscowych wytworów. Już w XVI wieku uświadomiono sobie zupełnie różnicę między polszczyzną a gwarami...

I tu opadły między gwarowe i śmieszne, wyrazy, dawniej choćby w psałterzu używane, n. p. wardęga t. j. bydło («i wardęgi ich nie umniejszył»), gasa — powszechna w Poznaniu w XV w. i t. d. Podobnie piszą humorystyczne uniwersały mazowieckie za Sobieskiego i t. d. albo opisuje dworzanin — anonim, uczeń Reja i Kochanowskiego, chrzciny grubą chłopską mową, jak jedną raz, psiegmaci, na nie trafił, jak go tam zgolemo traktowali a on z krzynowa grabił, so mu nakrszono. W intermedjach szkolnych XVII wieku stale występują mazurowie mili albo Ka-

szubowie z właściwościami swej gwary dla komicznego efektu. Lecz nie dla niego pisał Krofej pieśni nabożne (luterskie), a ksiądz Pontan (Mostnik) katechizm po kaszubsku, chociaż to polszczyzna raczej, przetykana zwrotami i formami kaszubskiemi, n. p. o Bogu, co «wszystkiem dobytku charną daje i młodym krakom» (krak, kruk, por. Kraków; charna, chrona).

Tak się oddzielił język piśmienny, książkowy, klas ukształconych od ludowego. Proces ten odbywał się powoli, stopniowo nikną staropolskie terminy... Już Rej się przyznaje, że pierwszych druków polskich nieraz i nie rozumiał, ale to raczej na nieudolną budowę zdań, na zbyt niewolnicze tłumaczenie, niż na formy i słowa odliczyć wypadnie. W każdy sposób postęp był szybki i dzieła drugiej połowy wieku różnią się znacznie od pierwszej; a drugiego wydania biblji Leopolity już w trzynaście lat po pierwszem wydaniu wysłowienie znaczniej odmieniono, powyrzucano przestarzałe i gwarowe zwroty... Tak n. p. czytamy w pierwszem (1561 r.) przez force a gwałt, w drugiem (1574) przez moc; miał rokosz z onemi (1561) — rokował z onymi (1574); domacy — domowi; przezlisz — nader; ani jedurny nie został — ani jeden; odartki — łupy; zrzasnął się — zlękł; po wściornastkiej ziemi i język wsztornastkiej ziemie (1561) — po wszech ziemiach i język wszystkiej ziemie (1574); wsztornko co ma — wszystko; zabakałem sługi mego — zawołałem... Słowa więc, których dziś po narzeczach używamy (graty, forsty, na ogułak) usuwa drugie wydanie stale, jako już zbyt rażące ucho czytelnika. I rzeczywiście, język n. p. Kochanowskiego zupełnie już oswobodził się od takiej przysady; jeszcze u Reja napotykamy słowa czeskie, gwarowe albo zbyt pospolite; Kochanowski wyuczony na łacinie szkolnej unikał jak ognia wszelkich «solecyzmów i barbaryzmów», przetrzebia najstaranniej swój słownik, daje wybór słów, słów modnych, znanych, powszechnie używanych. Klonowica n. p. słownik o wiele nierówniejszy i rusycyzmów i czechizmów mu nie brak, ale też form staropolskich (bezokolicznik na ci zamiast na ć!) i wyrazów gwarowych. Więc nie tylko treść i styl i wiersz, ale samo wysłowienie Kochanowskiego zbacza świadomie na tory klasycznego języka, języka wzorowego, unikającego nawet pozoru rubaszności, nieokrzesania, chłopstwa.

Takiemu dobieraniu słów musi jednak towarzyszyć niechybnie zubożenie słownika...

(Z rozdz. VI.) Na nowe tory popchnęli język nasi romantycy, których pokusy zuchwałe przyjęto szyderczo, strofująco, wreszcie z oburzeniem. Uczucia estetyczne i językowe naszych klasyków zostały głęboko dotknięte i wyławiano starannie niepoprawności, prowincjonalizmy Mickiewicza, a gdy on, zachowując *couleur locale* w *Sonetach Krymskich* krymskich terminów używał, proszono o przetłumaczenie *Sonetów* na polskie. Ale kpinami nie uratowano zagrożonej pozycji, ani estetycznej, ani językowej. Literatura zbliżyła się do ludu, do ziemi; jej mowa przestała w górnych bujać strefach, a zeszła do życia codziennego, do źródeł gwarowych, do autorów dawnych, do Kochanowskich i Wujków, nie odrażała jej nawet inna Słowiańszczyzna.

I nie wahał się Mickiewicz, choć mu pińszczyznę zarzucano, i w *Panu Tadeuszu* litewsko-ruskich terminów używać (chołodziec, borowik i t. d.), a Zaleski czy Goszczyński, gdy o Ukrainie śpiewali, ukraińskiem zasilali się słownictwem; wszystkich wyprzedził archeolog-fantasta, fantastyczny wielbiciel Słowiańszczyzny wymarzonej, wyśnionej, przedchrześcijańskiej jeszcze, Chodakowski[1]), gdy wyśpiewywał swój hymn na jej sławę. Za jego przykładem zaczęło się nawet sztuczne archaizowanie, powoływano do życia terminy, zapadłe od wieków niepamięć, wskrzeszone n. p. wiec (chociaż się grubo przy tem potknięto, gdyż takiego słowa nigdy na świecie nie było, było zawsze tylko to wiece, te wieca, u nas jeszcze w XV wieku, i znaczyły dosłownie *colloquia*); odnawiano dawne imiona Wandy i Lesławów czy Leszków. Spółczesna literatura prozaiczna, archaizujące *Pamiętniki Soplicy* i archaistyczny *Pasek* (wtedy wydany po raz pierwszy), odtworzyły dawną rubaszność, naiwność, wyrazistość szlacheckiej gwary; wydawnictwa innych dawnych autorów zasilały ten prąd. Czerpano więc hojnie i z mowy ludu wszystkich dzielnic Rzeczypospolitej i z dzieł pisarzy Zygmuntowskich a nawet tu i ówdzie, u Bielowskiego, Siemieńskiego i t. d., szczególniej u słowianofila Maciejowskiego, odzywały się reminiscencje z innych literatur słowiańskich.

Jak w wieku XVI, wyprzedziła poezja prozę; doszła do niedoścignionego, nieprzewyższonego mistrzostwa w czarownem, giętkiem, porywającem, olśniewającem wysłowieniu Słowackiego, zostawiającem daleko poza sobą frazę Mickiewiczową...

Romantycy odświeżyli język, zbogacili go najróżnorodniejszemi, ludowemi, staropolskiemi, cudzoziemskiemi, terminami,

[1]) Adam Czarnocki (Zorjan Dołęga Chodakowski), 1784—1825, ogłosił rozprawę p. t. *O Słowiańszczyźnie przed chrześcijaństwem* (Ćwicz. nauk. 1818).

nowotworami wreszcie (Krasiński). Dziś patrzymy na coś podobnego.

«Młodej Polsce» nie wystarcza słownik dotychczasowy, niedosyć wyrazisty, niedosyć urozmaicony; na oddanie wszelkich dreszczów, zawrotów, symbolów szuka się źródeł nowych. Znaleziono je głównie u ludu, w zdroju gwar podhalskich i mazowieckich. Kiedyś staraliśmy się lud do siebie podwyższyć, dziś się do niego zniżamy. Gdy Sienkiewicz średniowiecznej mowie upodobnić chciał *Krzyżaków*, sięgnął do gwary dzisiejszej, konserwatywnej, jak lud i jego pojęcia, i trafił, z małemi bardzo wyjątkami, dobrze. Gdy Konopnicka *panu Balcerowi* opowiadanie o strasznych przejściach brazylijskich w usta kładzie, miesza wyrazy gwarowe, nieraz z stron rozmaitych, z archaizmami. Bez tych ograniczeń używa «Młoda Polska», choćby w lirykach własnych czy w obrazach z potocznego życia, zasobów gwarowych. I pojawiają się, przełamując nasz wstręt ku Słowiańszczyźnie, wyrazy cerkiewnoruskie i czeskie, w i t e z, c h r a m (czy nie lepiejby staropolskiego t r z e m u t. j. pałacu, sieni używać?), a h a l k a m i zastępujemy d e s s o u s (dodajmyż, że nasze h a l e, p o d h a l a n i e i t. p. obce); dalej w r a ż y w r o g i e g o wypiera i i.

Nasza literatura, przez długi czas wyłącznie szlachecka, dobrze wychowana, po wycieczkach romantycznych o ludzie i jego gwarze zupełnie zapomniała; wyjątkowo chyba, w celach humorystycznych raczej, jak u Bliżińskiego[1]) w *Marcowym Kawalerze*, postać ludowa z jej gwarą wystawiała. Etnograf tylko (Kolberg)[2]) z niewyczerpanym zasobem dobrej woli, z mniejszem zrozumieniem rzeczy, krzątał się około «słowniczków» gwarowych. Zdemokratyzowała się jednak literatura; dusza i świat chłopskie przestały być dla niej *terra incognita;* wystawiając to życie, używają Orkan i Reymont, aby tych tylko dwóch wymienić, gwary chłopskiej nawet tam, gdzie od siebie mówią. Dygasiński jeszcze tylko w rozmowach jej używał. Ale nie tylko tą drogą język ludowy do literatury się dostał. Żeromski nie o chłopach pisze, a mimo to «prowincjonalizmów», jakby się Osiński z oburzeniem wyraził, używa. Na wydanie wszelakich odcieni, cech, rysów za ubogim okazał się

---

[1]) Józef Bliziński (1827—1893), komedjopisarz. Do najgłośniejszych należą z jego komedyj: *Pan Damazy, Marcowy Kawaler, Rozbitki.*

[2]) Oskar Kolberg (1814—1890), zbieracz pieśni ludowych (*Lud, jego zwyczaje...* i t. d. blisko 40 tomów).

język książkowy, literacki, i nie na to, żeby «burżujowi» zaimponować, wydobywa Żeromski prowincjonalizmy i archaizmy. Proszę się przypatrzyć pierwszym kartom *Popiołów,* opisom borów świętokrzyskich, wijugi zimowej, rozcieczy wiosennej. Co za moc kolorów, jak skrzą się te opisy, jak bledną wobec nich te, do których nas przyzwyczajono! Że się czasem autorowi noga powinie, że w pogoni za jakim niezwykłym wyrazem da się i pozorom omamić, że użyje wyrazu niepewnego albo mylnego, nie robimy mu z tego zarzutu. Że czytelnik jednego lub drugiego wyrazu nie zrozumie, i to nie bieda...

Nie możemy więc tym przyklasnąć, co w każdem opuszczeniu dotychczasowej rutyny, literackiej i językowej, pogwałcenie prawideł smaku i stylu upatrują; owszem życzymy, aby za staraniem naszych modernistów język nabrał tej jędrności, bogactwa, rodzimości, jakie niegdyś posiadał, jakie są jego właściwem dziedzictwem, roztrwonionem czy zarzuconem marnie. Ale język literatury pięknej, język Żeromskiego i Wyspiańskiego, Tetmajera i Rydla, nie jest zarazem także językiem umiejętnym i pierwszybym zaprotestował, gdyby mi p e r ć i w i c h r y i c e ć k i e d y ś czy k a j t y l k o do historji i filozofji wprowadzono; tu obowiązują prawa osobliwsze...

Trojakiem korytem bieżą fale polszczyzny. Najszerzej rozlały się gwarowe, coraz odmieniające zabarwienie, głosowe głównie i słownikowe. Dawnych cech językowych wyzbyły się najwięcej te, co najbardziej ku wschodowi się posunęły; mazowieckie i małopolskie, aż w Spiż się wciskające, zachowały, obok prusko-kaszubskich i śląskich, najciekawsze szczegóły. Pruskim i śląskim szkodzi silny wpływ niemczyzny, narzucający nie tylko moc słów obcych, ale nawet psujący «wewnętrzną formę». Gdy z Ślązakiem rozmawiasz, zapyta cię: gdzie oni jadą, t. j. gdzie pan jedzie, wedle niemieckiego S i e, (co Niemiec sam z włoskiego e l l a zapożyczył!); a oto próbka kaszubskiego «języka»:

«To beł jeden forszta (leśniczy). Ten przeszed do jedne karczme a sobie tą wzął do pico a też do jedzenio. Krótko potemu, jak won to mieł zjadłe (dosłownie: *wie er dies hatte gegessen*), won czekał, że to s nim nie beło richtig a zaroz na to przeszed, że ta karczmorka be mu mia zadone. Tak won sa nie scigał tą, le weszed, ruten (germanizm) a te zaczął szkalować, klic (kląć) no tą babą a godeł, ta przekląto baba, ta mie to mo done (*hat gegeben,* zamiast dała, zadała). A że ten purtka (djabeł) nie może wu takich złech bec, to jak ten forszta beł za wies weszły, jewo

to zdłowiło na rzeganie. Won werzegał ze se mesz a jewo pies, co prze nim beł, ten chutko tą mesz pełk. A te też tak szed, że ten forszta jewo potemu nie dosteł wici do woczu, jasz za jaki czas won jewo naloz w hulwowe kuli zdechłewo».

Wiara góry przenosi, dlaczegoż nie wierzyć, że to język osobny...

Poznajmyż próbki i innych gwar polskich. Z pod Tarnowa: «Albo roz jade jo se z morguw, a juzem sie zamrecu. Ziżdżom ze Sakuwki a tu konc zogonuw, kawowecek przed końmi leci na dućkoś (długość) chwep debry, guewy mimo, ino na ramieniach po świcce a sadzi, ino sie migo, czasem se stanie i znou wali... starzy gadajo, że to te nizijery, co za życia oszukanie mirzali, teroz muszo pośmierci poprawiać i z wańcuchami lotać, lotego nieprzespiecznie ułąc sie wnecy na miendzy abo w bruździe abo gdzie na granicy».

A na Spiżu tak mówią: «Byłek na dzikie kozy na górak i górniułek drugiemu komeratowi a kozy obchodziły, ja im potym zachodziuł i w jednym mieścu barzo było źle, tamek chipnuł bez jeden źlebek i skała sie urwała podemnom, ja zmyknuł z tom skałom, to mi jus z turnie nogi wisiały na śmierć sie tam z targacza bić a nigdy by mnie ta f to nie nalaz ani by mie z wirchu nie widział ani na dolinie pod ściane byk nie spad, tak byk wse na wieki został».

Oto próbka gwary śląskiej: «Buu jeden ślachcic w jednej wsi a miau jednego wogrodnika, co mu nie chciau robić i dau mu pedzieć, ki nie bandzie robiuu, to musi nie warzyć, musi surowo jeść a on warzuu roz a pon widziau, ze sie z komina smandzino i posuau tam urzendnika zaździeć, jeli to warzy a ón miau taki gornek co samo sie warzyło w nie bez wognia... i urzendnik przised i dau mu dwie urfaigi abo policki po polsku, no a u nas tą powiadają urfaiga, i tak chopa zabiuu, kobieta wyjena z dybzaka piscauką, zapiska i chop wozuu»...

Mimo całej niepozorności, bije w mowie chłopów zdrój jędrnej staropolszczyzny i nigdy nie uczynimy temu zarzutów, co z tego zdroju żywego czerpać zamierza i jak Anteusz dotknięciem matki-ziemi, tak i język artysty tam siły nabierze.

Na tej szerokiej podstawie ludowej, bez którejby języka nie było, wznosi się i opiera język klas wykształconych, język życia publicznego, język pracy umiejętnej. Jasność, zrozumiałość, dobitność stają się jego celami, jego zaletą; warunki jednak życia i żywotności jego odmienne, nie takie, jakie u ludu. Tu wystarcza nieprzerwana, niezmącona niczem tradycja, t. j. reprodukcja pa-

mięciowa, z ojców przechodząca na dzieci; bróżdżą chyba wpływy sąsiedzkie, pobyt np. w wojsku lub szkoła ludowa. U klas wyższych następuje zmącenie tradycji; wpływ języków i literatur obcych zagraża czystości, podmywa nieraz same podstawy czucia językowego; znajomość kilku języków wywołuje mimowolne zobojętnienie wobec właściwości tych języków; one mieszają się w pamięci, zasuwają się jedne za drugie; co uchodzi w jednym języku, przenosi się żywcem, odruchowo niemal i do drugiego i czem słabiej oba języki znamy, tem łatwiej je gmatwamy. Praca pospieszna, szczególnie u tłumaczy, np. po dziennikach, dolewa oliwy do tego ognia, a od dzienników szerzy się to zepsucie, czytelnik mimowoli przywłaszcza sobie nietylko myśli, ale i zwroty swojego języka, a o tych zwrotach niewiele chwalebnego powiedzieć można. Jeżeli wymagamy fizycznej czystości i porządku w ubiorze, tem bardziej należałoby ich przestrzegać i w mowie, nie kalać jej niepoprawnemi naleciałościami, Bóg wie skąd. Cierpi godność osobista i narodowa, gdy się z lekceważeniem obchodzimy z językiem własnym; wyśmiewamy niepoprawny frazes francuski (ileż to anegdot o tem obiega!), tem bardziej wyśmiewajmy niepoprawność własnej mowy. Osiągnięcie niezbędnej poprawności wymaga wprawdzie wysiłku, wymaga odświeżania pamięci, nabywania wprawy, naginania języka do wszelakich stosunków, rozmysłu, co z czasem w naturę przyzwyczajenie wejdzie. Jakaś znajomość gramatyki, najbardziej jednak pilne czytanie wzorów dobrych dzielnie w tem pomagają...

Nasz język nie jest tylko językiem dwudziestu miljonów — są nawet między słowiańskiemi języki, któremi mówi większa ilość ludzi. Ale te języki nie mają tradycji, ci, co niemi mówią, do własnej przeszłości nie mają się po co udawać — tam znajdą chyba, coby ich odrażać mogło. U nas inaczej. My dziś jeszcze możemy śmiało pisarzy złotego okresu, czasów Zygmuntowskich, polecać tym, co język własny poznać, urozmaicić, odświeżyć zamierzają, gdy dla innych narodów te dawne wieki, to jedna puszcza i martwota tylko. A rzecz wiadoma, że nietylko tradycjami językowemi wobec innych szczycić się możemy. Nie usnęliśmy jednak na wawrzynach; pracujemy rzetelnie nad powiększeniem dorobku umysłowego, ile nas stać było, przy warunkach całkiem wyjątkowych. Zmieniają się dziś te warunki, zmiana ta przynajmniej języka nieprzygotowanym nie zastanie.

Trudny to język dla obcych, bogaty w formy, bogatszy w odcienia znaczeniowe tych form, np. u czasowników; obfity nieskończenie w wyrazy, nietylko, jak niegdyś «kuchenne». Zwrócony

on ku dwu frontom, jak dzieje narodowe same, chociaż wpływy od wschodu, inaczej niż w dziejach, w języku o wiele mniej zaważyły; złączeniśmy z zachodem na zawsze. Od startych nieco przyćmionych rysów i cech zachodnich języków różni się jego barwność; zato mniej nadawał się do oderwanego myślenia, do którego go teraz naginamy. Najbardziej z zewnętrznych jego własności wpada w oko misterna tkanka jego wokalizacji; w żadnym języku słowiańskim nie faluje tak, nie mieni się tak tych samych słów szata, jak właśnie w polskim. Czem dla nas ten język się stał, i wywodzić zbyteczna, ze spuścizny przodków jego nam nie wydarto jednego. Czcijmyż go i udoskonalajmy, wdzięczni i dumni.

IV. Od r. 1914—1928.

Wielka wojna; tragiczne w niej położenie Polaków, zmuszonych niejednokrotnie do walczenia z własnymi braćmi; straszliwe spustoszenie ziem polskich, przez które przeciągały wzdłuż i wpoprzek miljonowe rzesze nieprzyjacielskich wojsk; bohaterskie walki naszych legjonów; wiekopomny, nad wszelką nadzieję szczęśliwy, nad wszelki wyraz radosny dzień odzyskania niepodległego bytu naszej Ojczyzny; potem mozolne wysiłki nad zorganizowaniem własnego państwa; plebiscyty; bohaterska obrona Lwowa; entuzjastyczne zerwanie się całego narodu do walki r. 1920 w obronie zagrożonej najazdem wroga niepodległości, zakończone tak świetnym triumfem: — wszystkie te powieczne czasy pamiętne i początek nowej epoki naszego bytu stanowiące zdarzenia tak dalece pochłonęły umysły, serca i energję wszystkich, że w tym burzliwym czasie na uprawę sztuk pięknych i pięknej literatury niewiele stało tchu, ani czasu.

Zmarli też w tym okresie najwybitniejsi przedstawiciele literatury: Henryk Sienkiewicz, Jan Kasprowicz, Stefan Żeromski, Wł. St. Reymont.

Ale ojczysta literatura, co w okresach niewoli śród najsroższych prześladowań tak wspaniale świadczyła o żywotności narodowego ducha, tem bardziej, tem piękniej, wszechstronniej i bujniej rozkwitnie w wolnej i niepodległej naszej Ojczyźnie.

Kilka najświeższych przykładów z ostatniej doby niżej przytacza się.

EDWARD SŁOŃSKI. [1])

W słońcu i kwiatach. [2])

Słońcem i kwiatami, słońcem i kwiatami,
Deszczem i rosami błogosławi Bóg
Ziemi, którą długo orał kartaczami,
Znaczył mogiłami i zgliszczami wróg.

Jeszcze bój się sroży, ziemia pod nogami
Drży w ognistym wieńcu purpurowych smug,
A już dobre wieści płyną dolinami,
Słońcem i kwiatami kładą się na próg.

Śmieją się dokoła dziecinne radości,
Modli się gdzieś w niebie srebrnogłosy śpiew,
Ze spalonych włości wyszli ludzie prości
Na żołnierskie groby rzucać złoty siew.

— Leżcie... cicho leżcie, nieproszeni goście,
W szumach traw rosnących i kwitnących drzew!
Przyjmą was gościnnie dziadów naszych koście,
Przyjmie was gościnnie ojców naszych krew!

Spadną ciepłe deszcze, spadną srebrne rosy,
Na błękitach tęcze porozwiesza Pan
I na waszych grobach zafalują kłosy,
Do stóp waszych polski pokłoni się łan!

A gdy na wojenkę...

A gdy na wojenkę szli Ojczyźnie służyć,
Wicher wiał im w oczy od rozstajnych dróg,
Niebo się nad nimi zaczynało chmurzyć,
Pod deszczową chmurą w polu krakał kruk.

---

[1]) E. Słoński, (1874—1927), ogłosił już przed wojną kilka zbiorków poezji lirycznej, odznaczających się szczerością uczucia. Szeroką popularność i sławę zjednały poecie zbiory: *Ta co nie zginęła*, (1915), i *Idzie żołnierz borem, lasem*, (1916).

[2]) Ze zbioru p. t. *Idzie żołnierz borem, lasem* 1916.

Nikt im iść nie kazał — poszli, bo tak chcieli,
Bo takie dziedzictwo wziął po dziadach wnuk,
Nikt nie pytał o nic, a wszyscy wiedzieli,
Za co idą walczyć, komu płacić dług.

Matki się u strzemion synom nie wieszały,
Żony się pod nogi nie kładły na próg,
Dzieci nie płakały, dzieci nie wołały
Ojców, których w polu śmiercią witał wróg.

Poszli śpiewający, krwawym trudom radzi,
Ledwie przed świtaniem zagrał złoty róg,
Matki im mówiły: — Niech was Bóg prowadzi!
Żony im mówiły: — Niech was strzeże Bóg!

Wojenko, wojenko!

— Wojenko, wojenko, cóżeś ty za pani?
pytają ułani, chłopcy malowani.

Brnęli w zaspach śnieżnych, szli kwiecistem błoniem,
siedzieli na koniu, leżeli pod koniem.

Rąbali szabelką na lewo, na prawo,
byli pod Kijowem, dziś są pod Warszawą!

Za ich uznojoną trudami żołnierkę
tyle polskiej ziemi poszło w poniewierkę.

Tyle polskiej ziemi, moiście kochani!
Dziwią się ułani, chłopcy malowani.

Toczy się wojenka drogą i bezdrożem,
już u bram Warszawy krwawem szumi morzem.

Krwawem szumi morzem śród niezżętych łanów
i z pod Radzymina woła do ułanów:

— Ułani, ułani, dokąd wam tak pilno,
jeszcze zdobędziecie i Kijów i Wilno,

Jeszcze zakrwawicie dawny szlak z przed laty
własną krwią tak kraśną, jak wasze rabaty!

Dziś, gdy się sen nasz ziścił...

1.

Dziś, gdy się sen nasz ziścił,
dziś, gdy się skończył bój,
z dwóch wrogich sobie szańców
przyszliśmy bracie mój.

Wróciliśmy do domu
w doroczne święto żniw —
ja z twoją kulą w piersi,
ty z moją, ale żyw.

Żołnierskim pewnym krokiem
stąpiliśmy na próg
i stoim na wprost siebie:
ja — wróg twój, ty — mój wróg.

2.

Niedawno jeszcze, bracie,
w piekielnym huku dział
tyś w ogniu moich strzałów
nieprzejednany stał.

Lecz dziś już bój się skończył,
lecz dziś już stał się cud —
pod pruską pikelhaubą
moskiewski spoczął knut.

Krwią Bogu i Ojczyźnie
spłaciliśmy swój dług,
więc czemuż dotąd jeszcze
ja — wróg twój, ty — mój wróg?

3.

Graniczne padły słupy,
które dzieliły nas —
i idzie ciężkich siewów
i twardych trudów czas.

Więc podaj rękę, bracie,
albowiem zmożon wróg
i dłoń błogosławiącą
nad światem trzyma Bóg.

Sto ziaren najprzedniejszych,
sto ziaren da nam łan,
co moją krwią i twoją
użyźnił dobry Pan.

Kto Ciebie chciał, ten wierzył... (1915).

O, Polsko, Polsko, Polsko,
kto Ciebie chciał, ten wierzył,
że dobry Bóg się z Tobą
w te krwawe dni sprzymierzył.
Kto Ciebie chciał... Nie pytaj,
Czy chcących było wielu —
żołnierskie policz groby
od Brześcia do Wawelu,
junakom zajrzyj w oczy
aż tam pod Białowieżą
i wiedz, że tacy sami
w żołnierskich grobach leżą —
że ledwie polska szabla
u naszych bram zadzwoni,
ci, którzy nie wierzyli,
uwierzą tak, jak oni.
I staną pod Twym znakiem
w żołnierskiej, szarej zbroi,
ci wczoraj niewierzący —
dziś już mściciele Twoi.

2.

O, Polsko, Polsko, Polsko,
łuny się wkoło szerzą,

na gruzach twierdz zdobytych
zwęglone trupy leżą...
O, Polsko, Polsko, Polsko,
ktoś w ogniu łun i w dymie
krwią własną na sztandarach
Twe święte kreśli Imię.
Ktoś krew swą żyzną rosą
na Twoje rzuca piaski...
— Niech będzie cześć i chwała
żołnierzom z Bożej łaski!

Na zgliszczach. (1914).

1.

Te pola, które deptał
i ogniem orał wróg,
chabrami i rumiankiem
zasieje z wiosną Bóg.

Porosną wonnem zielem
żołnierskie groby w krąg,
zadzwonią ostre kosy
wśród naszych pól i łąk.

I chabry i rumianki
wieńczące każdy grób,
żołnierzom, co polegli,
pokłonią się do stóp.

Pokłonią się niziutko
tym smutnym grobom w krąg
od tej podartej ziemi
od tych zdeptanych łąk.

2.

Te domy, które burzył
morderczym ogniem wróg,
powoli odbudować
pomoże dobry Bóg.

Na zgliszczach, co wystygły
we mgle jesiennych słot,
zadzwoni lekka kielnia,
uderzy ciężki młot!.

Tak stare nasze smutki,
radości, łzy i śmiech
wniesiemy w nowe kąty,
w podcienia nowych strzech.

Piastowym obyczajem
gościowi u swych wrót
pod lipą postawimy
sycony z plastrów miód.

I opowiemy, kreśląc
na czołach krzyża znak
o Tej, co nie zginęła,
a której wciąż nam brak.

TADEUSZ SZANTROCH. [1])

Z lutni żołnierza. Kraków 1916.

A wy, synowie kiedyś nasi...

A wy, synowie kiedyś nasi,
co orać ziemię tę będziecie,
którą dziś krew ojcowska krasi
i broni naszej pstrzą rupiecie:

Gdy wynijdziecie z pługiem w pole
rankiem, w skowrończych pieśni bicie,
by pchać swą ciężką, polską dolę,
o nas wy tam nie zapomnicie!

Na szczerem polu, tam stać będą
naszej ofiary twierdze silne,
dla was owiane już legendą
te krzyże nasze nadmogilne.

Na jakimkolwiek zrębie stanie
przyszłości gmach — tam w polu szczerem —
jest wam oddane przykazanie:
By żyć i ginąć bohaterem.

Dla Niej.

Dla Niej my poszli w te szeregi
żołnierskiej czci ślubując bronie,
by pod orłami polskiej legji
służyć w rycerskim jej zakonie.

Polsce my dali swoje życie,
biorąc piuropusz i hełm sprawy
i szliśmy w krwawych snów zachwycie
nieść jej manifest do Warszawy.

Z Karpat, Krzwopłot, Mołotkowa,
z Rokitny błoń i błot Prypeci
huczała ofiar naszych mowa
i dotąd pieśń skrwawiona leci.

W ziemię krew wsiąkła, wszędzie leżą
bracia, polegli, towarzysze,

[1]) Tadeusz Szantroch, ur. 1888, ogłosił *Poezje*, 1906: *Z lutni żołnierza*, 1916; *W zorzach krwi*, 1918.

a już nad ziemią mogił świeżą
cmentarnych hyen zdrada dy-
[sze.
Milczeć! my zakon mamy twar-
[dy,
hełm i pióropusz świętej spra-
[wy — — —
dla śmierci uśmiech li pogardy
i nie dla czczej walczymy sła-
[wy.

Samotny grób.

Brzozowy, biały, prosty krzyż,
ułańskie na nim czako...
Tuś padł, kolego, tutaj śpisz
kwaterą bylejaką.

W pośpiechu cię pogrzeźli wnet,
gdy kule jeszcze grały...
a po twym grobie jeszcze szedł
nasz pułk po wawrzyn chwały.

A gdy od kroków naszych znów
zadrżała ziemia wokół...
tyś nam ostatkiem swoich snów
bagnety śmiercią okuł.

. . . . . .

Niech ci choć ulgą będzie to,
gdy przy twym krzyżu stoję,
żeśmy tu w Polsce z tobą są
przez to zwycięstwo twoje.

JÓZEF RELIDZYŃSKI. [1])

Ze zbiorku p. t. *Wieją wiosenne wiatry...* Poezje wolnościowe i legjonowe. Z przedmową K. Tetmajera. Kraków 1916.

Hymn piechoty polskiej. [2])

Idziem, żelaznej podobni kolumnie,
śmiejąc się, kiedy łzy za nami ronią;
choć masa szara, wżdy kroczymy dumnie,
bo wszakże w Polsce my dziś pierwszą bronią —
niczem są dla nas śniegi, piaski, błota...
polska piechota!

Wie Moskal zdawna, co nasz bagnet znaczy,
gdy do ataku krzykną: naprzód wiara!
gdy krwawem piórem nasz hufiec junaczy
na grzbiecie pisze mu pismo do cara —
biada! gdy w gąszcz go bagnetów omota
polska piechota!

---

[1]) Ur. 1886, ogłosił zbiór p. t. *Wieją wiosenne wiatry.* Kraków, 1916, i drugi p. t. *Laury i ciernie,* 1917.

[2]) Towarzyszom broni — Czwartakom. Na pozycji 1 stycznia 1916.

I niczem dla nas są przeszkody chytre,
które zdradziecko stawia nam na drodze;
nie potkniem nawet się o carską mitrę
i berło carskie nie zawadzi nodze —
jak młot stalowy, wszystko wraz zdruzgota
polska piechota!

Naprzód piechota! przez lasy i bagna,
z Rzeczypospolitej pędzić wroga kresów!
za Dniepr błękitny niech go huf nasz zagna!
za wiek niewoli spadniem nań w kształt biesów,
aż zadrży w Kremlu tron carski ze złota:
polska piechota!

Mój karabinie. [1])

Mój karabinie, cudna broni!
niewola cię zrodziła...
Któż ciebie mi wytrąci z dłoni?
jakaż to będzie siła?

Gdy nas tak stanie ramię w ramię
kilkakroć sto tysięcy,
któż ten żelazny mur przełamie?
Kogóż nam bać się więcej?

Więc powstań, Polsko, rwij kajdany!
wybiła twa godzina!
w purpurze biały ptak skąpany
już skrzydła swe rozpina!

Co było naszem, będzie naszem!
wróg, niby mur, odleci,
kiedy bagnetem i pałaszem
Polak mu w twarz zaświeci!

Mój karabinie, cudna broni!
niewola cię zrodziła...
Któż ciebie mi wytrąci z dłoni?
jakaż to będzie siła?

[1]) Majorowi Andrzejowi Galicy poświęcone.

Wojna.

Noc jesienna... Okopy kręte, nieruchome,
by węża-dusiciela pokłębione cielsko,
żującego wciąż ofiar niewinnych oskomę;
gwiazdy wdół spoglądają z słodyczą anielską;
granat nieba świetlisty i taki spokojny,
jak gdyby nie był rok to straszny, wielkiej wojny.

W okopach ciemno; tylko gdzieniegdzie rozbłyska,
by w lesie krwawe oczy wilka się jarzące,
blask ciepły ukrytego starannie ogniska;
po zoranej drutami kolczastemi łące,
srebrnym blaskiem miesiąca słodko rozświetlonej,
snują się dymy, niby żałobne welony.

W okopach śpią żołnierze; wielu z nich, niestety,
śpi snem ostatnim może... leżą przytuleni,
szarża i szeregowiec, i tylko wedety
czuwają, nieruchome, sine, nakształt cieni...
wypocząć i zapomnieć: oto dziś rzecz główna —
jutro wszelką nierówność łacno śmierć wyrówna.

Jutro ta szara masa wraz o pierwszym świcie
do szturmu runie ławą, by górska lawina —
niejeden pod bagnetem młode odda życie
i niejednej też matce kula weźmie syna,
niejednego opłacze kochanka... lecz któżby
o śmierci-druhnie myślał w objęciach snu-drużby!

Śpijcie, o bezimienni, noc żołnierza krótka...
oto już gdzieś w pobliżu ryknęły armaty:
(przygotowanie szturmu znaczy ta pobudka)
powracają patrole, wysłane na czaty:
nad smutną ziemią krzyżów świt wypełza zgniły,
wyłaniają się w gaju brzozowym mogiły.

I anioł snu odlata ku gwiazdom, co gasną,
na ziemię umęczoną spoglądając łzawie,
nad którą demon mordu powiał chustą krasną...
w świtania jesiennego pół śnie i pół jawie,

zgarbiona i jak gdyby doli swej nierada,
gankiem się okopowym szara postać wkrada.

Idzie i jednych mija, drugim zasie kreśli
znak tajemniczy jakiś na pogodnem czole;
a czasami się dziwnie tak uśmiecha, jeśli
przypadkowo na młode natrafi pacholę —
zaś takim naznaczonym już śmierć tylko siostrą
i tylko brzozy białe ramiona rozpostrą...

O wojno! kto cię przeżył, kto spojrzał ci w oczy,
ten już śmiać się nie będzie i temu ramiona
młode ciężar starości przedwcześnie przytłoczy...
a jednak w grozie krwawej bądź błogosławiona,
bo z ciebie życie nowe rodzi się i z pleśni
nowy i promienniejszy świat się wycieleśni!

Skończy się groza twoja i ze zgliszcz wystrzeli
znów z gałązką oliwną gołębica biała;
zanuci pieśń skowronek w błękitnej topieli
białym krzyżom i ziemi, zoranej przez działa;
łzy lata-koicielki z bladych twarzy utrą
i ludzkość odmłodzona w ślubne wstąpi jutro!

Jadą ułani.

(Rotmistrzowi Belinie).

Jadą ułani... Boże! czy sen to?
Orły i czaka, jak przed stu laty...
wsią mazowiecką, w majowe święto,
szwadron ich jedzie barwny, skrzydlaty.

Wiatrem rozwiane rabaty lśnią się,
jak maki polne... parskają konie,
bo miłych gości wiozą... w malw ponsie
niejedno liczko dziewczęce płonie.

W słońcu stal szabel cudnie połyska;
brzmi pieśń ułańska; hej! jak to ładnie...
dziwią się we wsi rade ludziska
i biegną zewsząd, biegną gromadnie.

I nawet kundle, poczciwe pieski,
dziś nie szczekają i są im rade —
czerwony rabat, mundur niebieski...
kręcą ogonem na tę paradę.

Wyszedł z plebanji sam ksiądz dobrodziej,
oczy przysłonił i wzrok napawa —
a oni jadą, promienni, młodzi,
w słońce, co świeci ku nim, jak sława.

W kwitnącym sadzie jabłek i gruszek,
w szlacheckim dworku, ułańskiej jeździe
kłania się z ganku dziedzic staruszek,
klekoce bociek radośnie w gnieździe.

W szlacheckim dworku, w białej komorze,
ruch też niezwykły — patrzy z okienka,
ukryta w malwach, i szepce: «Boże,
jadą ułani!...» dworska panienka!

Już przejechali... Czy sen to? Boże!
tęskne spojrzenie starca wdal goni,
na małym ganku, w szlacheckim dworze,
w kwitnącym sadzie grusz i jabłoni.

Krasne rabaty, burka niebieska...
hej! jak przed laty... widok nieobcy...
coś mu się marzy... i spływa łezka...
i szepcą usta: Bóg prowadź, chłopcy!

Już przejechali... Czy sen to? Boże!
pyta się dziewczę swego staruszka,
w szlacheckim dworze, w białej komorze;
westchnieniem cicho wtórzy jej służka.

I rozpalone twarzyczki kryją
między kwitnące w okienku malwy,
szepcąc: ułani... Jezus! Maryjo!
za lasem nagle gruchnęły salwy...

KAROL ŁEPKOWSKI.

Choinka. [1])

Noc taka jasna, taka czysta,
Nad cichą, senną Rafajłową,
Że choć czasami wiatr zaśwista,
Słychać szept każdy, każde słowo,
A kędy spojrzysz, wdal po świecie
Prószy białego śniegu kwiecie...

Na ziemię, w całunowiniętą,
Księżyc się srebrną patrzy twarzą,
Coś — jakby jakieś wielkie święto,
Coś — jakby cuda dziś się marzą,
Jakby spływała moc tajemna
Od brzegów Warty — aż do Niema!

Świerkowe drzewko ścięte w lesie,
Starym zwyczajem, w iskier snopach,
Sam major Roja w ręku niesie,
Stawia wysoko... na okopach...
Aż potem świeczki jasne płoną
Nad Rafajłową i Zieloną...

Potem kolęda, jedna, druga,
Prawie ją cały legjon śpiewa,
Na niebie gwiazda jakaś mruga,
Na ziemi szare szumią drzewa,
A kędy spojrzysz, wdal po świecie
Prószy białego śniegu kwiecie...

Ustała walka! Z drugiej strony —
Także w okopach, w mrocznej dali,
Ten sam śpiew słychać ulubiony,
W szeregach wroga — u Moskali!
I tam kolędy płyną zwrotki
Przez śnieżne pola i opłotki!...

---

[1]) Ze zbioru: *Szlakiem legjonów.* Wiedeń, 1915.

— Ktoś ty?... — zapytał major Roja —
Ktoś ty?... skąd rodem? jaka wiara? —
— Ta sama pewnie, co i twoja...
Ot — Polak, jeno w służbie cara...
Ot... kula może jutro spotka...
Śpiewajmy razem... śliczna zwrotka...

«Wśród nocnej ciszy» — O mój Boże...
«Głos się rozchodzi» — jak na Litwie...
— Pan legjonista?... — To się może
Spotkamy jutro razem w bitwie...
Teraz śpiewajmy... nic nie szkodzi...
Z których okolic Pan Dobrodziej?

— Z Krakowa rodem matka moja —
— A ja z gubernji jestem mińskiej...
Tak się poznali: major Roja
I sztabskapitan pan Kwieciński!
Kraków i Litwa, wielkie słowo:
Zielona w walce z Rafajłową!..

Choinka stała wciąż na dworze,
świeczki się skrzyły iskierkami...
«Wśród nocnej ciszy»... o mój Boże!...
Płynie kolęda okopami,
Z jednej i z drugiej suną strony;
Kompanje wrogów — i legjony.

Nazajutrz ledwie zorze błysły,
Przerwana dalej wrzała bitwa.
Górą Polacy — hej — z nad Wisły,
Górą legjony... Ruś i Litwa!...
A niechaj zginie wróg rosyjski!...
...Ugodzon kulą — padł Kwieciński!...

Krew go zalała... towarzyszy
Walczyło wielu w służbie cara —
Zginęli wszyscy... «W nocnej ciszy
Głos się rozchodzi»... sen czy mara?...
— Znasz tę kolędę — rzekł do Roji —
Niech żyje Polska! — bracia moi!...

Baterja. [1])

Grzmiała baterja... W dali gdzieś
Przeleciał anioł stróż —
I rozkołysał polską wieś
W potokach złotych zbóż...
Pośród zieleni białych plam
W struchlały patrzy świat:
Kościelna wieża — boży chram —
I rząd skulonych chat...
Spojrz tam... pod lipą okna dwa...
— To mój rodzinny dom...
Tam może twoja matka łka — —
Spojrz tam, gdzie huknął grom...
Patrz — runął dach ze szczytu wież
I wzbił się ognia słup...
I dom twój się zawalił też
I został jeno — grób...
. . . . . .
W poświście kul, wśród grzmotu dział
Pobity pierzcha wróg —
Tam, gdzie syn celny pocisk słał,
Tam ojca widać pług...
I znowu orze ziemi szmat,
Choć ptak się zrywa z drzew,
I za oraczem leci w świat —
Rycerskiej kuli siew...

Poprzez ugory...

Poprzez ugory, poprzez pola,
Szlakami ziemi ukochanej
Szła z nimi jakaś lepsza dola,
Nieśli ją w piersi rozśpiewanej,
Wiedli ją z sobą w dzień i w nocy,
W czasach goryczy i męczeństwa,
W chwili zwątpienia i niemocy:
I tak szli w drogę — do zwycięstwa!

---

[1]) Ze zbioru p. t. *Nasza wiosna*, Wiedeń 1916.

Bez słowa skargi, bez lamentu,
Z otuchą w sercu, w burz zawiejach,
Spełniali wolę testamentu,
Napisanego w ojców dziejach.

Dla Ciebie, Polsko...

(Pamięci Leona Kulczyńskiego, chorążego legjonów).

Padłeś na polu wśród okrzyku:
«Dla Ciebie, Polsko» — aż ten śpiew
Na ustach Twoich, żołnierzyku,
Zastygł, jak stygnie skrzepła krew...

Na prostych noszach z karabinów
Bieli się Twoja młoda twarz,
I oto w boju z takich synów
Poszła do nieba przednia straż!

Krew, co się sączy z bladej skroni,
Niby czerwony rubin lśni,
A łzy, co matka, ojciec roni,
Te łzy — to perły naszych dni!...

Są to klejnoty czystej wody,
Hartowne w ogniu, w huku dział —
Dla Ciebie, Polsko, — on, tak młody,
Wszystkie te skarby z życiem dał!...

Szarża Wąsowicza.

Biją armaty... pocisk ziemię ryje...
Zwalił się ułan... inni pędzą dalej...
Raz się umiera i raz tylko żyje —
Wezmą okopy ci, co pozostali,
I zawołają słowy zwycięskiemi:
«Precz z tego miejsca i precz z ojców ziemi!»
Łuny pożarów to płoną, to gasną,
W dział huku tonie miarowy trzask kurka,

A w blaskach słońca mieni się tak jasno
Ułańska, z ramion spadająca burka,
Że prawie widać, jak ją wiatr wydyma,
I rękę widać, która szablę trzyma!
Rąbią i sieką, jak wiatraku śmigi,
I wróg się kładzie, niby zboża snopy,
A oni lecą dalej — na wyścigi...
Bluznąć krwi strugą przed oczy Europy...
Całemu światu dostarczyć dowodu,
Że w krwi przelanej tkwi dusza narodu!
Jak lwy się biją... tuż... tuż... okop trzeci,
A potem czwarty... W śmiertelnym galopie
Pada Wąsowicz — Włodek z konia leci...
Zwycięski standar zatknięto w okopie —
I krzyż samotny zatknięto nad ziemią...
Tam, gdzie waleczni legjoniści drzemią...
Leżą tam oni, jak Rejtan u progu,
Z otwartą piersią — na straży honoru...

ARTUR ĆWIKOWSKI. [1])

Atak.

(Z pamięników żołnierza *Wielkiej Wojny*)

Był to pęd jakiś nieprzytomny,
Huragan dźwięku, huku, wycia,
Bezładny, ślepy i niezłomny,
Wydarty z kręgu życia.
Nie, to nie myśli szał człowieczej,
Co przez śmiertelne przejść chce próby:
Ciężkim rozmachem martwych rzeczy
Leciał pułk w noc zaguby.
Pamiętam wody chłód... Na chwilę
Związały się myśli przędziwa:
Oto w krąg ciemność, śmiercią żywa,
Przedemną jeszcze drogi, tyle!
Czy grzmoty dział? czy śpiewy słyszę?
Czy szumi złotych ptaków stado?
Czy giną wokół towarzysze?

[1]) Ze zbioru: *Pieśń polska w latach Wielkiej Wojny*, (zebranego przez L. Szczepańskiego), Kraków 1916.

Czy sam, czy biegnę wdal z gromadą?
Czy wielki jest od wroga przedział? —
Ani myślałem, anim wiedział.
Nie słychać żadnych też rozkazów...
Naprzód! błysk światła noc przewierca...
Naprzód! jak tłucze się dzwon serca...
A wtem — bezdenna ociężałość...
Niby zmęczenie, półomdlałość...
Ulga — jak gdyby ogień wnętrza
Rozerwał skóry już nabrzmiałość,
Jak gdyby jakaś sieć pajęcza
Kładła na oczy cienie mroczne...
Nie mogę dalej biec... odpocznę —
I osunąłem się na ziemię
I położyłem dłoń na ciemię,
Które owiewał wciąż wiew ciepły:
Palce do włosów mi przylepły...
Krew — choć nie widzę — po zapachu,
Po smaku poznam, bo się toczy
Do ust przez czoło i przez oczy.
I, na tem polu, pełnem strachu,
Śmierci, płomiennych skier tumanów,
Przy ryku jakby stu wulkanów,
Wśród drżenia sfer, ginących jęku,
Raz wraz rażony blasku snopem,
Pod trzaskającym nieba stropem,
Już bez nadziei i bez lęku,
Sam — tylko w pieczy tego ducha,
Który modlitwy krwi mej słucha,
Jąłem brać chłodną glinę ziemną
I chusty z nią na rany kładłem...
A potem w dziwny stan zapadłem,
W nieczułość wszystkich władz...
A rzeź czerwona dookoła
Szerzyła pracę swą zdradziecką...
A mnie chroniła dłoń anioła,
Mnie, com bezbronny był, jak dziecko,
I nie dbał o kierunek lotu
Pocisków orających niwy —
Wtem dźwięk rozebrzmiał przeraźliwy:
To grały trąby do odwrotu.

Na polach śmierci.

(Z pamiętników żołnierza Wielkiej Wojny).

Żołnierz opodal, jęcząc, dyszał...
Jęk to żałosny był, niemęski,
Niby kwilenie niemowlęce.
A przejmujący tak, męczeński,
Że czułem, jakby mi kto w ręce
Szorstkie, lodowem zimnem skrzepłe,
Brał serce żywe, miękkie, ciepłe.
Ujrzałem bez nóg ciało krwawe
Z twarzą od grozy nieczłowieczą;
Palce, splamione lepką cieczą,
Szarpały odruchowo trawę;
Z rozprutych trzewiów obłok pary,
Niby złowrogiej dym ofiary,
Zda się — pachnący krwią wywiewał...
I, Boże! trzewia w słońcu lśniły...
Usta otwierał, jakby ziewał...
On czuł! Z pod rozszerzonych powiek
Tej zbezkształconej, ludzkiej bryły
Poglądał na mnie żywy człowiek
Wzrokiem, co krew serdeczną ziębi;
Tak sięgał aż do duszy głębi,
Taki błagalny był, sierocy,
Tak przerażony mrokiem nocy, —
Już leży w strudze krwi rumianej...
A ona ciągle ciecze z rany,
Płynie z krynicy swej potwornej...
Wtem na twarz padł cień ołowiany:
Uśmiech wykrzywił ją upiorny
I skurczem zębów rząd wyszczerzył...
Drgnął... pierś opadła mu... już nie żył.
Oto ci purpurowe leże,
Nieznany, cichy bohaterze!
Działa jak trąby grzmią nad tobą
Z taką powagą i żałobą;
Słońce promieni aureolę
Kładzie na twojem młodem czole;
Niebo jak sztandar rozpostarte
Pośmiertną odprawuje wartę;
Jak trybularze dymią niwy

Wokoło ciebie... Czyś szczęśliwy?
Z krainy mąk i krwi i płaczu
Dokąd poniesiesz się, tułaczu?
Czy w księżycowej czas poświaty
Staniesz u okna swojej chaty
Taki okropny i widmowy,
By błogosławić drogie głowy?
Ach, lecz gdy twoi cię zobaczą
Marą czerwoną, straszną, cudzą —
Przez sen zajęczą i zapłaczą,
Z krzykiem przestrachu się obudzą...
Czy w cieni gruszy, twej piastunki,
Młodości snów strażniczki starej,
Będziesz śnił miodne pocałunki,
Miesięcznej nocy chłonął czary?
Nie zjawiaj się w uśpionym sadzie,
Gdzie się na ścieżkach miesiąc kładzie,
Koło drzew wieńce tęsknot wije —
Bo pies, ujrzawszy cię, zawyje,
Zalękłe drzewa dreszcz przebiegnie,
Cień szary na księżycu legnie...
Świat żywy — zmarłym nieprzychylny,
Ma dla nich twarz, przestrachem bladą...
Szczęśliwi, którzy w dół mogilny
Jak na kamienny sen się kładą...
Którzy żywota przeszli drogę,
Nieukochani przez nikogo —
I przez nikogo niepłakani
Odchodzą w cichą noc otchłani...

KAROL HUBERT ROSTWOROWSKI. [1])

Ze «**Zmartwychwstania**» (fragment cz. II).

Niski a obszerny, wiejski salon. W głębi dwa okna i oszklone drzwi z zamkniętemi okiennicami. Z lewej i prawej pootwierane drzwi, prowadzące do zupełnie ciemnych pokoi. Z lewej kominek z dogasającem ogniskiem, koło kominka wielki, staroświecki fotel, obok stoliczek. Na środku sceny

[1]) Ur. 1877, od r. 1901 ogłasza utwory liryczne i dramatyczne, z ostatnich rozgłośniejsze: *Judasz z Kariothu* (1913), *Kaligula* (1917), *Bratnie, dusze* (kom.) 1918, *Straszne dzieci*, *Zmartwychwstanie* (1923), *Antychryst*.

okrągły stół, otoczony bidermajerowskiemi krzesłami. Nad stołem wisząca lampa z ciemnym abażurem, tak że tylko stół jest jasno oświecony, a reszta sceny w półmroku. Między oknami i oszklonemi drzwiami stare, złocone lustra, pod niemi bidermajerowskie konsole.

Na dworze wyje wicher i pluszcze ulewa.

Dookoła stołu siedzą: Matka, Marja, Marek (w mundurze, na piersi krzyż Virtuti militari, na twarzy wielka szrama), Jan (kurtka zapięta pod szyję — wygląd jakby poety). Matka szydełkuje, Marja haftuje, Marek czyta gazetę, Jan podparłszy głowę na rękach czyta książkę, leżącą na stole.

MATKA.

Dzieci, wstawajmy od stoła.
Już minęła jedenasta...
Chyba ojciec znów nie zdoła
przed świtem powrócić z miasta...
A słyszycie co się dzieje?
jaki straszny szturm na dworze?...

MAREK.

Moja mamo, póki leje,
póty cicho być nie może.

MATKA.

Wiem, wiem, ale...

MAREK.

«Powrót taty».

«Rzeki». «Pełne zwierza bory».

MARJA *(łagodnie).*

Przestań.

MAREK.

Było tak przed laty,
tak samo jest do tej pory!
Pomimo że tam, za ścianą,
rabowano, podpalano,
mordowano, zwyciężano,
świat w posadach poruszano,
tutaj nadal...
(wskazując robótkę Marji)
«zbożna praca»,
życie «w małym swoim domu»
i strach, że «tata nie wraca»,
choć widać «łyskanie gromu».

JAN *(nie zmienia pozy, tylko zamiast w książkę, patrzy w Marka).*

MARJA (*żartobliwie do Marka, haftując*)

«Z pałaców, sterczących dumnie,
zejdź luby do naszej chatki» —
znajdziesz u nas... serce matki...

MAREK.

Znajdziesz u nas serce... w trumnie!
Orka, siejba, żniwo, młocka,
młocka, orka, siejba, żniwo...
jako żywo, jako żywo,
to nie Lwów, ni odsiecz Płocka!
Ha! — Mieliśmy do obrony
«bolszewickie kulomioty».
Tak Mościcki rzekł z ochoty
i tak Płock był obroniony!
Najpierw atak, ot, z brzeszczotem
na pierwszy kulomiot. Wzięty.
Potem atak z kulomiotem
na drugi. I drugi wzięty.
Potem trzeci, potem czwarty,
piąty, szósty, siódmy... Mamo!
w południe stał wróg za bramą,
a Mościcki walił... w karty
przy flakach i bombie... piwa!
To mi młocka! To mi żniwa!

MATKA.

Dziecko moje! — No a potem?

MAREK.

Potem? — Drzemka pod *(wskazując ściany)*
...namiotem!
Mury, sprzęty, piec, obicia
oglądane od powicia...

JAN.

Lecz mniej wielkie, mniej piękne, niż się dawniej zdały...

MAREK.

Bo mi ręce i nogi i skrzydła spętały!
Ja się duszę!

JAN.

Nie można wojować bez przerwy.

MATKA *(półgłosem)*
Cicho Jasiu...

JAN *(spuszcza oczy i czyta. Pauza).*

MAREK.
Działacie mi wszyscy na nerwy!
«Cicho Jasiu!» — Nowa era.
«Oszczędzanie bohatera».
(Po pauzie)
Nie drażniła mię armata,
to tembardziej szczebiot brata,
Który półsłówkami puka
jak z flobertu do kałmuka.
(Po pauzie)
A Rokitna! A Warszawa!
Stach Szymański, ja i sława!
Boże, co się wtedy działo!

JAN.
I to wszystko «jeszcze mało».

MAREK.
Mało! — Polak albo bije,
albo kłóci się i gnije!

JAN.
No... a skoro tratowałeś
polski chleb na polskiej ziemi,
no a skoro oświecałeś
polską noc wsiami polskiemi,
wówczas nigdy, ani razu,
w twojej głowie, prócz rozkazu,
nie mieściło się pytanie,
co się z Polską dalej stanie?

MAREK *(wskazując szramę na twarzy)*
Widzisz? — Po to, żeby «była»!

JAN *(zrywając się, jednem szarpnięciem rozpinając kurtkę i odsłaniając pierś)*
Widzisz? — Po to, żeby «żyła»!
(zapinając kurtkę)
Żeby miała dach nad głową,
Żebyś orał ją na nowo.

MAREK *(po chwili patrzenia w brata, prawie szeptem).*
Gdzie?

JAN.

Co?

MAREK.

Rany.

JAN.

Rany? w domu.

MAREK.

W domu? — Za?...

JAN.

«Łyskanie gromu».
«Powrót taty». «Sprzęty». «Ściany».

MAREK.

Byłeś...

JAN.

Raz «przesłuchiwany».

MAREK.

A... a potem?... Gadaj! Potem?

JAN.

Zostawiono mię pod płotem.

MAREK.

A... a potem... co się stało?

JAN.

Nic. To wszystko «jeszcze mało».
Ojciec...

(wskazując matkę i Marję).

One...

MAREK.

Czyli... czyli...
Czemuście mi nie mówili?!

JAN.

Wracasz z frontu.

MAREK *(chwytając się za głowę).*

Boże wielki!

JAN *(wstając, nagle jakby zaciętły).*

Do ostatniej krwi kropelki,
byle gryka jak śnieg biała
razem z ziemią zmartwychwstała!

MAREK *(rzucając się do nóg matki i całując ją po kolanach).*

Boże wielki...

MATKA.

Ciszej... ciszej...
Nasza ziemia teraz «słyszy».
Obudzona krwią i potem
nie powinna wiedzieć o tem.
Rodziłaby kłosy krwawe,
a ma służyć wam za strawę...
A duch zdrowy w zdrowem ciele...
Rozsiewajcie więc wesele.

MAREK *(b. cicho).*

Boże wielki!... Mamo!... Mamo!...

MATKA *(nagle bohatersko).*

W południe stał wróg za bramą!
Stach Szymański ty i sława:
Poznań, Kraków i Warszawa!

MAREK.

Nie zginęła!

JAN.

Tak — jeżeli
nie będziemy od niedzieli,
ale całotygodniowi,
w nowej Polsce ludzie nowi.

MATKA.

Amen.

MAREK *(odpinając na piersiach krzyż i kładąc go przed bratem).*

Amen, Amen, bracie.
Ten krzyż do kościoła dacie,
a gdy z wiosną ruszę w pole,
w to, gdzie wrogiem są kąkole,
rzucę z pierwszą garścią ziarna,
mówiąc: «byłaś gospodarna,
cierpliwa, niezwyciężona» —
i krzyż nosić będzie Ona.

. . . . . .

EUGENJUSZ MAŁACZEWSKI. [1])

Z opowiadania p. t. **Koń na wzgórzu.**

...Rok mijał za rokiem. Pięćdziesiąt pięć miljonów zbrojnych mężczyzn wyrzynało się na ziemi i pod ziemią, na wodzie, pod wodą i w powietrzu. I z germańskiej pychy, zaślepionej w sobie wówczas nawet, gdy w gruzy się już waliła, z niesłychanego bohaterstwa Verdunczyków, z krwawej, mrocznej, ohydnej, niby pospolity dół cmentarny, otchłani rosyjskiej rewolucji — wyłaniała się Polska, tak jak z nocnej wichury i zaprzepaszczonych wśród nawałnicy gwiazd wstaje różopalca jutrzenka, a nad ścierniskiem polnem w krwawych łunach zapala się spóźniony świt. Podnosiła się z półtorawiekowej mogiły, jak wielki Łazarz, z grobu się dźwigający, owiązany chustami, z przepaską na niewidzących oczach. Stawała się wbrew przewidywaniom mądrych i silnych, gwoli miłości głupich i do niedawna wobec świata słabych, a rosła na miarę rojeń szaleńców i ponad miarę ich marzeń najśmielszych...

Jako nie legjonista już, ani powstaniec, lecz jako regularny żołnierz niepodległej Ojczyzny, miałem wielki honor przelewania krwi własnej i cudzej, walcząc w bohaterskich szeregach dywizji syberyjskiej. Dzieje tych oddziałów, wędrujących w ciągu dwóch lat tam i napowrót przez wszystkie rzeki Azji, jakie do Lodowatego wpadają Oceanu, i brnących przez tajgę sybirską, wobec której puszcza Białowieska wydaje się małym gajem, w nieustannym ogniu bitew, w znoju przeraźliwych upałów latowych, w mrozach, od których wieczne bagniska stają się w zimie jakoby morzem do dna szklanem, zaś pnie drzew puszczańskich tężeją w żelazne słupy, wrośnięte w zmarzły spiż gruntu, pokrytego śniegiem i lodem — to epopeja rycerska, jakiej żadna nie wysłowi pieśń. Jeno jej uczestnikom na samo wspomnienie o tem, co przeżyli, ścina się w żyłach krew i poniewczesne zdumienie mdli serce, iż wszystko to stało się rzeczywiście, a oni jednak żywi są i wolni.

Walczyliśmy z hordami bolszewików, idąc ramię w ramię z hordą Kołczaka, która nie miała nad przeciwnikiem żadnego tytułu do wyższości, i tu i tam — ta sama dzicz ludzka, o jakiej

---

[1]) Autor inwalida wielkiej wojny, ogłosił wstrząsające grozą obrazki własnych przeżyć w zbiorze p. t. *Koń na wzgórzu*. Podaje się wyjątki z obrazka tytułowego, pomieszczonego na końcu zbioru.

Europejczyk nie może mieć najmniejszego pojęcia..... Ocierałem się, jako niedoszła ofiara, o krwawą robotę «czrezwyczajek», widziałem trupy moich żołnierzy, dobitych na polu obcasami w twarz, żywcem odartych ze skóry, spalonych na wolnym ogniu. Oglądałem u swych stóp martwe ciała towarzyszów broni, zmasakrowane w sposób, który nawet na fotografjach, zdjętych ku świadectwu, wzbudzał w widzu nieprzezwyciężone torsje obrzydzenia i lęku. Wtedy już czułem, że to nie zwykły mord, że to niezwyczajna wojna. I zaczynałem pojmować, iż na mordowanie się według humanitarnych paragrafów hagskich i genewskich konwencyj niemasz miejsca ani czasu tam, gdzie o samą duszę ludzkości śmiertelny toczy się bój...

Mijały miesiące. W szeregach naszych zaczęto przebąkiwać o powrocie. Jakoż dokonało się to wkrótce, prędzej nawet, aniżeliśmy się spodziewali.... Garstka istnych desperatów.... wydarła się z pierścienia wojsk czerwonych i na piechotę, wśród niezmiernie lutej wichury śnieżnej, zwanej w tamtym kraju purgą, kalekując odmrożonemi do kości nogami, dowlokła się do Władywostoku. Stamtąd na obcym statku popłynęliśmy do Gdańska....

Niemal wprost ze statku wysłano mię na front, gdzie zaprzągłem się wnet do twardej służby. Był to bowiem czas, gdy w Polsce wszelki, do boju zdatny «bagnet» wyciągano z rezerw i słano skwapliwie w pole... Tedy i garstkę żołnierstwa, która przywędrowała z dalekiego Wschodu, przekształcono i rozwinięto naprędce w tak zwaną brygadę Syberyjską i posłano bronić Wisły, bo aż nad Wisłę zapędził się wówczas wróg.

Na samym wstępie przeczułem, że mię w ziemi ojczystej zacznie ścigać zły los. Moja wieś okazała się znów po tamtej stronie nowego tym razem frontu. A co najgorsza, siostra Marychna została na wsi i przed inwazją wojenną nie chroniła się bynajmniej do bezpiecznych miejsc, jak to roztropnie uczyniło tylu innych... Dziwny jakiś traf zrządził, że kierunek kontrakcji naszej brygady rozwijał się właśnie wzdłuż dróg, prowadzących do mej okolicy. Po nagłem załamaniu się generalnego ataku nieprzyjaciela na linję Wisły i odparciu go od Warszawy, kolej zwyciężać przyszła na wojska polskie.

Dwojąc się i trojąc w powszechnem natarciu na zuchwałego wroga, forsownemi marszami dosłownie nadeptywając mu na pięty, ledwośmy zdążali go wytracać, roznosząc na bagnetach i szablach bose i głodne kupy najeźdźców, którzy, potraciwszy głowy i do-

wódców, umykali w popłochu, czasami tylko zwracając się ku nam do obrony, z rozpaczą i rozjuszeniem osaczonego zwierza.

Po niejakim czasie straciliśmy nawet łączność z rozbitym nieprzyjacielem. Uchodził zawsze o dzień drogi marszu przed nami, plondrując, niszcząc, paląc i rabując, co się da. Jako dowódcy kompanji piechoty, dano mi rozkaz zajęcia i utrzymania, aż do nadejścia sił głównych, pewnego wzgórka, które było położone na rozstaju dróg, skąd kilkanaście tylko wiorst dzieliłoby mię od wsi Jaskrońca, w której miałem posiadłość, gdzie została Marychna.

Prawie bez przeszkód, wyłapując jedynie maroderów, oraz czerwonoarmistów, brodatych wielkorosów, chcących się poddać z dobrowoli, dotarłem pomyślnie do wskazanego rozkazem miejsca. Na owem wzgórzu u rozstajnych dróg stał znany mi z dawien dawna dworek, otoczony starym parkiem. Właściciele uszli przed burzą wojenną, zaś zdobywcy stali tam przez jakiś czas kwaterą, o czem świadczyły wymownie ślady ich krótkiej, ale, że się tak wyrażę, doszczętnej gospodarki....

Smutny obraz dawało to domostwo, urządzone, jak widać, w ciągu długich lat, może paru stuleci. W czcigodne naczynie, wznoszone i przebudowywane przez szereg pokoleń, kształtujące zbiorową duszę szlacheckiej familji od dziadów pradziadów tu osiadłej, rojne od wspomnień, droższych nad relikwje, pełne żywego smutku i radości tych, co się w zaciszu starych ścian urodzili, żyli i pomarli — wdarł się żywioł obcy, wrogi i niszczący. I pohulał wygodziwszy niszczycielskim swym instynktom.

W oknach nie zostało ani jednej całej szyby. Nie od kul wyleciały — powytłukano je snać naumyślnie kolbą, kijem, pięścią, z sołdackiej chandry, dla zbytku. W pokojach wszystka posadzka była dokładnie wyważona, klepka po klepce wydarta ze spojeń. W pośrodku izby, niegdyś jadalnej, pozostała kupa popiołu i węgli po ognisku, wznieconem z połamanych mebli. Komu i po co przydał się ten ogień — niewiadomo; było lato, upał dokuczał nawet w nocy, a dla uwarzenia strawy znajdowała się obok dobrze urządzona kuchnia. Wszystkie meble, szafy, kredensy leżały w drzazgach, szczapach i strzępach. Nogi co krok deptały po szkle, ścielącem się od roztrzaskanych luster. Tapety tu i ówdzie powydzierano pasami od sufitu aż do podłogi, ściany okryto szeregiem odręcznych napisów i rysunków kredą, węglem lub dziegciem, utrzymanych w stylu owych prymitywów, które zdobią mury i parkany moskiewskich koszar, więzień i fabryk. Doborowa bibljoteka, skła-

dająca się z paru tysięcy starannie oprawionych ksiąg, przedstawiała zwichrzoną kupę podartych, zatlonych szpargałów.

Uwagę mą zwróciła duża księga in folio, leżąca na podłodze w niedbałem rozwarciu i roztrzepaniu kart, z resztkami grubej pozłoty na brzegach i grzbiecie, tłoczona czcionkami greckiemi na papierze, pożółkłym od czasów. Nachyliwszy się, zapuściłem wzrok między wiersze. Owiała mię wspomnieniem znajoma treść: boski Platon bronił w obliczu wieków nieśmiertelnego Sokratesa. Przebiegłem oczami kartę do samego dołu i odwróciłem ją sam o tem dobrze nie wiedząc. Wtem nagły fetor odepchnął, odtrącił mię od rozwartej księgi... Odwróconą kartę ohydną, lepką kałużą okrywały rozlane odchody ludzkie. Jakem się przekonał, wszystkim wykwintniejszym księgom tej bibljoteki, przygodni czytelnicy wygodzili w ten sam sposób, co opisanemu wyżej Platonowi.

I co wogóle szczególniej mię uderzyło w całym tym rozgromionym domu, to mnogość tego specyficznie moskiewskiego zostawiania po sobie zelżywej, śmierdzącej pamiątki: w każdym kącie, w pośrodku każdego pokoju, na parapetach okien, na rozprutych materacach łóżek, na potłuczonej klawiaturze rozbitego fortepianu. Szczególna to chuć robić ze wszystkiego kloakę. Jeśli ślad obecności tych ludzi jest taki, cóż dopiero dziać się musi w nich samych, pomyślałem...

Ból prawie fizyczny targnął mą duszę. Wybiegłem co tchu z zapowietrzonych izb, aby się przejść po ogrodzie.

Lecz i tu ścigała mię zmora w obrazie krzewów roślin południowych, które wyniszczone były w sposów niezwykle gruntowny; w obrazie malw, róż, giergonij, słoneczników, pościnanych snać ciosami kija, czy też knuta; w obrazie rodzajnych jabłoni i grusz, których gałęzie, obciążone rzęsnym, zielonym jeszcze owocem, zwisały, wsparte czubem o stratowaną murawę, odłamane od macierzystego pnia, który świecił w miejscu oddarcia gałęzi okrutną, białą raną.

Uchodząc od tych widoków, zabrnąłem... aż nad staw, będący właściwie dużą sadzawką, sakramentalnym dodatkiem «parku» w każdym niemal obejściu dworskiem w Polsce.

Woda, obrzeżona gajem tataraków, lśniła w sierpniowem słońcu, jak żywe srebro i jak szczere złoto. Bliżej ku zaroślom brzegów wydawała się być szczelnie okryta mnóstwem dużych, mokrych szmaragdów; to rzęsa wodna, oraz wywrócone nakształt płaskich talerzów, lśniące listowie przekwitłych nenufarów, leżały na wodnej

tafli, niby zielona łuska bajecznych płazów, pospanych w południowym upale.

Z rozkoszą zanurzyłem wzrok w tym zakątku wilgotnej zieleni. Wtem zwidziało mi się, że w pośrodku srebrno-złotej wody nieruchomieje coś białego, coś, niby kilka kęp śniegu, kiedy wraz z lodem taje na wiosnę w odmarzającym stawie. Po uważnych oględzinach rozpoznałem, że są to martwe łabędzie. Jeden, drugi, trzeci... piąty... dziesiąty... Powystrzelano je zapewne, ot, tak sobie, dla moskiewskiej, hulaszczej zabawy.

W drodze powrotnej szczegół inny, nierównie więcej przykry zabrał mą uwagę. Idąc aleją, wygracowaną brzegiem stawu, ujrzałem jeszcze kilka łabędzi. Były również martwe. Ktoś wpadł widocznie na pomysł osobliwy. Młode sadzonki wierzb nad stawem czyjeś ręce rozłupały toporem, czy szablą, od góry aż do korzenia i w otrzymane stąd widły, sprężyście zwierające się rozdartemi połowami, powszczepiano wysmukłe, długie szyje ptaków. Płaskie ich głowy, z rozwartym szeroko dziobem, zwisały martwo z jednej strony drzewek, zaś z drugiej — obsunęły się bezwładnie ptasie tułowia z rozpacznie rozpostartemi skrzydły, których pióra wbiły się, wgrzebały w ziemię, niby zgrubiałe palce zmarłych w męce. Szary i biały puch wyścielał dokoła trawę i słaniał się za najlżejszym powiewem...

Cały nieswój, dygocąc z obrzydzenia, podążyłem w stronę rozstawionych za parkiem placówek... Ledwom się z parku wydostał, natrafiłem wnet na mych żołnierzy. Zgromadzeni byli w liczbie kilku pod murem ogrodu. Mówili bardzo głośno i wszyscy razem, pilnie ze wszystkich stron oglądając coś, znajdującego się na ziemi. Na mój widok ucichli i rozstąpili się, dając mi przejść. Rzuciłem okiem wdół na rzecz, która wywołała zbiegowisko. W pierwszej chwili pomyślałem, że to jakiś niesamowity, pokraczny grzyb, białawy i bardzo duży, po niedawnym deszczu wyparł się z mokrego gruntu.

— Melduję posłusznie — odraportował mi któryś — względem tego, co wiejskie ludzie powiadają, że tutaj ma leżeć nasz polski oficer. Ciężko był ranny, powiadają. Popod lasem znalazły go «bolszewiki» po jednej bitwie, i przywlokły, psiekrwie, aż tutaj; ciągli za nogi, włócząc gębą po ziemi, ta i zakopały żywcem, nieboraka. Ino ręką z tamtego świata kiwa nam teraz...

Uklękłem, aby się lepiej przyjrzeć. Nie nasuwało się żadnych wątpliwości, że ręka, sterczącą z ziemi, należy do człowieka, zakopanego żywcem. Dokoła kiści ziemia była szczególniej wzruszona.

A w zastygłym na wieki ruchu samej ręki było coś, mrożącego krew w żyłach: wymowna, chociaż niema, jak śmierć, opowieść umarłego gestu o strasznym skonie istoty żywcem pogrzebanej, która ostatnim wysiłkiem rozpaczy, z podziemnym krzykiem ust, pełnych gliny, siliła się wydostać na powietrze, lecz tylko tą ręką, okropną ręką trupa, zdołała wydrzeć się z grobu na świat...

— Sterczy ku tobie błagalna dłoń! — samo się tak określiło w mej myśli wersetem z ponurego *Chorału* zjawisko, z pod ziemi wyszłe, zapozywające Wojnę przed sąd Boga Żywego...

Po ziemistem już ciele owej ręki biegało kilka skrzętnych mrówek... pośpiesznie, nibyto bez żadnego celu, po mrówczemu. Wszystkie palce, prócz wskazującego, układały się w nieszczelną pięść, ten jeden zaś, niedołężnie przygarbiony, wskazywał kędyś na ukos w niewiadomy punkt. Wpełzła nań właśnie boża krówka, podobna do toczącej się kropelki krwi, wydostała się na koniec paznokcia, poczem rozpołowiła nieodrazu twarde korale swych łusek, wreszcie rozpięła błoniaste skrzydełka i odleciała prosto w sierpniowy błękit...

[W dalszym ciągu autor udaje się ze swym oddziałem do własnego majątku, Jaskrońca, ogląda zniszczony cały dwór i dowiaduje się o tragicznej śmierci własnej siostry, która w ucieczce przed rozbestwionemi sołdatami utopiła się w głębokiej studni...].

...Bluźniąc Bogu, i wszystkiemu, co jest na niebie i ziemi, począłem iść przed siebie, iść na oślep, aby odszukać tych, którzy mi siostrę do studni zagnali, ażeby się na nich pomścić w sposób straszliwy....

Żołnierze, myśląc, żem z desperacji stracił rozum, zląkłszy się o mą osobę, poszli za mną.

Szliśmy w milczeniu parę stajań drogą prowadzącą od Jaskrońca w stronę, dokąd odszedł nieprzyjaciel. Kapral nieśmiało o czemś mówił do mnie, coś usiłował wyperswadować. Dał wreszcie spokój. Nie odzywałem się zupełnie.

Nie wiem, jak daleko zaszlibyśmy wówczas, gdyby nie zdarzyło się coś, co mię zawróciło nietylko w owym marszu szalonym, ale i duszę zepchnęło na drogi, któremi dotąd idę.

Na jednem z licznych w owej okolicy wzgórz, wznoszącem się opodal drogi, dojrzałem coś, jakby zarys okopów, świeżo usypanych. W zapamiętaniu, które z obłędem graniczyło, ruszyłem na urojone okopy wprost, sądząc, że się tam rozpocznie zemsta moja, albo, że zginę i cała męka na wieki się skończy...

...W miarę, jakeśmy się do wzgórza zbliżali, słońce kryło się stopniowo, aż znikło zupełnie za jego szczytem. Natomiast w miejscu, gdzie słońce znikło, zaczęło coś powstawać, olbrzymim, niewyraźnym, czarnym kształtem potwornie się narzucając skrwawionemu niebu.

Stanęliśmy nagle, zdumieniem w miejscu przykuci, zaś fantastyczny zjaw, czerwieniejący na szczycie wzgórza wśród niebios szkarłatnych, rósł i olbrzymiał, poruszając się zwolna.

W mgnieniu oka wbiegliśmy na wzgórze. I ujrzeliśmy rzecz, niepodobną do niczego na ziemi.

W oglądanym zdołu, olbrzymiejącym w oczach potworze, rozpoznaliśmy zwierzę, właściwie bardzo nawet pospolite. Był to potężny koń, z rasy koni pociągowych, tak zwany perszeron. Ale był to koń — odarty ze skóry. Wzdychając głęboko a postękując ludzkim prawie głosem, wgramoliło się po coś to żyjące ścierwo końskie aż na szczyt wzgórza. Jakże ohydnie świeciła ta poruszająca się kupa mięsa, odartego dokładnie ze skóry, oprócz końskiego łba, który zwisał do ziemi ciężarem nie do udźwignięcia!

— Patrzcie, koledzy, ten koń ma nogę złamaną. Nie mogli go zabrać ze sobą, to, psiekrwie, skórę z niego zdarli, a zabrali! — objaśniał kapral żołnierzy.

Zamyśliłem się bez myśli, czułem bez czucia, patrząc na umęczone zwierzę.

Ścierpła mi wszystka dusza i z tej duszy ścierpłej odeszła chęć wszelkiej zemsty, podobnie, jak ze ścierpniętej dłoni sam się wysuwa sztylet.

...ów koń na wzgórzu narzucił się mej wyobraźni jako wielki, wyrazisty symbol czegoś, co było większe nad mój ból, a co zarazem generalnie usprawiedliwiało wszystko, cokolwiek zdarzyć się może...

Pośpiesznym krokiem wracaliśmy do kompanji... A za nami pozostał straszliwy koń na wzgórzu. I w krwawych łunach zachodu widniał w oddali na swem wzniesieniu — olbrzymi, potwornym czerwieniejący kształtem — jakoby żywy, męczeński pomnik przez Wojnę samej sobie ku własnej zelżywości i słusznej hańbie w obliczu Boga wzniesiony.

ZOFJA KOSSAK-SZCZUCKA.

Pożoga. [1]) Wspomnienia z Wołynia 1917—1919.

(Od str. 117 i nst.).

W owym pamiętnym grudniu 1917 r. w Antoninach stały dwie odrębne organizacje wojskowe, wzajemnie od siebie niezależne, pierwsze oddziały polskie, które danem nam było oglądać, pierwsze ucieleśnienie dziecinnych marzeń i legend przeszłości.

I może dlatego właśnie, że byli to pierwsi polscy żołnierze, jakich widzieliśmy, nie mogę dziś myśleć o nich bez wzruszenia....

Garstkę ową przedstawiały: świeżo powstający 2-gi pułk ułanów, formujący się na Wołyniu z polecenia jenerała Dowbora-Muśnickiego, i znany już oddział Jaworskiego, niegdyś bataljon szturmowy imienia jenerała Korniłowa, później oddział partyzancki, luźnie przyłączony do VII-ej rosyjskiej armji. Korzystając ze swobody samookreślenia narodowościowego, udzielonego przez rewolucję — oddział usunął z pośród siebie żywioły rosyjskie, zuchwale powiał amarantowym sztandarem i orzełkami na czapkach, a pieśnią na ustach junacko wykrzykując swą polskość, stanął w Płoskirowie, później w Antoninach, jako wolny oddział partyzancki, od żadnego wyższego dowództwa chwilowo niezależny. Takie oderwane oddziały, rządzące się autonomicznie... były wówczas zjawiskiem dość częstem. Na samym Wołyniu możnaby ich sporo wyliczyć. Jednakże żaden nie dorósł tego znaczenia i sławy, co partyzanci Jaworskiego, później szwoleżerowie 3-go korpusu...

...W porównaniu z ułanami, partyzanci zdawali się być znikomą garsteczką, ogólna bowiem ich cyfra nie dosięgała wówczas nawet dwustu. Zato jakością żołnierza, sprawnością bojową i nad-

---

[1]) Utwór ten, pisany w formie pamiętnika, należy do rozgłośniejszych literackich publikacyj najnowszych, a odznacza się zarówno zaletami artystycznemi, jak wartością dokumentu historycznego. Autorka zbliska patrzała na dzieje Wołynia w latach 1917—19, kiedy śród powszechnego zamętu i przeciągania wojsk rosyjskich, niemieckich, austrjackich, bolszewickich, Petlurowskich, oddziałów galicyjskich siczowników, band rewolucyjnych chłopstwa — rozgrywały się najtragiczniejsze, najkrwawsze zdarzenia i doszczętnie niszczone były wszelkie ślady kultury polskiej. Pomieszcza się wyjątki z wydania II-go krakowskiego z r. 1923.

zwyczajną karnością górowali nieskończenie nad niewyrobionym jeszcze i miękkim żywiołem ułanów. Liczba ich rosła względnie wolno, gdyż oddział przyjmował nowe siły bardzo ostrożnie i zrzadka, wchłaniając je w siebie i urabiając na swoją specjalną modłę. Dzięki tej taktyce zachował zawsze ścisłą jednolitość.

Oddział ten składał się prawie wyłącznie ze starych zabijaków, nieulękłych w bitwie, straszliwych w spotkaniu, surowych i karnych, niedziwiących się niczemu. Czteroletnia Wielka Wojna wyrobiła w ludziach, biorących w niej udział, dwa zasadnicze, podstawowe typy: ludzi znużonych wojną, marzących o dawnem życiu przedwojennem, przyjmujących walkę jako jedyny środek jej zakończenia — i ludzi, którzy (odwrotnie) tak rozkochali się w wojnie, że istnieć bez niej nie mogą, jak salamandra bez ognia.

Jaworczycy rekrutowali się z drugiego typu. Żołnierze o srogich twarzach, spalonych wichrem i mrozem, wierzyli w świecie w dwie rzeczy: Wojnę i Dowódcę. Reszta nie istniała, albo była obojętną. Nie liczyli się z niczem i nie lękali się niczego. Postawę mieli wspaniałą. Czyto później, umundurowani i lśniący, jak lalki, czy na początku, w strzępach rosyjskich kożuszków — jednako zachowywali ruchy i formy żołnierza najlepszej szkoły. Ludzie cywilni, stojący zdala od wojska, nie znający dobrze psychiki żołnierza, zwłaszcza żołnierza w czas wojny, krytykowali nieraz ten oddział junacki, zuchwały i nieustraszony. Raziła ich bezwzględność żołnierzy, zbójecka, dzika odwaga i obojętność na wszystko, co nie tyczyło szwadronu. My wszyscy, którzy znaliśmy ich zbliska, mieliśmy dla nich tylko żywą i szczerą sympatję. Typy, niezwykłe przez swą niepowszedniość, ciągnęły umysł i oczy. Były to typy, które w czasach pokoju, w stosunkach normalnych, miejsca rzeczywiście nie mają, i albo wegetują cicho, zagłuszając same siebie, albo wybuchają i idą pod sąd. Ale na marginesie kresów, w chwilach burz i zawieruchy, mają swe chwile piękne i niezapomniane. Zapewne byłoby źle, gdyby naród składał się wyłącznie z ludzi podobnego typu, ale gdy stać go jeszcze na spory odsetek takich tęgich i moralnie mocnych zuchów, biorących walkę słonecznie i prosto, lubujących się w jej gwarze, jak marynarz w szumie fal, pełnych fantazji i naiwnej rycerskości legendarnych tatrzańskich zbójników — jest to dowodem niepożytej jego młodości i siły.

Nie ulega wątpliwości, że partyzanci nie byliby sobą, gdyby nie mieli Jaworskiego, Jaworski zaś nie byłby niczem, gdyby nie miał partyzantów. Szwadron i dowódca tak dopełniali się ściśle, że trudno było pomyśleć jedno bez drugiego. W tem tkwiła

główna ich siła. Przedziwną władzę posiadał ten zupełnie młody chłopak, o zamkniętej twarzy i niewielkich, migotliwych oczach. Władzę specjalną, atrybut bezcenny przedstawicieli typu Napoleońskiego... Cechują go nieodmiennie: szalona ambicja, pogarda dla codziennej, powszedniej etyki, dzika odwaga, a przedewszystkiem tajemnicza siła prowadzenia ludzi, wzbudzania w nich szału entuzjastycznego i fanatycznych przywiązań. Ta siła należy do niezbadanych psychicznych zagadek i darów i nikt jej n a b y ć nie zdolny. Dlatego Napoleonidą można się urodzić, ale nie można się s t a ć.

...W czem się przejawia nazewnątrz ta siła ujarzmiająca? We wzroku, słowach, czy czynach? Trudno określić...

Jaworski w szczupłych ramach swojego szwadronu przedstawiał wszystkie cechy Napoleonidy...

(Od str. 200 i nst.).

...Kobiety biorące udział w walkach i służące w szeregach nie były zjawiskiem rzadkiem. Wspomnienie tragicznej narzeczonej młodego partyzanta nasuwa mi na myśl młodziutką postać i straszny los panny Mroczkowskiej, dwudniowego ochotnika 3-go korpusu.

Była to sierota, wychowywana przez brata. Gdy brat ów, jedyny opiekun, wstąpił w szeregi, nie mogąc znieść myśli rozstania, poszła za jego przykładem. Dramat miał miejsce na drugi dzień po przesmutnem wyjściu ze Starokonstantynowa, gdy pierwsze oddziały zbliżały się do leżącej niedaleko Terespola wioski, Kaczanówki. Podjazd, wysunięty o półtory wiorsty naprzód, miał polecenie badać okolicę. W liczbie składających go żołnierzy znajdowała się również i panna Mroczkowska. Deszcz przestał padać, wieczór był ciepły, miesięczny. Czy ten oddziaływujący zawsze urok wiosenny, czy obecność nowego kolegi, źle ukrywającego długi piękny warkocz pod żołnierską czapką, tak rozmarzyły jadących żołnierzy, że śpiewając półgłosem pieśń o rozmarynie, dalecy od bieżącej chwili, przestali zwracać należną uwagę na drogę. Skorzystali z tego zaczajeni z kulomiotami w rowach przydrożnych chłopi, i wzięli nagle podjazd we dwa ognie. Dziewczyna i dwóch żołnierzy padło rannych, reszta zdołała zawrócić w kierunku oddziału po pomoc. Los trojga jeńców ogarniętych przez chłopów był straszny. Krajano ich żywcem na kawałki, rozmyślnie przedłużając w nieskończość mękę. Najdłużej znęcano się nad kobietą, aż po dwu godzinach ohydnych tortur, schwyciwszy za nogi nieszczęsne, zhańbione ciało, do ludzkiego ciała niepodobne — roz-

trzaskano ciągle jeszcze żywą głowę o pień drzewa. Wiadomość o zasadzce, a następnie o męczeństwie trzech rannych żołnierzy wstrząsnęła całym korpusem. Postanowiono wieś ukarać w sposób, któryby przez swą grozę stanowił na przyszłość przykład odstraszający dla innych wsi. Piechota i legja oficerska ruszyły z wyraźnemi i planowemi instrukcjami. Rozkaz był: otoczyć wieś, przeprowadzić ścisłe śledztwo, rozstrzelać winnych wraz z rodzinami, oprócz małych dzieci — chaty ich spalić, dobytek skonfiskować. Wojsko nadeszło z zamiarem wykonania rozkazu, ale gdy oddział czołowy ujrzał leżące od poprzedniego dnia straszne szczątki ludzkie na placu męczeństwa — oczy zasłoniła mgła. Najtrzeźwiejsi ludzie nie byli już zdolni spokojnie coś obmyśleć. Żołnierze zmienili się w zwierzęta. Z dzikiem wyciem: «pomsty» rozpoczęto pogrom wsi, paląc chaty, zabijając, kto się dostał w ręce.

Nie była to sprawiedliwość, której wymagała chwila... Jak zwykle w tych razach, kiedy się działa na ślepo, faktyczni winowajcy uszli cało, a ucierpieli niewinni. Późniejsze dopiero śledztwo wykazało, że ludność Kaczanówki prawie wcale nie brała udziału w napadzie, który zorganizowali chłopi z drugiej wsi.....

EMIL ZEGADŁOWICZ. [1])

Ze zbioru: **„Przyjdź Królestwo Twoje“.** [2])

1.
U tysiąclecia bram,
które przejść trzeba
wysiłkiem twardym —
duchem sięgnąć tam,
gdzie jasny błękit nieba
w czerń się skrywa —
— wieczności! — przestrzeni!
[bezkresie!
— zarywa się krzyk...
w otchłaniach milczenia
10. gaśnie —

[1]) Emil Zegadłowicz, z grupy «Czartaka» dziś najwybitniejszy, ogłasza od r. 1908 zbiorki poezji wyłącznie niemal lirycznej, także udramatyzowane liryczne misterja i przekłady obcych poetów; największy zyskały dotychczas rozgłos zbiory, pisane w całości lub części w gwarze podhalańskiej, jak *Powsinogi beskidzkie*, r. 1923; *Kolędziołki beskidzkie*, r. 1923; *Wielka nowina w Beskidzie* (sześć ballad), r. 1924; *Nawiedzeni*, misterjum balladowe w 3 aktach, r. 1925; z liryk, pisanych polszczyzną literacką, piękniejsze (np. zbiór p. t. *Przyjdź Królestwo Twoje* z r. 1924) mieszczą się w większem wydaniu p. t. *Dom jałowcowy*, Warszawa 1927.

[2]) *Dom jałowcowy*, Warszawa 1627, str. 163 i nst.

— opadają ręce
przed tą mordęgą nad siły,
a serce w udręczeniu i męce
ślepe i głuche
kołace się w piersi
i nic nie wie —
nic nie wie —
czy tak uczynić czy inaczej —
naprożno
— w mroku rozpaczy
przepadł wszelki ślad promie-
[nia —
w bezdeń otchłannej nocy
zapadły jaśnie
jako gołębie zabite
— zarywa się krzyk...
w otchłaniach milczenia
gaśnie —

2.

W stuleciu nędzy nadmiernie
[zgrzybiałem,
w nierozsupłanej przeciwień-
[stwa matni,
stradałem wszystko —
z ochotą stradałem
w tej poniewierce ostatniej
u tysiąclecia bram —
by zyskać to jedno
wyczekiwaniem lat umiłowane:
Z Bogiem sam na sam —

3.

Dźwięczna miedź — ziemia —
a ołów na niebie —
— wiew lodowaty
raniący do krwi — —
— patrzę za siebie:
ruiny i zgliszcza
i gruzy wiar — —
— patrzę przed siebie:
nad ziemi obrębem
króluje szał
i zło i gniew,
a śmierć dziewosłębem —

4.

Przeto — u tysiąclecia bram
nie pora na śpiew
na pieśń —
— nie pora —
— na rękach krew
— na sercach pleśń,
jak na głazie,
co z szczytów padł i wrósł
w przepaści piarg i gruz —
— — zda się naprożno
przez mękę i znoje
zsiniałe wargi
wołają jak dzwony spiżowe,
huczące w głuszy strasznej niebywałej:
Przyjdź Królestwo Twoje

5.

Z trudem nadludzkim wydźwiga się duch
z pod trupów,
z pod zgliszcz,
z pod gruzów,
z pod gnijących ciał —
— zamiera słuch na jego krzyk —
— człowiek krew zbiera, bo krew siał
o każdej wiośnie
przez tyle wieków, wieków, wieków —
przeto rośnie ten krzew
od ziemi do nieba
do gwiazd
do gwiazd
jak purpurowa skonem słońca zorza
zastygła w nagłym wychłuście szkarłatu...
jak wtedy — gdy to zmarłe dziś serce człowiecze
zawtórowało wstającemu światu —

O zwrotnicy źle nastawionej.

(Z cyklu *Godzinki*).

Te wszystkie powszednie sprawy —
czy to będzie walka o chleb,
czy zabawy,
czy przemysł, czy sklep,

czy rząd,
czy wojna,
czy rewolucja — skąd
rzekomo przyszłość ma wrócić spokojna,

różnice narodów,
nienawiści ras —
jakże temu wszystkiemu daleko do godów,
które zastawił Chrystus w nas.

Dziwnie opacznie
układamy sprawy nad wyraz kłamliwie —
i oto pytanie: kiedyż zacznie
człowiek w Panu i Łasce — w sobie żyć szczęśliwie?

O chlebie powszednim.

(j. w.).

Ponad rozterek zalewem
i zabiegów nicością,
koi się serce śpiewem
i miłością.

Ona — ta muzyka wnętrza
niemilknąca,
schód po schodzie spiętrza:
do słońca!

W kapłaństwie swojem pokorna
skrzykuje boże hosanna! —
Ta pieśń przedmroczna, wieczorna,
ta pieśń przeddzienna, poranna.

Niema modlitwy krom pieśni!
Wszystko krom pieśni śmiertelne!
Ona odradza i wieśni
snów podniesienie niedzielne.

O krzyżach łazęgach. [1])

— zasępiły się olszyny —
smentarz podniósł krzyże
i na wrotach ostrokutych
zagrał jak na lirze —
— dwa pająki snują siatkę
od muru po zorze —
przystanęły czarne krzyże
w wyprutym otworze —
idą — idą — idą — idą —
postukując drzewcem —
kamieńcami, łamańcami,
warszawą, królewcem —
poprzez rzeki, stawy, morza
krzyżą się i czernią —
częstochową, kalwaryą,
lublinem, alwernią —
stuku, stuku, takt w takt idą
w okiennice walą —
echem jeno pozasobnem
żalą się i dalą —
zmierzchem, jutrznią,
w przynagleniu,
w postuku, w pohurze
idą ramię przy ramieniu —

[1]) Z *Kolędziołek beskidzkich*, Wadowice 1923. (Zachowuje się oryginalną pisownię i interpunkcję tego wydania).

idą w bramę borealną
ku zorznej przyłunie —
na ten smętarz obiecany
na białym biegunie —
idą — idą — idą — idą
w biegu i rozbiegu
prują zaspy sypkie zaspy
przedwiecznego śniegu —

O świętym Izydorze-oraczu. [1])

— za snem — daleko — za snem —
— za radością — za smętem —
— w komorze —
— idą woły dwa tłem
święty oracz za pługiem —
sen orze — za snem — daleko —
— wyorane leżą dwie przyłbice —
— idą woły dwa tłem —
— ho — wio — tu — od lewa
teraz wiśta — i zaś od prawice —
— za snem — daleko — za snem —
— tak śpiewa — :
— pług ziemię adamową — serce niebo orze —
zorane już na wieczność: ziemia i przestworze —
wyorzyskiem zbróżdżone
przydługiem —
za snem —
idą woły dwa tłem —
święty oracz za pługiem —
za radością — za smętem —
— w komorze —
— ranek wisi nad powałą
w pajęczynie zaplątany —
nie za dużo nie za mało
pokrajane wopak ściany —
za snem — daleko — za snem —
wyorzyskiem przydługiem —
święty oracz za pługiem —
— wierchem i dnem
przeoruje świat wkoło —
morze brózdą zarasta —

[1]) jak wyżej.

skrzypi socha i piasta —
— za snem — daleko — za snem
d a l e k o

Ze zbioru p. t. **Powsinogi Beskidzkie.**

Ballada o druciarzu Kuternodze, o duszkach garczych i lipowem kwieciu.

— zieleni się lipa
ptak nad nią przelata —
od lipy wiedzie droga
naokoło świata —
— zieleni się lipa
szumi pszczelna praca
kto z pod lipy w świat ruszył
do lipy powraca —
— zieleni się lipa
latosią potrzebą —
korzeniem wrosła w ziemię
a koroną w niebo —
— przyseł baw
ze Spiża z Oraw —
wędrujący za grosiwem
za żywiołem, przyodziewem
sobkiem społem
jak ta trafi
po gromadzie i parafi
druciarz:
— — garki druuutować —
blaaaszane naprawiać —
garki, dzbanki, miski, kotły
co tam z kątów zmiotą miotły —
szczerby, trzópki, brzucha, ucha —
szyje, denka i pokrywy —
cały sprzęt po nocy żywy —
— kto nie wierzy — niechaj słucha —
...gdy północka zbudzi dziwy —
rada w radę rży gromada —

gada, bada, odpowiada —
wraz się z półek, z nalep skrada
i beznogą sunie drogą
dudni, brzęczy, dźwięczy, chrzęści
coraz żwawiej, chutniej, gęściej — —
— na kuchennem na klepisku
kręcą się i tańczą w ścisku
podskakują, dęba stają
całują się obłapiają
garki, dzbanki, miski, kotły
co tam z kątów zmiotą miotły —
szyje trzópki, brzucha, ucha
uha — uha —
garnek w garnek wali z ucha —
dudni, dźwięczy, gwarzy, dudni
raz na studni, raz z pod studni —
coraz warciej, coraz ludniej
garczej, dzbanniej, kotlej, brzuszej —
aż koguta głos zagłuszy
i hałastra znów na półki
gromadzi się, podskakuje —
kaszle, chrypi, pobrzękuje —
z pod niecułki
patrzy martwo —
jakby nigdy nic — —
jeno żywsze, wzbrzuszen szkliwo
zdradza ono nocne dziwo — —
— — jeno lipa płatki pruszy
na sen — marę garczej duszy —
— garki druuutować —
— blaaaszane naprawiać —
pobić, sklepać, pomajstrować,
podrutować, zreperować,
dziury blachą ponadstawiać — —
— niema garków —
— Panbóg prowadź —
— coś mamroce, klnie i biada —
— idź druciarzu do sąsiada —
— zebrali z pod okapu
zebrali z polepy
łapu capu

garki i czerepy —
—
poustawiał toto wkoło
czoło utar łatną połą —
wieńce drutów wyjon z torby,
szczypce, cęgi, młotki, korby,
drut prostuje, kręci zmierza,
wkoło brzucha wcwał obieża,
supli, węźli, naklepuje —
majster walny — haj — drutuje,
garkiem zwinnie obertuje,
snuje, kuje, przydreptuje —
jak do tańca, jak do tańca —
snuje, kuje, przydreptuje,
przymlaskuje, przymrużuje
tą zdrową powieką — —
— będzie — będzie gar na mleko
na mleko
na ziemniaki, kapuste
na rosoły na tłuste —
a już się widziało
— jak go stłukły dzieci —
że trzeba nim już szmyrgnąć
na oborę w śmieci —
aż tu przyseł ozdrowieniec
wyjon z torby drutu wieniec —
pomajstrował, odrutował,
w kwadre pieknie sprzymierzował
ucho zgrabnie przylutował
majster — klepka — majster boski —
umniejszył nom dzisiok troski —
nie było do czego doić
i wieczerzy w czem nastroić —
odjon przekleństw sto i kar
grzech odchybnął precz od duszy
chłop nie psiekrwi nie psiojuszy
bo już jest na mleko gar
zdrutowany, jak sie patrzy —
—
druciorz takici odmieniec —
skończył — zwieńczył drutu wieniec —

złożył nabożnie do torby
świdry, młotki, cęgi, korby ——

—— zieleni się lipa
ptak nad nią przelata —
od lipy wiedzie droga
naokoło świata ——

JULJAN TUWIM. [1])

Walka.

(Ze zbioru *Wierszy tom IV*).

To nic, że w getrach, w krawacie
I w modnie skrojonym palcie
Ja chodzę, jak sędzia, jak prorok
Po twardym miejskim asfalcie.

Gniewnemi oczyma burzę
Teatry i parlamenty,
Dyrekcje, redakcje, banki,
Gdzie rządzi bies przeklęty.

Oczyma biję drągiem
W szyby wspaniałych wystaw,
Taranem krzyku druzgocę
Królestwo Antychrysta.

Palą się w moim wzroku
Miljardy waszych dolarów,
Popiół sypie się szary
Z pychy głupich sztandarów.

---

[1]) Ur. w Łodzi w r. 1898, należał do grupy młodych poetów, zwanych Skamandrytami od pisma *Skamander*, w którem się skupiali. Od r. 1918 ogłasza liryki *(Wiosna, Czyhanie za Bogiem, Siódma jesień, Słowa we krwi, Listy)*, odznaczające się — przy dziwacznej niekiedy pogoni za oryginalnością («futuryzm») — potężną siłą i energicznym protestem przeciwko kwietyzmowi, bezduszności i banalności poezji i życia.

Wznosicie nowy Babilon,
A rządzi planem budowy
Bies: bratobójca, idjota,
Stinnes[1]) tysiącpudowy!

Więc rozpaloną niemocą
I usty fanatycznemi
Zmiatam, o ślepcy nieszczęśni,
Babilon z oblicza ziemi.

Rzeź brzóz.

(j. w.)

Brzozom siekierą żyły otworzę,
Ciachnę przez ciało, rąbnę przez korzeń,
Lepkim osoczem brzozy ubroczę,
Na rany białe wargami wskoczę.

Zęby chwytliwe w trzony brzóz wbiję,
Ustami chciwie soki wypiję,
Żywcem z pod kory wyrwę wargami
Rdzeń umęczony pocałunkami.

Może te leki z żywego drzewa
Słów mnie nauczą, których mi trzeba:
Na chwałę brzozom, na chwałę latu,
Ustom obłędnym, bożemu światu!

Słowo i ciało.

(Ze zbioru p. t. *Słowa we krwi*, Warszawa 1926).

1.
Słowo ciałem się stało
i mieszka między nami,
karmię zgłodniałe ciało
słowami jak owocami;
piję jak zimną wodę
słowa ustami, haustami,
wdycham je jak pogodę,
gniotę jak listki młode,
rozcieram zapachami.

Słowo jest winem i miodem,
słowo jest mięsem i chlebem,
słowami oczy wiodę

[1]) Znany przemysłowiec niemiecki.

po ścieżkach gwiezdnych nie-
Radości daru świętego, [bem.
o, wieczne umiłowanie!
Słowa mojego powszedniego
daj mi dziś, Panie!

2.

Nie mam żadnego zajęcia:
jestem tylko łowcą słów.
Czujny i zasłuchany
wyszedłem w świat na łów.

Słowami fruwają chwile
i wszystko, com kochał i czuł,
brzęczy całemi dniami
rojem słonecznych pszczół.

Muskają mnie słowa skrzydła-
żądłami tną do krwi. [mi,
Skłutemu, strutemu słowami
tak słodko mi!

W sercu zamknięte
trzepocą słowa,
dlatego tak serce drży.
Miodem zaklętym
pijana głowa;
dlatego-sny.

4.

Ty jesteś moja czerwień,
Ty jesteś moja zieleń,
Mózg w gałązkach unerwień:
Rośliny żywych wcieleń.

Świata groźnego ucisk,
Boga strasznego rozpędy,
W mózgu szumy trucizn,
Słów, skroplonych obłędem.

Krew moja — moja mowa,
Gorąca miazga ziemi.
— Czerwieńcie, zieleńcie się [słowa,
Hymnami buntowniczemi!

Sitowie.

Wonna mięta nad wodą pachniała,
kołysały się kępki sitowia,
brzask różowiał i woda wiała,
wiew sitowie i wodę owiał.

Nie wiedziałem wtedy, że te zioła
będą w wierszach słowami po latach
i że kwiaty zdaleka po imieniu przywołam,
zamiast leżeć zwyczajnie nad wodą na kwiatach.

Nie wiedziałem, że się będę tak męczył,
słów szukając dla żywego świata,
nie wiedziałem, że gdy się tak nad wodą klęczy,
to potem trzeba cierpieć długie lata.

Wiedziałem tylko, że w sitowiu
są prężne, wiotkie i długie włókienka,
że z nich splotę siatkę leciutką i cienką,
którą nic nie będę łowił.

Boże dobry moich lat chłopięcych,
moich jasnych świtów Boże święty!
Czy już w życiu nie będzie więcej
pachnącej nad stawem mięty?

Czy to już tak zawsze ze wszystkiego
będę słowa wyrywał w rozpaczy
i sitowia, sitowia zwyczajnego
nigdy już zwyczajnie nie zobaczę?

Słowem do krwi!

Wasze słowa są, jak salonowe pieski,
A moje — jak wściekłe psy!
Pal licho wasze arabeski i burleski
I — zamiast stawiać wielokropki, kreski —
Policzkujcie w swych wierszach,
Pięścią walcie w łby!
Rwać, drzeć na strzępy
Wasze sonety i tirlitryolety,
Kpy!
Niech poezję znienawidzą
Mdłe i płowe
Panny lubieżne!
Słowem do krwi — jak tasakiem w głowę!
O, słowa! słowa ostre i złote!
Słowa prężne i drapieżne,
Jak lwy! Jak lwy!

Dwa wiatry.[1])

Jeden wiatr — w polu wiał, Liście pieścił i szeleścił,
Drugi wiatr — w sadzie grał: Mdlał...
Cichuteńko, leciuteńko,

[1]) Ze zbioru p. t. *Sokrates tańczący*, Warszawa 1919.

Jeden wiatr — pędziwiatr!
Fiknął kozła, plackiem spadł,
Skoczył, zawiał, zaszybował,
Świdrem w górę zakołował
I przewrócił się i wpadł
Na szumiący senny sad,
Gdzie cichutko i leciutko
Liście pieścił i szeleścił
Drugi wiatr...

Frunął śniegiem z wiśni kwiat,
Parsknął śmiechem cały sad,
Wziął wiatr brata za kamrata,
Teraz z nim po polu lata,
Gonią obaj chmury, ptaki,
Mkną, wplatują się w wiatraki,
Głupkowate mylą śmigi,
W prawo, w lewo świst, pod-
Dmą płucami ile sił, [rygi,
Łobuzują, pal je licho!...

A tam w sadzie cicho, cicho...

Pieśń o białym domu. [1])

Budowali Biały Dom
Stupiętrowy Biały Dom,
Budowali dom szalony,
Stupiętrowy, marmurowy,
Na drabinach, rusztowaniach,
Wznosili piorunochrony,
By weń bił jaskrawy grom,
Jak w kościelne lśniące głowy,
Budowali Biały Dom!
Tłukł w marmury twardy łom,
I wznosili robotnicy
Wężom złotej błyskawicy
Dachy, wieże i kopuły,
Które przednie mistrze kuły
Swoim snom, strzelistym snom!
Budowali, budowali,
A gorzało słońce w dali,
Różowiło szmat ulicy,
I śpiewali robotnicy:
«Budujemy Biały Dom,
Stupiętrowy Biały Dom,
Stupiętrowy marmurowy,
By weń bił jaskrawy grom,
Jak w kościelne lśniące gło- [wy!»

A był jeden murarz młody,
Co niebieskie oczy miał,
Na czterdziestem piętrze stał,
I tak śpiewał murarz młody:
«A jak stanie dom gotowy,
Stupiętrowy Biały Dom,
Mało będzie moim snom,
Pójdę wyżej, pójdę dalej,
Bo się białe słońce pali,
Pójdę wyżej, zrobię więcej,
Stanie pięter sto tysięcy!»

I rozległ się śmiech murarzy:
«Zobaczymy! Jak Bóg zdarzy!»
I za boki się ujęli
I śmieli się, śmieli, śmieli! —

---

[1]) Ze zbioru p. t. *Sokrates tańczący*, Warszawa 1919.

MARJUSZ ZARUSKI. [1])

Na bezdrożach tatrzańskich. W Warszawie 1923.

Wezwanie.

Więc na głos wołam, a bez skargi:
Idźcie odważnie w srogie boje,
Własnej niemocy smutne woje!
Porzućcie nizin wieczne targi

I tęsknych żalów niepokoje,
Któremi kwilą wasze wargi!
Poprzez znój pustyń, poprzez piargi
Idźcie w tatrzańskich gór podwoje,

Zakryte chmurą, jak pawężą,
Gdzie się sikława z hukiem pieni
I śmierć swe żniwo w turniach bierze...

Tam się wam skrzydła w lot rozprężą;
Tam idźcie czyści, niezwalczeni,
Szczytnych pożądań cni rycerze!

Procul profani.

Z czystem idź tylko sercem w Tatry,
Jakbyś przekraczał próg świątyni,
Gdzie bóstwo rządy swoje czyni!
Czy to przy ogniu leśnej watry,

Czy w granitowych skał pustyni —
Gdziebądź rozłożysz swoje szatry,
Choćby wśród białych wzgórz Imatry,
Północnej zimnych wód władczyni,

---

[1]) Marjusz Zaruski zdobył rozgłos zarówno poezjami *(Sonety morskie, Sonety północne)*, jak pięknym opisem własnych podróży p. t.: *Na morzach dalekich*, jak wreszcie dzielnością na stanowisku naczelnika *Tatrzańskiego ochotniczego pogotowia ratunkowego* w Zakopanem. Ze zbioru *Na bezdrożach tatrzańskich* podaje się tu dwa sonety i ustęp p. t.: *Jeden dzień przy Morskiem Oku* (str. 50—54).

Gdzie lśnią lodowce promieniste —
Daj Tatrom serce swoje czyste,
Jak błysk ognika świętojański,

Jak płomię w puszczy gorejące:
Jedna jest ziemia, jedno słońce
I jeden w Polsce chram tatrzański!

Jeden dzień przy Morskiem Oku.

...Kilkanaście lat temu wyruszyły w góry przednie straże zimowej turystyki, a potem rozpoczął się szturm generalny do lodowego tatrzańskiego zamczyska. Wśród trudów wielkich i niebezpieczeństw, o których letnia turystyka daje tylko słabe pojęcie, zdobyto już wszystkie niemal okoliczne i dalsze, z rdzennego grzbietu Tatr, szczyty, niemało też przełęczy i szczytów po stronie słowackiej.

Podczas dokonywania owego zaboru, które, nawiasem mówiąc, odbywało się i odbywa dotychczas siłami nielicznego zastępu jednostek, wydarto Tatrom wiele głębokich tajemnic ich snu zimowego.

Nie mam na myśli w krótkim opisie jednego dnia wiosennego pokusić się o odsłonięcie rąbka tych tajemnic, by skarby lodowego pałacu ukazać w całym przepychu, nie rozporządzam ani miejscem, ani czasem, ani siłami po temu, albowiem są to rzeczy ze względu na swą olśniewającą cudowność niejako transcendentalne; w każdym razie nie dają się ująć w karby słowa czy pendzla. Chyba dźwięki tylko zdolne są oddać całe bogactwo treści Tatr w zimie.

Niech więc cisza bezbrzeżna roztacza się nad strojnemi w girlandy lodowe turniami; niechaj wśród owej ciszy dzwonią w żlebach śnieżne kruszyny, odpadłe z grani pod działaniem słonecznych promieni; niechaj szumi popiół śnieżny, przesypujący się w granitowych łożyskach na podobieństwo piasku w klepsydrze; niechaj się skarżą siklawy, więzione w trumnach lodowych, śmigają skały bez dźwięku jak duchy, mknące przez śnieżne pola, i burze zimowe wtrząsają Tatr posadami — królestwo to wielkie, świat jest to cały.

Wszakże słowa o nim nie rzeknę.

Opowiem tylko, com widział pewnego dnia wiosennego.

Poprzedził ten dzień tydzień niepogody; śnieg padał i przestawał, znowu padał, sypał i dosypywał. Chmury zasłaniały widnokrąg. Popołudniu, w wigilję dnia, o którym piszę, ukazały się Tatry w słońcu; przepyszne, lśniące — białe, bielutkie — potężne brzemieniem śniegu, który na sobie dźwigały.

Aż oto nastąpił dzień 11 maja 1909. Spałem snem taternika w schronisku Tow. Tatrzańskiego przy Morskiem Oku, gdy nagle zbudzony zostałem grzmotem, podobnym do huku piorunu lub trzęsienia ziemi. Zerwałem się na równe nogi... i skoczyłem do okna. Z Turni Mięguszowieckich sunęła śnieżna lawina — ogromna, ciężka sczerniała — nakształt olbrzymiego potwora — polipa, pełzła ku jezioru, poruszając mackami i rozpierając się coraz bardziej. Do samej wody — raczej do krawędzi lodu na jeziorze — doczołgała się z trudem... i stanęła. Była godzina $6^1/_2$ rano. Dzień zapowiadał się cichy i parny. Góry do połowy zakryte były chmurami.

Nie napatrzyłem się jeszcze dość na martwego potwora, gdy z innego żlebu gruchnęła druga lawina; ta raźno mknęła do jeziora, roztaczając po bokach długie ramiona, które jak węże wiły się wśród nierówności śnieżnego terenu, szukając dróg najdogodniejszych. Ubrałem się co żywo i w kilka chwil już byłem na dachu schroniska. Grzmot lawin w chmurach powtarzał się coraz częściej. Oto tam z krzesanej turni siklawa śnieżna skoczyła w powietrze... chwila ciszy — kłąb tumanu śnieżnego — i głuchy, niski tonem huk wstrząsa powietrzem, potęgując się i słabnąc co chwila. Umilkł. Tam w górze coś śmiga, coś leci, wije się wśród skał i turniczek z zawrotną szybkością — znikło na chwilę w czeluści żlebu — i znowu huk i szum wezbranego śnieżnego potoku. Oto dwa strumienie złączyły się w jeden — lecą, prą na dół z nieubłaganiem jakiejś siły fatalnej: widać, widać ten potok wezbrany, ciemną wstęgą śnieżnych brył pokruszonych odcinający się od tła najbielszego; wściekły, wartki, jak lot huraganu, miota się w łożysku żlebu, zębami głazy z turni odrywa, z szaleństwem o granit się tłucze...

Nad nim biała chmura pyłu śnieżnego olbrzymiem skrzydłem przecina powietrze, uczepiwszy się głowy potwora. Skuliła się cała, skupiła się w sobie, wydłużając się jeno w kierunku biegu.

Lecą — potwór — potok, a nad nim chmura biała!

Wszakże tam, niżej, coś kłębi się znowu? Coś rośnie, garbi się, olbrzymieje, z głębi żlebu innego miota śnieżną wichurą... ...Mknie na dół lotem błyskawicy; na przełaj zabiega drogę tamtemu...

To drugi potok-lawina, zwierz rozjuszony z białą grzywą obłoku śnieżnego.

Lecą ku sobie straszne, zawzięte, potężne mocą zjawisk katastroficznych... Zwarły się! Na mgnienie oka jakby stanęły oszołomione nagłem spotkaniem.

I rzuciły się na siebie... Wulkan śniegu buchnął pod niebo,

zawirowało, zakotłowało się w głębi ogromnego żlebiska, i cała ta śnieżna Niagara zwaliła się — w przepaść...

W ogromnej ciszy mgnień kilka przeszło.

Poczem straszliwy ryk jakiegoś legendarnego potwora rozdarł powietrze.

Ziemia drżała, drżało schronisko, na którego wierzchołku się znajdowałem, powietrze biło dotykalnemi falami po twarzy.

U spodu turni wachlarzem rozpełzał się polip olbrzymi w agonji, wywijając długiemi ramiony...

Wciąż jeszcze huczała lawina, bo żleby nie mogły odrazu całej masy śniegu wyrzucić, aliści zanim śniegospady umilkły — już dwie inne lawiny ruszyły z pod chmur na Morskie Oko. Dwie, trzy, cztery, sześć lawin naraz waliło różnemi żlebami...

Rozpętał się żywioł śnieżny.

Grom w górach nie ustawał na chwilę; szumiały rzeki śniegowe, płynąc dnem Mięguszowieckich parowów; trzaskały z turni siklawy, ryczały śniegospady potężne...

...Wśród huku lawin, walących się z turni, stado kozic krążyło po morenie Czarnego Stawu. Mądre zwierzęta, znając teren, wiedziały, gdzie szukać bezpiecznego schronienia.

Kiedy kanonada pod wieczór ucichła, nałożyłem narty i udałem się do Czarnego Stawu obejrzeć pobojowisko. Przechodziłem przez zwały lawin, które idąc z Żabiego, dosięgły samego jeziora. Metrowej średnicy bryły śniegu — twarde jak głazy — tu i tam leżały na lodzie. Lewy brzeg potoku, po którym letnia ścieżka idzie, nie wydał mi się bezpiecznym; więc mniej wygodnym prawym brzegiem dostałem się na morenę. Było jednak już ciemno i niewiele widziałem: cielska martwych lawin pokotem leżące wszędzie na brzegach jeziora. Lód potrzaskany...

JULJUSZ KADEN BANDROWSKI. [1])

W cieniu zapomnianej olszyny.

(Z cyklu: *Miasto mojej matki.* Wyd. Zakł. Ossolińskich we Lwowie).

(Od str. 240).

...Z całego domu, z wszystkich sześciu pokoi został mi w notesie bilet, pamiętnego wieczora napisany, zaczęty od słów: — «Niniejszem zaświadczam, że syn mój...»

[1]) Ur. 1885. Rozgłos zapewniły mu obrazy wojenne, jak *Piłsudczycy, Bitwa pod Konarami, Mogiły, Spotkanie, Wyprawa wileńska,* i t. d. *W cieniu zapomnianej olszyny* — to wzruszające obrazy lat chłopięcych autora.

Ostatni bilet w sprawach szkolnych, już nie użyty wcale.

Następnego dnia nie poszliśmy do gimnazjum, — cały dom przeraził się nagle choroby maminej, wobec której zemdlenie w sklepie z firankami było zaiste niczem!

Tak przyszło jedno za drugiem, — nieszczęście i śmierć sama... Ale ty przecie nigdy nie czekasz, szybkie życie, — samo po mnie wybiegasz i idziesz ze mną coraz prędzej, — biegnę koło ciebie wytrwale, — już mnie wyprzedzasz, — ledwie za tobą nadążam, — stoimy w wielkiej wojnie, boleśnie ku sobie uśmiechnięci, podążasz jeszcze prędzej, — dogonić cię nie mogę, — wszystkie kąty kraju naszego trzeba umieść, urządzić, — na nowo jeszcze raz pokochać, — aż oto płynę przez ocean na okręcie, — w sprawach mojej ojczyzny za morze.

Miesiąc luty chmurzy się dokoła po przestrzeniach otwartych w nieskończoność. Przez sine, głośne wody przewijają się ryby olbrzymie, które płyną z głębin niewiadomych, z bezmiernych światów odmętu, — jak ja wynikam z kilku grudek ziemi.

Potężna śruba okrętowa uderza pod pokładem mocno, natarczywie. Jest w tem tętnie maszyny muzyka woli naszej. Naprzód, naprzód — i naprzód!

Otoczeni tu jesteśmi wszystkiem, cośmy dotąd wytworzyć zdołali, o co się w dziejach naszych ziemskich tak śmiertelnie bijemy.

Zbytek, wygoda, niklowane rączki, poręcze, dywany, jedwab, światło elektryczne, cygara, dym węgla, zapach perfum i tłuszczów oczyszczonych.

Wystarczy jednak sięgnąć ręką za barjerę okrętu, — przez krótkie palce nasze płynie nieskończoność widoku, pośród której, na tych wodach, na tym stopniu szerokości niczem i niczem jesteśmy po wieki.

Myśl moja skora, lecz zaiste, — chętnie przyznaję, — jakże malutka, — płuży wśród tej nieskończoności. Wznosi się, opada, słów żadnych nie znajduje, podrzuca drobne pytania, — by wracać wkońcu ku prostym chwilom dzieciństwa i tak oto, nieporadnie zamykać pierścień swego czasu.

Wieczorami siadamy w barze, przy kieliszku, przy kartach, ja — i rozmaici podróżni. Palą małe fajeczki i, patrząc w puste szyby, opowiadają sobie z pobłażliwym śmiechem, skąd się wzięli na tym okręcie, co ich tu przyniosło, dokąd dalej pojadą, gdy się na brzegu znajdą.

Słychać nazwy krajów odległych, miast niespodziewanych, półwyspów dalszych, niż czwarta klasa gimnazjalna.

Dziś popołudniu zebraliśmy się w barze na chwilę tylko. Idziemy oglądać maszyny okrętowe.

Schodzi się tam po schodach żelaznych, cieniutkich, niby po twardych, stalowych pajęczynach.

Coraz niżej, coraz goręcej.

Należy kroczyć ostrożnie, — w sinem świetle wszędzie obracają się metalowe ramiona, wiązadła, golenie, broczące oliwą gruczoły, na szerokich pasach transmisyjnych ślizga się światło ruchu, — nie można mówić w rozgłośnych jękach mechanicznego obrotu.

Do hali pieców okrętowych.

Gdybym się nie wstydził, padłbym tu na kolana krzycząc:

— Nie będziemy jeździć przez żadne oceany, nie chcemy już wyrobów stali, niklu, złota, platyny, blachy, żelaza, wyrzekamy się potrzeb najprostszych, — ale nie stójcie, ludzie, w tym żarze straszliwym!

Ogarnia nas przestrzeń czworoboczna, pół-ciemna, zamknięta zewsząd olbrzymiemi piecami. Ogień w nich wyje, przewraca się, upada, znowu wstaje straszny i zwichrzony.

Pół nadzy palacze wrzucają raz po raz pełne łopaty węgla.

Nie można sobie wyobrazić cięższej pracy!

Pot leje się z ludzi, paruje nad nimi tumanem, oczy mają od żaru białe, puste, jakby samym śluzem patrzyli. Przez wszystkie mięśnie tęży się troska pracy, podkreślona cieniami wysiłku.

Jeden z tych palaczów odpoczywa pod ścianą. Wsparł ręce na łopacie. Po twarzy, młodej jeszcze, aż za obręb trykotowej koszulki spływają strugi potu, w których pierś cała lśni, niczem ulana z ołowiu.

Do tego człowieka m u s z ę podejść.

Daleko za morzem i lądem, chroniony przed zimnem i gorącem, leży o tej porze pod białą lampą na stole mój syn w świeżych powijakach i różowemi stopkami wymachuje ku światłu.

My, rodzice, nie przypuszczamy ani przez jedną chwilę, że na to go chowamy, by miał po latach stanąć z łopatą, pod piecem?!

Podszedłem, — szukam w portfelu dwóch papierowych dolarów. Jak na walutę mego kraju — dużo... Jak na dobry uczynek — za mało. Jak na napiwek, — doskonale.

Wszystko razem — wysoce niemoralne!

Daję nareszcie te dwa papierowe dolary.

Palacz spostrzegł pierwszy, że, wyciągając z portfelu pieniądze, upuściłem na podłogę jakąś karteczkę. Schylił się szybko i podał ją ujprzejmie.

Z czułym uśmiechem człowieka, który nie ma nadziei, — z dobrze mi znanym uśmiechem p l a n ó w d a l e k i e j p r z y s z ł o ś c i...

Podziękowałem, — patrzę, co to za kartka?

Stary, pożółkły, jakże już wygnieciony bilet, zaczynający się od słów: — «Niniejszem zaświadczam, że syn mój»...

Zaprawdę, — matka moja pośpiesza z drogi niepowrotnej otrzeć tu pośród kotłów twoje czoło zroszone!

Człowieku nieznanej doli, mowy i przygody; — idę ku tobie teraz przez ziemię, wodę, ogień, — przez cały świat. Nie ustanę, nie spocznę, nie wytchnę, póki z pod pokładu nie zawołasz ku mnie, twarz od ognistej czeluści odwróciwszy:

— «Mój bracie!»...

WSKAZÓWKI BIBLJOGRAFICZNE I TEMATY DO WYPRACOWAŃ.

1. Do Aleksandra Fredry.

St. Tarnowski: *Studja* t. II. Przegl. Pls. 1877—8.
Wal. Gostomski: *Arcydzieło poezji polskiej.* Ateneum 1899.
P. Chmielowski: *Nasza literatura dramatyczna* I. Peterbs. 1895.
Eug. Kucharski: *Geneza Zemsty.* Biblj. Warsz. 1909.
Ign. Chrzanowski: *O twórczości komedjopisarskiej Fredry,* Kraków.

1. Wady i zalety charakteru Gustawa ze *Ślubów Panieńskich.*
2. Aniela i Klara w *Ślubach Panieńskich.*
3. Stosunek przewodniej myśli *Ślubów* do haseł romantyzmu.
4. Intryga w *Ślubach* i sposób jej rozwikłania.
5. Jaki jest związek motta *Ślubów* z myślą przewodnią tej komedji?
6. Na czem głównie polega wdzięk *Ślub. Pan.?*
7. Powiązanie dwóch akcyj w *Zemście* (spór graniczny i miłość Wacława i Klary).
8. Tło historyczne *Zemsty.*
9. Samochwalstwo i tchórzostwo Papkina.
10. Analogje akcyj *Pana Tadeusza* i *Zemsty,* oraz niektórych postaci obu utworów.
11. O ile kierunek t. zw. sarmatyzmu w naszej literaturze XIX w. odbija się w *Zemście*?
12. Kontrast jako czynnik kompozycji i humoru w *Zemście.*
13. Rejent i Cześnik — dwa typy sarmackie.
14. Papkin jako typowa karykatura.
15. Komiczne sytuacje w *Ślubach* i *Zemście.*
16. Analiza charakteru Jowialskiego w komedji *Pan Jowialski.*
17. Typy skąpców i rozrzutników w *Dożywociu.*
18. Jakie obyczajowe przywary ośmieszał Fredro w swoich komedjach?
19. O ile w komedjach swoich występował Fredro przeciwko zboczeniom romantyzmu?
20. Ślady wpływu Moliera w komedjach Fredry.

2. Do J. Korzeniowskiego.

Dr. B. Czarnik: *Korzeniowski i teatr lwowski od 1822—1849.*
P. Chmielowski: *J. Korzeniowski*, Petersburg 1898, Lwów 1896.
Tenże: *Nasza literatura dramatyczna.* Petersb. 1898.
Fr. Majchrowicz: *J. Korzeniowski jako pedagog.* Lwów 1897.

21. Motto, umieszczone na czele *Mnicha*, w stosunku do tragicznej kolizji tego utworu.
22. Analiza przemian, odbywających się w duszy bohatera *Mnicha.*
23. Hrabina z *Żydów* a Starościna z *Powrotu posła* Niemcewicza.
24. Szenionowa z *Żydów* a Robroncka z *Mazepy* Słowackiego.
25. Stanowisko Korzeniowskiego wobec przesądów kastowych — na podstawie *Krewnych, Spekulanta, Kollokacji* i *Żydów.*
26. Charakter Huculów w *Karpackich Góralach.*
27. O ile myśl przewodnia *Karpackich Górali* jest w kontrascie z tendencją innych utworów tego pisarza?
28. Korzeniowski przeciwko życiu marnotrawnemu i trwonieniu ziemi w *Kollokacji.*
29. Jakie środki naprawy obyczajów wskazuje Korzeniowski w *Krewnych?*
30. Korzeniowski jako satyryk i moralista.
31. Kanon rad praktycznych, które Korzeniowski dawał swemu społeczeństwu w powieściach i komedjach.
32. Korzeniowski o pracy w rzemiosłach i handlu.
33. Czy prawdziwe jest zdanie Klaczki o Korzeniowskim, że «w swej sztuce nie wznosi się nigdy do myśli ideału, w moralności nigdy do myśli ofiary», że «z Modlitwy Pańskiej jedną tylko zna i umie cenić prośbę: o chleb powszedni»?
34. Korzeniowski przeciwko egzaltacji uczuć.
35. Zaścianek w powieści Korzeniowskiego a w *Panu Tadeuszu.*
36. Jak należy rozumieć i czem udowodnić na podstawie *Ślubów, Zemsty* i *Żydów* twierdzenie, że figury w komedjach Fredry są zwykle typowe, a Korzeniowskiego indywidualne?

3. Do Henryka Rzewuskiego.

St. Tarnowski: *H. Rzewuski*, Lwów 1887.
P. Chmielowski: H. Rzewuski: *Nasi powieściopisarze*, I. Kraków 1887.
Tadeusz Bobrowski: *Pamiętniki*, Lwów, 1900.
Plenkiewicz: H. Rzewuski. *Album. biogr. zasł. Pol. XIX w.* II.
M. Kridl: H. Rzewuski. *Sto lat myśli polsk.* VII, 1913.

37. Galerja głównych postaci w *Pamiątkach Pana Seweryna Soplicy* z krytycznem oświetleniem ich zalet i przywar.
38. Czem da się wyjaśnić poczytność *Pamiątek IP. S. Soplicy* w połowie XIX w.?
39. O ile bezstronnym okazał się Rzewuski w malowaniu dwóch światów w *Listopadzie:* konserwatywnego i postępowego?
40. O heroizmie i małoduszności w postaciach *Pamiątek* i *Listopada.*
41. Dusza szlachcica-ziemianina, jak ona się przedstawia w *Pamiątkach* i *Listopadzie.*
42. Czy w tendencji *Pamiątek* i *Listopada* można dopatrywać się zarodów przyszłego reakcjonizmu i narodowego odstępstwa Rzewuskiego?
43. Bogactwo materjału obyczajowego w *Pamiątkach* i *Listopadzie.*
44. Rzewuski o wychowaniu szlacheckiej młodzieży w *Pamiątkach* i *Listopadzie.*
45. Obskurantyzm i procesomanja w *Pamiątkach* i *Listopadzie.*
46. Apoteoza dawnych wad i błędów w twórczości Rzewuskiego i jej odbicie w pismach Pola i Kaczkowskiego.

4. Do J. I. Kraszewskiego.

Księga jubileuszowa dla uczczenia 50-letniej działalności, Warszawa, 1880 (z życiorysem Ad. Pługa).
Piotr Chmielowski: *J. I. Kraszewski,* zarys historyczno-literacki. Kraków 1888.
J. Tretiak: *Studjum o Kraszewskim.* «Szkice literackie», II, 1901.
Br. Chlebowski: *J. I. Kraszewski,* Warszawa 1912.

47. Dawne nałogi i uprzedzenia wobec nowych cywilizacyjnych prądów w *Ostapie Bondarczuku* (1887).
48. Walka uczucia z obowiązkiem w duszy Ostapa z powieści K-go p. t. *Jaryna* (1850).
49. Niezgoda między ideałem a rzeczywistością, oraz światem starym a młodym w powieściach K-go: *Poeta i świat* (1839), *Powieść bez tytułu* (1854), *Ostap Bondarczuk* (1847).
50. Stosunek włościan do dworu w powieściach: *Ulana, Budnik, Ostap Bondarczuk.*
51. Osobiste zalety i zasługi w stosunku do przywilejów stanu w tych, co wyżej, powieściach.
52. Odraza plemienia osiadłego do koczownika w *Chacie za wsią* (1852) i charakterystyka ludu wiejskiego w tej powieści.

53. Powody niedoli Tumrego i Motruny w *Chacie za wsią* i jakiemi zaletami naprawiła tę niedolę ich córka.
54. Uczuciowy stosunek autora do ludu wiejskiego w *Chacie za wsią*.
55. Wzajemne stosunki między wsią a dworem w *Ładowej Pieczarze* (1852).
56. Stosunek średniej szlachty do magnatów w *Dwóch światach* (1854).
57. Z jakich powodów skazał Kraszewski na zagładę szlachetną rodzinę książąt w swej powieści p. t. *Morituri* (1850)
58. Krytyczna analiza poglądów Kraszewskiego na sztukę w powieści p. t. *Sfinks* (1847) w zestawieniu z analogicznemi poglądami Korzeniowskiego w *Garbatym* (1853).
59. Jak w liście *O celu powieści* usiłuje Kraszewski pogodzić względy artystyczne z względami na pożyteczną tendencję?
60. Czy i jak stosował Kraszewski teorję, wygłoszoną w tymże liście, w swej powieściopisarskiej twórczości?
61. Udowodnić, że *Rachunki* pisał Kraszewski *cum ira et studio*.
62. Uwielbienie dla bohaterskich wysiłków powstania styczniowego w powieściach Bolesławity.
63. Stosunek zapatrywań politycznych Kraszewskiego, ogłoszonych w *Rachunkach* do *Kilku prawd z dziejów naszych* Szujskiego.

5. Do Wincentego Pola.

W. Spasowicz: *W. Pol, jako poeta.* Pisma t. I. Petersburg 1892,
K. Estreicher: *W. Pol, jego młodość i otoczenie 1807-1832.* Lwów 1882.
Maurycy Mann: *W. Pol,* studjum biograficzno-krytyczne. Kraków 1906.
Chmielowski P.: *W. Pol* (Album biogr. zasłuż. Polaków XIX w. t. II).

64. Analiza uczuć, które wyraził W. Pol w *Pieśniach Janusza* (1835).
65. O dziarskości i melancholji w *Pieśniach Janusza*.
66. O śladach mesjanizmu w *Pieśniach Janusza*.
67. Zarody gawędziarskie w tychże pieśniach.
68. W. Pol jako malarz krajobrazu polskiego (na podstawie *Pieśni o ziemi naszej* oraz *Obrazów z życia i natury*).
69. Nastroje liryczne w *Pieśni o ziemi naszej*.
70. Sylwety górala, kurpia, litwina, żmudzina i mazura w *Pieśni o ziemi naszej*.
71. Rozwlekłość i wady kompozycji w gawędach Pola.
72. Wielbienie cnót sarmackich i pobłażliwość na wady przeszłości w gawędach Pola.
73. Analogje stosunku do przeszłości w pismach Pola, Rzewuskiego i Kraszewskiego.

6. Do Kondratowicza.

W. Spasowicz: *Wł. Syrokomla.* Pisma t. I. Petersburg 1892.
Rawita Gawroński: *Ludwik Kondratowicz,* (Album biogr. zasł. Polaków XIX w. I.).
Pini: *Wł. Syrokomla i jego utwory.* Lwów, 1901 (Biblj. Macierzy).
A. W. Drogoszewski: *Wł. Syrokomla,* Warszawa 1905.

74. Ironja i wesoła żartobliwość Kondratowicza w traktowaniu obyczajów staroszlacheckich.
75. Jakie obyczajowe nałogi ośmiesza K. w swej *Lalce?*
76. Tendencja społeczna w wierszu K-a p. t. *Wyzwolenie włościan* w stosunku do współczesnych stosunków i zapatrywań.
77. Uczuciowy stosunek K-a do litewskiej przyrody.
78. Dlaczego *Margiera* nie poczyta się za narodową epopeję?
79. Uczuciowy stosunek K-a do wsi, ludu wiejskiego i ubogiej szlachty.
80. Analogje i różnice w zasadniczych cechach twórczości poetyckiej Kondratowicza i W. Pola.

7. Do Teofila Lenartowicza.

St. Tarnowski: *T. Lenartowicz.* Studja Wiek XIX t. II. Kraków 1896.
P. Chmielowski: *Lenartowicz.* (Album biogr. zasł. Pol. XIX w. II).
Kasprowicz: *Lirnik mazowiecki.* Lwów 1893.
Józef Kallenbach: *T. Lenartowicz. Czasy i ludzie.* Warszawa 1905.
Biegeleisen: *Lirnik mazowiecki, jego życie i dzieła w świetle nieznanej korespondencji poety.* Kraków 1913.

81. O krajobrazie mazowieckim w poezjach Lenartowicza.
82. O ile prawdziwe jest zdanie, że Lenartowicz widzi lud wiejski i naturę sielską przez pryzmat łez?
83. O plastyce obrazowania w twórczości poetyckiej Lenartowicza.
84. Analogje i różnice liryk Lenartowicza i B. Zaleskiego.
85. Marzenia ludu o życiu zagrobowem w poezji L-cza.
86. Zakres wyobraźni i skala uczucia w poezji L-cza.
87. Szczegółowy rozbiór liryk: *Kalina* lub *Złoty kubek.*

8. Do Narcyzy Żmichowskiej.

Ign. Chrzanowski: *Wstęp do wyboru pism Żmichowskiej* Warszawa, 1901.

Tenże: *N. Żmichowska.* Album biogr. zasł. Polaków XIX w. t. II.
P. Chmielowski: *N. Żmichowska* w «Autorki polskie XIX w.» Warszawa 1885.
Mann: *Poganka* N. Ż-ej. Warszawa, 1916.

88. Scharakteryzować uczucia i przekonania Żmichowskiej na podstawie jej listów.

9. Do Juljana Klaczki.

Hösick: *Juljan Klaczko,* Kraków, 1904.
Tarnowski Stanisław: *Juljan Klaczko,* 2 t. Kraków 1909.
A. Szczepański: *Juljan Klaczko,* Poznań, 1907.

89. Zasadnicze poglądy estetyczne Klaczki w jego krytyce *Krewnych* Korzeniowskiego.
90. Czy słuszne jest zdanie Klaczki, że Korzeniowski w «sztuce nie wznosi się nigdy do myśli ideału»? Wykazać dowodami z dzieł Korzeniowskiego.
91. Czy słuszne jest zdanie Klaczki, że Korzeniowski «w moralności nie wznosi się nigdy do myśli ofiary»? Wykazać dowodami z dzieł Korzeniowskiego.

10. Do Kornela Ujejskiego.

Ant. Bądzkiewicz: *K. Ujejski.* Kraków 1893.
Wróblewski: *K. Ujejski* (1823—1893). Lwów 1903.
Józ. Tretiak: *K. Ujejski i jego poezje.* Kraków 1893.
Chrzanowski: *K. Ujejski* (Album biogr. zasł. Polaków XIX w. II. 1903).
Tenże: *K. Ujejski* (Sto lat myśli pol., VI. 1911).

92. Uzasadnić zdanie, że pieśń Ujejskiego nie pieluchą była dla narodu, lecz ostrogą.
93. Jaki program twórczości wyraża się w wierszu Ujejskiego p. t. *Trzy struny?* O ile twórczość tego poety urzeczywistniła ów program?
94. Żywioł liryczny w *Maratonie* Ujejskiego.
95. Lutnia Ujejskiego «ćwiczona była na mistrzach». Wyjaśnić to zdanie i poprzeć dowodami z poezji tego poety.
96. Stosunek ideowy i uczuciowy *Skarg Jeremiego* do *Psalmów* Krasińskiego.

97. *Chorał* jako najsilniejszy wyraz bólu patrjotycznego w okresie poromantycznym.
98. Lud wiejski w poezji Ujejskiego. *(Za służbą, Zawiana chata, Pogrzeb Kościuszki, Błonia medyckie).*
99. O technice wiersza Ujejskiego.
100. Rozwinąć i dowodami z poezyj Ujejskiego wyświetlić dwuwiersz jego:

«Dwojgiem skrzydeł połączyłbym dalekie i bliskie,
Jednem kryjąc dwory białe, drugiem chaty niskie».

11. Do Mieczysława Romanowskiego.

Galle: *M. R.* (Album biogr. zasł. Polaków XIX w. II).
Tadeusz Pini: *Wstęp do wyboru pism.* Lwów 1904.
St. Lam: *M. R.* Zarys biogr. kryt. Lwów 1913.
Maurer Henryk: *O tragedji M. R. p. t. «Popiel i Piast».* Kraków 1906.

101. Dlaczego nazwał siebie Romanowski «przedburzowcem», poetą «pieśni bojowej»?
102. Głód ofiary i wiara w wartość krwi męczeńskiej w poezji Romanowskiego.
103. Czy i o ile *Dziewczę z Sącza* przewyższa zaletami myśli, uczucia i kompozycji współczesne gawędy?
104. Nawoływanie do zgody wszystkich stanów w poezji Romanowskiego *(Trzy sztandary, Popiel i Piast).*
105. Przeczucie bohaterskiej śmierci w poezji R-go. *(Nowa znajomość, Modlitwa, Sestyny).*
106. Zestawić zalety i cechy poezji Romanowskiego z poezjami Ujejskiego.

12. Do liryki powstania styczniowego.

107. Główne nastroje i tony liryki powstania styczniowego.
108. Ślady mesjanizmu w liryce powstania styczniowego.

13. Do pisarzów politycznych po r. 1863.

109. J. I. Kraszewski w obronie hasła: «Ducha nie wygaszajcie», *(Rachunki).*
110. J. I. Kraszewskiego protesty przeciwko zrzekaniu się przyszłości *(Rachunki).*

111. Jak zapatrywał się J. I. Kraszewski na niebezpieczeństwo wynarodowienia, grożące ze strony Rosji?
112. O rozbieżności w poglądach politycznych po r. 1863 na podstawie wyboru z pism Kraszewskiego, Szujskiego, Kaczkowskiego Kalinki, Świętochowskiego.
113. Hasło t. zw. organicznej pracy w oświetleniu wyżej pomienionych pisarzy.
114. Protest *Teki Nieczui* przeciwko *Tece Stańczyka* jako objaw współczesnej polemiki politycznej.
115. Czy słusznym był zarzut *Teki Nieczui*, czyniony zwolennikom *Teki Stańczyka*, że byli wrogami oświaty ludu i zwolennikami kosmopolitycznego klerykalizmu?

14. Do Adama Asnyka.

Józef Tretiak: *Ad. Asnyk i jego liryka.* (Szkice lit. I., 1881).
P. Chmielowski: *Asnyk jako autor dramatyczny,* (Nasza literatura dramatyczna II).
Marjan Zdziechowski: *Szkice literackie.* Twórczość liryczna A. Asnyka. Warszawa 1900.
Galle H.: *A. Asnyk.* Warszawa 1903.
Sten: *Adam Asnyk* («Szkice krytyczne». Lwów, 1906).
Chrzanowski: *Liryka patrjotyczna Asnyka.* Kraków, 1913.

116. Jak charakteryzuje Asnyk w lirykach swoich współczesny stosunek poety do publiczności?
117. Wspomnienia rodzinne w liryce Asnyka.
118. Wiara i zwątpienie w tegoż lirykach.
119. Asnyk w lirykach swoich o wzajemnym stosunku nauki do sztuk pięknych. *(Wiekowi XIX-mu).*
120. Czy można słusznie nazwać Asnyka mędrcem, pojednanym z niedolą życia?
121. Na czem wedle cyklu *Nad głębiami* polega nieśmiertelność ludzkiego istnienia?
122. «Każdy za wszystkich, wszyscy za jednego». Zdanie to rozwinąć argumentami z liryki Asnyka.
123. Znaczenie pracy cichych poświęceń wedle cyklu *Nad głębiami.*
124. Śmierć jest stopniem wyższego rozwoju, «chorążym ciągłego postępu». Rozwinąć na podstawie cyklu *Nad głębiami.*
125. Ludowe i patrjotyczne struny w liryce Asnyka.

15. Do Elizy Orzeszkowej.

Chmielowski: *E. Orzeszkowa* (we wstępie do t. I. «Pism» Orzeszkowej, wyd. Warszawa, 1899).

Jadwiga Marcinkowska: *E. Orzeszkowa, jej życie i pisma.* Warszawa 1907.

Walery Gostomski: *Praca u podstaw w powieściach E. Orzeszkowej,* Kraków 1910.

Tadeusz Grabowski Dr.: *E. Orzeszkowa, szkic jubileuszowy.* Kraków 1906.

Drogoszewski: *E. O.* Kraków, 1912. (Odbitka z t. I. zupełnego wydania *Pism Orzeszkowej*).

126. Stanowisko Orzeszkowej wobec kwestji żydowskiej w powieściach *Eli Makower* i *Meir Ezofowicz.*
127. Orzeszkowa o wychowaniu kobiet w powieściach swoich (*Marta i Marja),* oraz w książce p. t. *Kilka słów o kobietach.*
128. Satyra na błędy wychowania w powieściach Orzeszkowej: *Pamiętnik Wacławy, Pan Graba, Na dnie sumienia.*
129. O poglądach socjalnych Orzeszkowej w powieściach: *Z różnych sfer, Sylwek cmentarnik, Widma.*
130. Studjum o darze spostrzegawczym w powieściopisarskiej twórczości Orzeszkowej.
131. Orzeszkowa o zespole narodowych dążeń w powieści *Nad Niemnem.*
132. Charakterystyka drobnej szlachty w powieściach Orzeszkowej.
133. Jak maluje Orzeszkowa litewską przyrodę w powieściach: *Nad Niemnem, Argonauci.*
134. Ideały ostatnich powieści Orzeszkowej.
135. O ujemnych skutkach zaniedbania u nas naukowych badań. Na podstawie artykułu Orzeszkowej, przedrukowanego w wypisach.
136. Powinowactwo poglądów na warunki życia społecznego w pismach Orzeszkowej, Prusa i Konopnickiej.

16. Do Aleksandra Głowackiego.

P. Chmielowski: *A Głowacki* («Nasi powieściopisarze», II).

Ign. Matuszewski: *Bolesław Prus* («Swoi i Obcy»).

Tenże: *Prus i Sienkiewicz.* (Tamże).

Br. Chlebowski: *Bol. Prus* «Książka» nr. z r. 1912 i w «Pismach» t. IV.

K. Wojciechowski: *B. Prus,* Lwów, 1913. (Biblj. Macierzy Polskiej).

137. Lud polski w *Placówce* Prusa.
138. Antagonizmy społeczne w *Lalce* Prusa w zestawieniu z myślą przewodnią *Dwóch światów* Kraszewskiego.
139. Myśl przewodnia *Lalki* Prusa.
140. Charakter Madzi Brzeskiej z *Emancypantek* Prusa.
141. Zdanie Prusa, że «wolność zdobywa się nie tyle walką orężną, ile mądrością i pracą» uzupełnić dowodami z dzieł Prusa.
142. Poglądy z pism Prusa i Orzeszkowej na pozytywną wartość pracy w naukach ścisłych.

17. Do Adolfa Dygasińskiego.

Wasilewski Zygmunt: *A. Dygasiński i jego Gody życia* (w «Od Romantyków do Kasprowicza», Lwów 1907).
Przesmycki Z.: *A. D-i* («Pro arte», Warszawa, 1914).
Jeske-Choiński: *Pozytywizm w nauce i literaturze*. Warszawa 1908.

143. Umiłowanie przyrody w utworach Dygasińskiego.
144. Jak charakteryzuje Dygasiński różne zwierzęta? Czy istnieje w tych charakterystykach jaka wspólna nić przewodnia?
145. Jakie są artystyczne zalety *Godów życia?*

18. Do Marji Konopnickiej.

Chmielowski: *M. Konopnicka* («Współcześni poeci polscy». Petersburg 1895.
H. Sienkiewicz: *M. Konopnicka*. Bibl. Warsz. 1902.
H. Galle: *Twórczość M. Konopnickiej w ciągu 25 lat*. Warszawa 1902.
L. Rydel: *Wstęp do Wyboru pism M. Konopnickiej*. Kraków, 1902.
Tad. Grabowski: *M. Konopnicka w 25 rocznicę jej poetyckiej działalności*. Przegl. Pls. 1902.
K. Jarecki: *Twórczość poetycka M. K-ej*. Lwów 1902.
Hołd Konopnickiej. Kraków, 1902 (pięć rozpraw różnych autorów)
St. Maykowski: *O chłopskim eposie K-ej*. Biblj. Warsz. 1907.
Pietrzycki J.: *O liryce M. Konopnickiej*. Lwów. 1907.

146. Współczucie dla niedoli ludu w lirykach Konopnickiej.
147. M. Konopnicka jako pieśniarka ojczystej przyrody.
148. Uzasadnić dowodami z twórczości M. Konopnickiej zdanie, że. «Cierpi wiele i miłuje wiele».
149. Czem uzupełniają się wzajemnie liryki Asnyka i Konopnickiej?
150. Synteza przewodnich myśli nowel M. Konopnickiej.
151. Rozbiór *Roty* Konopnickiej.

19. Do Henryka Sienkiewicza.

Piotr Chmielowski: *H. Sienkiewicz w oświetleniu krytycznem.* Lwów 1901.
Zdziechowski: *H. S.* (Szkice liter., I. 1900).
Chmielowski: *H. S.* («Nasi Powieściopisarze», I).
Stanisław Kozłowski: *Trylogja H. Sienkiewicza.* Warszawa 1901
Tretiak: *Pisma H. S.* (Szkice literackie t. I).
St. Tarnowski: *Studja do literatury polskiej.* T. V. Henryk Sienkiewicz.
Wojciechowski: *H. S.* Lwów, 1917 (Biblj. Macierzy Polskiej).
Kallenbach: *Twórczość H. S.* (Rocznik Akad. Umiej. 1917).
K. Cywiński. *Sienkiewicz.* Wilno 1916.
Hösick: *Sienkiewicz i Wyspiański.* Kraków 1918.
Chrzanowski: *H. Sienkiewicz.* Kraków 1917.

152. O zużytkowaniu humoru i dowcipu na użytek satyrycznych celów w pierwszych pismach H. Sienkiewicza: *Na Marne, Humoreski z teki Worszyłły, Szkice węglem).*
153. Zebrać dowody, świadczące o artystycznym talencie H. Sienkiewicza, wykazanym w nowelach: *Janko muzykant, Jamioł, Latarnik Z pamiętnika poznańskiego nauczyciela, Bartek zwycięzca.*
154. Jakie cnoty naszej przeszłości sławi H. S-icz w swej *Trylogji?*
155. Analiza charakteru Jana Skrzetuskiego i zebranie dowodów z *Trylogji*, że ten bohater obowiązek wiernej służby dla ojczyzny przenosił zawsze nad osobiste swoje względy.
156. Wina i pokuta Andrzeja Kmicica w analogji do Jacka Soplicy z *Pana Tadeusza.*
157. Wykazać, że bohaterska śmierć Pana Wołodyjowskiego była godnem uwieńczeniem czynów jego życia.
158. Żywość akcji powieściowej w *Trylogji* i artystyczne jej wiązanie z tłem historycznem.
159. Postaci niewieście w Trylogji.
160. O pomysłowości i dowcipie Zagłoby.
161. O tle obyczajowem w *Krzyżakach* Sienkiewicza.
162. Znamiona rozkładu starożytnej kultury w powieści Sienkiewicza p. t. *Quo vadis.*
163. Charakterystyka pierwszych chrześcijan w tejże powieści.
164. Stosunek patrycjuszów rzymskich do niewolników w tejże powieści
165. Proces przekształcania się duszy Winicjusza w powieści *Quo vadis* i wpływy, które na ten proces oddziaływały.

166. Znaczenie tytułu powieści *Quo vadis*, jako przestrogi dla dzisiejszego świata.
167. Jakie plony wydał posiew krwi męczeńskiej pierwszych chrześcijan?
168. Litka z powieści Sienkiewicza p. t. *Rodzina Połanieckich* i Kara z Orzeszkowej *Argonautów*.
169. Wirtuozostwo form artystycznych w nowelach i powieściach Sienkiewicza.
170. Chrześcijanie w *Quo vadis* a w *Irydjonie* Krasińskiego.
171. Zasadniczy błąd wychowania i całego życia Płoszowskiego.
172. Czy Płoszowskiego można nazwać człowiekiem czynu?

20. Do literatury lat 1863—1890.

173. Ogólne znamiona i fazy rozwojowe naszej literatury poromantycznej.
174. Warunki polityczne, które wpływały w tym czasie na naszą literaturę w różnych dzielnicach Polski.
175. Społeczeństwo nasze w świetle satyryczno-dydaktycznej powieści obyczajowej lat 1863—1890.
176. Jak wpłynął rozwój historjografji naszej w latach 1863—90 na stosunek powieściopisarstwa historycznego do obrazowania przeszłości.
177. Obniżenie się poziomu twórczości poetyckiej w latach 1863—1890 w porównaniu z dobą wielkiego romantyzmu (Patrz artykuł J. Klaczki o *Krewnych*, oraz wiersz Asnyka *Na zgon poezji*).
178. Rozwój historjografji, krytyki literackiej i literatury politycznej w latach 1863—1890.
179. Krytyka obyczajów tego czasu w komedjopisarstwie. (Komedje: J. Narzymskiego, Józ. Blizińskiego, Edw. Lubowskiego, Kaz. Zaleskiego i innych).
180. Zwrot ku rzeszom pracującym i ku realizmowi w malowaniu przyrody w twórczości Adolfa Dygasińskiego.
181. Zasilenie komedjopisarstwa nowym żywiołem przez Wł. Anczyca.
182. O ideowym dramacie Aleksandra Świętochowskiego.
183. Rozeznanie i osądzenie ujemnych znamion naszej przeszłości w piśmiennictwie lat 1863—1890.
184. Jakie kierunki przyszłego rozwoju społeczeństwa wskazuje piśmiennictwo lat 1863—1890?
185. Poszukiwanie zgody stanów w piśmiennictwie tego czasu.
186. Propaganda pracy organicznej od podstaw w piśmiennictwie tego czasu.

21. Do literatury po r. 1890.

187. Reakcja przeciwko naturalizmowi, realizmowi i pozytywizmowi w sztuce po r. 1890. (*Confiteor, Życie* krakowskie i warszawskie, *Chimera* Zenona Przesmyckiego, wybór artykułów *Tredecim*).
188. Analogje i różnice w poglądach z dziedziny estetyki Przybyszewskiego, Z. Przesmyckiego, *Tredecim*, Szczepanowskiego.
189. Krytyczna analiza *Confiteor* Przybyszewskiego.
190. Kazimierz Przerwa Tetmajer jako śpiewak zwątpienia.
191. Kazimierz Przerwa Tetmajer jako kolorysta przyrody tatrzańskiej i twórca tatrzańskiego eposu.
192. Gwara tatrzańska w poezji Tetmajera.
193. Nastrojowość i symbolizm liryki tegoż poety.

22. Do Kazimierza Tetmajera.

M. Zdziechowski: *Szkice literackie*, 1900.
A. Mazanowski: *K. Tetmajer*. Złoczów, 1901.

23. Do Jana Kasprowicza.

P. Chmielowski: *J. Kasprowicz. Próba charakterystyki*. Brody 1913.
A. Potocki: *Szkice i wrażenia literackie*. Lwów, 1913.
St. Przybyszewski: *Z gleby kujawskiej*. Warszawa 1901.
Z. Wasilewski: *Od romantyków do Kasprowicza*. Lwów 1907.
Z. Przesmycki: *J. K-icz.* «*Chimera*».
Wł. Gostomski: *Poezje K-icza*, «Książka», 1913.

194. Słowa hymnu św. Franciszka z Assyżu:
«Bądź błogosławione cierpienie,
gdyż z ciebie rodzi się miłość».
rozwinąć przykładami i dowodami z liryki Kasprowicza.
195. Źródła żalu i skruchy w hymnie: *Moja pieśń wieczorna*.
196. Kasprowicz jako liryk nędzy i cierpienia ogólno-ludzkiego.
197. Rozmaitość lirycznych nastrojów w tymże hymnie, w związku z rozmaitością rytmiki wiersza.
198. Czem różni się szatan poezji Mickiewicza i Krasińskiego od Lucyfera z poematów Kasprowicza *Chrystus, Uczta Herodjady, Na wzgórzu śmierci?*
199. Żywioł narodowy liryki Kasprowicza.

24. Do Stanisława Wyspiańskiego.

P. Chmielowski: *St. Wyspiański*. Lwów, 1902.
Józ. Kotarbiński: *Pogrobowiec romantyzmu*. Warszawa 1909.
Ludw. Skoczylas: *O St. Wyspiańskim*. Kraków 1909.

Tad. Jaworski: Idea przewodnicza w dramatach *Wesele, Wyzwolenie, Akropolis.* 1905.
Chlebowski: *Twórczość Wyspiańskiego w świetle krytyki współczesnej.* Pisma t. I.
Ign. Rosner: *Wyzwolenie Wyspiańskiego.* Kraków 1903.
Z. Wasilewski: *Nowy Konrad.* Lwów 1903.
Matuszewski: *Studja o Wyspiańskim.* Warszawa 1916.
Tad. Sinko: *Antyk Wyspiańskiego.* Warszawa 1916.
Grzymała Siedlecki: *Wyspiański.* Kraków 1909.
St. Lam: *St. Wyspiański.* Jarosław, 1909.

200. Czy *Warszawianka* jest apoteozą powstania listopadowego?
201. Na czem polega tragizm sytuacji w *Warszawiance*?
202. Rozwój dramatycznej akcji w *Warszawiance* z uwydatnieniem punktu kulminacyjnego i katastrofy.
203. Charakterystyka Chłopickiego w *Warszawiance.*
204. Jak się przedstawia zespół ludu i inteligencji w *Weselu?*
205. Wyjaśnić symbolizm bolesnego kręcenia się tanecznych par w *Weselu,* śród oczekiwania i niepokoju, pod rytm ironicznej pieśni Chochoła o zgubionym złotym rogu.
206. Oryginalność techniki dramatycznej i języka w *Weselu.*
207. O melancholji i pesymizmie autora *Wesela.*
208. O ludowej gwarze *Wesela.*
209. Idea wyzwolenia narodu w dramatach Wyspiańskiego: *Lelewel, Noc listopadowa, Warszawianka, Wesele, Wyzwolenie.*
210. Zmaganie się idei wyzwolenia przez śmierć z ideą wyzwolenia przez czyn w *Wyzwoleniu.*
211. Konrad z *Dziadów* a Konrad z *Wyzwolenia.*
212. O żywiole lirycznym w dramatach Wyspiańskiego.
213. Stosunek poezji Wyspiańskiego do mesjanizmu okresu romantycznego.

25. Do Leopolda Staffa.

Spasowicz Wł.: *Pisma t. IX.* Petersburg, 1893.
St. Brzozowski: *L. Staff, studjum.* «Krytyka», 1905.
M. Rettinger: *Wśród współczesnych liryków.* 1913.

214. Pochód w liryce Staffa od egotyzmu i melancholji do pierwiastków społecznych i patrjotycznych.
215. Rozwój formalny tejże liryki przez szukanie nowości i dysonanse do wirtuozostwa i harmonji.
216. Bogactwo nastrojów liryki Staffa.
217. Rozbiór *Studni, Sarkofagów, Nokturnów.*

26. Do Antoniego Lange.

A. Potocki: *Szkice literackie.*
Jan Lorentowicz: *Młoda Polska.* Warszawa, 1908.

218. Jak charakteryzuje się poeta w wierszu p. t. *Exegi?*
219. O wirtuozostwie rymu w cyklu *Rym.*
220. Uczuciowy stosunek poety do Mickiewicza w cyklu: *Na Świtezi.*

27. Do liryki tatrzańskiej.

221. Analogje twórczości tatrzańskiej Asnyka, K. Tetmajera, J. Jedlicza, Wł. Orkana.

28. Do Stefana Żeromskiego.

J. Sten: *Pisarze polscy.* 1903.
I. Matuszewski: *Twórczość i twórcy,* 1904.
St. Brzozowski: *O St. Żeromskim,* Warszawa 1905.
W. Spasowicz: *O Popiołach,* Pisma t. IX.
T. Rakowiecki: *Duma o hetmanie.* 1909.
Tenże: *Szkice krytyczne o Żeromskim.* Warszawa 1910.
I. Matuszewski: *Studja o Żeromskim i Wyspiańskim.* 1916.

222. Idea walki ze złem w powieściach Żeromskiego, w szczególności w *Walce z Szatanem.*
223. Obraz dziejowego zmagania się o wybrzeża morskie w *Wietrze od morza.*
224. Stanisław Żółkiewski w *Dumie o hetmanie* Żeromskiego, a w dziele Łozińskiego p. t. *Prawem i Lewem.*
225. Stosunek bohatera do otoczenia w *Dumie o hetmanie.*
226. Koloryt średniowiecza w *Powieści o Udałym Walgierzu.*
227. Zalety języka i właściwości kompozycji w powieściach Żeromskiego.
228. Przesycenie liryzmem powieści Żeromskiego.

29. Do Wł. St. Reymonta.

I. Matuszewski: *Twórczość i twórcy,* 1904.
A. Potocki: *Szkice i wrażenia literackie.*
Jan Sten: *Dusze współczesne.*

229. Zbiorowa dusza wielkiego miasta przemysłowego w *Ziemi Obiecanej.*
230. Zbiorowa dusza ludu wiejskiego w *Chłopach.*

231. Kompozycja *Chłopów*. Język tego utworu.
232. Dlaczego Reymonta nazwać można mistrzem epickiego realizmu?
233. Zalety opisów Reymonta i bogactwo epizodów w jego powieściach przy powściągliwości w analizach psychologicznych i wywodach ideowych.
234. Zalety w kreśleniu obrazów przyrody w powieściach Reymonta

30. Do Wacława Berenta.

H. Trzpis: «*Próchno*» *Berenta*. Kraków, 1907.
I. Matuszewski: *Twórczość i twórcy*. 1904.
A. Siedlecki: *Na marginesie «Oziminy»*. Muscion, 1914.

235. Satyra na artystów-schyłkowców w *Próchnie*.
236. Satyra na bezduszność sfer towarzyskich w *Oziminie*.
237. Jakie są źródła pesymistycznego bólu, wyrażającego się w powieściach Berenta?
238. Okazałość, przepych, jędrność i wycyzelowanie prozy Berenta.

31. Do wyboru z Brücknera „Dziejów języka polskiego".

239. O śladach mowy ludowej w języku M. Reya.
240. Germanizmy i czechizmy w pismach Reya.
241. Wyrazy gwarowe, rusycyzmy i czechizmy w pismach Klonowicza.
242. O ile język Mickiewicza, Zaleskiego, Goszczyńskiego wzbogacił się słownictwem gwarowem ludu?
243. O barwie lokalnej w języku *Sonetów Krymskich* Mickiewicza.
244. O archaizmach *Grażyny* Mickiewicza.
245. Nowotwory językowe w poezji Z. Krasińskiego.
246. Rubaszność, wyrazistość mowy szlacheckiej w *Pamiątkach Soplicy* Rzewuskiego.
247. Archaizmy i gwary ludowe w *Krzyżakach* Sienkiewicza i *Popiołach* Żeromskiego.
248. O bogactwie form języka polskiego w odcieniach znaczeniowych w zakresie czasownika.

32. Do powtórzenia całokształtu dziejów literatury polskiej.

249. Ślady zabytków kultury polskiej przedchrześcijańskiej.
250. Wpływ zaprowadzenia chrześcijaństwa na rozwój kultury w Polsce Piastów.
251. Pierwsze ślady języka polskiego w pieśniach religijnych od połowy XIV w.

252. Wprowadzenie języka polskiego do piśmiennictwa w pierwszej połowie XVI w. i jakie na to wpłynęły powody?
253. Rozbrat między życiem ludowem a rycerskiem, między poezją ludu a szlachty w XVI w.
254. Wpływ humanizmu i górowanie jego nad żywiołem rodzimym w literaturze naszej XVI w.
255. Wpływ humanizmu na rozwój naszej kultury w XVI w.
256. Związek poezji polskiej XVI w. z życiem narodu społeczno-politycznem.
257. Wątlenie kultury humanistycznej w końcu XVI i na początku XVII w., powody tego i objawy.
258. Jakim nowym obcym wpływom ulega piśmiennictwo nasze w wieku XVII-tym?
259. Jakie były wewnętrzne i zewnętrzne powody i znamiona upadku literatury w XVII i połowie XVIII w.?
260. Czy reforma szkolnictwa idzie w parze z dążeniem do reform politycznych w 2-ej połowie XVIII w.?
261. Wpływ reformy szkolnictwa na literaturę naszą w 2-ej połowie XVIII wieku.
262. Pierwiastki poezji rodzimej w literaturze w 2-ej poł. XVIII w.
263. Zewnętrzne wpływy wieku oświecenia na piśmiennictwo nasze w drugiej połowie XVIII w.
264. O ile poezja nasza 2-ej połowy wieku XVIII-go jest pełnym wyrazem wstrząśnień narodowo-politycznych tego czasu?
265. Jakie czynniki i wpływy przygotowały rozkwit poezji narodowej w pierwszej ćwierci XIX w.?
266. Dążenia do zasypania przepaści, wyżłobionej wiekami między ludem a szlachtą w okresie romantycznym i objawy tych dążeń w poezji.
267. Warunki politycznego bytu w okresie romantycznym i jak one wpływały na rozwój naszej literatury w tym czasie?
268. Różnice zasadniczych cech poezji w podokresach romantyzmu: a) od 1820—31; b) od 1831—1863.
269. Reakcja przeciw poezji romantycznej w twórczości naszej poetyckiej po r. 1863.
270. Główne hasła pozytywizmu i wpływ ich na poezję naszą w czasie od 1863—1890.
271. Reakcja przeciw naturalizmowi i realizmowi w literaturze naszej najnowszej.

SPIS WAŻNIEJSZYCH OSÓB,
o których w tem dziele jest wzmianka.

Anakreon, liryk grecki, żył od r. 533 przed Chr. w Samos, na dworze Polykratesa, potem w Atenach i Abderze, um. około 499 r.

Alfieri Vittorio, (1749—1803), wybitny poeta dramatyczny włoski.

Balbo Cesare, (1789—1853), włoski mąż stanu i pisarz polityczny.

Balzac Honoré, (1799—1850), powieściopisarz francuski; znakomitsze powieści: La femme de trente ans, Eugenie Grandet, Père Goriot. Zbiór głównych: La Comédie humaine.

Baudelaire Pierre Charl, (1821—1867), poeta francuski. (Zbiór poezji p. t. Fleurs du mal, wydany w r. 1857).

Beranger Pierre Jean, (1780—1857), popularny pieśniarz francuski.

Brandes Jerzy, (1842—1920), duński krytyk i historyk literatury, autor dzieł przełożonych także na język polski, jak «Główne prądy literatury XIX. w.», «Polska» i innych.

Buckle (czyt. Böckl) **Henryk,** (1821—1861), angielski historjozof; dzieło jego History of civilization in England (Historja cywilizacji w Anglji) zyskało rozgłos w całym świecie.

Comte August, (1798—1857), filozof francuski. Najważniejsze dzieło jego: «Cours de philosophie positive», (Paryż, 1839—42, w 6 t.) dało nazwę t. zw. u nas pozytywizmowi.

Condillac Etienne Bonnot, (1715—1780), francuski filozof, jeden z głównych przedstawicieli t. zw. sensualizmu w dziejach filozofji.

Dante Alighieri, (1265—1321), największy poeta włoski, twórca «Boskiej Komedji».

Darwin Karol, (1809—1882), przyrodnik angielski, twórca teorji o pochodzeniu i przetwarzaniu się organizmów. Dzieło jego p. t. On the origin of species (O pochodzeniu gatunków) wyszło w r. 1859.

Descartes Rene, znany zwykle **Renatus Cartesius,** (1596—1650), filozof francuski. Ważniejsze dzieło: «Discours de la méthode pour bien conduire sa raison et chercher la vérité dans les sciences».

Dudevent, znana pod pseudonimem **George Sand,** (1804—1876), sławna powieściopisarka francuska.

Ennius Quintus, (239—169 przed Chr.), poeta rzymski.

Ezop (Aisopos), miał żyć w VI w. przed Chr. Starożytni Grecy i Rzymianie uważali go za pierwszego twórcę bajek.

Flaubert Gustaw, (1821—1880), francuski powieściopisarz. Główne powieści: Madame Bowary (1857), Salambo (1888).

Fragonard Jean Honoré (1732—1806), art. malarz francuski.

Gervinus Georg Gottfried (1805—1871), niemiecki historyk.

Goethe Johann Wolfgang, (1749—1832), największy poeta niemiecki.

Goya Francisco, (1746—1828), wielki mistrz malarstwa hiszpańskiego.

Haeckel Ernest, słynny niemiecki zoolog, główne jego dzieło p. t. «Generelle Morphologie der Organismen» wyszło w r. 1866.

Häuser Ludwik, (1818—1867), niem. historyk. Najważniejsze jego dzieło: «Dzieje Niemiec od śmierci Fryderyka W.», w 4 t. wyszło w r. 1854—7.

Hesiod, poeta grecki z VIII w. przed Chr.

Horatius Flaccus, (65—8 przed Chr.), słynny liryk rzymski.

Huxley (czyt. Hoksle) **Tomasz,** (1825—1895), głośny naturalista angielski.
Hegel Georg Wilhelm, (1770—1831), filozof niemiecki. Główne dzieło «Phänomenologie des menschlichen Geistes» wyd. w r. 1807.
Iuvenalis Decimus Iunius, łac. satyryk z końca 1-go i pocz. 2-go w. po Chr.
Kipling Rudyard, ur. 1865, sławny pisarz angielski.
Leopardi Giacomo, (1798—1837), poeta włoski.
Leibniz Gottfried Wilhelm, (1646—1716), sławny filozof i uczony niemiecki.
Littré Maksymiljan, (1801—1881), filozof franc. także autor słownika franc.
Maeterlink Maurice, ur. 1862, poeta belgijski.
Macrobius Ambrosius, rzymski gramatyk z V w. po Chr.
Malthus Tomasz, (1766—1834), angielski ekonomista, twórca teorji o zależności wzrostu zaludnienia od środków żywności.
Menzel Karol Adolf, (1784—1855), historyk niemiecki.
Michelangelo Buonarotti, (1475—1564), genjalny włoski malarz, rzeźbiarz architekt.
Mozart Jan Chryzostom, (1756—1791), słynny muzyk-kompozytor niemiecki.
Petrarca Francesco, (1304—1374), poeta włoski, słynny autor sonetów do Laury. (Przekład Faleńskiego).
Plato, (419—348), uczeń Sokratesa, słynny filozof grecki.
Propertius Sextus, elegik rzymski z I w. przed Chr.
Puszkin Alexander, (1799—1837), najsłynniejszy poeta rosyjski.
Raffael Santi, (1483—1520), sławny malarz włoski.
Renan Ernest, (1823—1892), francuski orjentalista i teolog, autor głośnego dzieła p. t. «Vie de Jésus» (1863).
Ribot Théodule, ur. 1839, filozof francuski.
Rops Felicjan, (1833—1898), art. malarz, rytownik, akwarelista belgijski.
Schiller Johann Christoph Friederich, (1759—1805), wielki poeta niemiecki.
Schelling Friedrich Wilhelm, (1775—1854), filozof niemiecki.
Schlosser Friedrich, (1776—1861), historyk niemiecki.
Schopenhauer Artur, (1788—1860), filozof niemiecki; główne dzieło: die Welt. als Wille und Vorstellung (1819).
Spencer Herbert, (1820—1903), filozof angielski; ważniejsze z dzieł: «System of synthetic phylosophy» (System filozofji syntetycznej).
Szewczenko Taras, (1814—1861), największy poeta ukraińsko-rusiński. Ważniejsze utwory: «Kobzar» (1840); zbiór poezji, nowel i opowiadań wyszedł w Kijowie 1888 r.
Taine Hipolit, (1828—1893), estetyk i historyk literatury francuskiej. Najważniejsze dzieła: «Histoire de la littérature anglaise» w 5 t. (1864); «Philosophie de l'art» w 2 t. (1870) «De l'intelligence», w 2 t. (1870), «La revolution» w 3 t. (1878—1884).
Tibullus Albius, elegik rzymski z I. w. przed Chr.
Tołstoj Lew, ur. 1828, słynny powieściopisarz rosyjski. «Wojna i pokój» (1872), «Anna Karenina» (1877), «Potęga ciemnoty», «Zmartwychwstanie».
Tylor (czyt. Teil'r) **Edward,** ur. 1832, angielski antropolog.
Verlaine Paweł, (1844—1896), poeta francuski, główny przedstawiciel t. zw. dekadentyzmu.
Vinci Leonardo de, (1452—1519), słynny artysta malarz włoski, twórca «Wieczerzy Pańskiej» i głośnego obrazu «La Gioconda».
Wagner Ryszard, (1813—1883), najsławniejszy niemiecki muzyk-kompozytor.

SPIS RZECZY.

I. 1831—1863.

WARUNKI ROZWOJU LITERATURY W KRAJU W LATACH 1831—1863.

1. Aleksander Fredro.

2. Józef Korzeniowski.

Str.

Z powieści p. t. «Krewni» 11

3. Henryk Rzewuski.

4. Józef Ignacy Kraszewski.

Z powieści p. t. «Ostap Bondarczuk» 23
Z listów literackich: O celu powieści 31

5. Wincenty Pol.

Z poematu p. t. «Pieśń o ziemi naszej» 34
Z «Obrazów z życia i natury»: Na lodach 37
Na Beskidzie 39
Ze stepu 40

6. Ludwik Kondratowicz.

Lalka 41
Wyzwolenie włościan 43

7. Teofil Lenartowicz.

Kalina 45
Dwa dęby 45
Złoty kubek 46
Duch sieroty 47
Jakto na Mazowszu? 47

8. Narcyza Żmichowska.

Z listów 49

9. Juljan Klaczko.

Z rozprawy p. t. «Krewni Korzeniowskiego» 54

10. Kornel Ujejski.

Trzy struny 60
Zawiana chata 62

Str.
Za służbą 62
Ze skarg Jeremiego: Słowo Jeremiego 64
Pieśń zemsty 66
Noc natchnienia 67
Za zbłąkanych 69
Akt wiary 70
Pieśń 71

11. Mieczysław Romanowski.

Nowa znajomość 72
Modlitwa 73
Trzy sztandary 74
Rok 1862 74
Sestyny 75

12. Z liryk powstania styczniowego.

K. Ujejski: Chorał 76
Jadwiga Łuszczewska: Dzwon pogrzebowy 78
J. B. Zaleski: Do wtóru 78
T. Lenartowicz: Łazarzu, wstań 79
M. Romanowski: Sawannah 80
Fel. Faleński: Śpiew idących na śmierć 83

II. 1864—1890.

WARUNKI ROZWOJU LITERATURY W TRZECH ZABORACH W LATACH 1864—1890.

13. Z pisarzów politycznych po r. 1863.

B. Bolesławita (J. I. Kraszewski): Z «Rachunków», Rzeczy ogólne 96
» » Polska i Moskwa 100
Józef Szujski: Kilka prawd z dziejów naszych 109
Z «Teki Stańczyka»: Z listu piątego 115
Zygmunt Kaczkowski: Z «Teki Nieczui» 121
Walerjan Kalinka: Wstęp do dzieła: «Ostatnie lata panowania St. Augusta» 127
Aleksander Świętochowski: «Pod datą dzisiejszą» 136
Pozytywizm i pozytywiści 140

14. Adam Asnyk.

Poeci do publiczności 142
Zmierzch melodji 147
XIX-mu wiekowi 148
Przeminął czas 148
Choć pól i łąk 151
Pod stopy krzyża 151
Do młodych 154
Ucisz się, serce 155
Nie mów 156

Str.
Daremne żale 156
Słonko 156
Z cyklu: «W Tatrach»: Ranek w górach 157
Morskie oko (I—V) 158
Podczas burzy 160

15. Eliza Orzeszkowa.

Z rozprawy: «O żydach i kwestji żydowskiej» (O znaczeniu nauki) . . . 160
«Gdzie szczęście?» (Ze zbioru «Ostatnie nowele») 168

16. Aleksander Głowacki.

Z dzieła p. t. «Najogólniejsze ideały życiowe» 175

17. Adolf Dygasiński.

Z noweli p. t. «Kwiatek» 181
« « p. t. «Łabędzia woda» 183

18. Marja Konopnicka.

Na progu 187
Z łąk i pól 187
Na gody 188
Dzwony 189
A jak poszedł 190
Dziaduś 190
Contra spem spero 191
Zawsze leciałam 192
Rota 193
Przed sądem 193

19. Henryk Sienkiewicz.

Z powieści «Bez dogmatu» 196

III. 1890—1914.

WARUNKI ROZWOJU LITERATURY W LATACH 1890—1914.

20. Z polemik literackich.

Stanisław Przybyszewski: Confiteor 207
Zenon Przesmycki: Walka ze sztuką 209
Tredecim: Walka o snobów 213
Stanisław Szczepanowski: Idea polska wobec prądów kosmopolitycznych 218

21. Kazimierz Przerwa Tetmajer.

Muszla 231
Nie wierzę w nic 233
Albatros 234
Melodje mgieł nocnych 234
Zaczarowany las 235

Str.
Fragment z wiersza «Dla mego syna» 236
Limba 237
Pozdrowienie 237
W Kościeliskach w nocy 238
Ze zbioru «Na skalnem Podhalu»: Gazda halny 239

22. Jan Kasprowicz.

Cztery sonety 242
Trzeba nam wiary 244
Oni i my 245
Bądź pozdrowiona 250
Byłeś mi dawniej bożyszczem o tłumie 250
Ze zbioru «Ginącemu światu»: Moja pieśń wieczorna 253

23. Stanisław Wyspiański.

Z poematu «Kazimierz Wielki» 260
Z «Wyzwolenia» (wyjątki) 263
Z pism pośmiertnych: «Mój uśmiech» 267
U stóp Wawelu 267
Wesoły jestem 268
Hymn 268

24. Leopold Staff.

Kowal 269
Melodje zmierzchów 270
Studnia 270
Sarkofagi 271
Modlitwa 272
Tak mi zaśpiewał wiatr 272
Z cyklu «Nokturny» (2, 5, 7) 273
Deszcz krwi i ognia 274
Polsko, nie jesteś ty już niewolnicą 275
Ojczyzno nasza 276

25. Antoni Lange.

Nie na dzień jeden 277
Na roli 277
Exegi 278
Z cyklu «Na Świtezi» 281
Z cyklu «Rym» 282

26. Zenon Przesmycki.

Posępny los 283

27. Jan Lemański.

Bajka o kurze, o djamencie i o sztuce 284
Parawany 285
Dobroczynność 286
Wysoko i nisko 287

28. Lucjan Rydel.

Str.
Wstań pieśni 287
Serce mi się wciąż wyrywa 288
Przekleństwo 289
Modlitwa Królowej Korony Polskiej 289
Przed oczy Twoje, Panie 290

29. Jerzy Żuławski.

Kędy-ś kraju 291
Nad gruzami 292

30. Józef Jedlicz.

Rusałka wzdycha 293
Powódź 293
To nie cud 294
O zmierzchu 294
Dzieci 294

31. Jan Krzeptowski (Sabała).

Bajka 295

32. Stefan Żeromski.

Z «Powieści o Udałym Walgierzu» 297
Z «Dumy o hetmanie» 302
Z «Wiatru od morza» 308

33. Wł. St. Reymont.

Z «Chłopów» 316

34. Wacław Sieroszewski.

Z noweli p. t. «Dno nędzy» 321

35. Józef Weyssenhoff.

Z powieści p. t. «Puszcza» 323

36. Andrzej Strug.

Z Powieści p. t. «Z powrotem» 331

37. Władysław Orkan.

Z powieści p. t. «Komornicy» 334
Ze zbioru liryk p. t. «Z martwej roztoki»:
Gałązki olszyn 338
Skarb 339
Pójdziemy, serce 339
Z wierchów Smreczyńskich 340

38. Andrzej Niemojewski.

Faszynistą 340

39. Wacław Berent.

Z «Oziminy» 343

40. Z historjografji.

Str.
Ludwik Kubala: Ze szkiców: Oblężenie Zbaraża 347
« « Z dzieła p. t. Wojna Szwedzka 353
Władysław Łoziński: O hetmanie Stanisławie Żółkiewskim 356

41. Z krytyki literackiej.

Bolesław Chlebowski: O J. I. Kraszewskim 359
Stefan Żeromski: O Teofilu Lenartowiczu 363
Marjan Zdziechowski: Ze szkicu p. t. Kazimierz Tetmajer 365
Walery Gostomski: «Moja pieśń wieczorna» Kasprowicza 367
Ignacy Matuszewski: Ze studjum p. t. «Metafizyka Wyspiańskiego» . . . 371
« « Poemat prozą Żeromskiego 375
Kazimierz Morawski: Z dzieła p. t. «Vergilius i Horatius» 377
Adam Grzymała Siedlecki: Z przedmowy do dzieła p. t. «Wyspiański» . 380
Stanisław Witkiewicz: Z artykułu p. t. «Największy obraz Matejki» . . . 386
J. B. Antoniewicz: O «Wojnie» Artura Grottgera 392
Tretiak Józef: Podział historji literatury polskiej na okresy 397

42. Z filozofji.

Biegański Władysław: Z dzieła p. t. «Etyka ogólna» 402

43. Z językoznawstwa.

Brückner Aleksander: Z dzieła p. t. «Dzieje języka polskiego» 407

IV. 1914—1927.

WARUNKI ROZWOJU LITERATURY.

44. Edward Słoński.

W słońcu i kwiatach 417
A gdy na wojenkę 417
Wojenko, wojenko! 418
Dziś, gdy się sen nasz ziścił 419
Kto Ciebie chciał, ten wierzył 419
Na zgliszczach 420

45. Tadeusz Szantroch.

A wy, synowie kiedyś nasi 421
Dla Niej 421
Samotny grób 422

46. Józef Relidzyński.

Hymn piechoty polskiej 422
Mój karabinie 423
Wojna 424
Jadą ułani 425

47. Karol Łepkowski.

Str.
Choinka 427
Baterja 429
Poprzez ugory 429
Dla Ciebie, Polsko 430
Szarża Wąsowicza 430

48. Artur Ćwikowski.

Atak 431
Na polach śmierci 433

49. Karol Hubert Rostworowski.

Ze «Zmartwychwstania» 434

50. Eugenjusz Małaczewski.

Z opowiadania p. t. «Koń na wzgórzu» 440

51. Zofja Kossak-Szczucka.

Z «Pożogi» 447

52. Emil Zegadłowicz.

Ze zbioru p. t. «Przyjdź królestwo Twoje» 450
O zwrotnicy źle nastawionej 452
O chlebie powszednim 453
Z «Kolędziołek beskidzkich» 453
O świętym Izydorze-oraczu 454
Ze zbioru p. t. «Powsinogi Beskidzkie» 455

53. Juljan Tuwim.

Walka 458
Rzeź brzóz 459
Słowo i ciało 459
Sitowie 460
Słowem do krwi 461
Dwa wiatry 461
Pieśń o białym domu 462

54. Marjusz Zaruski.

Wezwanie 463
Procul profani 463
Jeden dzień przy Morskiem Oku 464

55. Juljusz Kaden Bandrowski.

Z powieści «W cieniu zapomnianej olszyny» 466

Wskazówki bibljograficzne i tematy do wypracowań 470
Indeks 487

KSIĘGARNIA J. CZERNECKIEGO

poleca:

BARCZEWSKI W. Rzędne sferyczne i geograficzne w geodezji.
BĄKOWSKI K. Dzieje Krakowa od najdawniejszych czasów.
BOLLAND A. DR. PROF. Towaroznawstwo. Wyd. VI.
— Chemja organiczna w zakresie potrzeb wyższych szkół średnich.
— Mikrochemja Wyd. II.
BOSSOWSKI F. Prawo cywilne Ziem wschodnich w zarysie.
CERCHA ST. i KOPERA FR. Giovianni Cini i jego dzieła w Polsce.
CHRZANOWSKI I. Ojcze nasz. A. Cieszkowskiego.
DOBRZYCKI ST. DR. Z dziejów literatury polskiej.
DOLEŻAN W. Wychowanie młodzieży.
— Wypisy do literatury powszechnej.
DZIAKIEWICZ WŁ. INŻ. Geodezja.
— Miernictwo.
— Pomiary większych obszarów i podział czyli parcelacja gruntów.
— Roboty wodne: 1. Wodociągi.
— Żelazo-beton.
HOBORSKI A. DR. Teorja liczb niewymiernych.
JAWORSKI WŁ. L. Prawo cywilne na ziemiach polskich. Tomów 2.
KARGOL A. i WEIGT H. Geografja Polski.
KISIELEWSKI WŁAD. Zarys Chemji. Podręcznik dla wyższych klas gimn. klasycz.
KRUSZYŃSKI T. KS. DR. Dzieje sztuki staro chrześcijańskiej.
KRZYŻANOWSKI A. Nauka o pieniądzu i kredycie.
— Drożyzna.
KUMANIECKI K. WŁ. Odbudowa państwowości polskiej. (Najważniejsze dokumenty 1917—1924).
— Strategja wielkiej wojny 1914—1918.
— Zbiór najważniejszych dokumentów do powstania Państwa Polskiego.
— Zarys prawa administrac. na Ziemiach Polski: I. Administracja szkolna.
— Zarys Ustroju Władz Samorządowych na Ziemiach Polski.
LEWAKOWSKI J. Terenoznawstwo i kartografja wojskowa.
MAYR-WEIGT. Historja handlu: I. Starożytność. — II. Średniowiecze. III. Czasy nowożytne. — IV. Czasy najnowsze.
MAZANOWSCY A. i M. Podręcznik do dziejów literatury polskiej.
MAZANOWSKI A. Wypisy polskie na VII kl. gimnaz. Wydanie II. Opracował Mikołaj Mazanowski. Ilustrowała Anna Gramatyka-Ostrowska.
REINHOLD J. DR. Zarys prawa karnego obowiązującego na ziemiach polskich.
— Nowela do procedury karnej o postępowaniu uproszczonem.
SEREDYŃSKI M. Wiadomości z handlu.
SZELĄGOWSKI A. Dzieje Polski w zarysie.
— Historja starożytna, średniowieczna, nowożytna i nowoczesna. Tomów 4.
WEIGT H. DR. Geografja gospodarcza ziem polskich.
ZOLL FR. Rzymskie prawo prywatne. Całość (5 części).